

DOMEK  
PRZY ULICY  
GŁĘBOKIEJ

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

WŁODZIMIERZ WOLSKI

YŁOJDZIMIERZ WOLSKT

DOMIEK  
PRZY ULICY  
GŁĘBOKIEJ

OPRACOWAŁ-  
TOMASZ JODEŁKA

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

ilustracje do powieści  
z lat 1859—1867  
z roczników „Tygodnika Ilustrowanego”

Okładkę projektował  
ALEKSANDER STEFANOWSKI

Redaktor: Maria Skalska  
Redaktor techniczny: Stanisław Kubiak  
Korektorzy: Krystyna Czerwijowska i Tatiana Barszczewska

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1956 r.

*Wydanie pierwsze*

*Nakład 10 000+205 Ark. wyd. 22,8. Ark. druk 30*

*Papier sat. ki, V, 65 g, form. 82X104 cm*

*z Fabryki Papieru w Skolwinie*

*Oddano do składania 23. UL 1956 i*

*Podpisano do druku 1. IX. 1956 x.*

*Druk ukończono 15. X. 1956 r.*

*Toruńska Drukarnia Dziełowa, Toruń, Katarzyny 4*

*Nr zam. 312 E/t-7-30183*

*Cena zł 15,40*

## W S T Ę P

### I. ŻYCIE POETY

Postać zapomnianego poety Włodzimierza Wolskiego ukazywała się piszącym o nim w rozmaitym oświetleniu, różnie też na niego patrzono. Najczęściej widziano jego karykaturę: „cygan” niedbale ubrany, z rozwichrzoną czupryną, z butelką wódki w jednej ręce, z cygarem w drugiej, chwiejący się na nogach, ale z twarzą pełną animuszu... pijackiego — tak uwiecznił go na swym szkicu Juliusz Kossak. Oczywiście, losy i jakaś tam twórczość pijaczyny nie zachęcała do bliższego poznania. „Zmarnowany, wykołejony człowiek” —• takie lapidarne określenie zastąpiło pocięte należny mu pomnik na cmentarzystku literatury XIX stulecia.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego jedną z najpiękniejszych postaci naszego Parnasu starano się zepchnąć do rynsztoka i w przekonaniu, że tam jest dla niej właściwe miejsce — udawano zgorzsenie na każdą wzmiankę o „niepoprawnym cyganie”?

Wolni od uprzedzeń, przypatrzmy się bliżej kolejom życia i twórczości „ekscentrycznego” poety.

Dzieciństwo Włodzimierza nie było „sielskie, anielskie”. Urodzony w Serocku 9 października 1824 r., wcześniej został sierotą<sup>1</sup>. Opiekun, a zapewne i towarzysz broni ojca, oficera napoleońskiego, Francuz Bertrand, zajął się wychowaniem chłopca. Ucząc się w dobrze prowadzonych pensjach warszawskich — francuskiej i niemieckiej — wykazał Wolski niezwykle zdolności filologiczne: opanował świetnie język francuski i niemiecki, a nieco później włoski i angielski. Nauki gimnazjalne ukończył z odznaczeniem. Jednak mimo tych sukcesów szkoła nie pozostawiła mu zbyt

<sup>1</sup> Ojca stracił w dwunastym roku życia, a o matce jedne wzmianki podają, że zmarła przy porodzie, inne, że w piątym roku życia jedynaka.

miłych wspomnień, skoro i w nowelach, i w powieści *Bakałarz* kładzie nacisk na znęcanie się nauczycieli nad młodocianymi wychowankami. Jaśniejszą stroną lat szkolnych stało się udostępnienie wrażliwemu chłopcu arcydzieł literatur obcych, które poznawał w oryginale.

Na gimnazjum wszakże skończyła się jego edukacja. Ówczesne pokolenie nie mogło nawet marzyć o studiach wyższych, były to bowiem pierwsze lata po powstaniu listopadowym, lata pogłębiającej się pustki kulturalnej w Królestwie. Uniwersytet był zamknięty, a wszechwładny feldmarszałek Paskiewicz osaczył sforą szpiclów każdą niemal myśl potencjalnych buntowników. Życie umysłowe zamarło. Społeczeństwo nie tylko uległo terrorowi zaborcy, ale tu i tam podtrzymywano tradycje Targowicy — łąszono się i przypodchlebiano satrapię. W niektórych salonach warszawskich błyszczał sam Paskiewicz w otoczeniu świty, wzbogaconej majątkami, które skonfiskowano uczestnikom powstania.

Na młodzież miał zaborca zwrócone szczególnie baczne spojrzenie. I zaledwie zaczęło działać (zawiązane w roku 1836) Stowarzyszenie Ludu Polskiego, zaledwie zdążono zorganizować inne tajne kółka młodzieżowe — policja przystąpiła do dzieła. Tajna organizacja gimnazjalna, która śmiała myśleć o wydawaniu gazetek, powędrowała w komplecie do świeżo wzniesionej Cytadeli.

Kilkumiesięczna pokuta w Cytadeli nie ostudziła jednak zapamiętany Wolskiego. Świadczy o tym pierwszy jego wiersz własnie pod tytułem *Zapal*, napisany w roku 1843. Niesdoszły spiskowiec woła:

Patrzę na ziemię jak na skład prochu,  
Na który piorun mój chciałbym zwalić,  
Rozżarzyć iskrę, pożar zapalić —  
I sztandar szczęścia zatknąć w popłochu.

Bój z całym światem — to nie było groźne dla zaborcy. „Na to Paskiewicz patrzył spokojnie — on baczył tylko, by boju nie umiejscowiano.”<sup>1</sup> *Zapal* stanowił jednak tylko przygrywkę. Utworem, który młodzieńskiemu poecie przyniósł prawdziwą sławę, stał się wydrukowany w tym samym roku 1843 poemat *Ojciec Hilary*. Utwór byroniczny — tak, ale nawet Byron i jego naśladowca w młodzieńczym okresie, Słowacki, umieszczali szych bohaterów w odległym czasie i przestrzeni. Bliski Wschód czy Grecja, czasy

<sup>1</sup> Wiktor Gomułcki; *Cyganeria warszawska. Bajki o niej i prawda*. Artykuł w „Tygodniku Ilustrowanym” z r. 1911, nr 42, s. 828.

krzyżackie — to tylko uważano za właściwe tło dla bohaterów skłóconych z całym światem. *Ojciec Hilary* przedstawia innego bohatera i w innych warunkach. Rangę bohatera romantycznego otrzymuje tu chłop-poddańczuk, który nie tylko śmie kochać szlachciankę, ale — wychłostany na rozkaz konkurenta do ręki tej niebiańskiej istoty — nie waha się chwycić za nóż i pogrzyźć go w piersi krzywdziciela.

To bunt, to targnięcie się na odwieczny porządek społeczny, a przecież cała sympatia poety jest wyraźnie po stronie buntownika. Gorąca głowa na wiele się waży, wszakże Wolski miał i serce gorące, i buntownika czyni bojownikiem o wolność — uwieczniony za zamach na życie szambelana, Daniło ucieka z lochu, gdy słyszy odgłosy „bitwy w sprawie świętej”! W nocy paskiewiczowskiej nie mógł poeta powiedzieć wyraźniej, że chodzi o walkę z wojskami carskimi w powstaniu kościuszkowskim, nie mógł też przedstawić udziału swego bohatera w dalszej kampanii, lecz łatwo się domyślić, że dopiero ostateczna klęska powstania załamuje Daniła, że dopiero wtedy puka do furty klasztornej, by następnie stać się ojcem Hilarym.

Młodzież warszawska powitała *Ojca Hilarego* z wielkim entuzjazmem. Poeta stał się od razu bożyszczem. Wobec zaniku twórczości w Królestwie talent Wolskiego miał otwartą drogę nie tylko do sławy, ale może nawet w pewnym stopniu i do rządu dusz, nad którymi dalekie echa poezji wielkich romantyków nie mogły objąć pełnego władztwa.

Radykalizm społeczny i świetna forma poematu zjednały Wolskiemu grono młodzieży, które wówczas próbowało posiąć nowe ziarna na zdewastowanej przez zaborcę niwie literackiej. Teoretykiem tej grupy był żarliwy szermierz rewolucji społecznej Edward Dembowski, pierwszym poetą stawał się Wolski, a należeli do tego zapalnego kółka: Seweryn Filleborn, Roman Zmorski, Józef Bogdan Dziekoński, Seweryn Zenon Sierpiński, Aleksander Niewiarowski („Półkoźic”); przez pewien czas widzimy w tym środowisku Teofila Lenartowicza i Cypriana Norwida. Kronikarz *ex oiiiicio* owych lat, Aleksander Niewiarowski, nazwał tę grupę „cyganerią warszawską” i nazwę tę przyjęła historia literatury.

A szkoda, że tak się stało.

Cyganeria paryska była waziutkim marginesem życia i niewiele wartościowego można się tam doszukać. Tymczasem tak zwana cyganeria warszawska stanowiła jedyne, i to nader ważne, ogniisko kultury lat czterdziestych w kraju. Była to prawdziwa warszawska szkoła literacka, dążąca do niebanalnych celów:

podniesienia kultury, demokratyzacji życia publicznego i szeroki akrojonej walki z mieszczańską pseudomoralnością.

Przez narzucenie na całą tę grupę poszarpanej i brudnej peły „cygańskiej”, przez umieszczenie warszawskiej grupy literackiej w podrzędnej bawarii — zwękslowano całe zagadnienie na boczny tor: zajęto się wybrykami rzekomych „cyganów”, a ploteczkami na ich temat przysypywano przez całe lat dziesiątki zdrowe myśli i cenne utwory tego ciekawego środowiska.

Szczególną zajadłość okazał warszawski kołtun wobec Wolskiego. Wśród literatów-rówieśników jedynie Wolski skończył gimnazjum (nawet Norwid i Lenartowicz nie mieli takiego wykształcenia), ogłada towarzyska i świetna znajomość modnych języków obcych, a przy tym niepoślednia uroda męska — otwierały przed nim pierwsze salony warszawskie, w których też nierzadko bywał, ale właśnie on najbardziej ostro zaatakował drobno-mieszczańską moralność.

Nobliwa pani Marrene-Morzkowska opisuje, jak to ów „nieporządny cygan” zraził sobie zacną panią Nakwaską, której salon otwierał się tylko dla wybrańców losu — oto spóźnił się całą godzinę! A pani Nakwaska, choć miała wiele przymiotów, „cierpliwą wcale nie była, pod względem zaś etykiety towarzyskiej miała nieubłagane zasady. Sama myśl, że ktoś lekceważył jej zaproszenie i nie uznał za stosowne wytłumaczyć się choćby jednym słówkiem, była dla niej nieznośną.”<sup>1</sup> Dzięki sprytnemu wybiegowi burza ominęła Wolskiego i znów „był przez parę miesięcy — czas stosunkowo bardzo dla niego długi — ulubieńcem pani Nakwaskiej, dopóki jakaś głośna awantura, w którą był wmixszany, nie wytrąciła go na czas jakiś przynajmniej z warszawskiego towarzystwa” i.

Zapewne i ten nowy wybryk darowałyby znacznie rychlej i „zacna pani Nakwaska”, i „zacna” opinia warszawska, gdyby nie jeszcze gorsze praktyki Wolskiego. Oto — jak zaświadcza Marrene-Morzkowska — poeta „bywał często złośliwy. Po Warszawie kursowały nieraz jego satyryczne wiersze, ośmieszające niemiłosiernie różne osoby, grupy towarzyskie, współliteratów, bez żadnego względu na ich stanowisko. Obrażał ich tym sposobem i robił sobie wielu nieprzyjaciół. Lubił też żartować z ludzi, wywlekać na jaw ich słabe strony, a to przebaczano mu mniej

<sup>1</sup> Waleria Marrene-Morzkowska: *Cyganeria warszawska*. Warszawa 1905 (Biblioteka Dziel Wyborowych nr 374), rozdział: *Włodzimierz Wolski*, s. 108—109.



jeszcze. Nieraz, na przykład, opowiadał osobom, zajmującym się ruchem literackim zagranicznym, o utworach znanych autorów, które naprędce wymyślał, cytował ich treść, zachwycał się pięknosciami, które wynosił pod niebiosa, czatując złośliwie, czy słuchacz tych wiadomości nie puści dalej w świat jako spostrzeżeń własnych. Sam też niekiedy zapytywał ponownie o te fikcyjne utwory, i gdy spotkał się z zapewnieniem, że je czytano, puszczał wodze swej satyrycznej żyłce."<sup>1</sup>

Wydaje mi się, że ta relacja stanowi właściwy klucz do tajemnicy coraz bezwzględniejszego potępienia Wolskiego. Koterie dobrze wychowanych obłudników darowałyby mu wszystko, tylko nie ukazywanie *coram publico* ich zakłamania, nieuctwa i innych grzechów głównych.

A musiało być to życie bardzo zatęchłym bagnem, skoro młody zapaleniec uważał, że trzeba to wywlekać na światło dzienne. Bo z natury nie był niedyskretny. Wszyscy towarzysze po piórze wiedzieli, że mimo licznych miłostek, które nie obejmowały sanktuarium jego uczucia — jak to ładnie określa Wiktor Gomulicki 2 \_ poeta kochał się na śmierć i życie w jakiejś „białej damie”, ale kto to był, nikomu nie udało się odgadnąć. Tajemnicę zabrał wierny kochanek do grobu.

Ta wielka miłość wycisnęła piętno na życiu i twórczości poety.

<sup>1</sup> Waleria Marrene-Morzkowska, op. *cit.* s. 106.

\* W drugiej części swego artykułu o cyganerii warszawskiej („Tygodnik Ilustrowany” z r. 1911 nr 43, s. 853) pisze na ten temat Gomulicki:

„Włodzimierz Wolski był stale zakochany. Mówiąc ściślej: prowadził stale jakiś, i stale coraz inny — romans. Nie był pod tym względem gorszy od innych. W literaturze i w życiu panowała wówczas sentymentalna rozpusta, uświęcona powagą wielkich poetów: Musseta i Heinego oraz całej plejady pierwszorzędných powieściopisarzy.

Ale jeśli serce jest świątynią, to liczne przelotne miłostki Wolskiego wypełniały tylko tej świątyni kruchę. Natomiast w sanktuarium królowała tylko jedna wielka miłość, gorejąc płomieniem nie gasnącym, a po niebiańsku czystym... Kto/był przedmiotem tej wielkiej miłości — pozostało dla wszystkich tajemnicą. Nawet najbliższy przyjaciel i powiernik poety, Aleksander Niewiarowski, klucza do tej tajemnicy znaleźć nie zdołał. Wiedziało wszakże całe kółko, że jeżeli śpiewak *Ojca Hilarego*, tak często na manowce życia zbaczający, zawsze z nich na dobrą drogę trafia i wirem mętnych fal zatopić się nie daje, zawdzięcza to przede wszystkim owej czczonej jak świętość i nad wszystko ukochanej — nieznamojej.

Wtajemniczeni znali tylko — miano, pod którym poeta bóstwo swoje w poezji wielbi, przyzywa i modli się do niego. Dante nazywał Beatrycze: *donna gentile*; Wolski swemu ziemskiemu ideałowi dał nazwę: Biała. O niej i dla niej śpiewał zawsze z najwyższym zachwytem, zawsze z największą czułością i zawsze — zbożnie."

Liczne erotyki, które mimo wydania okazałego tomu *Utworów wybranych* i są nadal niedostępne dla czytelnika, jak również długa nowela *Czarna wstążka* i aluzje w innych utworach świadczą o głębi i subtelności uczucia Wolskiego. Po raz pierwszy ujrzał poeta swoją wybrankę zapewne przed wstąpieniem w literackie szranki albo na początku swej drogi na Parnas — a wierność zachował na długie lata. Na każde zaś wezwanie swego ideału porzucał niezbyt odpowiednie towarzystwo bawaryjne i marzeniami znów szybował „nad szczyty Tatrów”.

Już w roku 1844 pojawia się w wierszu *Wezwanie* „jasny duch w białej szacie z chmur uwitej, w gwiazdy lśniącej” — a jeszcze w r. 1856 pisze poeta wiersz pt. *Biała*:

Czy zdawało się, zdawało,  
Żem znów ujrzał moją białą,  
Jakby lilia pochyłona,  
W cichych modłach rozrzuwiona  
Przy niej anioł-stróż!

Czy zdawało się, zdawało,  
Gdzie gwar świetny, bał radosny,  
Mknęła lekko jak mgła wiosny,  
Wśród róż tyłu była białą,  
Najskromniejszą z róż!

Czy zdawało się, zdawało,  
W tańcu wirze, w gwarze balu,  
Jakże serce by mi drżało  
Żarem szczęścia, mrokiem żalu,  
Tulać twoje skroń!

Choć to tylko się zdawało,  
Choć to tylko sen ponętny,  
Zostań, zostań taką białą,  
Niech ci modłów wianek smętny  
Zdobi czystą skroń!

Intensywna twórczość poetycka, życie towarzyskie, wędrowki po okolicy dla przyjrzenia się z bliska życiu ludu i pamiątkom przeszłości wypełniają kilka bujnych lat Wolskiego. Z większych utworów pisze poemat *Haika* (1845), niedługo potem libretto do *Halki Moniuszki* (1846) i — zwolna ucicha. W nielicznych wierszach przeważa zaduma, melancholia.

<sup>1</sup> Włodzimierz Wolski: *Utwory wybrane*. Warszawa, „Czytelnik”, 1955. Stron 648+3 nlb. W noweli *Czarna wstążka* (wchodzącej w skład tego wyboru) występuje hrabina określana również mianem „bladej damy”, która zawiera sporo rysów ukochanej Wolskiego.

Wobec braku materiałów trudno ustalić jakieś konkretne powody tej zmiany psychicznej poety, słuszną jednak wydaje się ocena Wiktora Gomulickiego:

„O! bo nie skądinąd to wszystko wyrosło, tylko z bólu. I ten śmiech obłąkańczy, ten cynizm pozorny, te krzykliwe orgie — nic zresztą nie mające z Sardanapalem i Borgiami wspólnego — na wskroś przenika głucha, dławiąca melancholia...

Gdybyż to grono szczerych, urodzonych poetów było choć przez swoich rozumiane, zachęcane, cenione! Gdybyż dusząc się, jak Laokoon w splotach węzów zajadłych, miało choć tę pociechę, że jego zapal udziela się innym, że gest wskazujący niebo właściwie jest rozumiany, że jęk i skarga, do bratnich serc trafiwszy, współczucie w nich budzą i szacunek! Niestety, głos piewców ginął w próżni. Syty, modnie odziany i przyzwicie rozpustujący motłoch widział tylko alkoholizm Wolskiego, wytarty surdut Filleborna, rozczochrane włosy Zmorskiego — ich dusze pozostały dlań na siedem pieczęci zamknięte.

Dziś nierzadko poeta pozuje tylko na zrozpaczonego. Dziś nienajeden tłustą, rumianą twarz sztucznie wybiela, aby budzić zajęcie swą rzekomą demonicznością i nurtującym jakoby serce bólem. W tamtym żałobnym karnawale naszej poezji rozpacz, ból i demonizm były najrealniejszą rzeczywistością." i

Czy jednak tylko ta atmosfera zniechęcała do pisania? W znanym wierszu *Geniusz* (w zbiorze poezji z r. 1859 tytuł zmieniony na *Duch*) znajduje się opuszczone w wydaniu książkowym stwierdzenie:

**Ludzkości, nie chcę niczego od ciebie!**

Mało ważne, że zdanie to napisał poeta w roku 1844, a więc wtedy gdy dążył do zdobycia sławy. Bliższe przyjrzenie się twórczości Wolskiego pozwala przypuszczać, że pod koniec lat czterdziestych był on dziwnie osamotniony. Z przyjaciół roku 1843 jedni już nie żyli, inni wyjechali za granicę — wieczory w salonach pani Niny Łuszczewskiej czy wojewodziny Nakwaskiej nie wypełniały duchowej pustki, wódka nie dawała zapomnienia o wszechobecnych oczach i uszach pacholków Paskiewicza. Wspomnienia o poecie, chociaż pisane pod czujnym okiem carskich cenzorów, wyraźnie stwierdzają, że talent poetycki Wolskiego nie mógł się rozwinąć w ówczesnych „okolicznościach”.

<sup>1</sup> Wiktor Gomulicki: *Cyganeria warszawska*. „Tygodnik Ilustrowany” z r. 1911 nr 42, s. 829.

istotnie, wrażliwego poetę dławiła zhora ucisku zaborcy. Będąc bystrym obserwatorem, widział on całą beznadziejność ówczesnej sytuacji. O walce wyzwoleniczej nie mógł pisać, więc postanowił ukazać w jaskrawym oświeceniu krzywdę społeczną ludu — napisał poemat *Halka*. Gorliwy cenzor carski tak jednak okroił utwór, że Wolski zrezygnował z ogłaszania okaleczonych szczątków. Lecz nie przestał tworzyć. Dowodzi tego śliczny wiersz poświęcony pamięci Fryderyka Szopena, a napisany pod bezpośrednim wrażeniem śmierci genialnego muzyka. Długą tę „fantazję” uważano za najlepsze dzieło poety, godne pióra Słowackiego. Bez wątpienia jest to utwór bardzo wysokiej klasy i w niezwykle bogatej wiązance poetyckiej poświęconej Szopenowi stanowi kwiat najbardziej okazały.

Przy sposobności warto zwrócić uwagę, że wiersz *Fryderyk Szopen* powstał nie pod wpływem chwilowego zainteresowania Wolskiego Szopenem i muzyką. Od najmłodszych lat poeta był pod urokiem muzyki, a choć sam grywał tylko na gitarze, to jednak rozumiał i odczuwał muzykę jak żaden inny poeta polski. Do najlepszych jego wierszy należą „muzyczne”, jak: krakowia-ki, mazurki, oberki, mazur i liczne piosenki, do których melodie komponowali najlepsi muzycy ówczesni z Moniuszką na czele, Wiele wierszy zilustrował muzycznie Ignacy Komorowski oraz Julia Niewiarowska.

W roku 1849 powstał też inny interesujący wiersz, mianowicie *Tułacz*.

„Nie mam spokoju, dać go nie mogę” — mówi poeta do dziewczyny, którą wzywa za sobą. Z góry wie, że tułactwo ją znuży i zatęskni do chaty ojców i ta świadomość wzbudza w nim taką refleksję:

Za długom wątpił,  
Żebym się smucił,  
Za długa droga,  
Bym z tobą wrócił.

Powrócisz sama

Ja pójdę dalej!

Czy rzeczywiście poszedł dalej? Twórczość lat następnych nie stanowi postępu. Smutne liryki poświęcone „białej damie” dźwięczą aż po rok 1857. Długa gawęda szlachecka o młodym Kazimierzu Pułaskim — *Wielki pan* — napisana w roku 1852 nie wywołała entuzjazmu jak *Ojciec Hilary*, chociaż chyba bliżsi obiektyw-

nego sądu byli krytycy oceniający pozytywnie tą „powiastką” już po zgonie Wolskiego niż surowi Zoile z lat pięćdziesiątych dopatrujący się w tym utworze upadku talentu poety. Wykonczona ostatecznie w roku 1857 *Pološka* jest znacznie poszerzonym i na nowo przepracowanym poematem *Halka*, który cenzura carska tak niemfosiernie schlastała w roku 1845. Wcale niesielankowe stosunki dworu i wsi kończą się nowymi u Wolskiego akcentami solidarystycznymi, wykazującymi znaczne cofnięcie się autora *Ojca Hilarego* z zajmowanych przedtem wysuniętych placówek radykalizmu społecznego. Poważnym osiągnięciem stała się natomiast *Hrabina*, libretto do opery Moniuszki (1860).

Około roku 1860 zaczął się w Warszawie żywszy ruch. Ciężka ręka zaborcy nie spodliła społeczeństwa, które coraz natarczywiej zaczęło teraz domagać się choćby minimum ludzkich praw. Wówczas to zabrzmiał mocny głos Wolskiego. W zimie 1860 r. napisał pierwszą część *Śpiewu towarzyszków* dla studentów Akademii Medycznej, a po zamordowaniu pięciu uczestników manifestacji lutowej 1861 r. dodał dwie, znacznie gorętsze zwrotki kończące się znamionnym akordem:

Gdy krzykniemy: „Do pałasza!”  
TQ spełnimy wielki ślub!

Ślub ten spełniono nader szybko. Pamiętny rok 1863 budził nowe nadzieje. Nie wiemy, czy Wolski brał udział w powstaniu (należy pamiętać, że to on właśnie w okresie manifestacji patriotycznych poprowadził we wrześniu 1861 r. wielki pochód z Warszawy, pod sztandarem z Białym Orłem, do kościoła Świętego Krzyża w Górach Świętokrzyskich), lecz chlubnie o nim świadczy i pisany udział w walce — *Śpiewy powstańcze*, wydane w roku 1863. Niewielki ten zbiorek, podyktowany gorącym uczuciem patriotycznym, zawiera bodaj najlepsze wiersze o powstaniu styczniowym w naszej literaturze. Uderzywszy w Tyrteuszowe tony Wolski urósł znacznie i sięgnął po nowe liście laurowe. *Śpiewy* pełne są entuzjazmu, widać z nich, jak wiele spodziewano się po świeżo rozpoczętej zbrojnej rozprawie z caratem. Już w *Przedśpiewie* mocnym dźwiękiem brzmią słowa:

Daremnie bredzą czcze ogólniki,  
Że gdy czyn mówi, umilka śpiew.  
Wojsku do boju trzeba muzyki!

Wśród broni szczęką, wśród krwi rozlewu,  
Na wielki obrzęd wolności dni,

Musi zadźwięczyć srebrny dzwon śpiewu,  
Jeżeli serce prawdą w nim brzmi.  
I jak dziś — jednym powietrza drganiem  
Woła do wszystkich, że zmartwychwstaniam!

W dalszych zwrotkach wzywa Wolski poetów, by stanęli ze śpiewem „u matki zabitej grobu, co wychyliła świętą twarz swą... i męczennica w imię swobody staje znów jasna między narody”.

Matka nam każe i do nas woła:  
„Garńcie, podnoście siermiężny lud!”  
A kogóż święty głos jej nie skłoni?  
Bracia śpiewacy — do naszej broni!

Zawarte w zbiorze wiersze świadczą o szczerym demokratyzmie Wolskiego. Marsz *czwartego piętra*, *Marsz biedaków warszawskich*, *Marsz kosiarzy* — poświęcone są upośledzonym klasom społecznym, które na dźwięk pobudki stanęły do walki o wyzwolenie. Akcenty demokratyczne dźwięczą i w innych „śpiewach”. W słynnym *Marszu powstańców* poeta wzywa mieszczan, rzemieślników („wy z miast, od rzemiosł”), młodzież i Żydów<sup>h</sup> by budzili lud wiejski:

Do chat, do ludu, budźcie wiejski lud!  
On wam uwierzy, bo wy w nim z braterska  
Uczcie pracę, proste serce, krew —  
A z ludem młoda Polska bohatera  
Wymiecie wrogów jakby kupę plew.

Czysty ton patriotyczny dowodzi jeśli nie przynależności Wolskiego do stronnictwa „Czerwonych”, to wielkiej sympatii dla ich programu, nacisk na objęcie powstaniem mas ludowych wynika z przeświadczenia, że tylko walka całego narodu może zapewnić zwycięstwo.

Pierwszy zeszyt *Śpiewów powstańczych* był też — niestety — ostatnim. Tragiczny przebieg dalszych zmagania zbrojnych z carską przemocą wytrącił pióro z ręki Wolskiego. Zmuszony do wyjazdu za granicę (bo wydaje się pomyłką jedna z informacji, że opuścił kraj już w roku 1861), osiedlił się w Brukseli i dopiero w roku 1869 wydał tam *Promyki*, zawierające ostatnie akordy powstańcze. Wiersze te pełne są patriotycznego bólu, a niektóre z nich stanowią trwałe pomniki bohaterstwa powstańców.

I w późniejszych latach nie zamilkł zupełnie. Rzewne wiersze liryczne, z których kilka dotarło na łamy czasopism krajowych,, wykazują nie tylko opanowanie formy, ale i — uczuć.

Nie pozostawał również poeta na uboczu spraw politycznych. Świadek Teodor Tomasz Jeż stwierdza zupełnie wyraźnie, że w Brukseli należał Wolski do czołowych osobistości Zjednoczenia Demokratycznego, w którym działali Lelewel i Heltmann. We wspomnieniach swoich opisuje również Jeż wzruszające przeżycie wywołane wygłoszeniem przez jego córeczkę wiersza powstańczego Wolskiego *Mieczna siostra*. Pełne uznania słowa sędziwego działacza niepodległościowego i pisarza (Jeż pisał o tych sprawach w roku 1907) o Wolskim jako poecie przedstawiają dziś dużo większą wartość niż wstrętne insynuacje „kolegów po piórze” w rodzaju Faleńskiego, który nie wahał się napisać, że w latach warszawskich Wolski był na usługach carskiej policji (!). Tylko w atmosferze skażonej jadem niewoli można było bezkarnie krzywdzić w taki sposób.

Pod koniec życia wspólnie z Henrykiem Merzbachem nadsyłał Wolski w latach 1878 i 1879 wierszowane *Listy z Belgii* do „Kurierza Warszawskiego”<sup>2</sup>. Ze zrozumiałych względów podpisywał swoje korespondencje pseudonimem Paterkul, a Merzbach występował jako Agrykola. Ta kroniczka belgijska zasługuje na uwagę jako włączenie się poety w modny wówczas nurt „kronik” i „listów” przepełniających pisma krajowe. W powodzi kronikarskiej niewiele piór dorównało kronikom tygodniowym Prusa, jednakże *Listy z Belgii* śmiało można obok nich postawić. Bystrość obserwacji, zacięcie satyryczne i opanowanie formy nie zawiodło i tu poety.

Dramat *Mam dwa domy* (1873), przekład powieści holenderskiej, zaginiona powieść własna, przygotowanie do publikacji korespondencji z Moniuszką, która, niestety, przepadła gdzieś w papierach Merzbacha, propozycje (a może i realizacje) librett do opery i baletu Munchheimera — oto inne jeszcze świadectwa ożywionej działalności literackiej w Belgii tego rzekomo „nieoprawnego cygana, nieprzywykłego do porządnej pracy”.

Ukochanie muzyki i cześć dla wielkich kompozytorów pozostały żywe w sercu poety do ostatnich jego dni — świadczyć

<sup>1</sup> Teodor Tomasz Jeż: *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*. Kraków 1937 Tom III, s. 426.

\* Dotychczasowe informacje z zadziwiającą jedynomyślnością podają, że *Listy z Belgii* były drukowane w „Kurierze Warszawskim” w roku 1880, przy tym pseudonimem Merzbacha — Agrykola — obdarzono Wolskiego. Może ta okoliczność kazała pierwszemu informatorowi uznać listy Wolskiego za mało wartościową prozę wierszowaną — bo następni informatorzy chyba *Listów z Belgii* nie czytali.

o tym <sup>muic</sup> pisany na krótko przed śmiercią wiersz poświęcony Beethovenowi:

Tak! Popiersie widzę mistrza,  
Co go w czci najwyższej cenię:  
Jak pierwotnych gór załomy,  
Jak bezbrzeżne wód przestrzenie.

Odgłos gromu w Alp wyżynach,  
Groza burz na oceanie,  
Wielkie serce Beethovena,  
Kiedy w świątyń brzmi organie.

„Opinia” mieszczańska wołała nie przyjmować do wiadomości tych ech pracy Wolskiego na emigracji, natomiast chętnie puszczano w obieg złośliwe plotki uwłaczające poecie. Prawdopodobnie był to kołtuński rewanż za dawne złośliwe drwiny i satyryczne wierszyki, którymi Wolski tak niemiłosiernie chłostał niegdyś warszawskie dostojności.

Prawie zupełny brak materiałów do lat brukselskich uniemożliwia należyte rozeznanie nawet tych faktów, o których wieść dotarła do kraju — a więc, jak na przykład wyglądała współpraca literacka Wolskiego z hrabią du Chastel. Nie wydaje się jednak uzasadnione twierdzenie, że w Brukseli był Wolski pieczętniarzem.

Od wczesnej młodości mało cenił pieniądze. Spory majątek po ojcu strwonił bardzo szybko (miał przecież przyjaciół!), honoraria — zwykle bardzo niskie, ponieważ nie potrafił się targować — ekspensował od ręki, na przykład w ciągu pięciu dni wydał w gronie towarzyszy i na przyjemności przygodnych znajomych (płci obojga) 350 rubli otrzymane za druk w „Gazecie Codziennej” powieści *Domek przy ulicy Głębokiej* — ale nawet na brukselskim bruku pracował bardziej intensywnie niż wielu innych współczesnych mu literatów, nie mówiąc już o poetach.

Nie ma więc potrzeby ubolewać nad „moralnym upadkiem” poety, który pracował do końca życia. Warto także pamiętać, że warunki tułaczki nie okazały się bardziej łaskawe dla większego talentem Cypriana Norwida czy Józefa Bohdana Zaleskiego. Wolski nie poszedł do przytułku, a w szpitalu umieszczono go dopiero po ataku apoplektycznym. Ten atak spowodował śmierć poety-tułacza dnia 6 sierpnia 1882 roku.

Tułaczem samotnym był on właściwie przez całe życie. Osamotniony w swym szamotaniu się w kraju, samotny na obcej ziemi. Nie wiadomo, czy dziś można by jeszcze znaleźć jego mo-



giłą na brukselskim cmentarzu. Zresztą, poeta nie tęsknił do straży kolumnowych czoł nad swoimi kośćmi. Nawet kochaną kobietę prosił, by omijała z dala jego samotny grób:

Niech dzikie róże mogiłę opaszą,  
Niech mnie w niej cicho ojmie wieczny sen!  
Lecz płaczem nie budź samotnego cienia!  
Bo i pod ziemią usłyszę płacz twój —  
Każda łza twoja w kroplę krwi się zmienia,  
Aż z łez tych w trumnę krwawy bucha zdroj.

Bo w płaczu twoim ja zawsze słyszałem  
Sierocy, straszny wszystkich niewiast jęk  
Na naszej ziemi — a ja tak kochałem  
Tę ziemię naszą — więc oszczędź mi męk!  
Ona dziś krwawszą okryta żałobą;  
Ty nie dość czujesz jej męczeńskich prób —  
O, zapłacz nad nią i zapłacz nad sobą,  
A mijaj z dala mój samotny grób!

## II. SŁUŻBA SPOŁECZNA WŁODZIMIERZA WOLSKIEG

Gdy bliżej nie znana tragedia miłosna rzuciła ponury cień i pierwsze przeżycia młodzieńczego poety, nie poddał się on ro paczy, nie ugrzęznął w rozpamiętywaniu swej nieszczęsnej do (a było to wówczas tak modne!), ale z podziwu godną stanowczością skierował się ku celom ogólnym. „Zapał najpierwszą zatlił pochodnię” — wyznaje poeta i dumnie stwierdza:

Sam jeden tylko pomiędzy wami,  
Jak dąb żyłasty pomiędzy sosnami;  
Próżno mnie chcecie pieścizotą zwabić,  
Próżno hart męstwa łzami osłabić!

Niczyjej woli nie jestem sługą...

Jednakże samotność nie mogła stanowić upragnionego azylu dla dwudziestoletniego marzyciela. Rozstanie z ukochaną załamywało nieraz bardziej zrównoważonych i doświadczonych — u Wolskiego, może dzięki zapatrzeniu się w górne ideały, obserwujemy w tym momencie jakby chłodny spokój:

..... i na ten raz czulej  
Niech moją duszę tchnienie twe utuli,  
I niech zapłaczę — wszak to raz ostatni!

Po takim dowodzie serdecznego bólu mamy tuż obok — męską determinację:

Przestańcie płynąć — wy, łzy dziecinne,  
Przestańcie tęsknić — mary niewinne!  
Kiedy chcesz płakać, to wszystkich płaczami,  
Kiedy chcesz tęsknić, to wszystkich żalami!

Nic dziwnego, że młodzieniec ten był autorem *Ojca Hilarego* mając lat osiemnaście! Od tego poematu, który płacze płaczami wszystkich i tęskni wszystkich żalami — sam poeta nakreślił drogę do *Pološki* pisząc:

„*Pološka*, zaokrąglająca niby myśl rzuconą w Ojcu *Hilarym*, współczesna mu pod względem pomysłu, pod względem obrobienia znacznie późniejsza i spokojniejsza...”<sup>1</sup> Piętnastolecie dzielące oba utwory (1843—1857) zasługuje na bliższe przyjrzenie się głoszonemu wówczas przez Wolskiego hasłom społecznym. Powierzchniowa analiza pierwszego poematu i co najwyżej libretta do *Halki* skłaniała dawnych badaczy do skwitowania społecznej myśli poety etykietką chłopomanstwa, którą mocnym zaiste klajstrem przyklejono młodemu zapaleńcowi. Tymczasem 20-letni młodzieniec, wyśpiewawszy pieśń buntu w *Ojcu Hilarym*, pragnie zanucić również inne pieśni życia:

Brzmijcie, brzmijcie, pieśni życia!  
Jak jaskółki, gdy przed burzą.  
Lot zniżają, zniżcie śpiew  
Coraz niżej — i wszystkim  
Akordami pieśń dla ziemi  
Zaśpiewajcie — pieśń dzielniejszą,  
Zrozumialszą, potrzebniejszą!

To nie jest program chłopomana. I wydaje się, że skoro po Ojcu *Hilarym* uznał poeta za „pieśń potrzebniejszą” poemat *Halka* (pierwsza wersja *Pološki*), a wkrótce potem libretto do opery pod tym samym tytułem, to nie ulegał jakiejś modzie, tylko szedł i tutaj za nakazem serca bardzo żywo odczuwającego wszelką krzywdę. A chyba nie potrzeba udowadniać, że najbardziej pokrzywdzony i uciemniony był wówczas lud polski.

Poemat *Halka* brzmi mocnymi akordami, niemal rewolucyjnymi.

...Oj, diablíce,  
Wy matki morderce,  
U was białe, jasne lice,  
Ale czarne serce.

<sup>1</sup> Ze wstępu do dwutomowego zbioru *Poezji* z r. 1859.

U was żywa, łatwa mowa  
I słodycz spojrzenia —  
Serce martwe jak grobowa  
Figura z kamienia.

Będzie bies was za to prażyć,  
Będą szarpać jędze,  
Będzie zgaga ciągle żarzyć  
Za ucisk i nędzę.

Boże!... matka Cię woła,  
Słyszysz mię, matkę, o Boże!  
Czyli mi dłoń Twa nie dopomoże,  
Nie ześlesz zemsty anioła?  
Ja matka, Panie, ja matka stara,  
Boże! tu śmierci łożę,  
Tu zemsty czeka biedna ofiara,  
Nie zemścisz, nie zemścisz się, Boże?  
Usłysz mię, usłysz, wołam do Ciebie!  
Czy Ty wiesz, Panie, co znaczy  
Odgłos boleści, piekło rozpaczy —  
Czy u was jest litość w niebie?

Na modlitwę o zemstę niebo pozostało głuche, lecz zrozpaczonej kobiecie pomaga szatan. Panicz, którego matka stała się morderczynią jego żony-chłopki, wymierza doraźną karę: zabija matkę i sam popełnia samobójstwo. Zasada: krew za krew — święci tu pełny triumf.

Libretto do opery *Halka* (1846), w którym chyba niezbyt słusznie dopatrywano się poetyckiej aprobaty rabacji galicyjskiej, jest przetworzeniem tego samego motywu skrzywdzonej wiejskiej dziewczyny. Od poematu *Halka* libretto różni się jednak zasadniczo. Oprócz imienia bohaterki wszystko tu inaczej przedstawione. Ta sama jest tu tylko krzywda (dziewczyna ginie również w nurtach rzeki) i ci sami krzywdziciele — dwór szlachecki. Jednakże nie ma tu słowa o zemście. Poeta i kompozytor zakończyli utwór ukazaniem tragicznych następstw zalecanek panicza — śmierć Halki pozostanie na zawsze wymownym oskarżeniem uwodziciela, ale nie była nigdy pobudką do krwawej rozprawy ze szlachtą. I bez akcentów sztucznego pojednania Jontka z Januszem, doczepionego do opery w r. 1860, widowisko *Halki* nie odegrałoby nigdy takiej roli, jaką w dobie powstania kościuszkowskiego spełnili *Krakowiaczy i górale*. *Halka* nie jest operą rewolucyjną, jest wszakże bardzo humanitarna i postępową. W czasach politycznej i społecznej reakcji stawiała na pierwszym planie chłopą pokrzywdzonego, a jako kontrast chłopskiej uczciwości

i szlachetności ukazywała ogromny egoizm i moralną nicość szlachty. Ta społeczna prawda *Halki* — obok walorów artystycznych — słusznie chroniła Wolskiego przez dziesiątki lat od zupełnego zapomnienia.

„Obrobiona” w roku 1857 *Pološka* jest w istocie drugą redakcją poematu *Halka*. Redakcja to bardzo odmienna od pierwszej. Poemat *Halka* — podobnie jak *Ojciec Hilary* — jest utworem typowo romantycznym: tajemniczość i fragmentaryczność, udział szatanów w krwawej zemście — to romantyczne sposoby przedstawiania zdarzeń. W libretcie *Halka* poeta wyzwolił się zupełnie z konwencji romantycznej — posłużył się metodą na wskroś realistyczną. Tę zdobycz zachował Wolski na stałe — *Pološka*, mimo tego że jest tylko nową redakcją poematu *Halka*, nie ma prawie nic z romantycznej maniery, sposób ujęcia jest tu realistyczny. Inaczej również został potraktowany główny problem utworu. W *Halce* zemsta jest sprawą zasadniczą, w *Pološce* zemsta zostaje udaremniona, a niedoszła zabójczyni zbrodniarki sama ginie od kuli panicza, powracającego z walk na obczyźnie. Zemsta ustępuje miejsca akcentom pojednania przy mogliach dwu niewinnych ofiar. Skąd te akcenty solidarystyczne, czyżby nastąpiło uwstecznienie radykalnego poety? Czyżby pogodził się z uciskiem ludu — bo przecież ucisk społeczny chłopu nie zniknął ani nie zmalał na przestrzeni lat 1843—1857?

Takie postawienie sprawy byłoby chyba uproszczeniem. Dojrzewający wewnątrz coraz bardziej poeta nie zrezygnował z' piętnowania wszelkiego ucisku, wszelkiej krzywdy — uznał tylko zapewne, że w warunkach narodowej niewoli było niemożliwe rozwiązanie palących zagadnień społecznych, niemożliwe usunięcie społecznej krzywdy. Dlatego to w twórczości Wolskiego występuje coraz głośniejsze nawoływanie do walki zbrojnej z caratem o wyzwolenie narodowe, które winno przynieść równocześnie i wyzwolenie społeczne uciskanym, winno się łączyć z urządzeniem stosunków społecznych na zasadzie sprawiedliwości.

Takie wnioski nasuwają się przy lekturze patriotycznych wierszy Wolskiego. Świadczy o tym *Śpiew towarzyszków* z r. 1860—1861, świadczy cały cykl *Śpiewów powstańczych*. Charakterystyczne jest opiewanie w tych utworach głównie bojowników z nizin społecznych. Słynny Marsz *powstańców* również zawiera potwierdzenie społecznej myśli Wolskiego. Oto wzywa do zapłaty

Za chytre prawa dla rodowej dumy,  
Gdy lud i pracę hańbił prawem car,

Jak by było kazał smagać, bo te tłumy  
Nie ludzie jeszcze, według carskich kar...  
Za podstęp piekła, którym lud wioskowy  
W oprawców próżno chciał zamienić kat.

A gwarancję wyzwolenia widzi poeta w masowym udziale chłopów w walce zbrojnej:

...z ludem młoda Polska bohaterska  
Wymiecie wrogów jakby kupę plew.

Napisany już po powstaniu wiersz *W górach* zwraca uwagę stwierdzeniem, że jedną z głównych przyczyn niepowodzenia rozprawy z caratem była za mała rewolucyjność walki:

Gdy raz pierwszy wśród tych gór  
Garstka mężnych szła na wroga,  
Kiedy nie brzmiał chór do Boga,  
Ale strzałów groźny chór,  
Czemu sztandar nasz ludowy  
Nie przodował garstce owej,  
Ponad łuny siół spalonych  
Nie rozwijał barw czerwonych?

We wszystkich większych utworach poetyckich i w wielu drobnych wierszach ukazuje Wolski krzywdę chłopską. Ale równocześnie z poematami pisał od roku 1843 nowele, a potem powieści. Tu również bohaterami są przeważnie pokrzywdzeni i upośledzeni — tylko z innego środowiska. Tłem utworów prozaicznych jest przeważnie miasto, głównymi postaciami: przedstawiciele nędzy artystycznej ówczesnej Warszawy, robotnicy, oficjaliści. Oczywiście, występują i osoby utytułowane, lecz cała sympatia autora — podobnie jak w poezji — jest po stronie plebsu. Tu będzie ubogi muzyk czy niezbyt bystry, lecz uczciwy urzędnik, tam kopetetytor, to znów „dobry pijaczek” i jego nieporadny kuzyn, wreszcie warszawscy robotnicy budowlani. Charakterystyczne, że nawet tancerka Eulalia z *La kacuczcy*, płacąca za możliwość sukcesów scenicznych zwykłą wówczas cenę aktorek, przedstawiona jest bardziej sympatycznie niż liczne grono arystokratyczno-plutokratyczno-ziemiańskie. Warto przy tym podkreślić, że warszawska kamelia nie jest wcale idealizowana — i ją także ukazał pisarz w oświetleniu satyrycznym.

Te pobieżne uwagi nie wyczerpują zagadnienia, w jaki sposób Wolski realizował w swej twórczości społeczne zadanie pisarza — można by przytoczyć jeszcze wiele przykładów z innych utworów — jednakże stanowią dostateczną podstawę do stwierdzenia,

że współtwórcą narodowej opery *Halka* był w naszej literaturze jednym z pierwszych piewców społecznej krzywdy, jednym z pierwszych rzeczników biedaków wiejskich i biedaków warszawskich. W chwili gdy uprzystępnia się czytelnikowi pokazać część dorobku tego żarliwego śpiewaka niedoli klas upośledzonych — pora już chyba zerwać z jego tułaczkiej mogiły bezsensowne i krzywdzące etykiety, m. in. etykietkę chłopomana, a na ich miejsce położyć napis, na jaki ten gorący bojownik o wolność narodową i sprawiedliwość społeczną naprawdę zasłużył.

### III. DOMEK PRZY ULICY GŁĘBOKIEJ

*Domek przy ulicy Głębokiej*, najdojrzała powieść Wolskiego, jest dalszym krokiem autora w jego służbie społecznej. Sam wybór środowiska, które powieść ta przedstawia, świadczy o głębokim zrozumieniu roli pisarza. Czytelnicy rzeczywiście nie byli wówczas przyzwyczajeni „do czytania u nas o takich Szczepaniakach, Fidrykowych, Maciusiach, Jakubowych, eks-tamburmażorach itp. z szorstką mową i obyczajem zbyt może dosadnie zachowanym... Warkot warsztatu, spracowane ręce od młota lub raszpli, finansowe zabiegi jakiegoś parętyśięcznego kapitalisty, słowem — niższe objawy miejskiego życia wydawać się nam zawsze będą w powieści, choćby najbardziej swojackiej, czymś nie naszym, jakby cudzoziemskim.” Sam autor uważał to za zjawisko nienormalne, stwierdzając, że w Warszawie „tylu urodzonych w mieście lub też przybyłych ze wsi Polaków, zajmując się rzemiosłami, i to zwykle cięższymi, stanowi znaczną warstwę niższego mieszczaństwa, które dawniej gnieździło się natłoczone w staromiejskich ulicach”.

Zwrócenie uwagi na polskich rzemieślników wypieranych z lepszych gałęzi rzemiosła przez niemieckich przybyszów, którym system protekcyjny w Królestwie zapewniał bardzo dogodne warunki rozwoju, stało się dla Wolskiego palącą koniecznością. I dlatego, chociaż zdawał sobie sprawę z obcości tematu w literaturze, chociaż pamiętał o przestrodze Horacego — nie mógł się oprzeć przemożnemu nakazowi artystycznemu, który zmusił go do ukazania w powieści „pracowitego stanu miejskiego”.

Ludzie z domku przy ulicy Głębokiej nie żyją w odosobnieniu. Chlubna przeszłość powstańcza wiąże majstra Szczepaniaka z ojcem Jakubem, sierota Józia to nie tylko wymowny dowód

hulaszczego życia bogatego ziemiaństwa, ale — co znacznie ważniejsze — i przekonujący sprawdzian, że uczciwa praca mocniej ludzi łączy niż węzły krwi — biedny Sierocki bliższy jest Pawłowi niż pudełkowany Marcelek. Pozorny awans społeczny, za jaki właściciel domku uważa bliskie stosunki z Gulmańciewiczową i jej nieodrodnym synalkiem, wypcha uczciwych, lecz zbyt łatwowiernych Szczepaniaków w sieci dobranej szajki oszustów kierowanej z niepoślednim talentem przez godne siebie małżeństwo Jabłuszków. Zamożni Beleńscy, biedna Michałka, Jakubowa, Fidrykowa, Maciuś — oto główne osoby, których losy splatają się, zazębiają albo wreszcie stabilizują się na antypodach.

Oczywiście, główna uwaga pisarza skupia się na rzemieślnikach. Majster Szczepaniak, majstrowa Fidrykowa, czeladnicy: Józiak i Maciuś potraktowani są bardzo dokładnie. Całkowitą sympatią darzy jednak autor tylko mężczyzn — skłonnej do trunków Fidrykowej dostaje się nawet epitet „jędza” (i to od Józiaka!). O pracy w warsztacie, o stosunkach między czeladzią a majstrami sam autor nie rozwodzi się w sążnistych opisach pełnych technicznych szczegółów — dowiadujemy się o tym z akcji. Uczciwy Szczepaniak nie obchodzi się źle z czeladnikami, ale u trumniarki jest trochę inaczej. Nawet cierpliwy Józiak ma wreszcie dosyć nieznośnej majstrowej i po gwałtownej kłótni odchodzi od niej. Nową, lepszą pracę uzyskuje dzięki Sarmiewiczowi, jednak jego marzenia sięgają dalej i gdy tylko przestaje go wstrzymywać chora Michałka — wyrusza na wędrowkę do krajów zachodnich, by lepiej poznać swoje rzemiosło. Idąc taką drogą zajmie z czasem mocną pozycję wśród majstrów warszawskich, podobnie jak kum Szczepan, który w okresie akcji *Domku* może słusznie uważać, że osiągnął swój cel jako rzemieślnik.

Długoletnia obserwacja życia rzemieślników warszawskich pozwoliła autorowi skreślić sylwetki ich przedstawicieli ze szczerą sympatią, lecz bez sztucznej przesady. I gdy wreszcie wypowiada ogólną pochwałę naszej braci rzemieślniczej, możemy wierzyć, że jest ona w pełni uzasadniona.

„Kto nie przyjrzał się dokładnie pracowitej klasie rzemieślniczej, zwłaszcza z naszego plemienia, pojąć nie zdoła, ile tam serca: nie w mowie, ale w czynie — chętnego i gorącego; ile przyjaźni, troskliwości i pieczołowitości doznaje człowiek spod ich chorągwi, dla którego są przychylni. Może w żadnym możliwym ani średnim nawet domu nie przyjmują ani żegnają krewnego lub przyjaciela tak bratnio, gościnnie, nie troszczą się o niego

tak żywo i prawdziwie jak stosunkowo u nich o człowieka, co z nimi pracował i chleb ich pożywał."

I ma także rację Szczepaniak, kiedy oburzony „wielkopańskim” traktowaniem przez Gulmańcewiczową, rzuca jej w twarz:

„Toćże my ludzie, wielmożna pani!”

O zalewie rzemioł przez żywioł obcy, niemiecki, mało autor pisze. Poza lapidarną uwagą we wstępie mamy na ten temat dyskusję pod koniec powieści. Sarmiewicz, który w wielu wypowiedziach jest rzecznikiem poglądów Wolskiego, uważa, że Niemcy-rzemieślnicy nie są groźni, gdyż szybko się asymilują

„— Prosty ja tam człek — mówi kum Szczepan — ale dokumentnie pamiętam, jak nas było więcej rzemieślników z polskiej krwi czystej, a teraz, choroba, jak coraz mniej, ino tam jeszcze kowalstwo się krzynę trzyma, bo to do młota trza łap nie na żarty...

•— Nazwa nic nie znaczy, majstrze — odparł mu Paweł — aby tylko życzliwość mieli w sercu dla plemienia, na którym zarabiają? i żyją z niego... Nie podobna znowu, aby wszyscy mieli być niezyczliwi... Skoro który z tych rajzenderów nakarmi się naszą pszeniczką i żytem, a przypadkiem jeszcze weźmie za żonę Polkę, to sam w trzech czwartych przyswoi się, polubi nas, a dzieci już duszą i sercem nasze, tylko nazwa obca.”

Podobne stanowisko w trzydzieści lat później zajmie Prus w *Lalce*...

Sarmiewicz broni również rzemieślników żydowskich:

„— Spomiędzy nich nie ci przeszkadzają, co pracują, tak samo oni biedni ludzie jak wszyscy pracownicy i niezbyt ich wielu, a rzemiołom nigdy nie zaszkodzi współbieganie się innych...”

Warto również przytoczyć wskazania kowala dla Józia i Marcysi, a właściwie dla ogółu rzemieślników:

„— I nie piąć się, dzieci, żyć ze swoimi, nie zadzierać nosa, bo niech je piorunczki, jak to boli, kiedy się człowiek złapie, kiej mucha na lep... Szedł ze szczerym sercem, a tu mu w serce napływają; podzieliłby się koszulą ostatnią, a tu go za drzwi chcą wytaszczyć, jakby dziada o proszonym chlebie...”

Inteligencję ukazał autor z równą starannością jak rzemieślników. Prawie same blaski skupił na Pawle Sarmiewiczu. Przed laty korepetytor (stały bohater pozytywny Wolskiego) i nieszczęśliwy amant, obecnie zdobywa Paweł ostatnie kwalifikacje architekta, pracując przy tym zawodowo. Pracę ceni bardzo, gdyż „należał do ludzi, co albo gorzkim doświadczeniem przekonają się, albo też pobożnym przecuciem odgadną, że to najlepsza przyjaciółka.



d towarzyska konieczna, do której tym więcej przywiązujemy eny, im poważniej się nią zajmujemy”.

Podobnie jak w przypadku Józiaka, z pracowitością łączy się u Pawła szlachetność, a dawne, lecz wciąż żywe romantyczne marzenia pozwoliły rozwinąć się bardzo daleko posuniętej niepraktyczności i niezaradności życiowej. Te ostatnie cechy w połączeniu z niedbałością o wygląd zewnętrzny stanowiły z pewnością dość istotne przyczyny klęski życiowej w miłości do Anieli. Ta idealna miłość i „archanielska” postać Anieli to chyba jedyne pozostałości romantyzmu w realistycznym utworze, jakim jest *Domek przy ulicy Głębokiej*.

Postać Sarmiewicza jest przykładem typowego wówczas procesu społecznego wsiąkania szlachty w szeregi inteligencji twórczej i w sfery urzędnicze. Handel jeszcze się wtedy nie rozwinął i na Wokulskiego trzeba było poczekać kilka dziesiątków lat...

Przeciwieństwem Pawła jest jego cioteczny brat Marceli Gulmańcewicz. Ten lalusz o „nieznaczącej twarzyczce”, która często wygląda jak „niedorzeczny cyferblacik”, ten bucyfał i koń Pana Jezusa — według dosadnego określenia ojca Jakuba — może stanowić w prostej linii antenata Norskiego czy Starskiego.

Podobnie jak w przyszłości Prus wobec Norskiego, Wolski daje się czasem ponieść zdecydowanej awersji do swego głupiutkiego donżuana, a nawet zwraca się do niego z dosyć interesującą tyradą:

„Oj, Gulmańcewicu, cny potomku Barbary z Kalbfleischów, i ty cała rodzinę podobnych mu, w czepku urodzonych smyków, czemu to wam los tyle w życiu chwil cudnych przedstawia i przy składnych waszych mordeczkach daje serce najczęściej jakby z gutaperki, dusze jakby ze starej gąbki, oczy jakby z potłuczonych szkielek od starej latarni dorożkarskiej? Chwila taka, której wspomnienie starczyłoby już może niejednemu na pociechę, na zapełnienie tyłu nieraz dni przykrych lub samotnych, dla was bywa chlebem powszednim, którego smaku nie czując nie pojmujecie wartości. Ale też, stosując się już do nazwy smyków, choćby wam rączki oprawić w brylanty, nawiązać włosie z grzywki najczystszej krwi arabczyka, wysmarować je kalafonią jak łąka przezroczystą, jak lilia woniejącą — nie zdołacie tak uderzyć w struny duszy kobiecej, żebyście z niej najdzwięczniejsze akordy wywołać potrafili, żeby nadziemskość i ziemskość, anioł i człowiek wyjrzały z niej jak starożytny Eros z jednym okiem w łzach tonącym, a drugim uśmiechniętym.

Mimo to jesteście szczęśliwi, minki wasze najczęściej tak zadowolone jak wyżełek, mops lub z właściwym uwzględnieniem pudel nakarmiony, wystrzyżony i wymyty, co radośnie potrząsając brzczącą obrozą wybiega na spotkanie kundlicy z sąsiedniego domu lub też drzemie u kolan pani czując na sobie głaszczącą jej rękę delikatną."

Nie jest dziwne, że taki Marcelek pogardził kowalczańką, ale logiczne jest również pokazanie mu drzwi przez „nadstotysięczną” pannę Karolinę. Nie potrafił docenić szczerzej miłości Marcysi, jednakże będzie czuł mores przed godną siebie połówicą — Domicelą z Papierowskich...

Za wykolejenie Marcelka w dużej mierze ponosi odpowiedzialność jego matka. O ile korepetytorzy mają u Wolskiego ustaloną reputację uczciwych i szlachetnych, to ta przedstawicielka guwernantek okazała się i niedobrą żoną, i złą matką. Na jej próżności doskonale potrafił zagrać Jabłuszko, a choć przegrany proces wyzwała jej dawną pracowitość, podeszły wiek paraliżuje dobre chęci. Małżeństwo synalka z Domicelą nie jest ostatnim ciosem mściwego losu, lecz pociąga za sobą najgorsze — wychowany fatalnie Marcelek wyrzeka się zupełnie zniedołężniałej staruszki. Kara to z pewnością zbyt surowa, ale pielęgnowany starannie egoizm i kult pieniędzy nie mógł wydać innych owoców.

Wielkopańskie plany Gulmańcewiczowej wprowadzają nas do autentycznego półświatka. Kobieta lekkich obyczajów z powołania, a nieco wcześniej i z zawodu, Domicela Jabłuszkowa kieruje szajką oszustów i innych przestępców według dobrze pojętych zasad strategii: na jednym skrzydle uniżony, układny, pełen admiracji dla obdzieranych ofiar Baltazar Jabłuszko, mający pod swoją komendą „Porucznika”, Barbonesa i pomniejszy drobiazg, na drugim Moramsza, wiernie narzędzie zielonookiej dyrektorki tego przestępczego światka. Matactwa męża i „lombard” Moramszy dostarczają Domiceli pieniądze, zaś „kuzynek” Kocio i pudełkowaty Marcelek służą równie niezawodnie jej kobiecej naturze. Przeszłość prostytutki nauczyła ją nieprzebierania w środkach i skutecznych sposobów na każdego. Odstawia Kocia, wypędza Jabłuszkę pozostawiając sobie na otarcie łez wielkie jego zarobki, sprytnie osacza Marcelka i wreszcie jako legalnie żona rozciąga nad nim niepodzielną władzę.

Każda z tych zakazanych postaci jest silnie zarysowana, posiada sobie tylko właściwe cechy, każda wysącza z lubością kielich trującego narkotyku przestępstwa.

O najniższej warstwie warszawskiego plebsu mówi tylko ojciec Jakub:

„Człowiek jak ja, co wszędzie wejdzie z puszką i choć na chwilę popatrzy na niedolę, mógłby w kilka dni poświęcić z żałości.”

Do zupełnie innego świata należą Beleńscy i Celestynowie. Spośród nich przyszedł do środowiska wytężonej pracy Paweł Sarmiewicz — między nimi pozostała Aniela, której „archanielskie” oczy trochę za późno spostrzegły, że przyjemniej by im było śledzić plany i realizację budowli wielkomiejskich dawnego gubernera gierzejskiego niż ogarniać bezmiary złocistych pszenicą pól w towarzystwie gospodarnego męża. Poza zbyt niezmierną Aniela reszta przedstawicieli szlachty robi wrażenie dokładnych rysunków z natury. Przydeptyany despotycznym pantofelkiem radcy Celestyn spóźnił się trochę z kuracją natryskową — wcześniejsze oblanie zimną wodą może uchroniłoby go od zupełnej zatury energii i woli. Nicpoń Staś i grymaśnica Karolina postępują, jak przystało bardzo bogatej a leniwej młodzieży. Oprócz Celestyna postaci te nie są ukazywane w satyrycznym oświetleniu — to ich normalny wygląd.

Beleński ma reprezentować postępowego szlachcica. Postępowość jego jest wszakże poważnie ograniczona przynależnością do swej klasy. Jaskrawe światło rzucają na tę sprawę jego pobudki reform w majątku.

„— Nie jestem bynajmniej za zbyt dużymi ustąpieniami dla klasy robotniczej — mówi do Pawła — ale ponieważ w Gierzejach są gospodarze pańszczyźniani i komornicy, tym bardziej dbać powinienem o ich jaki taki dobrobyt, na którym polega mój własny, a przynajmniej o to, aby mieszkali lepiej niż sprzężaj.”

Nawet myśl o zamianie chłopów pańszczyźnianych w osadników (kolonistów), ma u Beleńskiego to samo źródło — własny interes:

„— W każdym razie powinniśmy kierować się zdrowym rozsądkiem — i odrzuciwszy na bok względy chwilowe, pospieszyć z urzędzeniem stosunków, tym bardziej że kiedy nie podobna wstrzymać prąd czasu, lepiej go uprzędzić.”

Tak, Beleński potrafi uprzędzać wypadki. Ten praktyczny ziemianin doskonale orientuje się, jakie wrażenie robi na Pawle Aniela i — jakie Paweł może na niej wyrzucić. Dlatego planami o znaczeniu społecznym, a potem szczerą rozmową o swoim stosunku do żony chce przeszkodzić zerwaniu tamy, która dotychczas oddziela rwące równie romantycznie, górnice, ale i równie

gorąco dwa nurty uczuć. Niewczesne swatanie Pawła z Karoliną — jeszcze jeden sposób zapobiegawczy — niweczy ową tamę. Jednakże romantyzm odnosi zwycięstwo nad życiem i Beleński wychodzi ostatecznie obronną ręką z tej próby. Za niedozwolone porywy serca Anieli zapłacą chłopci — wszak państwo muszą odbyć kurację we Włoszech...

Mimo dużych partii powieści poświęconych Gierzejom • — 0 chłopach Wolski jakby zapomniał. Jedyne Beleński wypowiada się kilkakrotnie w tej sprawie.

„— Sądziś teoretycznie — mówi do Pawła — nie znasz z bliska chłopca, dla którego żebyś nie wiedzieć jakie ustąpienia i ułatwienia robił, woli nędzę niż pracę, nie przemoże tradycyjnych narowów lenistwa i pijaństwa.”

Paweł ostro replikuje:

„— Łaskawy panie... Gdyby nawet tak było, to mniej się dziwić trzeba nieokrzesanym chłopom niż okrzesanym panom, co też same wady i przymioty najniezawodniej posiadają, a zwłaszcza też ostatnią, której jednak nie można brać za zupełnie jedno i to samo z tradycyjną cnotą gościnności.”

Beleński sceptycznie zapatruje się również na możliwości przechodzenia chłopów do miast:

„— Co zaś do domniemanej pociechy dla mieszczaństwa z chłopów, chcesz pan stworzyć proletariat, którego wzrost tak opłakują na Zachodzie, a którego rozwój w rolniczym kraju byłby może jeszcze szkodliwszy.”

Z tych opinii Beleńskiego — dziedzica w miarę postępowego • — łatwo wysnuć wniosek, jak ogół szlachty patrzył na zagadnienie wsi.

Szlachta jako ogół została więc potraktowana zdecydowanie negatywnie. Jeszcze jednym kwiatkiem z ziemiańskiej niwy jest sprawa Michałki. Bliski krewny Anieli, bogacz-hulaka, nie pozostawił dobrego wspomnienia nawet wśród najbliższych. A ileż Michałek doprowadził do nędzy moralnej i materialnej? Toteż nawet idealna Aniela wypowiada surowy sąd o nim, gdy mówi 0 Michałce:

„• Młoda, niedoświadczona, prosta dziewczyna ze wsi; kto inny bardziej był winien.”

Te same prawie słowa mamy w libretcie do opery *Halka*. I tu, i tam ze strony prostej dziewczyny zbytnia ufnosć i szczere uczucie — a ze strony dziedzica zimne okrucieństwo.

Wszystkie te środowiska i koleje losów poszczególnych osób ukazane są w sposób odmienny, niż to było wówczas w modzie.

lasiemcowe powieści Eugeniusza Sue, choćby *Tajemnice Paryża*, wzorowani na nich *Kapitałiści* Boguckiego, a nawet *Krewni Kozłowski* i inne utwory owego czasu są tak przepełnione szczęśliwymi zbiegami okoliczności, cudownymi zbogaceniami się, fantastycznymi zgoła rozwiązaniami, że starożytny deus ex machina wydaje się przy nich ogromnym prymitywem. Wolski nie uległ pokusie takich łatwizn artystycznych. Wyrzekł się taniego poklasku niewybrednych czytelników i ani z Pawła nie zrobił kowalczyka czy szewczyka, ani nie dał się wziąć na lep wprowadzonego do powieści szczęśliwego zbiegu okoliczności, jakim bez wątpienia jest poznanie przez Beleńskiego w biednym sierocie syna hulaszczego stryja. Józiak nie stał się bogaczem, do stanowiska majstra stolarskiego dobija się uczciwą pracą, a niewielki zasiłek pieniężny od Anieli nie ma żadnego wpływu na przyszłość chłopca. Podobnie w rozwiązaniu sprawy Marcelka nie ma nic z cudowności. Lwiątko z Powiśla nie zdołało schwytać wcale nie eterycznej panny Karoliny, natomiast jego samego dobrze ujęła w żelazne łapki Domicela. To wszystko pełne jest prawdy życiowej, tak postawić i rozwiązać kwestię mógł tylko prawdziwy realista. Nawet idealna miłość Pawła mieści się w ramach prawdopodobieństwa. Obok ponurej brutalności zawsze istniały i najwznioślejsze uczucia. A już stosunek Marcelka do Marcysi, miłość Józiaka, fatalny proces Gulmańcewiczowej — to sprawy bardzo ludzkie i nie wybiegające poza codzienność przeciętnych mieszkańców Nowego Miasta i przyległych dzielnic warszawskich. W sposobie przedstawienia tych spraw okazał się nader szczęśliwy wybór Dickensa za wzór do naśladowania.

Wolski z konsekwencją prawdziwego artysty pozostał wierny wyrażonemu przez siebie we wstępie pogładowi o roli powieści obyczajowej, „którą można by nazwać i historyczną, bo się przyczynia do charakterystyki współczesnych dziejów obrazując typy dzisiejszego społeczeństwa”. *Domek* jest taką powieścią. Dni powszednie Szczepaniaków, ich przyjaciół i znajomych zostały przedstawione z takim realizmem, że żadne zdarzenie nie wywołuje wrażenia fikcji. To nie przypadek. Autor pisząc tę powieść postarał się o zgodność z rzeczywistością nawet w szczegółach. Sam stwierdza to w następującym przypisie:

„We wszystkich szczegółach ściśle technicznych lub budowniczych — radziłem się zdolnego architekta; we wszystkich kwestiach prawnych, uwytatniających tło, na którym rozwija się gra rozmaitych charakterów tej powieści, zasięgałem zdania specjalnego, biegłego prawnika; do dokumentów zaś z pocieszną łaciną

wziąłem wzór z akt dawnych Głównego Archiwum, gdzie zawsze chętnie tak i gościnnie udzielają każdemu żądanych objaśnień."

Specjalną uwagę warto jeszcze zwrócić na rozmowy bohaterów Wolskiego. Każda z postaci mówi własnym językiem, wcale nie sztucznym. Rzemieślnicy, Jakubowa, „Porucznik” prezentują nam autentyczną mowę warszawską owego czasu. Wolski już wtedy wpadł na pomysł, który z takim powodzeniem realizuje obecnie Wiech.

Toteż nic dziwnego, że w jedynym warszawskim egzemplarzu *Domku* badacze języka polskiego popodkreślali różnymi kolorami zwroty czy pojedyncze słowa, których poza Wolskim trudno się doszukać w ówczesnej literaturze.

Nie bez znaczenia jest wreszcie i miejsce akcji *Domku* przy *ulicy Głębokiej*. Wolski jako jeden z pierwszych wprowadził Warszawę do powieści. Widząc z bliska, jak długie szeregi domów pulsujących życiem ulic równano z ziemią jedynie w tym celu, by wznieść ponure forty otaczające Cytadłę, nie mógł przyglądać się temu z apatyczną rezygnacją. I może pierwszym odruchem na ten niszczyielski akt zaborcy był zaczynający powieść opis peryferyjnych ulic Warszawy, po których ślad ginał bezpowrotnie. Na ich miejscu spacerował wkrótce na forcie z woli cara żołnierz z karabinem, jednak z woli kochającego Warszawę pisarza zaludniła się unicestwiona ulica Głęboka, a codzienna krzątania rzemieślników i ich przyjaciół z innych sfer objęła również dalsze dzielnice miasta — i tak na kartach *Domku* został utwalony obraz Warszawy pod koniec pierwszej połowy wieku XIX.

Ale nie tylko sprawy dnia powszedniego stały się w *Domku* przy *ulicy Głębokiej* dokumentem owego okresu. Mimo chorobliwej czujności carskiej cenzury autor potrafił w swej powieści zaakcentować ciągłość polskiej walki narodowo-wyzwoleńczej. Osiągnął to przez wprowadzenie do powieści uczestników wszystkich wojen od początku wieku XIX. Wojny napoleońskie reprezentuje nieporównana eks-wiwandierka Jakubowa, powstań listopadowe — Szczepaniak i ojciec Jakub, Wiosnę Ludów — Józiak.

O walkach Józiaka trzeba było pisać w sposób szczególnie zawaolowany — lata 1848—1849 były zbyt świeże, by zaborca pozwolił nawet na cień aprobaty ogólnoeuropejskiego zrywu rewolucyjnego. A mimo to równie uparty jak przemysłny pisarz potrafił i tu wycisnąć w pole cenzorskich argusów.

Sierocki wyrusza na wędrowkę na początku roku 1848 — najpierw do Krakowa, potem na Zachód (s. 376). Powrót jego przypada na rok 1850.

„Paweł z początku nie mógł poznać tego mężczyzny krzepkiej budowy, wyrazistych oczu, z ciemnym, gęstym zarostem, ze szramą podłuż czoła, ruchów pewnych siebie, jakby wojskowych.”

O pobycie Józiaaka we Francji i w Niemczech świadczy znajomość języków obu tych krajów, o walce w szeregach rewolucyjnych — owa szrama. Ale, jak powiada Jakubowa, „to nic, to zdrowo... kiep żołnierz, co nie plezerowany”. A dawny uczestnik walk roku 1830—1831, ojciec Jakub, ze wzruszeniem porównuje przygody Józiaaka z własnymi i kuma Szczepana mówiąc:

„Ano, widzicie, kumie, wrócił przecie nasz syn marnotrawny, stęskniło się mu do nas na dobre, i tak jak to my kiedyś — nabiedował się, ano nawłóczył...”

Na pierwszy rzut oka mogłoby dziwić, dlaczego autor nie uczynił bojownikiem o wolność któregośkolwiek przedstawiciela szlachty w swej powieści. Ale nie dziwny się. I w tej kwestii Wolski okazał się niezłym obserwatorem. Od upadku Polski szlachecki lud polski najobficiej przelewał krew w walce zbrojnej o wyzwolenie narodowe. Kosynierzy Kościuszki to nie tylko symbol, pułkownik Kiliński spisał się równie dzielnie w insurekcji na czele szewców, jak zawodowy oficer, pułkownik Haumann, na czele działaczy, którzy także rekrutowali się nie ze szlacheckich dworców i pałacyków. Chłop polski masowo dezercerował z armii austriackiej pod narodowe znaki w legionach Dąbrowskiego we Włoszech. Wyborowe wojsko Królestwa Polskiego stanowili w przeszło 2/3 całego stanu — chłopci. A gdy przyszły pełne krwi i chwały żołnierskiej (oraz — nieudolności dowództwa) miesiące bojów z przeważającymi siłami carskimi w roku 1831, to właśnie chłop „rękami czarnymi od pługa” zdobywał armaty pod Stoczkiem. Decyzja czwartaków, by tylko z bagnetem w ręku walczyć w świętej sprawie, przypomina tradycje kosynierów Kościuszki, którzy • — z konieczności — nie w celnym oku, tylko w krzepkiej ręce widzieli rękojmię najskuteczniejszej, rozprawy z wrogiem, Słusznie więc ukazał Wolski bojowników „za wolność waszą i naszą!” spośród chłopów i rzemieślników. W ten sposób, zgodnie z prawdą historyczną, mocno zaakcentował, że największy ciężar walki o wolność dźwigały już wtedy warstwy społeczeństwa, które znajdowały się poza dawnym „narodem szlacheckim”.

*Domek przy ulicy Głębokiej* przestał być znany polskiemu czytelnikowi od wielu dziesiątków lat. O wartości tej powieści napomykano niejednokrotnie, jednak żadne z wydawnictw nie zwróciło na nią uwagi. Dopiero po ostatniej wojnie pozycja ta wywołała pewne zainteresowanie. Wahania wydawnictw warszawskich omal nie doprowadziły do tego, żeby pierwsza powieść warszawska została wydana we... Wrocławiu. Na szczęście, po stu prawie latach (pierwsze wydanie książkowe, w formacie małej ósemki, wyszło w trzech tomach w r. 1859) — *Domek przy ulicy Głębokiej* ukazuje się w Warszawie.

Wydanie tej powieści zbiega się w czasie z pieczołowitą odbudową zabytków naszej stolicy. Zabytkiem kultury, który może zdobędzie sobie także sympatię jak kamieniczki staro- czy nowomiejskie, jest również powieść Wolskiego. Wznowiona z całą starannością, zaprezentuje wszystkie swe walory tysiącom czytelników. Nie istniejąca ulica Głęboka ożyje w postaciach mieszkańców dominy Szczepaniaka, wywołane talentem pisarza zdarzenia ukażą nam prawdziwy wycinek dawnego życia stolicy na podcypadelskim Powiślu.

I może już teraz nie zatrze się ślad *Domku przy ulicy Głębokiej* w naszej literaturze, jak to się stało z prawdziwym domkiem Szczepaniaka, po którym już nawet stara Jakubowa nie mogła się doszukać najmniejszego śladu.

Tomasz Jodełka



## KILKA SŁÓW WSTĘPNYCH

Powieść u nas, tak zwana obyczajowa, którą można by nazwać i historyczną, bo się przyczynia do charakterystyki współczesnych dziejów obrazując typy dzisiejszego społeczeństwa, mimo woli wybiera najwydatniejsze, jakoby przewodniczące w objawach miejscowego życia, które czytelnik najłatwiej pojąć może i najłatwiej mu sympatyzować z nimi. Pałac lub poczciwy dwór na wsi, salon w mieście — z właściwymi tymże odnogami; jako antytezy: chata kmiotka, karczma zadymiona — klasyczne poddasze artysty, chędogie mieszkanko energicznej pracy, hulaszczy zakątek jaki itp. to jest sfera, w której najczęściej krążą postacie naszych powieściowych utworów i rzadko zdarzają się takie, co by przekroczyły te kresy. Rzeczywiście, postacie owe najłatwiej dostrzec można w codziennym przebiegu życia, lecz to bynajmniej nie wpływa na wartość utworów, w których się pojawiają, bo utworzyć je tym trudniej, że tak są znane i tyle już o nich powiedziano.

Dziś jednak, kiedy ogół, prawie przesycony czytaniem malowideł z obcych obyczajów, pragnie coraz bardziej poznać i obeznać się ze swoimi własnymi, w epoce rodzajowości (*genre*) w malarstwie i piśmiennictwie, każdy objaw istotnie miejscowego życia, każda nasza warstwa społeczna może i powinna zająć miejsce w rozległych ramach powieści.

W rolniczym kraju naszym stan miejski składał się, jak wiadomo, częścią z napływowych pierwiastków, częścią z ludności czysto krajowej, oddanej rzemio-

słom i roli, a nader rzadko handlowi lub przemysłowi, jak to do dziś dnia widzieć jeszcze możemy po małych miasteczkach i w Warszawie, gdzie tylu urodzonych w mieście lub też przybyłych ze wsi Polaków, zajmujących się rzemiosłami, i to zwykle cięższymi, stanowi znaczną warstwę niższego mieszczaństwa, które dawniej gnieździło się natłoczone w staromiejskich ulicach.

Kilka typów z tej warstwy rodzinnej, której charakterystyczne cechy znikają coraz bardziej, oraz kilka postaci kręcących się w niższych sferach miejskiego mrowiska wprowadziłem do niniejszej powieści. A chociaż inni powieściopisarze brali już przede mną z tejże samej warstwy aktorów do swoich kompozycji, nie naznaczając im wprawdzie roli tak głównych i szczegółowych — obawiam się, czy przy pobieżnym obrobieniu tego dziełka postaci owe zajmą, tak jakbym pragnął, czytelników, nie nawykłych nadto do czytania u nas o takich Szczepaniakach, Fidrykowych, Maciusiach, Jakubowych, eks-tamburmażorach itp. z szorstką ich mową i obyczajem, zbyt może dosadnie zachowanym.

W zachodniej Europie, gdzie stan miejski pracowity inne ma niż u nas znaczenie, utwory, w których on głównie występuje, coraz są liczniejsze, a między innymi olbrzymi talent Dickensa<sup>1</sup> utworzył już tyle dzieł znakomitych w tym kierunku.

**i Charles Dickens (1812—1870) — wielki angielski powieściopisarz realista. Gdy Wolski pisał *Domek przy ulicy Głębokiej*, ukazały się już najlepsze dzieła Dickensa: *Klub Pickwicka* (1836—37), *Oliver Twist* (1837), *Nicholas Nickleby* (1837—39), *Marcin Chuzzlewit* (1843—44), *Dombey i Syn* (1846—48), *Dawid Copperfield* (1849—50). W przekładzie polskim wydano w owym czasie kilka tylko powieści Dickensa, np. *Olivera Twista* (1846), *Powieść o dwóch miastach* (1843), ale Wolski czytał zapewne w oryginale główne pozycje cenionego pisarza.**

U nas wywołanie takich postaci będzie zawsze pewnym rodzajem odrębności i nowości, bo choć nawykliśmy i widzimy — tak na obrazkach, jak w powieściach — chatę kurną, malowniczy strój chłopka, śpiew dziewczuchy, idącej z dzbankiem po wodę itp. — jednak łoskot i warkot warsztatu, spracowane ręce od młota lub raszpli, finansowe zabiegi jakiegoś parętyśięcznego kapitalisty, słowem — niższe objawy miejskiego życia wydawać się nam zawsze będą w powieści, choćby najbardziej swojackiej, czymś nie naszym, jakby cudzoziemskim.

Wprawdzie zawisło od autora nadać barwę, życie i zajęcie przedmiotowi, ale pamiętając nawet o przepisie Horacego<sup>1</sup> w odwiecznym *Liście do Pizonów*: „Baczcie, jaki ciężar na wasze barki bierzecie” — czasem jaki przedmiot tak podbija piszącego, że mu się oprzeć nie można. Jakieś postacie, wypadki, oblicza, charaktery, nawet urywki dialogów, których cały chaos lada dopatrzony szczegół w rzeczywistości podbudzić może, snuć mu się będą po głowie i dopominać o życie, dopóki tego chaosu wrażeń i myśli w jaką taką budowę swojego utworu nie przemieni, choćby w taki *Domek przy ulicy Głębokiej* nad Wisłą, bez piętra, o facjatce z Opatrznością Bożą, z którego mieszkańcami ośmielam się zapoznać czytelników moich.

1 kwietnia 1859 r.

**i Quintus Horatius Flaccus (65—8 p. n. e.) — największy poeta liryczny starożytnego Rzymu. W słynnym *Liście do Pizonów*, znanym również pod nazwą *Sztuki poetyckiej* (*De arte poetica*), wyłożył główne zasady poetyki klasycznej, które na długie stulecia stały się obowiązującymi w twórczości literackiej.**

## USTĘP PIERWSZY

*Des jours charmants la perte seule est à craindre..  
Fêtez les bien, c'est un ordre des cieux.'*

BÉRANGER'

### I

Wędrując po Warszawie, po odleglejszych przyrógatkowych ulicach, dla strawienia czasu na łązędze, a cierpliwie przeżuwając wrażenia i spostrzeżenia brukowe, spotyka się po drodze niemało wypadków i przedmiotów najzwyklejszych, najpospolitszych, zawsze jednak przykrych dla oka, nawet niezbyt wrażliwego. Jasnokoścista szkapa jaka ugina się pod ciężarem olbrzymiej fury i pokornie wytrzymuje razy pejsatego woźnicy — pijanego wyrobnika w łachmanach na błocie otacza tłumek ciekawy. Tam sterczą osmalone kominy zgorzałych budynków, tutaj rozwalają jakie domostwa<sup>3</sup>, gdzieby jeszcze długo płacz i śmiech ludzki mógł się rozlegać!

**1** należy się tylko obawiać, że ulecą te piękne dni — świętujcie je uroczyście, oto rozkaz nieba.

**2** Pierre Jean de Béranger (1780—1857) — słynny autor popularnych piosenek francuskich.

<sup>3</sup> Po wybudowaniu w latach 1832—34 Cytadeli w Warszawie na miejscu pięknej dzielnicy żoliborskiej (wówczas zrównano z ziemią m. in. śliczną ulicę Warszawy — Fawory), w latach 1846—1848 wywłaszczano dalsze tereny i równano z ziemią ulice pod forty okalające Cytadelę. Wolski śmiało krytykuje władze zaborcze za to rozwalanie domów, „gdzieby jeszcze długo płacz i śmiech ludzki mógł się rozlegać”.

Padają ściany z łoskotem, sypie się gruz i cegła, wiatr buja kłębami starego wapna, które tamuje oddech i gryzie w oczy. Zdaje się, że nieprędko nowe lepianki na miejscu zwalonych powstaną, że dopiero na wiosnę trawka zazieleni szczątki podwalin, bruk pokryje błotniste kałuże i oko przyzwyczai się do nowego widoku. Żal nie tylko białych firanek i wystawionych doniczek z kwiatami, które spostrzegało się z daleka, z daleka w jakim okienku, ale i wszystkich innych ludzi, znanych zaledwie z widzenia lub też nieznanych zupełnie. Dziarskie, jasnowłose dzieciaki nie hasają już na bosaka po bruku ani skrzeczą powalane bachorki w krymkach, nie widać zabawnych dachów spiczastych, szyldów, czasem tak wymownych jak np.: „Magle ogrzane i chłop do kręcenia” albo: „a Paryż. Josek Kuropatwa fabrykant kapeluszków i ram złoconych”, albo: „Tu konie kuja, *Zdieś skąpy kujal*”. Wkrótce nie będzie tu słychać gwaru ani krzyku, uśmiechów ani swarów, pierzchnie ruch i życie, którego w każdym większym mieście im więcej, tym lepiej, a które tym wydatniejszą ma cechę, im dalej od środka się rozwija.

Na pustym placu zawierucha pobuja swobodnie. Przy każdym bo niszczeniu ubywa jakaś cząstka niepowrotna, której następne czasy nie wynagrodzą, znikna na zawsze jakiś odcień samoistny, co choćby tylko istniał w tak szczupłym zakresie jak życie kilku rodzin w odległym zakątku Warszawy, zawsze jednak istniał i ślad swój zostawił.

A oweż drewniane, grzęznące w ziemię dworeczki, grożące co chwila zawaleniem, odrażająco brudne, z facjatkami tak przerażającymi jak stare czapczyska, co je „handel” ze śmieciów podniesie, a tandeciarz zawiesi na szyldzie na Franciszkańskiej — cóż to za niemiły ustęp w podróży po bruku! Patrząc na te bu-

dy, zdaje się, nie podobna przypuścić, aby tam uczciwość mieszkać mogła, aby przemawiała z wywiedłych twarzy biedaków, siedzących nieraz po kilka godzin z żabią rezygnacją w jednej, wilgotnej ciupie. Dlatego też najmniejszy dowód uczciwości tamecznej (a bywa ich stosunkowo bardzo wiele) tym szanowniejszy, że tak mało do niej środków. Na wsi murowany budynek, aby niezbyt pretensjonalny, spośród drzew mile wpada w oko; w mieście, na ulicy najuboższej, drewniana buda, nawet zielono pomalowana, nawet z oknami po niemiecku wymytmymi (co najczęściej widzieć można u piekarzy lub młynarzy) zawsze ma jakąś lichą i zakazaną powierzchowność.

Za to podczas wędrówki w pogodny ranek, kiedy i w miejskim powietrzu drga woń ogrodów, których dzięki Bogu nie brak jeszcze w Warszawie, patrzmy na wznoszący się gmach jaki, z każdym dniem rosnący widocznie. Co to za życie, co za czynna krzątanina na czerwonych, wzrastających ścianach! Cegły z rąk do rąk jakby dobre nowiny piorunem pocztują ku górze, gwarzą starsi z kielniami i pacami, nucą pod nosem cieśle na wiązaniach dachu, a chłopcy, przy ciężkiej pracy żartując z kobiet, śmieją się częściej niż przy lekkim zarobku w zimie, kiedy z katarynkami lub szopkami chodzili. Brzmią dokoła malownicze wykrzykniki i wyrażenia mularskie: „Pocztuj! wałaj! trzymaj do druta! sadź w środku!” Powstaje też wkrótce pokaźna jejmość dwu- albo trzechpiętrowa, częściej z pozorną elegancją niż ze smakiem rzeczywistym przystrojona, która właścicielowi nie tylko da zarobek, od niejakiego czasu diabelnie wycieńczający kieszenie lokatorów, ale i pewność, że jeśli po jego śmierci spadkobiercy natychmiast nie sprzedadzą domu, to nazwa właścicielska na tablicy zielonej przetrwa jego ziemską wędrówkę. Nic dziwnego zresztą na której

z głównych ulic zobaczyć taką wystrojoną elegantkę lub też odświeżoną jejmość, ale na uboższej, na zaułku jakim, pomiędzy zgrzybiałymi, odartymi babulkami, schludny, niewielki domeczek, przybrany w świeży, wapienny kożuszek i magierkę z dachówki — cóż to za miła niespodzianka! Ujrzawszy takiego uczciwca, nie podobna przypuścić, aby nie stanął za pieniądze uczciwie zarobione. Przypuszczenie to, na pociechę okrzyczanych czasów, sprawdza się jednak i u nas — nie taki bo diabeł straszny, jak go malują, i nawet w Warszawie nie tak straszny!

## II

Roku Pańskiego tysiąc ósmset czterdziestego którego<sup>1</sup> na rogu ulicy Głębokiej, w pobliżu dawnego gmachu marcinkanek<sup>2</sup>, tuż przy Wiśle, stał na rogu niewielki, żółtawy domek z facjatką. Z jednej strony była kuźnia, z drugiej sklep, przed którym zamiast szyldu czarne i niebieskie trumny. Na facjatce, w trójkącie pod dachem, pod wyrobionym z wapna godłem Opatrzności Boskiej, świecił napis czerwoną farbą:

<sup>1</sup> Wzmianka o rozwalaniu domów wskazuje na rok 1846. Aluzje do udziału Józiaka w Wiośnie Ludów (pod koniec powieści) potwierdzają, że początek akcji *Domku* przypada na grudzień 1846 r.

<sup>2</sup> „Na rogu Głębokiej i Przyryнку wznosił się obszerny gmach, należący niegdyś do Potockich (później do Szalborskiego), w którym mieściła się loża wolnomułarska. Lud warszawski nazywał ów gmach: «pałac Lucypera». Przeniesiono doń później (w roku 1817) szpital Sw. Ducha, najstarszy ze szpitali warszawskich (nie trzeba go łączyć z dzisiejszym szpitalem Sw. Ducha przy ul. Elektoalnej). Całkowita nazwa tej instytucji, raczej filantropijnej niż leczniczej, brzmiała: «Szpital Sióstr Miłosierdzia Świętego Ducha, Panien Marcinkanek»." W. Gomulicki, *Opowiadania o starej Warszawie*. Warszawa 1913, tom I, s. 262.

**Dałeś mi Boże z Twojej opatrność  
Dajże i temu, który mi zazdrości!**

W pocziwym tym domku, w stancyjce od podwórka, z rana, w wilią Wili Bożego Narodzenia, rumiana panienka lat siedemnastu, a może i więcej, z książką w rękę — i młodzieniec wcale nie błady lat do dwudziestu siedzieli przy okienku wychodzącym na Wisłę.

— Pani już czyta wybornie, panno Marcjanno, doskonale!

— Żartuje pan Marcin.

— *Marcelli*, pani! Strzeżże mnie, Boże, żebym miał żartować. *Encore commencez vous, je prie beaucoup* <sup>1</sup>. Zaczynij pani raz jeszcze, tylko śmiało!

— *Ca-lyp-Iyp-so Calipso ne pouvait se con-con-soler du depart d'Ulysse.* <sup>2</sup> Czy to imię Kalypso?

— Wybornie! Jak pani już rozumie! Oczywiście, że imię, tak jak na przykład po polsku Kaliksta.

— To Ulysse pewno Julisia.

— Chyba Julian, panno Marcjanno! To był sławny król grecki, co podróżował przez całe życie, a miał żonę Penelopę, która go nadzwyczaj kochała.

— A on ją także?

— I jak jeszcze, i jak jeszcze! — odparł żywo nauczyciel i wzrok jego śliznął się nieśmiało po jasnych włosach uczennicy, tak bujnych, że mogłaby podzielić się z dwiema elegantkami, jedną aktorką i jeszcze by

**1** zaczynij pani jeszcze raz, proszą bardzo. Zwracamy uwagę, iż Marcelek w swoich wypowiedziach w języku francuskim hojnie szafuje dziwacznościami i błędami językowymi, a niejednokrotnie tworzy wyrazy niby francuskie (np. *la confessionale*, *un probos*). Sygnalizując to nie będziemy podawali poprawnego brzmienia kaleczonych przez niego zdań czy zwrotów.

**2** Kalipso nie mogła pocieszyć się po odjeździe Ulissesa.



starczyło na sążniste nioby, matyldy, warkocze i tym podobne diabełki.

— Panie Marcynie!

— *Marcelli, Mamselle!* Co pani rozkaże?

— Czy ja mam co rozkazywać?

— *Au contraire.*<sup>2</sup>

— Dziś post.

— *Aujourd'hui carême*,<sup>3</sup> uważała pani?

— Boją się, żeby pan nie odmówił.

— Ja?

— Może mama pańska lubi zupą piwną; gdyby się nie rozgniewała...

— Zbytek grzeczności, *je non permetrai pas*<sup>4</sup> — odparł nauczyciel rumieniając się nieco, chociaż na propozycję poruszył szczękami, które znakomicie miał rozwinięte, nawet na człowieka z wybornym apetytem.

— Państwo pogardzają!

— Strzeżże mnie! Jak można mówić tak, *mamselle Marceline!* Zapytam mamy, tymczasem czytajmy dalej, *plus loin*<sup>5</sup>!

— Co to jest *nymphé*<sup>6</sup>?

— Nimfy to były piękne panienki greckie u bogini Kalypso, podobne na przykład do syren. Musiała pani widzieć na szyldach syreny?

— Widziałam na rogu Wójtowskiej ulicy nad kantorem loterii. Więc one także były rybami?

**1** skrót francuskiego wyrazu *mademoiselle* — panna.

**2** odwrotnie, przeciwnie.

**3** dziś post.

\* nie pozwolę,

s dalej.

**6** nimfa, boginka leśna, wodna itp.

— Bywały, ale nie zawsze<sup>1</sup> — odparł wyrokująco nauczyciel, któremu na to zapytanie pachniała zupa coraz bardziej, a wzrok zatrzymywał się coraz częściej na niskim czole, na różowych ustach szepleniących niegodziwie francuskie wyrazy, na powiekach z gęstymi rzęsami, pochylonych nad książką.

— Czyta pani jak anioł, prawdziwy anioł, *angelus* po łacinie, po francusku *l'ange*.

— Proszę nie żartować. Przepraszam, jak po francusku kościół?

— *Un église*.

— Czy pan u spowiedzi był w kościele Panny Marii?

— Byłem.

— Naprawdę?

— Nie, panno Marcjanno, naprawdę — *encore je ne suis pas été*<sup>2</sup>, rozumie pani?

— A to pięknie!

— Mais *j'irai, j'irai à la conieSSIONALE*<sup>3</sup>, pójdę niezawodnie — odparł nauczyciel przykładając rękę do serca na znak, że przyrzeczenia dotrzyma.

— Oj, cieszyłabym się, żeby ksiądz surową zadał pokutę!

— Ksiądz? *le prêtre, un abbé, un ecclesiaste*.

— A proboszcz jak?

— *Un probos*.

— A kanonik?

**1** Syreny mitologiczne, które u wybrzeży Italii oczarowały pięknym śpiewem żeglarzy, powodując przez to rozbicie okrętów na podwodnych skałach, były pół-kobietami, pół-ptakami. Ulisses przepłynął koło syren dzięki dowcipnemu fortelowi, a wówczas syreny — zgodnie z wyrocznią — rzuciły się do morza i poniosły śmierć.

**2** jeszcze nie byłem.

**3** ale pójdę, pójdę do konfesjonału.

— *Un canonique*, bo to z francuskiego — odparł niezmiernie nauczyciel.

Czas upływa młodym jak sen przy nauce języka powszechnego. Słoneczko zimowe, w lodach Wisły odbite, rozkosznie do nich zagląda przez małe okienko i szczupłą, pobielaną stancyjkę cudownym światłem oblewa; wonne i świeże roztacza życie, przy którym nawet pomarszczone listki muszkatełu w doniczkach pachną dla nich wiosennie i bohomyzy na ścianach wydają się cudnymi malowidłami, co opiekuńczo na nich spoglądają.

Uczennica coraz niegodziwiej wymawia okragłe frazesy wypadków Telemaka \*, nauczyciel unosi się nad jej postęпами coraz wymowniej. Nie widzą, jak drzwi pierwszej izby z lekka się uchyliły i zajrzał krępy mężczyzna, osmolonej twarzy, lat pięćdziesięciu kilku, opasany skórzanym fartuchem.

— Szczęść Boże do roboty, panie Marcynie! — rzekł uchylając rogatywki z barankiem. — Ostro, Marcysiu, ucz się, moje dziecko! Uczcie się, państwo! „Uczcie się, dzieci!” — dodał w myśli i wrócił do pierwszej izby.

— Po francusku, po francusku! — wołał tak uradowany jak Panczykowski w komedii *Młynarz i kominarz* z tego samego powodu.

Przy kominie grzał się zakonnik z puszką pod pachą i przyglądał się mu z uśmiechem.

**i chodzi o *Przygody Telemaka*, głośne dzieło dydaktyczne Felonona (1651—1715), napisane w r. 1699 dla jego wychowanka, późniejszego Ludwika XVI. W książce tej na tle przygód Odysa i Telemaka autor chciał wpoić w swego ucznia ideały wysokiej moralności i humanitaryzmu. Na język polski przełożono *Przygody Telemaka* w r. 1726, potem w r. 1805. Marcysia czyta *Przygody* w oryginale, ponieważ jest to zapewne jedyny tekst francuski, który sylabizując, uczy się francuskiego.**

— Ojczy Jakubie, nie odmawiajcie, prosimy z nami, co Pan Bóg dał.

— Ano Bóg zapłać, kumie Szczepanie! Trzeba wracać do klasztoru. Oddajcie jeszcze te opłatki dla panny Marcysi i zażyjcie oto tabaki! Więć ta sucha jejmość, co na facjatce mieszka, to matka tego metra<sup>1</sup>?

— Adyć tak, matka pana Marcina. A bo co?

— Ano tak sobie.

— Onać to czasem, kiedy odpowiada człowiekowi, to się widzi, jakby mu łaskę robiła. Czy o tym chcieliście mówić?

— Ano nie.

— Bo też to, widzicie, była całą gębą pani, mąż był urzędnik nie lada, kontroler, mospanie!

— Gdzie?

— Gdzieś na prowincji, nie wiem tam dobrze.

— Ano tak!

— Myślicie, że wedle niej tak bardzo krucho, choroba tam krucho! Imość dusi grosiwo i ma rację, bo przez grosza źle, a ma komu zostawić. Mądra to kobieta, siarczyście mądra!

— Ano tak! I ten pan Piotr, to jest pan Marcin, uczy tam jeszcze Marcysię?

— Albo co?

— Ano dobrze, że im nikt nie przeszkadza.

•— Choroba z wami, mój ojcaszku, bodaj was najjaśniejsze piorunczki nie zatrzały! Mówicie zawsze, jakbyście naumyślnie połykali słowa.

— Com wam powiedział, czy na złe kiedy wyszło?

— Albośmy to, ojcaszku, nie z jednych stron i razem prochu nie wachali? Pamiętacie, kiedy mnie kula palnęła w ten gicałek? — dodał kowal, klepiąc się po kulawej nodze.

**i nauczyciel.**

— Ano dajmy tam temu pokój, mój kumie pocziwy! Mróz bierze coraz bardziej. Z kuźni od was aż się tutaj sypią iskry. Wam trzeba do roboty, a mnie do klasztoru. Nie zapomnijcie o opłatkach dla mojej chresnej. Bądźcie zdrowi!

— Ej, po jednym na drogę, ojczy Jakubie! Choroba z tym zimnem!

— Ano, zresztą, po jednym!

### III

Na facjatce pod Opatrznością Boską, w pokoiku niskim, ale dość obszernym, po południu w Wilię Bożego Narodzenia Marceli rozmawiał z matką.

— Co by też mamie szkodziło zejść na chwilkę do Szczepaniaków, na chwilkę tylko?

— Marcel! dużo mówić nie lubię. Już raz zdeklarowałam się, jestem niedyspozyt i ryby mi nie służą — odparła czytając przez rogową lornetkę w książce od nabożeństwa.

— A ubrała się mama, jakby miała wyjść gdzie — dodał ciszej, przyglądając się bacznie wiśniowemu szlafrokowi, chustce bagdadzkiej i czepkowi z żółtymi wstążkami, co wszystko zwykle od wielkiego dzwonu przywdziewała.

— Cóż to za inkwizycja<sup>1</sup> znowu?

— Strzeżże mnie, Boże, mamó! Gdzie, jak, skąd inkwizycja? Przykro mi tylko będzie na dole wiedząc, że mama przez cały wieczór sama zostanie na górze — odparł pomnąc przede wszystkim, że pannie Marcjannie przyrzekł odwiedziny matki.

— Oj, ty mądra główko! — zawołała matka głaszcząc po czuprynie jedynaka, który już uśmiechał się,

**i badanie.**

że wygrał sprawę. Nagle wstała, a była prawie tego samego wzrostu co syn, wcale nie ułamek, tylko znacznie suchsza od niego i nieco pochylona. Nos jej był familijny, spory, włosy ni to płowe, ni to siwe, gęsty mech siwawy oprószał wierzchnią wargę i brodę; głos miała niski, męski i twarz żółtej cery, wcale nie polską.

— Nie, Marcel, nie! — rzekła powoli — ty jeszcze nie rozumiesz, jak dalece w komunikowaniu się z ludźmi takiej klasy trzeba być ostrożnym.

— • A jednak to uczciwi ludzie, tacy dla nas grzeczni.

— Czy ja kontestuję<sup>1</sup>? — odparła żywiej i usta jej skrzywiły się nieco, jakby z gniewu i niecierpliwości zarazem. — Już nieraz powtarzałam, że co innego lekcja, bo uczciwy zarobek, i do tego tak szlachetny jak udzielanie komu nauki, nie wstydzi nikogo. Zresztą, prawie ty im świadczysz grzeczność, dzień w dzień godzina, prócz niedzieli, za takie honorarium.

— Przepraszam mamę, przecież za mieszkanie dopłacamy tylko rubla miesięcznie i jeszcze nam czasem Jakubowa usługuje. Przecie mama tak cieszyła się z początku, że wpadła na ten concept i że gospodarz przystał.

— A cicho że! Cóż to za gaduła! Przypomina mi, jakbym nie pamiętała lepiej od ciebie.

— Strzeżże mnie, Boże! Ja tylko tak — wtrącił całując ją w rękę.

— Otóż powiem ci na zakończenie wszystkiego, bo jak wiesz, nie lubię dużo mówić, że lekcja lekcją, ale po co tam przesiadywać, jak ci to nieraz zdarza się po lekcji. Dyskurs z takimi prostakami bez żadnego profitu dla ciebie; gustując w takim towarzystwie, już uchubyasz twojej godności.

— To zbytek dumy, kochana mammo!

— *Point du touf*<sup>2</sup>. Niewłaściwa duma — to pycha 5

**1** zaprzeczam.

**2** zupełnie.

a właściwa — to ambicja. Jak wiesz, papa **mój** nieboszczyk mógłby, gdyby chciał, używać tytułu barona — Kalbfleischowie w Szląsku są baroni — a jednak nie chcąc mu być ciężarem wołałam, jak wiesz, zostać guwernantką — i mam to sobie za prawdziwy honor. Więc o pychę nie można mnie sądzić.

— Strzeżże mnie, Panie!

— Poszłam potem za mąż za przyzwoitego, poczciwego człowieka nie pytając o jego ród ani pochodzenie, chociaż Gulmańcewicze są z dobrej rodziny. I przeżyłam go — zawołała z głębokim westchnieniem, zatapiając się znów w książce.

Synowi niekoniecznie trafiały do przekonania tym podobne rady i przestrogi, dotyczące się mianowicie przedłużanych odwiedzin na dole; słuchał ich jednak tak często, że przez samo wsłuchanie musiały mu utkwić w pamięci, a był to główny cel macierzyńskiej dyplomacji: nie szło jej o to, żeby bezpośrednio wypełniał jej przepisy, tylko, żeby w danym razie przypominając je sobie, we własnych oczach zyskiwał na wartości. Znadto jednak solennie przyrzekł pannie Marcjannie uprosić matkę, wstyd by mu było nie dotrzymać słowa. Kiedy zastanawiał się, jakiego ostatecznie użyć fortelu, i błądził wzrokiem po zamarzłych szybach, wszedł nagle cioteczny brat jego (po ojcu), Paweł Sarmiewicz, z którym razem u budowniczego pracowali.

— Dzień dobry, Paul! A mój Boże, to przy tym mrozie jednak wilgoć na dworze — zawołała wdowa wyciągając rękę do przybyłego, który przyszedł powinszować świąt wujence. Ze zgrozą zoczyła ślady mokrych butów na podłodze.

— Pewno nigdzie nie jesteś proszony na wilię? — zawołał radośnie Marcelli.

- Owszem, do naszego Witruwiusza<sup>1</sup>.
- Tak? •— zagadnęła z uśmiechem wujenka, wtajemniczona w przezwisko dane budowniczemu, a z gniewem w myśli, że jej syna nie spotkał ten zaszczyt.
- Myślałem, że nigdzie i że cię dobra myśl natchnęła, abyś przekawęczył z nami familijnie wieczorek.
- Mówieś mi przecie, że będziecie państwo u gospodarza — odparł kuzyn.
- Mama cierpiąca, nie wypada zostawić jej samej.
- Marcel! niecierpliwisz mnie już. Powiedz sam, panie Pawle, po co mnie tam jakby wpraszać się do tych jakichś ludzi?
- Poczcwi ci ludziska, jak mi mówił Marcelek, będą sobie pewno mieli za zaszczyt, że ich wujenka odwiedzisz.
- Albo to można się tam spodziewać uczucia delikatności?
- Nieraz prosty człowiek ma go więcej niż wykwintnie wychowany panicz.
- A cóż to za nonsens, panie Pawle! tak jak wszystkie te maksymy wasze o tolerancjach, postępkach, równościach i tym podobnych andronach, co tylko w waszej głowie mogą się pomieścić! Ludzie choćby niebiedni, ale zapracowani grubą robotą, mogą mieć czasem popędy szlachetne, ale nie są zdolni *a la longue*<sup>2</sup> do wznioślejszych uczuć.
- Więc i nas wujenka odsądza, bó i my przecie biedni i zapracowani.
- Praca pracy nie równa, a co do biedy, to jeszcze się na nią nie uskarżam, kiedy cudzej łaski nie potrze-

**1 żartobliwie: architekt. Pollio Vitruvius był autorem dzieła o architektach i architekturze starożytnego Rzymu.**

<sup>2</sup> na dłużej.



buję. *Gidce a Dieu*\*, może wszystko wkrótce przemieni się na lepsze! — dodała tajemniczo ze szczególniejszym zadowoleniem Marcelka, na którym te słowa: „Przemieni się na lepsze”, od niejakiego czasu często przez matkę napomykane, wywierały wpływ tak magiczny, jakby mu zapachniał wyborny obiad lub jakby mu krawiec miał brać miarę na modny tużurek.

Paweł tymczasem na argument o niepotrzebowaniu cudzej łaski przypomniał sobie, że blisko przez dwa lata dawał bezpłatnie korepetycje Marcelkowi, raz wpis za niego zapłacił i żywić musiał podczas wyjazdu matki przez parę miesięcy. Na argument o nieuskarżaniu się na biedę, logiczniejszą znalazł odpowiedź w sprzączkach mieszkania na facjatce. Było tam i łóżko mahoniowe, i dywan spłowiały, i toaleta pod staroświeckim lustrem w szklanych ramach, i dosyć porządna sofa, na której sypiał Marceli, przed nią okrągły stolik, kilka krzesłek rozmaitych kształtów, ale w białych, jednostajnych pokrowcach. Nad oknem firanki na czarnym drążku a la strzała ze złożonym piórem i żeleźcem. Mirt, pelargonja, asklepija i oczywiście nieodzowne muszkatele w doniczkach. Prócz tego stała jeszcze szafa, parawan z widokami, osłaniający piec niepolewany, gdzie przez oszczędność gotowano w zimie. Do tego spisu, dalekiego od komorniczkiej dokładności, przybywa jeszcze nieco szkolnych książek i papierów Marcelka, gratów w drugiej izdebce i sprzętów kuchennych. Wszystko zaś, poustawiane z ładem i porządkiem, może nie miało cechy zamożności, ale też tym mniej ubóstwa. Prędzej by można posądzić takich lokatorów o zbyt dużą oszczędność niż o niedostatek.

<sup>1</sup> dzięki Bogu.

— Jakże, Pawle, zostaniesz z nami?

— Czyż można robić panu Pawłowi tak niedorzeczną propozycję i psuć mu zabawę w przyzwoitym towarzystwie?

Paweł zaczął się namyślać nad odpowiedzią, bo wyglądał, jakby się zawsze nad najkrótszym pojedynczym wyrazem zastanawiał; tymczasem do drzwi zapukano — Marcelek wybiegł i wprowadził dwie osoby, bardziej widać niespodziewane dla niego niż dla matki; przebiegł jej po twarzy leciuchny, nie dojrzany przez nikogo uśmiezek zadowolenia. Niespodzianym tym gościem był gospodarz domu, majster kowalski Szczepan Szczepaniak, wymyty, wyczesany, w długiej, granatowej kapocie, białej chusteczce i kamizelce, z córką, panną Marcjaną, całą w bieli. Dźwigała na tacy opłatki, wódeczkę, śledzie i różne postne przekąski.

— Wielmożna pani Kontrolerowa, a dyć to, mospa nie, tak mi radośnie, że pani nami nie pogardziła, jakby mi kto serce miodem posmarował — zawołał Szczepaniak chwytając jej rękę i wyciskając rozgłośnie dwa całusy. Przyjęła je z lukrecjowo-litośnym uśmiechem. Cokolwiek milej, ale zawsze litośnie, spojrzała na Marcysię, co dotknęła różanymi usteczkami suchych i poźółkłych palców.

— Gwiazdeczka niedługo zaświeci. Kiedy wielmożna pani pozwoli, połamiemy się opłatkiem do siego roku — • dodał Szczepaniak oglądając się po schludnym mieszkaniu z gospodarskim zadowoleniem.

— A za małą godzinę prosimy do nasz na dół, przyjdziemy po kochaną panią — odezwała się Marcysia.

— • Ja to dzisiaj trocha niedyspozyt, moja panna Szczepańska — zaczęła jejmość cedzić przez zęby.

Marcelek nie pozwolił jej dokończyć i szepnąwszy kilka słów, wymógł, że dała się udobruchać.

— *Marcel! mon enfant!* Pamiętaj, filucie, żem tylko dla ciebie to zrobiła.

Przy łamaniu opłatkami Marceli poznał Pawła z uczennicą i Szczepaniakiem, Marcysia znowu poszepnęła kilka słów ojcu.

— A ma się wie — odparł stary zwracając się do Pawła. — Kochane panisko może nami także nie pogardzi z łaski swojej. Starczy dla nas wszystkich, starczy. To już tam kłopot Jakubowej i Marcysi.

— Byłoby to dla nas prawdziwą łaską — wtrąciła córka.

— Siostrzeniec mój proszony jest na wilię do pana budowniczego, gdzieby także był i mój syn, gdyby państwu pierwaj nie przyrzekł.

— Jeżeli naprawdę nie zrobię państwu przykrości, przyjmuję zaprosiny — odparł Paweł patrząc prawie ze wzruszeniem na szeroką, ogorzałą twarz kowala z potężnym nosem, nieco zadartym, o nozdrzach szerokich, z czołem niskim, pobrużdżonym od pracy i znoju, pod którym błyskały siwe, maleńkie, ale żywe oczy, śmiało i otwarcie. Wąsy podgalał, jak to mówią, z szewcka; sterczący, krótki włos szpakowaty pokrywał pudłową łepetynę, osadzoną na krótkiej rozrośłej szyi i atletycznych barkach. Składny buziaczek Marcysi, promieniejący zdrowiem i szczęściem, zadziwił go przyjemnie i zastanowił. A tak mu szczerze dziękowali, że według zwyczaju nic na to od razu nie odpowiedział, tylko szepnął do Marcelka:

— Twoja uczennica wcale, wcale ładna!

— Poczciwyś, Pawle! — zawołał uradowany Marcelek po odejściu kowala z córką.

**i moje dziecko!**

— Grzeczny kawaler z pana Pawła, że nam dotrzymuje towarzystwa — wtrąciła Gulmańcewiczowa dziwiąc się i poniekąd ciesząc w duszy, że poświęcił wilię u budowniczego z takim lekceważeniem. Była pewna, że jej Marcelek by tego nie zrobił.

Usposobienie tej kobiety i przejścia, które jej los zgotował, nauczyły ją aż nadto najzwzięźlejszego traktatu z nauki życia praktycznego; zimnej rachuby, którą często tak mylnie zwyczajni ludzie biorą za jedno z doświadczeniem. Dotychczas jednak zdawało się jej, że traktat ów nieomylny. Nieboszczykowi suszyła głowę za życia tak często, że ją choćby tylko dlatego bardzo chętnie odwilżała. Kapryśna, jakby jaka piękność lub posażna panna, chociaż mężowi nic nie przyniosła w posagu, była poniekąd wyjątkiem w tej mierze; bo z nauczycielek, guwernantek, a nawet bon, bywają najczęściej najlepsze żony, wyrozumiałe towarzyski doli i niedoli, pobłażające, uległe i rzadko kapryśne. W trudnym zawodzie aż nadto wcześniej przekonywają się, jaką to mozolną pracą dochodzi się do jakiego bądź zarobku, z ilu zawsze przykrościami złączona zależność, choćby ją nawet najmniej uczuwać dawano. Nie podobna więc, żeby nie miały cenić niezależności, którą im praca lub majątek męża zapewni. Cenią ją też najczęściej, a pojmują już położenie swoje i powołanie, kiedy potrafią wnieść w uboższe towarzystwa pod względem ducha albo pieniędzy: popęd do wyższych, umysłowych rozrywek, przy których znośniej i nudom, wreszcie smak lepszy, okrzęsanie, wdzięk ów codzienny, tak zachęcający do pracy, tak osładzający troski i kłopoty. Na nieszczęście, pani Barbara z Kalbfleischów Gulmańcewicz, wyszedłszy za mąż dojrzałą, czerstwą już dziewczicą, zachowała z dawnego zawodu najwięcej wspomnień pedagogicznej godności i nawyknień przewagi nieodwołalnej.

Męża i syna kochała bez zaprzeczenia, ale też wymagała za to jak od dzieci, których niegdyś uczyła koniugacji, posłuszeństwa bez granic i bezwarunkowego uznania jej władzy. Bardzo wielu spomiędzy nas lubi lub też z tradycyjnego lenistwa nawyknie do pantofelkowego rządu w domu, zwłaszcza kiedy pantofelki tak zgrabne i eleganckie, że nawet obcasiki wysłane są puszkami. Jest nas wielu takich znowu, co mniemając, że sami rządzą, dozwalamy pieśczośliwym koteczkom przywiązywać sznurek pajęczy do naszej próżności, upodobań, nawyknień, i nie widzimy, jak powoli, ubrawszy nas w krynolinki, oprowadzają po życiu niby Cyganie niedźwiedziów po jarmarkach. Pantofle pani Barbary innego były wyrobu; jak sławne obuwie Kazema snadź gwoździami były podbite i każdy inny małżonek prócz śp. Kontrolera, sumienie oddanego specjalności kieliszka, byłby je niezawodnie za okno wyrzucił... a niesłusznie, bo Barbara miała znowu przymioty i zasady, których nieraz brak pieśczośliwym koteczkom, wykwintnym szczebiotkom, kosztownym pocieszkom, duszkom, aniołkom itp.

Położenie jej atoli po śmierci męża przykre było naprawdę. Nieboszczyk podobno nic nie zostawił prócz szczupłej emeryturki, nie dochodzącej tysiąca złotych\*. Nie wahając się ani na chwilę, powróciła do dawnego zawodu. Nie mógł jednak tyle przynosić korzyści co przedtem. Jednakże, ile tylko mogła znaleźć lekczyjek w mieście, nieraz bardzo tanich, przyjmowała

**i W owym czasie już nie było waluty polskiej w Królestwie Kongresowym, tylko monety rosyjskie. Jednakże przeliczano nadal kopiejki i ruble na grosze i złote, przy czym • — podobnie jak w dawnej Rzeczypospolitej — złoty liczył trzydzieści groszy. Stunek kopiejki do grosza wynosił 1:2, złoty więc liczył piętnaście ipiejek, a rubel ponad sześć złotych. Gdzie w powieści mowa monetach, mamy ruble i kopiejki, a złote i grosze występują /lko w obrachunkach.**

tko, biegła od rana do wieczora w pogodę czy słotę, parę razy nawet przyjęła obowiązek na wsi, aby tylko dokończyć edukacji jedynaka. Wyskomlała, że go przez klasy przepuścili, uczyła go po francusku, chociaż to szło trudno bardzo, bo na przekór jej usiłowaniom natura nie obdarzyła go filologiczną zmyślnością. Mimo zaślepienia macierzyńskiego przyznając w duszy, że w ogóle pod względem zdolności nieodrodnym był synem nieboszczyka, rachowała więcej na takik, na sprycik praktyczny, który, jako niby odziedziczony po matce, usiłowała w nim kształcić i rozwijać. Teraz bawiła od roku ciągle w Warszawie. Przeniósłszy się do skromnego mieszkania nad Wisłą, dla oszczędności i dla świeżego powietrza, umieściła syna od kwartału u budowniczego, gdzie już od dwóch lat pracował Paweł, celujący zdolnościami pośród rówieśników. Pani Gulmańcewiczowa przyznając je, a nawet przystając i na to, że ma ich więcej od Marcelka, zawsze jednak wątpliwiej wyrokowała o przyszłości siostrzeńca:

— Niezdara, niedbały, szorstki w obejściu, wytarto ubrany, nie pójdzie daleko, nie!

Jasno, praktycznie, jak to mówią, rozumowała.

#### IV

Najszcześliwszy, kto zasiada do biesiady w gronie rodzinnym, przy domowym ognisku; z kim ojciec, matka, rodzeństwo, żona, dzieci, rodzina pożywają chleb powszedni lub świąteczny, którym, według naszych błogosławionych zwyczajów, lubimy dzielić się tak często i hojnie. Wieczera wilijna jest wtedy prawdziwą uroczystością domową: jakoś nam lepiej, rażniej na sercu i na duszy. Łaska Dzieciątka Bożego, którego narodziny obchodzimy przy srebrzystej

gwiazdce, pozwala nam odrodzić się choćby na tę chwilę — i serdeczniej, życzliwiej spojrzeć na świat i ludzi. Dla tej zgody ze sobą samym, dla tego porozumienia bratniego nie dziw, że zachowujemy gościnne podania, właściwe potulnym naszym plemionom słowiańskim. Cudzoziemcy chyba dlatego mogliby je wyśmiewać, że ich serca nie tak żywo biją jak nasze, że słowa nie tak otwarcie z ust płyną, nawet przy wychylaniu toastu braterstwa. Nie dziwota, że nie mogą zrozumieć naszej biesiady, bo sądzą według siebie przypisując ją głównie wybornemu apetytowi, nieustającemu pragnieniu i w ogóle powierzchownym tylko popędom towarzyskości.

Szczęśliwy u nas jeszcze i ten, co choć na samotnika żyje na świecie, ma sposobność przekonać się i na górze, i na dole: i w tych warstwach, co najłatwiej przyjmują obce zwyczaje, i w tych, co najwytrwalej przechowują własne, jak dalece uczucie gościnności jest nam wrodzone i przemożne. Przecie przybysze, nakarmiwszy się chlebem z naszego żyłka i pszenicy, czują, że czasem wypada z kimś podzielić się choćby tylko okruszynami. Tak jest! Gościnność u nas jeszcze przetrwała, i zasiadłszy kolejno do stołu możnych i ubogich, okrzęsanych i prostych ludzi, najgłówniej-  
sze jej rysy znajdziemy wszędzie te same, oczywiście z właściwymi uwzględnieniami. Gospodarz zawsze i wszędzie bardziej będzie dbał o to, aby się goście uraczyli; gospodyni będzie usiłowała wystąpić przed nimi, pokazać siebie. Chęć ta do wystawności, do pokazu, wrodzona wielkiej pani i chłopce, mieszczce i dygnitarce, ma wdzięk niezaprzeczony, ale czasem wpada w przesadę, a nawet w śmieszność, jeśli który z gości pod jakim bądź względem towarzyskim zanadto się wyróżnia od gospodarstwa, a nie może czy też nie ma daru podnieść się lub zniżyć stosownie.

W izdebce, gdzie się odbywały lekcje francuszczyzny, przy stole osypanym siankiem, wystrojonym w kwiecisty obrus czerwony, zasiedli do willed u kowala. Łojowe świeceki płonęły w żelaznych lichtarzach, jadła było aż do zbytku (pod względem ilości gastronomii klas roboczych obfitszą jest od możniejszych), talerze fajansowe, miski w kwiaty, łyżki cynowe, prócz jednej srebrnej dla pani Gulmańcewicz, piwa jak wody. Kowal rumienił się z radości i napoju, a Marcysia głównie z obawy, żeby w czym nie uchybić łaskawej pani, co do nich zejść raczyła. Sztynnie jakoś, ceremonialnie rozpoczęli stukać łyżkami i poruszać szczękami na tej willed. Gospodarstwo nie śmieli odezwać się pierwsi, Gulmańcewiczowa nie raczyła, Marcelek z wzorowym apetytem zmiatał talerze, zerkając czasem na Marcysię, zwłaszcza kiedy świeży półmisek przyniosła, bo sama usługiwała. Paweł przyglądał się jej z wytrwalością godną lepszego losu, gosposia nie zwracała na to uwagi. Wyraziste jego spojrzenie tak jednak uporczywie ją ścięgało, że wkrótce to zoczył Marcelek i jego matka. Wysączała właśnie kieliszek lunelku<sup>1</sup>. Skromną buteleczkę tego winka postawiła przed nią przemyślna Marcysia.

— Panno Szczepańska, masz szczęście, siostrzeniec mój prawie nigdy nie obserwuje nikogo, a wzroku od panny nie odlepia — rzekła z niejakim lekceważeniem do zakłopotanej dziewczynki.

— Musiałeś chyba, Pawle, upatrzeć podobieństwo do kogo w pannie Marcjannie — wtrącił Marcelek i przesłał uczennicy spojrzenie uwielbienia tak żywe, jak przed chwilą przyglądał się karpiewi, po którym tylko oście na talerzu zostały.

— Tak jest, podobieństwo!

•— Do kogo?

**i gatunek francuskiego wina (nazwa od miasta Lunel).**



— Nie znaliście państwo tej osoby.

— Tośmy się dużo dowiedzieli, jak zwykle od pana Pawła — rzekła jejmość z głośnym śmiechem, widocznie nakazującym, aby mu zawtórzono.

Jakoż Marcelek, kowal i jego córka natychmiast odezwali się chórem. Pawłowi rumieniec przebiegł po twarzy.

— Czy ci też nie zimno, panie Pawle? Zdaje mi się, że w płaszczu nie przyszedłeś, a pod paltonem nie masz tużurka ani fraka?

— Owszem, ciepło.

— Mama wie przecie, co to za zdrowie żelazne! — wtrącił Marcelek.

— To prawda! ale zawsze trzeba się szanować — dodała po chwili, patrząc jakby litośnie na wytarte palto, pomięty kołnierzyk siostrzeńca i zwracając natychmiast oczy na staranny ubiór jedynaka. Za kierunkiem jej wzroku poszły znowu oczy gospodarza, córeczki, i nie mogło im pomieścić się w głowie, skąd siostrzeniec pani Kontrolerowej, brat cioteczny pana Marcelgo, ma taki ubiór i tak jakoś wygląda, że można nań było patrzeć i rozmawiać śmiało, jakby ze swoim: rzemieślnikiem lub rękodzielnikiem — stelmachem, siodlarzem co najwięcej. Ludzie odbierający pieniądze od rozmaitych osób za robotę muszą sądzić o nich koniecznie podług ubioru, a przewija się jednak tylu kupujących, że nie mają czasu zastanawiać się, tylko sobie porównywują w myśli jednych z drugimi. Porównanie mogło tym razem wypaść tylko na korzyść Marcelka. Dla Szczepaniaka wyglądał przynajmniej na panicza, na syna bogatego szlachcica ze wsi, owego *summum*<sup>1</sup> niezależności na naszej ziemi, a cóż dopiero w oczach córeczki!

**i najwyższy stopień.**

Pani Gulmańcewicz, chociaż niedyspozyt, choć się gorzko-słodko krzywiła na gościnne zaprosiny Marcysi, jadła jednak wcale nieźle, co się czasem kobietom w jej wieku przytrafia. Nie zaniedbała przy tym lunelka, który przecie oddziałął skuteczniej na płynność jej mowy i humorek, ale tylko ona sama mówiła; drudzy z uszanowaniem słuchali. Popłynęły też niezliczone historie o wiliach w wielkich domach, gdzie była guwernantką, ale o tym nie napomknęła, o wiliach we własnym domu zaszczyconych obecnością tyłu znakomitych dygnitarzy, o świetnych znajomościach, wykwintnych potrawach, ubiorach itp. Nie sympatyzowała niby z tym wszystkim, bo wystawności niby nie lubiła; owszem, skromne, bogobojne życie to jej cel i marzenie, ale wszystko naumyślnie czy też mimo woli tak nakierowała, żeby dać uczuć, co za ustąpienie łaskawe z jej strony, co za dowód dobrego serca, że przyjęła wilię u kowala Szczepaniaka, ona, u której kiedyś taki jegomość zaledwie śmiałyby stać w przedpokoju. Któryś Francuz powiedział, że nie ma tak głupiego człowieka, co by nie znalazł głupszego jeszcze od siebie wielbiciela. To prawda! Ale nie ma też człowieka, co by nie potrafił zaimponować drugiemu. Tutaj było to nawet bardzo łatwo, bo tylko przychylnych ujarzmić można zupełnie. Szczepaniak i Marcysia już tych odwiedzin nie poczytywali- za łaskę, ale myśląc o nich z religijną czcią i obawą, nie uważali, jak wzrok i nos dostojnej pani błyszczał coraz żywiej i czepek zaczął się nieco na bakier zesuwać. Wytrawna dworka spostrzegła jednak wkrótce, że lunelka w butelce zaledwie na parę kieliszków zostało i że sufit zaczął nad nią krążyć cokolwiek.

— Moja panno Szczepańska, czyby nie można lufci-ka otworzyć albo zakadzić, odór od kapusty strasznie mi działa na nerwy — szepnęła do Marcysi — ale nie,

nie otwierajcie lufcika, będzie cug, a kadzidła przyśle wam z góry, królewskiego kadzidła. Odprowadź mię z łaski swojej z Marcelkiem, chyba już nie zejdem, bo doprawdy jestem niedyspozyt. Dziękuję bardzo, panie Szczepański. Jak mi będzie lepiej, to bądźcie pewni, że wrócę.

— Wielmożna pani Kontrolerowo!

— W naszym wieku już się trzeba szanować, poczciwy majstrze! •— dodała z widoczną łaskawością.

— Ach! Jaśnie wielmożna pani — odparł jak najpokorniej kowal, kłaniając się po wiejsku do stóp lokatorce. Chociaż żal mu było serdecznie, że odeszła, jakby mu jednak ciężar spadł z piersi, i gwałtem prawie zatrzymał Pawła, co chciał wyjść z wujenką.

— Marcysiu! zróbcie no tam z Jakubowa arbaty — zawołał do córki, wracającej właśnie z Marcelkiem. W oczkach tak jej coś mile błyskało... nauczyciel sprowadził ją pod rękę ze wschodów. — A harak jest? To dla panów arbaty z harakiem, a ja sobie palnę krupnika.

— I ja krupniku, jeżeli łaska — bąknął Paweł, przyglądając się kolejnie Marcysi i bratu.

— Jakiego to krupniku? — skłamał zapytanie Marceli.

— Musiałeś przecie pić gdzie na wsi.

— To zaszkodzi panu Marcelowi, lepiej arbaty!

— Strzeżże mnie, Panie! *mademoiselle Marceline*, żadnej subiekcji dla mnie, bardzo proszę.

— Nic mu nie będzie, może się napić z nami — dodał Paweł.

— Choroba tam krupnik komu zaszkodzi! A panisko kochane, widać, to lubi, oto mi gość, mospanie! •— rzekł Szczepaniak patrząc z koleżeńskim porozumieniem i nieco jednak zdziwiony na Pawła.

LJ drugiej izby rozległ się śpiew z kilku głosów złożony, naprzód cichy, potem coraz głośniejszy. Piskliwe i chrapliwe gardło czyjeś, energicznie wydostając tony, przytłumiało zupełnie dźwięki towarzyszków.

— Kolędy! ach, jak mnie to cieszy, kolędy! Pewno w tamtej izbie czeladź siedzi przy willi — zagadnął Paweł.

— A jużci! Choroba z tą Jakubowa, huczy jak trąba! zawołaj no, żeby gębę zasznurowała.

— A to po co? Owszem, niech śpiewają! Czemu im przeszkadzać? — odparł Paweł.

Szczepaniak spojrzął jeszcze bardziej zdziwiony.

— Czemuż nie razem z nami przy willi?

— Albo im tam krzywda! Pamięta tam o nich Marcysia i Jakubowa. Nie bójcie się, panowie! Starczy dla nas wszystkich, starczy!

— Czy pan tak lubi, jak śpiewają kolędy? — zapytała po raz pierwszy Pawła Marcysia, przekonana w duszy, że Paweł nie musi mieć wiele rozumu albo też podchmielił sobie nieco.

— Jak to 'nie lubić kolęd naszych?

— Z mojego brata, trzeba wiedzieć, wielki oryginał, *mile<sup>1</sup> Marceline!* •— szepnął Marcelek. Na ten wyraz: „oryginał”, uśmiechnęła się nieco panienka, chociaż znaczenia nie zrozumiała. Po chwili zagadnęła nauczyciela:

•— Co to jest oryginał?

— To taki dobry człowiek, *qu'on peut rier de lui<sup>2</sup>* — odparł pedagog dokończając mimiką wyrażenia.

<sup>1</sup> skrót słowa *mademoiselle* — panna.

<sup>2</sup> że można się z niego śmiać.

Panienka uśmiechnęła się znowu, miała teraz Pawła a człowieka zupełnie głupiego.

— Nie odmówicie nam państwo, jak poprosimy! — awołał nagle Marcelek.

— O co takiego, o co? — zapytali na wyścigi ojciec córka.

— Czemu poczciwi ludzie ci siedzą osobno w drugiej izbie? W dzień ten wszyscy powinniśmy być równi. Wszakże to pojutrze świętego Szczepana, gdzie każdy sobie pan — mówił żywo, powtarzając co do joty słowa Pawła, który go o to na ucho poprosił.

— Az duszy-ć, z serca, onić przecie zawsze z nami, tego roku przy pani Kontrolerowej nie godziło się. Tylko choroba z tą Jakubowa!

— Chodźmy do nich! — wtrącił Paweł.

— Adyć oni tu wnet przyjdą — odparł Szczepaniak. Kulejąc podszedł ku drzwiom i zawołał ostro: — Chodźcie tu, chłopaczki, wy małe tałałajstwo, wara! Ino wy starsi! Józiak, ruszaj się, Maciuś, żywo, no i wy, Jakubowa, prędziej!

Maciuś, krewniak Szczepaniaka, był to sążnisty chłop. Od chłopaka terminował u majstra i wyzwolił się u niego. Nieco patrzył kluczykiem, twarz miał ospowata, cerę żółtawą, bez rumieńców, jak wszyscy ludzie pracujący przy ogniu, a chód i ruchy prawdziwie kowalskie, nagłe, przyskakujące, jakby zawsze w rękę trzymał obcęgi lub młot — i miał uderzyć rozpaloną szynę na kowadle. Pokłonił się gościom śmiało, lecz niezgrabnie i stanął w kącie, dostając głową prawie do pułapu.

Józiak, czeladnik stolarski z tego samego domu, faworyt Szczepaniaka, spisywał mu rachunki i utrzymywał książkę meldunkową. Średniego wzrostu, włosów ciemnych i miękkich, delikatnej cery, rysy tak miał regularne i piękne oczy, że gdyby nie spracowane,

spore ręce i ubiór niezgrabnie wiszący, nie podobna by go było na pierwszy rzut oka wziąć za rzemieślnika. Pokłonił się nieśmiało, nieco zgrabniej od Maciusia i zarumienił jak dziewczyna. Po chwili przyjrzawszy się Pawłowi, zbliżył się i całując go pokornie w ramię, zapytał z widoczną radością:

— Czy sobie pan profesor mnie przypomina?

— Poczekaj no! — A — przypominam, kiedyś dawał lekcje w szkole rzemieślniczej. Józef Sierocki, zdaje mi się. Miałeś zdolności do matematyki i rysunków. Jakże ci idzie?

— Adyć szyje kożuchy, jak może, panie profesorze! — wtrącił Szczepaniak, z coraz większym uszanowaniem dla gościa wytarto ubranego.

— Jak to kożuchy?

— A trumny robi, panie profesorze!

— Cóż mnie państwo tak niesłusznie tytułujecie?

— On ma lepszy tytuł, który i ja pewno będę miał wkrótce: pan budowniczy — wtrącił Marcelek, łowiąc w przelocie spojrzenie uczennicy, promieniejące uwielbieniem.

— Anoć i tamto słuszny tytuł, kiedy oto panisko pocziwe w szkołach artymetyki uczyło, bardzo to pięknie młodemu uczyć drugich, mospanie. Józiak galancie rachuje, a toć to uczeń pana profesora.

— Panie Marceli! jak po francusku pani profesorkowa?

— *Madame profeseresse* — cichutko odszepnęła.

— To jakoś nieładnie.

— Zupełnie brzydko.

— A pani budowniczoza jak?

— *Madame architecture*.

— A to pięknie jakoś.

— Zupełnie pięknie.

— A przynajśodsze imię Jezus! Przenajświętsza

Panno Sokalska, trzy świece się palą, zgaścież no edną, panienko! — zawołała wchodząc nagle Jakubowa, siwiuteńka, czerstwa i jak burak rumianitka babulka. Niewielkiego wzrostu, ale za to otyła prawie jak śp. Andrychiewiczowa, głos miała basowy, chropowaty, watowany czepiec i na szlafroku jupkę wypłowiałymi lisami obszytą, co to czasem noszą stare możniejsze chłopki na wsiach, stare mieszczyki na prowincji po miasteczkach i u nas niektóre jeszcze przekupki. Obuła męskie buty z podkówkami i stukała nimi, aż się szyby trzęsły.

— Oho, widzę, matula jeszcze głowę na karku czują.

— Aj, nie godzi się tak przed gośćmi kompromitować mnie, kumie Szczepanie! Delo dvi, dive, ferm la port, prezant arm, uwrlaport, mersi, bążur, marsz<sup>1</sup> — rzekła do Marcelka, przykładając po wojskowemu rękę do czoła.

— Skądże jej do głowy przyszły te francuskie wyrazy? — zagadnął Paweł z uśmiechem.

— Krzynę sobie dzisiaj bąbnęła — odparł kum Szczepan — tylko raz do roku babinie się zdarza. Niby to pojutrze, widzi panisko, moje imieniny, ale ho, ho, ona z pół świata schodziła za wojskiem, była taką karczmą, jak się to mówi?

— Wiwandierką.

— Aha! To krewniaczka nieboszczki mojej żonki, wypiautowała oto Marcysię, ale, choroba, gdzie ona nie była: i w Niemczech, i we Francji, i w Ficzpanii. Matulu! byliście w Ficzpanii?

— O, pewno, że byłam, to zdaje się we Chrancji albo tuż przy Chrancji. Niechże będzie pochwalony!

**i Jest to pisownia fonetyczna następujących wyrażen:** *-de l'eau de vie, du vin; ferme la porte, présentez les armes, ouvre la porte, bonjour, merci, marche, co znaczy — wódki, wina, zamknij drzwi, prezentuj broń, otwórz drzwi, dzień dobry, dziękuję, marsz.*

Niech się dobrodziej nie gniewa, zem pierwszej nie przywitała, ale to człowiek tak się zagawędzi, że i zapomni o świecie — rzekła zwracając się do Pawła i pocałowała go w ramię.

— Jakubowa myśli, że pan ksiądz — zachichotało Marcysia.

Paweł nie nosił zarostu, włosy miał krótko ostrzyżone, wzrok zadumany i w sobie skupiony, twarz poważną z wyrazem spokoju i uległości, który zawsze prawie cechuje młodszych, świeckich księży a do tego jeszcze w paltocie czarnym, do gór zapiętym, z wąskim, wywiniętym kołnierzykiem - i wprawniejsze oczy niż Jakubowej mogłyby się omylić.

— Przenajświętsza Panno Sokalska! Nie gniewaj się jegomość. Boże mnie skarż, czym w złej myśli powiedziała.

— Nie gniewam się, moja matko! Już mi to nieraz mówili. Ale ponieważ taki podobny jestem do duchownej osoby, wyobraźcie sobie, że to was ksiądz prosi: dokończcie no kolędy, coście w tamtej izbie zawadzili.

— Przenajśłodsze imię Jezu, czyżbym też śmiała?

— Pójdziemy i tak na pasterkę do franciszkanów, kolęd się naśpiewamy — wtrąciła Marcysia.

— A Przenajświętsza Panno! Kto by tam mógł wyjść na taką zawieruchę. Taki wicher, że cisnąwszy jabłko, nie wiadomo, skądby pies zaszczekał<sup>1</sup>, choć tam, po Bogu a prawdzie, Marcychna tych czarów nie potrzebuje.

— Co to wam szkodzi, Jakubowa, zaśr iewajcie; bę-

**1 Zwyczaj podczas Wilii, tak jak topienie ołowiu i wosku w wilię św. Andrzeja. Dziewczyna nagryza jabłko i ciska, potem słucha, z której strony pies zaszczeka, stamtąd ma przybyć kochanek vel (lub) mąż przyszły. (Przyp. autora.)**



dziemy wam wszyscy wtórowali — zawołał śmiejąc się Marcelek i chcąc odwrócić uwagę przytomnych od Marcysi, która widocznie zmieszała się i zarumieniła.

— *Bien! tres bon! en avant!* *marche!* Zaśpiewajcie! Kiedy państwo tak lubicie kolędy, to jużci niech pa-lienka zaczyna!

Po usilnych prośbach Pawła, jakoś nie wywierają-:ych wielkiego wrażenia, rozkazie ojca i naleganiu **v4arcelka**, najskuteczniejszym, Marcysia powstydzili? się, nawzdragąta i nareszcie rozpoczęła głosem piskli wym, ale bardzo wysokim:

**Anioł pasterzom mówił,  
Chrystus się nam narodził  
W Betleem...**

Po tej kolędzie, której wszyscy wtórowali dosyć zgodnie, nawet chłopaczki, kowalczyki z drugiej izby, i tylko jeden chropowaty głos Jakubowej bruździł czasami, kum Szczepan zaintonował: *W żłobie leży*, potem Józiać pieśń Karpińskiego, którą już lud w wielu miejscach śpiewa: „Bóg się *rodzi, moc truchleje*”, nareszcie na zakończenie PaWeł wygłosił: „Święty *Boże! święty mocny!*”

Po tych śpiewach, a zwłaszcza po ostatnim, co nie tylko dla tak zwanego ludu wiejskiego i miejskiego, u którego wiara i pobożność jest prawdziwą potrzebą serca, ale dla wszystkich nas ma urok rzewny i swobodny zarazem, niewidzialne jakby tchnienie powiało po biesiadującej gromadce, porozumieli się, zbratali. Zwykle tak bywa, gdy myśl jaka, uczynek lub nawet chwilowe uczucie zjednoczą ludzi rozmaitych położeń, odcienia towarzyskie nie znikają, owszem uwłaściwiają się: każdy mniej więcej poczuje się sobą, lecz uzna i odda słuszność drugiemu.

Maciuś już nie tak niezgrabnie zasiadł do stolika  
**i dobrze! bardzo dobrze! naprzód!**

Józiak ośmielił się parę słów do Marcysi przemówić, nawet w nieznaczących oczach Marcelka, zaledwie może nieco filuternych, błysnął promyk szerszy i otwarłszy. Jakubowa wniosła triumfalnie krupnik.

— A nie zapomnieliście tam, matko, dać krówce i konikom siana i owsa spod stołu z tamtej izby, boście przecie nasypali?

— Boga-ć tam zapomniałam. Z Maciusiem nasypaliśmy i dali, kumie Szczepanie! Najedzą się, najedzą bestyjki i przemówią ludzkim głosem o północy.<sup>1</sup>

— Pocziwe panisko to to widać i po Bogu, i po ludziom. Bóg zapłać, panie profesorze, a choroba... bu-downiczny! Prosimy do nas jak najczęściej, kiedy ła-ska... oto może jutro — zwrócił się kum Szczepan do Pawła.

— Przepraszam, majsterku pocziwy, nie mogę jutro.

— Nie bójcie się państwo, starczy dla nas wszystkich, starczy. Będzie indyk pieczony. Toć to brat pański to nasz dobrodziej. Pocziwy, oto przestaje za pan brat z prostymi ludźmi, a co uczony, to uczony! Marcysia po francusku tak już perle-perle.

— Po francusku? — zagadnął zdziwiony Paweł, któremu Marcel mówił, że ją tylko uczył pisać i czytać.

— Albo to panisko nie wie?! Tak, tak, i dzień w dzień na lekcji mało dwie godziny siedzi.

Paweł zadumał się i na chwilę nie spuszczał oka z Marcysi i kuzynka.

Młodzież tymczasem zaczęła bawić się w najlepsze. Marcelek miał nieco sprytu do mechanicznych robót, w ręku dosyć był zgrabny i nadzwyczaj lubił kuglar-skie sztuki, poduczył się kilku ze znanego dziełka Pi-netti-Bosko *Tajemnice magii*, jedyne, jakie od deski

**i Znany przesąd ludowy, że bydełko w Wilię o północy ludzkim głosem się odzywa. (Przyp. autora.)**

do deski przeczytał. Ze szczególniejszym więc zadowoleniem Jakubowej, kowala i Marcysi zaczął pokazywać niektóre facecje i popisywać się zręcznością wziął do ust i wyjął zapaloną świecę, zawiązał chustką na węzeł podwójny, a pokazało się, że nie była związana, wpuścił pierścionek uczniocy na kijek i kazał jej trzymać mocno, a potem pokazało się, że pierścionek miał w ręku itp. Kobiety w ogóle, a szczególnie też młode, nadzwyczaj lubią takie figle. Za pomocą nich można się nawet podobać ukształćceńszym znacznie białołowom od kowalczanki. Zręczność i tajemniczość, chociażby tylko w drobiażdżkach, już jest dla nich sympatyczną. Po kuglarskich przyszła kolej na sztuki ekwilibrystyczne i gimnastyczne: podnosił stółek za jedną nogę, wisiał równo odlegle od podłogi, oparty na jednej tylko ręce itp. Marcysia z uwielbieniem i obawą śledziła ruch każdy i zwrot czarodzieja, bladła i rumieniła się co chwila. Twarz Józiaka zasępiła się strasznie, z ciemnych, błyskotliwych jego oczu wyrzało coś zgryźliwego i zawistnego — przykro mu było, że sam nie śmiał i nie potrafiłby tego dokazać. Maciuś sztukom kuglarskim przyglądał się z głupowatym niedowierzaniem i śmiał się serdecznie; przy gimnastyce uśmiechał się tylko lekceważąco.

— Pa-an me-etr, pan Mar-ci-cin bardzo skła-ładny, a czy pan tę sztu-sztukę zrobi?

Z widocznym niezadowoleniem gospodarstwa olbrzym jąkała poprosił obecnych, żeby się nieco oc stołu odsunęli. Stół był dębowy, na urząd robiony, ważący niemało, z nogami stemporowatymi. Wziął go w zęby i kilka razy okręcił się wkoło.

— Żebyście mi pań-st-stwo siedli tak po dwóch albo po trzech na każ-żdej ręc-ce, to bym udź-dźwignął i jesz-szcze stół w gryzakach podniósł — rzekł wesoło i spojrzął z współczuciem na posępne oczy Józiaka.

— Choroba tam, Macieju! Daj lepiej pokój. Szkoda zębów, gryź orzechy! Siadaj.

— Maciuś gdyby się uwziął, to by cały domek udźwignął. *En avant, morbleu* ! — zawołała Jakubowa, uczuwając coraz bardziej wpływ krupniku, własnego jej przyrzędu.

— Jak „niezgrabny” po francusku, panie Marcel? — zapytała Marcysia po cichu.

— *Non-adroit.*

•— A „mocny”?

— *Fort.*

— Maciuś *fort non adroite.*

— Ślicznie, prześlicznie! — poszepnął zachwycony Marcel. Po dowodach siły czeladnika kowalskiego, nie mając już ochoty do sztuk i gimnastyki, zaczął z uczennicą niewinną grę w gałeczki, przedstawiające rozmaite osoby, co je trzeba kochać, życzyć im dobrze, nienawidzić itp. Przy ustawianiu tych symbolicznych znaków z chleba lub orzechów laskowych, których obecni spożyli już może ze dwie kopy bez pomocy dziadka do tłuczenia, nie tylko ręce grających obojga spotykały się ustawicznie, ale i trzewiczki pięknej majstrówny stały pod stołem tuż przy wywrotkach nauczyciela. Józiakowi twarz sposepniała, przedłużyła się, pragnął, spodziewał się, że majstrówna aby jeden raziczek zagadnie go także o życzenia dla jakiej osoby zaczarowanej w gałeczce. Ani razu! Majstrówna zapomniała nie tylko, że Józiak siedział tak blisko, ale z pewnością i o całym świecie. Brak pamięci jest zawsze kalectwem, a przynajmniej wadą umysłu, w tym jednym atoli razie tak urocą jest wadą; egoizm pierwszego uczucia tyle tęczyowych barw jej przydaje, że niech się przy niej wiele przymiotów pamięciowych schowa! Maciuś jąkała spojrzął, jak to mówią, spode

**i przekleństwo francuskie, w rodzaju: do licha.**

łba na Józiaka, na Marcysię, Marcelka, na Jakubowa, już oczywistą ofiarę krupniku, drzemiącą w kącie. Śmielszy, bo krewniak, postawił przed majstrówną ogromny orzech włoski i cieniutkim głosem, którym go natura obdarzyła na przekór atletycznej budowy, wyjąkał zapytanie: co panienka życzy gałce? Na odpowiedź zbywającą odrzekł z uśmiechem serdecznym:

— Pa-an metr, pa-an Gulmań-ce-ce-wicz!

Biedactwu Marcysi szyję i ramiona śnieżne oblał rumieniec. Józiak trącił go pod stołem, ale niezmiészany Maciuś postawił znów ten sam orzech przed Marcelkiem.

— Kocham!

— Panna Mar-ci-ci-sia — odrzekł olbrzym i nuż w śmiech jeszcze głośniej.

Paweł, przyglądając się coraz baczniej Marcelkowi i Marcysi, zagawędził się na dobre z kumem Szczepanem i całych dziejów Wulkana<sup>1</sup> wysłuchał ciekawie.

Syn prostego chłopa z Krakowskiego, kum Szczepan w młodych bardzo leciech trudnił się oryłką<sup>2</sup>, a że był sprytny i zawsze miał ochotę do rzemiosła, wszedł do terminu u kowala na wsi pod Siewierzem, a w Kielcach się wyzwolił. Potem wstąpił do wojska. Po skończonej kampanii<sup>3</sup> z przestrzeloną nogą wrócił do rzemiosła. Krucho mu szło z początku. Starym już był czeladnikiem, a musiał wysługiwać się po rozmaitych kuźniach na prowincji i w Warszawie; czasem o robotę i o miej-

**1 żartobliwie: kowal. Według mitologii rzymskiej Wulkan był bogiem ognia i kowalstwa.**

**2 flisactwo, spławianie drzewa.**

**3 Tylko tyle ze względu na cenzurę mógł autor napisać o udziale Szczepaniaka w powstaniu listopadowym. Dopiero na pogrzebie kowala dowiadujemy się, że chlubnie odznaczył się w walkach, skoro przyznano mu krzyż *virtuti militari*.**

sce było trudno. Nareszcie Pan Bóg mu jakoś poszczęścił, ożenił się z wdową po kowalu, rodem Węgrze, u którego pracował, robota zaczęła sypać się jak z worka, uciułało się nieco grosiwa, a od grosza do grosza to już łatwiej. Przeniósł się do Warszawy, wystawił sobie oto dominę, żona po kilkoletnim pożyciu osierociła go, zostawiając jedyną córkę Marcysię. Dwoje starszych dzieciaków umarło przedtem.

Podczas opowiadania Paweł wyjął z kieszeni od paltona zegarek i spojrzął na godzinę. Poczciwy kowal nie mógł własnym oczom uwierzyć, żeby człowiek tak jakoś diabli wiedzą po jakimu wyglądający i ubrany mógł mieć złoty zegarek, piękniejszy bez porównania od srebrnego cylindra pana Marcelego — i nosić go jakby nigdy nic w kieszeni od paltona.

Już przez profesorstwo, budowniczostwo Paweł urósł w jego wyobrażeniu, tym ci bardziej teraz przez ten oczywisty dowód zamożności.

I na górze, i na dole ludzie zawsze sądzą tak samo, tylko że tam za wiele, a tu za mało maskarady.

vi

— Wracaj lepiej do domu, Sierocki! Okropna zawierucha.

— Pan profesor pozwoli, że odprowadzę tylko do Fary, już tak blisko.

— Zgoda, chodźmy! Chyba, że wracając wstąpisz do kogo po drodze. Pewno masz rodziców albo krewnych w Warszawie? Dzisiaj jeszcze nie śpią.

— Nie mam rodziców ani krewnych.

— Jak to, w Warszawie?

— Kum Szczepan powiada, że znał mojego ojca

matkę, ale ja u Dzieciątka Jezus<sup>1</sup> byłem dawnej...

— Widać bardzo poczciwy człowiek z kuma Szczepana — zagadł Paweł żałując, że przed chwilą dotknął lajdrażliwszej strony w sercu takiego sieroty, któremu z pogrobowego wyrazu nadano nazwisko żałobne.

— Do rany przyłożyć, sprawiedliwy i poczciwy człowiek. Teraz...

— Cóż teraz?

— Teraz już niby nie to co dawniej, nie wiem jak dla kogo, ale...

— Ale?

— Ale dla mnie się zmienił. Wybaczy pan profesor, że ufam tak i mówię jak do ojca.

— Bóg zapłać za zaufanie, mów śmiało!

• — Wiem, że wszystko między nami zostanie.

— Gdybyś nie wiedział, to byś nie ufał. Cóż więc?

— Dawniej to jakoś tak dobrze z nim było, jakby nie przymierzając z równym sobie. Kiedy robotę skończono w warsztacie, siedłem do nich, pisywałem rachunki, czytałem książki pannie Marcjannie, słuchał i stary.

Józiak zatrzymał się, jakby w obawie, że powiedział za wiele, ale w dziewiętnastym roku życia trudno nie wypowiedzieć się z boleści lub ułudy sercowej, zwłaszcza za też chłopcu, co nie ma przed kim zwierzyć się,

tak potrzebował wyjawić choćby setną część tego, co mu ciążyło na myśli. Widząc, że Paweł milczy, zaczął mówić dalej:

— Kum Szczepaniak tak był dla mnie, proszę pana

**i Przy szpitalu Dzieciątka Jezus mieścił się dom podrzutek. Wychowywanie dzieci pozostawiało tam bardzo dużo do życzenia; jeszcze w trzydzieści lat później bił na alarm w tej sprawie Bolesław Prus w swych *Kronikach*.**

profesora, jakby ojciec dla dziecka, lepiej niż moje. majstrowa dla swojego Fidryka.

•— A teraz?

— Teraz jakoś człowiek już i nie tak śmiały do niego. Wymówił mi nawet kiedyś, że on majster i bogaty, a ja biedny czeladnik bez ojca i matki.

— Może ci się zdawało, musisz być drażliwy, Józiaku!

— O nie, nie zdawało mi się, proszę pana profesora. Wyraźnie mi powiedział, żebym oto nie włóczył się do nich tak często wieczorami, a lepiej pracy własnej pilnował.

— Jeszcze ci nic tak bardzo złego nie powiedział. A panna Marcjanna czy to dobra dziewczyna?

— Kubek w kubek ojciec: poczciwa, do rany przyłożyć, tylko teraz ma także fałdy w nosie. To nic dla mnie, proszę pana profesora, ależ dopiero dla Marcjusia.

— Dawno taka zmiana?

— Jakoś tak dobrze od kwartału.

— Cóżeś też za książki czytywał u Szczepaniaków, moje dziecko? — zapytał Paweł, nieco zdziwiony i po nauczycielsku uradowany, że Józiak wyrażał się dosyć gładko i poprawnie.

— Rozmaite, proszę pana profesora; czasem gorsze, czasem lepsze. *Rinaldini, Julia i Adolf, Pustelnik z Czarnego Grobowca*<sup>1</sup>, *Tajemnice Paryża*<sup>2</sup>, *Żyd Wieczny Tułacz*<sup>3</sup>, jeszcze nie cały wyszedł, ale jakie

<sup>1</sup> poczytne w owym czasie powieści sensacyjno-awanturnicze.

<sup>2</sup> głośna powieść pisarza francuskiego Eugeniusza Sue (1804—1857), wydana w Paryżu w 10 tomach w roku 1843 i wkrótce przetłumaczona na język polski.

<sup>3</sup> również powieść Eugeniusza Sue. Ukazała się w Paryżu w r. 1844—45 (w 10 tomach), a polski przekład zaczął się ukazywać w r. 1846.



co piękne! Tak mi teraz trudno dostać książek, mój kolega z Dzieciątka Jezus, introligator, wyjechał na prowincję, może go sobie pan profesor przypomina ze szkoły, Antoś Czapelka?

— Pamiętam.

— Śmiałym pokornie prosić pana profesora, może byłby łaskaw dać mi czasem co do czytania, strasznie mi markotno wieczorami, chłopak jeden za młody, nie ma z nim co gadać, a drugi niemowa. Może u pana profesora jakie mebelki do naprawy albo coś nowego do zrobienia, wieczorami mam czas.

— Nie, mój bracie, nie mam mebli do naprawy, ale, proszę cię bardzo, przyjdź do mnie w niedzielę, kiedyś czasowy. Rysować nie zapomniałeś też?

— Nigdy ja tam bardzo nie umiałem, a ręką spracowaną to i niełatwo.

— Przyjdź tylko do mnie, zobaczymy!

— Z serca dziękuję panu profesorowi! — zawołał Józia i pocałował Pawła w ramię, a w oczach błyszczało mu poczciwe to instynktowe zadowolenie, które tak szczerym zobaczyć chyba można w oczach pudła łaszącego się do dobrego pana, co go nakarmił, poklepał i pogłaskał. Porównanie to nie ubliża bynajmniej prawdzie i godności uczucia, przejmującego Józia. Tak pragnął życzliwości, a nawet przewagi starszego i ukształcześniego człowieka, co by mógł zwierzyć się przed nim, zaufać mu, a przy tym szanować, kochać i zapatrywać się na niego, że znalazłszy, radował się w sercu instynktownie i bez miary, jak tylko potrafią młode, gorące serca i te poczciwe zwierzęta, niewolnicy a przyjaciele nasi.

Doszli właśnie do Fary. Mimo fatalnej zawiei zebrało się sporo osób na pasterkę i dosyć okazały był widok z ciemnego przysionka na świątynię, jarzącym światłem oblaną, na różnobarwny tłum nabożnych, na powagę uroczystości świątecznej. Brzmia wesołe pieńnia, radosne kolędy o nędznym żłobku w stajence betelemskiej, gdzie narodziło się Bóg-Dzieciątko, co jako Bóg-Człowiek krwią własną i męczeństwem nadludzkim okupi wszystkich.

Każdy z nas pamięta, jak to na wsi uroczystość błogiej wieści obchodzą rozkosznie. Kościółek ustrojony choiną, wrzosem zielonym, niby dziewczeczka urodliwa; chłopaczki udają niby śpiew ptasząt na garnuszkach z piórkami i ryk bydełka; cienkie głosy białołów często najniezgodniej splatają się z męskim śpiewem — piszczy i huczy organ przedęty — a ludek raduje się, z gorącą wiarą wznosi głos ku górze, skarży się na niedolę i błagać śmie o szczęście. Przeróżne jasełka

wyobrażające pojedynczo lub razem: stajenkę, żłobek, Dzieciątko, Przenajświętszą Pannę i świętego Józefa, zwykle wyroby pierwotnej prostoty, dziecinnym wdziękiem zdobią drewniane, ubogie ołtarze. (W Warszawie oo. reformaci zachowują ten zwyczaj rodzinny, tylko jasełka bywają znacznie ozdobniejsze.) Prawdziwa to uciecha dla maluczkich, co ich nasz Pan garnął tak do siebie! Co za życie w wiejskim kościółku, co za gwar wesoły a świąteczny! Poskocznej muzyki z wariantami krakowiaków, obertasów i mazurów słuchamy tak radośnie w latach dziecięcych, z uśmiechem w wyrostkowych, a z tęsknym przypomnieniem przeszłości w późniejszych, i zapominamy o przed tych tonach organów, nawet o chrypcie organisty, zwykle nieco roztargnionego po willi.

W większym, murowanym kościele, i do tego niby gotyckim jak nasza Fara, nabożeństwo w przeddzień Narodzenia Pańskiego w nocy ma zawsze jakiś odcień żałobny dla tych, co żywot Boga-Mę\*czennika rozpa miętywali, zastanowili się przez chwilę nad swoim własnym i tak jak Paweł widzieli w życiu tyle łez, co uśmiechu. Zdaje się, jakby w pniach kapłanów pontyfikalnie ubranych, w asystencji licznego orszaku, w modłach bractwa, stojącego tłumnie z gromnicami w ręku, w pacierzu wszystkich przytomnych tkwiła już bolesna przepowiednia męczeństwa; jakby w zgodnym śpiewie na chórze łzy niedoli bratały się z uśmiechem dziękczynnym!

Od złocistego prezbiterium, spośród mgły kadzideł, płynie drżący głos kapłana, chór mu w imieniu wszystkich odpowiada dźwięcznie, huczy organ, chylą się czoła pobożnych... W grze światłocienia nie rozeznasz obrazów na ołtarzach i nagrobkach, tylko złociste blachy lub ramy połyskują od gromnic,"tylko na białych posągach powiew niewidzialny, zdaje się, porusza ka-

mienne draperie. Wysmukłe filary, sklepienia, gzym-sy, załamania i ornamenta budowli, zdaje się, że widzisz drgające, złączone w jeden głęboki akord modlitwy.

Ile bo też rozlicznych odcieni w tym najpierwszym, najbardziej zmysłowym wrażeniu, co przejmuje wcho-dzących do gmachu, ku chwale Pańskiej wystawio-nego! Nie będąc nawet przypuszczonymi do głębszych tajemnic arcysztuki, mając tylko o niej ogólne poję-cie, dobre oko i serce żywo dla piękna bijące, można już owe odcienia wydatniej rozróżnić i określić. W kla-sycznej bazylice światło tak hojnie spływa na wyraźne linie sufitu, tak uwydatnia ołtarze, że jakiś spokój wewnętrzny udzieli się mimo woli... przestronnie i raźnie, czujemy się sobą, gdziekolwiek się zwrócimy, światło doścignie i znajdzie nas wszędzie. W pomy-słowej, śmielszej, fantazyjnej nawie gotyku światło nawet w dzień spogląda urocze, ale przytłumione, a mrokiem zdaje ci się, żeś wszedł do katakumb, że lekkie te filary i arkady, w świetnej koronce ozdób mknące ku górze, ciężą nad tobą i spadną. Chłód jakiś poważny i tajemniczy wieje dokoła, zmalejesz, znik-niesz w ogromie. Szczegóły, uzupełniające myśl głów-ną, jak harmonijne przejścia melodię, ujdą uwagi, zanikną w cieniu; całości nie jesteś w stanie objąć i pojąć od razu, zadumasz się, mimowolna tęsknota i smutek przy tobie. W kościele w stylu Odrodze-nia (jakich najwięcej w Warszawie), zbudowanym w kształt naszego krzyża rzymskiego, spojrzawszy po okrągłych sklepieniach, po jasnym namiocie kopuły, po klasycznym rysunku ołtarzy, po chórze spokojnym a lekko zawieszonym, jakoś widno i swobodnie w głównej nawie, ale tam poboczne nawy i ołtarze mrok otacza, szaro w tych przejściach i kaplicach za-kratowanych. Wobec lekkości ogółu mrok ten cięży

akże nad tobą i oba poprzednie wrażenia przypomną się, choć już nie tak wydatnie.

— Proszę pana profesora, czemu wszystkie ławki lub konfesjonały nie tak piękne jak te dwa, co przy drugich filarach stoją? — przerwał Józia Pawłowi nodlitwę, wskazując na dwa konfesjonały niby to gotyckie.

— Masz słuszność i trafne oko, powinny być takie same. Jak sobie przypomnisz rysunki i poduczysz się lepiej, to może zrobisz takie piękne ławki.

— To ogromnie trudno być musi, bo to robota bardzo delikatna.

— Patrz! tam jeszcze delikatniejsza — odparł Paweł, wskazując mu na stalle w prezbiterium.

— Oj prawda, prawda, jakież to prześliczne! •— zawołał, przeciskając się zwolna pomiędzy tłumem ku wielkiemu ołtarzowi.

Paweł, pomodliwszy się, podbudzony uwagą ekscuznia, dumać zaczął o budowli kościoła katedralnego, bo i w naszej Farze, acz niezbyt sporej, nie nacechowanej wybitnym piętnem średniowiecznym, co taką powagę nadaje prawdziwym gotyckim kościołom, i oprócz tego niedawno przerobionej<sup>1</sup> na bardziej gotycką, można spędzić kilka chwil artystycznych, można z korzyścią estetyczną oglądać i rozpamiętywać różnorodne jej szczegóły. Nadanie jednego rytmu całości z tak różnolitych części zlepionej niełatwą było pracą przy odnowie i przyznać trzeba, że wywiązano się — o ile możliwości — z ciężkiego zadania. Nawa główna i dwie poboczne, na oko jednakiej wysokości, w dzień oświecone aż do zbytku; pod względem ogólnej budowy zastanawiają masą i nie można im zaprzeczyć niezwykłego jakiegoś majestatu, bacząc zwłasz-

**i Gruntowna przebudowa katedry miała miejsce przed rokiem 1840.**

cza na szczupłe rozmiary całości. IN a ścianach mało wprawdzie ornamentów, religijnym tchnieniem ożywionych, mistyczna fantazja nie uwieńczy siałką wykoronowaną wyniosłych murów, ale też mniej wśród nich smętności i tajemniczego chłodu. Jakoś tu za jasno, za wyraźnie, a niezawodnie za ubogo. Dwie kaplice w stylu Odrodzenia i dwa także ołtarze poboczne, przegrodzone dwoma bardziej niby gotyckimi, piękna ambona, czysto gotycka, i starodawne pomniki czernią tu i owdzie na szarym tle świątyni. Do chóru schodki tak lekkie jakby do oranżerii, a organ, w przyzwoitej wysokości wzniesiony, ciężko się jednak rozsiada i pretensjonalnością ozdób kontrastuje z ubóstwem ogólnym. Posadzka smołowcowa „gwałtem się doprasza, żeby ją na marmurową przemienić. — W prezbiterium, najpiękniejszym ustępie całego gmachu, wyraz średniowieczny kunsztownie i umiejętnie rozlany. Ołtarz wielki, grobowiec książąt mazowieckich<sup>1</sup>, wcale nie gotyckie stalle i chóry skromne co do materiału, ale pod względem sztuki bogato wykonane, także w stylu *renaissance*. Barwa ich jednak zlewa się zgodnie w ogólny ów ton tajemniczy, na jaki składają się sklepienia o przyciemnionym tle ze złotocnymi żebrami: ołtarz wielki owiany mrokiem między oknami kolorowymi, ciemny kolor grobowca książąt mazowieckich, nawet łoża, nieco przyćmieszka w stylu bardziej anglo-gotyckim (z czasów Elżbiety<sup>2</sup>). Styl ten, według zdania znawców, przeważa w całej odno-

**1** Ostatni książęta mazowiecy z rodu Piastów: Stanisław i Janusz zmarli w latach 1524 i 1526. Grobowiec ich znajdował się w głównej nawie katedry. Po wysadzeniu w powietrze katedry przez hitlerowców w roku 1944 grobowiec uległ zniszczeniu i obecnie prochy książąt umieszczono w podziemiach katedry.

<sup>2</sup> z przełomu wieku XVI i XVII. (Elżbieta panowała w Anglii w latach 1558—1603.)

wie skromnej katedry naszej, która w nocy przy świetle gromnic niesłychanie zyskuje i efektuje tak dalece, że na pierwszy rzut oka zlepek ów najrozmaitszych stylów dosyć zgodnie i niepospolicie wygląda. Głos kapłana odezwał się po raz ostatni, potrójna msza skończona, tłum pobożnych poruszył się ku drzwiom, a z nim Paweł z Józiakiem. Powtórzywszy raz jeszcze zaproszenie, żeby go odwiedzić, Paweł poszedł do siebie, a mieszkał tuż niedaleko, obok bernardynów. Ze stancyjki jego na trzecim piętrze w noc pogodną widać było Wisłę i śnieżyste wybrzeża Pragi. Tej nocy, podczas zawieruchy, ciemno było jak w norze, tylko śnieg walił w szyby i cug wygwizdywał w rurze od pieca. Lubiąc zawsze przeczytać co lub napisać, nim się położy, zapomniał, że mu świec zabrakło, i nawet nie mógł znaleźć zapalek. Rad nierad musiał wejść pod kołdrę, ale sen nie był nań łaskaw. Zaczął więc gawędzić z myślami własnymi, do czego tak nawykli ludzie w samotności żyjący; kilka wrażeń z tego wieczora snuło się po sercu i po głowie. Szczere dziękował trafowi i Marcelkowi, że poszedł na wilię do Szczepaniaków.

Są smakosze, co czasem raz lub dwa razy do roku z przyjemnością zjedzą kawałek chleba razowego i skosztują prostej potrawy — aby im potem wykwintne ich jadło tym lepiej smakowało. Są bywalcy, co w tenże sposób zniżyć się raczą czasami lub przypadkiem do towarzystwa niższego, aby czym prędzej zapomnieć o nim i z pocziwców naśmiać się po cichu na śliskiej posadzce, w miękkim krześle. Serdeczna gościnność prostych a pracowitych, obcowanie z nimi choćby tylko chwilowe, na człowieka z sercem oddziaływa inaczej, głębszy wpływ wywiera. Patrząc na tych, co tak mozolnie wykuwają sobie wąską ścieżkę w życiu i potrafią się utrzymać na niej, z większym zaufa-

niem spogląda i postępuje się swoją własną, gdzie JUŻ nie ma tyle znoju i trudu; kolej łatwiejsza, godniejsza i cel wyższy. Nietrudno mu było odgadnąć i poznać, że panna Marcjanna bardzo mile spogląda na jego kuzynka, lecz przewidująca wujenka i kuzynek? Rozwiązanie tych pytań pozostawił nadal. Józiak zajął go także sieroctwem, chęcią do czytania, uwagą o ławkach u Fary i urazą do Szczepaniaków.

Z pewnością jednak nie byłby się przyglądał tak bacznie jasnowęsoj Marcysi, gdyby hoży jej buziaczek nie przypominał mu innego jasnowęsoego oblicza, z czołem i spojrzeniem Madonny, jedynej gwiazdy z krótkiej jego przeszłości, co mu zaświeciła kilku uroczymi chwilami, jakie tylko raz w życiu nam świtają. Ileż razy już dumał o nich, wyczerpywał całą słodycz i gorycz, samotną stancijkę zapełniał całym światem marzeń i myśli, ciągiem obrazów i przypuszczeń, rozumowań i wniosków! A przecie ustawicznie do nich zwracał się jego umysł, jakby do źródła, skąd wraz z sercem zaczerpnął popęd i to ostateczne wyrobienie duchowe, okupione zwykle wielkim szczęściem lub wielkim cierpieniem. Podniósł się na łożku, otworzył oczy i w cieniach szczupłej izdebki prawie widomie roztoczył się przed nim dramacik wcale zwyczajny, przytrafiający się tylu ludziom w jego wieku. Przed nikim jednak nie zwierzył się z jego tajemnic, na których był już po tysiąc razy widzem i słuchaczem samotnym, a jednak zawsze nowe szczegóły, nowe wrażenia pamięć przytaczała.

## VII

...Obszerny dwór na wsi, za nim ogród, z przodu to pole i podwórzec murowanym parkanem otoczony. Na ganku pani p\*ułkownikowa, jej pasierbica, córka i goście pijąc herbatę gawędzą, obmawiają sąsiedztwo,



nudzą się i trawią. Słońce, zachodząc, czerwono odbija się w stawie. Pułkownikowa nie ma jeszcze lat czterdziestu, ale za to śniadą cerę, ogniste, czarne oczy i dobrą tuszę! Dwie panny pułkownikówny siedzą na darniowej ławeczce niby dwie różyczki białe kwitnące wśród zielonych listków i murawy. Młodsza tylko z barwy sukienki ma prawo do tego porównania; starsza, pasierbica pułkownikowej, panna Aniela, niezwykłą urodą i wdziękiem nieprzymuszonym przypomina wykwintny kwiatek. Dwóch parowioskowych paniczów w charakterze konkurencyjnym, wyfraczonych, przesyłając im grzeczne słówka i tęskne spojrzenia, nakreśla kręgi czarodziejskie wkoło nich czyli też po;agów, robi transzee<sup>1</sup> do regularnego zdobycia pięknych rączek. Numer pierwszy, mimo niezłej francuszczyzny, śmiałego spojrzenia i budowy kariatyda, nie może jakoś trafić do niebieskich oczu zadumanej twierdzy. Numer drugi tak energicznie zasadził lornetkę w czerwone, małe oko, a drugie tak biegle przy-mruża i przy tym krzywi twarz tak dziwnie, co przed założeniem u nas kolei żelaznej więcej niż teraz zna-czyło, i nadto ma taką jakąś jaskrawą kamizelkę w pal-my, że młodsza twierdza przygląda się mu czasem z uśmiechem zwyciężonej i tylko kamuflet<sup>2</sup> rumieńca odpowiada niekiedy szczęśliwemu zdobywcy. Pan Celestyn, dosyć ukształcony obywatel z sąsiedztwa, w grubej żałobie po śp. pani Celestynowej, sypie dowcipy jak z rękawa, pokręca szpakowatego wasa, muska łysinę, z pułkownikową, namiętą czytelniczką romansów francuskich, spiera się o jakiś nowy romans i przekomarza się z bratową, mdłą, zawiedłą szatynką, z domu hrabianką, a w domu Radczynią Dyrekcji Szczegółowej, bardzo łagodną, chorowitą i cichą rad-

<sup>1</sup> okopy, rowy oblężnicze.    <sup>2</sup> tu: pozór.

czynią. Brat jego wybornie na jej wiosce gospodaruje i porządny dom prowadzi... Paweł z dwunastoletnim pułkownikowiczem, którego od miesiąca przygotowywał do szkół, wraca z konnej przejażdżki. Dojeżdżają do ganku, malec zeskakuje z kucyka, pan Celestyn czerwonym fularem grzmiąco obtarł nosa. Klaczka Pawła zląkła się, sunęła w bok, potem w cwał i wzięła na kieł. Gdy ją poskramiał, zabrzmiał wesoły głos pana Celestyna:

— To kawalerzysta z naszego pedagoga, wcale nie po łacinie jeździ, nic mu nie będzie, śmiało!

Nagle klacz wierzgnęła tyłem, schowała łeb między nogi, kobiety krzyknęły, Paweł spadł na ziemię, szczęściem, potłukł się tylko cokolwiek.

— O, pomyliłem się, widzę, że piechur z waszeci. Bądź co bądź piechur szczęśliwy — wołał z daleka Celestyn.

Na pół drogi od ganku spotkał pannę Anielę z braciszkiem; konkurent o kilka kroków za nią pospieszał. Zapytała go troskliwie, czy się nie skaleczył przypadkiem. Kiedy dziękował nieśmiało za łaskawe zapytanie, czując, że mu rumieniec aż na czoło występuje, wielkie, niebieskie oczy tak pięknie nań spojrzały, że byłby chętnie spadł z konia jeszcze raz, aby zobaczyć spojrzenie, jakiego od śmierci matki nie widział u żadnej kobiety. Tak jakoś zdumniał nagle, że odpowiedziawszy śmiało i zwięźle na zapytania obecnych o niefortunnej jeździe, pozostał w towarzystwie aż do nocy, po raz pierwszy, odkąd bawił w tym domu. Darownie jednak tęsknił do pięknego spojrzenia; wielkie, niebieskie oczy spoglądały nań łaskawie, przyjaźnie, ale to nie to, co przedtem. We śnie dopiero ujrzał anioła z długimi, białymi skrzydłami, opiekuńczo schylającego nad nim tęskne, łzawe źrenice.

\*

...Panna Aniela bardzo przyjaźniła się z panią radczynią i często u niej bywała. Czasem, lubiąc konne przejażdżki, dojeżdżała konno do Lisówki. Błękitna amazonka bujała w powietrzu, wiatr poruszał zieloną woalką, jasne loki jak promyki wiły się koło twarzy i lekkie rumieńce ożywiały delikatną cerę. Towarzyzył jej nieraz Paweł i uczeń jego na kucyku, a pan Celestyn odprowadzał zwykle na bułanym mierzynie. Łaskawa protekcja, którą zaszczycać raczyła gubernera, oddziaływała i na osoby bywające w ich domu. Oba numera pretendentów znacznie wygrzeczniały; Celestyn obchodził się z nim dawniej dosyć lekko, teraz zaczął częściej i poniekąd serdeczniej przestawać, pożyczał mu gazet zagranicznych i wybornymi cygarami zaopatrzał na drogę. Były to w życiu Pawła błogosławione, niebiańskie chwile! Bardziej jakoś dbał o siebie, bawiąc często w przyzwoitym towarzystwie kobiecym, nabrał niejkiej śmiałości, pewności i ogłady, której dotychczas brak mu było zupełnie. W sercu, po raz pierwszy czującym tyle, co nie śmiejąc spodziewać się ani wątpić, cały żar skupiało w sobie — jakież natłok uniesień, co za pełne i ogniste życie, ile narzeń i szczytnych chęci, jak wzniosły, serdeczny pogląd na ludzi i na siebie! Stara piosnka, ale zawsze tak różnobarwnie instrumentowana, że z pewnością ile serc, tyle kompozycji rozmaitych-, a ileż powieści i dramatów w życiu, o których ani się śniło wszystkim autorom z pięciu części świata.

Wracali raz całą kawalkadą z Lisówki. Panna Aniela przypomniała sobie w pół drogi, że zostawiła książkę i robótkę. Książka była ciekawą: poemata Słowackiego<sup>1</sup>, a robótka pilna także, bo jakaś niespodzianka na

**i Mógł to być paryski I tom Poezji (1832) zawierający *Żmija, Jana Bieleckiego, Hugona, Mnicha, Araba* i in. albo *Trzy poemata*, wydane również w Paryżu w roku 1839.**

imieniny macochy pojutrze. Chciała więc wrócić koniecznie.

— Ach! jaka pani w gorącej wodzie kąpana; jutro rano, dziś jeszcze odeślę najniezawodniej! — zawołał pan Celestyn.

— Do jutra i do dziś daleko. Wróćmy! jeszcze nie późno — i zawracała konia.

Paweł spał klacz, puścił się z kopyta, malec sunął za nim, rad, że jeszcze pobryka na kucyku, książkę i robótkę znaleźli i w przeciągu kwadransa dognali już przy krańcu boru. Ciemniało nieco.

— Ach! wzorze pedagogów, niech ci Pan Bóg da zdrowie, żeś tak prędko powrócił. Co mi też tymczasem nie nadokuczało kapryśne to stworzenie — zawołał jakoś kwaśno pan Celestyn.

Serdecznie ścisnęła rękę Pawłowi za tak małą przysługę. W piersiach załechtało go rozkosznie, o mało nie spadł z konia. Do końca przejażdżki była bardzo rozmowna i wesoła, Celestyn wbrew zwyczajowi milczący.

\*

...Każde zwalisko mniejsze lub większe; po zamku, kościele albo po browarze i owczarni, nazywają zwykle zamkiem królowej Bony albo kaplicą ariańską. Za ogrodem pułkownikowej sterczały czerwone resztki jakiegoś pałacyku letniego lub strzeleckiego domku, i to pewno nigdy nie dokończonego, bez śladu baszt, fosy ani obszerniejszych sklepień. Sąsiedzi zwali je kaplicą ariańską, a chłopci i miejscowi mieszkańcy zamczkiem. Oczywiście, musiały być pod zamczkiem i lochy ciągnące się aż do rzeki, których nikt nie widział, wielki skarb zakopany i pokutująca dusza noc w noc straszyla o północy. Wieść ta od niejakiego czasu zaczęła bardzo krążyć po wsi, u czeladzi dwor-

skiej, a nawet panie uśmiechały się tylko półgębkiem, kiedy o tym wspomniano. Zameczek dotykał ogrodu i nieraz na przechadzce wieczornej Paweł uważał, jak pułkownikowa omijała skwapliwie tę stronę ogrodu. Pan Celestyn czasem żartował z drażliwości jej nerwów, a chwalił pannę Anielę, znacznie odważniejszą od macochy.

Któregoś wieczoru Paweł dostąpił aż takiej łaski, że na jego cichą prośbę panna Aniela zaśpiewała piosnkę Szopena: *Gdybym ja była słończkiem na niebie*. Upojony dźwiękiem głosu, co mu brzmiał aż w głębi serca, rozstrojony, na przemian wesół i smutny, śmiejąc się ze łzami w oku do malca, który przed nim udawał konkurenta nr 2 z lornetką w oku, elegicznie i szalenie żałował, że brak mu hrabiowskiego lub książęcego tytułu i kilku milionów rocznego dochodu. Wróciwszy do siebie, kiedy malec już usnął, zgasił świecę i siadł przy oknie otwartym. Marząc i przyglądając się cieni-  
stym drzewom ogrodu, niebu, obłokom, księżycowi odbitemu w stawie, szeptał sobie w myśli urywek z utworu hiszpańskiego poety Gil y Zarate \*, o którym właśnie przed wieczorem artykuł we francuskim jakimś przeglądzie przeczytał:

**Oczy archanioła, to twoje oczy,  
Uśmiech niebios, to twój uśmiech.  
Oddech twój, to powiew chłodu wieczornego,  
Po kielichach lilii rozwiany.**

i Antonio Gil y Zarate (1796–1861) — jeden z czołowych hiszpańskich dramaturgów romantycznych. W dramacie historycznym o Karolu II ukazał upadek monarchii hiszpańskiej w wieku XVII, a w świetnych komediach przedstawił problemy oznaczone tytułami utworów: *Док по ślubie*, *Strzeżcie się narzeczonych*.

**Kiedy podniesiesz twą natchnioną głowę,  
Przy twojej szyi zbiednieje śnieg,  
Jak łabędź biały, gdy spokojnie płynie  
Po wzburzonej pianie mórz lśniących od słońca.**

Rosa i chłód nieco mu ostudziły rozpalone czoło, w dworze światła wszystkie zagasły, a on jeszcze marzył, cierpiał i nie mógł oderwać się od samotnych wspomnień.

Nagle wśród ciszy nocnej rozległ się huk sowy, jakby od strony rozwalin, po chwili ze dworu, ze drzwi szklanych, wychodzących od sali na ogród, jakaś szara postać kobieca sunęła tak cicho przez szpaler grabowy, że jej stapania słyszeć nie było, i gdzieś w cieniu, koło zwaliska zniknęła. Pawłowi tętniały skronie, serce biło jak młotem, nie ruszył się z miejsca. Po upływie pół godziny postać tajemnicza ukazała się znowu, cichutko przebiegła szpaler, drzwi szklane przymknął ktoś lekko, a za ogrodem rozległ się jakby przytłumiony tętent konia. Co się to znaczy? Czyja to postać lekka i wysmukła? Nie mogło się to w głowie pomieścić Pawłowi, a sen odbiegł zupełnie. Doczekał się świtu i wyskoczywszy przez okno na ogród, drząc poszedł do rozwalin, które jak zwykle bardzo zwyczajnie a wcale nie strasznie wyglądały, tylko łasiczka uciekła za jego zbliżeniem, para wróbelków furknęła skrzydełkami, i znalazł kawałek cygara nie dopalonego na ziemi. Przeszukał każdy kąt w zwaliskach. W jednym rogu było wydrążenie w murze, otwór zapewne od komina. Wywaliwszy parę cegieł można było wdrapać się, nawet stanąć dosyć wygodnie i nie będąc widzianym, dokładnie wszystko widzieć. Szeptał mu jakiś głos nakazujący, coś go popychało, żeby się natychmiast wziął do roboty. Niebawem urządził sobie wyborną kryjówkę. Pod natłokiem mnóstwa domysłów, szalonych przypuszczeń, niedorzecznych podej-

rzeń i zaprzeczeń, z gorączkowym pragnieniem oczekiwał nocy.

Zaledwie dobrze się zmierzchno, pędem pobiegł do rozwalin. Stał już parę godzin, zabołały go ręce i nogi, miał zejść jak niepyszny, nagle przytłumiony tętent rozległ się od rzeki; zadrżał i wzrokiem nawykłym do ciemności ujrzał dziwnego jakiegoś jeźdźca w długiej, białej płachcie, w wysokiej, białej, spiczastej czapce.

Zeskoczył z konia, przywiązał do choinki... rozległ się huk sowy... zimnym potem oblał się Paweł, huk rozległ się po raz drugi. Jeździec, w którym zdawało mu się, że dopatruje podobieństwo do konkurenta nr 1, siadł na ziemi, błysnęła hubka i rozszedł się dym od wybornego cygara. Posiedziawszy tak dosyć długo, straszdyło ziewnęło, zamruczało pod nosem, zerwało gałązkę choiny, zatknęło w szparze tuż przy nogach Pawła, wsiadło na konia i gwizdząc odjechało. Nazajutrz i przez parę dni następnych Paweł znowu wybiegał na czaty i męczył się w niewidzialnej łożce, ale żadne widmo nie przyjeżdżało i z ogrodu nie mknęła cichutko żadna szara, wysmukła postać.

— Co pan tak zmizerniałeś? — pytała go kilkakrotnie panna Aniela.

— Głowa mi okropnie dokucza — odpowiedział, nie śmiać jej spojrzeć w oczy.

\*

...Na imieniny radczyni całe towarzystwo kobiece wybrało się do Lisówki, gdzie oba numera konkurentów, kilku żonatych i młodzieży z sąsiedztwa już od rana bawiło. Panna Aniela tak była wesołą, jak jej Paweł jeszcze nie widział. Po obiedzie szła w ogrodzie z radczynią i nrem 1, Paweł za nimi, ścieżka była wąska, Aniela zwolniła nieco kroku, a radczyni i nr 1 poszli naprzód.

— Jakże młodzież tutejsza, którą pan dziś poznałeś? — zagadnęła nieco ciszej.

— Tak... dosyć!

— To źle, że tylko dosyć, że niezupełnie dobrze.

— Nie ich wina.

— A starsi? Są między nimi ludzie ukształceni i mili w towarzystwie, prawda?



— Co do mnie, wolę towarzystwo pana Celestyna od wielu młodych — odparł żywo Paweł, przenikliwie patrząc jej w oczy.

— Zapewne — rzekła z uśmiechem i przez chwilę zamilkła. — Powiedz mi pan, panie Sarmiewicz — zaczęła po chwili — mogłaby też podobać się panu kobieta zawsze wesoła, zawsze żartująca, jak na przykład ja dzisiaj, ironicznie wyrokująca o wszystkim, już jak nie ja, bo nie umiem, nie potrafię ironii?

— Nie wiem, ale wolałbym uśmiech i smutek, wesołość i rzewność...

— I my też nie pojmujemy mężczyzny ciągle smutnego, jakby pognębnego, co wśród najpiękniejszych lat młodych wygląda, jakby wyparł się wszelkiej nadziei w życiu, przestał wierzyć w siebie, a kto o sobie zwątpi, nie może mieć wiary w drugich.

— A jednak czuwa nad nami jakieś złe i czasem zmusza do zwątpienia.

— Z tym złem, z tym szatanem trzeba walczyć, zwyciężyć i wierzyć w dobre, w swojego anioła — odparła rumieniąc się z lekka i doganiając radczynię.

Paweł stanął, serce mu biło gwałtownie, jakby mu w piersiach było za ciasno.

— Prawdziwy hawana, panie Pawle! To z łaski naszej Junony<sup>1</sup> dostał mój brat kilka pudełek tego specjału od jej kuzyna — odezwał się pan Celestyn dając mu cygaro, które machinalnie przyjął. — Chodźże do nas, niech się tu babięta nagadają, a my sobie swoim dworem przy kieliszku.

Po chwili poszli do pokoju radcy, gdzie toasty krążyły energicznie. Gadano o tym i owym: o urodzajach i polowaniu, o książkach i winie, o Mickiewiczu i Pry-

**1 W mitologii rzymskiej Junona była żoną Jowisza.**

sznicu cygarach i enocie, o Warszawie i owcach, sąsiedztwie i kartoflach, de *publicis et quibusdam aliis*<sup>2</sup> — i nareszcie, naszym zwyczajem, zesza rozmowa na kobiety. Ów facecyjki rozmaite opowiadał, tamten przysalał dowcipami i dwóznacznikami, trzeci bohaterские czyny swoje przy nich wygłaszał.

Pan Celestyn, zebrawszy gromadkę z kilku starszych i młodzieży w kącie, zaczął także, nad spodziewanie Pawła, wyjeżdżać z rozmaitymi erotyczno-awanturycznymi figielkami. Tyle miał jednak skromności, że niby sam nie grał głównej roli, chociaż słuchacze byli przekonani, że zawsze o sobie opowiadał pod pokrywką znajomych. Między innymi: jeden z wojskowych jego kolegów stał na kwaterze w małym miasteczku w Lubelskiem. Burmistrz miał przystojną kuzynkę, sześćdziesiąt kilka lat i mieszkał w starej ruderze, gdzie na górze i w piwnicy coś od dawna w przerażający sposób straszło. Burmistrzowi roiło się coś o małżeństwie z kuzynką i tak był o nią zazdrosny, zwłaszcza też podczas kwatrowania szaserów<sup>3</sup>, jak Bartolo o Rozyne<sup>4</sup>. Prosta rzecz: siostrzenica wpadła w oko porucznikowi, on jej także, a że od oka do serca niedaleko, schnęli z miłości i tęsknoty przemysłając, jakby za-

1 Aluzja do leczenia zimną wodą; metoda ta została wynaleziona przez dra Wincentego Priessnitza (1799—1851), który w swojej posiadłości na Śląsku założył w r. 1826 specjalny zakład leczniczy.

<sup>2</sup> o sprawach publicznych i wszelkich innych.

<sup>3</sup> strzelców.

\* W świetnej komedii Beaumarchaisgo (1732—1799) Cyrulik *sewilski* stary lekarz Bartolo strzeże zazdrośnie swej wychowanki Rozyny przeznaczając ją na żonę dla siebie. Jednakże mimo jego przezorności Rozyna znajduje sposobność nie tylko do zakochania się, ale i do zawarcia — przy pomocy Figara — małżeństwa z ukochanym Almavivą.

mydlić oczy Argusowi<sup>1</sup>. Nad zakochanymi i podpiętymi los czuwa zawsze — szczerze czy chytrze, nie wiadomo. Ordynans porucznika, przypuszczony do tajemnicy jak Figaro, wpada na pomysł, żeby korzystając z baśni o strachu przebrać się za niego i podejść baczność burmistrzowską. Porucznikowi w to graj! Owinięty prześcieradłem, w czapce białej, na dwa łokcie wysokiej, straszyć zaczął tak znamienicie, że ptaszka z klatki wystraszył.

— Za naszych czasów to można było szumieć za młodu, bo było czym szał wynagrodzić, a mimo to szumiało się niewiele, dziś to jakoś na odwrót — zawołał któryś sąsiad patrząc dyplomatycznie na młodszych słuchaczy, gdy tymczasem dziwny jakiś uśmiech przemknął po wyrazistej, rozpłomienionej węgryzmem twarzy Celestyna.

Paweł bladł i rumienił się, zgrzytał zębami i krzywił usta do uśmiechu, a siedział jakby na rozpalonych węglach. Tak potworne i chorowite przypuszczenie urosło mu nagle w myśli i zabolało w sercu, tak okropnie uzupełnił sobie w wyobraźni wszystkie jego szczegóły i ustępy, że bez pogardzenia samym sobą, a przynajmniej najdroższą w życiu tajemnicą, nie podobna było w nie uwierzyć. A jednak, przypomniawszy sobie konia straszzydła, wyraźnie bułanego mierzyna, prześcieradło, czapkę spiczastą, wyborne cygaro hawańskie, z dziką jakąś rozkoszą spoglądał na Celestyna, zżymał się i wzdrygał na łysą czaszkę, na wąs szpakowaty, na kamizelkę z żałobną, białą wypustką. O ileż przyjaźniej spozryzał teraz na konkurenta nr 1. Zaczawszy z nim gawędzić poklasnął z serca jego zdaniom nieznaczącym, dziwił się nawet, czemu go ktoś tak lekceważył.

**i czujnemu stróżowi. W mitologii greckiej Argusem nazywano się wielooki strażnik.**

Nie spuszczać oka z Celestyna, uważał, że przed odjazdem kobiet długo bardzo rozmawiał z panną Anielą, z pułkownicową i zdawało się mu, że podczas rozmowy jakiś bilecik wymaszerował z jego ręki do chustki od nosa, wyglądającej z torebki na kanapie. Chociaż zbliżył się chwiejąco jak odurzony i wmięszawszy się do rozmowy, nie wiedział zupełnie, co odpowiadał, z bezczelnością jednak, której tylko zazdrość może nauczyć tak prędko, sięgnął po chustkę, namacał bilecik i schował do kieszeni. Przeszło go mrowie... przed odjazdem panna Aniela szukała chustki od nosa.

Odjechały już kobiety, Celestyn chciał go koniecznie do jutra zatrzymać, ale uparł się, wskoczył na koń z ziemi jak jeździec sztuczny i dalej z gościńca w gąszcz, w bór. Walił kolanami o chojaki, gałęzie twarz mu drapały, nareszcie stanął na polance i przy ostatnich promykach zachodzącego słońca wy dostał liścik bez adresu, leciutką pieczętką zapieczętowany. Przez chwilę wahał się, czy ma rozpieczętować: skąd prawo, śmiałość do cudzej tajemnicy? Ale zazdrość jest to najbezczelniejsze i naj samo wolniejsze szaleństwo w człowieku, a tak blisko graniczy z bzikiem, że kto raz w życiu aby jeden paroksyzm przecierpiał, a serca nie zużył, duszy nie uniżył, ten z pewnością nigdy już nie zwariuje. List był po francusku, poznał pismo Celestyna:

„Mój aniele drogi! Raz tylko byłaś łaskawa przystać na pomysł twego niewolnika i o drugiej schadzce ani chcesz słuchać. Skądże obawa, żeby się kto nie dowiedział o hukaniu sowy i strachu w zwałisku. Czyżby kto mógł wpaść na takie podejrzenie? A więc wskaż, gdzie możemy zobaczyć się, gdzie szczęście nasze utaić przed wszystkimi, aby korzystać z każdej jego chwili, zanim przestanie być tajnym dla wszystkich. To nie

maskarada i wyprawa moja — za młoda i za roman-sowa, jak ją nazywasz, jest śmieszną, ale może śmia-łość człowieka starszego, że szpakowatym wąsem, że cię kocha... ciebie, tak młodą i piękną. Zmiłuj się, dro-ga! Pojutrze będę wracał z Łopatki konno, pozwól sowie zahukać! Przy tobie serce moje coraz młodsze, zdolne ubóstwiać cię z młodzieńczym zapałem i nara-zić się na wszystko, ale nigdy nie narazić ciebie... której rozkazów oczekuje niewolnik. Dobranoc, aniele, dobranoc, Anielo!"

Paweł, płacząc i krzycząc do milczących sosen o no-żach, sztyletach, palnej i siecznej broni, krwawił ostro-gą boki klaczy, a pędził jak piorun. Zły duch szeptał mu przypomnienia z poobiedniej rozmowy w ogrodzie 0 starszych, ukształceńszych, miłszych w towarzystwie sąsiadach. Klaczy znudził się nareszcie niesforny, 1 nieuważny jeździec; zrzuciła go w rów tuż przed sa-mą wsią i pobiegła do stajni. Siedział w wodzie po kolana, nie wstał, dopóki raz jeszcze listu nie prze-czytał, żeby czarę goryczy do dna wysączyć. Naresz-cie porwał się i pobiegł jak szalony. Przesadzając płot koło rozwalin myślał, że mu serce pęknie. Drzwi szklane do ogrodu były otwarte.

— Panie Sarmiewicz! — zawołał znany głos z sa-lonu.

— Pani sama, panno Anielo?

— Mama trocha cierpiąca, zaraz przyjdzie. Ale co panu się stało? Boże! znowuś pan spadł z konia! Jak można tak jeździć szalenie, musiałeś pan potłuc się, powiedz prawdę, błądy jesteś nadzwyczaj — zawołał głos cudny, i wielkie, niebieskie oczy spojrzały z współczuciem.

— Zostawiła pani chustkę w Lisówce i bilecik — zaledwie zdołał powiedzieć. Oddał i padł na krzesło.

— Chustkę? bilecik? — odrzekła rzucając wzrok

zdziwiony la liścik pomięty. Za ledwie kilka słów przeczytała, czoło jej zapłonęło rumieńcem dziewiczym, wielkie, niebieskie oczy zwróciły się na Pawła z pogardą i gniewem. Pierzchnął z nich wszelki odcień łagodności i dobroci: przenikliwe, słoneczne promyki przesywały go do głębi. Wyprostowała się jeszcze bardziej wyniosła jej postać. Wisiał nad nią portret ojca w wojskowym mundurze, z dumnym, marsowatym obliczem. Czoło córki zmarszczyło się tak samo i ten sam wyraz dumy i uporu rozlał się po miękkiej twarzy. Niecierpliwie bawiąc się z rączką szpicruty, którą trzymała w ręku, spojrziała ledwo raz na niego, jakby na lokaja, co śmiał pani zuchwale odpowiedzieć. Paweł wstał mimo woli, tyle było woli i rozkazu w tym jednym spojrzeniu, tyle godności i wyższości pańskoszlacheckiej. Nagle odwróciła się, dwie łzy zakręciły się w oku i opadły na rzęsy. Przykleiła pieczętkę oderwaną, obwinęła szybko liścik chusteczką i włożywszy do swojej torebki, siadła przy fortepianie i zaczęła walić w klawisze grzmiącego mazura. Niebawem weszła pułkownikowa z jej siostrą.

— Mamo! zdaje mi się, żeśmy się pomieniali w Lisówce na chustki od nosa? Musiała mama zabrać moję.

— Nie może być! Nie zdaje mi się — odparła pułkownikowa, nieco zmieszana.

— Bo w mojej torebce zobaczyłam teraz chusteczkę mamy — dodała wyjmując batystowy obłoczek, z którego nieszczęsny liścik wypadł jak aerolit<sup>1</sup> na ziemię. Pułkownikowa skwapliwie schyliła się, rzuciła okiem na pismo i badawczo patrząc w oczy pasierbicy, schowała do kieszeni. Wielkie, niebieskie oczy spoglądały tak spokojnie i uroczco, że w nich prócz poważnego zadumania nic nie można było wyczytać. Na rogu

**i meteoryt.**

chustki pułkownikowej wyhaftowane było imię: *Angélique*, Paweł przypomniał sobie, że matce jego ucznia także Aniela na imię, opuścił głowę na pierś, ale odetchnął swobodnie i strzałą wypadł z salonu.

Przyszedłszy do siebie padł na kolana i gorąco dziękował niebu za niegodną siebie pomyłkę, błogosławił szaleństwu, po którym z tym większą czcią mógł marzyć i spoglądać na jasnego anioła, który znów we śnie srebrzyste skrzydła roztoczył. Tyle jednak wstrząśnień doznał dnia tego, silny, ale żółciowy i wrażliwy jego ustrój tak był do głębi wzruszony, że zdrowiem musiał przypłacić. Przez parę tygodni walczył w gorączce między życiem a śmiercią. Pielęgowano go jak w domu rodzicielskim.

Przyszedłszy do siebie, kiedy po raz pierwszy spotkał pannę Aniela w ogrodzie, wielkie, niebieskie oczy spojrzały nań litośnie i tylko przychylnie, ale to głębsze, duchowe światło pierzchnęło z nich dla niego na zawsze i zdawało mu się, że na koralowych ustach dostrzegł uśmiech...

W miesiąc potem oddalił się z domu pułkownikowej. W rok potem panna Aniela poszła za męża za konkurenta nr 1 i wyjechała do Galicji. Odtąd Paweł nie widział i nie spotkał jej nigdzie. Pan Celestyn wkrótce potem ożenił się z jej macochą, do której strzeliste afekta dlatego wycinał z tak młodzieńczym zapalem i schadzki tak romansowo urządzał, że na kilka wiosek romansowej wdowy nie tylko on patrzył z uwielbieniem, a z własną fortuną krucho już było...

Zawierucha nocna uspokoiła się nieco, niebo wyjaśniało. Paweł zasnął nad ranem — opiekuńczy anioł znów czuwał nad marzeniami samotnika.

## VIII

— I cóż, panie Jabłuszko?

— Nie trzeba nigdy tracić nadziei, pani Kontrolerowo dobrodziejko. Z wielkiej chmury mały deszcz.

— • Ależ to niepodobieństwo, to okropność!

— Najokropniejsza, pani Kontrolerowo! Dają najświętsze słowo honorowe, jestem nie wiedzieć kim, jeśli prawie od zmysłów nie odszedłem. Niech pani raczy zapytać się żony mojej, płakałem jak bóbr, beczałem po prostu.

— Zgroza!

— Najstraszliwsza zgroza! A interesik jaśniutki, wyraźniutki, złoty interesik! Zresztą sama pani Kontrolerowa miarkujesz to aż nadto dobrze.

— Fatalizm, panie Jabłuszko!

— Najfatalniejszy! Bo proszą-ż mi powiedzieć: Starosta kociubski cały majątek swój dziedziczy z dwóch kluczów złożony: kleniewskiego i sztycymirskiego, za pruskich czasów<sup>1</sup> obdłuża. Wierzydźcie występują z pretensjami i najpiękniej pod słońcem agitują się procesik konkursowy. Sumka, którąśmy nabyli, istniała jako dług jeszcze przed narodzeniem naszym, bo w tysiąc siedemset siedemdziesiątym dziewiątym roku oblatowana<sup>2</sup> i roburowana<sup>3</sup> w aktach ziemskich wiśskich klucza kleniewskiego, na imię ówczesnego wierzydźcia: Jana Damazego Męczykata Kościeszki, b. komornika ziemi ciechanowskiej. Wszak to jasno, pani Kontrolerowo dobrodziejko?

— Zdaje się!

<sup>1</sup> w okresie od trzeciego rozbioru Polski (1795), kiedy to Prusy zagarnęły Mazowsze z Warszawą, aż do utworzenia Księstwa Warszawskiego w r. 1807.

<sup>2</sup> wpisana do akt.

<sup>3</sup> urzędownie zatwierdzona.



— Za Królestwa \ po uregulowaniu hipoteki tych dóbr, sumka nasza najwyraźniej, najświęciej zapisana w księgach dóbr kleniewskich.

— Tak jest!

— Prosta rzecz, że adwokaci masy upadłości woleli prowadzić dłużej niż krócej, a ponieważ całych dóbr z powodu znamienitego szacunku nie można było sprzedać od razu, zbywano więc częściowo. Od Mośkowej Sznapsfogel, nie wiedzącej, co za złotą kurkę z rąk wypuszcza, nabywamy ośmdziesiąt tysięcy, licząc w to procenta, za dwanaście tysięcy... Wszak nieźle?

— Zapewne, ale bez zastanowienia, bo Mośkowa musiała wiedzieć, jaki rzeczywisty stan interesu, kiedy zbyła tak łatwo.

— Daję najświętsze słowo honorowe, Borsucki zaręczał mi, że była jak tabaka w rogu. Darła się potem wniebogłoso, żeśmy ją podeszli najniewinniej, jak sobie pani Kontrolerowa przypomina zapewne.

— Jednakże przypomnisz sobie także, panie Jabłuszko, z jakim trudem zebrałam dwanaście tysięcy — ogromna suma, jak na teraz dla mnie! Toteż zrujnowała mnie do szczytu, a mam przecież tak święte obowiązki dla jedyne go dziecka — rzekła Gulmańcewiczowa z płaczem.

— Nie przeczę, bynajmniej nie przeczę. Ale gdyby nie ów jedynaczek, to dwanaście tysięcy najspokojniej by leżały w kantorku. Wszak to dla niego tylko te zabiegi, kłopotki i zmartwienia. Otóż, wracając do rzeczy, którą pani dobrodziejce po tysięczny raz przedstawiam, bo dalszy bieg interesu będzie zrozumialszy... sprzedają częściowo wszystkie wioski na zaspokojenie wierzycieli, zostają tylko Piskorki i fol-

ł za czasów Królestwa Polskiego w latach 1815—1831.

warczek Wilczy Dołek. Piskorki także przez licytację zbywają i nareszcie wszyscy wierzyciele przed nami zapłaćeni; jesteśmy na pierwszym numerze hipoteki, nawet bez Towarzystwa \ a nasza sumka siedzi sobie jak u Pana Boga za piecem. Zrobiwszy najsumienniejsze wszystko, co do nas należało, występujemy przeciwko kuratorowi masy, żądając sekwestru i administracji nad Wilczym Dołkiem. Włóczykiew, zdaje się, ośmnaście, gruncik pewno pszenicy, dworek i zabudowańka niczego, karczemka, kuzienka i kilka chałupek. Oglądamy to wszystko na mapie, tu, na tym stoliku, pod tymże samiućkim lustrem, na mapie, pani Kontrolerowo! Pewność najpewniejsza, kamienna, murowana pewność!

— Tak jest!

— Wtem dowiadujemy się, że ani śladu Wilczego Dołku na tym bożym świecie. Wprawdzie był kiedyś pożar, ale nie podobna, żeby miał zniszczyć ze szczętem. Najniepodobniejsze także niepodobieństwo, żeby Narew miała zabrać wszystko i ani źdźbła nie zostawić.

— Boże wielki! Z tylu wsiów, trzebaż by dopiero nieszczęścia, żeby Narew właśnie Wilczy Dołek wybrać miała.

— Ależ tak! Najnieszczęśliwszego nieszczęścia, pani Kontrolerowo dobrodziejko, najniepodobniejszego niepodobieństwa. Otóż powtarzam, wszystko zostało i tylko zniknęło pozornie, przez złą wiarę sąsiada<sup>2</sup>,

<sup>1</sup> Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, instytucja taniego kredytu dla ziemian, założone w Królestwie w roku 1825. Pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego były zabezpieczone na hipotecę majątków.

<sup>2</sup> Posiadaczem w złej wierze nazywano tego, kto albo nabył rzecz nieprawą, albo od człowieka, który nie miał prawa sprzedawać. Tu chodzi o nieprawne nabycie Wilczego-Dołka, który rzekomo przyłączono do Suchej Rękawki.

jana Szpagatowicza z Suchej Rękawki i Piskorków, który także przez nabycie wierzytelności został dziedzicem wsi przyłączonej do jego majątku. Pamiętamy go tu przecie najdoskonalej komornikiem. Po orostu, *jure caduco*<sup>1</sup> zagrabił sobie kilkanaście włóczek i żartuje sobie z nas jak najlepiej, mając karczmę naszą i przewóz na Narwi, pani Kontrolerowo dobrodziejko, tuż pod nosem powiatowego miasta. Przewóz to nie żarty.

— Gdzież na to dowody?

— Są, pani Kontrolerowo, i to, daję najświętsze słowo honorowe, nie lada dowody. Mamy dwa dokumenta: akcik donacyjny<sup>2</sup> z 1696 r., oblatowany w aktach ziemskich wiskich, i akt graniczny sądu podkomorskiego ziemi wiskiej z 1752 r. W akcie donacyjnym pani Kontrolerowa, umiejąc tak dobrze po francusku, zrozumie łątwo po łacinie, stoi jak wół: *Memoratum villam Wilczy Dołek in terra Visnensi sitam omnibus cum aediificiis, structuris aut budowlis, agris, pratis, novinibuscumque* itd., itd., itd. *moiendinis* — musiała być wieś niemała, jeżeli już wtedy o gorzelniach wspomina — *silvis, nemoribus...*<sup>3</sup>

— Co znaczy: *nemoribus*?

— *Nemoribus*? browarami, pani dobrodziejko. Były browary w Wilczym Dołku 1696 ...*boris, lasis, gais, rubetis, apisteriis, cmetonibus, cum eorum uxoribus, liberisque*<sup>4</sup> itd., itd., itd., itd., itd. *et a via K r z y w y*

**1 tu: bezprawnie.**

**<sup>2</sup> akt darowizny albo sprzedaży majątku.**

**3 wspomniany dwór Wilczy Dołek, położony w ziemi wiskiej, ze wszystkimi zabudowaniami, budynkami albo budowlami, z polami, łąkami i nowinami itd., itd., z młynami (a nie gorzelniami), z lasami, gajami (nie: browarami!)...**

**<sup>4</sup> ...z borami, lasami, gajami, zaroślami, pasiekami, z kmieciami i ich żonami, i dziećmi itd., itd.**

Drąg usque ad graniciem Sucha Rękawka — dat, donat, inscribit et vendit<sup>1</sup>. Czarno na białym: aż do granic Suchej Rękawki, ale to jeszcze fraszki, zajmujemy teraz do granicznego akciku sądu podkomorskiego 1752 roku. *Actum in fundo*, czyli działo się na gruncie, *inter bona Krzywy Drąg, Wilczy Dołek nec non Piskorki aliaque Magnifici Stanislai Łypaczewski, Capitanei Cociubiensis, Vexiliferique Varsaviensis haereditaria ex una, et bona Sucha Rękawka, Kołaczek ac alia illustris magnifici Josephi Grzmilawski itd. haereditaria — parte ex altera* itd., itd.<sup>2</sup> Otóż między innymi najwyraźniej powiada: *Judicium camerariale exauditis, trutinatis et examinatis controversiis partium, personaliter comparuerunt testes, senes, fide digni, laboriosi*: Sąd podkomorski po wysłuchaniu i wybadaniu sporu stron stawających wezwał świadków: *octoginta novem annos natus Wojtek Trąba, mente sanus et corpore aegrotus, ex praedio Wilczy Dołek, nec non Maciek Marchewczak nonaginta duo annos natus ex villa Sucha Rękawka, declaraverunt...*<sup>3</sup> Rozumie pani Kontrolerowa dobrodziejka?

— Rozumiem, wezwani świadkowie zeznali.

— Tak! ...*ut inter granicies praedii Wilczy Do-*

1 ...i od drogi Krzywy Drąg aż do granicy Suchej Rękawki — daje, daruje, zapisuje i sprzedaje.

2 między dobrami Krzywy Drąg, Wilczy Dołek, jak również Piskorki i innymi, stanowiącymi dziedzictwo wielmożnego Stanisława Łypaczewskiego, starosty kociubskiego, chorążego warszawskiego — z jednej strony, a z drugiej strony między dobrami Sucha Rękawka, Kołaczek i innymi, stanowiącymi dziedzictwo jaśnie wielmożnego Józefa Grzmilawskiego itd.

3 ...liczący osiemdziesiąt dziewięć lat Wojtek Trąba, zdrów na umyśle, niedołączony fizycznie, z folwarku Wilczy Dołek, oraz Maciek Marchewczak, liczący dziewięćdziesiąt dwa lata, z dworu Sucha Rękawka — oświadczyli...

łek *et* Sucha Rękawka *in acie alias* narożnik *positi eiant ties scopuli et eundo a fonticulo* Pypeć, *usque ad quercum alias* dąb, *ubi in ea positae ties ciuces*, czyli że w narożniku usypane trzy kopce, a idąc od strumyka Pypeć do dębu trzy krzyże *et eundo ab queicu iecta linea usque ad salicem seu wierzbam, duas ciuces alias* krzyże, u wierzby dwa krzyże. *Ex alteia paite eundo a Maćkowy dół, memoitati testes indicaveiunt ceitam gianiciem*, wykazali pewną granicę, *juxta viam tendentem ab oitu solis usque ad occasum. Tianseundo postea pei tiibos alias* między, *monstiaveiunt decimum sipatum scopulum in iossa intei gianiciem piaedii* Wilczy Dołek, *distinguendo piaedium* Wilczy Dołek *a villa* Sucha Rękawka.<sup>1</sup> Wyraźnie ukazałi rów i dziesiąty usypany kopiec, pani Kontrolerowo! Kopców i krzyżów ślady najwyraźniej po dziś dzień istnieją, zaręczał mnie Borsucki, a zresztą są żyjący świadkowie, którzy świeższe i wyraźniejsze szczegóły pamiętają. Drugą karczemkę i kuźnię niezawodnie Szpagatowicz na naszym gruncie wystawił. Daję najświętsze słowo honorowe, takim ludziom zdaje się, że się nikt o krzywdę nie upomni i że damy się zarznąć nie pisnąwszy ani słówka. Zgroza!

— Więc znowu proces, panie Jabłuszko!

— Ośmdziesiąt tysięcy piechotą nie chodzi. Zresztą

i ...że między granicami folwarku Wilczy Dołek i Suchej Rękawki w rogu, czyli narożniku, znajdowały się trzy kopce, a idąc od strumyka Pypeć aż do dębu... gdzie na nim są wyrżnięte trzy krzyże... a idąc od dębu w linii prostej aż do wierzby — dwa krzyże. Z drugiej strony, idąc od Maćkowego Dołu, wymienieni świadkowie wskazali pewną granicę w pobliżu drogi biegnącej od wschodu słońca na zachód. Przeszedłszy następnie przez miedzę, pokazali dziesiąty usypany kopiec w rowie między granicą folwarku Wilczy Dołek, oddzielający folwark Wilczy Dołek od dworu Sucha Rękawka.

niech pani dobrodziejka raczy się pofatygować z tymi dokumencikami do pana adwokata, trzymać się tego będziemy, co poradzi.

— Pan adwokat, nie znając jeszcze tych dokumentów, wspomniał, że słuszność za mną.

— I to najślusniejsza, pani dobrodziejko, chyba ślepy nie przyznałby — odparł żywo Jabłuszko, a biegające, niespokojne oczki jego uśmiechnęły się nieco spod okularów.

— Proces pociągnie koszta niemałe, a skąd pieniędzy, panie Jabłuszko?

— Pani Kontrolerowo dobrodziejko, kiedy można było za dwanaście nabyć ośmdziesiąt tysięcy, to dla odzyskania ośmdziesięciu musimy koniecznie wystarać się kilku. Pani dobrodziejka przypomina sobie, że to nie ja doradzałem nabycie tej sumki, tylko Borsucki ją pani nastęczył. Ale cofnąć się teraz? Nie wypada! Zostanie nam wprawdzie jeszcze jeden środeczek — dodał po chwili, namyślając się nieco.

— Jaki?

— Zbyć komu naszą pretensję.

— Dużo byśmy też dostali, panie Jabłuszko?

— Zawsze kilka tysiączków, może trzy, cztery, pięć i o sześciu. Jasna rzecz: nabywca każdy chce nabyć ją najtaniej. Przypuszczając, i to poniekąd słusznie, że fundusze nasze nie są kwitujące, będzie chciał skorzystać ze złego położenia. Pani dobrodziejka pojmuje to doskonale.

— Zależy to może od sposobu przedstawienia mu interesu, zachęcenia.

— Bez najmniejszej wątpliwości bardzo wiele, ale — daję najświętsze słowo honorowe — szkoda! Nie przypuszczam, aby Szpagatowicz, natychmiast po wytoczeniu procesu, nie zechciał wejść z nami w układy, bo ta sprawa pachnie czymś gorszym niż zapłata, pani

dobrodziejko! Aż nadto dobrze pojmujesz to, pani dobrodziejko. Pan adwokat powiedział, że niebezpieczna z pani Kontrolerowej klientka.

— A to dlaczego?

— Bo jestem nie wiedzieć czym, że wkrótce będziesz pani prawo lepiej znała od nas.

— Dotychczas bolesnym tylko zawodem rozpoczynam tę znajomość.

— Kiedy więc nie można inaczej, trzeba będzie postarać się o nabywcę. Spodziewam się, że to przyjdzie z łątwością. W tych dniach zgłoszę się tutaj najpункtualniej, najniezawodniej, pani dobrodziejko — dodał z uniżonym ukłonem.

— Jak pan sądzisz, panie Jabłuszko, ile też potrzeba pieniędzy na przeprowadzenie tej sprawy?

— Na początek nie tak wiele. Ale chcąc popusować<sup>1</sup> interes energicznie, nie zawadziłoby mieć w rezerwie kilka tysięcy. Przeciwna strona jest pieniądze, dobrze pieniądze: musimy więc także wystąpić porządnie, aby sparaliżować jej działania w samym zarodzie, jak powiada pan adwokat.

— A układy, o których wspomniałeś, panie?

— Właśnie tym sposobem zmusimy do układów, a im prędzej, tym lepiej!

Zabrzmiała na wschodach fałszowana aria grobowa z *Lucji*<sup>2</sup> i wbiegł Marcelek, najakuratniej wracający zawsze do domu w porę obiadową. Gulmańcewiczowa porozumiewszy się jednym tylko gestem z panem Jabłuszko, żeby przerwał rozmowę o tym przedmiocie, usiłowała przywitać jedynaka z uśmiechem, ale da-

<sup>1</sup> pchnąć naprzód.

<sup>2</sup> z opery tragicznej Gaetana Donizettiego (1797—1848) *Lucja z Lammermooru*, wystawionej po raz pierwszy w Neapolu w r. 1835 i szybko zdobywającej sobie popularność w całej Europie.

remnie wstrzymywała się od łez. Na jego widok biegły jej gwałtownie do oczu.

— Padam do nóżek pana budowniczego dobrodzieja! Daję najświętsze słowo honorowe, pan Marceli coraz podobniejszy do nieboszczyka papy, do pana Kontrolera. Tylko papa był wyższy i mężniejszy, ale pan go jeszcze przerośnie. Pan sobie liczysz dwadzieścia parę lat, zdaje mi się.

— • Dwudziesty.

• — Cóż to za olbrzym! Jestem nie wiedzieć czym, pani Kontrolerowo dobrodziejko, czy znajdzie się drugi młodzieniec, i to w biurze pracujący, co by tak zdrowo wyglądał. Co to za rumieniec! Żona moja powiada, że pan chyba różujesz się.

— Jakże zdrowie żony pańskiej? — zagadnął żywo Marceli z grzecznym uśmiechem.

— Pokornie dziękuję, teraz z łaski Boga znacznie lepiej. Nie łaskaw też na nas pan dobrodziej na partyjkę wiścika czasami?

— Proszę pokłonić się żonie, w tych dniach służyć będę najniezawodniej. *Maman!* proszono mnie z Pawłem na wieczór tańczący pojutrze do naszego Witruwiusza — szepnął do matki. — Trzeba będzie kazać odnowić frak, nie mam porządnej kamizelki ani krawata.

— Oj, ty eleganciku! — rzekła matka całując go w głowę i kilka łez padło na upomadowaną czuprynę ostatniego z rodu Gulmańcewiczów.

Chcąc dokończyć sam na sam rozmowy z Jabłuszka, kazała mu po cichu, żeby poszedł do krawca i obstałował pikową kamizelkę, a po obiedzie obiecała, że pójdzie z nim razem po krawacik.

Jabłuszko tymczasem wstał i stanął przy oknie w drugim pokoju. Przed nim błyszcząca Wisła, lśnią-cym lodem pokryta, w głębi za Pragą niebieszczał bór



dleki i śniegi mgławo bieleły, z kuźni Szczepaniaka skry z dymem snuły się prostym pasem wysoko. Pojodny ranek zimowy, mimo woli wywierający wrażenie nie tylko na uszach i nosie czerwieniejącym, ale na myślach naszych, strojąc je swojsko, jędrnie wesoło, nawet u prostych ludzi — dla wielu wodnistych, pasożytnych miejskich stworzeń prawie nie istnieje. Tak nawykli do nor swoich, do zakopconych przedpokojów, ciupek i klatek, że niebo wydaje im się także jakby sufit, tylko ogromny, boże słońko świeci im jakąś olbrzymią ilością świec łojowych lub stearynowych, a księżyc — to wielka lampa dymiąca w jakim zaułku lub bawarii. Kacper Melchior Baltazar Jabłuszko bezpośrednio nie należał znów do tych istot — najdrobniejszy atom różnicy już jest różnicą — niegdyś znamienity wychylacz kuflów, dziś pijał bawara — ale z umiarkowaniem. Był to człeczyna niewielkiego wzrostu, krępy i nieco podtatusiały, lat czterdziestu kilku. Na twarzy pełnej, pospolitej, cery jednostajnie szarej, prócz nosa owianego fioletoworóżanym bluszczem, faworyty ciemne do końca ucha dochodziły, łysinę przykrywał pożyczanymi z tyłu głowy włosami, nosił posrebrzane okulary i brodawkę nad prawym okiem. Miał na sobie frak oliwkowy z małymi, świecącymi guzikami, halstuch<sup>1</sup> i kamizelkę prunelową<sup>2</sup>, paciorkowy łańcuszek od zegarka i błękitnawe majtki. Przedtem kancelaryjny urzędnik pod nieboszczykiem Gulmańcewiczem, następnie suspendowany<sup>3</sup> i uwolniony od służby, a obrotny i zabiegły, chwycił się początkowo z biedy rozmaitych interesów. Wypłynąwszy jako tako z kilku sprawek kryminalnych, ukształcił się niepospolicie w prawie

**1 rodzaj szerokiego krawata.**

**2 tu: koloru śliwkowego.**

**3 zawieszony w urzędowaniu.**

karnym i rozmaitym interesentom do spraw tej dziedziny doradzał. Postarawszy się następnie o przepisywanie akt sądowych, stręcząc nadto pieniądze, nabycia, słowem: faktorując, obznajmił się z procedurą cywilną i najprzeróżniejszymi sposobami wydostawał kilkanaście tysięcy do roku, z których pani Jabłuszko jakąś część corocznie oszczędzała. Za kawalerskich i biurowych czasów usłużnością, pokorą i sprytem umiał sobie zaskarbić łaski nieboszczyka Kontrolera, a co więcej — protekcję jego połowicy. Wówczas w małym pogranicznym miasteczku nie mała dlań to znaczyło i nie mała mu zabierało czasu. Zarzucony tysiącem sprawunków, sprawuneczków, zleceń, korespondencji, wszystko zawsze jak najpункtualniej załatwiał. Owdowiała Gulmańcewiczowa przeniosła się do Warszawy. Jabłuszko, już wówczas pokątny doradca, zgrabnie jej pomógł do wywindykowania<sup>1</sup> kilku drobnych sumek, sprzedał nienajgorzej kilka pozostałości po nieboszczyku i pozyskawszy całe zaufanie, kierował widzialnie i niewidzialnie wszystkimi zabiegami, a mianowicie też spekulacją o Wilczy Dołek, gdzie w macierzyńskiej ułudzie wyobrażała sobie nie raz Marcela dziedzicem, a siebie jaśnie panią, najszczęśliwszą z matek.

— Tak więc, łaskawa pani Kontrolerowo dobrodziejko — rzekł po odejściu Marcelka — trzeba zdecydować się ostatecznie. Jeżeli pani dobrodziejce trudno dostać pieniędzy, to lepiej odstąpić; straci się nieco, ale zawsze kilka tysięcy zostanie w ręku, którym obrót nadamy, nie obawiaj się pani dobrodziejka. Gdyby zaś, jak mam nadzieję, dostało się pieniążków, to za pół roku w czwórnasób zarobimy... bo, daję najświętsze słowo honorowe, nie podobna jest

**i odzyskania.**

przegrać. Zresztą zobaczymy, co pan adwokat udecyduje.

— Do tysiąca złotych mogłabym zebrać w ostatnim azie, mam jeszcze kilkaset złotych (uśmiechnęły się nów oczki Jabłuszki) i mam znajomych, co by mi paęset zawierzyli, ale tyle pieniędzy... myśleć nawet nie podobna, panie Jabłuszko!

— Jestem nie wiedzieć czym, jeśli pani Kontrolerowa nie będziesz miała w tym tygodniu, kiedy zechcesz

— Zagadkowo pan mówisz, a to skąd?

— Tu nie można wahać się. Wóz albo przewóz!

— Więc?

— Pani Kontrolerowo dobrodziejko, Szczepan Szczepaniak, właściciel tutejszego domku, jest człowiek z grosiwem, i to z pieniądzejszym, niż się zdaje. Tak przynajmniej wszyscy mówią!

— Jak to? Szczepańskiego mam prosić o pożyczenie pieniędzy! Ja?... panie Jabłuszko!

— Jeżeli kiedy radziłam sumiennie i serdecznie, to jestem nie wiedzieć czym, jeżeli dziś nie radzę najsumienniej i najserdeczniej. Zresztą nie będziesz pani potrzebowała go prosić, on sam zaproponuje.

— Jakaż mu dam rękojmię?

— Podpis osoby tak nieposzlakowanej uczciwości aż nadto wystarczy.

— Zlituj się, panie Jabłuszko, chyba żartujesz! Nie wierzę, żebyś to mówił naprawdę.

— Na najprawdziwszą, pani dobrodziejko, z najprawdziwszych najprawdziwszą. Szczepaniak grywa pod ósemką w taroka z byłym jednym wojskowym, moim przyjacielem, poczciwości człowiekiem, którego poważa nadzwyczaj i wierzy jak w Boga. Porucznik opowie mu interes, wyłuszczy, że pani dobrodziejka z powodu innych równie ważnych wydatków musiałabyś chyba zapożyczyć się u lichwiarzy, ja znów po-

prę to, zajrzemy do hipoteki... i powtarzam, jestem nie wiedzieć czym, jeśli w piątek kował poczciwy sam nie zaproponuje pani pożyczki, wprawdzie niewielkiej, trzech- czterotysięcznej, ale to także piechotą nie chodzi.

— Nie wiem, czy zdołam odważyć się.

— Pani Kontrolerowo! Jeżeli o to idzie, żeby nik nie wiedział, to nawet córka jego, której pan Marcel daje lekcje, ani się będzie domyślała. Nie znasz pani kowala tego, to człowiek sumienny, a nawet bardzo delikatny, przekonasz się pani. Pani mu łaskę wyświadczysz, że pani wygodzi.

— Pozwól mi, panie Jabłuszko, namyślić się do jutra.

— Do pojutrze, pani Kontrolerowo dobrodziejko. Zastosuję się zawsze do jej woli i rozkazu, ale daję najświętsze słowo honorowe, że nie podejmę wahania się pani dobrodziejki. Przypuściwszy, co jest niepodobieństwo, że przegramy... to przecie znajdziemy trzy tysiące, oddamy — a zresztą pan Marceli będzie miał za rok dwadzieścia jeden, córka Szczepaniaka także ma już ośmnaście.

— I cóż z tego, panie Jabłuszko? — zagadnęła wdowa cierpko.

— Co z tego, pani Kontrolerowo? Stary ma grosiwo, jedynaczka wcale przystojna. W dzisiejszych czasach kto tam zważa! Jak się zwał, tak się zwał, i jeszcze kobieta zmienia przecie nazwisko. Kum Szczepan rzemieślnik, to prawda, ale przecie obywatel i poczciwości człowiek. Pani dobrodziejko, jestem nie wiedzieć czym, wielcy panowie Bóg wie z kim się dzisiaj żenią, a to panienka przecie najlepszego prowadzenia — dodał podnosząc głowę i przenikliwie małymi oczkami, jakby łebkami od szpilek, spojrzął na nią kilka razy.

— Dajmy temu pokój! — odparła dumnie Gulmańcewiczowa.

— Pojutrze więc służyć pani dobrodziejce z najpункtualniejszą punktualnością. Na moję honorową uczciwość, nie zawiodłaś się pani dobrodziejka nigdy na mojej radzie, tym bardziej teraz.

— Tylko ani słowa o tym przed żoną, panie Jabłuszko!

— Pani dobrodziejko...

— Liczę na pana.

— Kto inny skwapliwie pochwyciłby ten projekt i rozpoczęłyby interes. Pani dobrodziejka deliberujesz, zastanawiasz się... oczywiście, ludzie ludziom nie równi. Czy to ubliża komu, że pożyczysz od znajomego pieniędzy na uczciwy zarobek, czy zaraz zaciąga się obowiązki?

— Tak jest, panie! Wielkie obowiązki.

— Można przecie wy wzajemnie się, wynagrodzić nawet. Ale nie zabierając pani Kontrolerowej czasu, padam do nóżek i daję najświętsze słowo honorowe, że przed Domcją ani ust nie otworzę. Do pojutrze więc!

Ucałował jej rękę, z głębokim ukłonem wyszedł i płaszcz wdziawszy dopiero w sieni, roześmiał się ci-chutko na wschodach.

Gulmańcewiczowa, napłakawszy się gorzko, zaczęła zastanawiać się nad projektowaną pożyczką od Szczepaniaka, do której myśl, po Bogu a prawdzie, przechodziła jej samej od dawna po zabiegłej głowie, ale ileż to pokus i złych myśli nawiedzać nas lubi! Lękając się spoufalenia zbytniego, w żadnym razie nie przypuszczając możliwej synowej z Marcysi, że wstrętem nawet myśląc o tym, nie mogła odważyć się na pewne postanowienie. Po obiedzie wyprawiła samego Marcela po sprawunki i poszła do kościoła Panny Marii,

który tego dnia, jako w święto kościelne, był po południu otwarty. Modłać się gorąco, błagając niebo, aby pobłogosławiło wszelkim jej zamiarom względem przyszłości jedynaka, nie widziała klęczącej pod kaplicą Marcysi, której modły dziewicze krążyły także z łzą i westchnieniem, opasywały wieńcami marzeń uroczych sztywną figurkę Marcelka, piwne jego spojrzenie, nosek tak zgrabnie zaokrąglony, jakby w nim kto kartofelek osadził, i czoło stworzone do daszka od furazerki lub ronda od kapelusza.

Po wyjściu z kościoła modły ulżyły macierzyńskiemu sercu, ale dumy nie przemogły, nie potrafiła wyobrazić sobie, w jaki sposób jej Szczepaniak zaproponuje pożyczkę, w jaki sposób ona będzie musiała mu podziękować. Noc, pocieszycielka a doradczyni dumnych i uniżonych, i przywiązanie macierzyńskie tak przeważyło nad światowymi drobiazgami i skrupułami, że Gulmańcewiczowa gotowa była poświęcić się nazajutrz — natychmiast doniosła o tym Jabłuszce.

## USTĘP DRUGI

*Qu est-il besoin pour lui du soin que vous prenez,  
C'est un homme, entre nous, à mener par le nez.'*

MOLIÈRES

### I

Dzionek gorący, ale pogodniuteńki — na czystym ażurze ani śladu chmurki. Wisła nie tak skąpa i zanjniewana jak w tych czasach, ale hojna, wspaniała, obfitym źródłem zaledwie gdzieniegdzie okala wąską aspę piaszczystą. Gwar i tartas miejski huczy na jej wybrzeżach, odzywa się i na odległej ulicy Głębokiej. W kuźni Szczepaniaka chłopaczki nadymają miech skuteczniej niż pieniądze próżność ludzką — bucha ogień z rozżarzonych węgli, przy którym pracują nie na żarty. Pryskają iskry od podków na kowadle, czeladź strugami wygładza róg na kopytach cierpliwych szkapek, pasuje żelazne ciżemki, przypina ufnalami, nituje, a szkapki, jakby zadowolone z obuwia, zarzą czasem lub wytną pieszczotliwie kopytem klęczącego wulkanu, aż mu w oczach Kraków i Rzym zaświeci od razu. Dnia tego była zwózka drzewa z Wisły i kilka-naście koni przekuwano.

— Duchem, duchem kończmy, już czas! — wołał jeden czeladnik.

— Nie gorączujcie się ino, jesz-cze-cze zajdziemy na

**1** na co mu te wszystkie starania, które podejmujecie; między wami mówiąc — to człowiek, którego można wodzić za nos.

<sup>2</sup> Molière, właśc. Jean Poquelin (1622—1673) — wielki omediopisarz francuski.

Leszno<sup>1</sup> — odpowiedział flegmatycznie Maciuś jąkała, szwejcując energicznie oś od powozu, którego szkielet stał na podwórku.

— Jak majster wpadnie, będzie gwałt.

— Ku-um Szczepan nie wpadnie i nie pój-pój-dzie na procesję.

— A to ciekawym, dlaczego?

— Ba-a! zamu-mutruj sobie ciekawość — odparł śmiejąc się Maciuś.

— O, stoi majster na podwórku, idzie już.

— Nie stoi, bo sie-siedzi na klocu, a jak siedzi, to nie idzie — odrzekł sprzeciwa, wywijając młotem olbrzymim niby piórkiem.

Kum Szczepan ani przez chwilę nigdy nie próżnował, teraz już od godziny siedział niedbale na klocu, oparł głowę na ręce, rogatywkę zasunął na oczy i patrzył przed siebie, nic nie widząc.

A na Wiśle tuż u stóp jego bieleł i furkał z wiatrem żagiel berlinki; wysoki, niezgrabny maszt sterczał tu i owdzie i strzałą mknęło kilka tratw. W workach i w kokoszach (budkach) złota pszeniczka nasza wędrowała do Gdańska na zemelki<sup>2</sup> i pfeferkucheny<sup>3</sup> dla Germanów, a może na puddingi<sup>4</sup> i keki<sup>5</sup> dla uroczych córek Albionu. Retmańskie czółenko<sup>6</sup> wywija przed nimi jak szczupak, płąsa jak łosoś i słyhać, daleko po rzece brzmiące, rozmaite rozkazy:

— Uwróć tam na calu! (tyle tratwy).

— Nie daj głowy! (przodu).

— Wara bakord! (prawa strona).

**1 do kościoła Karmelitów na Lesznie.**

**2 bułeczki.**

**3 pierniki.**

**4 budynie.**

**5 ciastka.**

**6 czółenko, w którym jechał retman, tj. starszy flisak.**



— A sztybor (lewa strona) mocno!

Zwinni i smagli chłopcy, zbudowani jak z żelaza, w takt poruszają drygawkami (wiosłami), prosto lub wężem wiją się tratwy i unikają mielizn sprytniej niż kobiety fałszywych przyjaciółek. Zakomenderowano:

— Niemca w łeb!

Strychują, to jest wbijają pale pomiędzy szpary, na których, gdy wejdzie w grunt głęboko, tratwa zatrzymuje się jak na kotwicy.

Kum Szczepan podniósł głowę. Okrzyki te przypominały mu dawne, minione lata. Będąc wyrostkiem, od Krakowa ku Warszawie, od Warszawy ku Gdańskowi bujał tak nieraz z drygawką po Wiśle. Zmarszczone czoło wyjaśniało się na chwilę, zapachniała mu jakby woń świeżego sianka, stanęła w myśli kurna chata wysoko na wzgórzu, bieda na przednówku, kierezyja, sukmana biała, stary ojciec Kraków i wawelskie wieżycy. Wszystko to, zlane w jeden obraz odległej przeszłości, tęskno, jakby z pożegnaniem zakołatało do serca, lecz tylko na chwilkę przerwało dumanie staremu. Obejrzawszy się lekliwie poza siebie, ku domkowi, znów oparł głowę na rękę.

— Ano, kumie Szczepanie, niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków, amen, ojczy Jakubie! Bóg wam zapłać, żeście oto przyszli!

— Ano pewno już niedługo ruszycie się z domu.

— Nie wiem, czy się ruszę, ojczy Jakubie — oparł stary nie wstając z kloca.

— Ano jakże to? Więc to nie pan podskarbi będzie niósł dzisiaj chorągiew majstrowską na procesji\*? Czyby wam się tego roku odechciało?

— Bogać tam odechciało! Toćże to człowiek przecie katolik i należy nie tylko do bractwa cechowego, ale i do bractwa Najświętszej Panny Różańcowej i do innego jeszcze, wiecie przecie. Zaszczyt i radość służyć

i Mowa tu o procesji u Karmelitów na Lesznie, która zwykle w dzień powszedni się odbywa. Jak sam cech, tak i bractwo cechowe dzieli się na majsterskie i czeladnicze. Patronem pierwszego jest święty Bałdomierz, drugiego — Stanisław biskup, i każde ma chorągiew swoją, błękitną, z wyszytymi godłami rzemiosła. Czeladniczą chorągiew niesie na procesji czeladnik, a majstrowską zwykle majster. (Przyp. autora.)

Panu Bogu Wszechmogącemu i świętej religii naszej, jak można.

— Ano więc?

— Ot, widzicie, ojcaszku, pan Marcin znów od wczoraj gorzej zaniemógł, może się biedactwo i nie podniesie, bo jęczy straszliwie.

— Bóg wiara i ufność, kumie! Ano, chłopak młody i krzepki, albo to mało chorób na świecie, a ludzie wstają na nogi.

— Tak się to widzi, doktor wczoraj diabło kręcił głową i coś tam o kryzysie gadał z panem Pawłem. Mnie się widzi, że to ptyfus, a ptyfus to nie żarty, mospanie! Abo to wypadki nie chodzą po ludziach, a nużby mi paniczysko zamarło, to by się oto zaraz rozchorowała Marcychna — i tak już łązi jak cień. Nieszczęście to jak nędza z biedą, nigdy sama nie wlezie do chałupy, ino zawždy w kilkoro.

— Oj, to prawda, że nigdy samo — mruknął zakonnik, ale po chwili, spojrzawszy litościwie na starego, zażył tabaki i dodał: — • Ano wy nie macie co narzekać, Bóg łaskaw na was i nie godzi się wam obolewać nad tak małym zmartwieniem.

— Licha tam małym! Marcychna przyzwyczaiła się oto do pana Marcina, a ja sam tak jestem przywiązany, jakby mi własne dziecko chorowało.

— Ano, ano, przestańcie już o tym.

— Mój ty Boże Wszechmogący! Pani Kontrolerowa oto niedługo będzie panią co się zowie. Będzie miała wioskę czyściuchną za Wisłą, nad Narwią. A nuż, Panie Boże chroń, nieszczęście, nużby pan Marcin... at! wszystko by psu na budę się nie zdało. Chwałaż Tobie, Panie, że nie ma jej w Warszawie... Pojechała do rodziny w Lubelskie, aniśmy słówka do niej nie pisnęli i pan budowniczy"pochwalił, że tak dobrze.

— Co za budowniczy?

- Krewniak pana Marcina, pan Paweł.
- Pan Paweł Sarmiewicz, ano wiem, wiem, to bardzo pobożny i poczciwy człowiek, przyjaźni się z naszym prowincjałem.
- Może tam bogobojny i poczciwy, ale jakoś... jjaszku, jakoś bym inaczej wyglądał, gdyby zachorował nie przez piecznie mój krewniak tak niski, przylepeczka taka poczciwa.
- Ano, przylepeczka! Pokorne cielę dwie krowy ssie, ale to jeszcze nie dokumentny dowód, kumie Szczepanie. Można nie okazywać, a czuć nieraz więcej, niż się zdaje. Głośny żal, głośny dzwon — często pusty! Ano, więc go tam Marcysia pielęgnuje?
- A ma się wie.
- No i nie zbywa mu na niczym?
- A jeszcze by też! Dyć łatwiej, zdrowemu suszyć co drugi dzień niż choremu chwilkę bez opieki, bez lekarstwa lub strawy. Skądże mu ma zbywać? Albo to on taki biedny?
- Ano, ano, mój poczciwy kumie! Jakże tam Józiak nasz, Fidrykowa kontenta z niego?
- ; Choroba mnie tam do Józiaka!
- Ano... czemu? Toć to sierota!
- Taki teraz, powiadam wam, ojczy, mruk z niego — ani człeku śmiało w oczy spojrz, ani wyraźnie odpowie, zhardział i nie chce już pracować u trumniarki, powiada, że to gruba robota.
- Ano tak! Lepszy stolarze to za nic mają taką robotę, a Józiak sprytny chłopak.
- Ale majstrowa oto młoda jeszcze, wdowa, wcale nie przez grosza. Chłopakowi wróble gnieźdzą się w łepetynie.
- Ano trudność go zmuszać, kiedy mu jakoś nie wpadła w oko, trudność, mój kumie"! — odparł zakonnik kiwając głową.

— Zresztą... Choroba tam z nim! Niech sobie robi, co chce, idzie, gdzie chce, na złamanie karku!

— Ano, niech będzie pochwalony, kumie Szczepanie!

— Jak to? Odchodzicie, ojcaszku?

— Posłaliście Bóg wie za jakie trzy grosze Józika do wszystkich czartów, to i mnie gotowiście także wyprowadzić niedługo.

— Bodaj was też, ojcie Jakubie, z waszą wymówką najjaśniejsze piorunczki nie zatrzasły! Człeku w zmartwieniu to mimochcący wypnie się to i owo. Czyż to my nie dawne kamraty, tatułu? Chodźmy oto razem zajrzeć na facjatkę — dodał stary i ciężko westchnął.

Wchodząc do sieni spotkali właśnie schodzącego z góry Pawła. Uścisnął szczerze rękę Szczepaniaka, umoczył palce w tabakierce ojca Jakuba skwapliwie otworzonej, odpowiedział: „*In saecula...*”<sup>1</sup> na łacińskie przywitanie i rzekł swoim zwyczajem zwolna, ale wesoło:

— Dzięki Bogu, kumie Szczepanie, nie ma już żadnego niebezpieczeństwa, wiedziałem dobrze, że to nic strasznego, doktor mi zaręczył, że już lepiej.

— Dałby to Bóg, panie budowniczy!

— Już dał, mój majstrze, dziękujmy Mu! Marcelek zdrów i silny, ale od niejakiego czasu już był cierpiący i brał lekarstwo, potem kiedyś musiał przeładować sobie żołądek, przeziębził się i dostał zapalenia kiszek.

— Pan Marcin przejadł się, jako żywo! Albo to on żarłok! Niech pan budowniczy nie wierzy, a dyć to je jak kurczątko i ledwo go można namówić.

— Ano mogło się zdarzyć, wypadki po ludziach chodzą — wtrącił zakonnik.

**i na wieki...**

— Choroba tam wypadki! Pracuje oto po nocach. pisze, czyta, nie wysypia się... albo to raz mówił panu Marcinowi, żeby zdrowie szanował, ale to takie zawzięte do roboty!

•— A młode i uparte — dodał zakonnik tłumiąc uśmiech litosny.

— Bądź co bądź — odparł Paweł — gdyby nie waza troskliwość, gdyby nie prawdziwe poświęcenie panny Marcjanny, to byłoby i źle.

— Co za troskliwość i poświęcenie! To ledwo powinność, proszę pana budowniczego.

— Przepraszam was, kumie Szczepanie — dodał Paweł, odprowadzając go nieco na bok — że z wami otwarcie i bez ogródki porozumieć się muszę. Wiem że wujenka nie zostawiła pieniędzy, a przynajmniej, że Marcelek jeszcze przed chorobą nie miał już ani grosza.

— Jako żywo, panie budowniczy!

— Ale tak, niezawodnie. Dziś właśnie odebrałem list od wujenki i sto dwadzieścia złotych dla Marcelka, które wam zostawię. Ręczę, że poniosłeś już majster kosztów niemało, bądź więc łaskaw obrachować się.

— A brońże mnie, Panie! To niech panisko da lepiej panu Marcinowi albo teraz, albo jak ozdowieje. Ino ja, z przeproszeniem łaski pana, tych pieniędzy nie przyjmę. Mamy z panią Kontrolerową rachunki, a jakbyśmy obrachowali się, to by się pokazało, że jeszcze ja winien... Co też pisze wielmożna pani Kontrolerową, iroszę pana budowniczego... nie ma panisko listu przy sobie?

— Zostawiłem w domu albo też musiałem zgubić po drodze.

— Ale co pisze?

— Nic nie wie ani się nie domyśla nawet choroby

Lviarcelka, a zapewne wróci niedługo. Prosiła, żeby pokłonić się wam i pannie Marcjannie.

— Pocziwa, grzeczna, kochana pani! Niech ją Bóg dobrem obdarza i sprowadzi tutaj, kiedy pan Marcin będzie już zdrow zupełnie! — zawołał Szczepaniak uchylając rogatywki.

— Będzie zdrow, kumie Szczepanie, aby tylko sam chciał. Ale zmiłujcie się, zabierzcie te pieniądze, schowajcie przynajmniej!

— Dyćże im tak dobrze u pana budowniczego jak u mnie.

— Na upór nie ma lekarstwa; bywajcież mi zdrowi, majstrze! Polecam dalszej opiece Marcelka, przyjdę go odwiedzić jutro.

— A dziś już nie?

— Dziś nie ma potrzeby, już mu lepiej znacznie. Zresztą gdyby się co przytrafiło, to Józiak Sierocki wie, gdzie mieszkam, przyślijcie go do mnie. *Laude-tui!*, ojcze Jakubie!

— Oj zimno tu, zimno, okropniście zimno dla krewnego u pana Pawła — rzekł Szczepaniak kładąc rękę na serce.

— Ano, mój kumie, pomódlcie się też szczerze do waszego patrona świętego Szczepana i do patrona kowalów świętego Bałdomierza wyznawcy, żebyście raz też przewidzieli. Toćże widocznie pani Kontrolerowa nie musiała pisać listu i on wam chciał dać ze swoich pieniędzy.

— Toście wy ślepi, ojcaszku! Nie taki on skory do tego, a zresztą nie śmiałyby, dażałby mu pani Kontrolerowa dopiero! To taka dumna pani, aż strach!

— Ano, i cóż w tym złego, że krewniak podcza?

**i niech będzie pochwalony.**

choroby wygodzi krewniakowi, toćże by mu potem od dała?

— Ba, ba! Tak się to mówi! Zresztą... choroba! albc to on ma z czego dać! Stu dwudziestu złotych na ulicy nie znajdzie. Sam biedaczysko klepie biedę nie na żarty.

— Ano, tym ci piękniej, tym ci uczciwiej, że się dzieli.

— Jak to ubrane — mówił dalej Szczepaniak, nie zwracając uwagi. — Wielki mi pan, że tam zegarczynę ma w kieszeni! Zobaczcie no go razem z panem Marcinem, to jak pięść do oka... Pan Marcin to ma gałańcie pańską minę, a on mógłby mu buty czyścić. Pan Marcin to przystojny!

— • Ano, bardzo przystojny, bardzo! Ale jeszcze nie rozumiem, dlaczego nie chcieliście wziąć pieniędzy, kiedy to nie dla was, tylko dla pana Marcina?

— Zdadzą się panu Marcinowi, kiedy ozdrowieje, zdadzą, a teraz jeszcze pani Kontrolerowa zostawiła tyle, że wystarczy.

• — To co innego — odparł zakonnik wciągając potężny niuch tabaki. — Ano, modliliście się nieraz u Bernardynów przed obrazem, gdzie święty Bałdziej wyznawca kalece prócz jałmużny oddaje narzędzia swoje kowalskie, ale to kalece bez nogi, prawdziwie potrzebnemu. Wspomóc takiego to wielka zasługa przed Bogiem i przed ludźmi.

— Czy to raz się modliłem... albo co?

— Niech będzie pochwalony!

— Bodaj was też, ojcaszku! Znów zaczynacie tak mówić, że, kuj w łeb, człowiek nic nie rozumie. Chodźmy oto lepiej na górę, i tak zagadaliśmy się za długo.

— Czas na procesję!

— Marcysia ma z wami pogadać, ojczcie!

— Ano to chodźmy, kumie Szczepanie!



w stancyjce na facjatce cichutko, muchę przelatującą słychać; powietrza zwykle niewiele się tam tułało wśród tyłu sprzętów i gratów, teraz, przy zamkniętych oknach, pomieszanej woni od lekarstw, bursztynowego kadzidła i kwiatów przestawionych do drugiej izdebki, było niesłychanie gorąco i ciężko... a jednak Marcelek spał dosyć smacznie pod wypłowiałą kołdrą adamaszkową na pompatycznym łożku matki. Lekkie nawet rumieńce wybiegły we śnie na pulchną, niezna czącą twarzyczkę. Jakubowa w kuchence warzyła ziółka i zdrzemnęła się przed kominem. Marcysia klęczała za łożkiem, z poczerwieniałych oczu łzy płynęły zdrojem na rumiane lice, rozgorączkowane w tej duszącej atmosferze, i opadały na spocony gors. Letnia, perkalowa sukienka niedbale na niej leżała, rozplatany Warkocz bujnych, jasnych włosów tułał się po białej szyi. Odmówiła już na różańcu wszystkie pacierze, co sobie wyznaczyła, przeczytała w książce wszystkie litanie i modlitwy, a silnie wierząc, że jej modłów wysłucha Pocieszycielka strapionych, której obraz z Dzieciątkiem na ręku wisiał nad łożkiem, układała w sercu i w myśli własnej proste, wymowne słowa prośby błagalnej. Pierś dziewicza unosiła się szybko — i czasem wyraz jakiś wyszeptwały głośniejsze usta drżące od żalu, od wzruszenia.

Ileż by to poświęcił niejeden, aby zasłużyć na takie modły za siebie, aby najczystsze uniesienia dziewiczej duszy czuwały nad nim, podbudzały i zachęcały do codziennej kolejki życia! Najczęściej wielkie poświęcenie zastępuje traf, chwila szczęścia najniespodziewańsza — i obudzi w jasnym, nie zepsutym sercu tyle współczucia lub żalu, że w ożywym ich płomieniu zapłonie uroczo serce każdego, co ma serce.

Ale wierzba płacząca czy koniecznie nad jasnyn źródłem lub grobem samotnym zwieszać ma wysmukłe gałęzie! Czasem w pobliżu u jej stóp ugór jałowy, rżysko nudne, piasek niepotrzebny lub też wyglądaj; z trawy głupiuteńkie, puszkowate kwiatki, co to dmuchnij, a zostanie tylko pocieszna łądyżka.

A przecie wierzba zawsze tak piękna: w świetle i w mroku kształty jej rysują się tak wydatnie jak dobre wspomnienie w duszy człowieka.

Śpiący westchnął, przewrócił się na łożku. Marcysia wstała, patrząc lękliwie; lekki, jednostajny oddech przekonał ją, że śpi jeszcze. Jakoś wydał się tak cierpiący, zbiedzony i ładny, tyle bezmyślnego, dziecinnego spokoju spoczywało wkoło ust bladych i kartofelkowatego nosa! Tyle znużenia, zwykłego w chorobie, na chwilę zasmęciło rumianą cerę.

Kobiety, z przeznaczenia swojego kochając dzieci, lubiąc lalki, przyzwyczajone bawić się z cacek i drobiażdzków mnóstwem, milej w ogóle patrzą, niż się zdaje, na takie gładkie, wymuskane męskie fizjonomijki, co to po nich prawie tylko mechanicznie drga wyraz życia, a duchowego nie dopatrzysz! Czy im się wydaje, że taką lalusiową istotą najłatwiej powodować, że jak pagoda chińska poruszać się będzie posłusznie według ich woli i upodobań; czy nie przypuszczają, aby w tych okrągłych i zwykle małych oczach mogła ukryć się jaka myśl uboczna, podstępna, prócz uwielbienia bez granic; czy skłania je tylko instynkt i oddzielne pojęcie o urodzie męskiej? Wszystko to być może i nie może, ale tak już wiadome, że nie może zadziwić nikogo.

I dziwić się tu Marcysi z ulicy Głębokiej, siedm-nastoletniej, pocziwej kowalczance, w której czystej krwi coś z ognistego ojcowskiego rzemiosła grać musiało, że cierpiąca twarz Gulmańcewicza przewróciła

się w jej serduszku dwieście razy na pół minuty, że mimowolny popęd rozbudził w nim wszystkie struny od razu i w rzewnym uwielbieniu wyjrzał z wilgotnych ocząt? Obejrzała się lękliwie, drżąc zbliżyła się nieco i nie jak siostrzyczka brata, ale jak motyl skrzydełkiem chciała leciutko w powietrzu przesłać pocałunek do czoła nauczyciela, gdy łąza jakaś nie obtarta spadła z jej rzęsów na skronie chorego. Ocknął się, ziewnął wcale uczciwie, rozwarł oczy szeroko. Ujrzawszy uczennicę skrzywił się i jęknął:

— Ach! *du l'eau, du l'eau, wody! ou du tisanne! Il me brûle dans mon gorge. Mlle Marceline, tu es mon ange, je non mérite point si beaucoup de bonté!* — zawołał słabym głosem i rękę jej do ust lekko przytulił.

Marcysi stanęły w oczach łązy radości, pobiegła po ziółka, a wszedł właśnie Szczepaniak z ojcem Jakubem.

— Ano niech będzie pochwalony, panno Marcysiu! Bardzo to miłosiernie czuwać nad chorym, ale i o sobie nie trzeba zapominać; czerwone oczy, zmizerowała mi się panienska straszliwie.

— Już lepiej, przecie już lepiej, kochany ojczy Jakubie!

— Naprawdę? chwałaż Tobie, Panie Boże Wszechmogący! — zawołał Szczepaniak idąc z córką na palcach do izdebki Marcelka.

— Oj, dobrze też, że jegomościulek przyszedł — odezwała się Jakubowa do zakonnika. — Przenajświętsza Panno Sokalska, co się tu dzieje! Toć już nie odrobinę, a kawałek świata schodziłam, napatrzył się

**i wody albo rumianku! Pali mnie w gardle. Panno Marcelino, jesteś moim aniołem, ja nie zasługuję na tak wiele dobroci. Przypominamy, że Gulmańcewicz okropnie kaleczy francuszczyznę.**

człowiek, jak to ludzie chorują i umierają, a na oczy nie widziałam, żeby kto tak piszczał, kwękał i stękał jak ten nasz pan Marcin, że mu tam trochę w *i* oładku kwiczy. Pamiętam, jak w naszym pułku sierżantowi Kogutek w dwunastym roku obie nogi zamputowali, żeby też biedaczkowi aby łza poszła z oka, aż chirurg Francuzisko zawołał: „Braw bukr<sup>1</sup> Kogutek!” Ojciec Jakub był przecie także żołnierzem i wie, jak to bywa.

— Ano tak, moja matko, ano tak!

— Mężysko mi oto kwękało, kwękało i pomierło, kilkorom dzieci pochowała, wnuczka oto, aniołek dziewczyna, wymaszerowała także temu drugi rok na Wielkanoc. Co prawda, to prawda... gorzko człowiekowi, łzy dziurgiem płyną... ale żeby tak cały boży dzień i noc miała lamentować — przenajśodsze imię Jezu! Marcychna, że tam zgłupiała, to nie dziwota! Jużci pan Marcin chłopiec niczego, rosły oto, rumiany i wystrojony jak lalka, po francusku umie, ale kumowi Szczepanowi — Boże zmiłuj się! •— widzi się mu, że ta pani Kontrolerowa to jakaś straszna pani, a to złe, skąpe straszliwie. Raz, kiedy mnie po marchew do miasta posłała, to potem o dwa grosze dokuczała mi przez dwa tygodnie, sekutnica.

— Ano, jak też myślicie, matko, będzie z tej mąki chleb?

— Z czego niby?

•— Ano, ożeni się niby ten smyk z Marcychna?

— A to niby, ojcie Jakubie, darmo się ta jejmość tu wprowadziła?... Zważała ona grajbery<sup>2</sup> u staro, nie bójcie się!

<sup>1</sup> zuch.

<sup>2</sup> pieniądze.

— Jakubowa! zaspaliście i ziółka zimne — zawołała gniewnie Marcysia stawiając przy niej imbryk.

— A Przenajświętsza Panienko! Zimne! Przecież to nie lód! *sacie moibleu*<sup>1</sup>, miałam nawarzyć ukropu? — zamruczała baba.

— Jakże, kochany ojciec Jakubie, odbyła się wczoraj msza? — zapytała nieśmiało i z rumieńcem.

— Przed Najświętszą Panną na intencję ozdrowienia pana Marcina.

— Proszę ojca Jakuba... oto na dwie msze, na jutro przed ołtarzem Najświętszej Panny i św. Marcela... a tu ojciec z łaski swojej kupi srebrne serduszko, przed Panem Jezusem zawiesi i porcelanowy dzbanuszek do kwiatów — rzekła dziewczynka wyjmując z woreczka pieniądze.

— Ano, moja dziecino pocziwa, ofiara wszelka miała Bogu i datku dla klasztoru nie godzi się mi nie przyjąć. Ale na co to razem wszystko: i mszę — i serduszko, i dzbanuszek?

— Kiedy ja proszę, ojciec Jakubie! Już za to komeżkę ślicznie uhaftuję.

— Ano, Bóg zapłać, panno Marcychno! Mnie, kwe-starzowi, w prostej komży najraźniej.

— Ajej, ajej, ajej! — odezwał się jęczący głos Marcelka.

Marcysia frunęła jak skowronek, zakonnik zwolna za nią poszedł.

Marcel, skrzywiony straszliwie, oparł głowę na rękę i łzy kręciły się mu nie na żarty. Na widok zakonnika skrzywił się jeszcze bardziej i jęknął.

— Jezus Maria! Co panu, panie Marcynie? — zawołała Marcysia.

<sup>1</sup> przekleństwo francuskie.

— Nic, *mille Marceline, de nouveau pas bien, pa.\ bien... Mais cela se passera*<sup>1</sup>. — Ach! co ja cierpię, et cierpię, kumie Szczepanie!

— Choroba to z tą chorobą, znowu źle — warkną Szczepaniak obcierając rękawem od koszuli pot i łzy z osmolonej twarzy.

— Ano, już zdawało się jakoś lepiej — wtrącił za konnik patrząc litośnie na Marcela.

— Gdzie tam lepiej! Jeszcze trzeba długo, długo cierpieć, i Bóg wie, *quand cela se Unira*<sup>2</sup>, *mille Marceline!*

— A, mój Boże, mój Boże! Uspokój się pan, panie Marcinie, doktor ma przyjść za chwilę. Może tymczasem znowu ziółek albo wody z sokiem — zagadnęła Marcysia z właściwą jej płci umiętnością w pocieszaniu i pielęgnowaniu chorych.

— *Non*<sup>3</sup>, *non*.

— Może by pan fajkę zapalił?

— *Non, merci!*

— Pan Marcin nie tylko osłabiony, ale czczy musi być bardzo... pewno dieta ostra — • wtrącił zakonnik przyglądając się mu baczniej.

— To może by kaszki?

— O, dziękuję, *mademoiselle!*

— E, zdaje mi się, można by upiec kuraka, to by nie zawadziło — wtrącił znów ojciec Jakub.

— Choroba tam, zawadzi! Za jakie trzy grosze głodzić się tak okropnie! — dobąknął kowal.

Na wspomnienie kurczenia mimo woli rozjaśniła się twarz cierpiącego, szybko ją przykrył rękami, jęknął

**1 znowu niedobrze. Ale to przejdzie.**

**2 kiedy się to skończy.**

**3 nie.**

ciszej... Wtem wszedł niespodzianie doktor. Był to wysoki jegomość, już siwawy, sporego wzrostu, żywych oczu i wojskowych ruchów.

— Co tu tego, co tu tego, jakby płakali nad umarłym, nie brak nawet i księdza! Opiekujecie się acaństwo i rozpieszczacie mi pacjenta za bardzo. Jakże tam wasanu? — zapytał biorąc go za puls. — Żarłoku, pijaku — dodał, zostawszy sam na sam — dziękuj Bogu, że tak tanim kosztem wypłatałeś się z biedy. Byłeś już w kuracji, oćpałeś się mięsa, mizerii zdmuchnąłeś salaterkę ze śmietaną, zalałeś to piwskim i w noc chłodną po deszczu wróciłeś do domu. A cóż to za strusi żołądek, co za nerwy z postronków, że cię to nie rozsadziło, pomieszawszy się z takim lekarstwem!

— Panie doktorze, panie doktorze! Tak mi się chce jeść, że rady sobie dać nie mogę.

— Przez tydzień jeszcze dieta: kaszka, trochę rosołu i jedna bułka, ani żdźbła więcej!

— Panie doktorze! zmiłuj się pan, nie wytrzymam! Strzeżże mnie, Boże, żebym kiedy zachorował!

Przytłumione szlochanie Marcysi zawtórzyło temu wykrzyknikowi z drugiej izdebki.

— Wstydź się wasan, do pioruna! Jak się będziesz po dziecinnemu napierał, to zakażę tej kuzynce pańskiej odwiedzać wasana, żeby cię czasem po kryjomu łakotkami nie pasła!

— Panie konsyliarzu dobrodzieju, choć drugą bułeczkę!

— Ani okruszynki!

— A ja nieszczęśliwy! — zawołał chory ze łzami.

Przytłumione, cichsze jeszcze szlochanie Marcysi słychać było pod drzwiami.

### III

W warsztaciku trumniarskim Józiak spracował się nad fugami i gzymsami dużej trumny, spoglądając tęsknie na okno od facjatki, gdzie z rana dwukrotnie twarzyczkę Marcysi obaczył. Zadumany, zgryziony, siadł na zydelku, oparł głowę o wieko i zdrzemnął się.

Sen w dzień przedstawia czasem przed skłopotanym umysłem wydatniejsze obrazy niż w nocy. Myśli, marzenia, chęci, co na jawie snuły się nam po głowie, powstają z gorączkową szybkością w dziwacznych scenach, bezładnie poplątanych.

Józiakowi śniło się, że wieko, na którym oparł głowę, nagle się podnosi i że leży przed nim w trumnie trup Marcelka, przeraźliwie błydy i opuchły, on hebluje boki trumny, a narzędzia wstrzymać nie może; skrzypiąc i piszcząc posuwa się ostrze po desce wilgotnej. Marcysia w grubej żałobie, z szyderczym uśmiechem patrząc na zmarłego, podaje Józiakowi rękę. Odwrócił oczy, ale gdzie tylko spojrzy, ten sam widok przed nim. Nareszcie trup otwiera jedno oko i podnosi głowę; chciał krzyknąć, ocknął się, a wspomnienia senne tak były żywe, że z obawą obejrzał się, czy gdzie przy nim nie leży.

Z okna na facjatce od podwórka wyrzał właśnie kum Szczepan, potem Marcysia obtarła chustką zapłakane oczy. Wychylił głowę na podwórze i chrząknął, nie spojrzawszy na dół, ku warsztatowi trumniarskiemu. Gorzko roześmiał się chłopczyna — i dzika myśl, niemile przedstawiona we śnie, co przedtem na jawie dokuczała mu, znowu poczęła majaczyć. A nużby pan Marceli umarł i u jego majstrowej obstalowano oczywiście trumnę! Kiedyś kum Szczepan i Marcysię tak go lubili; wprowadzili się Gulmańciewiczowie wszystko się zmieniło. Już widział, jak wybiera su



che sosnowe drzewo na trumną dostatnią... może by Marcysia, napłakawszy się, polubiła go znów po dawnemu...

Wtem z daleka posłyszał na klarncie wygrywane smętne melodie z *Biednego rybaka*. Wszystkie piosnki z tej komedii, tak ulubionej wówczas nie tylko od paradyzu, umiał na pamięć i za dźwiękiem instrumentu, na którym niezbyt fałszywie popisował się któryś z nadwiślańskich wirtuozów, szeptał sobie słowa piosenki:

**Kochaliśmy się wzajemnie  
Od dzieciennych naszych lat**

i tej, którą efektowo-rozpaczliwa myśl zakończyła:

**Nie wolno nawet biednemu  
Szlachetnego mieć uczucia.**

Rzewniej nieco ułożyły się myśli sieroty. W każdym sercu młodzieńczym, zamkniętym w sobie, bez wspomnień rodzicielskiej, braterskiej, pokrewnej pieczy, uczucie każde, złe lub dobre, potężnie się rozwija. Józiak ubóstwiał Pawła, nienawidził Marcelka, ale mu śmierci nie mógł życzyć, i przelotna myśl o niej, jakby bez jego woli, jakby tylko za poszeptem złego ducha jakiegoś kusiła go szyderczo. Nagle słysząc było w sieni jakieś szamotanie i jęk piskliwy. Syn majstrowej, dwunastoletni, rudy wyrostek **bił** i tuzował łokciem szczupłego *Stolarczyka* niemowę, **który** płacząc ukląkł przed nim, żeby mu dał spokój. Porwał się Józiak, ujął chłopaka za włosy i tymże samym łokciem, którym się pastwił nad kaleką, piętnaście odlewanych rudemu Fidryczkowi wyliczył, aż drżał warsztacik od krzyku i pisku.

Ująwszy się za słabszym i pomściwszy się za niego, zyskujemy ulgę dla dolegliwości własnej: chwilowe

zadowolenie serca wypogadza je także na chwilę. Joziak wziął się znów energicznie do roboty

— Ano niech będzie pochwalony!

— Na wieki, ojcze Jakubie! Zajdźcie do mnie na chwilę do warsztatu, ojcze kochany!

— Bóg zapłać, moje dziecko! Czas w drogę! — odparł zakonnik patrząc z okienka na obszerną, wilgotną izbę, zapchaną stolarskimi sprzętami, narzędziami, wiekami, spodami, podstawkami od trumien rozmaitego rozmiaru i gatunku, po której uwijał się mizerny, wybladły Józiak w podartej koszuli.

— A dla kogo tam szyjesz szlafrok, chłopczyku?

— O, to bogaty pan jakiś, ojcze Jakubie! Cała trumna, widzicie, jesionowa, trzy łokcie i ćwierć długości, pięć ćwierci szerokości, posyłamy zaraz do aksamitnika, żeby ją obił pąsowo ze złotymi galonami.

— Ano, rozsypie się aksamitna i lakierowana, jesionowa i sosnowa tak samo i robaki stoczą w katakumbach i w jeneralnym dole, Józiaku!

— Tak jest... ojcze! Już wam też dawno nie włożyłem nic do puszki, proszę.

— Ano, poczekaj, dam ci dwadzieścia dziewięć groszy reszty.

— Nie potrzeba.

— Skądże to znowu, chłopaczku, taki datek księżący?

— Widzisz, ojcze, i ja dzisiaj niespodziany podarek dostałem, i dziwna rzecz mi się zdarzyła.

— Ano co takiego?

— Powiadam wam, tak mnie już męczy i morduje dłubanie trumien, że rady sobie dać nie mogę. Kłamię na czym świat stoi, kiedy poszedł brać miarę na tę oto trumnę. Leżał sobie nieboszczyk w salce od ogrodu, widać, był tęgi, stateczny pan, jeszcze nie ubrany, na mahoniowym łóżku, okryty pysznym, czerwonym

aywanem. Kadzidło biło w nos, posadzka jak lód gładca i świecąca, a co za obicie, jakie meble! Na ścianach obrazy pięknych kobiet w złożonych ramach i na biurku palisandrowym kilka miniatur leżało. Trzech młodych panów, paląc fajki i cygara, wesoło rozmawiali po francusku i pili herbatę, służba kręciła się jakby nigdy nic, dzieciaczek z jasnymi, długimi włosami, którego służąca na paskach prowadziła, wołał ciągle: „Brzydki dziad śpi, brzydki dziad śpi!” Tylko pudel w nogach łóżka warknął na mnie. Tak mi jakoś *’al* było tego człowieka, co go nikt nie żałował, że gdy jeden z tych panów, wysoki, z ogromnymi wąsami, targuje się ze mną, powiadam sobie: „Nie ustąpię ani grosza.” Widać, rozgniewał się, chciał mnie odprawić i obstalować u kogo innego, wtem drugi pan, ze szkiełkiem w oku, przypatrując się mi bacznie, zaczął śmiać się i powiedział coś po francusku, wszyscy w śmiech i zawołali: „Jak dwie krople wody!” Wąsacz zapytał mnie, od kogo jestem, ile mam lat i jak się nazywam. Odpowiedziałem. Powtórzył coś parę razy: „Se possible!”<sup>1</sup>, dodał po polsku: „Mogło się to nieraz staremu diabłowi zdarzyć!”, kazał mi spojrzeć w lustro, potem na duży portret jeden.

— Ano — i cóż było na portrecie?

— Mężczyzna starszy ode mnie, we fraku z gwiazdą, de tak podobniuteńki — jakby ja sam, nawet miał takie znamię pod prawym okiem.

— Ano, trafi się to czasem takie podobieństwo, trafi.

— Ten pan wąsacz zawołał potem: „Anielo!”, i przyszła żona jego, w czarnej sukni, prześlizności kobieta, z takimi miłymi oczyma, że patrząc, aż raźniej człowiekowi. Była to synowica nieboszczyka, jak mi po-

**i to możliwe.**

tem ludzie powiedzieli, a przyjechała z mężem podczas choroby jego z Galicji. Poszepnęła jej do ucha, spójrzała na mnie, uśmiechnęła się, potem zarumieniła powiedziała coś żywo po francusku, że niby z niej zażartowali (tak mi się wydało), i kazała mi pójść z sobą. Zgodziła się zaraz na cenę, przynieśli mi szklankę kawy i ciasta. Zapytała mnie także o nazwisko o zajęcie; powiedziałem, że mi się już przykrzy trumniarstwo, że pan Sarmiewicz obiecał mi lepszą robotę zapytała, co to za pan Sarmiewicz; prosiła, żeby koniecznie trumnę na jutro wykończyć, i kiedym odchodził, dała mi pięć rubli mówiąc tak grzecznie: „Proszę to przyjąć ode mnie”, że jakoś zmieszałem się i nie śmiałem nic odpowiedzieć. Kiedym schodził ze schodów, jakaś kobieta, biednie bardzo ubrana, pyta mnie, czy już na katafalku leży nieboszczyk; odpowiadam, a ta w krzyk: „Wszelki duch Pana Boga chwali!”, i uciekła, jakby ją kto oparzył. Bardzo muszę być podobny do tego nieboszczyka. Ciekawym, czym tak podobny do mojego ojca, bo kum Szczepan to znał mojego ojca — był stelmachem na Faworach\*, potem zbiedniał i mnie oto do Dzieciątka Jezus oddał.

„Ano tak, ano tak! Niezbadane, dziwne sądy Boże... kto to wie — pomyślał zakonnik. — Słyszałem o nieboszczyku, straszny to był, odpuść mu, Panie, hulaka i rozpustnik aż do późnych lat, kto to wie!”

• — Powiadam wam, ojczy kochany, zmówiłem zaraz pacierz za duszę zmarłego u Fary, kupiłem sobie wisien, papieru pięknego i dwa obrazki świętego Józefa Oblubieńca, mojego patrona. A co to za przesłizności pani! Jak żyję, nic podobnego nie widzia-

<sup>1</sup> Majstrowie, mając w terminie chłopaczków od „Dzieciątka Jezus”, zwykle powiadają, że znali ich rodziców, żeby ich ochronić od szyderstw towarzyszków. (Przyp. autora.)

em. Panna Marcjanna trocha do niej podobna, ale  
O nie to.

— Jakże się ma pan Gulmańcewicz, ojczy Jakubie, idziecie, zdaje mi się, stamtąd? — zapytał Józiasz nie patrząc mu w oczy.

— Ano, co mu tam będzie!

— Był już podobno bardzo chory.

— E, gdzie tam!

— Pocziwa panna Marcjanna, że go tak z Jakubowa pielęgnuje, a widziałem, jak kum Szczepan płakał dziś na podwórzu — mówił ciszej Józiasz i zwolna, akby mu wyraz każdy z trudnością z gardła wychodził.

— Ano — miękkie ma serce pocziwe Szczepanisko, ale to uczciwości człowiek, daj mu tylko, Boże, aby ci, dla których jest tak szczery, byli również uczciwi!

— Oj, to prawda! Daj, Boże! — zawołał Józiasz i w oczach mu błysnęło ponuro.

— Ano — bądź zdrów, moje dziecko! Niech będzie pochwalony! Zajdę ja tu w tych dniach.

— Może już mnie nie zastaniecie, ojczy Jakubie!

— A to czemu?

— Już nie mogę wytrzymać, wiecznie dłużyć i dłużyć te trumniska. Pan Sarmiewicz będzie miał teraz pod swoim zarządem fabrykę jedną, obiecał mi, że i dla mnie znajdzie robotę, nim się zgodzę do innego majstra, gdzie przecie insza praca. Zresztą, ot, kum Szczepan jakoś krzywo na mnie patrzy, panna Marcjanna ledwie głową kiwnie... lepiej im zejść z oczu — dodał tłumiąc płaczliwe brzmienie głosu.

— Ano — moje dziecko, rób, jak ci się tam będzie zdawało najlepiej, ale tu cię już znają, ot i majstrowa dba o ciebie jakby o krewnego.

— E, niech ją tam z jej dbaniem i dobrocią! — zawołał niechętnie Józiasz za odchodzącym.

— Niech ją tam z jej dobrocią, a widzisz no go! — wrzasnął głos piskliwy i wtoczyła się opasła osobistość majstrowej, która ten wykrzyknik we drzwiach usłyszała. — Niech ją tam z jej dobrocią! A kiedyś tu przyszedł, gamajdo, odrapany jak ostatni łąch, bosi i jak cię Pan Bóg stworzył, może nie? kto ci to kazał z kapoty po nieboszczyku zrobić surdut, spodnie i kamizelkę kabrioletkę ze świecącymi guzikami? Co? A kto darował półkoszulek i dwie stare powłoczki... Co?

— Dobrze, dobrze, prawda, dajcie mi już pokój, moja majstrowo!

— Dajcie mi już pokój, a widzisz no go! To kiedyś był chory, nie przysłałam ci dwa razy za moje własne pieniądze rodzenków do szpitala u marcinkanek, czy wytrąciłam, co? To może Szczepaniak albo Marcysia, coś się tam mizdrzył do niej, niedojdo, bardziej dbają o ciebie, co? To mrzesz tu z głodu, nie masz gdzie głowy położyć albo roboty może za wiele, co? Zobacz no, jak tam Maciuś u Szczepaniaka pracuje, piecze i smaży się w ogniu! To nie trumny, co to gwizdząc na powietrzu robi się jak kluseczki!

— Dosyć już! proszę majstrowej!

— Dosyć już, widziałeś go! Albo to w ostatni wtorek nie byłeś ze mną i z Fidryczkiem na paradyzie, na *Gałganduchu*... co?

— Moja majstrowo, dajcie pokój, pókim cierpliwy!

— Pókim cierpliwy, widziałeś go! To ci nie płacę legurałniena na każdy fercentak<sup>1</sup>. To moja wina, że tam sobie zmarnujesz pieniądze na głupi papier i ołówki i bazgrzesz jak kura na piasku! Patrzaj go, jak zhardział! Chcesz iść, to ruszaj do stu par diabłów

**i czternastodniówka, dwutygodniówka.**



i nie pokazuj mi się na żywe oczy, ty niewdzięczniku, ty podrzutku nikczemny!

— Cicho, jędz! — wrzasnął Józia, ściskając pięść.

Zbladł, zadrżał, tylko mu oczy strasznie błysnęły i włosy jak sierść u kota podniosły się nad czołem. Majstrowe przeszło mrowie. Pierwszy raz, odkąd był u niej, wybuchła w gniewie i rozżaleniu z tyłu obelgami, a poczuła dotkliwość i niesłuszność, którą mu wyrządziła, i żałowała natychmiast popędliwości. Pierwszy też raz widziała rozgniewanego tak Józia. Twarz jego, często mile odbijając się w trzydziestoparoletnim spojrzeniu jej wdowim, tak jej zaimponowała cierpiącym i dumnym wyrazem, tak jej nie mogła po-

równać z twarzami prostych rzemieślników, jakia w życiu swoim widziała, że w osłupieniu i obawie nie śmiała ruszyć się z miejsca.

— Jeszcześ tu? Za drzwi! — zawołał i drżąc posunąć się ku niej.

Kobiecie łyzy gradem trysnęły z oczu, wyszła do pierwszej izby i głośno szlochać zaczęła, aż przechodniów kilku zajrzało ciekawie do sklepu.

Józiak tymczasem, uspokoiwszy się powoli, odpasa fartuch, wdział surdut, parę arkuszy zarysowanego papieru wpakował do kieszeni i trocha manatków w jeden węzełek związał, prawie szczęśliwy, że ma powód rozstać się raz na zawsze z Fidrykową. Zapomniawszy wobec chwilowego uniesienia o urazie do kuma Szczepana i do Marcysi, postanowił natychmiast opuścić warsztat trumniarski. Wyczyścił cybuch od fajki, którą przeznaczył na pamiątkę dla Maciusia, a małemu Józiewi-niemowię, co płacząc całował go po rękach, darował obrazek świętego Józefa Oblubieńca.

Wkrótce upakowawszy wszystko, nucąc sobie pod nosem jakąś pioszeczkę<sup>1</sup>, którą często u czeladzi warszawskiej można posłyszeć:

**Mazur ci to ja, silnie bogaty,  
Świecą się na mnie cudowne szaty,  
Koszul eczka dreliszkowa  
Dratwami szyta,  
Da dana!  
Dratwami szyta!**

**Pasik do tego, kunsztu cudnego,  
Z jęczmiennej słomy kutas u niego.  
I buciki z podkówkami,  
Bo to między Mazurami  
Nikt nie obaczy,  
Da dana!  
Nikt nie obaczy.**

itd.

<sup>1</sup> Niewiadomego utworu. (Przyp. autora.)



Wziąwszy manatki pod pachę, kij do ręki, dał jeszcze dwadzieścia groszy płaczącemu niemowie, dziesięć rudemu, grożąc, żeby ręki na słabszego nie podnosił nigdy; i w czapce na głowie wszedł spokojnie do sklepu, ostatecznie obrachować się z majstrową. Nie było jej. Kiedy zajrzał do sieni przez drzwi uchylone, Marcysia zbiegała właśnie z facjatki. Zoczywszy go stanęła i zawołała grzecznie:

— Dawnośmy się nie widzieli, panie Józefie, gdzie to pan idzie?

— • Nie wiem, proszę panienki, gdzie oczy poniosą.

— Jak to? Odprawiasz się pan od Fidrykowej — czy jak? Czyście się państwo przemówili? A tak, prawda! Słyszałam niedawno, toś pan pewno krzyknął, aż pan Marcin drgnął cały. A o cóż to poszło państwu?

— Tak tam o robotę, proszę panienki!

— E, przeproście się, dobra kobieta, taka panu życzliwa... będzie jej przykro.

— Nie gniewam się, ale żeby mi przyszło na bosaka tłuc kamienie, to już nie będę.

— I chciałeś pan odejść nie pożegnawszy się z nami? Czyśmy panu co złego zrobili, panie Józefie? Czy my nie życzliwi także? Chodź pan oto ze mną do ojca, to będzie najlepiej.

Józiak, obracając niezgrabnie czapkę w rękę, mimo woli, pod wpływem głosu Marcysi, co z tyłu słowami nie odezwała się do niego już od kwartału, chciał iść za nią, wtem dziewczynka wyjęła nagle srebrną pięcioletówkę z fartuszka.

— Mój najdroższy panie Józefie, nie gniewaj się pan, że pana mam prosić o jedną łaskę!

• — Co takiego? — zagadnął przyglądając się z niedowierzaniem pięcioletówce.

— Pobiegnij pan, mój panie Józefie, do kupca na

róg Zakroczymskiej i przynieś pan za dwa złote daktyłów i migdałów; rodzenków za sześć dydków \ a za resztę karmelków z cukierni — ale przynieś pan tak, żeby nikt nie zobaczył... mój najdroższy panie Józefie! To dla pana Marcina, a nie chcę, żeby się dowiedział ojciec albo Jakubowa, bo doktor kazał dietę jak najściślej zachować. Nie gniewaj się pan, mój kochany panie Józefie, tylko prędko! — zawołała patrząc nań wdzięcznie chabrowymi ślipkami...

Jak przedtem majstrowe na widok jego twarzy, tak teraz spojrzenie Marcysi mrowiem go od stóp do głowy przebiegło. Zgrzytnął zębami na wzmiankę o Marcynie, chciał coś odpowiedzieć, słowa uwięzły w gardle, porwał jej z ręki pięcioletówkę i wybiegł jak szalony na ulicę.

— Panie Józefie, co panu? Czemu pan tak zbłądłeś? — wołała za nim dziewczynka, ale Józiatek już był daleko.

W mgnieniu oka przebiegając tam i nazad przestrzeń od Głębokiej do rogu Zakroczymskiej, postanowił tym uporczywiej wydalić się raz na zawsze z domku przy ulicy Głębokiej, a przynajmniej z tych stron. Znowu mu grały dzikie jakieś myśli, błądliwy trup Marcelka wyciągnięty w trumnie, którą on heblował, i zapłakana Marcysia, w grubej żałobie, z szyderczym uśmiechem podała mu rękę.

Wpadł nagle do sieni z pomiętoszonymi bakaliarnymi w rękę, Marcysia stała za rogiem nieco zadumana. Obojętniejsze oko dojrzałoby śladu kilku łez obtartych na rumianych policzkach.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję, panie Józefie —

**1 trzydzieści sześć groszy. Dydkiem nazywano monetę sześć groszową.**

rzekła z cicha, oglądając się lękliwie na przymknięte irzwi od sklepu trumniarki. Uścisnęła mu rękę i pobiegła szybko po wschodach na facjatkę.

Józiak w sklepie zastał majstrową, kuma Szczepana i Maciusia, który się na procesję siarczyście wystroił w długą, granatową kapotę z krótkim stanem, żółtą, króciuchną kamizelę w kwiaty i czerwoną chustkę od nosa miał na szyi.

— A choroba... zaczyna się coś źle dziać u nas... tam choroba, tu swary!... Słuchaj no, Józiak, nie bądźże głupi, złóż oto manatki do kufierka, przeproś majstrowe, która z takim hukiem wpadła na górę... Myślałem, że to gore albo że Fidryczkowi przytrafiło się co złego, aż się pan Marcin za głowę złapał — rzekł kum Szczepan.

— Już nie gniewam się na majstrowe.

— No, to zostań, Józiak, kiedy ci dobrze! Wszyscy cię szczerze lubimy.

— Zo-o-stanie u maj-stro-stro-wej pocz-ci-ci-wa! — dodał Maciuś obejmując go ręką.

— Nie zostanę.

Trumniarka, której twarz zaczęła się już wyjaśniać, drgnęła lękliwie i nie śmiała spojrzeć czeladnikowi w oczy.

— Bodaj cię też, Józiaku, najjaśniejsze piorunczki nie zatrzaskały! Cóż ci znów do łba wlażło? Toć zdarzy się pokłócić, ależ odpuść nam nasze winy, jak i my odpuszczamy.

— Jak was z duszy, serca poważam, kumie Szczepanie, że nie mam zawziętości do majstrowej, ale zostać nie mogę.

— Upa-rty Józiak, ale ucz-ci-ci-wy. Trudno i wi-Izi-dzisz o cze-ladnika dobrego za-za-raz, a ro-ro-bo-ty luk — wtrącił Maciuś.

— Przepraszam, mój panie Józiaku, uniosłam się noże, ale nie dokuczaj mi za to, daruj, zostań choć do pierwszego, Józiaku! Jesteś już parę lat u mnie, uważam cię jak za swego krewnego — zawołała płacząc w majstrowa.

— A, choroba... żebyś się nie udobruchał, dalej, zgoda święta!

— Zostaję do przyszłego fercentaku, potem, żeby pioruny trzaskały, już nie wrócę.

Szczepaniak, Maciuś i majstrowa porozumieli się oczyma, że kiedy dał się nakłonić na dwa tygodnie, to potem łatwiej na dłużej. Ni stąd ni zowąd zjawiła się gorzałka i piwo, salceson i chleb na trumnie. Gospodyni na zgodę raczyła wszystkich uprzejmie... a chcąc sobie lepiej ująć Józiaka, gwałtem zmusiła go, żeby przyjął w podarunku kapelusz po nieboszczyku Fidyryku, jej mężu, który lat temu piętnaście, jak go kupił do ślubu. Kapelusz cokolwiek mu na nos zachodził, diabli wiedzą, jakiego kształtu, ale jeszcze nie bardzo był wytarty. Ustrojony więc tak pierwszy raz w życiu po pańsku, Józiak z Maciusiem poszedł na procesję.

#### IV

Grulmańcewiczowa wśród licznych ubolewań nad chorobą jedynaka, żałości, że tak późno dowiedziała się o niej, przestróg macierzyńskich, aby zdrowie szanował, przy końcu wyraziła się w liście do syna, z czterech stron zapełnionym wyraźnym, męskim pismem, a pod względem kaligrafii i ortografii wzorowym:

„Piszecie mi — ty i ten półgłówek Paul — o Szczepańskich. Mon *cher eniant* \ są to bez zaprzeczenia

**i moje drogie dziecko.**

joczcwi i bardzo nam życzliwi ludziska. W czasie lieszczęszej choroby dowiedli, jak potrafiliśmy zobowiązać ich i ile mają dla nas szacunku prawdziwego. Powtarzam jednak, że nie daruję Paulowi, czemu mi o tym sztafetą nie doniósł, we dwadzieścia cztery godzin zjechałabym do Warszawy i obeszłoby się bez opieki obcych osób. Teraz, dobrze znając Marcelka, odgaduję i widzę, jak wszystkie chwile wolne przepędzasz ustawicznie na dole. Niezawodnie, powinieneś im okazywać wdzięczność, dziwnym byłoby sprzeciwić się dobremu twemu sercu, ale za młodemu, za żywemu. Bez zastanowienia i taktu wszystko może pójść jak najgorzej.

Nie zapominaj, *mon cher enfant*, że pod wpływem wdzięczności można nieraz posunąć się za daleko i dopełnić więcej złego niż dobrego zobowiązując się do rzeczy, których następnie trudno dotrzymać; a kto dba o opinię pocziwego człowieka, powinien każdego słowa dotrzymać. Ciągłe powtarzałam Marcelkowi, że w stosunku z ludźmi niższej klasy nie można być dosyć ostrożnym, a rachuję na twój rozsądek, *mon cher enfant*, że radę szczerze kochającej matki pojmiesz i właściwie ocenisz jej pobudki. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś oprócz lekcji odwiedzał ich nawet codziennie. Owszem, bywaj, ale nie przesiaduj, nie przesiaduj, szanuj się, *mon Marcel!* Nie można tak ciągle być na zawołanie lada czyje, drogiego czasu szkoda, egzamin trzeba by zdać koniecznie, *mon cher Marcel*, a to praca nie na żarty. Prócz tego nie trzeba napominać o nowych twoich znajomościach w Warszawie. U pani Budowniczej pewno nie byłeś jeszcze po ozdrowieniu, przesyłam ci list od jej siostry, pani Intendentowej, którą tu poznałam, a ode mnie sarnę. Ubierz się pięknie, weź brylantową szpilkę i dewijkę po ojcu. Pisałam do państwa Jabłuszków, żeby

ci ją dali na ten dzień, możesz nawet z początku ox pani Budowniczej odezwać się kilka słów po francusku. Panu Budowniczemu pokłonisz się ode mnie jai najuniżeniej i oddasz mu wraz z bilecikiem te cztery buteleczki stuletniego miodu, które nabyłam dosyć tanio. A proszę Marcelka, żeby szanował zdrowie i nie jadł tak dużo, bo to w obcym zwłaszcza domu bardzo nieprzyzwoicie. Proszę pokłonić się Szczepańskiemu podziękować mu za grzeczność, a pannie Marcjannie oddać ten bilecik. Piszę nadto do pana Baltazara, żeby ci udzielił 120 złotych. Tylko oszczędnie, *mon cher eniant*, pamiętaj, żeby ci do mojego przyjazdu starczyło..." itd., itd.

Pan Jabłuszko kancelaryjnym, wprawnym charakterem pisał między innymi do pani Gulmańce wicz:

„Jak pani Kontr. Dobr. już wiadomo, wystąpiliśmy przeciwko kuratorowi spadku i W. Sebastianowi Szpagatowicz, dziedzicowi Suchej Rękawki. Konkluzji z panem adwokatem ułożyliśmy jak najwyśmienitsze i pozwy doręczwszy, uzyskaliśmy w Trybunale wyrok połączenia. Ale choć czasem najpewniejsza z najpewniejszych sprawa, trzeba więcej zabiegów i staranności dołożyć niż przy innych mniej uzasadnionych pretensjach.

Zapewniam panią Kontrolerową najświętszym słowem honorowym, że odkąd zajmuję się prawnymi interesami, nie pamiętam, abym potrzebował robić tyk zachodów, zaglądać do tyłu miejsc i trafiać do tyli osób. Zdrabowaliśmy<sup>1</sup> co do świsteczka najmniejszeg< nie tylko Archiwum Wiskie i Archiwum Akt Dawnyel w Siedlcach, ale Bóg wie nie jakie archiwa — i przy było nam kilka dokumencików, jeszcze ważniejszycł

**i przczszperaliśmy, przewertowaliśmy.**

jd tych, które miałem zaszczyt komunikować pani )obr. podczas jej pobytu w Warszawie. Między innymi znowu akt graniczny z 1773 roku, *die quai ta mensis ieptembiis in fundo bonoium*<sup>1</sup> Sucha Rękawka w przy- omności znakomitych dygnitarzy ówczesnych oraz za przywołaniem dzieła<sup>2</sup> przez opatrzego Mateusza Wardziak, Ministeriali Regni Generali<sup>3</sup>, brzmiący jak najdokładniej: że granicę Wilczego Dołku jeszcze 0 kilka staj na gruncie Suchoj Rękawki, wówczas, jak pani Kontrolerowej wiadomo, do familii Grzmilaw- skich należącej, za dąb, kopce i wierzbę posunąć trze- ba, *usque ad boium* — aż do boru.

Tak więc na Szpagatowicza wynależliśmy kilka ka- pitalnych dowodów, z których nam się nie wyśliznie tak łatwo, a które go wcalutenieczko nie ucieszyły. Zawierz mi pani Dobr., że dokumenciki te rozmaite, po których wyjęcie sam z Warszawy musiałem wyda- lić się i dopilnować, nie obeszyły się oczywiście bez kosztów, acz nie tak znacznych, jakby pani Kontr. Dobr. mogła przypuszczać.

Mam przy tym zaszczyt donieść W. Pani Dobr., że sam udałem się na grunt Suchoj Rękawki, czyli Wil- czego Dołku, w najprześlicniejszej pozycji nad Narwią egzystującego, aby wyszukać świadków, mo- gących poprzeć zwycięsko, jak powiada pan adwokat, fundamentalne żądania nasze. Jakoż, stosownie do te- go, co powyżej nadmieniłem W. Pani Dobrodziejce, udało mi się wynależć: Józwa Trąbę, zapewne potom- ka tego, co to świadczył w akcie granicznym z 1752, i Jakuba Ziarek, gospodarza osiadłego przedtem w Su- choj Rękawce. Ponieważ atoli rzeczony Ziarek sprze- dawszy gospodarstwo wydalił się w Augustowskie, a Józsiak Trąba poszedł za zarobkiem, zapewne do

**1 dnia czwartego, miesiąca września, na terenie dóbr...**

**<sup>2</sup> tu: sprawy.    3 woźnego trybunału.**

Warszawy, zatem usilnie zajmuję się wyszukaniem tychże, czego nie wątpię, że potrafię dokazać wkrótce chociaż to potrzebnym nam już tylko będzie do rzu- cenia ostatecznie światła na sprawę, o której poczy- tuję sobie za prawdziwy zaszczyt i przyjemność naj- przyjemniejszą donieść pani Kontrol. Dobr., że w Try- bunale najkompletniej wygraliśmy, a to w ten sposób: Wprowadziliśmy sprawę ocznie, kurator i Szpagato- wicz stawili się. Jestem nie wiedzieć kim, pani Dobr., jeśli eks-komornik, dzisiaj Jaśnie Wielmożny dziedzic Suchej Rękawki, ufny w pieniądze i stosunki, nie był- by się dał zarżnąć, że nas z kwitkiem odpała.

Jednak jak diabeł święconej wody, bał się wizji ne gruncie, której domagaliśmy się usilnie, a która pod- stępną jego samowolność dowodnie dokazać i zniwe- czyć potrafi.

Uzyskaliśmy nareszcie, pani Kontr. Dobr., uzyska- liśmy wyrok przedstanowczy, «wizję sądową na grun- cie nakazujący, celem wynormowania faktów do inkwizycji i opinii biegłych strony do oddzielnego wpisu odsyłający: zaś do odebrania od biegłych przysięgi, wyprowadzenia inkwizycji i odbycia wi- zji podsędka właściwego delegujący; zawyrokowa- nie co do kosztów do stanowczej rozprawy zawie- szający\*.<sup>1</sup>

Zdaje się, łaskawa pani Kontr. Dobr., żeśmy niemało dokazali i że śmiało możemy powiedzieć: zwycięskie zwycięstwo!

<sup>1</sup> We wszystkich szczegółach ściśle technicznych lub budowni- czych radziłem się zdolnego architekta; we wszystkich kwestiach prawnych, uwydatniających tło, na którym rozwija się gra roz- maitych charakterów tej powieści, zasięgałem zdania specjalnego, biegłego prawnika; do dokumentów zaś z pocieszną łaciną wzię- łem wzór z akt dawnych Głównego Archiwum, gdzie zawsze tak chętnie i gościnnie udzielają każdemu żądanych objaśnień. (Przyp. autora.)



Aczkolwiek motywów wyroku szczegółowo obawiam się pani Dobr. listownie komunikować, z powodu zbytecznej ich rozciągłości, atoli pewność najpewniejsza, że taka prawniczka jak pani Kontrolerowa po powrocie do Warszawy z pewnością je od deski do deski przeczyta; w ogóle jednakże nadmienię, że Trybunał podzielił zasady, z których występowaliśmy, a z jakich główna opierała się na art. 559 Kodeksu Cywilnego. Wprawdzie mogliśmy się nieco obawiać prekluzji<sup>1</sup> rocznej, płynącej z tegoż artykułu, ale jakkolwiek mieliśmy na pogotowiu dzielne argumenta na odparcie tego pozornego zarzutu, czerpane głównie ze złej wiary artykułu 1382 Kodeksu Cywilnego i argumentu *a contrario*<sup>2</sup> (jak go nazwał pan adwokat) artykułu 556 oraz następnych tegoż kodeksu, z najoczywistszych najoczywistsza, że Szpagatowicz i kurator musieli uznać płonność takiej obrony, gdyż wcale takowej nie przywodzili.

Ośmielę się dodać, pani Kontrolerowo Dobr., że zwycięstwo nasze nie tylko się na tym skończy i prawie liczyć można, a przynajmniej ja bym zaręczył honorową moją poczciwością, że apelacja wyrok pierwszej instancji jak najsolenniejsz potwierdzi.

Tak więc ponieśliśmy wprawdzie, pani Kontrolerowo, kosztów blisko do czterechset rubli, to jest 391 rs kop. 55 i V2, z których najskrupulatniejszą likwidację obocznie tu dołączam. Raczy pani Dobr. łaskawie zwrócić uwagę: co to znaczy kwerenda<sup>3</sup> rozlicznych dokumentów w tyłu i tak odległych miejscach, którą po największej części sam zając się i odbyć musiałem.

**1 terminu ostatecznego, do którego wolno wnosić apelację.**

<sup>2</sup> **przeciwnie.**

<sup>3</sup> **poszukiwanie.**

Ile to kosztów, ile mozołów! Jestem nie wiedzieć kim, że kto inny umyłby ręce i polikwidowałby znacznie więcej — ale będąc tyle winien państwu dobr., miałem sobie za najmiłą i najświętszą powinność dać nowy dowód pani Dobr. rzeczywistego szacunku, wdzięczności i czci dla wysokich cnót i nauki — nic prawie za pracę moją nie żądając, a poprzestając li tylko na tym, co rzeczywiście zapłacić byłem zmuszony.

Nie wchodzę nadto w niezliczone koszty wpisów, stempli, wyroków, doręczeń itp., bo pani Kontrolerowa wiesz sama aż nadto dobrze, ile to kosztuje, ale napomknę, że panu adwokatowi musiałem wyliczyć rs 120, sumkę nader małą w porównaniu tej, jaką by od innej klientki w tak trudnej a zawiłej sprawie zażądał. Łaskawość, jaką mnie ten zasłużony mąż zaszczycać raczył, dawna znajomość i wspaniałomyślne serce skłoniło go zapewne, że przystał na takie skromne honorarium: za wymowną, rzewną i gruntowną obronę, której koledzy jego jednozgodną pochwałą oddali. Aczkolwiek koszty są niby znaczne jak dla nas, śmiem twierdzić, że sownie jesteśmy wynagrodzeni i ręczę, że pani Dobr. nie spodziewała się, aby się tylko na tym skończyło. Co do mnie, własnym oczom nie chciałem wierzyć i przypisuję to szczęściu naszemu. Nie omieszkiałem natychmiast zawiadomić o szczęśliwym wypadku poczciwego wierzyciela naszego, Szczepana Szczepaniaka, którego radość łatwo sobie pani Dobr. wyobrazisz. Resztujące 150 rs, z których Wielmożna pani Dobr. sto raczyłaś zatrzymać u siebie, nie mogą na długo wystarczyć do popierania sprawy naszej, której tylko jedniuteńka okoliczność zagraża: może się nieco przedłużyć. Jak najenergiczniej powinniśmy ją teraz agitować. Przyznasz pani, że będąc najpewniejsi swego, murowanie pewni, najgorzej pojmo-

walibyśmy nasz interes, wbrew korzyści własnej postąpili i nieprzyjaciółmi własnymi zostali, gdybyśmy wchodzić mieli w jakiegokolwiek układy ze Szpagatowiczem, do których, dowiaduję się z boku, że dosyć jest skłonny. Jutro, ale nie dziś, pani Kontrolerowo, nauczymy go, jak to mówią: gwizdać po kościele. Niespodziana choroba pana Marcelego serdecznie nas tu zmartwiła; skarż mię, Boże, jeśli żona moja nie płakała jak dziecko, jak bóbr, pani Kontrolerowo! Wracając od nas z wieczorku zaziębił się nieco kochany pieszczošek (jak go Domcia nazywa) i musiał tak długo za to odleżeć w łóżku, a tak daleko od środka miasta i od nas, jego naturalnych przyjaciół. Mamy pokoik jeden, niewielki wprawdzie, ale czyściuteńki i byłoby mu u nas wygodniej, ale gdzie go tam było w chorobie przenosić. Teraz, dzięki Bogu Najwyższemu, zdrów już zupełnie, wygląda jak rydz i był łaskaw nas odwiedzić. Donoszę pani Dobr., że mu zaliczyłem ośmdziesiąt złotych bez żadnego rewersu, na proste słowo honorowe, które u mnie w ustach tak czcigodnego młodzieńca więcej znaczy niż wszystkie podpisy" itd., itd.

v

Marcelek, przeczytawszy list matki, zeskoczył z sofki na równe nogi, gdzie podczas upału po obiedzie spoczywał, szybko wdział surdut i już zbliżał się ku drzwiom, lecz spojrzawszy na kobiałkę, na cztery miluchne koreczki, wyglądające spomiędzy sianka, mimo woli zatrzymał się, połknął ślinkę raz i drugi. Wyjął nagle bilecik do pana Budowniczego, ścisnął w palcach i, zbliżywszy do oka, wyczytał z uśmiechem nie do opisanania, że ilość butelek nie wymieniona. „Poczęstować kuma Szczepana albo Pawła? — zapytał się w myśli —

a strzeżże mnie, Boże, zaraz by dowiedziała się mama, jak przyjedzie. Tam zanieść także nie można dla tej samej przyczyny, a więc buteleczka jedna stłucze się, jeżeli mama zapyta *notabene*."

Wydostał szanowną babuleńkę w futrzanej jubce z pleśni i bez wahania z markierską zręcznością wyjął korek grajcarkiem. Nie lubował się wonią, bo był za młody na smakosza; ale za to w mgnieniu oka średni kieliszek starego miodu wysączywszy, zakorkował i upatrywał już miejsce do schowania, gdy usłyszał głos poza sobą:

— A m a r m u z e l Jakubowy nie poczęstuje pan Marcin? Jakubowa w chorobie warzyła ziółka, doglądała, a de *l'aigent*<sup>1</sup> nic, nic, pa su, ę su<sup>2</sup> na tabaczkę.

Zarumienił się Marcelek odwracając się od eks-wiwandierki, która przez okno w kuchni dojrzwawszy przypadkiem całej tej operacji, stanęła we drzwiach nie postrzeżona. Nalał jej kieliszek niechętnie.

— Przenajstodsza Panno Sokalska! Cóż to za kordiałek, mój króliku! Di wę tre ba.<sup>3</sup> Daj ci Boże setne latka, moje złotko! — zawołała całując go w ramię. — Chodź oto pan Marcinek do nas na dół, kum Szczepan poszedł na sesyję do cechu, Marcychna sama siedzi, a takie smętne biedactwo, że aż się serce kraje. Kupiłyśmy garczek poziomek i Marcychna prosi pana.

— Jakubowa! Już wam dam zaraz na piwo, nie powiadajcie tylko przed nikim, że piłem, bo jeszcze nie wolno po chorobie.

**1 srebro, pieniądze.**

<sup>2</sup> **ani grosza.**

**3 wino bardzo dobre.**

— A przynajmniej Imię Jezus! czyż to mam język jak paparzynę i zaraz pytluję albo co? Panie Marcynie, jak pan przed nikim nie powie, to panu także coś powiem.

— *Parole*<sup>1</sup>, że nie powiem.

— Byłyśmy dziś z Marcychną u kabalarki na Piwnej ulicy, kabała jakoś niedobra, w liście przyjdzie zła dla niej nowina. Jest amant, co ją kocha, ale przeszkód i nieprzyjaciółek jak mrowia. Dlatego też smęci się panieneczka. Chodźmy ot! A Panie Święty, cóż mi to paniczyk nalał, a dyć pułap kręci się nade mną i pod nogami wywraca się wszystko. Oj, wstyd starej Jakubowej, wstyd! Przenajświętsza Panienko! Właśnie temu rocznica, jak mi córka umarła, biednej sierocie! Co to ludzie powiedzą! Co to ludzie powiedzą! — zawołała baba odchodząc z płaczem.

Marceli wszystko to za ledwie piąte przez dziesiąte rozumiał, izdebka na facjatce tańczyła z nim także, w głowie przewracało się; miał jednak tyle przytomności, że wynalazł konewkę z wodą, zlał sobie głowę i adamaszkową kołdrę mamy, odpoczął potem nieco — i dziwnie rozogniony a rezolutny, nasadziwszy kapelusza na bakier, zeszedł na dół.

Marcysia siedziała w okienku od Wisły, między kwiatkami, w sukieneczce białej. Pomiętoszone *Przygody Telemaka* leżały na kolanach; ręką, wcale nie drobną, którą po łokieć widać było, ale pulchną, różową, gdzie drgania błękitnych, wykwintnych żyłek nie dojrzałeś, ale czułeś, że krew zdrowo i czysto krążyła, podparła główkę jasnowłosą i drzemała. Smutek, obawa marząca, o której wspomniała Jakubowa, cisnęły na jądrne, rumiane jej lice jakiś odcień delikatniejszy, niezgodny z nim, a mimo to wdzięczny. Salaterka po-

<sup>1</sup> słowo.

ziomek, przyprawionych cukrem i śmietaną, a prz<sup>^</sup>niej dwie łyżki leżały na dębowym stole, nakrytyn nieśmiertelną serwetą w kwiaty. Marcelek trocha niepewnie stanął na progu, zapomniawszy zdjąć kapelusza, małe jego oczki zatrzymały się ogniście, namiętne na salaterce poziomek, potem dopiero pobiegły ku drzemiącej uczennicy.

Niepohamowanym wiedziony popędem, uchwycił łyżkę, zanurzył ją kilka razy, połknął chciwie — i uczuwszy chwilowe rozrzewnienie w sercu, co się tam z żołądka przeniosło, stanął rumiany jak burak, z pałającym okiem, z ustami powalanymi poziomkami i śmietaną nad drzemiącą Marcia. Spod jej usteczek rumianych, na wpół otwartych, tak białe wyglądały zęby, gładkie czoło w wieńcu warkoczy pochyliło się we śnie... Marcelek wahał się przez chwilę, nagle zbliżył wargi do ramienia śpiącej i powalał je śmietaną. Marcysia obudziła się; z rumieńcem wstydu i gniewu odskoczyła od niego.

— Panie Marcinie! To niegrzecznie!

— *Marcel, Mademoiselle!* A strzeżże mnie, Boże, czym chciał popełnić niegrzeczność! Proszę mi wybaczyć, *excusez, pardonnez à moi*<sup>1</sup> — zawołał energicznie — i mimo uporu uchwyciwszy jej rękę, ucałował kilkakrotnie pulchne paluszki, przy czym kapelusz spadł mu na ziemię. Dopiero teraz spostrzegł się na wpół, że przytomność uwięzła mu w kieliszku starego miodu — i nieodrodnemu potomkowi Barbary z Kalbfleischów zamajaczyła obawa, aby nie uchybić, nie ośmieszyć swojej godności. Podniósł kapelusz i krokiem podwójnym, jakby [go] kto gonił, wymaszerował na ulicę.

<sup>1</sup> **przepraszam.**

— Panie Marcinie, a poziomki? Mąsje Marcel<sup>1</sup>, mąsje Marcel! — wołała zdziwiona Marcysia, nie wiedząc, czy się gniewać na niego, że nie wraca, czy na siebie samą.

Nauczyciel jej tymczasem, zasadziwszy znów kapelusz na bakier, ścigle i gimnastycznie zbiegł ze schodów brukowanych od kościoła Panny Marii na Rybaki. Pędem pobiegł nad Wisłę, gdzie go gwałtowna chęć ochłody ciągnęła, i szczęściem, niedaleko stamtąd zoczył czółno wracające z Pragi i gromadkę ludzi na

**i panie!**

brzegu. Przyłączył się do nich, z niepospolitą odwagą wskoczył do czółna, przewiózł się na tamtą stronę do galarów — i wkrótce, nurzając się z upodobaniem w wodzie, której zazwyczaj nie bardzo lubił i kąpieli nie tak często używał, przytłumił żar straszliwy, co mu krew burzył i w łepetynce okrągłuchnej kotłował szalenie. Tylko z lekkim bólem głowy i ociążałością wróciwszy przez most do Warszawy wstąpił do Pawła.

Samotnik siedział w klatce swojej na trzecim piętrze, przed szczupłym stoliczkiem, pochylony nad rajzbretem, na którym projekt budowniczy energicznie wykończał. Pracował on nie na żarty — i to nie wyjątkowym sposobem, ale bez przerwy.

Wkrótce miał ubiec trzeci rok aplikacji u architekta, konduktorski egzamin<sup>1</sup> chciał zdać sumiennie i wzorowo, a wiadomo, że przygotowanie do tego wymaga wytrwałości żelaznej i większej pilności niż w wielu innych zawodach. Tyle przedmiotów znać potrzeba dokładnie, z tylu szczegółów umieć zdać sprawę przed drugim, a mianowicie też przed sobą samym.

Dla człowieka specjalnego niedokładne obznajmienie się z jakim przedmiotem ważniejszym w zakresie dlań potrzebnym — jest to szczyrb, co się z postępem lat powiększa coraz bardziej i nareszcie przemieni się w rów szeroki, który chyba tylko nadzwyczajna zdolność zdoła czasem przeskoczyć od razu, bez obawy upadku.

Paweł rozumiał to aż nadto dobrze, i dlatego też od wyżyn artystycznych do drobiazgów linearnego rysunku, od wyższego technizmu aż do najdrobniejszych

**i egzamin na konduktora, tj. pomocnika inżyniera. Konduktor miał nadzór nad robotami na budowie.**



wiadomostek mechanizmu warsztatowego — badał wszystko z cierpliwością tak usilną, że u nas, gdzie jej niestety tak nam brak często, ona jedna świadczyć by już mogła o niepospolitym jego charakterze, jeśli nie umyśle. Praca taka musiała też wydać plon obfity. Prędkie czytanie rysunku, trudniejsze pewno od grania z nut *prima-vista*<sup>1</sup> (bo tu trzeba od razu objąć wszystko, szczegóły zespolić w całość, ocenić efekt ze względu na wymiary przedmiotu i przestrzeń okalającą go, słowem, prócz bystrego pojęcia, żywej wyobraźni trzeba mieć tyle rozmysłu i znanstwa), przychodziło mu z łatwością, zadziwiajączą starszych kolegów i przełożonych, wróżących o jego przyszłości jak najpiękniej.

Samotnik nie lubił, kiedy mu kto pracę przerywał, należał do ludzi, co albo gorzkim doświadczeniem przekonują się, albo też pobożnym przecuciem odgadną, że to najlepsza przyjaciółka, a towarzyszka konieczna, do której tym więcej przywiązujemy ceny, im poważniej się nią zajmujemy.

Do stryjecznego jednak brata uśmiechnął się szczerze i przywitał go serdecznie — z obfitością wyrazów, co by zastanowiła każdego z jego znajomych.

— A to mi gość prawdziwy! Zalażłeś przecie do mnie, a godziło się choć pokazać po ozdrowieniu. Wy tłumaczyłem cię przed Witruwiuszem i zaręczyłem, że od przyszłego poniedziałku będziesz chodził znowu jak najpilniej do biura. O to więc bądź spokojny!

— Najspokojniejszy jestem, Pawełku!

— Ale od przyszłego poniedziałku trzeba się wziąć znów energicznie do roboty.

<sup>1</sup> z pierwszego rzutu oka.

— Strzeżże mnie, Boże, żeby nie!

— Czymże służyć takiemu gościowi? Wypal tymczasem choć fajkę, a potem pójdziemy na lody albo na herbatę.

— *Meici, pour mille fois meici* \ kochany Pawełku, jesteś pocziwy jak zwykle. Co to za tytoń, besarabski? — zapytał skrzywiwszy się nieco.

— Nie smakuje ci?

— Owszem, owszem, Pawełku! Mam do ciebie prośbę... Powiedz mi, ale to szczerze, po bratersku, czy te sto dwadzieścia złotych polskich, coś mi dał podczas choroby, mama naprawdę przysłała, jakieś mi mówił, czy też to z twoich pieniędzy?

— A gdyby z moich?

— To bym cię prosił jeszcze o czterdzieści złotych, jeżeli możesz. Dam ci kwit na sto sześćdziesiąt, a mama po przyjeździe zwróci z podziękowaniem.

— Co ci się tam śni z kwitem! Żałuję tylko, że czterdziestoma nie mogę ci służyć, oto cała moja kasa! — odparł Paweł wyjmując cztery ruble z szufladki. — Jeżeli ci koniecznie potrzeba, weź trzy, mnie na jutro jeden wystarczy, a pojutrze dostanę pieniędzy.

— Strzeżże mnie, Panie, żebym cię miał ogołacać, ale kiedy powiadasz, że pojutrze dostaniesz, wezmę od ciebie trzy ruble, kochany Pawełku, bo mi bardzo, ale to bardzo gwałtownie potrzeba, *et pardonnez a moi, mon cher Paul*<sup>1</sup>, że zaraz odejdę. Dałem słowo szewcowi, że mu dziś zapłacę, a takim ludziom nie lubię się zadłużać. Do widzenia, Pawełeczku, zajrzyjże do mnie przed poniedziałkiem!

Wyszedłszy od Pawła skrzywił do rękawicznika i ku-

<sup>1</sup> dziękuję, tysiąckrotnie dziękuję.

<sup>2</sup> i wybacz mi, mój drogi Pawle.

pił sobie dwie pary rękawiczek, potem do składu perfum, gdzie nabył małą buteleczkę „millefleur”<sup>1</sup> i słoik pomady — stamtąd do cukierni, gdzie zjadł trzy filiżanki lodów i kilkanaście ciastek. Z trzech rubli pożyczonych od brata zostało już tylko parę złotych, ale Marceli miał jeszcze w woreczku kilka swoich rubli. Zaszedł potem do szewca, nową parę butów obstał — i przymierzywszy u krawca tużurek, już na wykończeniu, zwolna zwrócił się przez Stare Miasto ku Mostowej ulicy, wszedł do sporego domu dwupiętrowego, gdzie w oficynie na dole mieszkał szanowny Baltazar Jabłuszko.

— Ach! pan Marcel, pan Marcel, mężu! — zawołała radośnie Domicela z Papierowskich Jabłuszkowa, kiedy Marceli wszedł niespodzianie z kuchni do bawialnego pokoiku o posadzce froterowanej, firankach, z meblami dosyć modnymi. Na komodzie pod lustrem stał pyszny zegar antyk, co by nie zawstydził marmurowego kominka w możliwym jakim apartamencie; nad fortepianem wisiało parę niezłych kopii z Ruizdała<sup>2</sup>, w ramach grubo złożonych; na przeciwnej za to ścianie, po obu stronach szafy, pewno dla braku miejsca gdzie indziej tu postawionej, znane sztychy Grevedona<sup>3</sup> pięknych kobiet.

— A padamże do nówek pana budowniczego dobrodzieja — odezwał się Jabłuszko wstając w drugim pokoju sypialnym od biurka i na gwałt zdejmując letni szlafrok, na co Marceli w żaden sposób nie chciał zezwolić. — • Wiem, wiem, raczyła do mnie pisać

**1 gatunek perfum.**

**2 Jacob van Ruisdael (1628—1682) — malarz holenderski, jeden z największych pejzażystów świata.**

**3 Pierre Louis Henri Grevedon (1776—1860) — słynny malarz i litograf francuski, cieszył się w owym czasie wielkim rozgłosem.**

pani Kontrolerowa dobrodziejka. Niechże kochana pan Marceli najuprzejmiej usiądzie! Domciu! daję najświętsze słowo honorowe, że pan Gulmańcewicz po chorobie swojej coraz lepiej wygląda — prawda?

— Damom nie wypada robić komplementów kawalerom — odparła Domcia, której zielonawe, ale żywe spojrzenie więcej mówiło niż głośna pochwała męża. Była to kobieta lat dwudziestu kilku, jasna szatynka, a raczej ciemna blondynka, cery zdrowej, tuszy dobrej, choć nie zbyt dobrej, wzrostu średniego, rysów twarzy i ruchów energicznych. Brwi miała gęste, prawie czarne i leciutki zarost nad wierzchnią wargą.

— Najlepiej to podobno, panie budowniczy dobrodzieju, najsamprzód odbyć interes, bo to w pańskim wieku zawsze najważniejsze z najważniejszych. Oto jest ośmnaście rubli, raczy mnie pan kochany pokwitować, a Domcia zaraz da panu dewizkę i szpilkę.

— Wszakże pan Marcel nie odchodzi jeszcze natychmiast i będzie łaskaw zostać u nas na herbacie — odparła Domcia, bystrym spojrzeniem jakby magnetycznie wywołując zezwolenie gościa.

— Będzie to dla nas prawdziwie przyjemna, najprzyjemniejsza przyjemność. Przyjdzie Porucznik, może zajdzie i Kocio, zrobimy partyjczkę — zgoda, panie budowniczy? — dodał Jabłuszko ofiarując mu segaro.

— Chętnie — odparł Marcelek pod wpływem spojrzenia Domci, która za mężem stanęła.

Wkrótce zjawił się tak zwany Porucznik, już prawie siwy, wysoki, barczysty, z wąsami i faworytami grenadierskimi, plastrem na oku, kolczykiem w uchu, w surducie granatowym, po wojskowemu do góry zapiętym, w wysokim halsztuchu bez kołnierzyka. Nadszedł także Kocio, kuzyn pani Domiceli, dwudziesto-

dlkoletni dryblas krostowatej cery, czysto dosyć ubra-  
ly, włosów gęstych, kędzierzawych i oczu wiekuiście  
crwią zaszłych. Przywitali się z Marcelem, którego już  
mali dawniej. Porucznik uścisnął mu rękę niby jak ko-  
ledze wojskowemu grzecznie i poufale.

— Sakr-panie, nawet się nie wyblichował w choro-  
bie. Do wojska nam takich, do wojska! — zawołał  
wywinąwszy laską młynka, nim ją w kącie postawił  
i furazerkę na niej powiesił.

Kocio unizenie pokłonił się i nieśmiało wybełkotał  
kompliment w podobnym rodzaju o chorobie i o zdro-  
wiu.

— Daję najświętsze słowo honorowe, już ósma. Nie  
tracąc czasu zabierzmy się do roboty, a Domcia niech  
tam pomyśli prędko o czym prócz herbaty.

— Gospodarzowi, jak mnie widzi, zaraz jamaja na  
myśli, my to starzy nie od tego, ale dzisiaj kwita de!  
Za gorąco, pani dobrodziejko! — zawołał śmiejąc się  
głośno i bębniąc palcami marsza na stoliku.

— Pan Porucznik się pieści, jakby się miał zamiar  
zenić, a przyrzekłam panu od dawna, że wyswatam • —  
odparła wesoło Jabłuszkowa.

— Albo to nie czas, pani dobrodziejko? Człowiek  
jeszcze, sakr-panie, nie inwalida.

Zasiedli do partyjki preferansa na wniosek nieśmia-  
ły Kocia poparty przez Marcelka, co się w tej grze  
chciał wprawić, i przez Porucznika, co zawołał, że wist  
nudny. Gospodarz z widocznym niezadowoleniem na  
twarzy dał się przegłosować. Marceli w pierwszej puli  
przegrał dwa ruble, wypił trzy szklanki herbaty z ara-  
kiem i zjadł trzy butersznity; w drugiej wygrał trzy  
ruble, wypił kieliszek wódki, przez Porucznika zwanej  
jamają, butelkę bawara i połknął znów dwa buterszni-  
ty. Domcia nieraz przy nim siadła, patrzyła w karty

i nawet doradzała czasem. Ilekroć Marcelek wniósł oczy od kart i spojrział w którą stronę, zawsze spotykał bystre, błyszczące jej spojrzenie, jeśli tylko była w tym samym pokoju.

Przy ukończeniu drugiej pułki, kiedy tasowano karty, siadła przy nim znowu i poczuł, jak zgrabnie wpadł mu jakiś pakiecik do kieszeni od tużurka. Zniżywszy rękę przekonał się, że to dewizka i szpilka. Nim się odwrócił, żeby podziękować, ręka jego spotkała pulchną łapkę sąsiadki i zatrzymała się na chwilę pod stołem w energicznej podzięce. Wziął karty do rąk.

— A przecież skończyliśmy — pisnął z kwaśną miną Jabłuszko i podniósł okulary na czoło. — Daję najświętsze słowo honorowe, myślałem, że już dzień, tak długo graliśmy tę pulę.

Zawezwana przez panią służąca zjawiała się wkrótce z niespodzianką, na widok której twarz gospodarza znowu się przedłużyła, małe oczki i brodawka nad brwią drgać zaczęły niecierpliwie. Postawiła na stoliku wazę dymiącego ponczu.

— A, sakr-pani dobrodziejko, chcesz nas pani chyba wyprowadzić o świcie — zaintonował Porucznik lubując się aromatyczną wonią napoju i zakrywając dłonią oko, którym spomiędzy palców przyglądał się bacznie Marcelkowi.

— Obawiam się, droga pani, czy to mi nie zaszkodzi — odezwał się grzecznie Marcelek, kiedy gospodyni naprzód przed nim postawiła szklankę.

— Oho, mądry Polak po szkodzie... po chorobie boisz się pan teraz • — bąknął Porucznik.

— Strzeżże mnie, Boże, nie, ale już piłem!

— Pieszczoszek, gagatek, sakr-panie!

-- Delikatny taki pan Gulmańcewicz — szepnął Kocio.

— Kiedy już nam tak każą, to wypijmy po jednej szklance, panie budowniczy, jedna nie zaszkodzi — wtrącił potulnie Jabłuszko. — Gdyby na nieszczęście pani Kontrolerowa dobrodziejka dowiedziała się o tym, jestem nie wiedzieć kim, czyby nie miała pretensji, że pana rozpajam.

— Czy to pan Marcel dziecko, żeby zaraz miał chwalić się przed mamą? — dodała Domcia.

— A strzeżże mnie, Panie!

•— Zresztą gdyby pani Kontrolerowa wiedziała, jaka dziś rocznica, to by z pewnością wybaczyła panu Marcelemu.

— Jakaż, jaka? — zapytali wszyscy ciekawie, nie wyjmując gospodarza.

— No jakaż, Baltazarku? — powtórzyła Domcia.

— Ach! daję najświętsze słowo honorowe, najprawdziwsza prawda. Zapomniałem, patrzcie państwo! Głowa zajęta czym innym. Tak jest, tak jest! dziś właśnie upływa sześć lat, jakeśmy się pobrali — zawołał całując rękę żony z rozczuleniem.

— Wiwat! wiwat! Dalej, wiara! zdrowie najzacniejszych, najukochańszych państwa Jabłuszków... niechaj żyją! — wrzasnął Porucznik wychylając do dna szklanekę. Kocio i Marcelek także wkrótce próżne postawili.

— Jestem nie wiedzieć kim, zawstydziłaś mnie, koteczko; to ja, Domciu, powinienem był pamiętać o tym.

Podczas tych rozczułań małżeńskich i następnej kolejki ponczu milczący Kocio zmieszał powoli obie talie preferansa z miódkami, stasował pracowicie i wysypał na stolik kilka rubli srebrnych i dwa oberżnięte dukaty.

— Ciągnę pierwszy, bijesz, Poruczniku, złotówkę? — zapytał cichutko.

— Jest co capnąć, aby było tylko czym. Jedź! i ja położę nogi na stół. Jedź! — odparł Porucznik wyjmując kilka pięcioletówek i garść drobnych.

Pierwszy a b c u g<sup>1</sup> wygrał. Kocio zapytał grzecznie Marcelka, a jeszcze ciszej niż pierwszego ponite-  
ra<sup>2</sup>, czy będzie bił dwa złote.

— Na honorową uczciwość moję, nie będzie! nit pozwolę, żeby w moim domu pan Marceli Gulmańce-  
wicz grywał w ażardowną grę, nie tylko złotówkową,  
ale nawet groszową! —• zawołał podskoczywszy ku  
stolikowi Jabłuszko. — Panie Marceli! — dodał  
wziąwszy go na bok — proszę mi oddać pieniądze;  
jutro, jak pan będziesz potrzebował, zwrócę panu; go-  
tówęś przegrać jeszcze! Nieboszyk Kontroler także  
miał pasyjkę i dużo go kosztowała, na pocziwość,  
dużo!

— Strzeżże mnie, Panie, nie obawiaj się kochany  
pan, raz tylko postawię —• odparł Marceli, na którym  
widok pieniędzy zawsze tak ponętne wywierał wraże-  
nie jak widok jadła lub ubioru. A tu leżało na stoliku  
kilka rubelków, pięcioletówek i dwa dukaty, co prze-  
niósłszy się do jego kieszeni zaokrągliłyby sumkę, za  
którą czuł już, jak sprawia nowe, modne majtki, la-  
seczkę z dwoma kutasikami, kapelusz kastorowy<sup>3</sup>  
i funduje sobie, tylko sobie — czekoladkę, smaczny  
obiadek i nieskończoną ilość porcji lodów.

— Nie graj pan, panie Marceli, ja proszę — dodała  
zblizając się Domcia, której spojrzenie tak go zawsze  
wskroś przenikało. — Spróbuję za pana, na szczęście  
pańskie — rzekła po chwili, dając znak Kociowi, żeby  
ciągnął. — Widzisz pan, miałam dobre przeczucie

**1 w kartach: pociągnięcie, wyjście.**

**2 uczestnika gry w karty, grającego przeciw bankierowi.**

**3 z filcu z sierści bobrowej albo z włosów małpy.**



przegrałyś. Dajcie, panowie, pokój kartom, bardzo proszę.

— Bo i pewno — bąknął Porucznik — wypijmy jeszcze raz gospodarstwa zdrowie i chodźmy.

— Chodźmy! — szepnął posłusznie Kocio chowając nazad pieniądze, za którymi zwrócił się tęsknie wzrok Marcelka.

— Tak to daję najświętsze słowo honorowe, że aż miło. Gotówem z panami wypić jeszcze pół szklaneczki... w ręce pana budowniczego — odezwał się Jabłuszko.

Tymczasem Marcelek, siadłszy niechętnie przy oknie obok Domci, rozmawiał z nią, a raczej słuchał, co mówiła o pogodzie, deszczu i tym podobnych bieżących przedmiotach, widać jednak zajmujących dla obojga, bo Domcia zawyrokowała:

— Owszem, bardzo ładna.

— Ale gdzie tam, pani!

— Ej, panie Marceli!

— Strzeżże mnie, Boże!

— Prawda wyjdzie zawsze na wierzch, jak oliwa.

— Niech wyjdzie!

— Co to za filut!

-- Przysięgam pani, strzeżże mnie, Panie!

## VI

Wyszędłszy od gościnnych Jabłuszków Marceli z dwoma współbiednikami chciał się rozstać przy Dominikańskim kościele. Mileżący Kocio nagle się odezwał, czyby nie byli łaskawi wstąpić jeszcze do niego, o parę kroków stąd, na Koźłą ulicę, do hotelu Maruszewskiego.

— Mam cygara, likier grochowski i wyborny ser, co mi ze wsi przysłali — szepnął grzecznie.

— A znajdzie się kropla jamai? Ja tam tych słodyczy nie lubię, bo człowiek, sakr-panie, rozgrzany, a noc zimna jakaś, strach zaziębić żołądek, jak oto pan Gulmańcewicz przeszłym razem.

— O, znajdzie się.

— A to marsz! A pan pójdzie z nami, panie Gulmańcewicz?

— Już późno, chyba na chwilkę.

W numerku hotelu na Koźlej ulicy, dalekim wtedy od dzisiejszej świetności, przy cygarach, likierze, serze i jamai zjawiły się znów ruble, dukaty i pięciozłotówki na potłuszczonym i pokrajanym stoliku. Karty zafurkały w rękę Kocia i po rozmaitych przemianach szczęścia zostało Marcelkowi nad ranem dwa złote groszy dziesięć, dewizka i szpilka brylantowa, którą na wpół pijany obejrzawszy, miał jednak tyle mocy nad sobą, że schował do kieszeni.

— Nie grałbym z panem dobrodziejem nigdy na takie kosztowności, to by już było szulerstwo, a my sobie gramy po przyjacielsku... cóż to taką tam bagatelę przegrać! — wyszeptał Kocio.

— Sakr-panie! co to będzie za gracz z pana Gulmańcewicza dobrodziej! Zobaczysz, że się odegra i skroi ci kurtę, nie mówiąc dzisiaj, ale w tych dniach — zawołał Porucznik.

— Reważ dam zawsze panu dobrodziejowi w landsknechta, w sztossa czy w faraona, w co tylko żywnie pan dobrodziej zechcesz — odparł Kocio, który go z Porucznikiem aż do kościoła Panny Marii odprowadził.

Marceli pożegnał ich grzecznie, choć się chwiał na nogach, trząsł ze złości i łzy gwałtownie czuł pędzące do gardła. Otworzył cicho furtkę kluczem, jeszcze ciszej wszedł na facjatkę i rozebrał się po ciemku.

Zajrząwszy nazajutrz do kieszeni od tużurka, znalazł dewizkę, ale szpilki brylantowej nie było. Przetrzęsnał całe mieszkanie, przejrzał schody, pognął do kościoła Panny Marii, na Koźłą ulicę, z Kociem każdy kącik w numerku obejrzeni — ani śladu! Zrozpaczony pobiegł do Jabłuszki.

Czcigodny pan Baltazar już wyszedł — pani Domiela wynegliżowana ścierała właśnie kurz z mebli w bawialnym pokoiku, kiedy zmartwiona twarz Marcelka ukazała się na progu.

— Co panu, panie Marceli najdroższy! — Pobiegła żywo ku niemu i wzięła go za rękę.

Wyjąkał, że wracając do domu zgubił szpilkę.

— A nigdzie nie wstępowałeś pan po drodze? — dodała czytając mu, zdaje się, patrząc w duszę zielonawymi, płonącymi źrenicami.

Wypierał się na chwilę, lecz po wielu sprytnych badaniach przyznał nareszcie, że wstąpił do pana Konstantego na landsknehcika.

— I przegrałeś pan?

— Przegrałem! Strzeżże mnie, Panie, grać kiedykolwiek.

— A prosiliśmy wczoraj, zaklinali... Jezus! gdyby się mąż dowiedział, noga Kocia by w naszym domu nie powstała, a Porucznik dostałby burę, co aż miło! Ręczę, że już drugi raz pan Konstanty nie zaproponuje panu landsknehta. Mniejsza tam o pieniądze zresztą, ale szpilka, szpilka! — zawołała kobieta i przy zadumaniu chwilowym czoło jej zmarszczyło się gniewnie, ręka niecierpliwie zadrżała i przytłumił się wyraz, może klątwa na ustach.

— Nie idzie mi o szpilkę, ale mama nigdy w życiu nie daruje.

— Ha! ja bym na pańskim miejscu chyba kazała zrobić tymczasem taką samą szpilkę i fałszywy bry-

lant wsadzić. Cóż to, prosty fason! Dostaniesz pan taką gotową nawet, a tymczasem może się prawdziwa wy-  
najdzie, mam jakieś dobre przecucie. Przeszukaj pan  
jeszcze pilnie w domu i u Kocia. A tymczasem proszę  
usiąść i rozweselić się. Niepięknie z taką zasmuconą  
twarzą — dodała sadzając go na kanapie.

— Pani najdroższa, najukochańsza pani Domice-  
lo! Tak poważam panią i tak ufam jak nikomu w ży-  
ciu!

— Naprawdę? A na Głębokiej ulicy pannie... jakże  
jej na imię?

— Nie dokuczaj mi pani, com wczoraj powiedział,  
prawda święta, a teraz przyznać się już muszę do  
wszystkiego po bratersku... nie mam ani grosza, nie  
miałbym nawet za co obstałować lub kupić takiej  
szpilki. Co tu począć?

— A mój Boże, sto dwadzieścia złotych! Niegodzi-  
wy Konstanty! przyzwyczajony grubo grać i przegry-  
wać, nie wiedział, że to u pana tyle znaczy. Powiedz  
pan mężowi.

— Strzeżże mnie, Boże, za nic pod słońcem.

— Cóż tu poradzić? Chętnie bym panu sama służyła  
kilku rublami, ale, Bóg widzi, mam ledwo kilka zło-  
tych, mąż mi żałuje na najdrobniejsze wydatki, z każ-  
dego grosika muszę się wyrachować. Wczoraj bez  
jego wiedzy zapożyczyłam się na takie mizerne oto  
przyjęcie. Widzisz pan, że także otwarcie — jak sio-  
stra — mówię do pana. Po prostu zastawiłam cukier-  
niczkę srebrną.

— Gdybym wiedział pewne jakie miejsce, to na  
przyszły tydzień przed przyjazdem mamy wykupiłbym.

— Co takiego?

— Dewizki.

— Niech pana Pan Bóg broni!... Nie pozwolę, nie  
rób pan tego!

— Zlituj się pani, co pocznę? Czyby mi uwierzył pan Jabłuszko, gdybym powiedział, że zgubił pieniądze, a koniecznie, koniecznie mi potrzeba? Paweł goły jak ja, kumowi Szczepanowi już i tak jestem winien.

— Czy pewny pan jesteś, że na przyszły tydzień wykupisz?

— Strzeżże mnie, Panie... czybym śmiał mówić, gdybym nie był pewnym?

— To pan zastaw, ale jakby się mąż dowiedział, że to ja panu doradziła, to by mnie po prostu zabił, zamordował. Złe robię, źle, że tego pieszczołka na złe namawiam... ale mi żal pana.

— Ach, pani Domicelo — zawołał Marcel całując jej rękę zapalczywie. — Do śmierci będę wdzięczny za tyle dobroci. Gdzie pani zastawiłaś cukierniczkę, musi to być pewne miejsce... powiedz pani, biegnę, leczę i — jeżeli ciasteczka pani lubi — z powrotem będę służył, bo, przyznam się, pierwszy raz w życiu mam taki wypadek. Chyba tam drobiażdżki zdarzyło się zastawić.

— I to ja mam go uczyć, kobieta! Paniczyk! paniczyk! Mama wypieściła to, wychuchała, i wyrosło na niedobrego. Najlepiej by było do lombardu, najpewniej, ale już za późno. Jeżeli więc panu koniecznie dziś potrzeba, to w tym domu od ulicy jest sklep szmuklerski<sup>1</sup> Żyda Fajbusia. Idź pan do niego i oświadczyć, że masz interes do żony Moramszy, ona zwykle w alkie-rzu siedzi, i powiedz jej, że ja pana rekomenduję.

— *Mer ci, mer ci*, pędzę!

— Właśnie u niej tonie moja cukierniczka, nie wiem, kiedy wykupię, a gdyby się mąż dowiedział, przepadłam. Ale trudno znów żałować sobie wszyst-

**1 sklep z wyrobami pasamonicznymi (galony, lamówki).**

kiego i nie przyjąć znajomych po ludzku... nie potrafię. Tyle naszego, co użyjem. Wracaj pan prędko na śniadanko, panie Marcelku!

Zaledwie odszedł, Domicela pobiegła strzałą do sypialnego pokoju, otworzyła niskie drzwi, osłonięte dywanem, które wychodziły na wąski, długi, ciemny korytarz, gdzie po obu stronach ścian wisiało mnóstwo najrozmaitszych, ponumerowanych rzeczy: płaszczy, futer, peleryn, surdutów, fraków, sukien kobiecych, chustek, parę szalów, na półkach kilka naczyń metalowych, kuchennych, cukierniczek, łyżek itp., przy końcu korytarzyka były znowu drzwi z zakratowanym okienkiem, widać, pierwotnie dającym nań światło, zakrytym teraz zieloną kitajką. Domicela zastukała, ktoś odstuknął, i z lekka uchyliła okienko, wychodzące na brudny alkierz żydowski.

— Ileś mu obiecała?

— Ny, pięć — kazałam przyjść za kwadranc. A skąd to pani takie kawalere przysyła... czy on wie?

— Dasz mu sześć i tylko po groszu od złotego na tydzień.

— Awaj, to wielgie łaskie ma ten kawalir, fajner puryc, mógłby zapłacić więcej, a mnie choć faktorne dobre.

Domicela zatrzasnęła lufcik, prędko przebiegła korytarzyk, zamknęła drzwi i właśnie wszedł do bawialni Marcelek.

— Rozweselił się nieco pieszczoszek ładny. Jakże? Cóż tam Moramsza? Dała pieniędzy? — zapytała siadając przy nim na kanapie.

\*

Odпочyając w domu po obiedzie na sofie, otrzymał Marcel liścik od pana Kocia, zapraszający go, żeby bezzwłocznie we własnym interesie raczył się do

niego pofatygować. Poszedł natychmiast, przeczuwając dobrą nowinę. Jakoż przeczucie było trafne, Kocio, przetrząsając jeszcze raz szczupły numerek, znalazł szpilkę w szparze pod progiem. Radość Marcelka, przekonanego, że już ją utracił na zawsze, tak była niezmierną, że zaprosił Kocia na kawę, ale szlachetny znalazca, uprzedzając hojność gościa, kazał już przynieść z hebrajskiej kawiarni dwie szklanki wonnego wywaru. Zaczęli gawędzić o tym i owym, oczywiście o kartach. Kocio nauczył go poniterować i ciągnąć bank w sztos, przy czym od żartów na serio Marcelek wygrał trzy ruble i w najwyborniejszym humorze wrócił na Głęboką ulicę, na lekcję do Marcysi, pod której jasnymi oczkami troska czy bezsenność lekkie, sine obwódki naznaczyła.

## VII

W stolarskich warsztatach na dole obszernego gmachu prywatnego, co już w tym roku miał być ukończony, czeladź mimo skwarne go ranku uwijała się w prawdziwym czoła pocie. Heble, gzyms- i felc-heble wygładzały sosnę, dąb lub jesion na odrzwia, odźwierki, szlaglistwy, filungi, ramsztyki itp. części składające drzwi; lub też u okien na ramy, szprosy, obersztychy itp., na które, niestety, rzemieślnicy używają tylko takich z kiepska po polsku określić.

Józiak, przez protekcję Pawła (zastępującego przy tej budowie nie tylko konduktora, ale i poniekąd samego architekta głównego) dostawszy się do wyborne go majstra, co się podjął wszelkich stolarskich robót, widocznie poprawił się na cerze i rozweselił w oczach. W obszernych, jasnych salach, ilekroć przypomniła się mu wilgotna, ciemna nora na Głębokiej ulicy lub trumna, co ich tyle nakleił, dumał chwilowo

i tym energiczniej brał się do nowego dzieła, tak dlań łatwego, że nawet współtowarzysze nie mogli wydziwić się szybkości i dokładności roboty, a majster dziękował za niego Pawłowi. Było już blisko południa, mieli wkrótce rozejść się na spoczynek. Józiak z ołówkiem w ręku obrachowywał z majstrem rozmiar drzwi na planie skreślonych, gdy niespodziewanie wszedł ojciec Jakub, na którego pozdrowienie zabrzmiało ze wszystkich ust, nawet niepolskiego pochodzenia: „Na wieki!”

— Ano, cieszy mnie, kochany Józiaku, że tak pięknie wyglądasz, a pana majstra dobrodzieja przepraszam, że pan Sierocki zaraz wyjdzie ze mną — rzekł częstując go tabaką. — Odziej się, chłopaczku, i chodźmy, chodźmy prędko!

— Cóż to takiego? — zapytał niespokojnie Józiak, kiedy już byli na ulicy. — Czy kum Szczepan zaniemógł, panna Marcjanna... może Maciuś?

— Ano nie, moje dziecko, nie! To ja sam mam do ciebie ważny interes; chodźmy prędzej — rzekł zakonnik wyprzedzając go pospiesznie.

— Gdzie ino zechcecie, ojcze Jakubie!

• — Ano, czyś zawsze nabożny, chłopczyku? Pamiętaj lutrami, bo ich tam niemało, czy nie zapominasz o kościele? Nosisz zawsze na szyi srebrny krzyżyk z Panem Jezusem?

— A to dobre! Noszę — odparł Józiak.

— Dawno też masz już ten krzyżyk?

— Już wam parę razy mówiłem, że odkąd tylko pamiętam, ojcze Jakubie! Pewno u Dzieciątka Jezus ksiądz albo zakonnica która musiała powiesić na szyi.

O — patrzcie!

— Co to za znak jakiś?

— Onegdaj oglądaliście przecie — gotycka litera P już na wpół zatarta i rok tysiąc ośmset dwudziesty



któryś. Ostatniej cyfry nie znać zupełnie... Myślicie może, że zgubił skaplerz, coście mi dali, o nie! mam go tu, widzicie.

— Ano nie myślałem nigdy — odrzekł kwestarz ta-  
jąc radość. — Mówił mi kum Szczepan, zdaje się, że  
na prawym ramieniu masz czerwone znamię... czy to  
prawda?

— Prawda! Jakby kto rozłupał malinę — albo co?  
Jużeście raz przy robocie pytali mnie o to? — zapytał  
Józiak patrząc mu w oczy z niedowierzaniem  
i uśmiechem ciekawym.

— Ano, chodźmy, chodźmy, moje dziecko! Dziwne  
sądy Boże, niezbadane wyroki Opatrzności! — zawo-  
łał zakonnik tak żywo i gwałtownie, że aż Józiak  
wstrzymał się zapytując z flegmą:

— Gdzie idziemy?

— Ano — tylko pędzej!

Spuścili się Tamką ku Wiśle i skręcili na samym  
dole na zaułek, gdzie już same tylko drewniane  
domostwa, najczęściej grzęznące w błocie i niechluj-  
stwie.

— Poczekaj ano chwilkę, zaraz wrócę — rzekł oj-  
ciec Jakub wchodząc zamyślony na podwórko niskie-  
go, na wpół zawalonego domku, gdzie kręciło się peł-  
no obszarpanego Żydostwa. Po kwadransie wyszedł  
z oficynki, wyglądającej nieco uczciwiej niż buda  
frontowa, pochodził przez chwilę z Józiakiem po po-  
dwórku i nagle powiedział:

— Upał ogromny! Trzeba jeszcze odpocząć! Wstąp  
oto napić się ze mną wody do dawnej naszej praczki  
klasztornej, nim pójdziem dalej!

We drzwiach niskiej stacji, gdzie jedyne okno  
osłaniała chustka wełniana, czekała na nich pokorniut-  
ka, pochylona staruszcza. Ojciec Jakub siadł na zy-  
delku, Józiak na kufrze; staruszcza podała wody.

— Ano nie powiedzieliście mi, co tam mówił doktor, matulu?

— Cóż, proszę jegomości, jaśnie pani przysłała go znów dzisiaj, ale to na nic. Męczy się kobiecisko okropnie. Teraz, jakeście odeszli, zasnęła — odrzekła mu na ucho.

Wszedłszy z jasnego dnia do przyciemnionej stacji, gdzie lampka przed obrazem Najświętszej Panny łamała jeszcze światło, Józiak nie dostrzegł od razu leżącej w kącie niemłodej kobiety, na łóżku wysoko zasłanym. Śniada, wyżółkła, wywiędła twarz jej straszniej jeszcze wyglądała w mroku, rzadkie włosy, czarne jak skrzydło krucze, wysunęły się spod czepca; zwieszona ręka wychudła drgnęła konwulsyjnie. Po chwili ocknęła się kaszłąc przeraźliwie i wybełkotała niespokojnie:

— Ach! zimno, zimno mi. Maciejowa, przykryjcie nogi! Gdzie ojciec Jakub?

— Uspokój się pani, przyszedł — odparła staruszka przykrywając jej nogi pierzyną.

— Jest, jest — o Boże najlitościwszy! Ciemno, ciemno, odsłońcie okno!

Południe całym blaskiem zajrzało do stacyjki, chora przymknęła z początku oczy i spojrzała na ojca Jakuba, który usiadł przy niej. Po chwili z obawą utkwwszy w Józika czarne, szkliste źrenice, przykryła je gwałtownie suchymi rękoma.

— Boże, zlituj się nad grzeszną duszą moją!

— Ano, nie bój się, moja duszo — rzekł ojciec Jakub. — Chodź no tu bliżej, Józefie! To mój przyjaciel, com o nim wspominał, ano Józef Sierocki.

Gwałtownie podniosła się na łóżku, źrenice jej wlepiły się znowu w zdziwionego i wzruszonego Józika, ale coraz łagodniej nań spoglądały; wzięta go za rękę i tuląc w rozpalonych dłoniach, szepnęła z wysileniem:

- Piękny pan, jak dziewczynka delikatny! Mój syn oylby właśnie w tym wieku! O! Najświętsza Panno Bolesna! zmiłuj się nade mną! — zawołała z jękiem rozzierającym, padając bezwładnie na poduszkę, i ręki nie puściła.

— Uspokój się, moja duszo, uspokój! Pan Bóg wybaczy tym, co cierpieli wiele. Przyjdziemy oto do was, może dziś jeszcze — rzekł usiłując przytłumić wzruszenie — przyjdziemy! A teraz czas nam w drogę — dodał patrząc w okno i rękaw od habitu przybliżając do oczu.

— I mnie czas w drogę, w długą drogę, a tak straszna! — szepnęła chora niezrozumiale. — Nie wytrzymam... Boże! co za męka!

Zakonnik pochylił się nad nią, szepnął parę słów, przytknęła do czoła rękę Józika i puściła.

— Ojcie Jakubie, zlitujcie się, co to za kobieta? Po coście mnie tu przyprowadzili? — zapytał drżąc z niezwykłego wzruszenia w sieni Józika zapłakany. •— To ona tak po synu rozpacza?

— Ano, po synu — odrzekł ojciec Jakub wyprowadzwszy go na ulicę i przyglądając się mu spod oka, ważył odtąd każde słowo, co doń wymawiał ostrożnie. — Wiesz też, Józiku, że ta kobieta znała twoją matkę?

— Ta kobieta... matkę, moją własną matkę? — zawołał drgnąwszy sierota. — Żartujecie! — dodał po chwili smutno i gorzko.

— Ano, jak to?

•— Człowiek nie zawsze ślepy. Czasem ani się spo dzieje, kiedy przewidzi. Poczciwy kum Szczepan, aby mnie pocieszyć, bajął mi o ojcu stelmachu na Faworach i matce ślusarzance. Miarkuję teraz dobrze, że nie miałem ojca ani matki...

— Ano, nie masz, bo umarła lat temu kilkanaście

- Umarła? Skądże wiecie?
- Od tej kobiety właśnie.
- • Od tej kobiety! Więc jeszcze żyła matka, kiedy byłem w szpitalu! Nie dopominała się, wstydziała? A ojciec?
- Ojciec, ano, ojciec umarł, nimeś jeszcze na świat przyszedł — odparł po chwili milczenia.
- Rozumiem, biedne matczyśko! Niech jej tam Bóg krzywdy mojej nie pamięta i jej, i ojcu da wieczne zbawienie!
- — Ano, pocziwe dziecko, amen! — zawołał żywe ojciec Jakub patrząc nań ze łzami. — Widzisz, chciałem cię tylko wypróbować. Matka twoja, odstawiwszy cię od piersi, umarła. Zostałeś niemowlęciem u jej krewniaczki, bardzo biednej wdowy, obarczonej kilkorgiem dzieci. Ano w nędzy trudno jej było wszystkim wyżywić. Wolała dwoje was oddać do Dzieciątek Jezus, zamiast żebyście marli z głodu. Często tal biedni ludzie robią.
- I drugie, swoje własne, oddała?
- — Ano tak, niemowlątko, córeczkę — skłamał na prędce kwestarz.
- To nie podobna! To jakaś niegodziwa albo te/ bardzo ordynarna kobieta.
- Ano nieszczęście, moje dziecko, bieda ludzka — jąkał zakonnik nie wiedząc, co odpowiedzieć na prędce.
- Jakimże cudem dowiedzieliście się o tym?
- • Cudem? Ano, Opatrzność Boska, traf, moje dziecko! Wynałazłem ot tę chorą kobietę, Michałkę, zgadaliśmy się.
- Skądże pewnoś, że to ja ten sam, a nie kto inny?
- Powiesili ci na piersiach krzyżyk srebrny z literą P, z rokiem, w którym cię oddali, i karteczką, żeś na chrzcie otrzymał imię Józef, które ci na powtórny

chrzcie u Dzieciątka potwierdzono. Sprawdziłem to najsumienniej w księgach. Wszystkie takie szczegóły spisują tam przy odbiorze niemowlęcia.

— Nie do uwierzenia! — odparł Józiak, któremu się to wszystko wydało jak sen dziwny, jak marzenie przykre nawet, bo przypomniało mu tyle bolesnych i smutnych wzruszeń, z którymi myśli jego nie mogły się rozstać od niejakiego czasu.

— Ano — jednak to prawda święta, jak to boże słońko świeci nad nami.

— Skądże, ojcze, zgadaliście się o tym z Michałka?

— Potem o tym — ano traf, zrządzenie Opatrzności, chłopaczku! Palec Boży prędej czy później wyznacza i w tym życiu nagrodę lub karę dla tych, co wzywają świętego imienia. Tylko bydlęta, żyjąc i mrąc jak bydlęta, nie czują tego.

— Powiedzcież mi... biedne moje matczyisko pewno także nie użyło raju na tym świecie?

— Ano, nie była panią, to prawda, ale bardzo urodna, rodem z Lubelskiego. Wiesz też, że Michałka — dodał przerywając zakonnik — znała i tę twoją krewniaczkę; w jednym domu mieszkała z nimi... A gdyby też krewniaczka ta żyła, Józiaku, i dowiedziawszy się o tobie, błagała, żebyś jej przebaczył... przebaczyłybyś? Na tym świecie tyle biedy, moje dziecko!

— Jak to, ojcze Jakubie, czybym jej przebaczył?

— Ano tak, z całego serca darowałbyś jej, że cię podrzuciła i nie wychowała oto przy sobie?

— Mówiliście sami, że nie miała z czego wychować, czemużbym nie miał wybaczyć? — odparł smutno.

— Ano dobrze, chłopaczku, dobrze. U ciebie co w sercu, to i na języku.

— Czyście to wy zawołali na mnie teraz? — zapytał nagle Józiak oglądając się po pustym placu.

— Nie, moje dziecko... zdawało ci się, nie wołałem.

— Wyraźnie ktoś wołał na mnie po imieniu... o — znowu!

— Przywidzenie! Wzruszyłeś się oto, nadowiadawałeś niespodzianych rzeczy... wszystko ci to tkwi w sercu. Poznajesz ten dom?

— O... poznaję, tu właśnie robiłem trumnę jesionową, com wam opowiadał. Przy braniu miary i przy odnoszeniu dostałem na piwo raz pięć rubli, wiecie dobrze. Ale czy wy tu idziecie po kweście?

— Po kweście i do starej gospodyni, co jeszcze u nieboszczyka służyła, a którą znam od dawna. Dowiedziałem się od niej, że tu będzie dużo roboty stolarskiej: meble naprawiać, posadzki. Trafiłem więc przez nią do jaśnie pani, żeby to się tobie dostało. Będziesz to wszystko mógł wziąć na swoją rękę i sporo grosza zarobisz.

— Bóg wam zapłać, ojczy Jakubie!

Weszli do przedpokoju na pierwszym piętrze. Służba bez meldowania wpuściła kwestarza. Józiak niespokojny siadł przy oknie i zdawało się mu ciągle, że ktoś nań woła po imieniu.

## VIII

Kobieta lat dwudziestu kilku, której uroda musiałaby wyrzucić wrażenie nie tylko na takim Pawle lub Józiaku, ale na każdym mężczyźnie zdolnym do przyjęcia wrażenia, nawet poważniejszym, nawet noszącym okulary lub jednookim — w owym gabinecie od ogrodu, gdzie niedawno Józiak brał miarę na trumnę, siedziała na kozetce. Pochyliła głowę, oczy wlepiła, zdaje się, w obrazy na przeciwległej ścianie, a tymczasem śledziła tylko obrazy własnych pierzchliwych marzeń.

Wszedł pokornie zakonnik — z uśmiechem bardzo życzliwym podała mu rękę i wysunęła krzesło.

— Cóż się stało? — zapytała ciekawie i z zajęciem.  
— Ano, proszę łaski pani, wszyściutko, dzięki Najwyższemu, sprawdza się co do joty — odparł ojciec Jakub obcierając kroplisty pot z czoła i twarzy. — Krzyżyk jest, znamię jest, rok ten sam; wykapany, żywy portret nieboszczyka; no i bez zawodu tak jest koniecznie.

— Być może.

— Ano, w tym samym domu, oto w tej stancyjce z małym okienkiem na trzecim piętrze, Michałka, będąc młodziutką dziewczyną w służbie u nieboszczyka pana, wydała go na świat, toćże stara gospodyni, pani Grzybińska, doskonale to pamięta. Michałka karmiła z początku dzieciaka, potem zobaczył ją przez okno oficer od siasierów, co stał na kwaterze naprzeciwko. Jak zobaczył, tak i zaczęli często patrzeć na siebie.

— Grzybińska opowiadała mi to.

— Oficer wymaszerował z Warszawy... no i Michałka frunęła zostawiwszy Józiaka na opiece pana. Nieboszczyk, choć pani Grzybińska prosiła i błagała, kazał oddać do Dzieciątka Jezus... ano może nawet, świeć, Panie, nad jego duszą, kontent był, że spodziewając się lada chwila powrotu żony, pozbył się od razu matki i syna, z przeproszeniem łaski pani, choć to był stryj pani.

Kobieta zarumieniwszy się lekko wzruszyła ramionami.

— Ano, jaśnie pani wiadomo, żeśmy oto z panią Grzybińska zeszli się u siostry Moniki, która nawet jest jej krewniaczką, i przypomniała sobie oto wszyściuteńko staruszka; jak oto pani Grzybińska kilka razy przyniosła bieliznę i ze swoich pieniędzy nawet, poczciwa, dla małego czasem u krewniaczki zostawiła, bo nieboszczyk nie chciał ani słyszeć, ani wiedzieć o nim. Ano potem siostra Monika, która opiekowała się ma-

łym (i dała mu nawet nazwisko Sierocki), przeniosła się w Białostockie do tamecznego zakładu Sióstr Miłosierdzia, a pani Grzybińska z państwem wyjechała z Warszawy. Józiaka z zakładu oddali na wieś, ano podrósłszy wrócił do Dzieciątka, potem wszedł do terminu, i oto cała parada.

— Poczciwy ojciec Jakub, jak się zabrał do dzieła, tak doszedł wszystkiego — rzekła uprzejmie kobieta.

— Ano, za łaską bożą, nie tak było trudno. Chłopczyna opowiedział, że kiedy brał tu miarę na trumnę, wszystkich uderzyło podobieństwo — no i na wschodach jakaś kobieta krzyknęła: „Wszelki duch Pana Boga chwali!” Nuż ja zaraz w te pędy do pocziwej staruszki pani Grzybińskiej, która jest naszą tercjarką. Ano, dalej jasnie pani wie, jak owa niegdyś piękna Michałka przychodziła do niej czasem po prostu oto po prośbie i szczęściem, na pogrzeb przyszła. Zaraz ją zawołaliśmy na górę; z boleścią serca zaczęliśmy badać ją... przyznała się natychmiast i oto dzięki Najwyższemu, że zesłał nam panią, co tak to do serca wzięła i nami, biedakami, opiekuje się tak uczciwie, tak prawdziwie po pańsku — dodał zakonnik obcierając powieki. — Ano wracamy właśnie z Józiakiem od Michałki.

— I cóż? — zapytała kobieta, a w wielkich, niebieskich jej oczach ciekawość zespoliła się ze współczuciem.

— Ano, wykapany nieboszczyk! Jak go zobaczyła, choć tyle razy mówiliśmy z nią o nim, myślałem, że od zmysłów odejdzie. O mało co się nie wydała.

— Więc on jeszcze nie wie o niczym?

— Na cóż by się to zdało? Ani się domyśla... pocziwości chłopaczek. Czeka tam na mnie w przedpokoju.

— Biedna kobieta! Trzeba mieć nadludzką siłę, żeby wytrzymać taką męczarnię.



— Ano, proszę łaski pani, trzeba też było mieć nie-ludzkie serce, żeby porzucić niemowlę takie ładne i potem... grzeszyć, grzeszyć — aż przyszedł wiek i Bóg ukarał.

— Młoda, niedoświadczona, prosta dziewczyna ze wsi; kto inny bardziej był winien.

— Ano tak jest, proszę łaski pani, ano tak! Więcej na tym świecie biedy niż złego. Choć taką drogą poszła, zawżdyć matka... i ona to czuje. O! czuje dzisiaj.

— O, wierzę.

— Ano aż mi serce krajało się, rady sobie dać nie mogłem widząc, jak z Józiakiem sprowadziłem jej mę-kę i pociechę. Ale sama sobie naznaczyła taką pokutę, spowiednik zalecił wypełnić ściśle. Niech miłość ma-cierzyńska dla Józiaka, którą będzie musiała tłumić i wstydzić się sama siebie, oczyści choć w części za-brukaną duszę! O — bo ta kobieta, choć z prostego stanu, wykrzesła się, toćże nawet nieraz i w zbyt-kach opływała ani myśląc, ani pomnąc o dziecku.

— Nie wytrzyma, ojczy Jakubie!

— Wytrzyma, proszę jaśnie pani. Aby żal za grze-chy był szczery — a drży na samo wspomnienie przy-szłości kobiecisko.

— Biedna kobieta! Jakże Józef? — zapytała żywo.

— Ano, chociaż wierzy jak najmocniej, że matka jego nie żyje, widziałem, że go coś aż ciągnęło do chorej Michałki, i to mnie najbardziej bolało — trudno! Ułożyliśmy już z nią, że będzie niby uchodzić za krewną jego matki, że z biedy oddała go do Dzie-ciątka. Ano niech dla chłopczyny wspomnienie matki, już i tak nieczyste, nie brudzi się więcej, a ona, niby jako ciotka pragnąca mu wynagrodzić krzywdę, że go oddała do podrzutek, może i tak sierocie rajem serce napełnić, jak powiedział ojciec Innocenty.

— Straszna, surowa kara.

— Ano tak, proszę jaśnie pani, ano taka, jaku przewinienie.

— Poradź mi teraz z łaski swojej, ojczy Jakubie, jak mam przyjść w pomoc jej biednemu chłopczynie?

— Jaśnie pani! Wiele nie potrzeba, nie radziłbym nawet. Na co chłopaczka odrywać od pracy, z którą mu lepiej na tym świecie niż niejednemu z pieniędzmi? Pokornie przepraszając jaśnie panią, lepiej oto dobrodziejstwem, co pani zamierzasz wyświadczyć jednemu, obdzielić kilku nieszczęśliwych, a jest ich tylu w Warszawie co mrowia, i to prawdziwych biedaków. Człowiek jak ja, co wszędzie wejdzie z puszką i choć na chwilę popatrzy na niedolę, mógłby w kilka dni posiwieć z żałości. Chłopczyna i tak poradzi już sobie.

— Nie wiem, czy mu od czasu do czasu posłać jaki zasiłek, czy dać od razu?

— Ano nie, proszę łaski pani, nie! Obiecałem mu oto, że dostanie tu robotę i zarobi sobie; to lepsze niż datek, czyli po Bogu a prawdzie jałmużna. 'A kilkaset złotych, co jaśnie pani wspomniała (bo parę tysięcy to za wiele), lepiej oto powierzyć Michałce. Niby od krewnej bez wstydu będzie mógł przyjąć.

— Zdaje się, że masz słuszność, ojczy Jakubie! Tymczasem proszę włożyć ten drobiazg do puszki, a to na tabaczkę!

— Ano w imieniu klasztoru pokorne dzięki jaśnie pani, ale proszę wybaczyć, że dla siebie nie przyjmę.

— A to czemu, kiedy ja proszę, bardzo proszę.

— Ano to chyba już włożę i to do puszki — odparł zakonnik wsuwając papierek.

— Czemu on tam czeka tak długo w przedpokoju, może chłopczyna głodny, proszę go zawołać tu na chwilę! — zawołała nagle kobieta, jakby wyrrywając się z chwilowego zamyślenia.

, uziak, niecierpliwie i niespokojnie naczekawszy się na kwestarza, wszedł nieśmiało do sali, zarumienił się, stanął zmieszany i nieruchomy w progu gabinetu, kiedy piękna pani łaskawie nań spojrzała prosząc, aby obejrzał meble i powiedział, na kiedy może ukończyć.

Niewiele tam było pracy przy kanapach, stołkach, komodach, biurkach i szafach: nieco naprawić i nieco odpoliturować. Odpowiedział więc, że poprosi pana Sarmiewicza, aby mu wyrobił uwolnienie od majstra na kilka dni, a wzięwszy się od jutra do roboty skończy w tym tygodniu.

Kobieta porównywając znowu jego twarz z portretem, co wisiał właśnie na przeciwnej ścianie, wyborne oświetlony, i przyznając w duszy, że chyba twarz Józika malarz musiał wziąć za model, tylko ją innym wyrazem ożywił, przy odpowiedzi Stolarczyka nieco się poruszyła na kozetce — i wielkie, niebieskie oczy błysnęły żywiej. Dwie myśli razem jej przebiegły po głowie; pierwsza: jakby przystojnym był jej bratem stryjecznym ten Józik, inaczej urodzony, wychowany i ubrany — i druga: jak zadziwi się pan Paweł Sarmiewicz, gdy się dowie, że jego protegowany zna i rozmawiał dzisiaj z dawną panną Anielą.

— Mamy właśnie zamiar wystawić kapliczkę na wsi, ten pan Sarmiewicz musi być dobry budowniczy? — zapytała kwestarza.

— Zastępuje samego architekta, a i sam wkrótce będzie architektem, ale, proszę jaśnie pani, wszyscy mówią, że takiego jeszcze nie było i nie będzie — przerwał żywo Józik.

— A poczciwości młodzieniec, złote serce, nabożny, pracowity, powolny dla rodziny, co jego nogi nie warta — dodał zakonnik.

— Szczęśliwyś, panie Sierocki, że w młodym wieku masz tak poczciwych przyjaciół jak ojciec Jakub i pan

Paweł... pan Sarmiewicz. Do widzenia. Proszę przyjść w tych dniach, niech będzie pochwalony, ojcie Jakubie! — rzekła ciszej, biorąc książkę do rąk, ale tylko jej oczy, a nie myśli, spoglądały na litery — i jeszcze długo, choć już kwestarz ze Stolarczykiem od dawna odeszli, dumiała tak sobie samotnie.

Nareszcie zaczęła myśleć treściwiej i rozważniej. Nie podobna, aby wobec tylu dowodów nie miała być prawda o tym wszystkim, co jej kwestarz opowiedział. O wiarygodności ojca Jakuba ani na chwilę nie wątpiła, ale co do samego wypadku: tyle się zbierze nieraz prawdopodobnych pozorów, aby prawdę ukryć tym głębiej!

— Zawsze pomóc takim ludziom prawdziwy obowiązek, a tak łatwy i przyjemny — szepnęła do siebie, patrząc przypadkiem na portret stryja, którego oczy tak wdzięcznie i uśmiechająco malarz zrobił, jakby jej dziękowały w tej chwili. Zadzwoiła, posłała służącego do ogrodu, żeby Grzybińska i piastunka z jej synkiem już z przechadzki wróciły, kazała zaprząć konie i poszła się ubrać.

— Cóż to za anioł! — zawołał Józia, kiedy już wyszli na ulicę. — Czym to człowiek zasłużył na taką łaskę i czym zdoła odwdzińczyć się kiedy?

— Ano dobrym słowem, dobrą pracą, dbaniem, aby u innych ludzi także na życzliwość zasłużyć, to dla niej dosyć wdzięczności.

— Albo to ludzie ludziom równi, ojcie Jakubie?

— Juźci i w boru nie ma dwóch sośniaków jednakich! W gruncie nie tacy oni źli u nas, jak się widzi. Ano — kum Szczepan, a Marcychna, moja chrzestna, a pan Sarmiewicz, a Fidrykowa nawet, oto już tyłu, a czyż to źli?

' -w- Kum Szczepan i Marcychna nie zmienili się tam dla mnie... co prawda, to uczciwi. A pan Paweł to

także anioł i wy, ojcze Jakubie! Dalibóg! aż wstyd człowiekowi, żeście tacy dobrzy dla mnie, a ja wam nijak nie potrafię odsłużyć.

— A to na co, Józiaku? Aż mi różniej, że ci się jakoś wieść zaczyna od biedy... ano, dosyć mi, widząc, że ci oto Pan Bóg błogosławi, sieroto! Bo to wszystko zrządzenie boże... Wstąpmy oto pomodlić się do Bernardynów — rzekł zakonnik i wszedł z Józiakiem do kościoła.

— Czas mi dalej w drogę, pewno i ty chcesz już do domu wrócić, przytrzymałem cię, głodnysz oto — zawołał wyszedłszy znów z nim na ulicę.

— A mieliśmy przecie zajść jeszcze do tej chorej kobiety, co tak rozpaczała po synu... aż mi się serce kraje i nie zapomnę nigdy w życiu, kiedy mnie oto za rękę wzięła. „Syn mój, powiada, byłby w tym wieku.” Mój Boże! co to matka, dobra matka! utulić się nie może. Gdyby tak Fidrykowej umarł Fidryczek, co go dziesięć razy na dzień praży i tuzuje, *bg* też i niedobrego chłopak, to by pewno tak nie żałowała.

— Kto to wie... zawszeć matka.

— Jak mnie znów zobaczy i przypomni sobie syna, gotowa może rozchorować się gorzej — to lepiej nie pójde; zresztą jak chcecie, ojcze Jakubie! — • zawołał nagle Józiak, oglądając się znów wokoło, czy kto nie wołał po imieniu.

— Ano, owszem, pójdziesz, moje dziecko, musisz iść. Trzeba ci teraz wyznać prawdę — rzekł zakonnik, który od dawna był pewny, że Józiak zwróci pierwszy mowę na ten przedmiot. — Kobiecie tej zmarł nie tylko ten syn, ale kilkoro dzieci... została sama jedna na świecie, bez krewniaków, prócz jednego bratanka, co go kiedyś oddała do Dzieciątka Jezus.

— Jak to?

— A tak, Józiaku! To krewna twoja — i nie stryjeczna, ale rodzona siostra twojej matki, co cię oto kiedyś podrzuciła.

— Ciągłe dziś mówicie ze mną zagadkowo, jak t<kum Szczepan na was narzekał... To chyba nieprawda, że to ta sama kobieta — szepnął Józiak nie dowierzając.

— Najświętsza prawda! Chciałem ino przekonać się o twoim sercu... ano i wiem, że widząc czyją biedę, nie zawzięte; że nie pamiętasz o krzywdzie, prawda? A tak jakbyś pragnącego napoił, jakbyś zdrowie jej wrócił, kiedy oto po synowsku do niej przyjdiesz.

— Nie wiem, ojczu!

— Ano wiesz! Dwoje was tylko krewnych, umrzeć by nie mogła spokojnie, gdybyś jej nie wybaczył... Jakbyś był synem prawdziwym, matkę ci zastąpi — zobaczysz.

— Biedne kobiecisko! Nie dziwota, że w pierwszej żałości gorzkie słowo wymówił... Czy to nie znacie mnie, ojczu? Chodźmy!

Przewidział trafnie kwestarz, Michałkę choroba jakby przez pół opuściła. Nie wstała z łóżka, ale ogarnęła się nieco, i tyle życia przybyło do jej szklistych oczu, że twarz ta wywiędła a zwyczajna, której rysy, mimo zużycie, zachowały ślady dawnej udatności zmysłowej — jakoś wyszlachetniała. Zdawało się nawet, że wyschła szyja i zapadłe policzki nie tak żółte i martwe jak przedtem.

— Przyszliście! Bóg łaskaw na mnie, nie opuszcza mnie jeszcze! — zawołała całując ze łzami ręce ojca Jakuba i Józiaka, dla którego dosyć było jednej jej łzy tylko, aby go rozbroić i zjednać na zawsze; od samego dźwięku jej głosu, drżącego i ochrypłego, serce żywiej mu biło. Nowe zupełnie uczucie przejęło go: litości, obrony, pociechy dla tej chorej, biednej ko-

biety — i jakiegoś smutnego zadowolenia, że przecie jest ktoś na świecie, co go krewnym nazwać może.

\*

Tajemnica istotna tego na pozór nadzwyczajnego, a w istocie bardzo, niestety, zwyczajnego wypadku została tylko pomiędzy panią Anielą, Michałką i Grzybińską. Ojciec Jakub, będąc u kuma Szczepana, powiedział tylko, że przypadkiem wynalazł ciotkę Józia, wdowę po propinatorze spod Lublina, panią Michałkiewicz (tak i zapisana była od dawna w księgach ludności, chociaż prawdziwe nazwisko, tak jak Szczepaniak, miała wiejskie: Michalczak). Rozeszła się wieść po ulicy Głębokiej, że to kobieta z grosiwem i że oczywiście Józia, jako jedyny krewniak, może sobie założyć warsztat i będzie panem całą gębą.

Najserdeczniej ucieszył się z tego Maciuś i na oblanie dobrej nowiny przyniósł do Fidrykowej flaszkę anyżówki, którą do połowy we dwójkę wysączyli, przekazując mularskim blutwurstem. Podwoiła się jego radość, a żałość wdowy, że z jej powodu opuścił ją pewnie na zawsze potulny, cichy Józia, któremu nawet, kiedy był biednym sierotą, gotowa była oddać tłustą łapkę i przemienić się z Fidrykowej na Sierocką.

— A.niechże tego ojca Jakuba najjaśniejsze piorneczki nie zatrzasną! — mówił kum Szczepan podczas lekcji do córki i Gulmańcewicza. — Choroba... jakie przytomne, obrotne człeczysko, nie darmo w wojsku zaraz po pierwszej bitwie został sierżantem. Patrzenie, państwo! Kobieta jakaś, zoczywszy Józia, krzyknęła: „Wszelki duch Pana Boga chwali!” Wymiarkował zaraz, że to nie bez kozery, nuż za nią tropić — i wytropił, że Józia przypomniał babinie nieboszczkę jej siostrę; dalej z nią w gawędę — no i pokazało się, ale to dokumentnie, sprawdzone w książkach u Dzie-

ciątka, że jak dwa a dwa cztery, Józiak — jej bratunek.

— Kochany panie majstrze, cóż to za kobieta? — zapytał Gulmańcewicz pocąc się przy olbrzymiej szklance kawy.

— Ojciec Jakub powiada, że to schorowane, zbiedzzone — i nie myśl pan, panie Marcinie, żeby taka baba, jak to nie przymierzając nasza Jakubowa. Ma to być niczego kobiecinka, coś tak z waćpańska. Ano, szkoda, że chłopak wyniósł się od Fidrykowej naszej, pono ta ciotka ma nieco grosza, mogliby oto, złożywszy do kupy, zaraz założyć większy warsztat, albo nie?

— Strzeżże mnie, Panie! Kazałbym sobie zaraz zrobić u nich meble, *mile Marcelinę!*

Marcysia, której cierpiąca twarz Józiaka, odkąd jej nie widywała, przypominała się częściej, po bratersku ucieszyła się ze szczęścia przystojnego sieroty. Wszyscy jakoś żałowali, że nie mieszka już na Głębokiej, i coraz więcej a częściej chwalić go zaczęli.

Jednym z najlepszych darów na tym świecie jest powodzenie, bo przed nim wszyscy biją czołem: wielcy i mali, mądrzy i prości, możni i biedni. A choć biedny o tyle lepszy od możnego, że ma więcej współczucia dla bratniej niedoli, ale powodzeniu bratniemu, jeśli mu na drodze nie zawadza, lubi zarówno dworaczyć jak możniejszy. Wszędzieśmy zawsze ci sami!



## USTĘP TRZECI

Duchem i ciałem nadziejska,  
[powiewna,  
Tyś głazem, który prze człowieka  
[w ziemię...  
Uroczą formą aniołom pokrewna  
Drogą cierpienia wiesziesz ludzkie  
[plemie,  
A świat tymczasem czuje w twym  
[utworze  
Wszystko, co wznosić, uszczęśliwiać  
[może.<sup>1</sup>  
SEWERYN GOSZCZYŃSKI

### I

Kum Szczepan, w świątecznej kapocie, rogatywkę ostro zasadził na bakier, pąsowy parasol z rogową rączką ścisnął pod pachą i wsiadł przed Sakramentkami do dorożki z Marcysią. W sukience bżowo-fijałkowej, w nowiuteńkim, kwiecistym, jakoś żółtawym kapeluszu od modniarki z Freta, w świeżutkich rękawiczkach błękitnych nie tak jej było do twarzy jak po domu w skromnej sukience, gdy jej główkę same tylko jasne, bujne warkocze stroiły. Z kluczykami zgrabnie się uwijała przy gospodarstwie, parasolka jednak nie bardzo zdarnie tkwiła jej w ręku. Było to przed południem, w dzień powszedni. Szczepaniak przyjemnie oglądał się wkoło, mniemając, że przechodnie, przez nawyknięcie łązengi miejskiej zerkający na do-

<sup>1</sup> są to wyjątki z „powieści poetyckiej” Seweryna Goszczyńskiego (1801–1876) pt. *Gwiazda pokuty*.

rożka, ku Marcysynom wdziękom posyłają tak wzrok mimo woli. Na rogu Podwala dwóch jakichś młodych facejonistów, *alias*<sup>1</sup> nieco lepiej ubranych łobuzów, zwinawszy palce w trąbkę, zaczęli się im przyglądać niby przez lornetkę i kłaniać uniżenie. Stary trącając Marcysię, która z miną sztywną nieco tkwiła jak dziewanna na siedzeniu, odkłonił im się od serca rogatywką — pokazano mu za to dwa języki; zaklął, chciał cisnąć parasolem, ale dorożka szybko skręciła na Senatorską, zamruczał tylko:

— Dałbym wam, pijaki, gdybyście ino bliżej byli; popamiętalibyście ruski miesiąc! Daleko to tam jeszcze, Marcysiu? — zapytał kwaśno.

— Już niedaleko, tatuniu!

— Po coś oto mnie starego wyciągnęła od roboty, Marcychno? Pani Kontrolerowa miała rację, że trzeba było lepiej posłać Maciusia albo którego chłopaczka, Jeszcze gotowa rozgniewać się na nas, żeśmy poszli. Ale co ucieszy, to ucieszy się pan Marcin.

— Jak pani Kontrolerowa wygląda teraz paradnie, prawda, tatuniu? — zagadała Marcysia.

— A jużci... z połowa jej przybyło na wsi. Da Bóg, to pewno wkrótce przeniesie się całkiem na wieś.

— Na zawsze?

— Nie bój się, Marcyś, będziemy ją widywali. Kochana, pocziwa pani Kontrolerowa! O, to pani, co się nazywa, pani. Nie zapomniała dla ciebie przywieźć płótna i nasionek do ogródka i podarowała nam pie-ska... żeby ino Jakubowa albo Maciuś krzywdy mu nie zrobili, bo to choroba z tymi ludźmi!... Szkoda Józiaka oto, aż mi czasem i tęskno do niego.

— Pani Kontrolerowej i panu Marcinowi nie podobał się Józiak.

**i czyli.**

— Cóż tam taki biedota dla pani Kontrolerowej; pewno nawet i nie baczyła na niego...

Stary nagle kazał stanąć dorożce.

Kulejąc poszedł z córką na drugie piętro, gdzie mieszkał budowniczy, u którego pracował Marcelli. Marcychna poczekała w sieni, a Szczepaniak na oścież drzwi otworzył, bo inaczej nie mógłby wtłoczyć się z parasolem do pokoju, gdzie zaraz było biuro i młodzież pracująca wysłała dwóch na zwiady, żeby się jej przyjrzyć bliżej, tymczasem jeden z nich niski, z długim nosem, niby najgrzeczniejszy i najusłużniejszy, odezwał się do Szczepaniaka:

— Pan Gulmańcewicz nie tak prędko wróci, poszedł właśnie do fabryki. Jeżeli interes ważny, poślę zaraz po niego.

— E, jużci ważny, panie budowniczy dobrodzieju, przyszliliśmy oto powiedzieć z córką, że pani Kontrolerowa, matka pana Marcina, przyjechała.

— A to ważna dla niego nowina. Niechże pan dobrodziej poprosi córeczkę i raczcie spocząć tymczasem, państwo dobrodziejstwo — dodał grzeczniś wskazując miejsce Szczepaniakowi i zarumienionej Marcysi. — Pan dobrodziej pewno musi mieć przy sobie tabakę z tomką dla nas w gorąco i przy pracy to specjał.

— Choroba to tam specjał, ot, zwyczajnie w nosie tylko powierci. Proszę oto, mospanie, panie dobrodzieju, tomki nie ma, ale ostra.

— Ostra! — zawołało kilku młodych, umoczywszy po kolei palce.

— Na zdrowie panom!

Wszyscy pięciu panowie kichnęli.

**i z aromatyczną rośliną z rodziny traw. Dodawano ją do tabaki dla zapachu.**

— Nawzajem państwu dobrodziejstwu w imieniu wszystkich nas pięciu, chociaż życzyć więcej nie wypada nad to, co widoczne u państwa dobrodziejstwa, zwłaszcza też w kwitnącej twarzyczce córki... Która godzina, łaskawy panie? bo nasze zegarki źle idą.

— Dziękujemy, dziękujemy! — zawołali znów, kiedy Szczepaniak wyjął z kieszeni ogromną, srebrną cebulę.

— Pani przygląda się łaskawie pomidorom, co leżą na oknie — dodał grzecznie, zwracając się do Marcysi. — To my zamiast pomarańczy spożywamy po kilka co rano z pieprzem i z cynamonem.

— Nie kosztowałem tego — odrzekł na serio Szczepaniak.

— Może pan dobrodziej pozwoli służyć sobie?

-- A niech ich tam najjaśniejsze piorunczki nie zatrzasną, kto by tam jadł surowe!

— Pan Gulmańcewicz łyka jak karmelki — dodał trzpiot ośmielając się coraz bardziej. — Otóż i posłaniec wrócił, będzie dopiero za pół godziny w fabryce; może by państwo tymczasem łaskawie poczekali u nas, pošlemy potem po niego.

— Chodźmy, ojczu, chodźmy! — zawołała żywo Marcysia, przy pomidorach dorozumiewając się nieco żartów.

— Bóg zapłać panom! — zawołał Szczepaniak marszcząc brwi nieco.

— Za mało, za mało, panie dobrodzieju!

— Pozwolą państwo, że im człowiek wskaże drogę aż na miejsce, tylko parę słów tu napiszę — dodał grzecznie i po chwili oddał służącemu kartkę, a sam

**i W owym czasie pomidory nie były szerzej znane. Dopiero w ostatnich trzydziestu latach XIX wieku zaczęły zyskiwać powszechniejsze zastosowanie.**

z całą czeredą odprowadził Szczepaniaków aż na dół w ukłonach i oświadczeniach zadowolenia, że tak zaszczytną zabrał znajomość z kuzynami kolegi.

— Ja nie kuzyn, ale przyjaciel pana Marcina — odparł dobrodusznie Szczepaniak, ujęty grzecnością, którą znów wdziękom Marcychny przypisał. — Pan Marcin mieszka oto u mnie, na Głębokiej, na rogu, gdzie kuźnia. Może pan budowniczy kiedy z panem Marcinem albo z panem Sarmiewiczem zajrzy, mospanie, i do mojej chaty, jeżeli łaska, bardzo proszę.

— • Jak mi tylko czas pozwoli, chętnie, poczciwy majstrze! — odparł trzpiot na serio. Spojrzał przełotnie na Marcysię, na kowala i uściśnął mu rękę szczerze.

— Co za szkoda, że nie było Gulmańcewicza! • — zawołał wracając na górę z kolegami. — Umarłby chyba ze wstydu, że przyszli go odwiedzić tacy prości ludzie.

— Co by miał wstydzić się, dziewczynka przystojna wcale!

— Spodziewam się, i poczciwy stary! Aż mi żal, że pobzikowałem z nim trocha... Paweł wspominał mi o nich... Ale czy nie znacie Gulmańcewicza? Kiedyś oto szliśmy z Pawłem, według zwyczaju dosyć wytarto ubranym. Marceli ma wzrok doskonały, przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby w tużureczku modnym nie przywitać się z nami. Poczciwy Pawlisko sprzeczał się ze mną, że nas nie widział, a widział doskonale, bucyfał<sup>1</sup>. Komu się to bawić w panicza i okłamywać o świetnych koligacjach, koń Pana Jezusa!

Kum Szczepan odebrawszy od służącego bilecik doszedł z Marcysią do nowego gmachu, jeszcze wysokim rusztowaniem otoczonego. Daremnie jednak pytał się

**i koń; nazwę Bucefała nosił koń Aleksandra Macedońskiego.**

przy wejściu, na podwórzu, wewnątrz, przy schodach — rozmaitych robotników o pana Gulmańcewicza, nikt mu nie potrafił odpowiedzieć.

— Co to: cieśla, może ten młody *Stolarczyk*, albo?

— Choroba tam *Stolarczyk*! Toć pan *budowniczy*, to jest *pomocnik* niby.

— Nie ma takiego żadnego, nie znamy — odpowiadali. — Idźcie oto z panienką do kancelarii, tam wam najlepiej powiedzą.

— A to niespodziani u nas goście; jak się państwo macie, skąd zbłądziliście tutaj? — zagadnął Paweł wbrew zwyczajowi nadzwyczaj żywo, wstając od rajsbreta i biegnąc ku drzwiom powitać przybyłych. — Pewno interes do Marcelka, co takiego?

— Pani Kontrolerowa przyjechała właśnie — odrzekli na wyścigi.

— Wujenka przyjechała przecie. I przyszlście państwo sami donieść mu o tym, siadajcie z łaski swojej, gdzie można. Musi być pewno Marcelek na pierwszym piętrze, jest ich tam dwóch czy trzech z architektem, poślę zaraz po niego. Tymczasem lodów może, oranżady? taki upał, panno Marcjanno — mogę służyć?

— Bóg zapłać za dobre serce kochanemu panisku.

— Dziękujemy ślicznie — wtrąciła Marcysia. — Po co, panie *budowniczy*, ma się pan *Marcin* *fatygować*, pójdziemy sami do niego, abyśmy tylko wiedzieli, gdzie, mamy i list, bo byliśmy tam u panów w biurze.

— Czy tak? — odparł roztargniony Paweł, na którego zmienioną jakąś powierzchowność i Marcysia natychmiast zwróciła uwagę. Miał lakierowane zgrabne obuwie, czarne spodnie od fraka zawałane wapnem, spod starego surduta od roboty, straszliwie poplamionego i podartego, wyglądała kamizelka z bogatej materii, gęste, sterczące włosy widać były niedawno

iryzowane, zapuszczał wąsy i bródkę, wywinięty kołnierzyk od cienkiej koszuli poplamiony tuszem i atramentem. Przenikliwsze spojrzenie od Marcysi zastanowiłoby się nie nad wdziękiem tej twarzy, bo zaledwie przystojna, ale nad głębszym, myślącym rysem na czole, nad wyrazistymi oczyma, spoglądającymi śmiało i badawczo spod brwi gęstych i wydatnych, zwłaszcza też nad charakterystyczną cechą skromności, powagi i spokoju przeważającego w całej tej młodej postaci, którego teraz jednak mniej znacznie było niż w zimie. Owszem, trafny badacz dostrzegłby czasem w drganiach żył u skroni, w żywszych ruchach, w spojrzeniach nagłych — niecierpliwości gorączkowej albo też myśli jednej, co go ustawicznie zajmowała, ale dla zwyczajnego oka niczym nie dał poznać po sobie, co się odegrywa w jego duszy: wielka symfonia czy też *scherzo*<sup>1</sup> przelotne. Kum Szczepan i Marcysia nie zezwoliwszy, aby sam Paweł miał się odrywać od roboty i odprowadzać ich, po rozmaitych kładkach, schodkach i przejściach dostali się na pierwsze piętro, gdzie po rusztowaniu chodziło między robotnikami kilka osób porządniej ubranych.

Marcysia zadrzała i słabo jej się zrobiło widząc, jak Marcel wysoko nad jej głową spaceruje za innymi po gnących się, niepewnych deskach. Zadrzała sympatycznie<sup>2</sup>, bo i jej nauczycielowi *tremolo*<sup>3</sup> często przebiegało po nogach, acz powinien był mieć wprawę i pewność siebie w tak nieznacznej wysokości i na rusztowaniu wybornie zbudowanym.

— Choroba... jak tam pan Marcin maszeruje chwacko, lepiej niż my po podłodze.

<sup>1</sup> utwór muzyczny o charakterze żartobliwym, kapryśnym; żart.

<sup>2</sup> współczująco.

<sup>3</sup> drzenie.

— Tatuniu! pan Marcin gdzieś w tamtą stronę idzie nie zobaczył nas, może posłać kogo po niego.

— Dzień dobry, kochany panie Marcinie, szczęść Boże do roboty! Przyjechała oto pani Kontrolerowa, przyszliśmy panu powiedzieć! niech zjedzie pan tu do nas, mam panu list oddać — to ja, Szczepaniak!

Na brzmienie potężnego głosu kowala, który się rozległ po obszernym gmachu, spojrzeli na dół wszyscy robotnicy: mularze, cieśle, mularczyki, mularczanki itp. Architekt i dwaj elewi \ koledzy Marcinka, aż się schylili... Syn Barbary z Kalbfleischów o mało że nie spadł zoczywszy Marcysię i Szczepaniaka, co z uśmiechem poufałym kłaniał się mu rogatywką wobec pana architekta. Chciał udać, że go nie widzi.

— Zejdźże, Gulmańcewicz! to, widać, do ciebie jakiś ma interes ten poczwiwiec z córeczką. A piękne miejsce obrali na wizytę. Ruszajże się prędzej, w twoim wieku byłbym już od dawna na dole przy tak świeżym buziaczku •— rzekł architekt patrząc przez lornetkę na Marcysię.

— Pewno mama musiała przystać ze wsi tych ludzi... a tak, to ekonom od cioci — wyjąkał zarumieniony Marcelek i klnąc w duszy zbiegł na dół.

— La madam wotr mer e ariwe, mąsje Marsel!<sup>2</sup> •— zawołała Marcysia.

— Przyszliśmy oto z Marcychną zabrać zaraz kochanego pana Marcina.

— La wotr mer de puar, de po m...<sup>3</sup> i tyle różności przywiozła dla pana.

— A choroba... jak siarczyście wygląda pani Kontrolerowa, przynajmniej o dziesięć lat odmłodziła.

**1 uczniowie.**

<sup>2</sup> pańska matka przyjechała, panie Marceli!

**8 pańska matka gruszek, jabłek...**



— Czemuście państwo sami się fatygowali, *mile Marcelinę*, po co tak daleko? — odparł dosyć kwaśno nauczyciel, wychodząc z nimi co najprędzej. Na twarzy jego wcale nie było widać radości, którą spodziewali się obaczyć poczciwcy z Głębokiej ulicy. Wyprzedzając ich wśród robotników, zdawało mu się, że nie tylko architekt, ale że każdy z nich patrzy i dziwuje się, skąd z nim, z panem Gulmańcewiczem w kantorowym kapeluszu i tużurku brązowym, kortowych spodniach, z laseczką z dwoma kutasikami i miną palicza, tacy jacyś ludzie idą i rozmawiają za pan brat. Ma domiar nieszczęścia spotkali po drodze Józiaaka. W koszuli tym razem czystej i całej, przepasany fartuchem, idąc z piłką i stemajzą do roboty, spostrzegłszy Szczepaniaka z córką, podbiegł ku nim żywo i przy serdecznym powitaniu ośmielił się pocałować błękitną rękawiczkę Marcysi.

— A niech cię też najjaśniejsze piorunczki nie zatrzasną... a dyć wyglądasz teraz jak byk, chłopaku! Hm! hm! u ciotki wypasasz się jakoś... a nie zapomnij też o nas, starych przyjaciółkach, przyjdźże do nas z ciotką. Będę ja tam u państwa, ale z moją nogą to, mospanie, wszędzie daleko.

— Bardzo prosimy pana Józefa — wtrąciła Marcysia, dla której rumieniec i pomieszenie jego były już zrozumiałe.

Przycinki Fidrykowej, które sam na sam nieraz musiała znosić, wtajemniczyły ją w powód główny mrucliwości i smutku jego dawniej, za który po cóż by miały gniewać się kobiety, zwłaszcza też na bardzo przystojnego mężczyznę, jak nie przymierzając Józiaak, kiedy im szlachetniej i łatwiej dać przystęp litości nad nieszczęsnym niewolnikiem.

— Jak się tu państwo rozprawicie... czekam na dole a Pawła — przeciął im dosyć ostro Marcelli, który wi-

docznie już w złym humorze zaledwie uchylił kape-  
lusza na ukłon Józika, a zwykle grzecznie kłaniał się  
każdemu.

Jakby na rozkaz wszechwładnego pana Szczepaniak  
z Marcysią pożegnali się prędko z Józikiem. Twarz  
jego, przez chwilę rozjaśniona, zasępiła się znów po  
dawnemu.

— A bodaj mnie też, zapomniałem oddać listu panu  
Marcinowi, co w biurze do pana pisali.

— Toście mnie państwo szukali i w biurze?

— A jakże, byliśmy, byli. Jest tam jeden wesoły  
sobie, ale bardzo grzeczny, młody taki pan budowni-  
czy z długim nosem.

„Nadobny Marcelku! — pisał ów grzeczny kolega —  
szczęśliwy z ciebie śmiertelnik. Przyszli tu z wizytą  
jacyś twoi kuzyni czy znajomi... kochani, nieocenieni  
ludzie. Ojciec nosi kapotę, zegarek, ma czapkę, fizjo-  
nomię i mowę z czasów gotyckich... nogi córki, rękaw-  
niczki i kapelusz należą do rzadkich osobliwości. Od  
starego aż czuć talary, a od dziewczyny świeżość. Czę-  
stowaliśmy ich zamiast pomarańcz pomidorami suro-  
wymi, co nasza Witruwuszowa na oknach rozłożyła,  
ale grzecznie odmówili zaproszeniu. Idą do ciebie, do  
pałacu, poczytuję więc za miły obowiązek powinszo-  
wać ci takich ciekawych koneksji<sup>1</sup>, drogi Marcelku,  
i donieść o miłym wrażeniu, jakie na nas wszystkich  
wywarli.

Szczerze kochający cię...”

Zmiał kartkę Marceli i zgrzytnął zębami. Wpadłszy  
do Pawła, żeby oczyścić z kurzu nowy tużurek i ka-  
pelusz, nie mógł wytrzymać i wziął go na bok, dał mu  
list do przeczytania i — jak to mówią — wściekał się

i znajomości.

ia Szczepaniaka, że odwiedzinami tymi skompromitował go na wieki.

Paweł przejrzał list z roztargnieniem.

— Kostek wariat zawsze, natrą mu uszów za nieczesne żarciki z kuma Szczepana, a ty, mój bracie, wstydz się też gniewać na poczciwych ludzi, co ci chcieli właśnie dać dowód serca — rzekł **po** chwili, patrząc uważnie i przenikliwie na kuzyna.

— Strzeżże mnie, Boże, gniewać się, ale zawsze mi urobili przykrość.

— Co za przykrość?

— Za to ty, mój Pawełku, zrób mi przyjemność i pożycz mi parę rubli, zliczy się to wszystko razem... chciałbym mamie zrobić niespodziankę, a jakoś wyszedłem z pieniędzy.

— Chcesz rubla? Więcej nie mam... służyć ci. A gdzie podziałeś majstra i pannę Marcjanę?

— Czekają na podwórzu.

— Czemuż ich choć tutaj nie poprosiłeś? — zawołał Paweł wybiegając żywo, ale Marcelek, idąc za nim, mrugnął na pannę Marcjanę.

Podziękowawszy Pawłowi poszli. Kowalczanka, stąpając dumnie i sztywnie obok Gulmańcewicza, nie widziała, jak czarne, ogniste oczy Józika przez szparę w parkanie tęskno i długo spoglądały za nią. Wsiadli do dorożki, kum Szczepan z przodu, a w tyle Marcysia i Marceli, który jeszcze kazał podnieść pudło mówiąc, że słońce zanadto razi go w oczy. Milczał przez drogę, nie zwracając uwagi ani na rumieńce dziewczęcia, co były jakby nieświadomą mimowolną podzięką serca za bliskie, tak przyjemne sąsiedztwo upodobanego, ani na radość jej ojca, że ich oboje widział przed sobą i wiózł razem. Błogie przecucie szeptało mu, że będą tak kiedyś jechać do Bernardynów albo do Dominikanów... Marcychna jego wystro-

jona jak królowa, Marceli w białej chustce, we fraku od stu diabłów... pani Kontrolerowa w czepcu z jaskrawymi wstążkami. Na rogu Mostowej Marceli kazał stanąć dorożce i poprosił Szczepaniaka, żeby wysiadł na chwilę.

— Mój kumie poczciwy, czy nie macie przy sobie dwóch rubeleczków, to tam się wszystko policzy i zaraz wam oddam w domu. Chciałem mamie zrobić siupryzkę!, a nie wziąłem ze sobą pieniędzy — rzekł zaprowadziwszy go do jakiejś sieni.

— A, panie Marcinie dobrodzieju, to dobre! Może panu i więcej potrzeba, toćże to z panią Kontrolerową mamy rachunki i wiem, że u pana pieniądz mój najpewniejszy, mospanie!

— Strzeżże mnie, Boże, żeby nie — odparł Marceli, chciwie wzrok zatapiając w irchowy, pękaty woreczek, z którego kum Szczepan wyjął dwa karbowanice<sup>2</sup>. — Jedźcież państwo z łaski swojej sami dalej, a ja zaraz przybiegnę.

## II

Bez pożegnania zeszedł na Mostową i wykupiwszy u Moramszy dewizkę, nie mógł przenieść na siebie, żeby nie wstąpić do Jabłuszków. Kacpra Melchiora Baltazara, trzech imion, nie było w domu, tylko wchodząc do kuchni spotkał wychodzącego właśnie Kocia, który mu ze zwykłą grzecznością oddawszy ukłon przypomniał, żeby go kiedy raczył odwiedzić.

— Porucznik zakochał się w panu na serio, ciągle mówi: „Jakby ten pan Marceli pięknie wyglądał

<sup>1</sup> niespodziankę.

<sup>2</sup> monety jednorublowe.

w mundurze, chociaż i tak nic mu nie brakuje" — dodał z głębszym jeszcze ukłonem.

Domcia, nieco mizerna i od bólu zębów podwiązana, przyjęła Marcelka jednak z głośnym wykrzyknikiem:

— A przecież! A cóż to za łaska! Czy się godziło nie być tak długo! Rozgniewałeś się pan na nas chyba — i ręki, którą jej podał, nie puszczać.

— Strzeżże mnie, Panie! Temu trzy dni byłem przecie u państwa...

— Trzy dni, bardzo dawno!

— Mama moja przyjechała.

— Doprawdy? Pani Kontrolerowa — ach! jakże się cieszę, panie Marcelku! Ale i smucę się, bo pieśczonek rzadziej przyjdzie do nas.

— Strzeżże mnie, Panie! pani Domicelo najdroższa, owszem, przyszedłem prosić panią, żeby mąż mógł wytłomaczyć mamie.

— Co takiego?

— "Żebym się mógł wyprowadzić gdzie od mamy i mieszkać oddzielnie sam czy to przy kim w mieście.

— Czemu? — zapytała kobieta, przenikliwie patrząc.

— Ten kowal i cała kompania tameczna tak ordynarna, że już rady sobie z nimi dać nie mogę.

— A jednak dotychczas nie była ordynarną, może do serca panny Marcjanny trafił ktoś szczęśliwszy od pieśczoneczka?

— Brońże, Panie Boże! Ani ja, ani nikt nie myślał trafić.

— Słuchajże, panie Marcelku — rzekła kobieta po chwilowym namyśle, kładąc mu rękę na ramię. — Mamy właśnie odstąpić pokoik. Nie potrzebujesz nawet mebli, stoją już tam: sofa, stoliczek, szafka, a nawet biurko, i za wszystko trzydzieści złotych miesięcznie, a jak dla pana — cztery ruble, w całej War-

szawie tańszego nie znajdziesz. Chodźmy obejrzyć: a przedtem kieliszek grochowskiego.

— Ceia a *plu beaucoup a moi, tres beaucoup*<sup>1</sup> — mówił Marcelek obejrzawszy z usługną gospołą po-koik, gdzie poustawiane mebelki zdawały się czekać na niego.

— A dewizki wykupione?

— Przed chwją, od Moramszy.

— No to idź, Marcelku, śpiesz się do mamy. Zdaje mi się, że nie jestem Baltazarową, kiedy mnie ten paniczek odwiedzi, odżyję zaraz, humor mam weselszy, zęby przestają mnie bolić i nawet Kocio mniej mnie gniewa.

— Za cóż Kocio panią gniewa?

— Trwoni pieniądze, przegrywa grubo, największy majątek to nie wystarczy, a cóż dopiero...

— Więc on nic nie ma?

— Owszem, ma tam kilkadziesiąt tysięcy, ale czy na długo mu wystarczą, jeśli tak żyć będzie. Idź już do mamy, panie Marcelku, jej tam tęskno, idź! — zawołała Domcia patrząc przez okno na podwórze, gdzie z głównej sieni domu wyrzał parę razy krostowaty nos i zatarta fizjonomia Kocia.

Marcelek szedł najpowolniej ku domowi, dopiero przy skręćie na Głęboką, ujrzawszy z daleka okno na facyjatce otwarte i w nim wydatny profil mamy, zaczął pędzić co tchu. Ze stukiem wbiegł na wschody, z hałasem drzwi otworzył, z uniesieniem zawołał: „*Ma chere maman!*”<sup>2</sup> i z wprawą ucałował rękę matki.

Gulmańcewiczowa, przycisnąwszy go do piersi, odwróciła się na chwilę, żeby jej łez nie widział, nie lubiła okazywać przed nim macierzyńskiej czułości,

**1 bardzo mi się to podoba.**

**2 moja droga mamó!**

mniemała, że winna to swojej godności i przyzwoitości, o którą zawsze dbała nadzwyczaj.

— Jeżeliś przez ten czas tak się prowadził, jakieś tu gospodarował, filutku, to nie mam z czego cieszyć się bardzo.

— Strzeżże mnie, Panie! *maman*, cóż tu złego się stało?

— Kołdra poplamiona, krzesółka nie pookurzane, lustro popstrzone, podłoga nieczysta i w kuchni wszystko, nie rozumiem czemu, w nieporządku, przecież jadałeś na mieście i nikt tu nie gotował — dodała matka, z radością spozostzegając, że twarzyczka jedynaka jakoś zyskała przez ten czas na urodzie i wyrazie, którego tylko jej przychylne oczy mogły dopatrzeć.

— To, mamo, od mojej choroby, kiedy mi tu ziółka gotowano, widać, jeszcze Jakubowa nie uprzątnęła — skłamał Marcelek, nie chcąc przyznać się, że często sam wieczorami rozmaite przysmaki sobie przyrządzał.

Kum Szczepan widząc nieraz z podwórka, jak późno w noc świeci się na facjatce, ubolewał, że pan Marcin pracuje tak nad książką albo nad rysunkiem, a pan Marcin warzył sobie w kuchni jajecznicę, zacierki na mleku lub coś podobnego i dla strawności do poduszki popijał zwykle ponczykiem lub też krupnikiem własnej roboty.

— Jakże, *mon cher enfant*, usłuchałeś rad matki, nie zapomniałeś, o com cię w liście prosiła? Nie zdaje mi się, wiem, żeś wciąż na dole przesiadywał i że już tym towarzystwem przesiąknięś zupełnie.

— Strzeżże mnie, Boże, *ma chère maman!* Żle mamie powiedziano. Coraz rzadziej bywałem i byłbym najszczęśliwszy, kochana mamo, żebyśmy mogli wyprowadzić się stąd gdzie bliżej w miasto, bo i do biura mam daleko, i z tymi ludźmi rady sobie dać nie mogę.

— Marcelek jest nieuważny, zanadto zapewne zapoufalił się ze Szczepańskim, z córką jego i gniewa się na konsekwencje, których winę niech sobie sair przypisze. Może z kim poróżniłeś się? — zapytała Gułmańciewiczowa dosyć żywo.

— Strzeżże mnie, Panie! Owszem, i Szczepaniak, i panna Marcjanna lubią mnie może bardziej niż daw<sup>^</sup>niej i zawsze bym na lekcje mógł tu co drugi dzień przychodzić, ale cóż mi z tego, *ma chere maman*, że mnie lubią. Dziś na przykład przyszli mi donieść do biura, że mama przyjechała... koledzy nazartowali się tam z nich, nakpili i myśleli jeszcze, że to moi kuzyni — rzekł z gniewem Marcelek, nie mogąc zapomnieć listu o pomidorach.

— Otóż to nieszczęście, że tacy ludzie lubią się narzucać i pchać wszędzie! — zawołała Gulmańciewiczowa, nadzwyczaj ciesząc się w duszy, że nieodrodna jej synalek tak dba o swoje godność i tak się urazi o przypuszczenie kuzynostwa. — Wyprowadzimy się stąd wkrótce, ale do końca półrocza musimy tu jeszcze pozostać.

Rozmowę tę przerwało wejście Jabłuszki, który już się dowiedział, nie od żony, ale na mieście, o przyjeździe klientki.

— A, daję najświętsze słowo honorowe, nie mogła pani Kontrolerowa dobrodziejka nic doskonalszego pod słońcem zrobić jak to, że przyjechała do Warszawy! — zawołał z głębokim ukłonem, biorąc jej rękę, którą mu nader uprzejmie dano pocałować.

— Kochany panie Baltazarze! siadajże pan z łaski swojej. Może gruszczkami lub chlebem wiejskim mogę służyć — a mam tu dla żony i świeże masełko, i trocha konfitur własnej roboty.

— Ach! pani Kontrolerowo dobrodziejko, na tyle pamięci o nas, na tyle łaski najłaskawszej, jestem nie



wiedzieć kim, czy zasługujemy na nią — rzekł z ukłó-  
nem jeszcze uniżeńszym. Oczki spod okularów tak mu  
drgały szybko, rękę przykładając do serca i tak jakoś  
krzywił się płacziwie, że ujęta pani Kontrolerowa,  
zapomniawszy na chwilę o granicach, jakie według  
jej mniemania położenie towarzyskie między nimi za-  
kreślało, rzekła nie bez wzruszenia:

— To raczej ja nie wiem, jak za tyle trudów i sta-  
rań podziękować, uczciwy panie Baltazarze!

— Zaufanie pani dobrodziejki i przyjaźń pana Mar-  
celego starczy mi aż nadto za wszystko; a to, coś pani  
powiedziała, tak jest dla mnie zaszczytne, że nie po-  
trafię nawet odpowiedzieć — odparł ściskając w obu  
rękach dłoń Marcelka, któremu po twarzy przebiegł  
uśmiezek nieznaczny, dojrzany jednak przez Balta-  
zara.

— *Mon cher enfant!* może byłbyś tak dobry popytać  
się teraz w cyrkule o służącą dla nas, a my tymczasem  
pogawędzimy z kochanym panem Baltazarem.

Marceli odszedł.

— Co to jednak wiejskie powietrze, jak to służy  
pani Kontrolerowej dobrodziejce! Aż miło pomyśleć,  
jak to u siebie pani dobrodziejka odżyjesz zupełnie,  
a nad Narwią powietrze jeszcze zdrowsze niż w Lubel-  
skiem. Za parę lat może pani dobrodziejka pozwoli  
i mnie zamieszkać w Wilczym Dołku. Mógłbym się  
zajmować i wójtostwem, i rachuneczkami, znam się  
troszeczką i na rolce, ja rodem choć z miasteczka, ale  
to tak jakby ze wsi.

— Jak to, zdecydowałbyś się porzucić Warszawę,  
panie Baltazarze? Mniemam jednak, że musisz dosyć  
zarabiać, dwoje państwa tylko.

— Tak się zdaje, pani Kontrolerowo dobrodziejko.  
A uręczam najświętszym słowem honorowym, słowem  
uczciwego człowieka, że wolałbym oto na wsi przyjąć

po prostu obowiązek prywatny, w domu oczywiście przyzwoitym i dobrze znajomym, jak pani dobrodziejki, niż tutaj biegać za tysiącnymi interesami, na których jestem nie wiedzieć kim, czy się nawet zarobi tyle, co potrzeba na życie i utrzymanie domu.

— Nie przypuszczam, żebyście państwo żyli depansewnie<sup>1</sup>.

— Gdzież tam! Najskromniej, najpotulniej, pani dobrodziejko. Czasem, jak tam kto przyjdzie, na przykład pan Marceli, no to nie podobna znowu nie pokazać się po ludzku, jak Domcia powiada, ale teraz, kiedy jakoś wszystko idzie tak oporem, nieraz już myślałem, o nieraz! żeby sprzedać fortepian, meble i oto najawnszy gdzie madziudzie mieszkanko za miastem czekać, aż procesu tego nie wygramy, i udać się potem do łaski pani Kontrolerowej dobrodziejki.

— Wierz mi, panie Baltazarze, że nie będziesz żałował starań i zabiegów, znasz mnie przecie dobrze. Nie zapominam o żadnej przysłudze, tym bardziej takiej, od której zależy prawie cały przyszły los dziecka i moja własna spokojność.

— Nie wątpię wcale, pani dobrodziejko, nie wątpię, ale ośmielę się przypomnieć jej, że fundusze nasze wkrótce się wyczerpną, koszta będą coraz liczniejsze, a chcąc jechać, trzeba smarować, pani dobrodziejko. Koło pana adwokata krążyć już zaczynają wysłańcy Szpagatowicza o układy; ale żartują sobie chyba ofiarując tak mało. Jestem nie wiedzieć kim, nie oni nam, ale my im podyktujemy prawa, jak mówił właśnie pan adwokat. Słuszność przy nas, a Opatrzność Najwyższa jak czuwała, tak czuwa nad nami!

— I dzięki panu, panie Baltazarze! nie potrzebowaliśmy udawać się do Żydów; znaleźliśmy pocziwego

**i rozrzutnie.**

Szczepańskiego, któremu jednak wypada oddać nie-  
długo, choć może być najpewniejszy odbioru.

— We właściwym czasie, we właściwym czasie, pa-  
u Kontrolerowo dobrodziejko, skądżebyśmy teraz  
wzięli?

— Mam wprawdzie kilkaset złotych, com przez po-  
byt na wsi zaoszczędziła i — mówiąc między nami —  
od dawnych wierzyteli odebrała, ale na życie mi są  
potrzebne: Marcelek kosztuje.

— Najoczywiściej, coraz więcej, choć to pieniądz  
nie stracony, bo pan Marceli porządniuteńki człowiek,  
dbały o siebie, nie hulaka jak inni ludzie w jego wie-  
ku; ani zbytów, ani trunku, ani kart!

— A brakowałyby też tego tylko...

— Uwierzy też pani Kontrolerowa dobrodziejka —  
dodał nagle Jabłuszko — że jest tu Żydek jeden, nie-  
jaki Chałek Barbones, wcale nieźle się mający, który  
dowiedziawszy się z boku o naszym interesie, miałyby  
ochotę albo go nabyć, albo też zamienić kamienicę  
wcale przyzwoitą na Gęsiej ulicy za pretensje do Wil-  
czego Dołku. Obawiałem się, czy nie podstawiony cza-  
sem przez Szpagatowicza, ale nie — na serio chce  
nabyć.

— Nie sprzedalabym ani zamieniła, może by on  
chciał pożyczyć na procent niezbyt wielki na po-  
parcie.

— Po co się to wdawać z lichwiarzami, pani Kon-  
trollerowo, czy u nas pieniądze do wyrzucenia, czyśmy  
tacy bankruci, żebyśmy u poczciwych ludzie nie mieli  
zaufania? Pani Kontrolerowa dobrodziejka raczy mi  
ufać, prawda?

— Bez zaprzeczenia, panie Jabłuszko.

— • Pozwoli mi działać tak, jak po głębokiej rozwa-  
dze uznałem za najwłaściwsze z najwłaściwszych?

— Nie wiem, czego się to ma tyczyć?

— Tylko tego jedniutkiego: kiedy tu przyjdzie Barbones i będzie mówił o nabyciu tego interesu, niech pani Kontrolerowa nie odmawia mu od razu i wchodzi niby z nim w układy, bada jego warunki, które oczywiście odrzucimy przy końcu najbezwarunkowiej.

— Cóż pan masz za myśl?

— Najprostszą z najprostszych i najuczciwszą z najuczciwszych, pani Kontrolerowo dobrodziejko, dostać tym sposobem pieniędzy na mały procent łatwiej, niż gdybyśmy sami poszli prosić o pożyczkę.

— A to od kogo, jak?

— Pani Kontrolerowo! Muszą być pieniądze, tamta strona soli, i my posolimy, ale dyplomatycznie, jak powiada pan adwokat. Otóż, aby tylko były pieniądze, to damę najświętsze słowo honorowe — mniejsza, od kogo i jak. Oddamy przecie wkrótce i...

— Na obiadek do nas, już na stole, nie pogardź pani nami, wielmożna pani Kontrolerowo dobrodziejko — rzekł wchodząc nagle Szczepaniak, z którym Jabłuszko przywitał się grzecznie, ale bardzo poważnie.

Wkrótce nadbiegła Marcysia z buziakiem spieczonym przy ogniu i daremnie szukając oczyma Marcelka, powtórzyła prośbę ojca. Jabłuszce drgały oczy, gdy się przyglądał urodziwej kowalczance. Gulmańcewiczowa, acz nierada, że jej przerwali naradę, wobec jednak świadka, co najlepiej wiedział, ile dla niej Szczepaniak dał dowodów więcej niż życzliwości, nie miała serca odmówić, tym bardziej że Marcelek nadzedł także niebawem z miną skrzywioną, najwyraźniej dowodzącą, że apetyt niecierpliwie się dopominał.

Jabłuszko pożegnał ich z milutkim uśmiechem.

kilka dni po przyjeździe Gulmańcewiczowej trędowaty Chałek Barbones, właściciel symulacyjny nieruchomości na Gęsiej ulicy, finansista z przystrzyżoną brodą rudokasztanową, z skałką na oku, ubrany nieco po starożydowsku i nieco postępowo: w długim chałesie, bez krymki i w palonych butach, zaszedł do kuźni na Głębokiej ulicy i częstując kuma Szczepana :abaką zapytał o mieszkanie pani Kontrolerowej. Zdziwiwszy się bardzo, że: awaj! na facjatkę pr z e m i e s z k u j e t a d a m e , poszedł na górę bawił przeszło godzinę.

W parę dni zjawił się znowu ten sam obywatel. Nie zastawszy pani Gulmańcewicz, czekał, aż powróci, u Fidrykowej i w kuźni. Zaczynał gawędkę z kumem Szczepanem i z Maciusiem, ale robotę mieli pilną i niechętnie mu odpowiadali.

Znowu w trzy dni, na kilka godzin przed szabasem, zjawił się Chałek z drugim Zydkiem, Szają Mordką, krzywym, małym chasydem z krzywym nosem i konferowali z tą dame przeszło pół godziny. Potem szwargotali w sieni, Szaja odszedł, a Barbones skręcił do kuźni i uprosił kowala, że wyszedł z nim na podwórko.

— Mój panie majster! prosziłbym, może by poszłyśmy na piwo albo na miód do lekowej na Rybaki, mam do was proszbę bardzo ważne.

— Choroba tam z miodem i piwem, nie mam czasu, kupcze, gadaj, co chcesz!

— Za wielkim pozwoleniem, nie zagniewajcie się, panie majster! Wy gospodarz kamienice i ja gospodarz, między obywatele delikatne ludzi — to takie interes nie dziwnemu.

— No, prędzej, o co wam idzie?

— Ta pani, ta danie z facjatki, wy jako gospodarz właściciel muszicie wiedzieć najakuratne, czy piniężne jest?

— Cóż to, do stu par bizunów! czy ja w worku je' siedzę? Ma się wie, mospanie, że piniężna!

— *A zoj!*<sup>1</sup> — cmoknął finansista.

— Ale cóż to was obchodzi, kupcze... co macie za interes? — zapytał Szczepaniak, który nadzwyczaj był ciekawy, po co ten Żyd nawiedza Kontrolerowę: jej samej ani Marcelka nie śmiał zapytać.

— Widzicie, kochany panie majster, wy ućciwe człowiek, znają was tu wszystkie, więc wam na zaufanie mogę powiedzieć, ale tak, między nami, dajecie mi słowo, że między nami i nikogo szie nie dowiaduje o tym.

— Bodaj was też z słowem zaraz! Taćże człowiek niedzisiejszy, zaraz tam będzie przed lada kim obracał językiem... zresztą — chcesz, gadaj, nie chcesz...

— No wierzę wam, wierzę. Widzicie, ta dame ma do sprzedania wioska, to jest nie wioska, ale pretenzje... może wam to zawiadomione?

— Nie, nie wiem — odrzekł krótko Szczepaniak, którego to zwierzanie finansisty zaciekawiało coraz bardziej. — Więc mówicie: ma wioskę?

— Otóż, kochane panie majster, uważcie, że tego wioseczkie nie tak łatwe będzie dostać, jak się widzi. To żadne interes jest dla niej. Znacie pana Jabłuszkie?

— Znam, albo co?

— Oto pan Jabłuszkie robi ten *geszeit*<sup>2</sup>. Niedalekie ona z nim zajędzie, *auf meine munes*<sup>3</sup>, na sumienie moje, niedalekie! Jeżeli ona gołe jest, to będzie miała

**J tak.**

**8 interes.**

**3 na moje sumienie.**

iię, a nie Wilczy Dołek... Słuchajcie, majster, chcia-  
łem z nią taki handel zrobić: dacz jej moje kamienicz-  
kę, no i dołożyć *bares geld*<sup>1</sup> półtora tysiąca... albo to  
złe? Kiedy ona uparte jest i nie chce przystać; no to  
ja wam powiadam, Chałek Barbones, właściciel domu  
z Gęsiej ulicy, że pójdzie z torbą po grzybie.

— Choroba! A gdybyście wy, kupiec, wzięli ten in-  
teres, to byście wygrali, co? — zapytał Szczepaniak,  
z niedowierzaniem patrząc na Żyda.

— A juźci, jak mi będziemy popichacz, to by i po-  
szedł zaraz inaczej. Nam o wielkiego zarobek nie  
idzie, aby był, widzicie, a chcąc zarobić *geld*<sup>2</sup>, trzeba  
dać *geld*. Kilku nas by złożyło się i by było — *gut*<sup>3</sup>,  
*zop*. Kiedy ona nie chce, no to bądźcie pewny, że oni  
z tym Jabłuszkie spadną z piecem na łeb. Mój majster-  
ku! Wy przecie gospodarz, delikatne człowiek, was  
wszystkie znają jako bardzo uczciwe, no, ja i z nią  
mówiłem o was, poradzcie jej, że Jabłuszkie z niej nic  
nie robi, kiedy ona nie ma *geld*. Będzie żałować po-  
niewczasu, mój panie majster, już wam za to piękne  
prezent zrobię.

— Idź sobie kupiec, idź, pókiś cały! A choroba mnie  
tam wtrącać się do interesów pani Kontrolerowej.  
Widzisz go! skąd mu do łba przyszło, żebym ja tam  
radził komu! Ruszaj na złamanie karku.

— No, nie chcecie, poczcwie majster, to trudne,  
a ona pójdzie w tym *geszeft*, pójdzie z torbą po grzy-  
bie.

— Mówiłem ci raz, do stu piorunów, żebyś zmykał,  
pókiś cały.

— Nu, nu, idę, ja wiem, co wy przyjaciół tej pani,  
nowicie ootem, że Chałek Barbones potcziwe czło-

**1 gotówką.**

**2 pieniądze.**

**<sup>3</sup> dobrze.**

wiek, kiedy bendzie za późne, kochany majster! — zawołał Żyd przyspieszając kroku. Musnął brodę uśmiechnął się przyjemnie i zamruczał: •— *A fajn \ a iajn!* — Obejrzawszy się potem, że nikogo nie ma na Głębokiej, przyglądał się domkowi bacznie, zaszedł z jednej, z drugiej strony, oko błyszczało mu jakby odblask od kilkudziesiąt szabasówek — cmoknął, zawołał jeszcze: — *A fajn, a fajn!* — i poszedł prędko w miasto. Na rogu Zakroczymskiej spotkał tak zwanego Porucznika.

— No cóż, Chałek? Sakr-panie, siedziałeś wieki, jakże tam majster?

— Jeśli Chałek nie wziął go na takie muchę, co aż strach! no to nigdy nikomu nie weźmie! A z panem Jabłuszeko czy dzisz się zobaczę, bo już szabas niedługo?

— Wstąpmy na kufelek bawara, nim pójdziemy do niego, a tymczasem to mi opowiesz, Chałeczku! Sakr-panie, zimno jakoś.

Szanowna para weszła do bawarii na Nowym Mieście.

Tego samego wieczora w piwiarni pod ósemką, kiedy kum Szczepan przyszedł na partyjkę taroka, wszyscy partnerowie zauważali, że wbrew zwyczajowi jakiś był znękany, małowowiący, nie zaklął chorobą i najjaśniejsze piorunczki nie wymknęły mu się z ust ani razu. Przy tym grał nadzwyczaj nieuważnie, aż raz Porucznik podrapał się w plaster na oku, cisnął karty i chciał wstać od stołu, ale, widząc, przez wzgląd na kilkoletnie koleżeństwo tarokowe zmiarkował się, mruzczał tylko niechętnie przy każdym bąku Szczepaniaka, lecz aż do końca partii wytrzymał cierpliwie.

**i pięknie, wspaniale.**



— Cóż ci, u licha, stało się, stary kamracie, poczciwy majstrze, czyś na czczo Żyda spotkał, czyś jamai albo barbarzyńskiego trunku podniósł kubełków... sakr-panie, co niemiara — a to po prostu nie wiedziałeś, co trzymasz w ręku, dlatego nas i ograł Serdapis, krawczyzna mizerna, u kroćset batalionów — a kiedy kulki gwizdały, to się stało uważnie, jak do parady, brzuch w tył, piersi naprzód! Bębny, sakr-panie, bom, bom! — zawołał Porucznik wywinawszy laską młynka, kiedy po grze odprowadził Szczepaniaka na Głęboką.

— A mój panie Poruczniku, innemu w mojej skórze byłoby jeszcze markotniej.

— Cóż to, u milion bomb i granatów, czy ci córka zachorowała, czyś pieniądze zgubił?

— E, córka, dziękując Bogu, zdrowa, a pieniędzy nie ma tam człek na gubienie.

— Kiedy ani jedno, ani drugie, to sakr-panie, staremu wojakowi Szczepanowi Szczepaniakowi nie godzi się, sakr-panie, wara spuszczać nos na kwintę, jakby rekrut jaki!... Ostro tylko, to złe przeminie i marsz, marsz, bom, bom, bom! — zawołał wywijając laską i udając znowu głos bębna, którego donośny gatunek bębnił mu już od godziny w mózgownicy po kilkunastu kufiach bawara.

— Choroba to, mój panie Poruczniku, co się dzieje na tym świecie!

— Cóż? to, co zwykle, do stu set karabinów! Jednych diabli biorą, a drudzy stoją w szeregu i szlują, jak mówił nasz pułkownik, a był to człowiek, sakr-człowiek... bom, bom, bom!

— Panie Poruczniku, wiecie przecie ten interes pani Kontrolerowej, co to z panem Jabłuszko jeszcze w ziemi pierwsście mi mówili i zaglądaliśmy do hipoteki... no, niby potem trochę tam pieniędzmi wygodziłem.

— Ba, a jakże, pamiętam najdoskonalej. Suchy Szpagat w Płockiem czy Augustewskim nad Narwią.

— Choroba tam Suchy Szpagat: Wilczy Dołek... to Sucha Rękawka do tego Szpagatowicza należy.

— Sakr-panie, prawda! Lepszą masz ode mnie pamięć, poczeiwy majstrze wiarusie! Więc cóż? Chcesz, żeby ci oddała pieniądze Gulmańcewiczowa... a spodziewać się, niech odda! To skąpy babsztyl musi być, pewno na grajberach sypia. Cóż to, taki interes mieć w rękę, to nie fatałaszki, to kapitał, paneczku, a toć wiesz najlepiej, jak nam Jabłuszko opowiadał, i ja bym ci także wtedy nie radził... sakr, sakr! a mówiłem, pamiętasz? Krótki termin, majsterku, krótki termin najlepiej, najświęciej! Duś babę, do stu tysięcy móździerzy i tołombasów, duś, niech odda... brum, brum, brum!

— E, gdzie tam, nie o tym mowa. Dyć u niej pieniędzy to tak jakby u mnie.

— O nie, majsterku, lewo w tył zwrot, lewo w tył zwrot! Wolę zawsze, niech mi tu brzęczy w kieszeni niż u kogo, wolę.

— Choroba... dogadać się nie można z panem Porucznikiem.

— No, no, krok podwójny, marsz!

— Widziałem, że od kilku dni przychodził tam do pani Kontrolerowej jakieś Żydzisko z Nalewek, niby lepiej tam ogarnięty, pono właściciel kamienicy, i markotno mi było, co on tam może szachrować, aż dopiero dzisiaj Żyd w gawędę ze mną i nuż macać mnie, czy pani Kontrolerowa ma pieniądze, i powiada, że cała ta spekulacja nic nie warta, że pani Kontrolerowa przegra, niech ino wyda grubych pieniędzy, że pan Jabłuszko najgorzej radzi... choroba, co nie wygadywał ten Żydzisko; że chciał dać jej kamienicę

i półtora tysiąca, kiedy ona nie chce, powiada, no to figę dostanie.

— Jak wyglądał ten poganin?

— Ano tak, widzi się, jakby na jedno oko nie dowiedział — odparł kum Szczepan opisując mniej więcej powierzchowność Barbonesa.

— A to może Chałek z Nalewek... naprawdę ma tam kamienicę. Znam tego psubrata, to matacz, sakrpanie, jakiego świat nie widział, może obełgać, zobaczysz... bo to najgorzej mieć jaki bądź interes z kobietą. Ale drwij sobie z tego, nie zginą ci pieniądze... już tam Jabłuszko w niepewny interes się nie wda, nie bój się, bratku!

— Niech tam najjaśniejsze piorunczki... pieniądze! Mnie idzie o coś ważniejszego.

— A, sakrpanie, diabli tam wiedzą, o co ci idzie, mój majstrze! Bądź co bądź, radziłbym ci, żebyś oto nie tracąc czasu jutro zaraz poszedł do Jabłuszki poradzić się albo też przestrzec go, że ten Chałek czy tam diabeł jaki, bo Bóg wie, czy to on, nachodzi Gurmankiewiczową, jak tam jej, Gulmańcewiczową. Nawet pan Baltazar, do stu fur beczek, przypominam sobie, mówił mi, że ma jakiś interes do ciebie, majsterku, i że będzie w tych dniach u ciebie idąc do Gurmankiewiczowej. A kiedy powie, że będzie, to jak amen w pacierzu... nie masz więc po co wlec się do niego na Mostową.

— Czym rychlej zbyć co z głowy, tym lepiej. Żeby ja to ośmielił się z panią Kontrolerową pogawędzić jakoś tak otwarcie...

— A to czemu, przepraszam cię, mój majstrze, taki z ciebie baran, że nie śmiesz?

— E, choroba... mój panie Poruczniku, to już was proszę, żebyśmy oto jutro mogli zajrzeć do pana Jabłuszki.

— Koniecznie jutro? Poczekajże, tak, przed wieczorem o piątej, o szóstej przyjdź oto majster do Wina wera na miód, ja go tam sprowadzę.

— Bardzo będę obowiązały panu Porucznikowi.

— Fatałaszk, mój brachu! Cóż to za wielka historia! Nie masz oto parę złotych drobnymi na podorędziu... a wiesz na co? Sakr-panie, klucz oto zgubiłem od kwatery i trzeba będzie przenocować chyba w hotelu jakim.

— A to chodź pan do mnie!

— Subiekcja.

— Choroba tam subiekcja!

— Ano zgoda, wiarusie, po obozowemu, po żołniersku, sakr-panie!

#### IV

Nazajutrz przed wieczorkiem kum Szczepan czekał już u Winawera na Mostowej przeszło dwadzieścia minut, nim z Porucznikiem przyszedł Jabłuszko, ubrany stosownie do pory w prunelowy tużurek i letnie majtki.

— Witam, witam najzaciejszego pana Szczepania, pocziwego majstra naszego, toćże my to w jednym bractwie widzieli się nieraz i robiliśmy interes, oto i Porucznik tyle mi zawsze o panu wspomina, pani Kontrolerowa jeszcze więcej, znamy się więc od dawna, a daję najświętsze słowo honorowe, nie poznaliśmy się jakoś bliżej. Jakiegoż się miodku napijemy, panie dobrodzieju?

— • Pan dobrodziej pozwoli, mospanie, że to ja prosiłem.

— Nic straconego, nie bój się, postawi pan Jabłuszko jedną, a ty drugą i tam dalej — wtrącił Porucznik i zarżał gardłowym śmiechem.

— Kiej to czasu szkoda, a mnie pilno do kuźni — uniknął Szczepaniak.

— Poszedłem w te pędy do pani Kontrolerowej, jak ni tylko Porucznik zakomunikował to, coś mu pan raczył o Żydzie nawiedzającym panią Kontrolerową nadmienić, spotkałem ją właśnie po drodze, za co jestem najserdeczniej obowiązany. Prawda najświętsza z najświętszych, że jej proponował zamianę — ale mogę to panu z najrzetelniejszym ukontentowaniem wyznać, że oczywiście nie przystała na warunki, jak nawet inaczej przypuszczać nie można było. Jednak jestem nie wiedzieć kim, czy pani Kontrolerowa nie powinna była dać mi znać natychmiast po najpierwszej bytności Chałka.

— A co, sakr-panie, zgadłem?

— Tak jest, bez żadnego zaprzeczenia, Chałka. Na moją honorową uczciwość, nic trudniejszego, jak prowadzić interesa kobiecie, żeby ona tam nawet rozumy świata całego zjadła.

— A widzisz, kumie kamracie, mówiłem to samo wczoraj.

— Wprawdzie, gdyby zamierzała wejść w jakie układy z Chałkiem, nie omieszkałaby mnie zawiadomić natychmiast, ale zawsze przyznam państwu najprawdziwszą prawdę, że mnie to obeszło i ośmieliłem się wynurzyć pani Kontrolerowej, że istotnie najlepiej >y było, gdybyśmy mogli znaleźć kogo, co by mu naprawdę można zbyć nasz interes i umyć raz na zawsze ręce od wszystkiego... Bo to tyle przy tym bieżaniny, martwienia i awantur, że aż głowa oto najoczywiściej pęka czasami.

— Choroba... to krucho z pretencją pani Kontrolerowej? A takieś jegomość z'ote góry jej obiecywał! — zawołał ostro Szczepaniak, któremu parę szklanek miodu energiczniej rozwiązało usta.

— Bynajmniej, szanowny panie Szczepaniak dobrodzieju, ani ździebełeczka krucho, co się tyczy samego interesu. To złoty interes, pewny jak amen w pacierzu, murowany i najkamienniejszy, jak oto szklanka ta stoi przede mną, ale, mówiąc prawdę, notabenczko pod najświętszym słowem honorowym, że to spomiedzy nas nie wyjdzie, pani Kontrolerowa nie ma po prostu dostatecznych funduszków na poparcie, na poforsowanie, jak to się mówi po naszymu.

— Jak to... sakr-panie, nie ma nic i może za nią sam wykładasz? A, wiesz, ale- nie zazdrozczę, niech mnie dunder świśnie, nie zazdrozczę, Baltazaruku!

— Jestem nie wiedzieć kim, jeśli choć grosik z własnych pieniędzy wyłożyłem, wyperswaduj więc sobie, Poruczniku, i proszę cię jak najsolenniej, rozumiesz, jak najsolenniej, nie powtarzaj przed nikim.

— Adyć, mospanie, miała przecie niedawno pani Kontrolerowa trzy tysiące złotych.

— Najakuratniejszy, najdokładniejszy rachunek, który sama pani Kontrolerowa prowadziła, przekonał nas, że mamy zaledwie tyle w kasie, ile potrzeba na opędzenie dziesiątej części najnaglejszych, najkonieczniejszych a nieuniknionych kosztów sądowych: stempli, opłat, wpisów itp., jak to państwo wiecie, jeśli kiedy prowadziliście choćby najmniejszy, choćby tylko działowy procesik.

— Ba! sakr, sakr!

— Ja tam, chwalcący Boga, jako żyw, jeszcze nie miałem żadnego.

— Podziękuj za to Panu Bogu, najszanowniejszy panie majstrze, bo to twardy orzeszek do zgryzienia proces każdy cokolwiek znaczniejszy, a cóż dopiero taki!

— Ba! chcąc wojować trzeba mieć wojsko, a choć słuszność i zwycięstwo niezawodne, kiedy wojska ani

w ząb, *geld* ani źdźbła, to stul uszy, każ sobie łeb ogolić i marsz do pociągu!

— I cóż to będzie, proszę łaski pańskiej? Toćże pani Kontrolerowa nie może stracić, przez Bóg żywy!

— • A, jestem nie wiedzieć kim, wolałbym sam oto żyć z żoną suchym kawałkiem chleba i wodą z pompy, niż żeby pani Kontrolerowa, wezwawszy mnie do rady, miała się skarżyć na mnie potem. Uręczam honorową uczciwością, że jej i nieboszczykowi Kontrolerowi bardzo, bardzo wiele jestem winien. Ot, i to na-

wet, że człowiek radzi sobie, jak może, że, nie chwiając się, żyje z pracy uczciwej, to z ich łaski, to ich przykład. Jak własnym dziecięciem opiekowali się mną, poczciwi! — zawołał Jabłuszko krzywiąc się i wycierając spocone okulary. — Jeszcze jedną butelczkę, zacny kumie Szczepanie! Przy kufelku jakoś się ludziska lepiej poznają i umieją się cenić nawzajem. Wypijemy oto zdrowie najuczciwszej, najszanowniejszej pani Kontrolerowej Gulmańcewicz.

— E, sakr, nie wzdragaj się, wiarus, na frasunet dobry trunek. Poradzim na wszystko, nie bój się, po radzim! — zawołał Porucznik i trącił nogą pod stołem Jabłuszkę wskazując mu twarz kowala, przybieającą barwę coraz bardziej burakową.

— A siła by też potrzeba było pieniędzy pani Kontrolerowej? — zapytał kowal.

— Panie majstrze szanowny! — odezwał się nagłt Jabłuszko ujmując go za guzik od kapoty — miarkuję, że pan pod pewnym względem zrobiłeś sobie niemały uszczerbek przyszedłszy nam wtedy w pomoc, wiernadto, że obecne pytanie nie na wiatr rzuciłeś, ak gotów byś może poratować nas znowu. Nie zwróci liśmy panu tamtego, żądać tego ani wypada.

— Choroba... tam, wypada, nie wypada • — mruknął kowal, który już chustkę ze szyi z gorąca odwiązał.

— Ani potrzeba, panie Szczepaniak dobrodzieju! Ani potrzeba. Pomówmy oto szczerze, pozwolisz pan'e

— Bodaj to jegomości najsiarczystsze piorunczek nie zatrasały! A po kiego licha nie mam pozwolić?

— Wał zdrów, ani pytaj! — bąknął Porucznik.

— Pan Marceli Gulmańcewicz bywa oto w domi majstra i daje lekcje córeczce.

— Prześlizności dziewczyna, sakr-panie, na pułkownikową patrzy, co najmniej na Pułkownikową — wtrącił Porucznik.



— Przypuszczam, że dzieciaczki te kochane, a tacy ładniutcy oboje, spodobali się sobie i że pan Marcelli za rok, za dwa zdawszy egzamen konduktorski lub też prędzej, kiedy się interesa wyklarują, przyjdzie do was, majstrze, po starodawnemu, oto skłoni się do nóg i prosić będzie o rękę córki. Czybyś majster mu odmówił?

— Ho-ho, adyc jegomość lepiej po prostu z mostu powiedz swoje, a nie zajeżdżaj tam z daleka! — zawołał uśmiechając się Szczepaniak, u którego trunek, wywołujący zwykle wszystko na wierzch — i wrodzoną prostym ludziom baczność podbudził.

— Daję najświętsze słowo honorowe, najprostszą drogą jadę, kumie uczciwy, i czuję, że byście zezwolili, nie dlatego oto, że pan Gulmańcewicz jest synem urzędnika, szlachcic nieubogi, że będzie architektem, ale że wam pieczoszek jakoś przypadł do serca — pewniście, że by córce potrafił zapewnić szczęście.

— Juźci, ma się wie, że pan Marcin poczciwy pan, że to dobre, łagodne jak panienka.

— Niech żyje! — huknął Porucznik wychylając duszkiem sążnistą szklanicę; współbiesiadnicy poszli za jego przykładem.

— Otóż pozwól siebie zapytać, kochany kumie, czybyście zezwolili, gdyby was, przypuściwszy, pan Marcelli poprosił?

— A cóż wam przyjdzie wiedzieć? — • zagadnął stary wesoło, wyciągając sobie zasmolone palce.

— Co by nie miał zezwolić, do stokroćset batalionów bomb i kartaczy? O, już śmieje się, w to mu graj, wnuczków chce się staremu, sakr, ładne by były!

— Takutenieczko sądziłem — rzekł Jabłuszko biorąc go drugą ręką za guzik z drugiej strony kapoty.  
— Znacie panią Kontrolerową, kobieta najlepsza pod

słońcem, ale... czym skorupka za młodu przesiąknie.,  
zawsze ona ma się za panią, ojciec jej był baronem  
dziadek hrabią...

— Pradziad niechby sobie był księciem udzielnym,  
co nam do tego! Bierz go tam trzysta biesów! —  
wrzasnął Porucznik.

— Otóż z kobietą to delikatna materia wspominać  
o takich interesach, nie mówiłem też z nią ani słówka,  
ani mrumru, ale daję najświętsze słowo honorowe,  
zdaje mi się, że kto to wie.

— Kto wie! — Co? To Szczepaniak miałby się wpra-  
szać jeszcze z panną Marcjaną, a do milionów sa-  
krów, co też gadasz, panie Baltazarze?

— Dajcie ino pokój, panie Poruczniku, pan tu jaś-  
niej jakoś niż wy kapuje rzeczy.

— Nie rozumiesz, nie mowa tu o wprasaniu, Po-  
ruczniku — odparł niechętnie Jabłuszko — ale, po-  
wiedziawszy tak najprawdziwszą prawdę, pani Kon-  
trolerowa gdyby i nie miała nic przeciwko temu, co  
być może, oto nie pozwoliłaby po prostu synowi by-  
wać w domu majstra; tylko jeśli na to przystanie,  
jestem nie wiedzieć kim, zdawać się jej będzie, że ona  
i Marcelek robią niesłychaną łaskę, niesłychane po-  
święcenie z ambicji — rozumiesz, kumie?

— A Boga-ć tam nie rozumiem.

— Szlachcic, syn urzędnika, architekt, nieubogi,  
przystojny, młody, syn baronówny, rozumiesz, maj-  
strze...

— O, rozumiem.

— ...stara się o córkę kowala. Tacy to ludzie na  
tym świecie, i to skądinąd dobrzy nieraz ludzie. Na  
przykład ona, żebyś klinem w głowę wbijał, jestem  
nie wiedzieć kim, czy wbijesz, że oto nasz poczciwy  
kował, co wszystko sobie samemu, własnej, najświę-  
tszej pracy winien, więcej wart od niejednego tam...

dają najświętsze słowo honorowe, przykro nawet mówić.

— Baltazarku! daj pyszczka! To po przyjacielsku powiedziane, pocziwy Baltazarku! Tak jest! Im się zdaje, że to już wielkie państwo, do stu tysięcy bębnow i tornistrów! Co? może nieprawda — wiarus?

— Ba! zarazem zmiarkował, że jegomość zdrowo gada.

— Zdrowie jego!

— Poczekajcież! — pisał Jabłuszko podnosząc się i wstrząsając za oba guziki kapotą Szczepaniaka. — Przez wzgląd na Marcelka i na nią samą, bo znowu zacności kobieta, musim jej pomóc, ale musimy pomóc i kumowi Szczepanowi, nie po przyjacielsku, ale familijnie, familijnie, rozumiecie?

— Niby krzynę.

— Czemuby oto, na przykład, nasz majsterek nie miał jej zaproponować, że on sam gotów by nabyć od niej Wilczy Dołek?

— Bodaj też najjaśniejsze piorunczki nie zatrzasty! Kupić Wilczy Dołek!

— Z najoczywistszych najoczywistsza, że nie ma na podorędziu tyle pieniędzy... aleć jest rękojmia: kuźnia, domek — śliczna, nowa kamieniczka! A gdyby majster, nie wykładając od razu pieniędzy lub też tylko malutenieczko, kupił całą tę sprawę, a raczej pomienił się na ten domek oto na Głębokiej, a resztę ratami upłacił? Rozumiecie?

— Nie przystanie, sakr, przecież z Chałkiem nie ugodziła się.

— Chałkowi ja nie dałem, ale tu, jestem nie wiedzieć kim, zupełnie co innego. Każda kobieta, choćby najrozumniejsza, widzicie, boi się procesu jak ognia, trzęsie się z najstraszniejszego strachu na samo wspomnienie wydatków, chociaż po trochu wyda

wszystko na fraszki. Daję najświętsze słowo honorowe, lepszy rydz niżli nic... powoli, powoli przystałyby, a potem oczywiście, płakałyby wniebogłoso, gdybyśmy nie umieli zaradzić płaczowi. Rozumiecie?

— Ba! — huknął Szczepaniak przytomniejąc znacznie.

— Wtedy, widzicie, już nie pan Marcei Gulmańcewicz, ale pan Szczepan Szczepaniak, a raczej panna Marcjanna Szczepaniak byłaby jaśnie panią i dziedziczką Wilczego Dołku. To zupełnie co innego. Pani Kontrolerowa nie robi już łaski, że jej syn stara się o rękę dziedziczki, i to całą gębą dziedziczki, bo to Wilczy Dołek nie bagatela, kumie poczywy! Włók nie tak wiele, bo — jakeście widzieli w hipotece — ośmnaście, ale grunt pszenny, propinacyjka cudo, karczma przy gościńcu, przewóz nad Narwią, dworek, ogród, pańszczyźniani ludzie, kuźnia sławna w okolicy i boru parę włóczek.

— To pachnie a p r e p r e<sup>1</sup> piętnastu tysiącami rocznego dochodu, sakr!

— Jestem nie wiedzieć kim, może i więcej! A jak się weźmiemy, kumie, do roboty, nie pożałujemy wydatków i choćby z gardła wyrwiemy Szpagatowiczowi naszą świętą, najświętszą własność, majstrze! Wam na stare lata miło będzie odpocząć — ze wsi-ście rodem — i być sobie oto panem, jak na to zasługujecie więcej od niejednego tam...

— Cóż to, do stokroć tysięcy ładunków bagnetów, czy mało znam rzemieślników, co powychodzili na panów?

— A choroba... choroba... — bełkotał kum Szczepan

**i prawie.**

waląc się pięścią w czoło i muskając wąsietą. — Żydówka! daj no tu jeszcze buteleczkę!

— Dosyć, daję najświętsze słowo honorowe, ust nie umoczę.

— Jużci! A czemu nie? Kto tak gada, a gada dobrze, to wartło, żeby i odwilżył gębę.

— Więc •— wrzasnął Jabłuszko kładąc obie ręce na ramionach Szczepaniaka — kumie pocziwy, radziłbym z serca pomieniać się na domek, radziłbym. Kilka ratek corocznie po parę tysięcy to niewiele, to bardzo tanio, na moje honorową pocziwość. Spróbujcie, poradźcie się jakiego adwokata, kupić, jak kupić, potargować nie zawadzi. Wszakże pani Kontrolerowej nie krzywdzimy, bo, zaręczam najhonorowszym słowem, dałbym się pierwej posiekać w kawałki, niż żeby na łepiek od szpilki miała stać się jej krzywda. Wilczy Dołek z kamieniczką zostają w jednym ręku, w rodzinii waszej: państwa Szczepaniaków i Gulmańców.

— Hulamy na weselu dwa dni i dwie noce, do stu par kamaszów, czyli: wilk syty i owca cała — sakr-Metternichu! — zawołał Porucznik.

— Nie przystanie pani Kontrolerowa, czego nie przypuszczam, to trudno! Sprawa sprawą, najświęciej wygramy, ale będzie musiała zapożyczyć się u Żydów i grube zapłacić procenta, oj grube! A kto raz się wda z lichwiarzami, to mieszkając na przedpieklu, diabła w kumy prosi. Z najłatwiejszych najłatwiejsze dostać pieniędzy mając hipotekę. Wilczego Dołku wprowadzie czyściuteńka jak słoneczko, ale jeszcze w sporze, jeszcze nasza i niby nie nasza, rozumiecie?

— Ba! musi pani Kontrolerowa nie rozumie tak dokumentnie... pocziwa, kochana pani — niech jej Bóg da najdłuższe zdrowie — dumnać tam ona, dumna — mądra, siarczyście mądra — ale gdzie to tam takiej

pani ambarasować się o pieniądze! A jak przyjdzie ołaćić długi...

— Z procentami — to i niewiele zostanie majątku, najprawdziwsza prawda! Dlatego też — pójdźmy oto jutro albo pojutrze do niej razem i — daję najświętsze słowo honorowe — zaraz do interesu.

— Nie ma co, trzeba ratować babinę — wtrącił Porucznik, smętnie patrząc na próżną, ostatnią butelkę.

Kum Szczepan, rozbujany tym podobnymi radami, uwagami, miodem i jamają, której hojny Porucznik wmusił w nich po dwa kieliszki, wróciwszy na Głęboką marzył do późna o Wilczym Dołku nad Narwią, o koczobryku, we własnej kuźni okutym, ale co się nazywa, na urząd, którym Marcysia będzie z nim jeździła w niedzielę do kościoła — o Jakubowej, jakby doglądała wiejskiego gospodarstwa, o Maciusiu, któremu by zaraz kuźnię odstąpił, o panu Marcynie, jakby z Warszawy na wieś w konkury przyjeżdżał, o pani Kontrolerowej, co by u dzieci zawsze pół roku bawiła... I zasnął stary jak student w wilię wakacyj, jak zakochane dziewczątko. Nazajutrz jednak, gdy wyszedł na podwórko, a słońeczko boże, tak złociście odbijając się w Wiśle, dygotało radośnie w szybkach jego domu, szerokim pasem po dachówce płynęło, przypomniał sobie, że w tym miejscu grzęzła kiedyś w błocie stara rudera i deszcz lał przez gonty pogniłe, że najprzód z mozołem podwórko płotem ogrodził, potem wystawił kuźnię, potem kamieniczkę... i spodobała mu się jakoś teraz tak jak nigdy. Knykiem postukał w mury, obejrzał pilnie, czy gdzie czego nie brakuje, i poszedł do Fidrykowej zwierzyć się, ale nie ze wszystkim, z zamierzonej sprzedaży swego domku. Fidrykowa nuż badać, nuż wypytywać, odradzać i krzyceć płaczliwie, że to będzie nieszczęście dla

niego i dla Marcysi, że kiedy się mu tu dobrze działa, niech nie zmienia miejsca.

Przyszedł potem ojciec Jakub, któremu już szczegółowej zmiar ów opowiedział.

— Ano, widzę, mój kumie, że odkąd Józiaak stąd się wyniósł, diabeł was jakiś kusi coraz bardziej i opętał na dobre — rzekł zakonnik markotnie. — Pójdźcie oto dziś na odpust do Reformatów, westchnijcie szczerze do Przenajświętszej Trójcy i do patrona waszego. Czy się godzi oczywiste błogosławieństwo boskie, owoc krwawej pracy własnej, majątek oto Marcysi, dla dogodzenia ano tam komuś narażać i marnować za figi...

— Choroba tam, figi!

— Ano — malowane.

— Nieprawda! Nie wiecie dokumentnie i gadacie czort wie co.

— No prawda! Nie trza wiedzieć dokumentnie; dosyć ino mieć za grosz oleju w łepetynie, mój kumie!

— E, ucztcie sobie tam kogo innego, ojcaszku! Dziękujący Bogu, człek sobie radził oto sam, i poradzi.

— Ano, niech będzie pochwalony! Radźcież sobie, mój kumie! jak możecie, abyście tylko nie żałowali — odparł ojciec Jakub i odszedł jak oparzony.

Daremnie Szczepaniak wołał na niego, nie wrócił. Uwagi jednak Fidrykowej i kwestarza, odpowiednie rannemu wrażeniu, utkwiły mu w pamięci, a kiedy przelotnie wspominając o tymże Marcysi dziewczeczka smutną minkę zrobiła i łzy się zakreściły w oczkach, postanowił bądź co bądź nie myśleć nawet o zamianie domku — ale zarazem postarać się koniecznie o pieniądze dla pani Kontrolerowej. Jabłuszko aż podskoczył i stłukł okulary, kiedy mu to doniósł tak zwany Porucznik, a Gulmańcewiczowa już nie stroiła tyle grymasów i trudności, [co] przy zaprojektowaniu pierwszej pożyczki od Szczepańskiego.

## V

smętarzu, ogrodzonym parkanem niewysokim z kamienia polnego i cegły, ułożonych na przemian warstwami, z gzymsem gotyckim u góry, z wieżyczkami w czterech narożnikach, pod którymi stacyjki, w cieniu świerków i modrzewi wznosi się kaplica 0 wysmukłej wieży ze skarpami, okienkami, pinaklami \*, ozdobami różnymi i dachem lekko mknącym ku górze. Po obu stronach wieży na froncie, gdzie nawa się rozsuwa, na wyskakujących ze skarpy konsolkach<sup>2</sup>, przed przezroczystymi, wykoronowanymi baldachimami dumają dwie figury Apostołów; na rogach sterczą skarpy z wnękami łukowatymi. U wejścia, w zagłębieniu, za łukami, które sześć kolumnienek podpira, gotyckie podwoje w esy i floresy stolarskiej i ślusarskiej roboty. W ścianach pobocznych błyska po trzy większych wąskich okien kolorowanych; z tyłu budowli, zewnątrz *absidium*<sup>3</sup>, pomiędzy skarpami wciśnięte małe, kolorowe okieneczka, tajemniczym półtonem oświetlają sklepienie, jakby gwiazda nad ołtarzem rozpięte. Wewnątrz, przy chóрку lekko naprzód podanym, rozwija się balustrada z łuków i rozet; po obu stronach nawy, ze czterech splotów kolumnienek, wytryskują łuki i żebra sklepień, wiążą się jak girlandy, zwijają, rozwijają, krzyżują, a w krzyżowaniach uśmiechają się główki aniołów, wonieją kwiatami, pną się jakby liśćmi bluszczu lub powoju. Nawę główną przegradza od prezbiterialnej, na pięć stopni wzniesionej, fryz harmonijnie i kunsztownie wyornamentowany. W ołtarzu w stylu czysto gotyc-

<sup>1</sup> wieżyczkami.

<sup>2</sup> na podstawach pod figury, na postumentach.

<sup>3</sup> absyda, sklepią półkolistą część kościoła (tu: kaplicy) mieszcząca wielki ołtarz.



kim, w tej subtelnej fantazji z powagi i marzeń, z rzeźby i gazy, na ciosowym kamieniu wyżłobionej — obraz Zbawiciela, w którego niebiańskich rysach uidealizowana rodzinna, północna piękność męskiego naszego typu... Dźwięczą dzwony strojne wysoko, brzmia organy, odprawia się ofiara — przez kolorowane szkła słoneczko tuła się mrocznie i smętnie po ścianach szaropiaskowej barwy, uwydatnia wiejską gromadkę zebraną na niedzielne nabożeństwo. Naprzeciw zakrystii, w kolatorskiej ławce, wyrzeźbionej jak pieścidełko, klęczy wysmukła kobieta jasnych włosów i modli się gorąco — przy niej drzemie i otwiera oczy, otwiera oczy i drzemie kolator wąsaty... „i nie starczy stu tysięcy nawet na taki drobiazg, chcąc go wykonać jak się należy” — pomyślał nagle Paweł i rzucił ołówek patrząc na plantę, przecięcie i podstawy budowli, które niedawno nakreślił, a teraz fantazjował tylko zewnętrzne i wewnętrzne dekoracje, tak szybko — jak muzyk improwizujący albo poeta w złotej chwili natchnienia! O! bo i tu świecił tenże sam ogień święty popędu artystycznego, tylko że nieszczęśliwy ołówek rozwijał jeszcze powolniej myśli na gładkim, rysunkowym papierze niż pióro uroki poetycznych uniesień lub klawisze • — muzycznych. Tyle pomysłów najrozmaitszych, a zdaje się od razu w całość i wszystkie szczegóły harmonijne bogatych, stawało mu się widomie w wyobraźni, że niełatwo było wybrać taki, co by najwłaściwiej dał zastosować się do warunków zadania.

Znając i przypominając sobie każdy zakątek w Gierzejach, gdzie to ongi zaczął się przez całą noc w zwaliskach zameczku wyczekując stracha — umyślił usadowić boży domek na wzgórzu, między folwarkiem a lasem. Miejsce to, dostatecznie nad poziom wioski wzniesione, nader szczęśliwie było wybrane. Zrów-

nawszy z ziemią zwaliska, żadną pamiątką nie nacechowane, żadnej nie dające ozdoby, przed oknem dworu od ogrodu roztaczałyby się skromny, ale wdzięczny krajobraz. Wzrok, biegnąc po cienistych ulicach z wiązów i klonów, mógłby z przyjemnością odpocząć na wysmukłej i kształtnej budowli, wkoło której świerki i modrzewie tak wydatnym różniły się odcieniem od pobliskiej olszyny i dalszych lasów nieiglastych. W pogodny dzień, poniżej wzgórza, wzrok mógłby dosięgnąć i błyskającą w dali wstęgę rzeki, i na przeciwnym brzegu niebieszczące bory.

Najłatwiej to oku zachwycać się widokiem, co go sama przyroda utworzyła lub ręka ludzka tylko cokolwiek dopomogła; widok jednak choćby najskromniejszy, aby niewysilony, co go wprost człowiek utwarza, nieraz jest u nas konieczny na wsi, gdzie najczęściej zanadto zaniedbują otoczenie, jakby go nie potrzebowali i nie czuli jego potężnego wpływu na duszę naszą; jakby na świadectwo, że brak nam zmysłu estetycznego, co jednak plemieniu naszemu łatwo czerpać o nim pojęcie, choćby tylko w kształtnych rysach kobiet naszych. Z okien tyłu dworów — i to we wsiach porządnych — nie ma na co patrzeć, po ogrodach tyłu nie ma po co chodzić, a przecie tanim kosztem i najmniej wdzięcznej miejscowości nadać można wdzięk jakiś, którego każdy ślad świadczy zawsze o dbałości, naznacza jakimś odcieniem oświaty, do której dążymy usilnie.

Wyobrażał sobie Paweł, jakby to dziedziczka<sup>^</sup> siadłszy czasem w oknie lub wyszedłszy do ogrodu, kiedy zachód ostatnimi promykami ozłoci krzyż na wieży, lubiła pomarzyć i podumać. Wysmukła jej postać snułaby się do późnego mroku jak cień kształtny po ciemnych alejach, czasem przelotny uśmiech, czasem łyżadrgałyby może w wielkich, błękitnych źrenicach... te

ły, co je raz widział gorące i wymowne... „Oczy archanioła to twoje oczy” — pomyślał przypominając sobie początek owych wierszy hiszpańskiego poety i przyznać musiał, że choć już kilka lat upłynęło, można by jeszcze bez zająknięcia toż samo na cześć jej piękności powtórzyć — a piękność serca i duszy, której tyle nowych miał dowodów w samej tylko łaskawej opiece nad Józikiem i jego ciotką!

— O czym też marzę! — szepnął z przymuszonym uśmiechem i przechadzając się szerokimi krokami po sporej, chłodnej, tylko co wybielonej sali, którą dwie świece stojące przy rajzbracie oświecały niepewnie. Wprowadziwszy się do tego gmachu, gdzie kierował robotami w lecie, nie myślał i w zimie opuszczać mieszkania, które, chociaż chłodne, nic go nie kosztowało i było prawie w środku miasta. Myślał teraz, jakby zmodyfikować projekt, bacząc koniecznie na względ oszczędności, którą zalecił pan Beleński, mąż pani Anieli, ów eks-konkurent nr 1 — i obawiał się, czy przystanie nawet na zmodyfikowany.

A jednak żal mu było kapliczki z wysmukłą wieżą w cieniu świerków i modrzewi, postanowił chociaż zrobić z niej akwarelkami pejzażyk i pokazać pani Anieli... żal mu było i marzeń krążących coraz uporczywiej koło jednej istoty, łudzących się coraz boleśniej i namiętniej, od których rozsądek i wola daremnie nakazywały oderwać się na zawsze.

Wtem nieśmiało zastukano i wszedł Józik zadyuszany.

— Przepraszam pana budowniczego, może się spóźniłem, ale by pewnie nie wyprasowała, gdybym jej nie dopilnował — rzekł kładąc na łóżku czystą białą w zawiniątku.

— Dziękuję ci, mój bracie, i przepraszam, zem cię trudził — siadaj z łaski swojej!

— Już dawno po dziewiątej — pan budowniczy pewno zacznie się zaraz ubierać... Tak tam całe pierwsze piętro oświetlone, jakby w teatrze. Kiedym dziś odnosił stołki, pani Grzybińska mówiła, że to będzie bal co się zowie, bo to niby z powodu przyjazdu macychy i siostry samej pani Beleńskiej.

— Wiem — i przyznam ci się, mój bracie, że nie mam wielkiej ochoty iść na ten bal. Bardzo by się tam beze mnie obejść mogli — tańczę niegodziwie, z kobietami nie umiem rozmawiać.

— Zmartwiłaby się pani, gdyby pan nie poszedł.

— Skądże tak miarkujesz, ciekawym? — zapytał ostro Paweł, który jednak o tym przedmiocie powinien był przestać mówić.

— Zawsze prawie, skoro odnoszę robotę, pani tak łaskawa, że rozmawia ze mną i zawsze się o pana pyta grzecznie i wspomina — rzekł Józia z cicha. Patrząc sympatycznie na zdumioną twarz Pawła, postawił nieśmiało przy rajzbreecie wcale zgrabną toaletkę mahoniową, którą dotychczas trzymał pod pachą.

— Cóż to za toaletka?

— To, proszę łaski pana, w warsztacie u naszego majstra zrobił tam czeladnik dla jednego pana, ale pan ten wyjechał za granicę, a czeladnikowi potrzeba pieniędzy. Może by się panu przydała... dwa ruble, niedrogo!

Skłamał chłopczyna. Sam po nocach zrobił toaletkę, a kosztowała go najmniej pięć rubli.

— Żartujesz chyba, sama robota warta więcej... Owszem, dam chętnie cztery, ale chyba jutro przed wieczorem, bo dzisiaj...

— Choćby za kilka dni, to wszystko jedno... na co zaraz cztery, kiedy on tylko żąda dwa, proszę łaski pana? Jejmość ta, co z nią moja ciotka mieszka, ma do sprzedania płótno grube, ale jędrne i niedrogie. Prze-

praszam za śmiałość, pan budowniczy ma tylko jedno, i to nieszczęśliwe, prześcieradło, za te dwa ruble można sprawić przynajmniej ze dwa.

— Dziękuję ci, mój bracie, za dobre serce i przyjacielską radę... przypomnij mi jutro, może się znajdzie prócz tych czterech i parę rubli na płótno... Bóg ci zapłać! Byłbym najszczęśliwszy, gdyby mnie Marcelek chciał zwolnić dzisiaj od wprowadzenia na ten bal... posiedzielibyśmy sobie, pogawędzili. Ot widzisz, Józiaku, cała moja robota na nic, bo kapliczka, com narysował, byłaby za droga.

— To i pan Gulmańcewicz ma tam być dzisiaj? — zapytał Józia nader żywo, nie słysząc już, co Paweł mówił potem.

— Wujenka poznała się na wsi tego lata z macochą pani Anieli, prosiła mnie, żeby go tam wprowadzić. Uprzedziłem już pana Beleńskiego o tym. To właśnie dla niego zabawa! Przystojny, tańczy gracko.

— Zapewne! — bąknął markotnie Józia. Mimo woli czoło zmarszczył — i jakoś niespokojnie spojrzął na Pawła.

— Cóż tam słychać więcej u ciebie? Jak ci się powodzi, jak się ma ciotka? Siadajże! — zawołał nalegająco Paweł i przysunął mu wyplatane krzesło, na którym Józia, chociaż był znużony, nie śmiał usiąść przez uszanowanie.

— Odkąd pana budowniczego spotkałem na wili przeszłego roku u kuma Szczepana, jakoś z łaski Boga powodzi mi się coraz lepiej, zawsze się znajdzie i robota, i zarobek, ale ciotczysko to się ma coraz gorzej. Kaszle, biedactwo, ustawicznie, piersi bołą, doktor, co go pani Beleńska przysyła, niewiele sobie z niej obiecuje, a ojciec Jakub powiada, że nic z niej nie będzie.

— Muszę was kiedy znowu odwiedzić.

— A mój Boże! Pan za dobry i za łaskaw na nas! — zawołał Józiać całując go w ramię i łoży mu w oczach błysnęły. — Ale już czas ubierać się, proszę pana budowniczego. Może trzeba przynieść wody albo rzeczy wyczyścić?

— A to na cóż miałbym ciebie trudzić? Jest przecie stróż, co mi to wszystko zrobi, a zresztą ja sam potrafię.

— Za tyle dobrego nawet pan takim drobiazgiem nie pozwoli sobie odsłużyć, kiedy by mi to było najmilej... A może z łaski pańskiej dostałbym znów jaką książeczkę do czytania. Ciotka po nocach kaszle, trzeba jej często podać oto lekarstwa — sen mam twardy, a czytając nigdy nie zasnę.

— Nie wiem, czy co mam na podorędziu stosownego dla ciebie, ale zobacz na półce, jest tam kilka nowych książek, com dziś wziął do czytania.

Zaturkotała wtem dorożka, po długich korytarzach rozległ się chód skrzypiący i wszedł Marcelek, a z nim otwarta apteka perfum z paczulą<sup>1</sup> na czele.

— *Bonjour* Poluniowi! Jeszcze to nie ubrany? Zmiłuj się! *Le bal on a commence deja*<sup>2</sup>. Tylko prawda, że to u ciebie wszystko prędko idzie. Mama prosiła, żebyś w jej imieniu zaprezentował ukłony i uszanowanie pani Radczyni, macosze pani Beleńskiej... Patrzcie państwo, jak to góra z górą się nie zejdzie, a człowiek... Czy też mama spodziewała się, mój Polunieczku, żeś w ich domu przez tak długi czas bawił przedtem... Jak się masz, panie Sierocki?

— Kiedy się będę ubierał, może przez ten czas fajkę wypalisz — poprosił gospodarz.

<sup>1</sup> pachnidło z liści aromatycznej rośliny południowo-azjatyckiej o tej samej nazwie.

<sup>2</sup> bal się już zaczął.

— A strzeżże mnie, Boże! Przeszłyby mi suknie i włosy dymem od tytoniu. I tak słychać go tu *comme il faut*<sup>1</sup>, dlatego nie zdejmuję płaszcza i jeżeli pozwo-  
lisz, włożę kapelusz — dodał zasadzając *gibus*<sup>2</sup> na  
ufryzowaną czuprynę, w mnóstwo loczków pudełko-  
watyh.

Józiak, wybrawszy sobie książkę do czytania, od-  
szedł wkrótce, a Paweł ubierał się niechętnie.

— Wiesz też, Pawełku, jaka twoja największa wa-  
da? — rzekł pieszczotliwie jego brat wujeczny.

— Ciekawym.

— Jesteś za dobry. Z takim na przykład Stolarczy-  
kiem zupełnie za pan brat obcujesz... Powiadam ci  
z doświadczenia, *mon cher Paul*, że to niedobrze, i za-  
łuję teraz jak najmocniej, żem się spoufalił ze Szcze-  
paniakami.

— Ze Szczepaniakami czy ze Szczepaniakówną?

•— Strzeżże mnie, Panie! *Pardonnez d moi, mon cher*,  
mniemasz może, że ja usiłowałem spodobać się jej  
albo że ona niby mnie się spodobała... Broń mnie, Bo-  
że! — zawołał uśmiechając się z próżnością.

— Przystojna, niczego dziewczyna! Nic dziwnego,  
że by się i spodobać mogła... ale jeśli to prawda, że  
ci się nie spodobała, co ja tłumaczę, że przestała się  
podobać, to tym ci lepiej, Marcelku!

— Ach, jaka piękna toaletka, skąd to dostałeś,  
gdzie kupiłeś? I lusterko zgrabne... i skrytki.

— Łajałeś mnie, że się poufałem z Józiakiem, a to on,  
widzisz, wystarał mi się takiej toaletki za cztery ruble.

— A zmiłuj się, Pawełeczku, dam ci pięć w tych  
dniach, odstąp mi.

— Daruj, kochanie, że ci odmówię... Dałem sobie

**1 tu: przyzwocie.**

**2 rodzaj cylindra.**

słowo, że raz w życiu muszę dojść do jakich takich mebli. Widzisz — mam już łóżko, szafkę, parę krzeseł, a teraz i toaletkę... i to wszystko z łaski pocziwego Józiaka.

— Strzeżże mnie, Panie, żebym miał co przeciw temu chłopcu, jemu z oczu patrzy uczciwość. Poproś go, kochanie, żeby mi się takiej samej toaletki postarał, dam mu pięć rubli i parę złotych na piwo.

•— Nie przyjmie.

— No to mniejsza! Tylko mi to zrób, pocziwy Pawełku, będę cię kochał jeszcze bardziej, kochanie!

— Zobaczymy, spróbuję — odparł Paweł wdziewając świeżutką, białą kamizelkę z gustownymi, świecącymi guzikami, którą Józiak tylko co przyniósł od praczki.

Marcelek miał na sobie ciemną, i do tego nie tak modnie zrobioną, błysnęły mu żywiej okrągłutkie oczy bez wyrazu.

•— Pamiętaj, że będziemy tańczyli ze sobą kontredansa *vis à vis* — rzekł po chwilowym zastanowieniu.

— Nie tańczę zupełnie.

— Czemu?

— Nie lubię.

— E... tańcz! mój najdroższy!

— Nie chcę.

— A jak ci też niegodziwie leży ta kamizelka, jak ci nie do twarzy!... Wiesz co, bracie, pomieniamy się! Dam ci moją ciemną, a ty mi swojej pożyczysz na dziś, mnie, jako tańczącemu, to właściwiej... a tobie, jak Boga kocham, bardzo będzie *comme U iaut* w ciemnej. Jeżeli nie chcesz, to strzeżże mnie, Boże, ale spróbuj no tylko! — zawołał wkładając na Pawła ciemną, aksamitną kamizelkę, jak wór luźnie leżącą i pomarszczoną, gdy tymczasem na tęższej jego piersi biała leżała obcisłe, ale jakby ulana.



— Wybornie, jak matkę kocham, wyśmienicie! poczekał... zawiązę ci jeszcze chustkę na szyję i uczeszę — dodał robiąc mu naumyślnie węzeł niezgrabny i nierówną linijką rozdzielając włosy.

## VI

Pani eks-pułkownikowa, obecnie pani Celestynowa, postanowiła w porozumieniu z pasierbicą, panią Anielą, koniecznie tego roku wydać za mąż pannę Karolinę. Mimo bo wrażliwości na usiłowania rozmaitych konkurentów jeszcze w podlotkowych latach, ta panna Karolina chyba się uparła, żeby pozostać pełnoletnią a niezdobytą twierdzą. O brak jednak chęci lub też usposobienia do hymenu<sup>1</sup> nie można było posądzać osoby, żadnej, zdaje się, skłonności nie mającej do ówczesnego emancypacyjnego marzycielstwa. Celestynowa w tym tylko celu przybyła do Warszawy i zamieszkała u pasierbicy, która w dużym domu, odziedziczonym po stryju, zajmując całe pierwsze piętro, najchętniej pół mieszkania odstąpiła, rada nie tylko rodzeństwu, które kochała, macosze, którą lubiła, ale i liczniejszemu towarzystwu, co ożywi obszerne, wysokie pokoje wykwintnego apartamentu, gdzie i w obecności małżonka byłoby może nieraz milcząco i pusto, gdyby nie dźwięczał po nich piskliwy krzyk dziecięcia, ów najwdzięczniejszy flecik dla ucha matki każdej.

Pani Celestynowa korzystając ze stosunków pasierbicy, z mężowskich i swoich własnych, które podnawiała, zamierzyła wydawać wieczory, na których by wdzięki i cena jej córki mogły zwabić jakiego żonkosia z czupryną, łysego lub nawet szpakowatego spo-

**i do małżeństwa.**

między obywatelsko-wiejskiej chorągwi, bawiącej w Warszawie podczas karnawału. Inaugurowała właśnie tego wieczora ciąg periodycznych zebrań tańczących prawie balem, co w okazałych obszernych salonach po nieboszczyku stryju pani Anieli, a ojcu Józiaka Stolarczyka, zakrawał na nie lada wystąpienie. Panu Beleńskiemu wasy jeszcze bardziej urosły, zaokrągliła się tusza i francuszczyzna *in statu quo*<sup>1</sup> pozostała. Przyjął Pawła i świeżo wprowadzonego Marcelka dosyć protekcyjnie; za to pan Celestyn i w ogóle kobiety bardzo dla nich były grzeczne, a panna Karolina, wesoła panna, pięknych oczu, pięknej tuszy i wzorowego zdrowia, zawezwawszy do pomocy brata swojego, już teraz sporego wyrostka, z dawnym jego nauczycielem rozgawędziła się tak poufale, jakby się co dzień widywali, jakby w Gierzejach na ganku od ogrodu. Podczas tej rozmowy wzrok jej odpoczął parę razy na świetnej czuprynie, na kartofelkowym nosku, na symetrycznych faworytach i błyszczących guziczkach od kamizelki Marcelka, który kształcąc się z zamiłowaniem na tyłu kompletach w choreografii, nie tak dobrze i zgrabnie, jak raczej wprawnie i pracowicie tańczył... Na wieczorach u Witruwiusza dosyć spodobał się kobietom; tutaj, chociaż kręciły z początku noskami wciągając tyle zmieszanych, bijących od niego zapachów, a niektóre na loczki pudełkowate z uśmiechem spoglądały, na pierwszy rzut oka odgadły w nim zaraz istotę należąca do wieczornego plebsu, zaproszonego dla zapchania miejsca i poruszania nogami, który kobiety protegują czasem, bo się go nie obawiają. Przy nieznażącej a niebrzydkiej twarzyczce, dobrym wzroście i nierażących ruchach, wiernie przejętych od młodzie-

**1 w dawnym stanie.**

ży, którą widział na dwóch balach w resursie, Marcelek wcale był znośnym sprzętem. Tańczył też ciągle i wybierano go nawet do figur dosyć łaskawie.

W Pawle na pierwszy rzut oka odgadły zaraz kobiety przybysza z innej sfery, niemodnej. Niezwyczajna i zadumana twarz jego mimo zaniedbanego ubioru wywarłaby może większe wrażenie od wielu gładkich i dobrze wypranych fizjonomijek, gdyby w nim widać było bardziej bywalca światowego, a przynajmniej więcej śmiałości i pewności. Bądź co bądź, wyglądał na tak zwaną w towarzystwie figurę zakazaną, o którą to zwykle goście z tajonym uśmiechem zapytują się: „Kto, skąd i po co?” Poczciwa panna Karolina zapewne mimo woli najdyplomatyczniej postąpiła zaraz przy wejściu przyprowadzając do niego brata, a matka jej, widać uprzedzając domniemane zapytania, nie omieszkała szepnąć tu i owdzie, że to bardzo zdolny budowniczy (Paweł miał prawo do tej nazwy, bo już wczoraj zdał egzamen konduktorski) i znakomicie uczony matematyk, który przedtem kształcił jej Stasia. Odtąd już nikt nie zwracał nań uwagi.

Dudli fortepian i skrzypce, kobiety ładne, młodzież hoża, posadzka wywoskowana, salon obszerny, gospodarstwo uprzejme, chłodniki i przekąski smaczne, wina obfitość, światła do zbytku, stroje gustowne, dźwięk, blask, woń, szal zabawy i nawet nieco wesołości, której prawdziwego wyrazu tak trudno dostrzec na tym podobnych zebraniach.

A jednak Paweł rozmawia jak bez życia z gospodarzem i z panem Celestynem. W szanownym tym panu, tak niegdyś pożądanym i ożywiający każde towarzystwo, zdawało się, przynajmniej na pozór, że prócz rysów prawie nic z dawnego człowieka nie pozostało. Łysinę nakrywał peruką, siwawe wąsy czernił, dobrego humoru i gadatliwości ani dopatrzeć w stroskanym

jakimś, przytłumionym i narzekającym tonie mowy, którą co chwila przerywał i jakby zastanawiał się Pani Radczyni zaś przybyło tylko kilka zmarszczek ale ani jedna iskierka nie zagasła w bystrych, czarnych oczach.

— Może się utworzy partyjka, będziesz grał ten... w preferansa, panie Pawle? — zapytał po kilku lakonicznych odpowiedziach na lakoniczne zapytania.

— Nie umiem.

— W wista?

— Nie potrafię.

— Aha! nie grasz w karty zupełnie. Może się wina napijemy?

— Dziękuję.

— Chodźmy do tamtej salki, siądziemy, ten — przed kominkiem!

— Chodźmy! — odparł Paweł, machinalnie idąc, lecz usiadł nie machinalnie, bo na tańczących mógł wybornie patrzeć zza portiery.

— • Coraz gorzej, powiadam ci, szanowny panie Pawle, coraz gorzej! Ta wasza młodzież terażniejsza w obejściu, w sposobie życia, w dążności... ten... niedobrze! Nie wszyscy, oczywiście, ale po największej części, rozumiesz... I mówiąc tak między nami, kobietom, a nawet starszym kobietom nieraz troi się po głowach. Powinno by jednak być inaczej, gdyby nie ten... jak ci wspomniałem, może by było inaczej i wierzaj mi, nie przez żadne uprzedzenie, damę ci słówce honoru, że dawniej bywało inaczej, inaczej bywało — ciągnął Celestyn rozpoczętą przedtem gawędkę, prostując przed kominkiem stemporowate nogi tak troskliwie, jakby mu przedtem zziębły.

— Zapewne! — odparł Paweł, któremu oczy zapłonęły nagle ogniściej. (Pani Aniela wybrała już Marcelka po trzeci raz do figury.)

— Cieszę się .— ten — że zgadzasz się ze mną, ale coś mizernie wyglądasz, panie Pawle... Rozumiem — praca, mozolna praca, pojmuję aż nadto dobrze. W tym wieku pracowałem i ja nie na żarty, dziś przy tylu zajęciach gospodarskich i rozmaitych innych, a stąd koniecznych — ten — przykrościach, nie chce się nawet wziąć książki do ręki — uwierzysz?

— Uwierzę.

— Takich nam właśnie ludzi potrzeba, co to w hulance niegodziwej nie marnują sił za młodu. Wiek dojrzały szybko nadchodzi, potem już starość za pasem — i żałujże po niewczynie ze starganym zdrowiem, a co najgorsza czasem — ten — z osłabionym umysłem, że żyjąc, prawie przestałeś żyć, uważasz, żyć przestałeś.

•— Nie tylko hulanka może zdrowie zniweczyć — odparł Paweł, który nieco uważniej przyglądając się podczas tych kilku słów Celestynowi, ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie zwaliska zameczku w Gierzejach i jakoś mimo woli porównał z myślami mówiącego ich zgrzybiały a nieimponujący wyraz.

— Tak jest, tak jest bez zaprzeczenia, kochany panie Sarmiewicz — nieco żywiej wtrącił Celestyn. — Praca, trudy, kampanie i choroby nieprzewidziane mogą — o, mogą nadwereżyć — ale to nigdy to, co — ten — tamto — oczywiście, panie Pawle! Ale, ale... przypominasz też sobie, jak cię to kiedyś nazywałem pedagogiem? — zapytał nagle, jakby sobie coś bardzo ważnego przypominał.

•— Przypominam sobie dawniej — odparł Paweł, który szczęściem to tylko jedno zapytanie dobrze usłyszał, ale za to nie stracił z oka ani jednego ruchu pani Anieli, przy której siadł przystojny, wysmukły jakiś modniś z lornetką w oku i zaczął z cicha, a widać zaj-

mująco rozmawiać, bo kobieta uśmiechała się i zamyślała na przemiany.

— Przy twoim sedentarnym trybie życia, szanowny pedagogu, daruj, panie Pawle — nic — jak zimna woda, zaraz będziesz lepiej wyglądał, a w zimie to najbardziej skutkuje, muszę i ja znowu rozpocząć — jak myślisz?

— Zapewne!

— Nie potrzebujesz nawet, panie, robić *abreibu*<sup>1</sup>, brać *tuszę*<sup>2</sup> albo kłaść *umszlag*<sup>3</sup> lub okrywać się kocami. Dostyc tylko — ten — wstawszy co rano parę kubełków albo konewek wody zimnej ze studni, potem zaraz ubrać się, pobiegać, ostro, ostro pobiegać — zobaczysz, że mi podziękujesz.

• — O, podziękuję niezawodnie — odparł Paweł wstając nagle i zbliżając się do portiery, gdzie spotkał się nos w nos z panią Celestynową, co na jego widok rozjaśnwszy nagle zmarszczone czoło zbliżyła się do męża i cichutko szepnęła mu do ucha:

— *Au lieu de iaie ici l'imbécile avec Monsieur chose*<sup>4</sup>, raczże pokazać szanowne swoje oblicze w sali. Wyręczysz potem przy wiście Jenerała — rozumiesz? a Jenerałowej podasz rękę do kolacji, nie zapomnisz?

— Ten — pamiętam.

— Papo, papo — zawołała wbiegając żywo panna Karolina — szwagier gra w karty; wino prawie nie tknięte, a panowie tak tańczą ochoczo — trzeba kogoś, co by zachęcił.

— Kogoś? to pewno mnie. Chodźmy, panie Pawle! — zawołał pan Celestyn i ciężkim krokiem ruszył się, jakby w palonych kirasjerskich butach.

<sup>1</sup> nacierania.

<sup>2</sup> natrysk, przysznic.

<sup>3</sup> kompres.

<sup>4</sup> zamiast udawać głupca z tym panem.

Kobiety zatrzymały Pawła.

— Panie Sarmiewicz! wspomniała mi właśnie Anielka o pańskim projekcie, kuzyn pański mówił także, jakeście panowie nad nim właśnie pracowali... to będzie bardzo ładnie, ale wie pan, gdzie podług mnie najpiękniejsze miejsce na kapliczkę... obok zwaliska... za szpalerem ogrodowym... — mówiła tak szybko, że Paweł nie miał czasu przerwać. — Gierzeje wiele zyskają na takim przyozdobieniu. Beleńscy mają potem zamiar wystawić i pałacyk, nie wątpię, że tak jak kapliczka będzie to coś bardzo eleganckiego, jeśli się pan tym zajmiesz... ale tylko kapliczki nie stawiajcie, państwo, zmiłujcie się, gdzie te fatalne zwaliska... Dziwi mnie, że Anielka dotychczas nie kazała ich zrównać z ziemią.

— Przestałyby się pokazywać strachy, których pa-

nie tak się kiedyś obawiały w Gierzejach — odparł Paweł z lekkim uśmiechem.

— My z Anielką nie, tylko mama — odezwała się trzpiotowato Karolina.

— Zwaliska te tak strasznie wyglądają, że samej ich brzydoty można się było obawiać — odparła Celestynowa patrząc nieco przenikliwiej na Pawła.

— Ale, ale, panie Sarmiewicz, mówiłam pańskiemu kuzynowi, żebyście panowie byli tak łaskawi zrobić kilka planów na parę altanek, ale ładnych, w takim chińskim guściku, jak to za sadzawką w Gierzejach. Mama chce kazać u nas w ogrodzie wystawić takie same.

— Powinnam podziękować panu i za poznanie i powinszować takiego kuzynka... Bardzo jest dobrze — ułożenie bardzo przyzwoite i skromne. Jak mi tylko czas pozwoli, będę chciała odwiedzić panią Gulmańcewicz... Znałyśmy się, kiedy jeszcze byłam prawie dzieckiem, a ona zajmowała się edukacją hrabianki Izabeli. Jakże się powodzi tej zacnej kobiecie?

— Dosyć dobrze.

— Bardzo mnie to cieszy, podziękuj jej pan ślicznie za pamięć.

— Ale, ale, panie Sarmiewicz, mamy do pana wielką prośbę, i bardzo by nam przykro było, gdybyś pan odmówił — odezwała się znów panna Karolina.

— Co panie rozkażą? — zagadnął Paweł, którego oczy mimo woli wybiegały ustawicznie za portierę.

— To najlepiej powie panu pan Beleński — odezwała się Celestynowa — ale jeżeli z mojej strony wolno parę słów dołączyć, to bym także prosiła, żeby nam nie odmówić!

I wybiegły mama z córką szepnąwszy coś w przebiegu do Beleńskiego, który wszedł z kieliszkiem wina



w ręku, a za nim służący niósł na tacy parę butelek i kilka kieliszków.

— Ja uaranżuję to dyplomatycznie — odparł z cicha do odchodzących były paryżanin.

— Monsieur Sarmiewicz! — rzekł po francusku, kładąc mu rękę na ramieniu dość protekcjonalnie — tak nie uchodzi w naszym domu... Ani pan tańczysz, ani wina nie kosztujesz, ani z kobietami nie rozmawiasz, a niektóre wcale niebrzydkie i wierzaj mi, panie, odpowiedzą nienajgorzej, kiedy się je niezgorzej zagadnie.

— Nie wątpię — odparł Paweł zwalniając dosyć zgrabnie ramię od protekcyjnego przycisku.

— Nie sądzę, żebyś za młodu chciał zostać pustelnikiem, bo oczy pańskie mówią inaczej. Wprawdzie oddanych naukom, uczonych zazwyczaj nudzą zabawy.

— Do uczoneości, łaskawy panie, nie mam ani prawa, ani pretensji.

— *AUons*<sup>1</sup>, nie wspominajmy o tym, nikomu o samym sobie nie wolno sądzić! W każdym razie, widocznie się u nas nudzisz, a u tak szczerych przyjaciół, za jakich miło by nam było, gdybyś nas uważał, godzi się przyjąć szczerzy udział w zabawie, chociaż co do mnie, to wiem, że najlepiej niech każdy robi to, co się mu podoba, ale przykro kobietom, żonie mojej, która jest panu bardzo życzliwa. Kieliszek wina ze mną, panie Sarmiewicz!

— Dziękuję panu, juzem pił, więcej nie mogę — odrzekł Paweł, któremu na wspomnienie o życzliwości jego żony krew biła do twarzy.

— Kiedy nie wiesz, panie, co odmawiasz... Winko, co ci proponuję, nie może nikomu zaszkodzić. Zostało

**i dość tego.**

tylko kilka buteleczek po nieboszczyku stryju moje żony, który się znał na wszystkich smacznych rzeczach, dowodem choćby ta kolekcja pięknych twarzy czek i biuścików, które oto widzisz na ścianie. Wszystko to portrety z natury, wyłącznie dla niego robione. Ach! panie Gut-Gulmańcewicz, nie mogłeś przybyć w lepszą porę — dodał mierząc nieco lekceważącym spojrzeniem ubiór i twarz Marcelka, co właśnie z dwoma jakimiś paniczami, z którymi się tylko co poznał, wszedł do tej salki — przyjdźże mi pan w pomoc, zawstydź kuzyna *et vous, Messieurs* Dobrym przykładem da się wszystko zrobić. Zdrowie dam! *à vous*<sup>2</sup>, monsieur Gulmańcewicz.

Marcelek, z wrodzonym usposobieniem i wprawą kształconą u Jabłuszków, gdzie teraz mieszkał, wypiłby duszkiem kufel; zostawił jednak parę kropel w kieliszku. Panicze śmieiej wysączyli i Paweł musiał rad nierad wychylić zdrowie dam, nie tym winem, co oni, ale burgundem, już przedtem nalany.

— Ach, Polunieczku najdroższy, nieskończenie ci jestem obligowany, żeśmy tu dzisiaj przyszli. Jak się to wybornie bawi w towarzystwie, do którego się i urodziło, i wychowało, tak jak my, Pawełku, *n'est-ce pas?*<sup>3</sup> — szepnął Marcelek odciągawszy brata na stronę.

— Nie, mój kochany, ja nie poczuwam się do tego, a ty, widzę, tanim kosztem chcesz zostać arystokratą!

— Strzeżże mnie, Boże, zaraz arystokratą... skądże? Tylko przyznasz, *qu' on ici mieux s' amuse que dans autres places*<sup>4</sup>.

**1 i wy, panowie.**

**2 w pańskie ręce.**

**S nieprawda?**

**\* że tutaj lepiej się można zabawić niż gdzie indziej.**

— Daję ci słowo, że lepiej się bawiłem u Szczepaniaków przeszłego roku... pamiętasz?

— Vous *ne* *disez pas* la *vérité* <sup>1</sup> — odrzekł krzywiąc się Marcelku.

— Marcelku! nie mieszaj tak francuszczyzny, zwłaszcza też mówiąc z kobietami.

— Strzeżże mnie, Boże! — odrzekł tając urazę kuzynek. — Ach! jaka pani Beleńska prześliczna! Powiedz mi, czy ona taka ukształcona, czyta dużo?

— Nie potrafię ci dokładnie odpowiedzieć, zdaje się, że dosyć — odrzekł Paweł odwracając się nagle.

Zagrali kontredansa, młodzież pobiegła do sali.

— Ten kuzyn pański także pracuje w budownictwie?

— Tak, panie!

— Tańczy tak biegle, że mógłby dawać lekcje tańców wieczorowych i przy tym, widać, przytomny chłopiec — rzekł pan Beleński, nieco zadumany, bawiąc się wstążeczką od lornetki. Spojrzawszy na Pawła, który patrzył nań bacznie i na serio, nagle jakby się ocknął i dodał bardzo grzecznie: — Mam do pana dwie prośby, panie Sarmiewicz! Żona moja pragnie koniecznie wystawić w Gierzejach kaplicę, Karolcia

Radczyni oczywiście podbudzają ją, pański projekt est bardzo gustowny, o ile mi Anieli mówiła. Choć nas spadek po stryju prawie wzbogacił, prosiłem pana, żeby to jak najoszczędniej urządzić. Teraz bym pana prosił, żeby jak na dziś dać temu spokój najzupełniej, i wytłumaczyć panu dlaczego. Od czasu ja-  
ceśmy się pobrali, mieszkaliśmy w moim majątku, na  
;amym pograniczu w Galicji. Gierzeje były w dzier-  
żawie. Dzierżawcy nie oszczędzają majątków. Radczy-  
li gospodarowała przedtem po kobiecemu, a dorozu-

**1 nie mówisz prawdy.**

miesz się pan, co to za gospodarstwo. Zabudowania są w ruinie, dwór rudera, a co najgorsza, że wielu chłopów mieszka jakby w szałasach, chałupy ich walą się po prostu, ani byś pan poznał teraz tego majątku. Nie jestem bynajmniej za zbytecznymi ustąpieniami dla klasy robotniczej, ale ponieważ w Gierzejach są gospodarze pańszczyźniani i komornicy, tym bardziej dbać powinienem o ich jaki taki dobrobyt, na którym polega mój własny, a przynajmniej o to, aby mieszkali lepiej niż sprzężaj. Otóż zdaje mi się, że to będzie równie po chrześcijańsku i religijnie zacząć naprzód od wybudowania chałup, stodoł i zabudowań dworskich, a potem wystawimy kapliczkę i dworek, czy tam pałacyk... jak pan sądzisz?

— Zgadzam się z panem najzupełniej — odrzekł Paweł patrząc nieco zdziwiony na wąsatego eks-konkurenta nr 1.

— Teraz najtwardszy orzech do zgryzienia, bo to na pana wkładam obowiązek wytłumaczyć kobietom, a zwłaszcza też mojej żonie, że mam słuszość... Dla przekonania się o niej proponuję panu wycieczkę ze mną na kilka dni, jeżeli pan masz czas. Mróz weźmie lada dzień i trafimy właśnie na polowanie do brata Celestyna do Lisówki... zgoda?... Ale to tam mniejsza! Teraz druga, najważniejsza prośba, uwziętem się, żeby pana do reszty zanudzić na dzisiejszym balu.

— Owszem, panie, słucham jak najchętniej.

— Od czasu jak pan wyjechałeś z Gierzejów, Staś miał kilku guwernerów, ale że to faworyt matki, rozpieszczony, więc się to prawie nic a nic nie uczyło, chłopak wyrósł na takiego głąba, że nawet uwierzyć nie podobna. Gdybym tu był bawił, z pewnością oddaliby go do szkół, ale Celestyn od pierwszego dnia małżeństwa zaraz zaczął nosić czepek i spódniczkę

Panie Sarmiewicz, wiem, że to śmiałość z mojej strony proponując panu, czybyś nie zechciał zająć się edukacją szwagierka mojego. W pańskim obecnym zawodzie wiem, że by to było uciążliwie wymagać, abyś się pan zanadto poświęcił tej mozolnej pracy, brak czasu na to. Nie zrobimy i nie chcemy zrobić z niego uczonego, ale okrzyszemy go przynajmniej z najtwardszej kory... Zgroza, do jakiego stopnia zaniedbali chłopca!

— To i mnie tak zastanowiło, że nawet nie śmiałem wspomnieć o tym żonie pańskiej — wtrącił Paweł — ale co do lekcji...

— Na drugim piętrze w naszym domu są bardzo zgrabne trzy pokoiki z widokiem na ogród, dachy i wieże — rzekł żywo przerywając mu Beleński. — Dasz mu pan na dzień chociaż jedną lekcję polskiego języka, drugiego dnia choćby tylko rachunków, a przez samo obcowanie z panem, które mu nie może być niemiłym, bo się kiedyś bardzo do pana przywiązał, nabierze jakiejś ochoty do nauki i pomieścimy go potem u kogo, co się nim już zajmie wyłącznie... Panie Sarmiewicz! Nie wyobrazisz pan sobie, jaką byś nam tu wszystkim przykrość wyrządził nie przystając na propozycję, której dalsze warunki pańskiemu uznaniu pozostawiam... a przyjmując wyświadczysz prawdziwe dobrodziejstwo.

— Pochlebiasz mi pan... dobrodziejstwo wynagrodzone.

— Przecieżby pan nie chciał nas tak krzywdzić, żebyś nam drogi czas bez żadnej korzyści dla siebie poświęcał, tym bardziej, że, dzięki Bogu, aż nadto jesteśmy w stanie wynagrodzić to prawdziwe poświęcenie. Panie Sarmiewicz! — dodał wstając i szczerze wyciągając doń rękę — przyjmij pan! Kobiety tak panu życzliwe, jakbyś pan do rodziny naszej należał...

my jeszcześmy się nie znali... A jak się poznamy, to się może i pokochamy.

Paweł, coraz bardziej zdziwiony, milcząc uściśnął mu rękę.

— Urządę panu elegancko apartamenciki i po przyjeździe z Gierzejów — do nas od razu. Dla rozrywki masz u mnie bilard, szachy, jeść lubię bardzo dobrze, żona ma najświeższe książki — rzekł siadając znowu — towarzystwo się u nas zbiera dosyć niczego, a kto umie tego wszystkiego używać właściwie, to mu nie tylko nie przeszkadza, ale dopomaga w pracy. Zresztą, *un coup d'essai!* Zgoda?

— Jako próba, czy państwo będziecie ze mnie kontenci... zgoda! — rzekł z cicha Paweł rumieniąc się nieco. Zoczył twarz pani Anieli, która ciekawie zajrzała przez portierę i zniknęła.

— Brawo! Pozostaw mi pan urządzenie tego wszystkiego. Kobietom ani słowa o kapliczce. A teraz jeszcze po kieliszku i chodźże pan pogadać z pćcią nadobną! Daję słowo, przynajmniej żona moja zasługuje na to, żebyś jej zrobił zaszczyt słów kilkunastu — rzekł kręcąc węża i spoglądając nieco dyplomatycznie na Pawła.

\*

Pani Celestynowa i panna Karolina dowiedziawszy się, że Paweł przystał na propozycję Beleńskiego, nie wiedziały, jak mu podziękować za prawdziwą łaskę (wyrażenie panny Karoliny). Roześmiał się nawet wesoło wyrostek Staś, zarumieniony jak upiór. Matka schwytawszy go na gorącym uczynku, jak prawie publicznie wyciągnął ojczymowi sygarniczkę z kieszeni i chciał przywłaszczyc sobie kilka hawanek, pod

**i próba.**

względem których Celestyn się nie zmienił i zawsze miał piękny zapasik, na próżno chciała, żeby grzecznie podziękował i starał się jakoś przypodobać natychmiast .nauczycielowi. Urwis cichaczem wyszczał kiełiszki, gdzie tylko dopadł, i zaledwie mógł się na nogach utrzymać. . Dopiero go Beleński wyprowadził i kazał przy sobie położyć się w łóżku. Chłopak wił się, kwiczał i wrywał służącym, co go przez gwałt rozebrali.

Celestyn tymczasem zbliżył się do Pawła. Zastanowiwszy się przez chwilę, uszczęśliwił go obietnicą, że będzie z nim brał razem kurację zimną wodą, i chciał wyprowadzić znów do kominka na zajmującą gawędkę, szczęściem, przestali na chwilę tańczyć — i Paweł, zoczywszy próżne krzesło przy pani Anieli, ośmielił się usiąść na chwilę. Właśnie wtedy stojący naprzeciwko Marcelek angażował pannę Karolinę do następnego tańca i przysiągł sobie w duszy, że na przyszły wieczór musi mieć lornetkę, nowy łańcuszek do zegarka i biały krawat, jak wielu z obecnych. Myśl ta sympatycznie widać oddziaływała na pannę Karolinę, bo przyjmując zaproszenie uśmiechnęła się do niego tak grzecznie, jak do żadnego z innych młodych tanczniczków, co na wyścigi wrywali ją sobie, a jednak wielu z nich było przystojniejszych, znacznie lepiej ułożonych, należących pb. największej części do jej sfery co do stosunków i zamożności, i nawet nie zwracali uwagi na tego nieznaczącego przybysza, co go wprowadził kuzyn jego, jakiś tam budowniczy i przedtem guwerner Stasia.

— W imieniu nas wszystkich i siebie, dziękuję panu z serca, panie Sarmiewicz. Będziemy więc znów tak jak kiedyś pod jednym dachem — rzekła pani Aniela. Wielkie błękitne oczy spojrzały na Pawła jakoś przychylnie i z szybkością gazu rozjaśniającego

ciemny pokój wszystkie zakątki w jego duszy tak od razu uroczym wrażeniem napełniły, że już był wynagrodzony za przyjęcie jarzma nauczycielstwa domowego, od którego odwykł, a teraz znów się zaprzęgał tak łatwo, jakby przypuszczał, że tylko czyjś pośredni rozkaz wypełnia.

— Ale gniewam się na męża. Mógł pana prosić o to kiedy indziej, a nie dzisiaj, kiedy się trzeba bawić i od wszystkich poważnych rzeczy odetchnąć na chwilę... O czym panowie rozmawialiście tak długo i zajmująco? — zapytała nagle.

— Głównie o zaniedbaniu wychowania Stasia, które mnie samego zastanowiło przedtem tak dalece, że nie śmiałem wspomnieć pani o tym.

— Byłam pewna, że panowie prowadzicie rozmowę na sposób angielski, to jest siedząc naprzeciwko siebie, nic nie mówicie. Pod względem oszczędności w wyrazach jesteście panowie z moim mężem jakby dwaj bracia rodzeni, przystajecie do siebie najzupełniej.

— Panie wolicie rozmowniejsze usposobienie u mężczyzn?

— Może... kiedy kto lubi i umie rozmawiać, oddziaływa na nasz umysł, zastanawiamy się, odpowiadamy zgodnie i niezgodnie, trafnie lub nietrafnie... z wami najczęściej my musimy zacząć rozmowę, a wy zastanawiacie się i odpowiadacie. Zastanawiając się macie za to czas odpowiedzieć trafnie — i tego panom obu winszuję, a prócz tego szczerości, której dziś daliście dowody.

— Jak to?

— Ze nie mając usposobienia do zabawy, dzisiaj nie zmuszaliście się do niej i ze znużeniem waszym otwarcie staliście wśród wesołych twarzy. Szczerość jest zawsze chwalebna, ale wyparcie się jej czasem



jest trudniejszym zadaniem. Często chce się płakać a tu trzeba przywdziać strój balowy i uśmiech bałowy; chciałoby się samotnie porozmawiać z myślami własnymi, a trzeba mieć na zawołanie rozmowę do myśli cudzych; pragnie się posłyszyć jedno proste wyrażenie z głębi serca, a tu słyszymy jak brzęk komarów zdawkowe grzeczności światowej gawędki lub też zgrabne złośliwości, w których dowcip tak błyska jak nocą próchno w boru. Ten wir wkoło nas, ta może udana ochota, to sztuczne życie — zawsze jest jednak życiem, do którego, jako wice-gospodyni, przyczyniam się dziś jak najchętniej — rzekła żywo kobieta. Uśmiech tylko na ustach zaigrał przelotnie, a oczy zadumane spotkały się ze spojrzeniem męża, który podkręcając węża słuchał, co mu jakaś przystojna brunetka dowodziła słowami i lornetką, na wszystkie strony zwracaną. Twarz jego spokojna, obojętna, jakby apatyczna, ani drgnęła jakim bądź wyrazem przy szczerbiotaniu rozmownej damy.

— Służę pani do kontredansa — rzekł wstając Paweł z potulnym uśmiechem.

— Zamówiona jestem, tańcz pan z moją siostrą, ale jeśli od pobytu w Gierzejach nie tańczyłeś pan, to choć oceniam poświęcenie, radziłabym po bratersku przyjrzeć się naprzód, jak teraz tańczą kontredansa — odparła kobieta poufale i według hiszpańskiego porównania, archanielskie jej oczy uśmiechnęły się do Pawła tak cudnie, jakby się roześmiał blask słońca do milczącej kaplicy w cieniu świerków i modrzewiów.

Rosły, powolny koń, magnetyzowany pejczem delikatnym i pieszczotliwym głosikiem wysmukłej amazonki, co by ją mógł rzucić od razu, swobodnie pokłusować po polu lub też drzemać u żłobu — • zbiera nogi, jak może, i podług jej woli przyśpiesza lub zwalnia biegu.

Pocziwy Paweł, zazdroszcząc Marcelkowi zaszczytu tańczenia z panią Anielą, przyjrzał się uważnie tu pływającej rzeszy i w następującym kontredansie figurował z panną Karoliną, która go litośnym uśmiechem ośmieliła. Tańczył nie bardzo zgrabnie, ale i w niezgrabności może być wdzięk zaniedbania, niepretensjonalność i dobra wola, co nie chcąc się wyłączać od zabawy, żartując sama z siebie, upoważnia drugich do żartów. — Areopag starszych, nietańczących kobiet, mając z niego prawdziwą uciechę, zauważał jednak, że mimo niezłego wzrostu małą ma nogę, dobrą figurę i wyraziste oczy, a kiedy potem rozruszanego pani Celestynowa przedstawiła kilku członkom areopagu, jednogłośnie zawyrokowały, że biegle wyraża się po francusku i przyjęły go jako dobry materiał, z którego salon mógłby mieć pożytek.

— A widzisz, Polunieczku, mówiłeś, że nie będziesz tańczył. *Vous non tenez pas votre parole... c'est bien!* — szepnął Marcelek.

— Jakże się cieszę, żeś tak łaskaw, panie Sarmiewicz, przyjąć udział w zabawie... Czcigodny burgund, widać, rozbudził pana — rzekł nadzwyczaj grzecznie Beleński i wziął go pod rękę, uśmiechnąwszy się z lekka do żony, która mu się bacznie przyglądała.

Pan Celestyn zapomniał przy kolacji podać ręki Jenerałowej. Ludzie w pewnym wieku używający przysłów: „ten, tego, jak się nazywa itp.”, mają w ogóle krótszą pamięć od ludzi używających przysłów: „owóż tedy, mości dobrodzieju, mospanie itp.” — i najczęściej przyczynili się sami do osłabienia tego szacownego daru.

**1 nie dotrzymujesz słowa, to dobrze.**

## USTĘP CZWARTY

O niech na chwilą złość się już  
[schowa,  
Rany sztyłem nie cuci,  
Niech choć przed skonem zabrzmią ta  
[słowa:  
„Wróci twój anioł, wróci.”

MALCZEWSKI — MARJA

### I

— O Matko Bolesna! abym przynajmniej jeszcze ylko z roczek mogła patrzeć na niego! — szeptała Michałka.

Deszcz ze śniegiem nudnie spływał po szybach, chmury i obłoki ołowianej barwy przeciągały coraz gęściej, coraz ciemniej, a flaga i błoto zimowe zbijało się w brudne, zamarżłe kałuże na podwórku. Łzy gradem pociekły kobiecie z oczu zapadłych, chciała klęknąć przed obrazem Najświętszej Panny; ale za ledwie miała się podnieść się na łóżku, porwał ją kaszel gwałtowny, który nadaremnie usiłowała przytłumić.

Józiak, drzemiąc na stołku w kącie, ocknął się nagle i wyskoczył na równe nogi.

— A mówiłem, cioteczko kochana, że na taką nieogodę lepiej było nie podnosić się z pościeli. Połóż się, ciociu, połóż! Znowu płaczesz? Czy dolega co, bo-li gwałtowniej?

— Nie, Józiaczk, Bóg łaskaw, nic mi nie dolega.

— A mój Boże, to się nie godzi dręczyć tak ciągle

i trapić! Gdyby ciocia wiedziała, jak mi tym doku-  
cza! — rzekł ze smutnym współczuciem i łzy mimo  
woli zabłysnęły mu w oku.

— To z osłabienia tylko, nie bój się, dziecko — nie  
martwię się niczym — odparła Michałka, w której  
szklistym spojrzeniu błyskało uwielbienie żałosne dla  
chłopczyny.

Siadł przy niej, wziął za suchą, rozpaloną rękę, ale  
kiedy chciał do ust podnieść, cofnęła trwożliwie i spoj-  
rzawszy na miękkie, gęste jego włosy, ocieniające  
młodzieńcze czoło, a tak białe i gładkie, jakby stwo-  
rzone do macierzyńskiego pocałunku, zwolna odsunę-  
ła się i z głębokim westchnieniem opuściła głowę na  
piersi.

— Czy się ciocia gniewa na mnie? — zapytał  
z wdziękiem prawie dziecinnym, którego dotychczas  
nie znając w sierocym życiu, nabrał dopiero od tych  
kilkunastu miesięcy i postąpił szybko w subtelnych jego  
odcieniach. Serdeczne przymilenie, co mimo woli  
przejmujemy od kochanej istoty, i do tego widywanej  
codziennie, tak przystawało do wrażliwego, tkliwego  
serca chłopczyny, że teraz, chcąc ją pocieszyć, usiło-  
wał nawet udawać swobodę i wesołość, chociaż drżał  
patrzając na zapadłe policzki, na oczy coraz głębiej  
w jamach czerniące i słuchając ochrzypłego głosu, co  
chwila przerywanego kaszlem.

— Chyba ty, Józiaczku, powinien byś gniewać się  
na mnie... skądże ja? widzisz, moja dziecino, piersi  
mnie bołą, kaszlę, pocę się, a w takiej chorobie to  
niedobrze zdrowemu, i jeszcze tak delikatnemu jak  
ty... siadać nawet blisko, sam oddech może zaszko-  
dzić.

— Co też ciocia powiada!

— Zresztą sama tego nie lubię... najwygodniej mi  
kiedy sobie spokojniutko leżę lub siedzę, jak cię ko-

cham, Józiaczku! — dodała ocierając zimny pot z czoła chustką, na której krwawe plamki chciała ukryć ręką przed Józiakiem.

— Doktor, jak tu był wczoraj, powiadał mi przy ojcu Jakubie, że teraz znacznie lepiej niż przed tygodniem i że po tym lekarstwie, co zapisał, powinno polepszyć się zupełnie — skłamał Józiak udając tylko, że cokolwieczek odsuwa stołek od łóżka.

— Póki było lato i słońeczko dogrzewało, było mi lepiej, teraz zima mokra, ciągle śnieg i wilgoć, że i najzdrowszemu niezdrowo. Da Bóg, mróz pewnie weźmie niedługo, to mi będzie znośniej... Nie bój się, moje dziecię, wypogodzi się w tych dniach, będzie ci tu weselej niż teraz z chorą, kwękającą ciotką... Przyjdzie ojciec Jakub, może i kum Szczepan zajrzy albo my pójdziemy tam na Głęboką odwiedzić pannę Marcysię i pocziwą Fidrykową. Nie mówiłeś mi też, co tam słyhać u Szczepaniaków, czy zdrowi? czy ci dzisiaj byli radzi? — zapytała go zwolna i widocznie znużona tyłu słowami.

— Jak zwykle, cioteczko, bardzo mi byli radzi — prosili wszyscy, żeby ciocię pozdrowić... stara Jakubowa zapada coś na oczy, Maciuś wkrótce wyzwoli się na majstra, byłby tu przyszedł ze mną, ale ma pilną robotę.

— Czy pani Gulmańcewicz wyprowadziła się od kuma Szczepana?

— Nie, matka mieszka jeszcze. Wchodząc spotkałem właśnie pannę Marcjanę, jak z facjatki schodziła.

— To panna Marcysia przestała już brać lekcje?

— Owszem, cioteczko! Gulmańcewicz przychodzi na lekcje — odparł unikając jej wzroku. Byłby z pewnością zarumienił się, gdyby silniejsze, boleśniejsze wrażenie, jakie widok cierpiącej ciotki na nim wywie-

rał, nie zatarło bolesnych, lecz poniekąd i miłyoci wspomnień z dzisiejszych odwiedzin.

Panna Marcjanna przyjęła go serdecznie jak siostra, patrzyła, zdaje się, bardzo życzliwie, wprawdzie nieco może za śmiało i zanadto pewnie, jakby jakoś z pańska, ale przy powitaniu i pożegnaniu uściśnęła mu rękę pulchnymi paluszkami, łając, że tak rzadko do nich zagląda i zawsze tylko chwilę pobawi, jakby przyszedł po ogień. Rozmawiał dzisiaj z nią tak łatwo jak nigdy. Wypytywała się o ciotkę, o pana Pawła, o ojca Jakuba, który nie wiadomo czemu nie odwiedził ich od dawna; wesoło i żywo szczebiotała z nim to o Fidykowej, to o Maciusiu, nawet o pani Gulmańcewicz i o jej synu, którego już nazywała panem Marcelim, a rozmawiali długo, bo kum Szczepan w pierwszej izbie naradzał się przy zamkniętych drzwiach z dwoma jakimiś Żydami przynajmniej przez dobrą godzinę. Stary posiwał znacznie przez te kilka miesięcy, wyglądał nieco markotny i zakłopotany, ale przywitał Józiaka prawie tak szczerze jak to niegdyś, zanim Gulmańcewicze wprowadzili się na facjatkę.

— Choroba — rzekł na odchodnym — że ten ojciec Jakub uparty jak kozioł. Człęk czasem ani wie, jak mu się tam wypnie jakie słówko. Kiedyś, mospanie, odpalnąłem mu tać coś, brońże mnie Panie, nic złego... no i odtąd ani noga jego nie postała u nas. Zachodziłem do klasztoru sam kilka razy, posyłałem Jakubowę, spotkałem go parę razy na ulicy, obiecał, że przyjdzie — no i kiej wziął na kiej — ani rusz! Słuchaj no, Józiak, on cię bardzo lubi... namów go oto i zajdźcie tu razem. Powiedz mu, że się Marcychna skarżyła, że jej chrzestny zapomniał o niej... miarkujesz?

Szybko przebiegając wszystko to w myśli, Józiak zadumał się przez chwilę i na ruchliwej, otwartej jego twarzy kilka tych wrażeń rysowało się przelotnie,



lecz i wyraziście. Michałka śledziła bacznie każdego zadrgnięcia, najlżejszej zmiany, a twarz jej wywiedła tenże sam wyraz co u niego przybierała co chwila, jakby jedno życie grało w dwu tych istotach, tylko że u chorej kobiety, ognistego przedtem ustroju, myśl i uczucie działało z gorączkową gwałtownością. Wiedziała doskonale, nim ją nawet ojciec Jakub wtajemniczył, czemu Józiaak rumienił się zawsze na wspomnienie Marcysi, a zasępniał na każdą wzmiankę o Gulmańcewiczu; gniewało ją, że kowalczance mógł się spodobać bardziej ktoś inny, i współczuła ból zazdrosny, co musiał przepełniać serce chłopczyny. Przypuszczając, że Gulmańcewiczowa koniecznie usiłuje jak najprędzej ożenić syna z kowalczanką i że Szczepa-

niak musiał dorobić się niemałych pieniędzy, gniewało ją najbardziej, że choroba nie pozwala jej przyjrzeć się temu bliżej i wy badać, spróbować się w zabiegach z panią Gulmańcewicz, przed żadnym środkiem nie cofnąć się, aby tylko stało się tak, jak Józiak pragnie. U tej kobiety wyszłej z ludu, której niedawna, krótka przeszłość była szaleństwem — przejście gwałtowne z mniemanego zbytku do rzeczywistej nędzy musiało obudzić i zakołatać przypomnieniem i bojaźnią religijną, tkwiącą u ludu naszego pojętniej, głębiej niż gdzie indziej.

U nas prawie przypuścić nie można takich pogan i poganek, wylętych na śmieciowiskach wielkich miast europejskich, o których naczytaliśmy się tyle jaskrawych i nieraz mistrzowskich malowideł w rozlicznych składnych utworach obcych, co jednak, tak jak pamiątki na historię ubiegłą, powinny prawdziwością, możliwością typów — rzucać światło na bieżące dzieje obyczajów społecznych.

Tak, są występki, które do nas, dzięki Bogu, chyba w chwili wyjątkowej mogłyby zawitać, ale nie zagnieździć się; chociaż, gdyby nawet istniały, potrafilibyśmy wynaleźć niemało smutnych paradoksów i bolesnych prawie dowodów, poniekąd zniewalających sądzić o nas z większym pobłażaniem niż o obcych; tak na przykład tradycyjny ów rozbójnik abruzyjski<sup>1</sup>, gorliwie modlący się do świętej Patronki, żeby szczęśliwie mógł zamordować i złupić kilku podróżnych niewinnych — jest typem nabożnego bałwochwalstwa, nie istniejącego pod północnym niebem naszym.

Przecucie religijne, dotrwałe lub obudzone w ciemnej, upadłej istocie, albo ją hamuje, albo też nawra-

## **1 Rinaldo Rinaldini.**



ca — może za późno dla społeczeństwa, ale nigdy za późno dla niej samej. Przeczucie to wstrzymało Michałkę, że nie chciała kończyć tragicznej farsy życia swojego w jakiś sposób właściwy podobnym jej, dzikszym lub też przebieglejszym istotom.

Zjawia się Józiak, o którym każda myśl kamieniem jej ciążyła na sercu, przypominając zrazu rzadziej, potem coraz częściej ostatnią przestrogę anioła i pierwszy poszept diabła w jej życiu, o czym żadna kobieta nigdy nie zapomni. W chorej, znękanej, skruszonej przywołuje to całą kobiecość, całą tę rzewną tkliwość, wrodzoną naszej niewieście w pałacu i w chacie ubogiej. Jakim by kolwiek był, ukochałaby go zawsze po macierzyńsku, wszystkie jego wady zaniedbania swojemu przypisując, usiłowałaby, jak mogła, wynagrodzić krzywdę za wszystkie lata sieroctwa, których wstyd ją tylko piętnował.

A tu chłopczyzna cichy, łagodny — zdaje się i lękliwy — tak potrzebował kogoś, co by mógł doradzić, pokierować, pocieszyć i nawet ująć się za nim! Im więcej wydawał się jej słabym i potrzebującym opieki, tym energiczniejsze było jej przywiązanie, gotowe na wszystko jak lwica lub wilczyca w obronie swoich małych. Czując, że słabnie coraz bardziej, że pierśowe jej cierpienie jest niewyleczone, z chorowitym jednak uporem uchwyciła się myśli, aby jeszcze z parę latżyć i doczekać się ustalenia w jego losie. Piekielne walki i męczarnie odegrywały się w duszy biedaczki, która po raz pierwszy poczuła, że ma duszę, i której sercem miotał żal nie chwilowy, nie wzmówiony w siebie ani pokora, nieraz pocieszna, wytrawnej pokutnicy... Ileż to razy, kiedy każde spojrzenie Józiaka gorzkim dla niej było wyrzutem, chciała się mu cisnąć do nóg i wyznać wszystko, obwinie się przed nim jeszcze bardziej... ile razy, kiedy Józiak zapyty-

wał się o ojca i matkę, miała już na ustach prawdę — ale przysięga nie dozwalała jej nowym bólem ulżyć dawnemu... Obie te istoty, same jedne na świecie, związane krwią, trafem i cierpieniem, przywiązały się do siebie głęboko i prawdziwie. Józiak pierwszy raz w życiu widział oczy, co się na jego widok napełniały radością lub łzami, i słyszał głos, którego wyraz każdy zdaje się, że z jego własnej duszy wywołany. Ona cierpiała tak oczywiście, a nigdy skargi i utyskiwania nie słyszał — zawsze witała go i żegnała błogosławieństwem.

Michałka, odwiedzając parę razy w lecie Szczepaniaków, twarzą, gdzie jeszcze pozostały kształtne rysy, szkliste, ale wielkie oczy, wyrazem głębokiego cierpienia, do którego kobiety zawsze litosny pociąg uczuwają, ubiorem ubogim, ale schludnym i zawsze wybornie leżącym, wywarła bardzo sympatyczne wrażenie na Marcysi. Nie udana, ale rzetelna i bojaźliwa pokora w jej obejściu i słowach przystawały lepiej i bliżej do kowalczanki niż ceremonialna powaga matki Marcelka, którą czciła, szanowała, wielbiła, ale z którą towarzystwo nigdy jej nie ośmielało, owszem, starając się ciągle przypodobać łaskawej pani, każde nieledwie słówko z obawą i zastanowieniem wymawiała. Poczciwa Fidrykowa, trumniarka, miała za mało okrzesań, bez którego już nie mogła obejść się Marcysia, gadała za dużo i od czasu wydalenia się Józiaka często kładła między trumny flaszeczkę z bawarem lub alembikiem, którą zwykle raczyli się z Maciusiem, a czasem i kum Szczepan przyjął udział w biesiadzie.

Kobiecie w pewnym wieku i z pewnym doświadczeniem bardzo łatwo korzystać z przychylnego wrażenia, ująć sobie młodą panienkę i spodobać się nawet takiej, co ma rodziców, a cóż dopiero takiej, co nie mając matki potrzebuje rady i pomocy kobiecej, ma-

cierzyńskiej. Aby tylko rady i pomoc sympatycznie udzielać, aby dziewczęciu zdawało się, że to serce przemawia, przylgnie całą duszą do takiej przyjaciółki, której rolę tak przebiegle, chytrze i podstępnie nieraz odegrać umięją fałszywe zastępczynie matek. Michałka, nie potrzebująca odegrywać roli pod tym względem, Marcysię naprawdę od pierwszego widzenia polubiła bardzo i czując, jakby jej łatwo było pozyskać przychyłność i zaufanie dziewczęcia, podbudzana marzeniami i ułudą macierzyńską, jeszcze bardziej z tego powodu bolała nad chorobą niż z przypuszczalnego spróbowania się w intrygach i zabiegach z Gulmańcewiczową. Nie mając sposobności wybadać Marcysi, nie wiedziała, jak dalece Marcelek zapisał się w jej serduszk; przypuszczała, że to tylko chwilowe zajęcie, z którego nader łatwo można ją wyleczyć.

Nigdy człowiek potężniejszych nie ma marzeń, jak kiedy się tyczą ukochanej osoby, i gdyby choć w setnej części możność czynu była im odpowiednią, działałyby się na świecie cuda, których idealny urok pojmie każda i każdy, co kiedykolwiek kochali kogoś namiętnie i wyłącznie: miłością ojcowską, synowską, braterską, małżeńską, przyjacielską lub też miłosną. Włoch powiada: „Strzeż się człowieka, co w życiu swoim jedną tylko przeczytał książkę, to jest fanatyka maksym w niej wyłożonych!” My powiemy: „Śmiało idź do człowieka, który sfanatyzował w sobie jakiekolwiek uczucie, choćby skądinąd niewart był, aby mu spojrzeć w oczy i podać rękę, przemów doń w imieniu tego uczucia, a porozumiesz się z nim niezawodnie.” Silne takie uczucie, wspólnie z bojaźnią i odrodzeniem duchowym, jedynie utrzymywało i przedłużało życie Michałki, które Józiaak rad by był swoim okupić. Prawdziwie sierocą i żałobną miało

barwę zbliżenie dwojga tych ludzi i jeśli nie w oczach, to w sercu i słowach łązy im ciągle się sączyły, a łązy zwykle jednoczą ludzi ściślej niż uśmiechy.

— Może cioteczce poczytać trocha... jeśli to nie znuży?

— Owszem, Józiaku... kiedyś tak poczciwy, to weź książkę do nabożeństwa, w oczach mi się mroczy, sama bym czytać nie mogła.

— Czy też matka moja umiała i lubiła czytywać, cioteczko? — zapytał Józiak z dziecinną ciekawością, chcąc jakimkolwiek sposobem rozerwać chorą.

— Nie, kochanie, matka twoja nie umiała czytać — odrzekła prawdę Michałka, bo dopiero po wydaleniu się z domu stryja pani Anieli nauczyła się czytać i pisać.

— Biedne matczysko! To, widać, nie miała do tego ciekawości takiej jak ciocia?

— Ciekawość z musu, i ja dopiero nauczyłam się po jej śmierci... trzeba było dzieciakom abecadło pokazywać, choć to się na nic nie zdało, bo oto ich nie ma — odparła Michałka marszcząc brwi ponuro.

— Mój Boże! matka, gdyby żyła, byłaby jeszcze młodą kobietą!

— A tak! miała siedmnasty rok, kiedyś się urodził. Dwoje nas tylko sierot oto pozostało na świecie, Józiaku! Bóg i tak łaskaw! Wybaczylesz mi, żem o tobie zapomniała...

— Ach! cioteczko, niby nie wiem, co to bieda! Samemu trudno się wyżywić, a cóż dopiero kilkoro dzieci! Trzeba by być niegodziwcem, żeby mieć za to urazę. Jaka to uciążliwa musiała być praca dla ciotki, co taka szczupła i słabowita.

— Nie zawsze taką byłam jak teraz... przeciwnie, w młodszych latach samo zdrowie, ale, wyznam ci szczerze, do pracy nigdy wielkiej nie miałam ochoty.

Ach! Matko Najświętsza! — zawołała kaszląc i podnosząc się nagle na łożku. — Jak mnie kochasz, nie mówmy o tym, nie mówmy, Józiaczk. Patrzaj! podobno się wypogadza. Ach, ta Mateuszowa siedzi wieki z lekarstwem... przeczytaj litanie do Najświętszej Panny, moje dziecko! Zapal świecę... już się mroczy! — zawołała, niespokojnie patrząc na drzwi.

Józiak zaczął czytać.

— Czy tu w piecu dziś nie napalone?... Zimno, straszliwe zimno! Ach! to z wilgoci. O Boże wielki!

— Zaraz, cioteczko, napalę — odparł Józiak, który dla gorąca bez surduta siedział w stancjce.

Kiedy się krzątał koło pieca, drzwi zwolna uchylono i z zadziwieniem ujrzał ojca Jakuba i kuma Szczepana, którego dziś, zwłaszcza też o tej porze, nigdy się nie spodziewał. Kowal, strasznie jakoś zmarszczony i zafrasowany, do chorej Michałki zaledwie parę słów przebaknął i usiadł ciężko na kufunku, ojciec Jakub zaś, wbrew zwyczajowi, dosyć wesoło spoglądał.

— • Ano, niech będzie pochwalony! Darujcie nam oto, pani Michałka, żeśmy tak was naszli niespodzianie... Kum Szczepan chciał was koniecznie odwiedzić, a potem, kiedy pozwolicie, zabierzemy Józiaka.

— Wybaczcie, ojcie Jakubie... dziś nie ruszę się już z domu na chwilę! — odparł Józiak dając mu do zrozumienia, że od chorej Michałki odejść nie może.

— Choroba... jak to człeku czasem jak po grudzie. Ot, inom się ucieszył, że z wami, ojcie Jakubie, spotkałem się, aż tu znowu diabeł jakiś musiał dogryźć człowiekowi... Bóg łaskaw, żeś was znowu spotkał potem. Więc powiadacie, że Józiak wywie się, co?

— Ano, najdokumentniej... a tymczasem przeprosimy oto panią i chodźmy do drugiej izdebki. Przyszliśmy ze dworu, nawet butów nie otrząśli, a tu pani chora...

— Nic nie szkodzi, ojcie Jakubie! Zdrowsza dziś\* jestem. Wszystko jedno, możecie, panowie, mówić i tutaj. W tamtej izbie zimno. Ach, Boże! Mateuszowa nie przychodzi... napilibyście się, panowie, chociaż kawy! — • zawołała żywo Michałka.

Z odwiedzin niespodziewanych kuma Szczepana dobrze jakoś wróżąc dla Józiaka, chwilowym jasnovidzeniem domyślając się, że muszą mieć związek z marzeniami, którym przed chwilą oddawała się tak namiętnie — i przy tym ciekawa nadzwyczaj, o co rzecz idzie, kiedy wyszli do drugiej izby, podniosła się i chciała sama przystawić dzbanek do ognia. Szczęściem, Józiak posłyszawszy szelest wbiegł z ojcem Jakubem i wyłajali ją, że jak dziecko naraża zdrowie niepotrzebnie.

Nadeszła wkrótce Mateuszowa, Michałka, położywszy się znowu, uczuła dopiero, ile ją tak nagłe wysilenie kosztowało — siły prawie opuściły i suchy, straszliwie wstrząsający nią całą kaszel daremnie usiłowała przytłumić.

— Ano, gadajcie sobie, co chcecie, a ja wam powiadam, że z' umysłu was nie dojrzał ciaraszek — odezwał się zakonnik częstując kowala tabaką i z tajonym uśmiechem patrząc na Józiaka.

— A niechże was najjaśniejsze piorunczki nie zatrzasną, ojcaszku, jak też mi dogryzacie zawdy za pana Marcina! To łącno, widzicie, potępić kogo tak na oko; a w gruncie nuż się pokaże inaczej, to potem wstyd.

— Ano, gadałbyś mu — inaczej!

— Słuchaj no, Józiak... tyś chłopak niegłupi i zwachasz zaraz pismo nosem. Choroba... że człeku zachciało się oto dzisiaj wyleźć z domu i tłuc się jeszcze taki kawał na kulawym gicałku po mieście... no — musiałem iść na sesyję do cechu i zająć jeszcze do jednego

kundmana<sup>1</sup>. Wracam sobie już na Głęboką i koło Świętego Krzyża, gdzie siła karet i powozów stało, widzi się weselisko jakieś, bo wsiadały potem panie, śliczności wystrojone, a kilka biało. Wtem... spotykam wyraźnie pana Marcina, który z dwoma jakimiś panami rozmawiał na trytuarze. Jeden słuszny, tęgi taki, z dużymi wąsami, a drugi niższy, krępy i już stateczny sobie. Zdejmuję czapczyisko, chcę powiedzieć: „Padam do nóżek, panie Marcinie!” Pan Marcin spojrzął na mnie i odwrócił się, jakby nigdy nic, i znów zaczął rozmawiać z panami. „Choroba... — myślę sobie — musi nie poznał mnie.” Czekam, chcę zajść z drugiej strony, widzi mi się, jakby to pan Marcin zoczył, i poszedł z panami na schody.

— Ej, kumie pocziwy, toż tu więcej szkoda po prostu psuć gęby... ano, wstydził się oto przy tych panach, żeście się z nim tak poufale przywitali.

— Może znów i nie — wtrącił z wrodzoną dobrocią i szlachetnością Józiak, chociaż serdecznie nie cierpiał Gulmańcewicza. — Na fabryce, w lecie, bardzo się grzecznie kłaniał nam wszystkim.

— Ano, ba, na fabryce! Widząc, że się kłania tak pan Paweł i sam budowniczy, nie mógł inaczej. Nie bój się, niedaleko pada jabłko od jabłoni... szpakami to karmiony jegomość — już go tak mamunia wyuczyła.

— Oj, choroba... choroba... mój ojcaszku, co też nie wygadujecie! Adyc pani Kontrolerowa to taka pocziwa, sprawiedliwa i grzeczna pani, że do rany przyłożyć.

— Tere fere kuku, ano, rozumiesz, Szczepaniak? — zawołał ojciec Jakub. Nie mogąć ukryć serdecznego

**i klienta.**

zadowolenia, obchodził się z kowalem z rubaszną poufałością, której Józiak nie mógł sobie wytłumaczyć. Poważając nadzwyczaj kuma Szczepana, raziło takie obejście łagodnego chłopczynek.

— Wygadajcież się, sierżancie, kiedy wam z tym dobrze... Słuchajże, Józiak, miarkuję sobie: czy mnie nie zobaczył, czy się gniewa... ależ za kiego licha? Kilka dni temu był na lekcji u Marcychny, z panią Kontrolerową dziś jeszcze rozmawiałem jak najpiękniej. Toćże to my z panem Marcinem tak sobie dobrze, jakby nie przymierzając z krewniakiem... toćże, chwalać Boga, człeczysko tam, jak mogło, służyło jego matce, choć niby tam nie straci na tym, bo oto niedługo już raz na zawsze pani Kontrolerową będzie sobie panią, a pan Marcin dziedzicem Wilczego Dołku.

— Ano, dzbęknałeś w Wilczy Dołek, widzę, że dzbęknałeś, majsterku! I niech was strzeże święty Bałdomierz i święty Szczepan, żebyście nie dzbękneli do szczętu.

— Co też wam się śni, ojczy Jakubie!

— Pamiętajcie, majsterku, że cokolwiek powiedziałem, nigdy jeszcze na złe nie wyszło. Wiecie, żem chrzestny Marcychny i że... ano nieboszczka wasza poleciała mi przed śmiercią, żebym do was zaglądnął czasem. Zaglądałem, gadałem, pókiście mnie sami nie odegnali.

— Dajcież no pokój, ojcaszku! Choroba, jak mi markotno! — zawołał Szczepaniak i łzy stanęły mu w oczach. — E, nie, do najsiarczystszych piorunczków, to nie może być, to nie podobna! Musi nie widział mnie albo prześlepiłem się... na starość człek ślepnie jak kret — toćże to bywają ludzie kubek w kubek podobni... Jeszczem oto poczekał, dużo pań wychodziło z kościoła. Pan Marcin, choć śnieg padał, trzymał przed jakimiś dwiema kapeluszy w rękę, od-



prowadził do karety, panowie ci także wsiedli, nuż ja cu niemu raz jeszcze, ale odwrócił się i jakby go kto onił, pobiegł na Krakowskie... Z kulawym gicałem mi rusz za nim tak ściśle.

— Ano, wstydał się, wstydał, majsterku, witać na ulicy z kowalem zasmolonym i tak oto, jak nie przy mierzając wy, w uczciwym, ale prostym odzieniu. Gdybyście to mu z daleka pokorniutko ukłonili się, a on wam tylko głową mógł odkiwnąć, to co innego... ano, że wy zaraz tak, jak powinniście z tak bliskim znajomym, z synem Kontrolerowej, której...

— Ma się wie, że ta poufałość moja niepotrzebna — przerwał mu nagle Szczepaniak. — Rozmawiał tam pewno z jakimiś wielkimi panami, nużby zoczyli, że ze mną wita się tak po ludzku... choroba tam odgadliby zaraz, czym oto uczciwy sobie człowiek; myśleliby, że to jaki łach podufały, któremu pan Marcin winien, i dlatego z nim tak śmiały, a to by zaszkodziło mu u takich panów... co, Józiak, prawda?

— Poczcuiwy Józiak, ano będzie wam potakiwał, to miękkie jak dziewczyna i żal mu was, ale ja wam powiem, że jeśli tacy panowie mają zdziebko chłopskiego rozumu, to skoroby wiedzieli, jak to tam wszystko idzie, zaszkodziłoby mu więcej, że się wam nie ukłonił, niż żeby was oto w pyszczysko z obu stron pocałował, rozumiecie?

— Słuchaj no, Józiak, masz do ludzi szczęście, my oto z ojcem Jakubem serdecznieśmy ci życzliwi, i pan budowniczy, pan Sarmiewicz, brat pana Marcina, bardzo cię lubi. Żebyś oto, chłopaczku, poszedł do niego, składno ci będzie tak oto poprosić pana budowniczego, żeby się zapytał pana Marcina ni stąd, ni zowąd, czy był przed Świętym Krzyżem i czy mnie widział.

— Ano, prosta rzecz... powie, że był, ale nie widział,

gagatek! Niech lepiej Józiatek opowie, jak się rzetelnie wszystko stało, jakże się tu przed nami użalali. Żeście doskonale widzieli, iż na was patrzył, i że wam straszliwie markotno, iż ma was za nic.

— Oj, ojciec Jakubie, wolałbym nie... Nużby się pan Paweł rozgniewał na pana Gulmańcewicza, co być bardzo może; to potem tamten znów do mrtwie, a niech on sobie dla mnie żyje, jak chce. Jeśli zresztą kum Szczepan każe koniecznie, to pójdę... ale mi się widzi, żebyście to wy najlepiej wszystko zrobili... ojciec!

— Choroba... mnie samemu szczekać przed panią Kontrolerową albo przed panem Pawłem nie można, idź, Józiatek, mój chłopaczku!

— Ano, to już sam się powlokę — wtrącił ojciec Jakub, któremu bynajmniej nie szło o to, żeby Józiatek wplątać w tę sprawę, ale wiedział, że chłopczyzna uraduje się z nieporozumienia między Szczepaniakiem a Gulmańcewiczem, po którym więcej nieporozumień może nastąpić!

— Aby ino Marcychna nie dowiedziała się, boby się na śmierć zapłakało biedactwo.

— Ano... ani Józiatek, ani ja pewno jej nie powiemy, bądźcie o to spokojni, majsterku!... ale żebyście to jej kiedy wy powiedzieli: „Ej, Marcychna, nie zaprzataj sobie głowy na próżno tym świszczypałąką z lakierowanymi faworytami, nie będzie z tej mąki chleba, nie! To się, Panie Boże Wszechmogący, psu na budę nie zdało wszystko, ino żal uczciwie zarobionego a zmarnowanego grosza” — ano, to byście mieli, pocziwy kumie, krakowski nasz, zdrowy rozum, co wam diabeł z czarownicą na nic pokotłowali teraz w łepetynie. Ano, nie bierz mi tego za złe, kochany kamracie, ale, Bóg widzi, święte moje słowa... Narzekaliście zawsze na mnie, że tak mówię, jakbym naumyślnie połykał,

ano też dziś kładę wam jakby łopata, majsterku... Póki jeszcze czas, zastanówcie się! Przy świadku, przy Józiaku wam powtarzam: roztwórzcież gały i patrzcie po ludzku na rzeczy... Ano, a teraz wygadawszy, co na sercu, muruję gębę i ani mru-mru.

— Przestańcie, zmiłujcie się, ojczy Jakubie! Po pogodzeniu chcecie się swarzyć z kumem Szczepanem. Jakem był oto u majstra, tak mnie prosił, żebyśmy mogli zajść do niego, tak mu markotno i tęsknie było bez was.

— Ano... a mnie, myślicie, wesoło? Toćże my to jeszcze dziećmi razem było zganiali, paśli owce na górach. To mnie nie było markotno, że mi stary nie ufa?

— Ojczy Jakubie! tak się nie godzi!... dosyć już! — ośmielił się zawołać Józiak.

Nie mógł ciągle pojąć, z jakiego powodu ojciec Jakub tak za nic sobie nie ma i bez oględności burczy przy nim kuma Szczepana, starego, statecznego majstra i obywatela, jakby sobie z nim, chociaż był tylko czeladnikiem stolarskim, nigdy nie pozwolił. Dawniej przecie mówił i obchodził się z największym uszanowaniem. Ale ojciec Jakub wziął na kieł, jak to mówił Szczepaniak. Lubiąc Józiaka i rojąc sobie o nim rozmaite zamysły, tylko zwięźlej i możliwiej niż Michałka, ciążyło mu na sercu, że kowal lekceważył za nadto jego ulubieńca, kiedy przy końcu pracował u trumniarki na Głębokiej; że zaczął zadzierać nosa przed potulnym, uczciwym sierotą. Rad więc był sposobności, że może mu natrzeć uszu i upokorzyć nieco przy nim. Spotkawszy go na ulicy i wysłuchawszy uzalenia sam namówił, żeby wysłać Józiaka do Pawła, a choć kowalowi się to z początku nie zdało właściwie, umiał sprytnie manewrować językiem. Choć staremu noga dokuczała, z Krakowskiego Przedmieś-

cia przez Aleksandrię<sup>1</sup> i Tamkę zaszedł na zaułek dc mieszkania Michałki, gdzie już teraz sprzykrzyły mi się za zbyt otwarte perory zakonnika; krew uderzył e staremu do głowy, miał odciąć się, wybuchnąć i spy lić, jak to potrafił nieźle, ale widocznie miarkowa i biorąc rogiatkę do ręki, ruszył się szybko ku drzwiom. Daremnie go chciał powstrzymać Józia k ojciec Jakub szedł za nim zwolna.

Michałka doleżyć nie mogąc podczas narady, podniosła się znów z pomocą Mateuszowej z łóżka i siedząc blisko drzwi, każde słówko rozmowy, jakby uzdrawiającą pigułkę połykała. Kiedy chciał wyjść, zaczęła go prosić pokornie, żeby im krzywdy nie robił i nie pogardził choć szklanką kawy z arakiem na taką wilgoć. Kobięcina mówiąc to bolejącym, właściwym jej teraz głosem, i do jego ramienia dotknawszy ust z uszanowaniem, starego nie tylko ujęła, ale jakoś wzruszyła i zawstydziła. Mimo woli porównał w myśli to korne zaproszenie z obrazą, co go od Marcelka spotkała. Na rzut oka sądząc, że Michałka, choć wdowa po propinatorze, przedtem pod wielu względami niby na wyższym szczeblu stała od niego, przypomniał sobie, że bardzo kochał kiedyś Józia k a, przeznaczał go sobie w myśli dla Marcysi — i po raz pierwszy, odkąd wprowadziła się Gulmańcewiczowa do domku na Głęboką, jakoś żał mu się zrobiło tych dawnych, lepszych, spokojniejszych czasów — gdzie po prawdzie nie unosił się pychą ojcowską, że córka zostanie budowniczą i jaśnie panią dziedziczką, ale grosiwa chował często garstkę sporą i nikt mu bezkarnie nie śmiał uchybić ani też lekceważyć, jak dzisiaj pan Marcin.

Stary, lubiąc przy tym kawę z arakiem, rozsiadł się,

<sup>1</sup> przez obecną ulicę Kopernika.

wypił parę szklanek, ubolewał nad chorobą pokornej gospodyni, która z taktem, płci swojej wrodzonym we wszystkich sferach — zręcznie, zwolna, wprowadziła go w gawędę. Rozwodził się o tym i owym, co mu szło z łatwością w swoim właściwym towarzystwie, uważnie go słuchającym, bo ojciec Jakub, dotrzymując słowa, znowu po dawnemu bardzo lakonicznie się odzywał. Nareszcie przyobiecawszy, że w tych dniach zajrzy tu najniezawodniej z Marcysią, wyszedł już orzy świecy z ojcem Jakubem. Józiak odprowadził ich do Ordynackiego.

— Choroba, jakie to z kośćcami widzi się pocziwie tobiecisko, a takie siarczyście pokorne, jakby jej człowiek łaskę robił, że do niej parę słów powie, a widzi się, że kobiecisko wcale a wcale niegłupie... może nie, ojcze Jakubie?

— Ano, wiecie, że ona mi czasem waszą nieboszczkę, świeć Panie nad jej duszą, przypomina... że to ano takie łagodne, potulne, prawda?

— Aj, choroba, choroba... zdałoby się Marcychnie, żeby nieboszczka dłużej pożyła! Co matka to nie rodzic... Zawsze to pod jej okiem dziewczynina wyglądałaby inaczej.

— A bo jej co teraz brakuje, mój kumie pocziwy! — odparł zakonnik, któremu poprzedni wykrzyknik Szczepaniaka wydał się wybournym znakiem dla sprawy Józiaka, co ją znów postanowił całą duszą popierać.

Michałkę kaszel dusił przez całą noc, ale błogostwiąc niebo, że jej modłów wysłuchało, że tak jakby w odpowiedzi na smutek Józiaka i jej żalność los im zesłał nagle choć jeden promy czek jaśniejszy — w bezsenności doczekała dnia i zaklinała się Józiakowi, wychodzącemu na robotę, że spała nad ranem

wyśmienicie i od dawna nie czuła się tak dobrze jak teraz.

Józiak wstąpiwszy do kościoła Trynitarzy<sup>1</sup> modlił się w kruchcie o jej zdrowie i o szczęście tych wszystkich, co kiedykolwiek dla sieroty okazali się przychylni.

## II

— *Mon enfant!* trzeba było jednak chociaż z lekko uchylić kapelusza. Na grzeczności nigdy nikt nie stracił... Szczepańskiego bardzo to zmartwiło, aż się użalał przed panem Baltazarem. Żaden nawet z tych panów nie uważałby, komu się kłaniaasz.

— Strzeżże mnie, Boże, *ma chère maman!* Zaręczam mamie, że go nie widziałem.

— Niech Marcelek nie udaje przed matką. Nie jest to jeszcze tak wielkie uchybienie; zawsze jednak na drugi raz trzeba być ostrożniejszym... tacy ludzie są bardzo urażliwi. Gdybyś nie bywał u nich, to co innego... ale jeszcze dajesz lekcje.

— Ach, mamო najdroższa, powtarzam ciągle, że mi te lekcje kością w gardle stoją.

— Czy młoda Szczepańska nie korzysta z wykładu, nie chce się uczyć?

— O nie! Chociaż nie ma otwartej głowy, nauczyła się czytać wybornie, umie na pamięć pełno wyrazów, kilka rozmów — i bardzo, bardzo pilna. Tylko włączyć się z miasta *sur les leçons*<sup>2</sup>, zabłócić nieraz...

— Przecież już teraz dajesz tylko dwa razy na tydzień.

<sup>1</sup> do kościoła na Solcu.

<sup>2</sup> na lekcje.

— Ach! i tego aż nadto, *ma chère maman!* — odparł synalek gładząc rękawem kastorowy kapelus.

— Aj, ty wygodnisiu, wygodnisiu... zapominasz, że w tym samym domu mieszka matka. To i do mnie wstępujesz, jak do Szczepańskich, tylko z obowiązku?

— A strzeżże mnie, Boże, najukochańsza mamol Jak może mama robić mi taką wymówkę! Ja bym dziesięć razy na dzień przybiegał tu codziennie! — zawołał całując ją po rękach.

•— Bądź co bądź, *mon enfant*, nie wypada, żebyś zaprzestał teraz dawać lekcji, byłoby to niegrzecznie i niestosownie zrywać z ludźmi, co dla nas byli zawsze życzliwi i usłużni. Jeszcze więc przez czas niejaki trzeba będzie pełnić nauczycielskie obowiązki, Mr Gulmańcewicz! Za miesiąc, za parę miesięcy najdalej, i ja wyprowadzę się z tego partykularza... wtedy będzie łatwiej Marcelkowi wynaleźć słuszny jaki powód. Ale dzisiaj proszę iść na dół przyrzekając sobie, żeby być uważniejszym, przywitać się ze Szczepańskim, jakby nic między wami nie zaszło, a przy lekcji okazywać się grzecznym, jak zwykle, dla Szczepańskiej!

— Wszystko to dobrze, *ma chère maman*, ale mnie ta grzeczność męczy fatalnie.

— Proszę — jaki wybrydniś! Czy to ci tak trudno znaleźć parę komplementów dla przystojnej panienci? — zawołała Kontrolerowa z tonikiem żartobliwym tak wybor nego humoru, że aż zadziwił Marcelka, który może po raz pierwszy usłyszał w ustach matki kilka weselszych słów w tym rodzaju.

Obawiając się dawniej, żeby oczy kowalczanki nie wywarły głębszego wrażenia na jedynaczka, cieszyła się niesłychanie, że nieodrodne jej dziecię aż nadto wcześniej poczuło w sobie zacząć krew Kalbfleischów, nie spoufaliło się w towarzystwie niższych ludzi i nie

zakochało w córce rzemieślnika, która, cóż dziwnego, że szalała za tak ładnym i przyzwoitym chłopcem.

— Ach, *maman*, nie uwierzy mama, jakeśmy wczoraj znowu wybornie bawili się u Celestynów! Czy pani Beleńskiej przyjrzała się mama dokładnie?

— Widziałam ją niedawno w kościele, siedziała tuż przy mnie.

— Jedna z najpiękniejszych kobiet w Warszawie... prawda? A jaka i *comme U iaut*, i grzeczna! Tańczyłam z nią wczoraj do upadłego... i mazura, i kontredansa, i walca, i polkę. Kiedym jej podniósł chustkę, ścisnęła mnie tak mile za rękę.

— Oj ty, bałamucie, ty filutku! — rzekła matka, po twarzy go klepiąc. — *Selon moi'*, panna Karolina lepiej mi się podoba od siostry, tusza jej wcale wdzięków nie ujmuje. Taka sobie prawdziwie... co to nazywają *belle femme*<sup>2</sup>.

— *Mademoiselle Charlotte* — odparł synalek z próżnym uśmiechem -- przystojna, dobra panna, ale nie można jej porównać z siostrą.

— Matka jej była kiedyś nadzwyczaj piękna, znałam ją jeszcze dzieckiem.

— Widać dotychczas, że była piękna, a jaka grzeczna! Wszak ona nie ma jeszcze czterdziestu lat... proszę mamy?

— Czterdzieści kilka najwięcej — odparła Kontrolerowa, przymrużonymi oczyma patrząc na synalka.

— Proszę mamy, jak się też mamie zdaje... czy Paweł dobrze zrobił przyjmując guwernerstwo u radcostwa?

— Uczciwy zarobek, i do tego tak szlachetny jak

**1 według mnie.**

**2 urodziwa kobieta, piękność.**



idzielenie komu nauki nie wstydzi nikogo — wygłosiła mama znana swoją sentencję.

— Strzeżże mnie, Panie, żebym sądził inaczej... ale, widzi mama, wszystkie te damy i panowie muszą wiedzieć, że to mój kuzyn tak bliski.

— *C'est bien vrai!* Ale osoby z najpiękniejszych rodzin poświęcają się nieraz temu zawodowi, a zresztą Paweł jest przy tym architektem i on wyświadczył rzeczność przyjmując ten obowiązek — rzekła szybko mama radując się niewymownie, że praktyczny kieruneczek, którym natchnęła synka, w tak sprytniej przenikliwości się rozwija.

— Jak się też mamie zdaje, czy Paweł jest przystojny?

— Przystojny... o nie, ale nie jest brzydki.

— Pani Aniela i damy wspominały mi, że ma twarz bardzo zajmującą.

— Niech mi raczą wybaczyć! Nie wiem, jakie te-az gusta, ale tego przymiotu w jego twarzy nie dopatryłam. Zamyślona, mizerna, zawsze jakby posmoleona... Oczy jeszcze ująd, *voilà tout!*

— Nie rozumiem, *chère maman*, czemu on się nie ubi ubierać, teraz mógłby nawet, bo ma na to znacznie więcej niż ja.

— Z kominiarza trudno wykrzesać eleganta, *mon snlant!* — A już taki niedbalec, że to aż wstyd; poplamiony, wytarty!

— Ach, mammo najdroższa! a mój fraczek jak wytarty, nie mam spinek porządnych, potrzebna mi druga para lakierków i kamizelka. Tak tam wszyscy zwracają uwagę na ubiór; tak młodzież wystrojona!

**1 to prawda.**

**<sup>2</sup> to wszystko!**

— Przystojny chłopiec, aby miał czyste i zgrabne odzienie, to dosyć! Nie uwierzysz, Marcelku, jaką teraz wartość ma u mnie każda złotówka i jak mi trudno wydawać pieniądze. Cóżże zrobił ze stu złotymi, com ci dała w przeszłym tygodniu, straciłeś?

— A strzeżże mnie, Boże! Czym kiedy stracił choćby grosz na próżno, mameczko? Dołożyłem jeszcze kilka oszczędzonych rubli i dawny mój łańcuszek, sprawiłem sobie oto ten mój nowy. Ach! *ma chère marian!* Na parę wieczorów to jeszcze ujdzie, ale gdyoym zawsze spomiędzy wszystkich miał być najgo-rzej ubrany, wolałbym wcale nie bywać.

• — Oj, filutku, filutku! ostatek odbierasz matce. Nie potrafisz jeszcze sam zarobić; zawsze do matki.

— Strzeżże mnie, Panie! Zobaczy mama, że wkrótce już nie będę zupełnie jej trudził — odparł Marcelek rzucając przelotne spojrzenie na zwierciadło.

— Proszę! Na loterii może wygrasz? — zagadnęła mama z nieustającą łaskawością dobrego humoru. Wydobyła dla niego z toaletki dziesięć rubli i dała jeszcze brylantową szpilkę po ojcu, co to ją zgubił kiedyś, a teraz powiedział, że zamiast spinek nosić będzie w koszuli. Zaleciwszy mu jeszcze, żeby był grzeczny dla Marcysi, po jego odejściu kazała sobie ugotować kawy. Wróżąc jak najpomyślniej o przyszłości sprytnego jedynaka, wysączała z przyjemnością poobiednią filiżankę w pokoiku swoim na facjacie pod Opatrznością Bożą i dobry humor ciągle jej nie odstępował: nie wykrzyczała służącej i kanarkowi przez pół godziny grała na pozytywce.

Kiedy Marcelek zeszedł na dół, zastał tylko Jakubowę.

— *Bonjour!* — rzekła w odpowiedzi na przywitanie stara przykładając po wojskowemu rękę do czoła. — Przenajśłodsze imię Jezu! co też paniczyk dokazu-



je! — dodała ciszej i położyła palec na ustach na znak milczenia. — Marcychna, biedactwo, tak zmizerowała się, żeśmy tu wszyscy na dobre postrachali się o nią.

— Strzeżże mnie, Panie! Co mam dokazywać? Nie rozumiem was!

— A Przenajświętsza Panno Sokalska... nie udawaj no pan Marcin przed starą Jakubowa, co nie z jednego pieca chleb jadła i wie jak trawa rośnie. Marcychna dowiedziała się, że paniczyk pono bywa u jakichś pań bardzo bogatych.

— U jakich?

— Parol, nie wiem naprawdę, ale okropniście zgryzło się biedactwo... i jeszcze okropniściej, że pan do nas tak rzadko, coraz rzadziej przychodzi, ino jakby z łaski. Aj... Panienko Najświętsza, zaświerziło mnie coś w język i wygadałam się niepotrzebnie... Ho, ho, przed kim innym trzymałabym ostro za zębami, ale jak mi Bóg miły, pan Marcin, widać, w czepku się rodził, bo tu wszystkie lubią: i młode, i stare — rzekła żywo, a na błyszczącym jej nosie i w oczach nieco błędnych widoczne były ślady kieliszków, którymi zwyczajem starożołnierskim, w miarę przybywającej starości, nie bardzo gardziła, a coraz mniejsza miarka wystarczała już na niezłe podchmilenie.

— Więc panna Marcjanna chora?

— Marmuzel Marcychna wczoraj i onegdaj to tak jak cień, ino z kąta w kąt łąziła i łezki obcierała... Poszłyśmy do kabalarki na Piwną i kabała niedobrze wypadła. Jest jakiś amant, co ją bardzo kocha, jest znów jakaś brunetka, co przeszkadza... Aj, Panno Miłościwa, nie wydajże mnie paniczyk przed panienką, bo bym dopiero nawarzyła sobie bigosu. Kum Szczepan także jest markotny. Odkąd się pan wyprowadziłeś, wszystko tu źle idzie.

— I cóż złego, gdybym bywał u jakich pań bogatych, powiedcież, Jakubowa? — zagadnął Marcelek uśmiechając się z lekka. Wszystko to, co mu gadatliwa baba doniosła, łechtalo jak najprzyjemniej jego próżność.

— Oj... prezante arm — marsz! Przenajświętsza Panno Sokalska, paniczek gra ze mną jakby w ciuciubabkę. Juźci, dla mnie nic złego, ale panience to już się zaraz widzi, że pan Marcin rozgniewał się i zapomniał! — zawołała zatykając sobie nagle usta ręką.

— Kłaniajcie się, Jakubowa, jak najpiękniej pannie

Marcjannie i majstrowi... będę w tych dniach niezawodnie.

— A najśłodsze imię Jezu... to nawet pan Marcin nie chce już i poczekać na panienkę? Widziała, jakieś paniczyk szedł na górę do mamy, i zaszła do Fidrykowej nie słysząc, widać, biedactwo, żeś paniczyk zeszedł tu z góry. Idę po nią, duchem tu będzie... No, a dla starej Jakubowej, że tak wypytlowała wszystko, pour delodwi<sup>1</sup>, pas sou, pas argent, ani złotówczyzny? — rzekła zatrzymując się nagle w prog.

**i na wódkę.**

Marcelek dał jej dziesiątkę przepraszając, że nie ma więcej drobnych, chociaż, prócz dziesięciu rubli od matki, z drugiej strony sakiewki tkwiło kilkanaście złotych.

— O! święte słowa ojca Jakuba! Jeśli mu kiedy we łbie powstało, żeby się ożenić z Marcychną, tom nie krewniaczka nieboszczki. A bodaj cię nieszczęście spotkało, bodajesz na złamanie karku poszła, ty sekutnico, że cię tu licho wprowadziło! — mruzczała baba grożąc pięścią ku wschodom, wiodącym na facjatkę.

Marcysia wkrótce nadbiegła i Marcelek mógł się przekonać po czerwonych oczach, nabrzękłych powiekach i ustach wybladłych, że Jakubowa powiedziała prawdę. Na grzeczny jego ukłon i powitanie francuskie, najczulszym wyrzeczone głosem, dziewczynka, smutno jakoś i poważnie odkiwnawszy główką, wysunęła mu krzesło, siadła potem i nieustające *Przygody Telemaka*, syna Ulissesa, rozłożyła na stoliku. Jeżeli jednak sam nauczyciel nie przerwał czytania, objaśniając swoim sposobem wyraz jaki, uczennica nie zapytała się pierwsza; na mnóstwo pochwał, którymi obsypywał niegodziwą jej pronuncjację<sup>1</sup>, nie uśmiechnęła się ani razu, tylko z minką nadaśaną, jakby machinalnie, pod nosem bąkała prozę Fenelona. Kiedy jej słuchał wokabuł<sup>2</sup> i rozmów, których biedactwo nie potrafiło nigdy wyuczyć się dobrze na pamięć, odpowiadała niewyraźnie, półgłosem i nie podnosząc nań oczu, nie widziała, na szczęście, zadowolonego wyraziku, z którym nauczyciel przyglądał się jej.

Gulmańcewicz nareszcie czując, że nieporozumienie wypada jakkolwiek załagodzić, ośmielił się uchwycić

**1** wymowę.

**2** wyrazów obcojęzycznych.

jej rękę, którą natychmiast cofnęła, i zapytać tym swoim głosikiem najczulszym, któremu usiłował teraz dodać smutnego brzmienia (co wszystko ludzie niedorzeczni łatwiej dokonywają od dorzecznych).

— Czy pani gniewa się na mnie, *Mlle Marceline*?  
*Je non mérite pas votre colère, comme j'aime maman je ne sais pas pourquoi vous se lâchez sur moi!*

— Nie gniewam się — odparła cichuteńko uczennica spuszczać oczy jeszcze bardziej.

— Na taką odpowiedź zbywającą i obojętną nie zaśłużyłem, *Mlle Marceline*, lecz strzeżże mnie, Panie, żebym panią zapytywał więcej, *en voyant que cela vous fait si beaucoup de peine*<sup>2</sup> — odparł smutno i głos mu zadrżał nieco.

Oczy uczennicy podniosły się wtedy po raz pierwszy, spojrzały nań przez chwilę, pierś oddychała żywiej, łzy biegły i więzły w gardle, nareszcie obfity zdrój spłynął z głośnym łkaniem na rumiane policzki, opadł na biały gors... a spośród łez źrenice błyskały tak czystą, niewinną i prawdziwą wymówką...

Oj, Gulmańcewiczu, cny potomku Barbary z Kalbfleischów, i ty cała rodzino podobnych mu, w czepku urodzonych smyków, czemu to wam los tyle w życiu chwil cudnych przedstawia i przy składnych waszych mordeczkach daje serce najczęściej jakby z gutaperki, dusze jakby ze starej gąbki, czy jakby z potłuczonych szkieł od starej latarni dorożkarskiej? Chwila taka, której wspomnienie starczyłoby już może niejednemu na pociechę, na zapełnienie tyłu nieraz dni przykrych lub samotnych, dla was bywa chlebem powszednim, którego smaku nie czując nie pojmując

**1 nie zasługuję na pani gniew, jak mamusię kocham, nie wiem, dlaczego się pani na mnie gniewa.**

**2 widząc, że to sprawia pani taką przykrość,**

cie wartości. Ale też, stosując się już do nazwy smyków, choćby wam rączki oprawić w brylanty, nawiązać włosie z grzywy najczystszej krwi arabczyka, wysmarować je kalafonią jak łąza przezroczystą, jak lilia woniejącą, nie zdołacie tak uderzyć w struny duszy kobiecej, żebyście z niej najdzwięczniejsze akordy wywołać potrafili, żeby nadziejskość i ziemskość, anioł i człowiek wyrzały z niej jak starożytny Eros z jednym okiem we łzach tonącym, a drugim uśmiechniętym.

Wyście najczęściej tylko owymi smykami, co to rzemieślnicy salonowi lub ogródkowi, pejsaci lub kudłaci wydobywają nimi ze skrzypców zwyczajne brzmienia tramblantki<sup>1</sup>, szotisza<sup>2</sup> lub kontredansa. Mimo to jesteście szczęśliwi, minki wasze najczęściej tak zadowolone jak wyżełek, mops lub z właściwym uwzględnieniem pudel nakarmiony, wystrzyżony i wymyty, co radośnie potrząsając brzęczącą obrozą wybiega na spotkanie kundlicy z sąsiedniego domu lub też drzemie u kolan pani czując na sobie głaszczącą jej rękę delikatną.

Korzystając z darów szczęścia, a nie zdołając pojąć wznioslejszych jego przymiotów, żartujecie po cichu z tych, co o nich marzą lub pragną, uśmiechacie się do siebie — jak w duszy Gulmańcewicz widząc łyżę gradem (według tradycyjnego porównania) pereł przez niego i dla niego z pięknych oczu płynące. Nie był to uśmiech szyderczy, wątpiący, pastwiący się, zimny, który by w takim razie u innej postaci można mniej więcej kłamliwie lub prawdopodobnie przypuścić — ale tak sobie niedorzecznie próżny i najdokładniej odpowiedni kartofelkowemu noskowi i okrą-

**1 polki.**

**2 walca szkockiego.**



głym ślipkom ostatniego z Gulmańcewiczów, którego nie o to obwiniać trzeba, że się nie kochał w kowalczance lub że kochał, ale o brak uszanowania i współczucia dla łez biednej dziewczyny, z jego powodu wylanych, które każdy u nas mężczyzna — oprócz małżonków po dziesięcioletnim kłótliwym pożyciu — mimo woli uczuwa dla płaczu słabszej istoty, nawet nie z jego winy i niekoniecznie wywołanego taką uczuciową przykrością. Gdyby Marcysia Szczepaniakówna niedorzeczny cyferblacik swego nauczyciela mogła wtedy właściwie obaczyć, jak to nieraz nie tylko uczennice w jej wieku tak sprytnie odgadnąć potrafią — może by sobie oszczędziła wielu łez i cierpień, które każdą szerszą i prostszą istotą głębiej wstrząsają, bardziej kosztują niż nawet męczenniczkę w świetnym buduarze, ze łzami w sercu, a uśmiechem na ustach.

Nadszedł z kuźni w zasmolonym fartuchu kum Szczepan z Maciusiem. Gulmańcewicz ciesząc się z przerwy tkliwego sam na sam uczuł w sobie aż nadto śmiałości do wypełniania macierzyńskiej rady. Przywitał się z nim bardzo grzecznie, lecz nie śmiał zapytać córki o powód kwaśnego humoru. Wkrótce ukończył lekcję i wbiegłszy do matki tylko na chwilę, aby się z nią pożegnać, tak ściśle szedł potem z Głębokiej ulicy w miasto, jakby się mu przypomniała gimnastyczna owa biegłość, kiedy to po starym miodzie, ukradkiem wysączonym — spuszczał się koło kościoła Mariackiego<sup>1</sup> ku Wiśle.

Idąc do domu na Mostową Marcelek skręcił do Moramszy, żeby uwięzić u niej szpilkę brylantową. Na następujący wieczór u Celestynów chciał wystą-

<sup>1</sup> kościoła Panny Marii na Nowym Mieście, po katedrze najstarszego z kościołów warszawskich.

pić ze spinkami opałowymi, za które gotówką musząc zapłacić znacznie więcej niż dziesięć rubli, potrzebowwał nadto mieć w kieszeni kilka rubelków na nieprzewidziane wydatki. Moramsza mile uśmiechnęła się do tak pięknego fantu, jeszcze milej do Marcelka. Wiedząc, że stoi u Jabłuszków, powiedziała mu, że ponieważ jubiler mieszka daleko, poprosi szanownej sąsiadki, pani Domiceli, znającej się na takich kosztownościach, żeby jej otaksowała szpilkę.

— Już ta kochane pani co powie, to ja na wszystkim przystanę — dodała Żydowica kłaniając się nisko interesantowi.

— Zdaje mi się, że pana Jabłuszki nie ma teraz w domu... Przyjdźże, kupcowa, za chwilę na podwórko, jak u okna zawołam, wejdź... Sam o to poproszę pani Jabłuszko — powiedział odbierając szpilkę.

— Bardzo chętnie! — odrzekła zastawiarka śmiejąc się piskliwie do męża i bachórków, kiedy już młodzik odszedł.

Widocznie w tym dniu prześladowało coś Marcelka. Prócz mamy dobrodziejki u wszystkich osób mu życzyliwych same jakieś zasępione twarze spotykał. Domicela, witając go zawsze nader uprzejmie, chociaż pod jednym dachem mieszkali — wybiegając nawet na przeciw niego, po kilka razy dziennie, ilekroć szedł do nich ze stacyjki swojej, która, acz należąca do apartamentu, oddzielny miała wchód — dzisiaj przyjęła go bardzo ceremonialnie, nie wstała z kanapy i z gorzko-słodkim, widocznie zmuszonym uśmiechem zapytała, gdzie tak długo bawił.

— U mamy...

— A jeszcze gdzie?

— Strzeżże mnie, Panie... nigdzie! najdroższa pani — odparł rozsiadając się wygodnie z drugiej strony kanapy.

— A do panny Szczepaniak nie wstępowałeś?  
— Prawda, na chwilę...  
— A od panny Szczepaniak może jeszcze z wizytą do radcostwa, do tych pięknych dam ze wsi, co to w kamienicy narożnej blisko Saskiego Ogrodu mieszkają?

— Strzeżże mnie, Panie... a to po co tak często? Raz w tydzień na wieczór, czy to nie dosyć? — • odparł Gulmańcewicz nie mogąc ukryć uśmiešku zadowolenia. — Skądże humor tak niedobry, pani Domciu? — zapytał po chwili, ośmielając się ująć jej rękę, którą chciał podnieść do ust.

— Bardzo proszę, bez tych grzeczności — ofuknęła żywo kobieta, odpychając mu rękę tak energicznie, że go aż w obojczyku zabołało.

— Pani najukochańsza! Cóżem pani zrobił... czy się godzi gniewać na mnie, na mnie... i o co? — zagadnął ze śmiałością, na którą przedtem nie zdobyłby się, ale przez bywanie w wyższym towarzystwie, choćby się tam tylko najbezcelniej wpraszało lub wciskało, nabiera się pewnego rodzaju lekceważenia, a przynajmniej pewności siebie w niższym.

U wielu, co z takiego bywania pyszną się sami przed sobą, słabnie zaraz wrażenie, jakie wywierają dawne znajomości, nie podnoszące się do tych sfer światowych, gdzie samo powietrze, według nich, uzacnia zaraz i podnosi człowieka. Zdarza się to młodzikom, wyżej pod każdym względem usposobionym od takiego Gulmańcewicza, a cóż dopiero jemu! Jakiś rozkazujący tonik głosu i większa swoboda w obejściu raziły Jabłuszkowę od niejakiego czasu coraz bardziej.

— Ej, panie Marceli, ej, panie Marceli, żyjesz tak sobie i hulasz nie myśląc o jutrze, a to jutro zawsze najgorsze — rzekła kobieta, której krew biła do gło-

wy, a zielonawe oczy prawdziwie kocim blaskiem zabłysły. — Czego chcesz? — zagadnęła nagle Moramszę, która z lekka drzwi od salki uchyliła nie czekając na wezwanie.

Marcelek czułym głosem wytłumaczył jej, o co rzecz idzie, a czulszym jeszcze błagał po cichu, żeby łaskawie raczyła ocenić brylanty, przyobiecując buteleczkę likieru, którą, dostawszy pieniędzy, natychmiast przyniesie.

— Obejdzie się bez tych próśb i bez likieru — odrzekła z miną ciągle zadąsaną i wzięwszy szpilkę poszła do okna, a młodzik poglądając ukradkiem w lustro, uśmiechał się tymczasem, przeczuwając pogodzenie po likierze i widząc, jak mu na koszuli błyskać będą tęczowo opale w złotą i fioletową emalię oprawne. Widział takie u jakiegoś modnisią na przeszłym wieczorze u Celestynów; na przyszłym więc będzie ich dwóch z opalami i kto wie, czy spinki Marcelka nie będą jeszcze gustowniejsze.

— Wyjdźcie no na chwilę, Moramsza — rzekła nagle Jabłuszkowa.

— Cóż to? Żarty chyba, panie Marcel... są tylko dwa rauty, a reszta fałszywe kamienie — dodała po chwili, marszcząc brwi wydatne.

— A strzeżże mnie, Boże... to nie podobna, łaskawa pani Domicelo, chyba się pani zdawać musi... prześtańże się pani gniewać, jeśli w czym bądź zawinił, błagam o przebaczenie — dodał zbliżając się do niej. Znając zaś sprzeciwłą i upartą jej naturę, przekonany był, że naumyślnie chciała mu dokuczyć.

— Ale nie, bynajmniej nie żartuję, może się nie znam i tak się mi tylko wydaje, idź pan do jubilera, najlepiej panu powie.

— Jakimże by sposobem, Boże, mogłyby być fałszywe? Wszakże tę szpilkę mama u państwa zostawiła

wyjeżdżając na wieś. Kiedy mi ją pani oddawała, bryanty były dobre.

— Nie wiem, czy tak bardzo dobre, ale to wiem, że nie były fałszywe, żeśmy panu taką oddali, jaką imy odebrali. Do nas, zdaje mi się, żadnej pretensji pan rościć nie będziesz — dodała dumnie, przesywając go na wskroś zielonymi oczyma.

— Wprawdzie zgubiłem u Kocia, w Maruszewskiego hotelu, ale przypomniałem sobie nazajutrz, znaleźliśmy przecie w szparze przy drzwiach — zawołał błędąc nieco.

— A potem?

— Potem leżała u nas w domu, w komodzie.

— A więcej nigdzie?

— Na kilka dni tylko zastawiłem ją u krawcowej na Rybakach, pani Domicelo!

— Myślałam, że tylko Moramsza miała to szczęście zarabiać na panu! Nauka, widzę, nie idzie w las! Ileżes pan procentu krawcowej zapłacił?

— Trzy grosze od złotego na tydzień.

— Oj, panie Marceli, oj, panie Marceli! Widzę, że w niczym nie wychodzisz pan szczerze z przyjaciółmi. Nie lepiej to było zastawić u Moramszy po groszu na tydzień? Bałeś się może, żeby mi nie powiedziała. Po cóż by miała mówić? Czy mam z nią jakie konszachty? Dziś powinna bym tylko odebrać zaraz szpilkę i powiedzieć mężowi, żeby przestrzegł mamę, która myśli, że jej jedynaczkę — to wcielony aniołek, a to wielkie, wielkie niedobrego. Gdyby się mąż dowiedział, nie wiem, co by się ze mną stało! niech Bóg broni! Ale strzeż się pan, panie Marceli, otwarciej wychodź ze mną. Szpilką, mówią, przyjaźń się przekłুwa. Daj, 3oże! aby się od dziś dnia moja przyjaźń nie przekłुwała, bo będziesz żałował po niewczasie, zobaczysz! — mówiła nadzwyczaj szybko, a Marcelek, na którym

zawsze ta kobieta magnetyczny wpływ wywierała, zdrzął na syczące brzmienie niskiego głosu.

— Nie podobna, żeby krawcowa miała kazać wsadzić fałszywe, nie ośmieliłaby się.

— Tam, gdzie idzie o zarobek, każdy się ułakomi i na wszystko ośmieli. Brylanciki nie były tak czystej wody, a choć tylko jeden ażur<sup>1</sup>, ale zgrabnie oprawne, zawsze dwadzieścia kilka rubli do trzydziestu warte.

— A strzeżże mnie, Panie Boże, żebym miał kiedykolwiek zastawiać takie kosztowności! — zawołał rzewnym głosem Marcelek, któremu ciągle stały na myśli spinki opałowe. — Ale co tu począć, co tu począć, co tu począć, *mon Dieu* — dodał po chwili prawie płacząco. — Jakby się mama dowiedziała o tym przypadku, to i po nitce doszłaby do kłębka, i bardzo by się na mnie gniewała... A mnie tu koniecznie potrzeba pieniędzy.

— Na co? Na krawacik, kamizelkę, lornetkę albo może znowu łańcuszek?

— Jak panią z duszy serca poważam, częć i kocham... winienem Pawłowi, memu kuzynowi, którego pani przecie znasz, kilka rubli, i muszę mu oddać.

— Pan Sarmiewicz pewno się nie dopomina i może poczekać — odrzekła zwolna kobieta, przekonana, że młodzik kłamie, ale kiedy tenże młodzik cisnął się jej do nóg i mimo jej oporu zaczął ze łzami całować po rękach, ulitowała się nad nim przyrzekając sobie w duszy, że po raz ostatni.

— Trzeba iść zaraz ze szpilką do jubilera i przekonać się, czy istotnie fałszywe, bo mogę się mylić. Moramce ani słowa o tym nie powiem. Jeżeli jubiler powie to, co ja, to zawsze ci pożyczę trzy, cztery ruble... ale jak jej na czas nie oddasz, skompromitujesz mnie na wieki, a wymagać pan przecie nie będziesz, żebym

<sup>1</sup> **oprawa drogich kamieni bez pokrycia ich strony spodniej.**

zapłaciła ze szczupłych fundusików, co mi mąż na donowe wydatki udziela.

— Zapłacę, najświęciej na czas wykupię, pani Donicelo! Strzeżże mnie, Boże, żebym miał panią skompromitować, wolałbym sobie pierwaj kamień uwiązać u szyi i wskoczyć do Wisły — wygłosił jednym tchem, uchwycił kapelusz i wybiegł potrącając w kuchni Moramszę, którą Domicela odprawiła.

— Panie Marcel! — zawołała na niego przez lufcik — bądź pan łaskaw wstąpić po drodze do kawiarni na Długą, zwykle o tym czasie grywa tam w domino Konstanty. Powiedz mu pan, że mam bardzo pilny interes i żeby natychmiast przyszedł.

\*

Cichy i milczący Kocio, chociaż energicznie i szczęśliwie należał do partii w cztery osoby i teraz dobre kamienie miał w ręku, przyrzekł najgrzeczniej Marcelkowi, że natychmiast pójdzie. Jakoż uprosił Porucznika, ciekawie przyglądającego się grze, żeby go zastąpił — i pędem pobiegł na Mostową do kuzynki.

— Dobregoś wybrała posłańca, Domicelko! cała kawiarnia zaraz naszła perfumami... Co się stało, co każesz? — zapytał wcale nie cicho i dopiero kiedy się cisnął na krzesło zdejmując kapelusz.

— Ciekawam tylko dowiedzieć się jednej rzeczy... dajesz mi słowo, że powiesz? — zagadnęła kuzynka, z której błyszczących, rozzłoszczonych oczu, zdaje się, że iskry tryskały.

— Daję słowo.

— Ile też dostałeś za brylanty ze szpilki Gulmań:ewicza?

— Co? — zagadnął Kocio, zbladł i zgrzytnął zębami.

— Nie rozumiesz po polsku? Ile wzięłeś za brylanty?

- Jak to? posądzasz mnie, Domicelko!

— A kogóż?... Kazałeś potem wprawić czeskie kamienie, prosta rzecz! I tak szpilka by się nie znalazła gdybym cię wtedy nie poprosiła, pamiętasz?

— Przypuszczam, choćby i tak było... co ci do tego! — odparł Kocio uderzając się laseczką po nowych butach.

— A, niegodziwcze! Co mi do tego? I mówisz tak o tym, jakby to drobiazg jaki.

— Cóż więcej? — zapytał Kocio ziewnąwszy na całe gardło.

— Oczywiście, w porównaniu z innymi historyjkami, to nic!... Ej, kuzynie, takie „nice” zaprowadzą cię prędzej na Pawiaka, niż myślisz, bo nawet do nich trzeba mieć więcej sprytu i rozumu! — zawołała trzęsąc się z gniewu kobieta.

— Słuchaj no, Domicelko, jak mi jeszcze raz wyjeżdżać będziesz z morałami, które z twoich ust tylko śmiechu warte, daję słowo najświętsze, że tobie i temu twojemu Gulmańcewiczowi kości na miazgę potłukę, rozumiesz? Wszyscy diabli opętali kobietę, zawracając sobie głowę cybulusem, który sobie drwi z niej tylko i cholewki wybornie smali gdzie indziej! Wszystko, co ma, gotowa by mu oddać, o rodzinie wiedzieć nie chce, a mnie jak psa odgania.

— Piękna mi rodzina, co zamieszka na Pawiaku!

— Milcz, lichwiarko! — wrzasnął Kocio. — Jakem twój kuzyn, i więcej niż kuzyn, przysięgam ci, że jeżeli ja zamieszka, to i twój gagatek niedługo po mnie przybędzie...

— Aj, nikczemniku! Jak śmiesz porządnego chłopca, który tylko lekkomyślnością zbłądzić może, porównywać ze sobą?

— Piśnij jeszcze słówko, proszę cię, piśnij! W drobniuteńkie kawałki trzcinę na tobie połamię... A tera-



— Jficesz pogodzić się ze mną, daj mi parę rubli, bo bez eremonii okręcę warkocz koło ręki i rozpocznem — iniec — zawołał podnosząc się groźnie.

— Cóż to, myślisz, że nie ma ludzi w tym domu, ebym pozwoliła się krzywdzić tobie, tobie?...

— Nim tego Gulmańcewicza lichu tu przyniosło, wszakże byłem najgrzeczniejszy i najdelikatniejszy — ale niech Pan Bóg broni, kiedy mi kto wodę moję zanąci! Za tyle nocy bezsennych, com tu wyłaził pod oknami, gryząc wargi i język z zazdrości, muszę ci dać raz w życiu dobrą pamiątkę... niech sobie potem udzie przychodzą, to mi wszystko jedno! — groził Kocio.

Domicela drżała w duszy, na ustach miała tylko śmiech pogardy.

— O, wiem, wiem, że byś nawet uderzył kobietę, de ja się nie boję! — zawołała głośno.

Wtem zastukał prędko i wszedł Marcelek. Jubiler :o do słowa potwierdził to, co mu powiedziała.

— Do widzenia, kochana kuzynko! Zegnam pana do-rodzieja, muszę wracać na partię... a coraz pan piękniej wyglądasz. Porucznik zakochał się w panu widocznie — rzekł grzecznitko odchodzący Kocio.

### III

— W takim razie, panie Sarmiewicz, postąpmy już zupełnie na obszerniejszą skalę. Wymurujmy kilka porządnych domostw na trzy, na dwie familie każdy. Możemy nawet wykonać to nieco artystyczniej, w jednym lub rozmaitych stylach, rozrzucić tu i owdzie po Gierzejach, otoczyć drzewkami i sadami, poprzystawiać porządne zabudowania.

— Darujesz pan, zupełnie sprzeciwiam się temu projektowi, upoetyzowanemu w rolniczym romansie

*Pan Podstolic*<sup>1</sup>, jeśliś go pan czytał kiedy. Znam jedne dobra w Sandomierskiem, gdzie chaty właśnie wystawione są mniej więcej w tym rodzaju. Jakby wille jakie w stylu maurytańskim, gotyckim, angielskim, klasycznym itp. bieleją wpośród lip i topoli, nader miłą niespodziankę tworząc dla oka. Zdaje się na pozór, że to miasteczko możniejsze lub artystyczna jaka osada. Ale cóż z tego? Zacny dziedzic, który chciał tak nagle rozwinąć materialną oświatę u włościan, musi prawie dzień w dzień pełnić obowiązek pachołka policyjnego we własnych dobrach, zaglądać do chaty, czy utrzymany porządek, czy prosiat i cieląt do **izbA** nie wpuszczają, czy podłogi aby na święta umyte itp. Swoim kosztem nadto odnawiać musi bardzo często bo chłopu nierażno w takiej budzie, co gdy się popsuje, sam jej toporem naprawić nie może, a tam, gdzie dużo ludzi siedzi na kupie, gdzie i częste zajęcie ciężką robotą, i często bieda, wymagać nie można, aby tak dbali o swoje gniazdo i obchodzili się z nim nawet tak ostrożnie, jak na przykład w mieście ubóstwo z lokalami swoimi, za które właścicielowi muszą płacić i za najmniejsze uszkodzenie odpowiadają. Zresztą i pod higienicznym względem pomieszczenie wielu osób w ciasnych izdebkach, wytynkowanych wapnem, szkodliwsze jest dla zdrowia niż w prostych ścianach drewnianych, które gospodarstwu łatwiej w porządku utrzymać, obmyć, wywietrzyć, pozatykać szpary itp.

— Najzupełniej przyznaję panu słuszość i ośmieliłem się wywołać zdanie pańskie li tylko dla potwierdzenia mojego własnego w tej mierze. Zwyczaj-

**1 Według zamierzeń autora, Edwarda Tomusza Massalskiego (1799—1879), *Pan Podstolic* miał stanowić jakby dalszy ciąg *Pana Podstolego* Krasickiego. Ta dydaktyczna powieść, wydana w latach 1830—1833, zwraca uwagę propagowaniem pracy organicznej (!).**

ne chaty, porządnie tylko wystawione, dwojaki, czworaki.

— Znowu się panu sprzeciwię. Koniecznie pojedyncze; zwłaszcza też dla gospodarzy, o przemianie których na osadników nie wątpię po tym wszystkim, cośmy za i przeciw nagawędzili.

— Istotnie — rzekł Beleński pokręcając wąsa — w każdym razie powinniśmy kierować się zdrowym osądkiem — i odrzuciwszy na bok względy chwilowe, pospieszyć z urządzeniem stosunków, tym barziej, że kiedy nie podobna wstrzymać prąd czasu, lepiej go uprzędzić.

— Tym bardziej, że ustąpienie to, jeśli je tak nazwać można, zamiast osłabić, wzmocni stan obywatelski i rolniczy i wstrzymać może z czasem napływ obcych żywiołów, koniecznie z uszczerbkiem dla nas wciskający się do roli, z której całe bogactwo kraju wydostajemy.

— Bardzo mi przyjemnie przyznać panu znowu słuszność i jeśli pan uwierzysz, powtórzyc, że nigdy nie będąc od tego, debatowałem z panem za i przeciw, żeby dojść do stanowczych rezultatów. Gierzeje, w pobliżu granicy i większych miast, tak są szczęśliwie położone, że gdy wiele innych majątków, zanim wejdą w nowy tryb rzeczy, straci chwilowo na zmianie, one muszą skorzystać koniecznie. Ale wróćmy do chat naszych, proponujesz więc pan?

— Na wzniesieniu, o ile możności w pobliżu wody, z grubego sosnowego drzewa chaty od piętnastu do szesnastu łokci szerokości, siedmnastu do ośmnastu długości, a pięciu do półszósta wysokości. Sionka dosyć obszerna, izba, komora i komórka. W izbie komin, piec i szabaśnik, podłoga, ściany i pułap wyheblować, polepa dobrze ubita z wałków słomianych oblepionych gliną; dach słomiany spiczasto podniesiony, końce łat

zastłonięte deską wyrzynaną. W budowie chat u nas, zwłaszcza też w Krakowskiem, dworków dawniejszych i drewnianych domków po miasteczkach jest niejaka dążność miejscowa do ornamentacji, widocznej w wystających częściach budowli, mianowicie w węglach, odrzwiach, w fazowaniu belek, choćby nawet w okienkach często szerokich niby to z wenecka, z szybkami fantazyjnie powprawianymi w ośmiokąty, kwadraciki, pirożki itd. Odcień ten pod względem sztuki dziecinny, ale jednak miejscowy, zespala się z ciesielką i znacznie go częściej widać po dawnych budowlach: po kościołach, dworach, domkach, gospodach, a nawet po żydowskich bożnicach (między innymi np. w Nasielsku, w Gąbinie). Na tak zwanych belkach mistrzowskich (stragarze), przechodzących przez środek izby pod pułapem, zwykle wryty jest krzyż, monogram Zbawiciela albo Najświętszej Panny, cytata z Pisma świętego, a czasem i nazwa majstra cieśli, najczęściej Polaka, dowód, że tym rzemiosłem zajmowali się zawsze chętnie rodacy.

— Więc mówisz pan, że jest jednak oddzielny nasz odcień w budownictwie?

— Nadzwyczajnie słaby, zaledwie go można zwać odcieniem, ale istnieniu jego zaprzeczyć nie można i, przypuściwszy postępowy rozwój, może i my naznaczyliśmy ślad w dziejach arcy-sztuki, która obecnie na Zachodzie obniża coraz bardziej artystyczne znaczenie.

— Pomyśleliśmy o chatach, a zabudowania?

— Oczywiście stajenka, jeśli nie na cztery, to przynajmniej na parę szkap, stodółka, obórka, chlewek. Spichlerz chłopek ma najczęściej na górze w chacie; zboże w ziarnie na polepę zsypuje. Do tego ogródek z płotem żerdzianym, oplecionym u wierzchu cieraniem. Pod oknami od ulicy, od której nie dawałbym

wejścia, tylko od podwórka, także ogrodzonego, zasadzimy lipy, jarzębiny, kalinę, w której czerwone korale lubią stroić się tak dziewczęta i chłopaki.

— Wszystko to wybornie... a teraz koszt mniej więcej?

— W Gierzejach, których bory, dzięki Bogu, nie są tak bardzo przetrzebione i budulcu nie brak, chata sama kosztować będzie od sześciu do ośmiu set złp.<sup>1</sup> Takich chat wystawić trzeba przynajmniej dwadzieścia, zdaje mi się.

— Więcej.

— Dodawszy do tego zabudowania, kilkanaście dwojaków albo kilka czworaków dla dzisiejszych kopiarzy<sup>2</sup>, a następnych wyrobników czy tam parobków, koszt oczywiście wyniesie kilkadziesiąt tysięcy. Jednak, jakeś pan sam powiedział, jest to pieniądz nie tylko nader uczciwie, ale i nader pożytecznie wydany, na którym pod każdym względem korzyść dla właściciela. W chatach zaś obszerniejszych, wygodniejszych, gdzie na podłodze cielęta, prosiaki, a często ich rodzice, zwłaszcza też przy drugich gościć nie będą tak za pan brat jak dotychczas na klepiskach; gdzie zimą i latem okienko da się uchylić i swobodniej można odetchnąć, zdrowsze i silniejsze plemię będzie mieszkało, dla którego i pracować, i zarabiać, choćby tylko z tego względu, będzie już łatwiej.

— Zawsze jednak tak jak cała dzisiaj umysłowo pracująca gromadka w rozlicznych kierunkach i pan w swoim fachu skłaniasz się, o ile możliwości, ku klasie niższej, dbając o jej dobro i postęp... a tracisz z oka wyższą, szlachecką, właścicielską, którą *in statu quo*

**1 Lat temu kilkanaście. Dziś w stronach nawet borzystych kosztowałyby znacznie więcej. (Przyp. autora.)**

**<sup>2</sup> zagrodników, odrabiających pewną liczbę dni za wyznaczone w kopach zboże.**

zostawiając, wszyscy macie już prawie za konającą.

— Za konającą, niechże Bóg broni, ale za chorą i potrzebującą lekarstwa — bez zaprzeczenia... I powtarzam, że jedynie można pokrzepić i podnieść możliwszy stan rolniczy, który zawsze jądro bytu naszego stanowił i stanowić będzie, przez wzmocnienie, oświecenie i uprawnienie tej uboższej, włościańskiej, małoletniej braci, złączonej z nami najspojniejszymi związkami plemienia, krwi, języka, obyczajów i religii. Tym samym i do średniego stanu, złożonego dotychczas po największej części z krajowców Żydów, od kilkuset lat zamieszkujących z nami razem, i z napływowej warstwy z Zachodu, której mała liczba osiadła u nas, a wielu, spanoszywszy się, najczęściej zarobiony grosz wywożą i wracają do swoich, przybyć muszą świeże, swojskie żywioły, których w średnim stanie zawsze było niewiele; a i te znikają coraz bardziej.

•— Sądziś więc pan, że z chłopstwa ukolonizowanego czy uwłaszczonego zaczęliby się ludzie brać do rzemiosł, do pracy i zarobku po miastach?

— Ma to miejsce i w obecnym stanie rzeczy, tym bardziej w następnym.

— Nie wierz pan temu, sądziś teoretycznie, nie znasz z bliska chłopca, dla którego żebyś nie wiedzieć jakie ustąpienia i ułatwienia robił, woli nędzę niż pracę, nie przemoże tradycyjnych narowów lenistwa i pijaństwa.

— Łaskawy panie... Gdyby nawet tak było, to mniej się dziwić trzeba nieokrzesanym chłopcom niż okrzesanym panom, co też same wady i przymioty najniezawodniej posiadają, a zwłaszcza też ostatnią, której jednak nie można brać za zupełnie jedno i to samo z tradycyjną cnotą gościnności.

— Tak surowo i ostro patrzeć na rzeczy moż-

na tylko w gawędce. Zastanowiwszy się praktyczniej, uwzględnivszy wiele ubocznych przyczyn, wpływów, koniecznie przybędzie do sądu więcej pobłażania.

— Bez wątpienia, ale musielibyśmy przejść znów w inny rodzaj rozmowy, bardziej szczegółowej.

— Co zaś do domniemanej pociechy dla mieszczaństwa z chłopów — wtrącił Beleński z lekkim uśmiechem, co mu już poprzednio krył się pod wąsami — chcesz pan stworzyć proletariat, którego wzrost tak opłakują na Zachodzie, a którego rozwój w rolniczym kraju byłby może jeszcze szkodliwszy.

— Dodam nadto • — odrzekł Paweł — że chłop nasz nawet ma jakiś wrodzony wstręt do łyków i że we wszelkiej kwestii zmiany społecznej są do przewidzenia złe następstwa przy dobrych. O to więc dbać trzeba, żeby dobre przeważały; ze złymi łatwiej da się poradzić.

— *Somme toute* <sup>1</sup>, panie Sarmiewicz, na wiosnę zabieramy się do budowania chat i zabudowań i powoli z Gierzejów zrobimy wieś porządną, do czego pomoc pańska będzie mi nieodzownie potrzebna. Widziałeś pan sam, co to za rudery i czy podobna nie zaradzić naprzód.

— Najoczywiściej.

— A jednak mimo moich najlogiczniejszych dowodów i pańskiej interwencji żona i wszystkie kobiety darować mi nie mogą, że się opóźnimy z wystawieniem kaplicy! W złą chwilę jakąś zrobiłeś pan ten pejzażyk akwarelami i pokazałeś im. Suszą mi głowę od rana do wieczora — rzekł zwolna, przymrużając oczy, a mimo to badawczo przyglądając się Pawłowi.

**i ogólnie biorąc.**

Rozmowę tę przerwał dźwięk fortepianu z sali i uroczy głos kontraltowy, śpiewający *Pochwałę Iez* Szuberta<sup>1</sup>. Paweł zarumienił się i mimo woli odwrócił oczy od badawczego, zmrużonego wzroku Beleńskiego, który z lekkim uśmiechem pokręcał węża i zapytał, każdy wyraz wymawiając z wolna a dobitnie:

— Wszak prawda, panie Sarmiewicz, że odkąd pan słyszałeś żonę moją śpiewającą za panięńskich czasów w Gierzejach, głos jej nie tylko teraz nie stracił, ale zyskał na pełności, okrągłości i ekspresji?

— Co do ekspresji, zgoda; ale co do samego brzmienia, różnicy nie znajduję — odparł Paweł czując, że cośkolwiek wypada odpowiedzieć, a niekoniecznie zaraz zgodzić się w zdaniu.

— Oj, to źle! Gotowa by się żona zmartwić, gdybym jej powiedział, że nie widzisz pan postępu w ulubionej jej rozrywce.

— Żona pańska ma tak piękny głos, tyle w nim uczucia i wyrobienia, że starczyłby nie tylko za rozrywkę domową, na dyletantyzm amatorski, ale dla prawdziwej artystki. Dziwi mnie, że nie daje się słyszeć nigdzie, tak jak wiele innych dam, znacznie słabszym, mniej wyrobionym głosem obdarzonych — rzekł Paweł, spokojnie już patrząc na Beleńskiego.

— Zmiłuj się pan, panie Sarmiewicz, nie poszepnijże jej tej myśli. Kobiety zaczęłyby mi znowu suszyć głowę, tak jak o kaplicę. A kobietom trudno odmówić, zwłaszcza mojej żonie, której dotychczas nie sprzeciwiałem się w niczym. Rozpoczęłyby się u nas schadzki, próby, koncerta. Pewnie by także Karolci zachciało się śpiewać, a może i pani Celestynowej. Trzeba by uciekać z domu, a nasłuchawszy się aż nadto hałasów za kawalerstwa mego, po ożenieniu polubiłem spokoj-

**i jedną z popularnych pieśni słynnego kompozytora austriackiego Franciszka Schuberta (1797—1828).**



liejsze pożycie, ciąg jednostajny wrażeń rodzinnych, łowem, tę, jakbyście ją nazwali, poezją domu, który aki anioł jak moja żona potrafi zamienić w prawdziwą świątynię, a której wdzięku mimo całej pojętności nie potrafisz zrozumieć.

— Znając państwa oboje — łatwe to do pojęcia.

— Kompliment, do jakiego nie sądziłem, żebyś pan był tak zdolny *ex abrupto*<sup>1</sup> — wtrącił Beleński s uśmiechem, nie odstępującym go podczas całej rozmowy.

Fortepian zabrzmiał znowu — i jakiś etiud<sup>2</sup> Szopenowski przepłynął marząco po klawiszach.

— Czy pan lubisz muzykę? — zapytał Paweł.

— Dosyć, chociaż wyznam, że się na niej tak bardzo nie znam i nie rozumiem, ale kiedy mi co żona zagra albo zaśpiewa, to mi się nadzwyczaj podoba. Mam bo dziwne gusta i czasami kobiecą prawie tkliwość mimo postawy, jak pan widzisz, wcale nie zniewieściałej. Lubię, na przykład, ten rodzaj muzyki: słyszysz pan, jak się tam drze mój syn?

— Henryś! — zawołał — i wbiegł z krzykiem chłopczyna czteroletni z długimi lnianymi włosami, wielkich niebieskich oczu, jakby miniatura matki, jedyne dziecię Beleńskich. Wziął go na kolana, pohnętał, pogładził jasne loki. Uśmiechając się i odpowiadając na dziecinne piskliwe szczebiotanie, rzekł znów zwolna do Pawła po francusku:

• — Nie jestem, broń Boże, rygorystą. Owszem, w moralności mojej dosyć pobłażający, ale nie rozumiem znowu tych ludzi, co po krótkim pożyciu obojętnieją dla żon, lekceważą je i uciekają z domu, aby gdzie indziej szukać rozrywek. Daję panu słowo uczciwości, zakochany tak jestem w mojej, jakby pier-

**1 bez przygotowania, nagle.**

**2 utwór muzyczny do ćwiczenia się w grze.**

wszych dni po ślubie i gdybym, czego przypuścić nie mogę, był — dajmy na to — nieszczęśliwy w pożyciu, jak się to w tych czasach zdarza niejednemu, winę przypisałbym tylko sobie, a potem z najzimniejszą krwią palnąłbym sobie w łeb nie bacząc — o — na tego malca, którego także kocham nad życie. Wierzysz mi pan?

— Wierzę.

— Powiedz mi pan, ale bez obłudy, czy znając mnie kiedyś, wprawdzie dosyć powierzchownie, miałeś mnie za tak czułego, jakim ci się teraz wyjawiam? Szczerze, panie Sarmiewicz!

— Miałem pana zawsze za dobrego bardzo chłopca, nieco tylko za modnisią i hulakę — odparł Paweł, który na to szczere wyznanie Beleńskiego najzupełniejszą wzajemnością odpowiedział.

— Cieszy mnie, że się coraz bliżej poznajemy — szybko odrzekł Beleński — i że dają panu oczywisty dowód, czego wpływ dobrej kobiety dokazać może, kiedy z takiego kawała mięsa, jakim byłem bez zaprzeczenia, wyrobił się jaki taki człowiek, pragnący przynajmniej żyć i działać na tym świecie dla siebie i dla drugich. Dlatego też kocham bardzo tę kobietę, panie Sarmiewicz — rzekł z przyciskiem!

— Czy wolno przerwać to poważne *a parte* \*? — zagadnął dźwięczny głos i zza ciemnofioletowej portierki ukazała się Aniela. Zimowe słońce, wyraźnym a łagodnym blaskiem zaglądając w okno, oblało wdzięcznie kształtne i łagodne oblicze; złotawymi promykami zadrgało w jasnych włosach, pod którymi marzy gładkie czoło, tęsknią błękitne oczy.

„Cóż dziwnego, że się odrodził” — pomyślał Paweł nie mogąc oderwać od niej wzroku.

<sup>1</sup> na stronie.

- U mamy wielka narada nad jutrzejszymi toaletami do hrabiny; pan Celestyn gra ze Stasiem w bilard; książek mi jeszcze nie przysłano, do muzyki nie mam usposobienia, z Grzybińską i z panną załatwiłam się zupełnie... panowie zamknęliście się tutaj widocznie na pół dnia i zabraliście mi jeszcze Henrysia. Na drugi raz poradzę sobie i tak jak podczas wyjazdu waszego na wieś zacznę robić na kanwie, ale już nie ekran \ tylko czapeczki dla panów obu, żebyście panowie łaskawi byli i raczyli też czasem, nie tylko podczas obiadu, obdarzyć mnie kilku słowami — rzekła kobieta z uśmiechem przymuszonym, w którym, tak jak w oczach, przebijał odcień tęsknoty.

— Za obietnicę niespodzianek dziękujemy... za chwilowy brak dworskości przepraszamy naszą panią — odparł mąż grzecznie, którego ubodło, że go razem z Pawłem połączyła w wymówce i tak poufale odezwała się do obu.

„Człowiek poczciwy! nic dziwnego, że ją kocha nad życie. Dla tej marzącej, ognistej istoty trzeba duszy, co by z nią zgodniej spótczuła, pomarzyła, zachwycała się... Tęskno i nudno jej czasem w jej pięknym stroju i apartamencie, w tym spokojnym, jednostajnym życiu... jak ptakowi chciałoby się wyrwać z klatki i pobujać gdzieś aż pod niebem” — pomyślał Paweł, w którego sercu każde jej słowo odbijało się wrażliwie.

#### IV

Paweł zajęty był lekcją ze Stasiem, któremu nauka nie chciała iść do głowy, chociaż do figlów, gawędki,

<sup>1</sup> zasłonę od rażącego światła.

spostrzeżeń, do bilardu i do gier komersowych<sup>1</sup> nie brak mu było przebiegłości, filuterii i sprytu, co to często tak mylnie u młodych chłopców mają za zdolność wszechstronną. Kładą nawet na karb próżniactwa, niechęci ucznia lub też nieudolności nauczyciela opieszalszość w nauce, do pojmwania której albo chłopiec nie ma daru, albo też zdolność jego za wcześniej poszła w inną jakąś, pseudopraktyczną stronę i rozwijając się na niej, trudno jej zwrócić się do cierpliwego, szkolnego pobierania nauki. Wykładając mu, na przykład, język polski, daremnie Paweł usiłował obudzić w nim zastanowienie, wywołać jaką myśl z łepetyny zakutej — działał tylko biernie i machinalnie, powtarzając za panią matką pacierz i najczęściej pamięć, obejmująca wybornie wszystkie karty w partii preferansa, kilku reguł gramatycznych w żaden sposób zatrzymać nie mogła dokładnie. Męczył się nauczyciel, wpadał na najrozmaitsze koncepta ułatwienia mu i ożywienia przedmiotu. Mówiąc z nim, zdawało się, że te żywe oczy pojmują i przytomnie spoglądają; w parę godzin potem zapominał o wszystkim, a chłopczyzna mimo rozbisurmanienia i rozpróżniaczenia serce miał wyborne, śmiały był i naprawdę przywiązany do Pawła, któremu jednak niewczesne nauczycielstwo kością w gardle stało — i byłby je natychmiast porzucił, gdyby nie nawykł znów do codziennego widywania i uwielbiania w skrytości ducha oczu archanielskich. Nie wyobrażał sobie, jakby się mógł pozbawić tych ożywiających wrażeń i wzruszeń, których niewinnej tajemnicy, mniemał, że nikt nie zdoła odgadnąć. Tego dnia jednak głąbowatość i niepojętność ucznia zniecierpliwiła go zanadto, cisnął książkę o ziemię. Na szczęście, wszedł ktoś do pierwszego pokoju, wstał szybko od

**i gier towarzyskich, niehazardowych.**

stolika i drzwi otworzył mniemając, że to Beleński albo Celestyn, co swoim zwyczajem często go odwiedzali przed wieczorem.

— *Laudetur Jesus Christus!*

— *In saecula.* Jak się macie, ojcie Jakubie? Co tam słychać u kuma Szczepana, chrzestna córeczka wasza zdrowa, a Józiak co porabia? — zapytał wysyłając Stasia na dół.

— Ano źle słychać, panie budowniczy!... i u kuma Szczepana, i u Marcysi, a u Józiaka jeszcze gorzej!

— Siadajcież, ojcie pocziwy!... Cóż znowu tak złego?

— Ano, *ante omnia, dominatio vestra*<sup>1</sup>, przyszedłem w imieniu Józiaka zaprosić na pogrzeb Michałkiewiczowej. Onegdaj to kobiecisko, namęczywszy się, nakwękawszy, wyzionęło ducha.

— Biedny chłopczyna, ledwie cudem wynalazł kogoś krewnego — i znów jak dawniej zostanie sierotą.

— Był ci on od dawna przygotowany na to; cierpiąc na suchoty, tłała tylko biedaczka, a teraz przy fladze, wilgoci skończyła sobie... Chłopczysko przyzwyczał się do niej, pokochał i straszliwie boleje, chociaż, po Bogu a prawdzie, niby tam się nieco podłata po śmierci ciotki.

— Jak to?

— Ano zostawiła mu parę tysięczyn. Mógłby oto wyzwolić się na majstra, założyć sobie warsztacik jaki, wyszukać jaką hożą dziewczkę, ożenić się i oto otoczyć rodziną, której mu brak, a do której tak zawsze wzdychał, proszę pana budowniczego, gdyby na nieszczęście...

— Cóż, ojcie Jakubie?

— Ano — po prostu z mostu, gdyby mu w łeb nie zalazła kowalczanka, której znowu brat pański zalazł,

**i przede wszystkim, wasza wielmożność.**

Bóg wie za jakie trzy grosze. A oto, po chłopsku tak wszystko rozważywszy, pani Kontrolerowej nie powstało w głowie, żeby syna ożenić z Marcychną, a pan Marcin drwi tylko sobie — jak zwyczajnie młody — z przeproszeniem pana budowniczego.

— Tego znów nie przypuszczam, ale mówcie śmiało, ojcie Jakubie, proszę was bardzo.

— Niedawno oto spotkawszy na mieście Szczepaniaka, co mu się kilka razy kłaniał, wstydził się odkłonić mu. Zgryzło się człeczysko niepotrzebnie. Nie dziwię się panu Marcinowi, ale po co ano w takim razie łązić jeszcze na lekcję i durzyć dziewczyninę? Jużci, że to żona nie dla niego... czy nie lepiej ano zerwać raz na zawsze, szczerze i otwarcie, proszę pana budowniczego?

— Oczywiście, że by było lepiej, chociaż ręcę wam za Marcelka, że nie nadużyje zaufania kuma Szczepana.

— Ano o to nie ma obawy, proszę paniska! Marcychną, choćby nie wiedzieć jak się zadurzyła, jest sobie bogobojne i charakterne dziewczątko, ale można się obawiać czego gorszego jeszcze.

— Czegóż, na miłość boską?

— Pan budowniczy ano daruje, że otwarcie będę mówił, ale z takim uczciwym człowiekiem jak panisko to najlepiej tak z serca. Czy pan zna pana Jabłuszke i jego przyjaciela, Porucznika?

— Znam tego, co Marcelek od nich wynajmuje poikoik. Zajmuje się interesami wujenki.

— Ano, otóż to najgorzej, proszę pana budowniczego! Boże Panie spraw, aby to nieprawda była, ale widzi mi się, że ten pan Jabłuszko jak najgorzej prowadzi interesa wujence pańskiej, zaplątał ją w jakieś procesisko, zdurzył i kuma Szczepaniaka, który na ten proces pożyczyl wujence sporo pieniędzy; nie wiem tam

ile, bo od Szczepaniaka niczego się nie dowie, ale miarkuję, że sporo.

— Wujenka pożyczyła pieniędzy na proces od Szczepaniaka? Nie wiedziałem o tym nic a nic — odparł Paweł dziwiąc się nagle i marszcząc czoło. — Jeśli pożyczyła, to zwróci najsumienniej — dodał po chwili, przechadzając się niespokojnie.

— Ano to się wie, że odda, proszę paniska. O tym nie ma co mówić, ale coś mi się ochapia, że i panią Kontrolerowę także zmanili... dzień w dzień ją teraz Żydziska jacyś odwiedzają... Ano wywiadywałem się o tego pana Jabłuszkę, u którego stoi pan Marcin. Chociaż niby tak bardzo źle o nim nie słyszałem, wszyscy się zgodzili, że to matacz i żona także szachrajka... Ale tego niby Porucznika poznałem, toć on w naszym pułku za księcia<sup>1</sup> był dobozem, potem, że był dryblas, został tamburmażorem<sup>2</sup> i nigdy prochu nie wachał... Czy pan budowniczy zna go? widział kiedy?

— Nie słyszałem o żadnym Poruczniku... ale szczerze wam dziękuję, ojczy pocziwy, za te szczegóły... Czuję, że to prawda... Kiedy pogrzeb ciotki Józiaka?

— Jutro.

— Natychmiast pójdę do wujenki, Marcelka muszę odebrać od Jabłuszków, nie mogę pozwolić, żeby tam mieszkał... Bóg wam zapłać, pocziwy ojczy Jakubie! A niechże Pan Bóg broni, żeby pocziwy Szczepaniaczysko za dobre serce miał cierpieć jeszcze. Bóg was natchnął, żeście do mnie przyszli, nie bójcie się, nie będzie mu krzywda — mówił Paweł nadzwyczaj żywo i wdział palto, żeby natychmiast pobiec do Gulmańcewiczowej.

**1 za księcia Konstantego, w czasach Królestwa Kongresowego.  
2 starszym dobozem.**

— Ano, przepraszam pana budowniczego, ale mi się widzi, że zawsze jakoś lepiej ostrożnie niż prędko. Toćże panisku będzie łatwo wywiedzieć się dokumentnie o tym procesie i o Jabłuszce... Ano dopiero będąc pewnym swego, przestrzec i doradzić pani Kontrolerowej... A nuż mi źle powiedzieli, proszę pana budowniczego, toćże pomylić się można.

— Wujenka jest najpocziwsza... ale skryta nadzwyczaj i zawsze na tym źle wychodziła... Cóż trudnego oszustom czy łotrom tam jakimś podejść ją i odurzyć? Będąc rzeczywiście rozumną nie wie, że najrozumniejsza kobieta może pobłąkać się okropnie w rzeczach, o których nie ma wyobrażenia, i najniewinniej narobić złęgo.

— Ano, *sanctissima Veritas* <sup>1</sup>, *alominatio vestra!* Palisko kochane przyzna także, że pan Gulmańcewicz nie powinien dawać lekcji Marcychnie.

— To tam mniejsza! — odparł zamyślony Paweł. — Macie słuszność, nie powinien -- rzekł po chwili. — Ojczy Jakubie! mam do was prośbę, jak jej wysłuchacie, będę wam na zawsze obowiązany.

— Ano niech pan budowniczy, co chce, rozkaże.

— O tym, cośmy tu mówili, czy nikt nie wie jeszcze?

— Nikt.

— Ani kum Szczepan?

— Ano... jużci, przestrzegałem go tam nieraz, ale o Jabłuszce i o tym Poruczniku dowiedziawszy się dopiero w tych dniach, jeszcze się potem nie widziałem ze Szczepaniakiem i Bóg widzi, że przyszedłem oto najprzód naradzić się z panem.

— Bóg zapłać, pocziwy ojczy! Dajcie mi słowo, że nikt nie będzie wiedział, cośmy teraz rozmawiali

**i najświętsza prawda.**



\_> wujence. Może się to wszystko da jeszcze naprawić...

— Ano z duszy serca, panie budowniczy! A teraz, wygadawszy się oto, winszuję paniskowi, że z tej wilgoci i świeżyzny w nie dokończonym pałacysku przeniósł się pan tutaj do przyjaciół, co panu prawdziwie życzliwi. Jaśnie pani to zawsze mnie i Józiaka wypytywała o pana, jakby o brata rodzonego. Co to za porządna i bogata familia! I siostra jej,, ta panna, widzi się, tak samo poczciwa jak ona — rzekł zakonnik, z życzliwym uśmiechem przyglądając się Pawłowi. — Ano, jak to błogosławieństwo boskie widoczne i w tym życiu, i na tym świecie, panie budowniczy! Czasem oto obetrze się łzę sierocie, poda się mu rękę ino przez dobre serce, bez żadnej myśli o wdzięczności i nagrodzie, bo by w takim razie nie było dobrego uczynku. I oto ani się spodzieje, jak z powodu tego sieroty Bóg jakoś łaskawie ześle pomyślność i szczęście. W tym oto samym domu, gdzie pan budowniczy mieszka teraz, w tej stancyjce naprzeciwko, w oficynie na trzecim piętrze, rodził się Józiak Sierocki.

— Jak to? — zapytał zdziwiony Paweł, który tyle tylko wiedział o całym wypadku wynalezienia ciotki przez Józiaka co on sam i kum Szczepan. Pani Aniela, dotrzymując słowa zakonnikowi, chociaż nieraz z Pawłem o wspólnym protegowanym mówiła, nie naprowadziła jednak nigdy rozmowy na jakieś domysły o jego urodzeniu.

— Ano tak! jak Bóg w niebie, tak! Panisko ufa mi tak szczerze, i ja dam dowód panu, że mu ufam, i będę tak samo błagał o tajemnicę — odparł ojciec Jakub wyznając całą prawdę przed zdziwionym Pawłem. — Ach! to anioł z pani Beleńskiej — dodał napomykając, jak się szczerze zajęła Józiakiem i poprawieniem jego losu.

— Prawdziwy anioł! — zawołał z głębi piersi Paweł, którego zwilżonych od wzruszenia oczu nie mógł w zmroku dojrzeć zakonnik.

## V

Dwukonny karawan włókł się z Tamki ku Powązkom. Było kilku księży, między nimi ojciec Jakub. Za trumną szedł Józiatek, Maciuś, rudy Fidryczek, mały Stolarczyk niemowa, dwóch starszych chłopców od Szczepaniaka, eks-wiwandierka, trzech czeladzi u jednego majstra z Józiatekiem pracujących, Mateuszowa i kilka kobiet z domku, gdzie mieszkała nieboszczka.

W jednej dorożce jechała Grzybińska, gospodyni od Beleńskich, w drugiej kum Szczepan z Marcysią, w trzeciej Fidrykowa, co dawnemu czeladnikowi swemu na wpół darmo porządną, lakierowaną trumnę odstąpiła, w czwartej majster, u którego Józiatek teraz pracował. Na Krakowskim Przedmieściu złączył się z orszakami Paweł, który naumyślnie po to czekał w narożnej cukierni. Zoczywszy go zapłakany Józiatek podbiegł żywo i chciał pocałować w rękę, ale dawny nauczyciel nie pozwolił na to, nie wsiadł do ostatniej dorożki z majstrem i pieszo poszedł z nimi aż na Powązki.

— Pocziwe człeczysko z tego pana budowniczego — mówił do córki Szczepaniak — nieobłudne i nie gardzi prostymi ludźmi... wlecze się, biedactwo, jakby czeladniczyzna jaki, a głowa, mospanie, nie od pozłoty. Choroba tam by chciał kto inny chlapać się tak po błocie!

— Pan Paweł pewno bardzo dobry i sprawiedliwy w gruncie, ale pani Kontrolerowa powiada, że wygląda zawsze, jakby się nie wyspał, i pani Kontrolerowa ciągle narzeka, że taki niedbały wedle siebie.

— A jużci! Przed wami trzeba ino mizdrzyć sit, cęcić się, forfantować<sup>1</sup>, wylalać się, to wam się zara w oko wpadnie, a niech ino człeczysko uczciwe, t< ani weź!... Choroba tam kto dogodzi babie, chyba die beł, co kiedy sam nie może, wysyła babę. Nie mówi tego do pani Kontrolerowej, bo to poczcliwości kobie ta, ale tak sobie... Marcychno! — prawił kował, którego humor od niejakiego czasu pogorszał się bardziej.

— Proszę tatunia, czy to prawda, że Michałkiewiczowa kupę pieniędzy Józiakowi zostawiła... Fidrykowa powiada, że bardzo dużo? — zapytała córka, chcąc na inny przedmiot naprowadzić rozmowę i rozerwać złe myśli staremu.

— Kupę jak kupę... ale jużci zawsze się tam mu okroi. Chłopczyśko będzie oto mogło przynajmniej pomóc sobie na tym świecie. Szkoda, mospanie, oto kobiety, dobre to było, ciche, łagodne, nosa nie zadziarała; nie miałać bo i z czego, ale mogłaby sobie pożycz jeszcze bez niczyjej krzywdy kilka czasów.

— Prawda, tatuniu! Miła bardzo kobiecina, a tak przywiązana do Józiaka jak matka — odparła Marcysia, której piękne oczki zwilżyły się nagle.

— Tak to, moje dziecko... człek ani wie, kiedy mu sądzono... I dobrzy, i źli wynoszą się przez gwałt na tamten świat, trudno, trzeba iść każdemu!... Choroba by tam komu żal było życia, ino tych, Marcyś, co się tu zostawia, tych pewnikiem żal porzucać — odparł stary odwracając nagle twarz od córki, bo czuł, jak mu łzy kapały na wasy.

\*

Któregoś wieczoru, mimo zawiei straszliwej, Michałka mniej kaszlała, niby to lepiej się jej zrobiło i sama

**i popisywać się elegancją, szykiem.**

namówiła koniecznie znużonego Józika, co jej czytał książkę, żeby się spać położył. Józik nie chciał iść do swej izdebki, tylko zdrzemał się oparłszy głowę na stoliku i wyciągnawszy nogi na kufrze. Wkrótce jednak zasnął głęboko i ciężki sen jakiś mający mu dokuczliwie. Zdawało się mu, że spada z ojcem Jakubem w dół bezdenny, słyszy nad sobą głos Michałki, który nań woła łagodnie po imieniu, jak to go słyszał na jawie, kiedy pierwszy raz ją zobaczył i wracał potem od pani Beleńskiej na Tamkę. Chciał odpowiedzieć, pierś go rozpierała, a nie mógł. Głos ten brzmiał coraz ciszej i smutniej; kiedy zamilkł, ocknął się Józik. Sądząc, że chora śpi spokojnie, cichaczem poszedł się położyć na swoje posłanie.

Nad ranem obudził go krzyk Mateuszowej, Michałka już nie żyła... osłabiona, schorowana, chociaż tak domagała się życia, bez męczarni dłuższego konania zasnęła na wieki... i poniosła do grobu tajemnicę urodzenia Józika, którą w przystępie boleści lub żalu, mimo najsilniejszego postanowienia pokuty, mogłaby może wymówić. Józik jednak tak jej żałował, jakby mu najlepsza matka umarła, a widok tylu życzliwych osób, co pospieszyli oddać ostatnią posługę jego krewnej, boleść jego podsycił tym bardziej. Mniemał, że odkąd ją znalazł, jakoś wszyscy łaskawszy dlań byli, że w oczach ludzkich już nie czytał tego lekceważenia za sieroctwo, które mu kiedyś Fidrykowa boleśnie **Tłała** uczuć. A chociaż Marcysię, Pawła, ojca Jakuba, Szczepaniaka, Maciusia i tylu innych życzliwych widział koło siebie, chociaż ich kochał z całym wylaniem pocziwego serca, uczuł się jednak jeszcze samotniejszym niż przedtem, kiedy się wyniósł z Głębokiej ulicy i nie miał nikogo na całym świecie szerokim, co by go krewnym mógł nazwać.

Karawan zatrzymał się przed cmentarzem. Maciuś z czeladzią na ramionach ponieśli trumnę do grobu... zaśpiewano *Wieczny odpoczynek...* Józiak płakał jak dziecko, jak dziewczyna, kiedy jej duszą jasną, sercem niewinnym po raz pierwszy wstrząśnie boleść głębsza. Rzucili po garści wilgotnego piasku na wpeł ze śniegiem i cała gromadka, wkrótce zwracając się ku bramie, wprowadziła prawie gwałtem Józiaka, który klęczał nad grobem. Po chwili tylko wiatr wilgotny wył pośród katakumb i nagrobków, stada wron, kawek obsiadły drzewa odarte z liści i wierzch muru, jakby witały krakaniem schorowane, martwe ciało, nowoprzybyłe do wiecznego spoczynku, niegdyś tak piękne i kształtne, z którego dusza oczyszczona w cierpieniu uleciała ku górze, błogosławiąc sierotę i jego przyjaciół za pogrzeb uczciwy, na jaki może niedawno nie spodziewała się zasłużyć...

Szczepaniak chciał koniecznie zabrać Józiaka, który idąc między Pawłem, ojcem Jakubem i Maciusiem serdecznie podziękował staremu, bo nie chciał opuścić towarzyszy, zwłaszcza też Pawła, co w paltoniku opiętym, w cienkim obuwiu stapał energicznie po śniegu, wśród słoty i zawiei. Jak wielu ludzi wątłej budowy i niewykształconych nawet sił fizycznych, mniej dbał o wygodę i prędzej zniósł niewygodę niż wielu sążnistych, muskularnych siłaczy. Rozogniony myślą jedną, zakłopotany drugą, życzliwy dla Józiaka, co go coraz bliżej obchodził, nie zwracał nawet uwagi, że z przemokłego kapelusza woda dziurkiem spływała mu na twarz, że mu przemokły suknie aż do koszuli; szedł szybko jak nieraz w pokoju swoim, kiedy przerwawszy robotę bił się z myślami rozmaitymi, gonił i rozganiał marzenia, a potem wracał do pracy jeszcze energiczniej.

Przy rogatekch Grzybińska, przyglądająca się zaw-

sze ze wzruszeniem Józiakowi, zaleciła mu, ażeby w tych dniach przyszedł do pałacu, bo znowu pewno znajdzie się robota. Kum Szczepan, ale z Marcysią i Fidrykową, pragnąc koniecznie, żeby do nich Józiak wstąpił i rozerwał się na chwilę u dawnych przyjaciół, uprosili Pawła i ojca Jakuba, aby z nim razem pojechali na Głęboką.

— Pan budowniczy już się tam nie rozgniewa, że go tak śmiało oto zapraszam do naszej chałupy... ale toć to wiadomo, że największe panowie i najrozumniejsze ludzkie zawsze są grzeczni siarczyście i nie pogardzają prostymi ludźmi... A choroba, proszę łaski pana, jak dawno już nie był pan u pani Kontrolerowej... poczciwości pani, chora trocha, twarz ma obwiązana. Marcychna z Jakubowa uprzyżyła jej tam ziół rozmaitych do materacyku, co go nosi na twarzy — prosił Szczepaniak.

— Pan budowniczy zawsze tak łaskaw, nie odmówi i teraz... a ojciec Jakub koniecznie — wtrąciła Marcysią.

— Zimno takie, pan lekko ubrany, trzeba się rozgrzać, a na Głęboką bliżej niż do pana. I wy, ojciec Jakubie, siadajcie z nami, pomieścimy się we dwóch dorożkach — dodała Fidrykową.

Paweł, po dowiedzeniu się rozmaitych szczegółów od zakonnika, wolałby nie iść do Szczepaniaka, ojciec Jakub musiał się spieszyć do klasztoru, ale że pragnęli sami, aby się nieco Józiak rozerwał, i wiedzieli, że bądź co bądź jasne **slipki** Marcysi pocieszą go na chwilę, a prócz tego Paweł rad był odwiedzić wujenkę, o procesie której miał w tych dniach wiedzieć najdokładniej, dali się więc namówić i wkrótce, zajęchawszy przed domek na Głębokiej, zasiedli przed tym stołem dębowym, gdzie to rok temu rozlegał się gwar wesoły i brzmiały kolędy w wilię Bożego Narodzenia.

biedząc wszyscy o małomówności Pawła nie dziwili *lq*, że zapaliwszy cygaro siadł w kącie i odzywał się 'adko. Paweł zaś, ile razy spojrział na Szczepaniaka Marcysię albo na ojca Jakuba, zaraz stawała mu na łyśli pożyczka wujenki, i tak go to dręczyło, że wiocznie przykro mu było w ich towarzystwie. Wkrótce ożegnawszy ich pobiegł do Gulmańcewiczowej na górę, zastukał parę razy, drzwi mu nie otworzono, chociaż z ulicy widział światło na facjatce. Rad nierad eszedł i dopiero na Nowym Mieście znalazłszy doożkę, przemoczony i zmartwiony wrócił do domu. \ na facjatce odbywała się tymczasem walna narada riędzy Gulmańcewiczową a Jabłuszka.

— Pani Kontrolerowo dobrodziejko, daję najświęsze słowo honorowe, że jestem nie wiedzieć kim, czy ue powinniśmy wygrać koniecznie. Wszystko przenawia za nami, a najprzód słuszność sprawy... jak to już nie tylko ja, ale pan adwokat tylokrotnie pani dobrodziejce nadmieniał.

— Tak się zdaje przynajmniej, panie Baltazarze! Błagam Pana Boga, żeby tak było... nie wiem skąd, jednak mam złe przecucia.

— Tak zwykle bywa, najłaskawsza pani, przed chwilą stanowczą... a przyzna pani dobrodziejka, że :ym przyjemniej będzie po złych przecuciach wygrać ;praweczkę, dusić Szpagatowicza albo zagarnąć mu suchą Rękawkę, albo też geldeczku okragłą sumkę, pani Kontrolerowo! Dowiedziałem się, i przykro mi, :e nachodzi panią zawsze Chałek Barbones, z którym adziłem-jednak najpokorniej pani dobrodziejce, żeby rię w żadne konszachty nie wdawała.

— Nie mam się co wypierać, aktualnie był u mnie nowu kilka razy, panie Jabłuszko... i sprowadził mi rócz tego kilku innych Żydów proponując mi ciągle

odstąpienie interesu, ale za sumę tak niską, że to tylko śmiechu warte.

— Pewno Żydostwo, najłaskawsza pani, gniewając się, że to nie oni sami zwąchali u Mośkowej Sznapsfogel taki interesik, muszą w najgorszym świetle przedstawiać obecny stan sprawy — i nawet, jestem nie wiedzieć kim, czy nie czernią mnie samego przed panią dobrodziejką.

— Choćby i tak było, to łatwo przecie domyślić się, że intrygują, aby nastraszyć mnie i zniewolić do odstąpienia sprawy jak najtaniej.

— Bodaj to rozumna kobieta! — zawołał zachwycony pan Jabłuszko. — Pochlebiać pani dobrodziejce ani myślę, ani potrafiłbym... bo pani masz zanadto rozumnego rozumu, żeby nie poznać się natychmiast na pochlebstwie... ale, na moją honorową uczciwość, rozumniejsza i domyślniejsza pani dobrodziejka od trzech mężczyzn przynajmniej. Prosta rzecz, a to właśnie najtrudniej każdą prostą rzecz zrozumieć...

— Barbones nie ośmieliłby się nachodzić mnie tak często, gdyby na nieszczęście nie był kredytorem moim i poczciwego Szczepańskiego, który dwukrotnie zaręczył za nas, jak mi to sam doradzałeś, panie Baltazarze! I przyznam się panu, że to właśnie najbardziej mnie niepokoi. Doliczając zaręczenie winniśmy mu prawie do dziesięciu tysięcy. U takiego człowieka suma ta znaczy niemało i gdyby, przypuściwszy, czego Boże broń, nieszczęście mnie spotkało, a nie byłoby z czego oddać Szczepańskiemu, w ziemię bym się schowała albo umarła ze wstydu, bo, pomyśl pan sam, panie Baltazarze, co by to była za okropność.

— Najniewątpliwiej, pani Kontrolerowo dobrodziejko, najokropniejsza okropność, gdyby przypuścić można, że sprawę przegramy... ale o to najmniejszej nie mam obawy, cienia wątpliwości, pani dobrodziejko!



zresztą, przypuśćmy już nawet najstraszliwsze nieszczęście; wszakże w każdym razie zostaje pani dobrodziejce emeryturka, z której powoli uiścić by się można z zaciągniętego dłużku i nie bez tego, żeby jeszcze nie wynalazły się jakie fundusiki.

— Żadnych, panie Jabłuszko!

— Ależ to się tylko tak mówi, najłaskawsza pani! Daję najświętsze słowo honorowe, pewny jestem tryumfu, jak pan adwokat powiada... Czując tylko wygórowaną delikatność i najskrupulatniejszą skrupulatność co do zaciągniętego długu i zaręczeń Szczepaniaka, ośmielę się przypomnieć pani, że nie na czcze słowo, nie na wiatr ani też ryzyko robiliśmy tę pożyczkę i że zawsze jesteśmy odpowiedzialni za nią, najłaskawsza pani! Wchodzę atoli w najrozsądniejszą myśl pani dobrodziejki, że zawsze lepiej być ostrożnym i przygotowanym na wszystko, wiedząc nawet, że się wygra nazajutrz.

— Tak jest, panie Jabłuszko!

— Cieszy mnie niesłychanie, że potrafiłem odgadnąć myśl pani dobrodziejki... Tak jest, pani dobrodziejko, strzeżonego Pan Bóg strzeże, zawsze i wszędzie. Szczepaniak istotnie wyświadczył nam wielką przysługę i znając z tak pięknej strony panią dobrodziejkę wiem, że mu pani pozostaniesz obowiązana na zawsze.

— Suponuję, że o tym wątpić nie godzi się.

— Otóż, najłaskawsza pani, pan Marcelli, tak zacny, przyzwoity i moralny skądinąd młodzieniec, nie wiedząc zapewne, jak dalece zachodzi mogą zobowiązania pani dobrodziejki względem Szczepaniaka, raz mu się nie odkłonił na ulicy, teraz znowu zaczyna, zdaje mi się, lekceważyć zanadto córkę Szczepaniaka, odezwał się o niej kiedyś u nas z żarcikami, po których najłatwiejsza z najłatwiejszych odgadnąć, że ją sobie ma za nic... Wszystko to dobrze, ale byłoby niedobrze,

przyzna pani, żeby się to doniosło do Szczepaniaka. Dlatego też zdaje mi się, że by nie było nic złego, gdyby pan Marcel z właściwym sobie wdziękiem usiłował być znowu grzeczniejszym, znacznie grzeczniejszym dla panny Szczepaniak. Nie idzie za tym, aby się zobowiązywał do czegokolwiek, ale tak, niby półgębkiem, rozumie pani dobrodziejka? Młodemu, wysocce salonowemu człowiekowi jak pan Marcel to nie trudno.

— Nie rozumiem, dokąd pan zmierza.

— Do ostrożności, pani dobrodziejko. Przypuśćmy, że Szpagatowicz, wynalazłszy diabelskie kruczki jakieś, opóźnić się będzie z wypłatą, Szczepaniak, ujęty grzecznością syna pani dla córki, pozostanie nadal wierzyicielem cierpliwym jak dotąd. Wszak prawda?... Czemu najniewinniej obrażać człowieka, który nam może jeszcze być potrzebny? Nie wtajemniczając pana Marcela w cały bieg interesu, mówiłem z nim o tym wszystkim ogółowo; zdaje się, że mnie pojął i może usłuchał. A pani dobrodziejce, sądzę, że ośmielam się zawsze złożyć dowód wysokiego szacunku i przyjaźni prosząc, aby stwierdziła macierzyńską powagą rady, com dał po przyjacielsku panu Marcelowi. Na grzeczności wszak jeszcze nikt nie stracił.

— Zapewne, panie Baltazarze... ale taka grzeczność może być niebezpieczniejsza dla Szczepańskiej niż dla Marcelka.

— Pani Kontrolerowo dobrodziejko, zanadto piękne odebrał wychowanie, aby miał kiedykolwiek uchybić sobie, a zresztą idzie tu tylko o to, mówiąc najszczerszą niby prawdę, aby przedwcześnie nie pozbawiać Szczepaniaka nadziei, że córka jego mogłaby zostać synową pani dobrodziejki, czego znowu skądinąd sam bym nie doradzał, bo choćbyśmy nawet nie mieli wygrać Wilczego Dołku, poznawszy bliżej pana Marcela

potrafiłem go ocenić i jestem nie wiedzieć kim, czy najpiękniejszej partii zrobić nie może... bywając zwłaszcza w wyższych towarzystwach, gdzie tak dalece jest pożądanym — rzekł Jabłuszko, któremu oczki drżały nadzwyczaj szybko spod okularów i złośliwy, brzydki uśmiech przebiegł niepostrzeżony po wąskich, zaciśniętych wargach.

— Jednakże, panie Baltazarze, jako matka, ani chcę, ani mogę przepisywać synowi memu żadnej roli w tym rodzaju i choć już sama przedtem dałam mu do zrozumienia, żeby dla Szczepaniaka okazywał więcej grzeczności, jednak wyraźnie nie potrafiłabym rozprawić z nim o tym przedmiocie.

— Jak najprawdziwsza prawda i najsłuszniejsza słusność, pani dobrodziejko... Racz więc pani Kontrolerowa nie brać mi za złe, że go sam poinformowałem w tej mierze. Gdybym zaś uważał, że potrzeba jeszcze kogoś, czyje zdanie większy wpływ wywrze na nim, wezwę na pomoc Domci. Pan Marcel jakoś słucha jej dosyć... a ona po prostu w nim zakochana, daję najświętsze słowo honorowe, zakochana... — dodał z przykrym uśmiechem Jabłuszko poprawiając okulary i robiąc szczękami niecierpliwie.

— Widać, miłość to bezpieczna, kiedy sam mąż mówi tak o niej z uśmiechem.

— Najbezpieczniejsza, pani Kontrolerowo dobrodziejko, najbezpieczniejsza — odparł Baltazar cieńszym głosem niż zwykle. — Ale stąpa ktoś po wscho-  
dach, zapewne pan Marcel, bo jak wspomniałem pani dobrodziejce, wiedziałem, że dziś ma być na lekcji i zarazem odwiedzić panią dobrodziejkę... Tak więc, łaskawa pani Kontrolerowo dobrodziejko, spodziewajmy się, że bez zawodu wygramy, ale przygotujmy się na wszystkie ewentualności, jak powiada pan adwokat, przygotujmy!

Kiedy szanowna para toczyła na górze taką rozprawę, którą przerwało przybycie Marcelka, na dole tymczasem Józiak po odejściu zakonnika ugoszczany serdecznie przez dawnych przyjaciół, co go puścić nie chcieli, wspomnieniu Michałki jeszcze przypisywał taką życzliwość kowala, grzeczność Fidrykowej, a zwłaszcza też łaskawość panny Marcjanny, co prawie tylko do niego i dla niego zwracała się z każdym wyrazem i spojrzeniem. Poczciwa dziewczyna chciała, o ile możliwości, osłodzić mu zmartwienie, rozmarszczyć młodą twarz, tak smutną i mizerną, że się aż serce z litości krajało. Kum Szczepan zaczął mu radzić, jak sobie ma począć z pieniędzmi, które z łaski Boga otrzymał w spadku. Opowiedział, że sam, od mniejszego znacznie rozpoczynając, dorabiał się oto pomaleńku coraz więcej, wystawił dominę, i przynajmniej może córce zostawić po sobie tyle, że cudzej łaski nie będzie potrzebowała.

— E, wiesz co, Józiak — zawołał wreszcie stary, któremu rzeczywiście współczucie dla Stolarczyka, chęć otrząśnięcia złego humoru i herbata z harakiem żywiej rozwiązała język — po jaką chorobę masz się tam tłuc Bóg wie gdzie w mieście. Na Tamce będzie ci teraz markotno, bracie! Wróć się oto do nas na Głęboką; tymczasem będziesz mieszkał z Maciusiem w izdebce przy kuźni i na mieszkanie nic nie wydasz, z nami jakoś rozerwiesz się, chłopaczku! Toćże my wszyscy życzliwi i przywiązali do ciebie, jakby, mospanie, nie przymierzając do krewniaka, do brata. Niech cię tam najjaśniejsze piorunczki nie zatrzasną, że Bóg wie za jakie trzy grosze rozżaliłeś się oto na mnie przeszłego roku, aleć teraz, kiedy się przekonywasz, żeśmy się

nigdy nie zmienili i sam znowuś został na świecie — wróć do nas, Józiaku, wróć!

O prawdzie tego, co mówił kowal, łatwo było przekonać się Józiakowi spojrzawszy na wszystkich obecnych. Olbrzym jąkała, kiwając głową, wyszczerzył w uśmiechu całe dwa rejestra wielkich jak u konia a białych jak u wyźła zębów i ścisnął mu rękę pieszczotliwie, aż mu palce trzeszczały; Jakubowa, marmrocząc pod nosem, zawołała głośnym basem spod pieca:

— Przenajświętsza Panno! Co macie, panie Józiak, po takiej słocie wracać aż na Tamkę,- pościelę wam oto świeżego sianka, zostańcie dziś u nas!

Fidrykowa obcierała twarz z potu, a oczy z łez, do których coraz skłonniejsza była babina. I na Marcysi rzęsach zawisły dwie błyszczące kropelki, kiedy jej tatunio wspomniał o braterskiej życzliwości.

Serce chłopczyny, miotane żalem głębokim, wdzięcznością i wzruszeniem, biło mu w piersiach gwałtownie... Drzwi z lekka skrzyknęły i wszedł Marcelek taki jakiś grzeczny, potulny, pokorniutki i przy tym wyświeżony jak nigdy. Ukłoniwszy się grzecznie wszystkim zwrócił się natychmiast do Józiaka i wzięwszy go za rękę, powiedział kilka słów jedwabnych współubolewania i pociechy. Woń paczuli i milfleuru rozeszła się po izbie, siadł skromnie przy końcu stołu i zaczął przeproszać kuma Szczepana i Marcysię, że się spóźnił nieco na lekcję, ale mniemał, że nie tak prędko powrócą z pogrzebu. Rumieńce gwałtowne oblały twarz dziewczynki, oczy jej spojrzały cudnie i wdzięcznie; znów w spojrzeniu Józiaka błysnął ponury, bolesny wyraz, który tylko Maciuś jeden dojrzał, i ścisnął mu rękę pod stołem.

Józiak niezadługo odszedł — daremnie go chcieli 'atrzymać.

— Nie później jak do jutra, panie Sierocki! — zawołała za odchodzącym Marcysia.

— No, chłopaczku, choroba tam z ceregielami,, wróć oto do nas na Głęboką! — mówił żegnając się z nim kum Szczepan, udobruchany jeszcze bardziej po przybyciu Marcelka.

— Zobaczę w tych dniach, kochany kumie! — odparł sierota całując go w ramię ze wzruszeniem i kiedy wracał na Tamkę, uczuł się tak samotnym na świecie, tak nieszczęśliwym, że płakał gorzko, jakby stał ciągle nad świeżym dołem, w którym znikła pod śniegiem i piaskiem trumna Michałki.

## VI

Na periodycznych wieczorkach u Celestynów bywało sporo możniejszej i modniejszej młodzieży; rozmaite mamy chętnie tam napływały z córeczkami. Pod względem gościnnego przyjęcia, przyzwoitej zabawy i wielu innych światowych wymagań nic prawie nie można było zarzucić tym zebraniom. Plotkami, tak u nas niewyczerpanymi w pomysłach, chyba płeć nadobna dotknęła czasem coś lub kogoś; mężczyźni, których u nas nie można także obwiniać o brak usposobienia w tej mierze, z jednozgodną wstrzeźliwością języka odzywali się o całym domu. Wielbili piękność Anieli; przyznawali przystojność jej siostrze, przyzwoitość Celestynowi i Beleńskiemu; wybaczyli roztargnienie Celestynowi, może przez wzgląd na sumienne wypełnianie obowiązków cześnika, według niego zgodnych z Prysznicowską kuracją — i nie zwracali uwagi na Pawła, nie zawadzającego nikomu. Jak to kobiety potrafią — tak i młodzież gryzła się oczywiście pomiędzy sobą i z właściwą nam gotowością szeptała kobietom złośliwe wieczorowe postrzeżenia o śmieszno-

ściach lub wadach współtowarzyszów. Najczęściej jednak dostała się łątką Gulmańcewiczowi, którego laskowanie, francuszczyzna, obejście, perfumy i pomady nie podobały się jednym i raziły drugich.

Karnawał tego roku był długi — wieczory tańczące już miały skończyć się, mimo to cel ich główny nie dał się osiągnąć. Przy nadstotysięcznej i przystojnej pannie Karolinie kręcono się dosyć, nikt jednak nie przybrał wyraźniejszego charakteru. Matka, siostra,

szwagier śledzili najbaczniej u wrażliwej panny symptomatu głębszego wrażenia, wychwalali lub ganili tych i owych, podsuwali myśli rozmaite — na'próżno! Celestynowa rozgniewała się nareszcie, że ją przywiozła do Warszawy. Na wsi przynajmniej zlatywali się konkurenci rozmaici; przy wrodzonej wrażliwości panna w każdym pokochała się troszczeczka, odkochała — i każdy musiał odbyć przynajmniej kwarantannę, nim planik macierzyński i marzenia o zięciu — spełżyły jakoś zawsze na niczym. Zgniewana i znudzona matka znając kapryśność córki, z której nadaremnie ją chciała wyleczyć, uwierzyła nareszcie i w brak szczęścia, nieraz tak łaskawego dla brzydszych i uboższych pańien, a nieprzyjaznego dla tak zwanych dobrych partii, co to nieraz do trzydziestki itd. w dziewiczym pozostają zawodzie.

Nareszcie, kiedyś na kilka dni przed przedostatnim wieczorem karnawałowym, panna zaczęła się nieco zamyślać, wzdychać, ubierać się rada w kolor czarny, zmizerniała nieco, pod pięknymi oczyma zasiniało bardziej; wieczorem, kiedy lampę zapalono, przenosiła się do ciemnego pokoju, aby w lubym mroku pomarzyć, powzdychać. Matka, przyzwyczajona do tych objawów uczuciowości podczas zabiegów kilku fortunniejszych konkurentów — niewiele sobie po niej obiecując, zaciekawiła się jednak, na kogo zwróciło się spojrzenie pełnoletniej kapryśnicy. Na przedostatnim wieczorze nader bacznie, przy pomocy Beleńskich, śledziła córkę: wrywano ją sobie do tańca i rozmawiano ustawicznie — ale żadnej poszlaki ani wskazówki bliższej co do kogoś zaszczyconego wyborem panny Karoliny. Po wieczorze smętne jej usposobienie zaczęło przybierać cechy rzewniejsze jeszcze. Beleński dostrzegł w jej spojrzeniu łez, kiedy jego żona śpiewała kiedyś ich pochwałę z muzyką Szuberta.



vlatka wiedząc, że by się na nic nie zdało wybadywać ją — gubiła się w domysłach.

W trzy dni po wieczorze, w pogodny ranek zimowy, Staś grał w bilard z Celestynem, który zastanawiał się, dlaczego już trzecią partię przegrywa, a wyrostek, korzystając z jego roztargnienia, grał raz swoją, to znów jego bilą. Po skończonej grze poprosił go swoim zwyczajem o kilka cygar dla Pawła, które zwykle sam, krztusząc się, palił na wschodach lub na górze w nieobecności mentora.

— Przecież zawsze częstuję sam cygarami — tego — akże — Sarmiewicza po obiedzie — odparł Celestyn, w złym nieco humorze po przegranej.

— Pokazałbym coś papie, ale się boję — wtrącił ozpieszczony pasierb, który miał do ojczyma najwięcej poufałości.

— Pewno znowu jaką — ten — nedorzecznosc?

— Ale musiałyby mi papa dać naprzód słowo, że orzed nikim nie powie.

— Cóż znowu — ten — ze słowem, pokaż, i kwi-a! — odparł Celestyn, który władzę kobiet coraz bardziej nad sobą uznając, nabierał coraz więcej ich drobiazgowej ciekawości.

Prowadząc go do okna chłopiec macał go tymczasem po kieszeni od surduta, czy tam nie tkwi cygarniczka.

— Pan Sarmiewicz kocha się w Karolci — szepnął mu nagle.

— Oszalałeś — ten — idź do diabła!

— Aha! oszalałeś... darmo to wzdychał po wieczorze przez całą noc! A dzisiaj znalazłem udarty kawałek listu — patrz, papa! Wszak to ręka pana Pawła?

Celestyn skwapliwie pochwyił świstek i zasadziwszy na nos podwójną lornetkę przeczytał kilka wierszy po francusku wyraźnie napisanych:

„...wybacz, aniele, takiej śmiałości, ale gdzie prawdziwe, święte uczucie przejmuje po raz pierwszy serce szczerze, niezdolne udawać, nikną z oczu czczone wymagania towarzyskie. Karolino! gdybyś miała gniewać się na mnie, nie uwierzysz, jakbym bolał...”

— Stasiu! — ten — głupiś — odparł ojcym chowając machinalnie świstek do kamizelki — to wyraźnie wypisane z jakiejś książki francuskiej.

— Aha! wypisane... Widziałem, jak pan Sarmiewicz pisał to wczoraj z rana, potem zamknął do biurka na klucz, a wieczorem, kiedy się kładłem spać, podarł i rzucił do pieca... ten kawałek leżał przy piecu, podjąłem...

— Albo to tylko twojej siostrze na imię — jakże — Karolina. Pewno pisał do jakiejś kuzynki, ciotki, siostry lub coś — ten — a najpewniej na żarty. Nie dobrze szpiegować kogo i zbierać papierki, może z tego powstać najniewinniej plotka jaka. Nużby się pan — jakże? — pan Sarmiewicz dowiedział — rozumiesz? Ja przed nikim nie powiem, ale niech cię Pan Bóg broni, Stasiu, żebyś przed kim słówko pisał. Idź na górę do książki, jeszcze parę godzin do obiadu. A gdzie — ten — cygarniczka? — zawołał macając się po kieszeniach.

— Musiał pewno papa w swoim pokoju zostawić — odparł pasierb czując ją w swojej kieszeni i wiedząc, że tam położył po wydostaniu kilku cygar.

Wyrostek odszedł, a Celestyn ze sali bilardowej, która była w mieszkaniu Beleńskich, ciężkim krokiem przeszedł na drugą stronę pierwszego piętra i zbliżywszy się na palcach do buduaru żony zastukał:

— *Entrez!* — odezwał się głos niecierpliwy. Celestynowa, jeszcze w negliżu, wygodnie siedziała na

**i wejść!**

icozetce, odwróciła oczy od książki francuskiej w świeżej okładce brukselskiej i niechętnie spojrzała na męża.

• — *Qu'est-ce qu'il y a à vos ordres?* Mów prędko! Jeszcze nie ubrana, a mam przed obiadem złożyć kilka wizyt.

— Jak będzie moja pani lepiej dysponowana, to powiem coś — ten — ważnego — wtrącił Celestyn prawie nieśmiało.

— Czegóż się tyczy to ważne? — zagadnęła żona ziewając.

— Ten — Karolci.

— *Voyons!*<sup>2</sup> Cóż takiego?

— Niepokoisz się, wiem, że zmizerniała i zamyślona od niejakiemu czasu, jak to na wsi, kiedy bywał — jakże mu? — Karmacki, baron Sztarkopf.

— Starkopf.

— Aha! Sztarkopf albo młodszy — ten — Bardasiewicz.

— Proszę — jak pamięć służy! Przypuśćmy, że się niepokoję. *Eh bien?*<sup>3</sup>

— Może i wiem, czemu taka roztargniona?

— *Eh bien?*

— Za — ten — zakochana.

— W kim?

— Można się mylić, ale zdaje mi się... Nie będziesz się gniewać?

— Nie.

— W Sarmiewiczu — to jest — ten — Sarmiewicz w niej — odparł Celestyn sięgając po świstek do kamizelki.

**1 czego sobie życzysz?**

**2 no więc.**

**<sup>3</sup> więc?**

— *Mon cher — allez vous en!*<sup>1</sup> Musiałeś po przysznicu zażyć gorętszego jakiego lekarstwa. Nie miałeś po co spieszyć się z tak ważną wiadomością... *adieu!*" — dodała z uśmiechem pogardliwym i wyszedłszy do sypialnego pokoju, drzwi za sobą zamknęła.

— *Angélique — ten — Angélique — un moment!*<sup>3</sup> — zawołał Celestyn, ale widząc, że nikt nie odpowiada, mruknął gniewliwie i poszedł na drugą stronę prosto do Beleńskiego, którego zastał w fotelu nad gazetami. Bez ogródki wypowiedział mu wszystko, co tylko Staś doniósł.

Beleńskiemu wydało się to z początku nieprawdopodobne, ale przeczytawszy świstek i zastanowiwszy się rzekł do Celestyna z wesołym uśmiechem:

— Zabronić mu nie można, żeby się kochał. Ze strony tak pocziwego i przyzwoitego człowieka nie mamy się powodu obawiać żadnej śmieszności. Ale to kwestia, czy spodobał się Karolci?

— Bóg — ten — wie — ale zamyśla się — mizernieje, jak to kiedy w Gierzejach bywał — jakże? Karmacki albo — ten — Mo — mo — Bogulewicz, albo...

— To jeszcze nie dowód... Może zamyślać się i mizernieć dla kogo innego. Zresztą *il n'y a rien d'impossible*<sup>4</sup>... zobaczymy!

• — Będziemy obserwowali dziś przy — ten — przy obiedzie... już ja tam dopatrzę... A to pedagog — jakże mu tam? Sarmiewicz! śmiały, co? kto by się był spodziewał...

— Co chcesz, panie! Syn bardzo przyzwoitych rodziców, zdolny, pracowity... wprawdzie skuzynowany z tym osłem, jakimś tam Gulmańcewiczem, którego,

<sup>1</sup> **Idź sobie!**

<sup>2</sup> **żegnam!**

<sup>3</sup> **chwileczkę!**

<sup>4</sup> **nie ma niemożliwości.**

nie wiem czemu, kobiety nasze tolerują — *mais que fake!*

— Gulmańcewicz — ten — niczego sobie.

— *Monsieur Celestin!* Gdybyśmy przypadkiem po obiedzie mieli rozmawiać o tym z moją i z twoją żoną, co ci szkodzi powstawać ciągle na Sarmiewicza, w razie gdybym ja na przykład przypuszczał możliwość małżeństwa.

— Małżeństwa — *allons done<sup>2</sup>* — ten — małżeństwa? Czy to Anielka moja malowana — myślisz? Ale rozumiem, masz coś w tym — dobrze, naśmiejemy się potem.

— I mam jeszcze jedną prośbę, żebyś przed żoną nie wspominał o liście, jeśliś jej go już nie pokazał — a przed Karolcią ani słowa o niczym.

— Gdzieżbym ja — ten — miał pokazywać — a Karolci skądże znowu? Znasz mnie — ten — przecie.

Beleński wstał, poprawił sobie w lustrze włosy i wąsy, zasadził lornetkę na nos i zostawiwszy Celestyna poszedł do żony, z którą panna Karolina tylko co wracała z kościoła. Nadzwyczaj wesoło i rozmownie nagadał kobietom grzeczności i zaintrygowawszy Karolinę, że jej ojczym ma coś ważnego powiedzieć, wyprosił ją do niego.

Zostawszy sam na sam z żoną, wahał się przez chwilę, kładł i zdejmował lornetkę, nareszcie zasadziwszy ją rezolutnie, rzekł żywo:

— *Angelique!* anibyś się spodziewała, na jaką tajemnicę wpadłem najniewinniej, której odkrycie poniekąd mnie ucieszyło. Przypominasz sobie, że smutkowi, roztargnieniu i zamyśleniu poczciewego Sarmiewicza przypisywałem zawsze powód miłosny.

**1 ale co robić.**

**2 cóż znowu!**

— Zdaje mi się, że mylnie. Takie już jego usposobienie... zresztą nie wiem — odparła z wolna Aniela patrząc przez okno na kasztany w ogrodzie, pobielone śniegiem.

— Celestyn przyniósł mi dzisiaj kompromitujący bardzo *corpus delicturywek* jego korespondencji z westchnieniami do ukochanego przedmiotu i anibyś się domyśliła, która jest tą szczęśliwą • — dodał wyznając, od kogo Celestyn dostał świstek.

— Któraż? — zapytała grzecznie, patrząc w okno ciągle.

— Czytaj!

Wzięła świstek do ręki, przeczytała uważnie i zawołała z głośnym uśmiechem, nieco przymuszonym:

— To niepodobieństwo!

— Czemu? — zagadnął mąż mrużąc oczy.

— Za Karolinę ręczyć mogę, że się nim nie zajęła — odrzekła z wolna, ciskając papier na dywan.

• — *Il ne faut jurer de rien. Madame Celestin et vous*<sup>2</sup>... przynajście, panie, że sobie kimś zaprzątnęła główkę. Kim? X. Albo więc ten X do zwyczajnego gatunku żonkosiów nie należy, albo też panna Karolina po tylu konkurach, znudzona oczywistymi oświadczeniami, zapragnęła raz w życiu tajemnicy, ciskającej taki urok na związek marzeń miłosnych, i sądzi, żeśmy oślepli; albo też uwzięła się, żeby nikt nie przedarł zasłony, dopóki jej sama nie zechce uchylić.

— Za subtelny domysł!

— Proszę utworzyć trafniejszy, a zresztą czemużby nie miała zająć się Sarmiewiczem? Ci ludzie skromni, zamyśleni, mało mówiący, w których tęsknym spojrzeniu, zdaje się, że boleje bez ustanku dusza niepo-

**1 dowód rzeczowy.**

**2 nie trzeba się zarzekać. Pani Celestynowa i ty...**

znana, i do tego tacy szczupli, z cerą bez rumieńców, a nawet pokasłujący, wszak to zwykłe ideały panien młodszych i starszych. Może będąc jeszcze podlotką, wywierał na nią wrażenie w Gierzejach... Wspomnienia z tych lat są trwałe; Sarmiewicz teraz wyprzystojniał, imponować jej może ukształceniem, a że nie ma ani instynktu elegancji, ani wioski, ani dzierżawy, ani rozgałęzionej koligacji na prowincji i żyje z pracy, są to właśnie oryginalności, co mogą mu nawet dodawać zajęcia.

Beleński wstrzymał się nagle. Przy drugiej części jego domysłów Aniela zarumieniła się z lekka, pochyliła się nagle, podjęła świstek z dywanu i drąc w kawalki, rzekła z uśmiechem żartobliwym, również przymuszonym jak poprzedni:

— Cała ta wyrafinowana analiza i studiowanie gustu Karolci, zdaje mi się, że daremne. Skądże dowód, że do niej pisane... Czy innych Karolin nie ma na świecie?

— Zapewne! Natychmiast zwróciłem na to uwagę Celestyna, ale przypuściwszy, że tak jest i że zobopólnie spodobali się sobie, czybyś co miała przeciw temu, gdybym swatał poczciwego naszego Sarmiewicza z Karoliną.

— Mówisz na serio?

— Najbardziej na serio, *Angélique!*

— Pomagałabym ci jak najchętniej, ale wątpię, czy siostra, a zwłaszcza też mama, tak chętnie by to przyjęli jak my — odparła żywo, patrząc mu w oczy życzyliwie.

— Serdecznie ucieszyłaś mnie, że się w tym względzie zgadzamy! — zawołał Beleński i wstawszy pocałował ją w rękę. — Czyby to źle było, gdyby nam przybył do rodziny uczciwy, pracowity, zdolny i specjalny człowiek, czy nie lepiej niż jaki tam

jednowioskowy fanfaron, jakim na przykład ja byłem?

— Przecie czterowioskowy — wtrąciła żartobliwie.

— Karolina miałaoby najlepszego męża, a że tam nie skoligaconego z karmazynami, ale zawsze szlachcica... Możliwsze domy szlacheckie powinny dzisiaj odnawiać się i wzmacniać przez połączenie ze zdolnościami w kierunkach rozmaitych. Przodkowie nasi rozumieli to wybornie, książęcy dom, wiodący ród od Jagiellonów, nie wahał się wydać córki za syna podstarościowego, szlachciurę szaraczkowego, który od posług pokojowych do pierwszych godności w kraju doszedł, a syn jego osiadł na tronie \*. Albo to tylko jeden przykład taki; znajdzie ich mnóstwo w przeszłości naszej, którą, dzięki pocziwemu Sarmiewiczowi, coraz więcej się zajmuję i zaczynam pojmoswać coraz lepiej. Jeszcze więc jeden mam obowiązek więcej dla domniemanego szwagra naszego.

— *Vous allez vite*.<sup>f</sup> Obawiam się, czy nie zostanie na zawsze domniemanym. Z mamą trudna sprawa, a o uczuciach państwa młodych dokładnie nic nie wiemy.

— Dziś podczas obiadu będziemy badali państwa młodych, a po obiedzie panią Celestynową.

**1** Aluzja do ojca króla Stanisława Augusta, Stanisława Ponia-towskiego (1676—1762), który służył początkowo w pułku austriackim Sapiehów i był ich wysłannikiem do Karola XII. Mia-nowany przez niego adiutantem, szybko awansował na dowódcę przybocznej gwardii króla szwedzkiego, któremu w niefortunnych bitwach dwukrotnie ocalił życie. W roku 1720 ożenił się z księżniczką Konstancją Czartoryską i stał się filarem stronnictwa Czartoryskich, „Familii”. W r. 1752 został kasztelanem krakowskim, a więc pierwszym świeckim senatorem Rzeczypospolitej. Czartoryscy wywodzą swój ród od Giedymina, który był również protoplastą Jagiellonów.

**2** zbył się rozpędzasz.



— Za wcześnie!

— Toteż tylko z lekka i z daleka — odparł Beleński /ychodząc i uśmiech zadowolenia ożywił mu twarz iwobodnie.

Zostawszy sama, kobieta oparła głowę na ręce, a w spojrzeniu jej zamiast tęsknoty, co nie tylko w samotności, ale nieraz wobec liczного towarzysztwa tkwiła w nim widocznie — nagłe i smutne zamysłenie.

Słusznie powiedział Beleński: trwałe są wspomnienia z lat młodocianych. Świstek z miłosnymi westchnieniami Pawła przywiódł jej na pamięć ów liścik Celestyna do macochy, którym kiedyś w Gierzejach Paweł uchybił jej niesmacznie. Wydając z dziecinną namiętnością tajemnicę serca, ukazał jego siłę i bojaźliwość, gorączkowość uczucia i brak wiary dla przedmiotu czci najpierwszej. Sam rozwiązał wieniec uroku, który i w niej budził pociąg coraz żywszy. Ale z rozwiązanego wieńca kwiaty zostały nie podeptane, liść ich zawsze zielenił majowo, woń tchnęła wiosną lat dziewiczych.

Lękliwy, potulny, a dzień w dzień widywany gwerner tak się wtedy różnił wydatnie, a nawet wdzięcznie od młodzieży tamecznej, taką jej niewinną przyjemność sprawił opiekuńczy wpływ jej nad nim, siostrzyna władza życzliwości, której się bezwzględnie poddawał! Po odjeździe jego ze wsi przez długi czas pusto jej było i samotnie, czuła się coraz bardziej obcą w kole rodziny, gdzie jako dziedziczka Gierzejów po swojej matce i pasierbica pułkownikowej, nigdy się na równi z przyrodnim rodzeństwem nie mogła uważać. W tęsknocie dopiero uczuła, że utraciła wiele, żałując nieraz, że mu za surowo dała uczuć gwałtowność i niewłaściwość postępku. Jeszcze podczas jego choroby przypuszczała, że ozdrowiawszy będzie bła-

gał o przebaczenie, a po odjeździe nie wyobrażała sobie, jak mógł się rozstać bez żadnego usiłowania do porozumienia, do zgody. Łudziła się nieraz, że jakin bądź sposobem wróci, choćby na chwilę, aby ją zobaczyć, ośmieli się może napisać słów kilka — i po rozstaniu zostaną zawsze przyjaciółmi! Przepadł tymczasem jak kamień w wodzie. Ona przecie nie mogła rozpoczynać z nim korespondencji, tym bardziej że nie wiedziała, gdzie pisać do niego. Tak więc przekonana, że go zapewne przestała obchodzić, że zapomniał o najzyczliwszej istocie, rad nierad żegnając czasy pierwszych marzeń, postanowiła porzucić Gierzeje, gdzie jej było coraz przykrzej...

W pożyciu z Beleńskim, który ją kochał prawdziwie, zaczęła znowu wypełniać powinność siostry; serdecznym słowem i wdziękiem ukształcenia przedierać się coraz głębiej do duszy człowieka, w istocie najlepszego, tylko zwichniętego powierzchownym wychowaniem, stumanionego formułkami i przesadą światowości, zaspanego w próżniactwie, znużonej hulanką. Przywiązując się do niego coraz bardziej w pierwszych latach przeżyła jednak niemało chw smutnych i samotnych, dopiero uczucie macierzyński' łagodnym, świętym blaskiem rozjaśniło im pożycie, i byli szczęśliwi...

Traf chciał mieć, że znowu spotkała Pawła w Warszawie — wspomnienia, jeszcze nie tak dawne, żywo zakołatały do tkliwego serca kobiety. Zdawało się, że przerwany obowiązek siostry godzi się jej znów wypełnić względem tego, co pierwszy rozbudziwszy jej serce, czcił ją korniej niż przedtem — a tak samo był potulny, cichy, nie wiedzący o przymiotach swoich i wyższości... sam jeden na świecie. Możliwość i liczne stosunki ułatwiać jej będą niewidzialną opiekę, odtąd już ciągle nad nim rozciągniętą. Chciała naprawdę zo-

stać tylko owym dobrym aniołem, co mu kazała weń wierzyć przed laty — tylko siostrą prawdziwą.

Kiedy jej Beleński opowiadał spostrzeżenia nad Pawłem i przypuszczał, że zakochany w Karolinie, rumieniła się nie z powodu Pawła, ale za podejrzliwość badawczą kilku słów złośliwych. Beleński o nią nie potrzebował się obawiać; za szlachetna była, za dumna, aby kiedykolwiek miała nieotwarcie postąpić. Wprawdzie nietrudno było domyślić się, chociaż jej Paweł nie rzekł ani słowa, że ją kocha nieprzerwanie. Kilka razy dawała mu do zrozumienia swoje istotne usposobienie dla niego i nie łudząc wabnością, której mało kobiet nie pozwoliłoby sobie względem rycerza tak stale i wiernie noszącego ich kolory — czekała tylko na sposobność, aby raz na zawsze rozegnać jego ułudy i zyskać w nim to, czego najżywiej pragnęła: przyjaciela i brata. Jeszcze raz wprawdzie sercu nie można nakazać wyrzec się uczucia, które mu nowy popęd do życia nadaje, ale dobrocią, rozumem' najdotkliwsze rany można załagodzić. Przecierpiawszy sama tyle w najpiękniejszej chwili życia z jego powodu, sądziła słusznie, że choć mu do tego nigdy się nie przyznała, teraz ma prawo jednakże spodziewać się wywzajemnienia, wymagać od mężczyzny zwycięstwa nad samym sobą, poświęcenia.

Po cóż zresztą rozdrabniać niezliczone odcienia uczucia, z którego marząca wyobraźnia i szlachetne serce kobiet naszych- tak cudne nieraz poemata, tak rzewne powieści rozwijać umie w życiu? Jak niejeden nie domyślał się nawet, że był anioł niewieści, co się nim żywo zajmował i czuwał nad nim, co go każdy postępek jego obchodził, co poświęcił się dla wyratowania go z niedoli i nie pragnąc wdzięczności znalazł pociechę w smutnym wspomnieniu utajonego uczynku; tak niejeden, widząc dla siebie tak żywą przychyl-

ność, gotów by może niebacznie przypisać ją innym pobudkom lub potępić wabność, co nęci i wywołuje uczucie, aby igrać z nim potem, aby się cieszyć widokiem ujarzmionego niewolnika.

Jest podanie, genialnie rozwinięte w *Fauście* Goethego, że szatan, ujrawszy raz anioła, zakochał się w nim. Anioł, choć lituje się nad męczarniami potępieńca, uchodzi w niebiańskie strefy, ze srebrnych jego skrzydeł sypią się róże wonne: każda z nich, padłszy na ciało szatańskie, przemienia się we wrzód jątrzący. W uczuciu kobiety, co do nas nie może należyć, uniesienia namiętności bywają nieco podobne do tych róż symbolicznych, jątrzą duszę, ale jej nie zaspakajają, budzą życie, ale go nie wypełniają. Za kilka chwil szczęścia, co się zajrzy lub wydrze bliźniemu, w samym tym szczęściu natychmiast znajduje się już karę. Paweł, tłumiąc w sobie tyle marzeń i chęci, znał jednak i te męczarnie, choćby przez zazdrość, co na widok Beleńskiego obudzała się czasem. Ale za szlachetny, zanadto wyższy, za zbyt wycierpiał się, aby miał wątpić i schodzić do niskich przypuszczeń o swojej jasnowłosej, która była marzącą, wrażliwą, ale bez zaprzeczenia najzacniejszą i niepospolitą zarazem kobietą, na jakie u nas szczęśliwi natrafiają jeszcze i w dzisiejszych czasach, zwanych epoką upadku i apatii.

Szczerze ją zajął los Józika; nie wchodząc w to, czy z nią go związki krwi łączyły, dopomogłaby mu zawsze, może nie tak hojnie, ale chętnie. Jakże dopiero los Pawła musiał ją obchodzić! Po siostrzynemu i po macierzyńsku pragnęła świetnej dlań kariery. Przyniść się do niej tajemnie, ułatwić mu drogę, wyprowadzić na jaw człowieka, w którego wyższość i charakter tak wierzyła, że był celem jej marzeń i dążnością przyjaźni, którą, powtarzamy, zakresliła sobie

nie na chwilę, ale postanowiwszy przeprowadzić wytrwale i zabiegłe, już ją rozpoczęła, zobowiązując dlań swoją rodzinę i następcząc mu sposobność do rozwinięcia zdolności w jego fachu. Pocziwe Polki nasze, o żywej i czynnej wyobraźni, częściej, niż się zdaje, lubią w ten sposób popierać, protegować rozlicznych współrodaków, o wiele im nie dorównywających pod względem zabiegłości. Szlachetne, wzniosłe, dumne lub też ambitne, lubiące wszystkie blask, świetność i wzniesienie, a nie mogąc same urzeczywistnić marzeń tyłu — pragną wynieść innych na te śliskie nieraz ścieżki: może nawet ludzi się niejedna, że będzie rządziła przez zastępcę. Nie zawsze chęciom odpowie protekcja, wywołana tyłu rozlicznymi pobudkami. Czasem, zamiast dopomagać, szkodzi — zwicznie z właściwej drogi pupila; czasem, najniefortunniejszy robiąc wybór, na gwałt popierają mierność z ujmą prawdziwej zdolności. Jest to jednak najniezawodniej charakterystyczny rys u naszych kobiet, który w nieprzychylnym świetle nigdy ich stawić nie może. Anieła, kierowana sercem, bardziej mając na względzie lubianego człowieka niż własne marzenia, mogła mu nie dopomóc tak, jakby pragnęła, ale zaszkodzić — nigdy!

Szybko myślą przebiegając całe dzieje stosunków z Pawłem, nie mogła uwierzyć, żeby pisał nie tylko do jej siostry, ale do jakiej bądź Karoliny; instynktem przeczuwała, że musi być w tym jakieś nieporozumienie, omyłka jakaś, co się niebawem odkryje. W każdym razie, chociaż najprzyjemniej by jej było powitać go jako męża siostry, mimo usposobień nie bardzo harmonizujących, gdyby jednak to prawda była, gdyby Paweł naprawdę do niej tak barwnie pisał west-

chnienia, skąd tak smutne zamyślenie? Czyżby żałowała, że kto inny podziela panowanie w jego sercu? Czy ta najniespodziewańsza tajemnica, snuta w mroku, wyglądała na nieco wyrachowaną i ujmowała skromnej a szczerzej postaci Pawła, którą w duszy wrażliwej tak podnosiła, tak idealizować lubiła? Może to i owo, może ani to, ani owo, bo ten odcień rozjaśnić mogłaby tylko kobieta, a wszelkie nasze najsubtelniejsze domysły i paradoksy jej tajemnic nie zdołają uchylić.

— *Madame Angélique*... ten, wiem, że pani należysz do naszych, jakże? dyplomatycznych obserwacji, jak je nazwał Beleński... trzymajmy się *ierme*<sup>1</sup>, to wygramy i tego, ten, dawnego protegowanego pani, wyprotegujem! — zawołał wchodząc Celestyn. Wkrótce nadeszła i panna Karolina.

— Jak mi papa nie powie, co papa nagadał na mnie przed szwagrem albo szwagier przed papą, to się pogniewamy i będę dokuczała.

— Skądże wnosisz, żeby pan Celestyn miał co nagadać? — zapytała Aniela.

— Je *connais mon monde*<sup>2</sup> — odparła żywo. — Po jednym uśmiechu papy, po jednym spojrzeniu szwagra łatwo się domyśliłam, że ci panowie o mnie szepotali. Przyznaj się papa, prawda?

— Mówiliśmy, że panna Karolina w mieście jakoś, ten, mizernieje i jakże tam, szczupleje coraz bardziej.

— Przypuszczam, żeście i to mówili, a więcej co? — zagadnęła dziewica uśmiechnąwszy się z lekka na wzmiankę o szczupieniu, którego z serca pragnęła.

— Więcej nic, *je vous le jure*<sup>3</sup>, ten, że nic.

**1 mocno.**

**2 znam mój świat.**

**3 przysięgam ci.**

— Tak samo papa zapierałeś się przed chwilą, nie wierzę... ale jak się dowiem, nie daruję.

— Drażnisz się na próżno z panem Celestynem. Cóż by ci panowie mogli mówić?

— Może się Karolcia obawia, czyśmy się nie domyślili jakiej — ten — tajemnicy — wtrącił żartobliwie Celestyn ciesząc się nadzwyczaj ze swego przyzinku.

— Tajemnicy?... Nie mam żadnych tajemnic — odparła żywo i na serio, ale spojrzawszy na siostrę, co badawczo utkwiała w nią wnikliwe, bystre oczy, odwróciła się nagle i na rumianych, pełnych jej policzkach żywsza barwa błysnęła.

Nadjechała wkrótce Celestynowa, wystrojona jak trzydziestoletnia mężatka, zeszedł z góry ze Stasiem Paweł, który wyglądał nadzwyczaj mizernie, smutny był i często się zamyślał. Chociaż to u niego nie nowina, wszystkich uwagę zwróciło od razu. Nigdy go jeszcze takim nie widzieli. Przy stole Celestyn trącił Beleńskiego, uśmiechnął się do Anieli, która oka z siostry nie spuszczała. Celestynowa nawet przyjrzała się mu bacznie parę razy, a panna Karolina odsuwając niedbale półmisek z potrawą, który jej podawał służący (niezawodny symptomat zakochania, bo zwykle miała dobry apetyt), zagadnęła go nagle przyjaznym bardzo głosem:

— Co panu, panie Sarmiewicz... czy pan cierpiący, czy pan masz jakie zmartwienie?

— Dłaczego, pani?

— Tak się pan zmieniłeś na twarzy, że aż przykro patrzeć na pana.

Chórem prócz Anieli potwierdzili wszyscy to samo, i Celestyn z uśmiechem dodał:

— Wyglądasz, ten, jakby zafrasowany lub wyłącznie jedną myślą zajęty.

Paweł zmieszał się nieco, jakby wahał się, nareszcie odrzekł, że się wczoraj nieco przeziębił i że go głowa boli.

— Musiałeś długo stać, ten, na dworze albo może, jakże tam? w sieni, a na taki czas to niebezpiecznie, chociaż się na to nie zwraca uwagi — wtrącił znów Celestyn.

Paweł chciał odpowiedzieć, ale spotkawszy spojrzenie Anieli zamilkł i tylko lakonicznie zaprzeczył.

— Jemu naprawdę coś cięży na sercu — szepnął Beleński do żony.

— Patrz! jak się Karolcia także zamyśliła.

— Ręczę teraz za nią, że pomyliliście się panowie najzupełniej w domysłach.

— Czemu?

— Nie zapytałyby go tak śmiało: czy nie cierpiący? Beleński zadumał się nagle.

Paweł i panna Karolina ani spodziewając się, że takie o nich tworzą domysły, do końca obiadu podlegali dyplomatycznej obserwacji, z której Celestyn powziął przekonanie, że pedagog najniezawodniej zakochany w pięknej kapryśnicy; co zaś do niej, zdania dyplomatów nie były jednakowe. Po obiedzie panna Karolina poprosiła Pawła, żeby z nią grał w bilard chiński. Celestyn uśmiechał się z coraz większym triumfem, nawet Beleński, pokręcając wężą, spojrzał spod oka na grających. Zostawili ich ze Stasiem i przenieśli się do sali, gdzie Beleński rozpoczął gawędkę od wychwalania Pawła.

— Powiadasz, że rozumny, kto tam wie o tym, kiedy, ten, nic nie mówi — zaoponował Celestyn pomnąc na rolę, którą przy żonie miał odegrywać.

— Ale też nie powie żadnego dzieciństwa, jak się to zdarza tym, co wiele mówią nie wiedząc, że im i to nawet coraz trudniej — odrzekła natychmiast żona.



Beleński zaczął znów chwalić inne przymioty Pawła: ukształcenie, skromność, chętność do pracy, przyznał mu bezwarunkową wyższość nad całą młodzieżą bywającą w ich domu.

— Skromny, bo nie ma, ten, pysznić się z czego, ukształcony cokolwiek, pilny, jak zwykle ludzie niewielkich, jakże, zdolności... — wtrącił uporczywie Celestyn, któremu w miarę sprzeciwiania się wracało trocha więcej płynności myśli i mowy.

— Rzeczywiście, wzór powinni by dać starsi, ale na nich nie ma się co tak bardzo zapatrywać; nie mówię to do pana, Mr Beleński. I gotowam poniekąd zgodzić się z panem. Spomiędzy całej młodzieży nie jest zapewne najlepiej, brak mu do tego bardzo wiele, ale najpocziwszy i najlepszego prowadzenia chłopiec.

— Bardzo szanuję i wdzięczną jestem panu Sarmiewiczowi, że mając niezależność, którą mu budownicze jego zatrudnienie zapewnia, wyświadczył nam prawdziwie przyjacielską przysługę, dał dowód serdecznej życzliwości podejmując się uczyć Stasia — dodała Aniela.

— Staś nie tak bardzo, ten, korzysta z tych lekcji, wierzaj mi pani... jakże.

— *Monsieur Celestin!* uwziąłeś się pan, widzę, żeby nam oponować koniecznie! — zawołała niecierpliwie żona.

— Istotnie... Sarmiewicz nie jest w łaskach u męża pani — szepnął Beleński.

— Au mnie w bardzo wielkich. Już to mąż mój, jak sobie co do kogo upatrzy, a często zdarza się mu upatrzeć, to trudno mu wybić z głowy widzimisię. Dziś, na przykład, powiedział mi domysł tak pocieszny — rzekła Celestynowa, nie roześmiewszy się jednakże.

— Jakiż, mamó, jeżeli można wiedzieć? — zapytała grzecznie Aniela.

— Sarmiewicz zakochał się w Karolci i nawzajem — odparła usiłując uśmiechnąć się swobodnie.

— Ach, jakżebym serdecznie się cieszył, gdyby tak było! — zawołał Beleński.

— *Je plaisez pas!*

— Ani myślę, pani!

I korzystając z tego zwierzenia, aby otwartym atakiem dotknąć najdrażliwszego przedmiotu — prócz rekapitulacji przymiotów Pawła przytoczył i argument o odnawianiu szlacheckich rodzin i wiele innych dowodów wykazujących niezliczone korzyści z przypuszczalnego związku.

— E, *mon cher*, daruj, ale gadasz, ten, Bóg wie co. Guwernerzyna, budowniczyzna, szlachetka mizerny, ani to kawałka ziemi, ani?... Żartujesz sobie widocznie, dowodząc, ten, jakże, o niepodobieństwie.

— Lepszy nieraz szlachetka, co może dojść do kawałka ziemi, aniżeli szlachcic, co swoje potracił — odparła Celestynowa tak żywo, że Beleński nie mógł wstrzymać się od uśmiechu.

— Tak dysputujemy poważnie — wtrąciła Aniela — jakbyśmy na serio myśleli wyswatać pana Sarmiewicza z Karoliną.

— Nie obawiaj się, nie przyjdzie nigdy do tego — odparła niby to żartobliwie Celestynowa. I tym razem, uśmiechnąwszy się, dziwne spojrzenie, jakby złośliwe, zwróciła na pasierbicę przelotnie. — Spotkałam dzisiaj ciotkę Sarmiewicza, starą, pocziwą Gulmańcewiczową — dodała po chwili — odwiozłam ją nawet do rogu Długiej ulicy; ona, według mego przekonania, najlepiej oceniła siostrzeńca nazywając go pocziwym

**i nie żartuj!**

jrudasem i niedbalcem. Może on być istotnie bardzo mamienitym w swoim zawodzie, może posiadać wszystkie przymioty, co mu pan przyznajesz, nawet przystojną twarz — ale nie wierzę w jego praktyczność. W towarzystwie zaś tak dalece jest nudny i niepotrzebny, że nie rozumiem kobiety, której by mógł się spodobać — zawyrokowała spoglądając znowu na pasierbicę.

— Gusta są rozliczne i zmieniają się jak mody, jak pogody jesienne w bajce Krasickiego — jeden tylko jest trwały, to jest dobry gust — wtrącił Beleński ciesząc się ze swego wyrażenia, które miał za głębokie. Celestyn tymczasem przeszedłszy, o ile mógł najciszej, parę pokoi, wkrótce powrócił z wieścią, że Sarmiewicz, przestawszy grać z panną Karoliną w bilard, siedział koło niej na kanapce przy oknie i rozmawiał tak wesoło, jakby go nigdy głowa nie bolała, jakby był z natury najrozmowniejszym usposobieniem obdarzony.

— Więc nie wolno mu nawet, według pana, rozmawiać z kobietami? — nadmieniła Aniela.

— Ale takim panom to nawet wolno robić ploteczki — rzekła Celestynowa wskazując na męża. — Poproś też Karolci! — zawołała nagle, niby to tak sobie, najzwyczajniej... a w istocie bardzo była zaintrygowana, o czym córka jej mogła tak długo rozmawiać z Sarmiewiczem.

Zanim Celestyn wybrał się w drogę, panna Karolina przybiegła do salki uśmiechająca, chociaż roztargniona. •

— Pan Sarmiewicz gra pewno ze Stasiem w bilard? — zapytał Beleński.

— Wygrałam od niego wszystkie partie — odparła żywo, jakby nie zrozumiała pytania. — • Poszedł ze Stasiem na górę, wróci tu pewnie dopiero na herbatę —

dodała siadając przy Anieli i pieszczotliwie opierając głowę na jej ramieniu, ze szczególniejszym niezadowolaniem matki, które Celestynowi rajem napełniało serce.

— Niech ci powinszuję, jaki z ciebie, ten, jakże, dyplomata! — szepnął do Beleńskiego. — Anielce mojej zupełnie przewróciliśmy w mądrej, ten, w mądrej główce.

## USTĘP PIĄTY

*Voi credete, che i signori  
Faccian come li plebei.<sup>1</sup>*

II MATRIMONIO SEGRETO'

### I

„*Mon cher Monsiem Paul!*

Chociaż powinnam podziękować panu za łaskawą troskliwość o interesa mnie wyłącznie dotyczące, mianowicie o proces mój i mieszkanie Marcelka u państwa Jabłuszków, oznajmiam mu jednak, że nigdy nie działałam bez zastanowienia i zasięgam zwykle rady ludzi znających się na rzeczy i godnych zaufania. Sprawa moja jest najpewniejsza i chyba bym przegrać mogła, gdyby Pan Bóg chciał mnie dotknąć karą, na którą, zdaje mi się, nie zasłużyłam. Kilkunastu tysięcy moich własnych i kilkunastu pożyczonych nie chciałabym, sądzę, narażać lekkomyślnie i w moim wieku pozbywać się pewności za niepewność. Co zaś do panna Jabłuszki, znam go dawniej niż ciebie, panie Pawle, i mam tyle rozsądku, że przypuszczam, iż własny jego interes skłania go do służenia mi rzetelnie — a chociaż może i na życzliwość człowieka, który protekcji śp. męża mojego winien wszystko, mogłabym nieco rachować, nie sądzę, ażeby w nią wierzyła bezwarun-

<sup>1</sup> wierzycie, że panowie postąpią jak plebejusze.

<sup>2</sup> *Małżeństwo tajemne*, najlepsza opera komiczna słynnego kompozytora włoskiego Domenico Cimarosy (1749—1801).

cowo. Interes to najlepsze źródło życzliwości. Pani Jabłuszko zaś nie jest zapewne ani ukształconą, ani w żadnej mierze dystyngowaną damą — jest to sobie prosta, ale bardzo rozsądna kobieta, za której życzliwość tak dla mnie, jak dla Marcełka prawie bym ręczyć mogła.

Przyznać muszę jednakże, *Monsieui Paul*, że stosunki z domem Radcostwa, państwa Beleńskich i innymi, w które wszedł mój syn, wymagają istotnie, aby mieszkał bliżej środka miasta, choćby tylko dla przyjęcia czasem rewizyty osób tak dla niego łaskawych. Wejście w wyższe towarzystwo jest nieraz początkiem prawdziwej kariery dla młodego człowieka, której, jako matka, pragnęłabym dopomagać wszelkimi środkami. Chociaż więc mieszkanie u p. Jabłuszków ma tę dogodność, że Marcelek jest zawsze pod okiem starszych i że sprzączki i rzeczy najbezpieczniej zostawić może — myślałam już dawniej, czybyście panowie nie mogli zamieszkać razem, bo mnie teraz jeszcze nie podobna wyprowadzić się z mojego partykularza. Byłoby wam weselej, a Marcelek nie potrzebowałby płacić za komorne. Znając życzliwość pańską dla rodziny, *Monsieui Paul*, chciałam to panu zaproponować, ale przekonywam się teraz, że lepiej, ażeby sobie Marcelek wynajął gdzie jakie skromniutkie a przyzwoite mieszkanko i przynajmniej do Wielkiej Nocy pomieszkał.

Spotkawszy wczoraj *Madame Celestin*, przyjemnie mi było przekonać się, że najlepiej jesteście oba widziani u nich, a ty, panie Pawle, masz w niej prawdziwą przyjaciółkę. Dlatego też jako wywzajemnienie za troskliwość dla mnie pozwolisz wujence przypomnieć ci, żebyś szanował to miejsce, które pod względem i korzyści pieniężnej, i stosunku z tak pięknym domem jest dla ciebie najwłaściwsze. Racz nadto wyba-

czyć, że ci zalecę jeszcze raz, abyś więcej jakoś dbał o ubranie, nie zanieczyścił się i pod tym względem brał przykład z Marcelka, który mniej zapewne mając dochodu od ciebie, zawsze jednak czysto, przyzwoicie, a nawet elegancko występuje. Nie powinna bym może chwalić tak mojego syna — ale znając, panie Pawle, twoje dobre serce, sędzę, że tak bliskiej krewnej nie weźmiesz za złe kilku słów prawdy — i jak dotąd, będziesz nadal, jako starszy, czuwał nad twoim bratem, który mimo najszczerzej chęci zbłądzić może brakiem zastanowienia, tak potrzebnego i koniecznego w stosunkach z towarzysztwem, gdzie was dotychczas najmilej przyjmują.

Odebrałam list twój wczoraj o siódmej wieczorem, panie Pawle! Nie zastawszy mnie napisałeś **na** dole u Szczepańskich — a nie wymagając, żebyś w taką niepogodę włókł się po błocie do mnie aż na Głęboką, odpisuję natychmiast i proszę jeszcze raz nie obawiać się o moją sprawę i o tym wszystkim nic a nic przed Marcelkiem nie wspominać. Zostaję życzliwą i przywiązaną wujenką

Barbara z Kalbfleischów Gulmańcewicz"

Przeczytawszy Paweł zmiął list w rękę; co mu się nigdy nie przytrafiło, zaklął i zadzwoniwszy **na** służącego kazał sobie sprowadzić dorożkę.

— Otumanili kobietę... nuż przegra, skąd oddać Szczepaniakowi? Wujenka się zamartwi — Marcelek, jak matka przestanie mu pomagać, rady sobie nie **da**, I ci jedyni krewni moi, których znam bliżej, wyjdą na biedaków... Muszę z nią rozmówić się jeszcze i wywiedzieć, ile naprawdę wzięła od Szczepaniaka — szeptał sobie w myśli.

Służący sprowadził dorożkę, Paweł już był **na**

wschodach, gdy szybko wbiegł na górę Marcelek i gwałtem go w domu zatrzymał.

— Ach, Polunieczku, *mon cher* Polunieczku — zawołał rzucając mu się na szyję — nie odmów mi, zlituj się, *c'est une bagatelle pour vous, et pour moi c'est extraordinairement beaucoup* <sup>1</sup>.

— Cóż takiego? — zapytał Paweł kazawszy służącemu odprawić dorożkę.

— Byłeś łaskaw raz już mi napisać cudny liścik, a teraz chciałem cię prosić o taki wierszyk, co to z początkowych liter wiersza składa się imię; ale to na dzisiaj koniecznie.

— Zapewne anakrostyk; powiedzże mi: cóż myślisz z nim począć? • •

— Myślę kazać wydrukować w „Magazynie Mód” albo oddzielnie i posłać mojej prześlicznej blondynecze.

— Mówiłeś, że to panienka zamożna i starannie wychowana, to, zdaje mi się, nie wypada takimi sposobami starać się o jej względy.

— Poluniu najdroższy! Nikt nigdy nie rozgniewa się za pochwałę, tym ci bardziej kobieta. Tak mówią ludzie, co się znają na tych rzeczach.

— Nie powinieneś tak często radzić się znajomych, jeśli kochasz prawdziwie.

— Strzeżże mnie, Boże! Przecie tobie, choć przytoczyłem szczegóły, nie powiedziałem, kto i co, i nie powiem nikomu.

— Słuchaj, Marcelku! Prawdy w bawełnę nigdy nie obwijam, postępując z tobą jak najszczerzej, proszę cię, żebyś równie dla mnie był szczerzy i bez ogródki odpowiedział na zapytanie.

**i to drobnostka dla ciebie, a dla mnie niezmiernie dużo.**



— A strzeżże mnie, Panie, czym kiedykolwiek  
•krył co przed tobą! Co każesz, *mon cher* Poluniu!

— Wczoraj panna Karolina, siostra pani Beleń-  
skiej...

Paweł zamilkł nagle, bo wpadł Staś wysłany od pań  
z prośbą, żeby koniecznie zeszedł do nich na herbatę.  
Wyrostek zoczywszy Gulmańcewicza, który go pierw-  
szy powitał, odkłonił się mu lekceważąco i odszedł  
nówiąc, że wkrótce znów przyjdzie, bo matka i sio-  
stry nie pozwoliły mu wracać samemu, tylko koniecz-  
nie z Pawłem.

— Cóż panna Karolina, *mon cher* Polunieczku? Tak  
jej.na imię jak mojej blondyneczce.

— Panna Karolina wczoraj, rozmawiając ze mną do-  
syć długo, wypytywała się o ciebie, chwaliła, żeś przy-  
stojny, że dobrze tańczysz. Spodobałeś się jej, żeś  
dobry syn i że się z takim upodobaniem zajmujesz pra-  
cą umysłową. Oczywiście, nie zaprzeczyłem temu  
upodobaniu, chociaż mam ci za złe, że niepotrzebnie  
kłamiesz przed nią o rozmaitych rzeczach, które tak  
jej łatwo sprawdzić.

— Strzeżże mnie, Boże, Poluniu! Nie skłamałem.  
Czy jej to masz za złe, że mnie przecie nie uważa za  
głaba zupełnego? Ręczę ci słowem honoru, żeś naj-  
czystsza prawdę tylko mówił — nie ośmieliłbym się  
przed taką osobą...

— Powiedziałeś jej, że umiesz po niemiecku i po  
angielsku, że malujesz olejno i grasz na skrzypcach.

— Strzeżże mnie, Panie, daję najświętsze słowo ho-  
noru — nie powiedziałem.

— Zresztą, mniejsza o to. Powtarzam — spodoba-  
łeś się panie Karolinie.

— Żartujesz, Poluniu!

— Czy mi najświętszym słowem zaręczasz, że to nie

do niej pisany był bilecik, com go ułożył po francusku?

— *A garde moi Dieu!* Czyżbym ośmielił się kiedy?

— Słuchaj! Pytam się ciebie nie przez ciekawość prostą, ale po bratersku — nie z obawy, żebym naraził położenie moje w tym domu wiedząc o twoich zabiegach — nie w chęci szkodzenia, ale żeby ci pomóc, jeśli można, a przynajmniej dać radę uczciwą. Mów więc szczerze, bo gdybym się przekonał, że mnie zwdzisz, rozgniewałbym się na ciebie, ale to na dobre.

— Pawełku kochany! Czyżbyś ty mógł rozgniewać się na kogo, tym bardziej na mnie, co cię tak prawdziwie kocham — szepnął pieszczotliwie Marcelek, zdziwiony stanowczym tonem, który po raz pierwszy słyszał u brata wujecznego.

— No więc jakże? Do niej czy nie do niej? Mów otwarcie!

— Jak cię z duszy serca poważam, do panny Karoliny, córki mecenasa jednego, co mieszka na Krakowskim Przedmieściu koło Kopernika.

— Kłamiesz! nie ma co, chodźmy! — odrzekł spokojnie, ale stanowczo Paweł. Włożył kapelusz i otworzył drzwi — przez które wpadł znowu Staś oddając mu list, który posłaniec jakiś przyniósł do niego na pierwsze piętro.

„Kochany panie Pawle! — pisano w liście. — Zgłębiłem jak najdokładniej interes twojej kuzyny, zajrzałem do hipoteki pruskiej, przewertowałem akt rozlicznych niemało, i potwierdziłem tylko sobie to, com ci natychmiast po rzuceniu okiem na interes powiedział.

Zresztą — sprawa będzie w tych dniach sądzona w apelacji i przekonasz się sam, jaki wypadnie wyrok.

**i strzeżże mnie Bożel**

Chociaż to już za późno, w każdym razie służę twojej kuzynie i ściskam cię serdecznie, poczywy panie Pawle!"

Paweł zadumał się i żeby się pozbyć Stasia, przyobiegał mu, że natychmiast zejdzie na dół.

— Poluniu, *mon cher* Poluniu! nie gniewaj się na mnie, przypuśćmy, że nawet pisał do tej osoby, o której myślisz, jakże wymagać możesz, żebym miał wyznać natychmiast — daruj mi, kochanie! — jeszcze pieszczotliwiej wołał Marcelek pocałowawszy go w ramię i w rękę, którą mu wydarło skwapliwie.

— Daj ci Boże wszystko dobre, ale radzę ci, żebyś był bardzo ostrożnym, bo jeżeli tak jest, jak przy-

puszczam, to nie ty rozpocząłeś grę, tylko ją z tobą rozpoczęto; a jeżeli kochasz, jeżeli masz serce, to — przegrasz, będzie ci bardzo boleśnie — rzekł Paweł, któremu po przeczytaniu listu żal się zrobiło wujecznego brata. — Nie zapominaj, że nie masz nic — mówił dalej. — Przypuśćmy, że nawet uzyskasz wzajemność panny, aleć jeszcze są rodzice, familia bogata, a ty ubogi i nawet brak ci zapewnionej niezależności.

— Przypuśćmy, *que cela s'agit de la personne de la quelle tu sais*<sup>1</sup>, Poluniu, czyż tak dumna ta familia? I pani Beleńska także? — zapytał Marcelek przyglądając się Pawłowi bacznie i niechętnie.

— Nie idzie o ich dumę, ale [o] twoje własną, **o** uczucie godności osobistej, tego bogactwa ubogiego człowieka — rozumiesz mnie?

— A strzeżże mnie, Boże, żebym nie rozumiał, Pawełku! Ale przecie tak zupełnie ubogim nie jestem, a jak matka wygra proces...

— To zawsze w porównaniu z nimi byłbyś ubogim — odparł mu żywo Paweł spoglądając litośnie i sympatycznie.

— *Mon cher Paul!* zresztą nie dziw się! gdzie uczucie prawdziwe, tam nie myśli się o przyszłości.

— Aby tylko prawdziwe! Ale daruj mi, bracie, wątpię!

— Dlaczego?

— Dlatego, powtarzam, że rozpoczęto z tobą grę, która nawykłemu dotychczas do niby powodzeń w innym towarzystwie wydaje się łatwą i ponętną, a co do uczucia, dajmy mu pokój jak na teraz — odparł Paweł patrząc przenikliwie w okrągłe oczy kuzyrna, co jego wzroku nie mógł wytrzymać.

**i że chodzi o osobę, o której ty wiesz...**

— Do jakich powodzeń? Nie rozumiem cię — zagadnął po chwili, nie podnosząc oczu i tając uśmiech zadowolenia.

— Z poczciwą kowalczanką, którą niepotrzebnie łudziliś.

— Strzeżże mnie, Boże!

— Tak szczerze jeszcześmy nigdy ze sobą nie rozmawiali, mój bracie! — • wtrącił zamyślony Paweł.

— Ach! jakże ci dziękuję za to, najdroższy Pawełku! — zawołał Marcelek ciskając się mu znowu na szyję.

— Bywaj zdrów, mój bracie! Ucałuj tam ręce wujenki, muszę iść na dół!

— *Et mon anacrote*<sup>1</sup>, Poluniu? Ten raz tylko, zlituj się! *Mon anacrote*.

— Zrobię ci, ale pamiętaj, że to raz ostatni.

— I pożycz mi jeszcze parę rubelków, mój aniołeczku!... Mama teraz nie ma pieniędzy, wyprowadzam się w tych dniach, trzeba mi na druk anakrostyku, oddam ci wkrótce. Tylem ci już winien, strzeżże mnie, Panie!... Pożyczysz?

— Pożyczę — odrzekł Paweł spoglądając smutno na wujecznego brata, ostatniego potomka Gulmańcewiczów, pudełkowato ufryzowanego.

## II

parę dni potem Sąd Apelacyjny po wysłuchaniu adwokata stawającego w imieniu Szpagatowicza i kuratora, a następnie krótkiej repliki adwokata Gulmańcewiczowej, nie tego atoli, co się nań tak często powoływał Jabłuszko, a który niby to zachorowawszy uprosił kolegę, żeby go zastąpił, wydał wyrok następujący,

<sup>1</sup> a mój anakrostyk.

którego sentencję pisarz przy drzwiach otwartych przeczytał:

„Sąd Apelacyjny apelację Szpagatowicza i kuratora masy od wyroku Trybunału Cywilnego w dniu 10 Czerwca 1840 r. zapadłego przyjmuje, wyrok zaapelowany uchyla, zaapelowaną Gulmańcewiczową z żądaniami jej, jako wprost spóźnionymi, oddala i na koszt rubli srebrem dwadzieścia skazuje, mocą wyroku w drugiej instancji zapadłego.”

Wyrok opierał się na tych najgłówniejszych motywach: że chociażby rzeczywiście, jak twierdzi Gulmańcewiczowa, Narew była zabrała znaczną część terytorium Wilczego Dołku i przyłączyła do Suchej Rękawki, to jednak według artykułu 559 Kodeksu Cywilnego<sup>1</sup> Gulmańcewiczowa powinna była wystąpić w przeciągu roku od tego wypadku; gdy, dalej, nie jest spornym, że Szpagatowicz wszedł w posiadanie oderwanego gruntu bezzwłocznie, po przyłączeniu takiego do Suchej Rękawki, Gulmańcewiczowa zaś w ciągu roku akcji nie wytoczyła — przeto dziś akcja, jako spóźniona, pod rozpoznanie nawet nie może być brana i Trybunał wyrokował z ubliżeniem przytoczonemu przepisowi prawa, a jakkolwiek Szpagatowicz i kurator spadku w pierwszej instancji na takowy się nie powoływali, jednak żadna obrona przeciętą nie jest, tym samym wizja sądowa i nakazane przez Trybunał dowody muszą się okazać bezskuteczne itp.

<sup>1</sup> „Jeżeli rzeka większa albo mniejsza, spławna lub nie, gwałtownym pędem porwała znaczną i łatwą do rozpoznania część pola brzeżnego i przeniosła go na pola niżej położone albo na stronę przeciwną, właściciel części porwanej może się upominać o własność, ale obowiązany jest podać o to żądanie w przeciągu roku; po upływie tego czasu żądanie jego nie może być przyjęte, chyba właściciel pola, do którego część porwana została przyłączona, jeszcze jej nie zajął w posiadanie.” (Przyp. autora.)

Gulmańcewiczowa, zwykle żółtej, cytrynowatej cery, zzieleniała, Paweł także przyszedł na sprawę, usadowił wujenkę na ławeczce w ustępowej sali, uprosił woźnego o szklanekę wody i skropił nią skronie kobiety obawiając się, że lada chwila zemdleje. Publika, zawsze ciekawa i litościwa, a której po sądach, nie tylko podczas ważniejszych spraw, sporo się wałęsa dla interesu, zabicia czasu, przez ciekawość lub też przez tradycyjną palestrancką żyłkę, zaczęła się zbierać koło niej i wypytywać, co to za kobieta, która tak do serca wzięła przegrane — co to za sprawa, która jej, widać, cios ostateczny wymierzyła. Krew Kalbfleischów przemogła nad gorzką dolegliwością zawiedzionej nadziei, nad dolegliwszą boleścią matki, co tak złotą przyszłość roiła dla jedynaka. Czując, że zostaje widowiskiem dla gawiedzi — chociaż jej tak było słabo, tak się chwiała nogi, że z trudnością utrzymać się mogła — wstała jednak, zapuściła woal i podawszy rękę Pawłowi wyszła z nim ze sądu.

Paweł bał się poszepnąć słówka pociechy, żeby nie zadrażnić cierpienia, które, znając ją, wiedział, jak musiała uczuć głęboko. Na wschodach spotkali Jabłuszkę. Skrzywiony okropnie na twarzy, mrużąc oczy, uchwycił jej rękę i przyciskając do ust, głośno zapłakał.

— Jestem nie wiedzieć kim, pani Kontrolerowo, że to rzecz najniestychańsza z najniestychańszych. Dowody jak słońce, jak dzień, jak to, że tu stoimy, panie budowniczy dobrodzieju! Daję najświętsze słowo honorowe, w co wierzyć teraz na świecie? Na dobitkę jeszcze pan adwokat zachorował, a zwłóczyć nie można było, i na najistotniejszą prawdę, pan Kaktusiński — choć zdolny prawnik — w porównaniu z mecenasem kuratora Szpagatowicza nie mówił dobrze — nie!

Widząc, że Gulmańcewiczowa nie odpowiada ani słowa, Paweł, w którym na widok Jabłuszki krew zawrzała, postąpił naprzód, myśląc, że wujenka pójdzie za nim, ale na prośbę swego doradcy poczekała chwilę.

Jabłuszko, wprowadziwszy ją w korytarz na bok do okna, szeptał płaczącym głosem:

— Wszakże ja na tym najwięcej tracę, pani Kontrolerowo dobrodziejko! Człowiek żyje z tego, co zarobi, a na codzienne wydateczki i to nie wystarcza, jak najłaskawszej pani dobrodziejce wiadomo. Za tyle trudów, biegania i nawet, jestem nie wiedzieć kim, wydatków niektórych z własnej kieszeni, których, na moją sumienną i honorową uczciwość, nie likwidowałem, wiadomo pani dobrodziejce, że prawie ani grogniunia złamanego nie odebrałem... a tu żyć trzeba z żoną i domem całym. Dopiero zapewne za rok pani dobrodziejka, kiedy oczywiście będzie w możliwości, nie zapomni o dawnym protegowanym i najżyczliwszym słudze, który o wdzięczności najwdzięczniejszej dla państwa dobrodziejstwa nigdy nie zdoła zapomnieć.

— Nie spodziewam się znikąd pieniędzy za rok! — rzekła boleśnie.

— A jestem nie wiedzieć kim! Jak to? Znikąd? A Senaciku<sup>1</sup> cóż to nie ma już w Warszawie, najłaskawsza pani Kontrolerowo! To wygrawszy w Trybunaliu, przegrawszy w apelacji, mamy już zarzucić wszystko i Szpagatowicz ma nas mieć za ba i bardzo? Oczywiście, z kuratorem drząc o własną skórę, dołożyli wszelkich starań, użyli wszelkich zabiegów, żeby teraz wygrać, ale w Senacie zaraz to pójdzie inaczej: albo nasza wygrana, albo układy, pani Kontrolerowo, których dobrodziejstwa nie godzi nam się

**i Ówczesny senat w sądownictwie był najwyższą instancją odwoławczą, rodzajem sądu najwyższego.**



wyrzekać, wyłożywszy tyle kosztów na tę sprawę nastręczoną pani dobrodziejce w nieszczęśliwą jaką chwilę przez Borsuckiego, z którym przed chwilą o mało co się nie poczułem, jak Boga Kocham, o mało co mu oczu najwyraźniej nie wydrapałem, tu na dole, pani Kontrolerowo! Nie martwmy się, nie rozpaczajmy, działajmy, działajmy! Jestem nie wiedzieć kim, jeszcze nic nie stracone, panie budowniczy! Dla samego kochanego pana Marcela nie godzi się kapitulować... wierząc pani najszczerzej radzie najprawdziwszego przyjaciela! — dodał obsypując jeszcze raz jej rękę pocałunkami i zwracając się do Pawła, którego powolność wujenki dla tego łotra coraz bardziej gniewać i niecierpliwić zaczęła.

— Chodźmy, wujenko — rzekł grzecznie — czekają na nas.

— Może pani dobrodziejka i pan budowniczy dobrodziej raczą łaskawie pofatygować się na chwilę do nas... Po niespodzianym zmartwieniu najlepiej to odechnąć u prawdziwych przyjaciół. Daję najświętsze słowo honorowe, cóż by to był za zaszczyt dla naszego domu!

— Którego mu z wujenką nie wyświadcymy — wtrącił ostro Paweł.

— Jak to, panie budowniczy dobrodzieju? — lękliwie i odsuwając się wybełkotał Jabłuszko.

— Tak to, że pojąć nie mogą dobroci wujenki, która pozwoliła panu mówić do siebie i odpowiadała... Daję panu słowo, że mnie tylko uszanowanie dla niej wstrzymuje...

•—• *Laissez<sup>1</sup>, Paul!* — z powagą i niezadowolaniem wtrąciła wujenka.

— Bo byś pan już od dawna stoczył się tam na dół

<sup>1</sup> **zostaw to, przestań.**

— dokończył zagniewany Paweł robiąc nogą gest wyrazisty.

— Panie budowniczy! Jestem nie wiedzieć kim, potępiasz mnie najniesłuszniej. Daję najświętsze słowo honorowe...

— No, no... idź wasan precz! — odrzekł już spokojniej, odsuwając go ręką. Zeszedł z Gulmańcewiczową, która mimo woli dziwiąc się niespodzianej energii siostrzeńca, bojąc się jej nawet poniekąd, miała mu za złe popędliwe i rubaszne obejście z Jabłuszka.

— Kochana wujenko! — mówił troskliwie Paweł siedząc przy niej w dorożce. — Może byśmy odwiedziny na inny czas odłożyli. Po gwałtownym wzruszeniu znużą wujenkę.

— Nie sądz, *Monsieui Paul*, żebym przez nierozwagę popadłszy w nieszczęście nie miała siły znieść go — odrzekła kobieta nie mogąc wstrzymać łez. — Nie dla siebie robiłam, poświęciłam wiele... Bóg ciężko mnie doświadczył na moje stare lata. Kiedy więc byłeś tak greczny, panie Pawle, jedźmy! Dla własnej spokojności chciałam jak najprędzej wywiedzieć się o wszystkim. Ach! Boże, Boże, co tu począć teraz z Marcelkiem, nie będę miała odwagi mówić z nim o tym.

— Niech wujenka mi pozwoli!

— Tylko ostrożnie, mój kochany panie Pawle, chłopczyna gotów jeszcze rozchorować się. Choć to w dostatki się nie opływało, zawsze jednak nie ma pojęcia o niedostatku, który nam grozi i przeszkodzić może jego karierze. Ja, dzięki Bogu, jeszcze jestem zdrowa i postaram się o obowiązek, choćby nawet gospodyni w porządnym jakim domu... ale on!

-- Także będzie musiał zabrać się do pracy na serio. Niech się wujenka nie obawia, aby tylko chciał, to mu bieda nie dokuczy!

— Niedobrześ zrobił, panie Pawle, żeś tak wyłajał Jabłuszkę, który w drobiazgach może korzystał z mojego zaufania, ale w dobroć sprawy tak wierzył na ślepo jak ja. Z takimi ludźmi trzeba zawsze ostrożnie, bo mogą zaszkodzić. Obrażony, gotów jeszcze natychmiast pobiec do Szczepańskich i nagadać na mnie, oczernić przed nimi... E, nie zrobi tego, sam przecie namawiał mnie — dodała po chwili milczenia, zieleńjąc jeszcze bardziej, a muskuły nad ustami drgały jej spazmatycznie.

Wkrótce stanąwszy przed narożną kamienicą na Senatorskiej ulicy, weszli na pierwsze piętro do adwokata, przyjaciela Pawła, który to przed zapadnięciem wyroku o tym interesie pisał list do niego.

Na tabliczce do drzwi przybitej wyczytała Kontrolerowa: „Felicjan Szyk, adwokat”. Służący z pierwszego pokoju, gdzie przy dużym stole pod oknem pracowało dwóch dependentów<sup>1</sup>, zaprowadził ich do salki skromnej, ale bardzo przyzwoicie umeblowanej. Wkrótce przybył do nich przystojny mężczyzna, w kwiecie wieku, wyrazistych oczu, twarzy łagodnej a myślącej, ruchów spokojnych i obejścia, w którym natychmiast odgadłeś prawdziwą uprzejmość i dobre wychowanie. Przez drzwi uchylone z jednej strony słychać było szczebiotanie dziecka. Kształtna twarzyczka pani adwokatowej z jasnymi lokami w zgrabnym czepeczku wyjrzała na chwilę, uśmiechnęła się do męża, przyjaźnie kiwnęła Pawłowi — i drzwi się przykłuły. Z drugiej strony był gabinet i pracownia: pan Szyk poprosił tam przybyłych. Szkolny jeszcze kolega i przyjaciel Pawła, najbezinteresowniej namozolił się nad wyrozumieniem zawiłej sprawy. Jak to donosił w liście, przewertował mnóstwo akt, w hipotece prus-

### **1 odbywających praktykę prawniczą u adwokata lub u rejenta.**

kiej szukać musiał klucza do zagadki, której ofiarą padła klientka Jabłuszki.

— Pani dobrodziejka zapewne pragnęłaby zasięgnąć rady, czy od dzisiejszego wyroku, którego brzmienie i motywa są mi dobrze wiadome, można odwołać się do Senatu? — zapytał ze współczuciem i uszanowaniem.

— Tak jest, panie dobrodzieju! Po wyłożeniu tytułu kosztów i zachodów odstąpić nagle od interesu, który mnie prawie rujnuje, bez nadziei odebrania kiedykolwiek należności najświęciej i najszlachetniej mnie przypadającej, to niepodobieństwo!

— Sprawa ta wprawdzie kwalifikuje się do Senatu, ale chyba pani dobrodziejka życzy sobie ponieść jeszcze więcej kosztów nadaremnych, bo wyrok apelacji Senat może tylko potwierdzić, jak to pani powie każdy prawnik, choćby tylko najpospieszniej istotę sprawy rozpoznał.

— Ach! panie, to okropność!

— Łaskawa pani! Nie dziwię się bynajmniej, że osoba z pani rozumem, wychowaniem i wyobrażeniami, powodowana nadto przywiązaniem macierzyńskim (a syna pani dobrodziejki mam także zaszczyt znać osobiście jeszcze ze szkół), zawierzyła pozorom interesu, który oszuści przedstawiali tak korzystnie, że nawet człowiek obeznany z przepisami prawa, czego od damy choćby najrozumniejszej wymagać nie podobna... otrząskany z wybiegami pieniactwa, dałby się ułudzie i poświęciłby znacznie więcej niż pani dobrodziejka.

— Chcesz mnie pan pocieszyć po nierozwadze i niebaczności, jakiej w moim wieku nie godziło się dopuścić.

— Owszem, pani dobrodziejko; niedawno temu miałem klienta, co w podobny sposób nie dwadzieścia kil-

ka, ale ośmdziesiąt tysięcy zaryzykował i ani grosza nie odzyskał — odparł adwokat usiłując oszczędzić koniecznie miłość własną nieszczęśliwej matki.

— Ależ, panie dobrodzieju, czyż podobna zaprzeczyć istnieniu Wilczego Dołku?

— Temu nie przeczę.

— Oglądałam mapę tej posiadłości jeszcze z czasów pruskich najdokładniej wykonaną.

— I to być może, łaskawa pani.

— Czytałam na własne oczy w hipotece, że suma 80 000 z procentami zabezpieczona jest na Wilczym Dołku.

— Tak jest, pani! Hipoteka Wilczego Dołku istnieje i na niej suma jest zabezpieczona, ale rzecz się ma tak: Hipoteka pruska dóbr Kleniewskich obejmuje wprawdzie, że folwarczek czy też osadka Wilczy Dołek, mająca włókę i parę morgów rozciągłości, do nich należała.

— Nawet jeszcze dawniej, przed pruskimi czasami, zdaje mi się, w 1779 roku suma, którą nabyłam, oblatowana była w aktach ziemskich wiskich, jeśli się nie mylę, na imię Kościesz.

— Tak jest, pani, na imię Jana Męczykata Damazego Kościesz, komornika ciechanowskiego. W pruskiej zaś hipotece, w dziale czwartym, obok nr 7, suma 80 000 złp z procentami dla Anastazego Męczykata Kościesz, widocznie syna Męczykata, sposobem zastrzeżenia jest zapisana.

— Jak to, panie, na Wilczym Dołku?

— Tak jest, pani.

— Zdaje mi się, że hipoteka na całym kluczu była zapisana, panie dobrodzieju, i przecie dopiero za czasów Królestwa, po częściowej wyprzedaży rozmaitych włości na spłacenie wierzycieli rozmaitych, dostała się na hipotekę Wilczego Dołku.

— W tym właśnie mylnie zawiadomiono panią. Każdego czasu zajrzeć można do hipoteki pruskiej i przekonać się jak najdokładniej. Otóż Kościeszka ów czy to miał osobiste jakieś obowiązki dla starosty Kociubskiego i nie popierał praw swoich tak energicznie jak inni wierzyciele, dla sumy dosyć znacznej porzeczając na tak błażej rękami, jaką był wówczas Wilczy Dołek; czy też może Kociubski przed powstaniem konkursowej masy spłacił go z innych funduszków i zaniechał wykreślić z hipoteki Wilczego Dołka, tak niską wartość mającego: wszystko to do przypuszczenia.

— Ach, panie, zupełnie mi o tym inaczej mówiono.

— Niech wujenka będzie przekonana, że tak jest, jak pan Felicjan powiada — wtrącił Paweł.

— Dość więc, że od dzieci Anastazego Męczykata Kościeszki nabywa tę sumę niejaki Wilhelm Federputz, od Federputza Sebastian Gołasiewicz i odstępuje Mośkowi Sznapsfogel, który na imię żony bardzo tanio musiał nabyć, za nader lichą cenę najwyżej tysiąca kilkuset złotych, albo też przejął może w długu jakim, którego odbiór uważał za przepadły, albo najprędzej dla spekulacji, jak to zwykle Żydostwo, co zysku jeszcze tam dopatry, gdzie my widzimy oczywistą stratę. Za Królestwa, pani łaskawa, przy regulacji hipoteki, do uregulowania działu drugiego nikt się nie stawił i tylko niejaki Berek Piernik Majmones, pełnomocnik Sznapsfoglowej, zgłosił się chcąc uregulować na imię Sznapsfoglowej sumę 80 000 z procentami, zapisaną na hipotece pruskiej.

— Więc, panie dobrodzieju, zgłosił się jednakże.

— Tak jest, ale wydział hipoteczny decyzją z dnia 20 listopada 1822 r. rozpoznanie wniosku Majmonesa zawiesił aż do uregulowania tytułu własności i wylegitymowania się właścicieli.

— Przecież właściciele istnieli, panie łaskawy! Sama Sznapsfoglowa.

— Tak... ale właściciele do dziś dnia nie przyszli dopominać się o swoje prawa, dla tej najprostszej przyczyny, że Wilczego Dołku z powodu wezbrania Narwi i nadsypki nie ma na świecie.

— Jednakże w hipotece widziałam najwyraźniej tę sumę.

— To, co pani widziała, jest to, powtarzam, wniosek uczyniony przez Piernika Majmones w imieniu Sznapsfoglowej o uregulowanie na jej imię sumy 80 000 z procentami i treść, którą projektował do wykazu hipotecznego. Ale nie pokazano pani dobrodziejce ani decyzji wydziału hipotecznego zawieszającej rozpoznanie wniosku, ani też nie objaśniono, że nieruchomości, na której jest zabezpieczoną, warta jest zaledwie tysiąc kilkaset złp, przypuszczam — dwa tysiące, i do tego uległa klęsce, która wartość jej redukuje do zera.

— Tak więc wujenka nabyła sumę, niby rzeczywiście istniejącą, ale nie uregulowaną — wtrącił Paweł.

— A chociażby była uregulowana, chociażby, przypuszczam, nieszczęsny ów Wilczy Dołek wart był dzieśnięć tysięcy, to jeszcze nie ośmdziesiąt.

— Ach, panie dobrodzieju! widocznie Sznapsfoglowa, Borsucki, co mi nastreczył nabycie, i Jabłuszko wspólnie porozumieli się, aby mnie oszukać. Srogo mnie też Bóg ukarał za niebaczość — rzekła ciszej kobieta nie mogąc znowu łez powstrzymać.

— A gdyby wytoczyć proces kryminalny tym nikczemnikom, może by jeszcze można odzyskać jakąś częśćkę wyłożonych pieniędzy? — zapytał znów Paweł.

— Proces można wytoczyć, ale czy sądzisz, panie Pawle, że od takich ludzi wydostanie cośkolwiek? Żyjąc z oszustwa, przygotowani są zawsze na wszystkie następstwa. Wujenka twoja naraziłaby się tylko na

koszta, kłopoty, ambarasy, skargi o potwarz i mnóstwo nieprzyjemności, jakie dla mężczyzny uciążliwe byłoby znosić, a cóż dopiero dla kobiety!

— Dzięki panu składam najkorniejsze za radę tak sumienną i prawdziwie przyjacielską. Widzę aż nadto dobrze, że com utraciła, już nigdy nie odzyskam i po niewczasie dopiero uznaję, że tylko samej sobie winnam przypisywać winę w całym interesie, gdzienm ryzykowała cały prawie mój majątek, polegając z nadto na człowieku, którego wprawdzie znam od dawna i okazywał się zawsze chętny, usłużny i przychylny, ale z którym każdy postępowałby ostrożniej.

— Mówi pani pewno o panu Jabłuszce. Znany to i wytrawny matacz, który jednak ma tę zaletę, jak słyszałem — jeśli to godzi się nazwać zaletą — że się na mniejsze spekulacyjki od niejakiego czasu nie ciska i zawsze coś lepszego wyszperawszy zbyt rozgłośnych oszustw nie popełnia, tak jak wielu innych. Pani łaskawa! nie dziwię się bynajmniej, żeś pani padła ofiarą nędznej zgrai oszustów: najrozumniejszy człowiek bywa łatwowiernym.

— I najrozumniejszego właśnie najłatwiej nikczemność albo głupstwo, co często na jedno wychodzi, podejdzie, bo go znajduje nieprzygotowanym, bo się nie spodziewał, aby go podejść mogło. Trudna rada, wujenka droga! Tamto już na zawsze przepadło; teraz będziemy tylko radzić nad tym, aby się wydostać z kłopotów — i za pomocą bożą może się wydostaniem.

— Dziękuję panu jeszcze raz, żałuję, żeś dawniej nie miała przyjemności znać pana dobrodzieja — rzekła Gulmańcewiczowa wstając z widocznym wysileniem.

Pan Szyk pocałował ją w rękę, z uszanowaniem odprowadził do drzwi od salki, ale zaledwie kilka kroków postąpiła, zachwiała się i padła zemdlona.



Na łoskot, na krzyk adwokata i Pawła, który wiedząc, jak do serca wzięła nieszczęście swoje, zląkł się, czy to nie co gorszego od zemdlenia, wbiegła pani Szyk, służący i domownicy.

Podnieśli ją, położyli na kanapie, rozebrali, po doktora natychmiast posłano — ale wkrótce przyszedłszy do siebie zażenowała się nadzwyczaj i podniosła natychmiast. Mimo próśb gospodarstwa, żeby odpoczęła, a zwłaszcza też młodziutkiej pani domu, która z prawdziwym współczuciem krzątała się koło niej, nie chciała jednak dłużej pozostać, chociaż drżała na samą myśl o powrocie do domu.

— *Mon cher Monsieur Paul!* — mówiła w dorożce, kiedy już zbliżali się do Głębokiej, a zimno i gorąco ją przejmowało. — Jak to boleśnie narobić ambarasu obcym ludziom, jak ja tym państwu Szykom, a potem służyć jeszcze za przedmiot do rozmowy, która oczywiście obiegnie po całym kółku znajomych. Będą się litować i śmiać z mojej głupoty, której jednak nie spodziewałam się tak gorzko opłacić.

— Zaręczam wujence, że Szykowie są zanadto przyzwoici i delikatni, aby mieli rozgłaszać wypadek tak łatwy do zrozumienia w tym razie, co może obudzić tylko współczucie, przypuszczam litość, ale nigdy śmiechu.

— *Du lestépiej* niech od razu nieszczęście spadnie, niż żeby się sączyło kroplami i szpilkami zakłuwało, jak się to mówi po francusku — rzekła kobieta odwracając nagle oczy od domku Szczepaniaka, którego żółtawe ściany widać już było z daleka, a dym z komina, iskry z kuźni w pogodny dzień wysoko bujały w powietrzu.

— Wszakże Marcelek, kochana wujenko, jeszcze

**i zresztą.**

daje lekcje córce Szczepaniaka? — zagadnął Paweł, jakby budząc się z zamyślenia.

— Na nieszczęście! — zawołała drgnąwszy niespokojnie. • — Nie dziwię się chłopczynie, że mu przez czas niejaki naprzykrzyło się włóczyć taki kawał drogi i męczyć nad uczennicą nie bardzo pojętną, ale teraz znowu jak najregularniej przychodzi... Dobrze przeczucie miałeś, panie Pawle, przewidziałeś nieszczęście — dodała nagle — radząc mi, żeby Marcelek wyprowadził się od Jabłuszków. Czemu to ja przywiązałam się tak do tego kąta, gdzie tylko same przykrości mnie spotykały?... Byłeś też na nowym mieszkaniu Marcelka?

— Byłem... pokoik niewielki, ale tak przystrojony spręcikami i drobiażdżkami rozmaitymi, że wygląda nawet za elegancko, prędzej na kobiece niż na męskie mieszkanie.

— Marcelek bardzo jest porządny i dbały i, jak mógł, poprzykrywał biedę, która dopiero teraz będzie biedą prawdziwą — rzekła znowu z płaczem. — Jak też uważają go u radcostwa, u państwa Beleńskich — tylko szczerze, panie Pawle? — zapytała nagle, ocierając oczy.

• — Dobrze — odrzekł Paweł nie chcąc zmartwić wujenki najłżejszym odcieniem wątpliwości, która czasem nagabała go jednak w tym względzie.

Stanęła dorożka. Gulmańcewiczowa zatrzęsała się, kiedy kum Szczepan otworzył drzwiczki i pomógł jej wysiąść, a Marcysia wybiegła z sieni i pocałowała w rękę.

„Pocziwi ludziska, ani się spodziewają, jaka ich czeka niespodzianka” — pomyślał Paweł witając ich serdecznie.

— Wielmożna pani Kontrolerowo, panie budowniczcy, może państwo łaskawe wstąpią do nas na chwilę.

— Dziękuję i przepraszam, panie Szczepański, **ale** ak słaba jestem, że koniecznie potrzebuję spoczynku.

— O mój Boże! Może zgotować ziółek, co to kochana pani zwykle używa, albo po doktora postać? — zawołała troskliwie Marcysia.

Paweł, znacznie baczniejszy, odkąd dzień w dzień przebywał w towarzystwie kobiet, dostrzegł, że dziewczynka ma czerwone oczy i stroskaną minkę.

— Nim wielmożna pani pójdzie na górę, na chwileczkę jedną do nas — nastawał kowal otwierając drzwi i z pokornym ukłonem usuwając się lokatorce.

Gulmańcewiczowa, nie mogąc ociągać się dłużej, weszła, a za nią Paweł — Marcychna została w sieni, kowal przymknął drzwi i kiedy już usiedli, podrapawszy się w czuprynę siwiejącą coraz bardziej, nagle wpadł do pierwszej izby, wydostał z szafki buteleczkę z alembikiem, sporą tegoż lampkę od razu wysączył i przeżegnawszy się przed drzwiami, wrócił do gości.

— Choroba, jakieśmy się dawno nie widzieli, panie budowniczy! Rychtyk, widzi się, od pogrzebu ciotki Józłaka. Ho, ho, chłopaczek tera spaniał, dawno już nie był tu na Głębokiej... a ojciec Jakub nie zajrzał też przypadkiem w tych dniach do paniska?

— Owszem, był niedawno — odparł Paweł, niespokojnie patrząc na wujenkę, co jak na szpilkach siedziała.

— Z przeproszeniem wielmożnej pani Kontrolerowej, czy pan Marcin zdrów? — zagadnął Szczepaniak drapiąc się znów po czuprynie i rogatywkę z ręki do ręki przerzucając.

— O, zdrów, pewno tu dziś u państwa będzie — odrzekł mu szybko Paweł.

— Poczciwy, dobry pan... E, choroba tam z tymi wszystkimi udawaniami, niech ich najjaśniejsze pioru-

neczki roztrzaskają! — zawołał nagle, aż Gulmańcewiczowa na krześle podskoczyła. — Ja tam choćbym się wziął, nie potrafią ukryć, co mi na sercu ciąży... Wielmożna pani Kontrolerowo! wiem, że dzisiaj wielmożna pani proces przegrała w sądzie na Miodowej ulicy i śladno miarkują, jak to wielmożnej pani doskwiera Trudna, widać tak Bóg chciał, niechaj się święci Jegi wola!

— Bądź przekonany, panie Szczepański, że co *su* tyczy długu i zaręczenia, które byłeś łaskaw zrobić *d* mnie u Barbonesa...

— Jak też to państwo — zawsze państwo; prostych ludzi za nic nie ma — przerwał nagle kowal. — To już ja niby taki, co widząc, że ktoś zleci w dół, mam jeszcze zawalać dół kamieniem, żeby nie wylazł na górę. a choroba! To już widząc panią w nieszczęściu, mar jak Żyd wydzierać pani ostatek i dusić od ranka do nocy: oddaj no pieniądze!... Miarkowaliśmy ta zara z Marcychną, panie budowniczy, że pani Kontrolerów z tej beczki zacznie... Toćże my ludzie, wielmożna pani! Po Bogu a prawdzie, dziesięć tysięcy piechot, nie chodzi, ale niech ich tam najjaśniejsze piorunczki nie zatrzasną, żeby sobie łamać zaraz głowę i łamen tować... Czy tam prędzej, czy później 'odbiorę, dyc wiem, że mi pani krzywdy nie robi, a tymczasem będziemy sobie radzili, jak można, a choćby nawet tal ciężko było wielmożnej pani, żeby tam aż kiedyś do piero, to...

— To niepodobieństwo — wtrącił Paweł. — Moż nie od razu, ale częściowo, poczciwy majstrze, wujenka upłaci wam wszystko w jak najkrótszym przeciągu czasu.

— Aj choroba, choroba! Gdybyśmy byli obcy, ba to co innego... Aleć my przecie, pani Kontrolerowo jakby już swoi... Marcychną, biedactwo, to, nie przy

merzając, przywiązana do wielmożnej pani jakby do natki, a napłakało się to dzisiaj, niebożę, napłakało, dedy nam doniósł psiawiara Bertones, że proces przegrany.

— Poczciwa panna Szczepańska, poczciwiście Luizie! Niech was Bóg nagrodzi! — zawołała z mimowolnym okrzykiem wdzięczności Gulmańcewiczowa, :tóra piąte przez dziesiąte rozumiała tylko, co kowal owiadał, tak jej szumiało w uszach, a dreszcze coraz zęściej przebiegały.

— Wielmożna, kochana pani, adyc pan Marcin to akby już nasz, i mielibyśmy jeszcze dręczyć panią...

Boże Panie, toć by to choroba z takimi ludźmi! •— awołał Szczepaniak ze łzami w oczach, całując ją r rękę serdecznie, a potem z wiejska pokłonił się jej lo nóg, Pawła chciał w ramię pocałować, ale Paweł ofale go uściskał. — Kochany panie budowniczy, anisko miarkuje, jak to człeku miło, kiedy się tak akoś wygada... jakby mi spadł kamień, tak mi przedem ciężko było na sercu, a teraz jak piórko człek lekki swobodny.

„Święta bieda i praca! Jak dobry anioł czuwa po nacierzyńsku nad mędrcom i prostakiem, nigdy go nie odrze z uroku swojego, zawsze mu zachowa najświętszy dar człowieka: serce" — pomyślał Paweł odwracając się nagle do okna i czując, że mu się oczy wilżyły.

— A co tam, Maciusiu? — zagadnął kum Szczepan widząc, że olbrzym uchylił zwolna drzwi od pierwszej zby.

— A to ten — Bar-bo-ness-ness psu-brat gadał u Firykowej, przy pannie Marcychnie, że jakbyście mu na termin nie zapłacili, to przyś-przyśle komornika domek wam sprzedadzą... Gdyby to jego pieniądze, nówił, to by poczekał, ale to czyjeś inne... Wziąłem

bydlę za kołnierz i przerzuciłem przez parkan — mówił jękając się Maciuś.

— A niech cię najjaśniejsze piorunczki... gracko, Maciusiu! Zawołaj no panienki. Może by pani Kontrolerowa albo pan budowniczy łaskawie co przetręcili, bo pewno państwo jeszcze nie po obiedzie. Marcychna z Jakubowa zaraz się uwiną. Wielmożna pani nie pogardzi nami!

Gulmańcewiczowa, nie mogąc już dłużej wytrzymać, podziękowała kowalowi, powstała z największym wysiłeniem i wsparłszy się na Pawle i Marcysi, która niebawem nadbiegła, zaledwie miała siłę wejść po wscho-  
dach na górę.

— Ach! wołałabym prawie, *mon cher Paul*, żeby mi niegrzeczności nagadał, niż znosić tyle poniżenia, za-  
leżyć prawie jakby od łaski ludzi, nie przeczę, że uczci-  
wych, ale z którymi się nie mogę tak zbratać, jak  
pragną... Przyznasz sam, panie Pawle! — mówiła zo-  
stawszy z nim sam na sam na facjacie pod Opatrzno-  
ścią Boską, gdzie niedawno tyle dumnych i złudnych  
rojeń snuła z macierzyńską skwapliwością o przyszło-  
ści jedynaka.

— Cóż im teraz mogłabym oddać od razu? Zaledwie  
z największym wysiłeniem, sprzedawszy chyba kilka  
rzeczy, od sześciuset do ośmiuset złotych, jak to daleko  
jeszcze do dziesięciu tysięcy! A reszta gdzie? A dla  
Marcelka tymczasem skąd? Boże wielki, za surowa  
kara! — zawołała znów po chwili, pochylając głowę  
na poduszkę.

•— Owszem, wujenko kochana, i kilkaset złotych  
ma znaczenie, a dodawszy po dwieście złotych mie-  
sięcznie przez pół roku wypłacanych, czyli tysiąc  
dwieście złotych, którymi wujenka pozwolił mi słu-  
żyć sobie, to już pozostanie tylko ośm tysięcy — rzekł  
Paweł całując ją w rękę z uszanowaniem. — Nie po-

dobna, żeby tymczasem wujenka nie znalazła dla siebie jakiego zatrudnienia nauczycielskiego w Warszawie lub na wsi, kiedy wujenka gotowa poświęcić się mu znowu, i nie oszczędziła z emerytury i z honorarium do tysiąca złotych. Ja także spodziewam się latem zarobić więcej niż teraz, tak więc w przeciągu roku wypłacimy Szczepaniakowi najmniej cztery tysiące, a resztę, da Bóg, może jeszcze łatwiej zaspokoimy! Trzeba tylko ułożyć się z poczciwym wierzyicielem, który ufając nam, jak wujenka widziała, na wszystkie warunki z góry przystanie.

— Ach, *mon cher Monsieur Paul!* jesteś za dobry i za łaskaw na mnie! Bóg ci nagrodzi, żeś ulitował się nad biedną kobietą, z którą nie masz żadnego obowiązku dzielić się szczupłymi dochodami, i to jeszcze na spłacenie niedorzecznych jej spekulacji. Wiem i tak, że ci podobno winien coś Marcel — rzekła przytykając chustkę do oczu.

— Dzieciństwo, wujenko, kilkaset złotych.

— Jak to, aż kilkaset?... Prawda, mówił mi, przypominam sobie, podczas mojego pobytu na wsi i choroby jego dopomogłeś mu, zacny panie Pawle! — skłamała nagle kobieta, której Marcel tylko o kilkunastu rublach wspomniał.

— Nie ma o czym mówić, wujenko! Trzeba tylko, żeby Marcel wziął się na serio do pracy; ma piękny charakter pisma, rysuje techniczne rysunki nienajgorzej, mógłby i na tym zarobić; ja sam dostarczę mu roboty. Tymczasem niech się zabierze do nauki, wkrótce pora zdać egzamin, a mówiąc szczerze, kochana wujenko, nie myśli nawet o nim i nie gotuje się zupełnie.

— O mój Boże, mój Boże! *Mon cher Monsieur Paul!* wpływaj też na Marcelka, o ile możesz; czuwać nad nim, on ciebie szanuje i usłucha, bo to najlep-

szy chłopiec, aby tylko z nim umieć postępować, prawda?

— Prawda, wujenko! — odparł zamyślony siostrzeniec potwierdzając machinalnie dobre mniemanie o synu.

Pogadawszy jeszcze z nią przez chwilę, pocieszając ile zdołał, odszedł nareszcie, unosząc w sercu miłe to wzruszenie, co po każdym dobrym uczynku podnosi je, wobec samego siebie uszlachetnia, w niebo dozwala patrzeć swobodniejszym, a w oczy bliźnich przyjaźniejszym wzrokiem.

Wdowa rozpłakała się dopiero na dobre w samotności najboleśniejszymi łzami — zawiedzionej nadziei i dumy upokorzonej. Chociaż nie mogła być niewdzięczną dla Pawła, rozmowa z nim, ofiarowana przysługa, szlachetność człowieka, co nigdy od niej grzeczności żadnej nie wymagał, ciężyla jej i poniżała, nadawała niezwykłą jakąś przewagę krewnemu, o tyle od niej młodszemu, stawiała go względem niej i syna w charakterze jakby opiekuna i dobroczyńcy — na co wszystko rad nierad trzeba było przystać... Bolała najbardziej, że nie mogła się rozmówić tak szczerze z Marcelkiem, że to nie synek ukochany, nie to wystrojone pieścidełko pomaga matce w ciężkim położeniu, pociesza radą zdrową i uczynkiem... Nie mogła jakoś otrząsnąć się z myślą, żeby ją i dziecko mogła czekać przyszłość bolesna tylko w pracy i ubóstwie, ale przypuszczając jakiś pomyślny traf, jakiś przychylniejszy promyk losu, czuła, że zanadto rachowała na zdrowie swoje i wytrzymałość wobec dolegliwości. W oczach émiło się coraz czarniej, w uszach szumiało coraz częściej, słabła tak gwałtownie, że zaledwie zdołała zawołać służącej i posłać po doktora.



### III

Wtedy tak na facjatce samotnie cierpiała Kontrolerowa, na dole tymczasem u Fidrykowej zebrali się goście niespodziani i szczupły sklepik trumniarki trząsał się od gwaru i wykrzyków rozlicznych.

— Ano, żal mi człeczyska. Mówiłem, że tak będzie. Jak sobie kto pościele, tak się i wyśpi. Łatwiej dać, trudniej odebrać — rzekł smutno kiwając głową ojciec Jakub, który przyszedł z Józiakiem odwiedzić przyjaciół na Głębokiej.

— Jednak i Żydzisko nie musiał grozić nadaremnie, a dziesięć tysięcy zapłacić od razu toć i dla kuma Szczepana nie podobna. Strzeżże, Panie Boże, żeby domek miał się dostać w cudze ręce, a jeszcze w żydowskie... zaraz wyprowadziłabym się, a tak się człowiek jakoś tu przyzwyczał. Widział to kto! co?

— Nie bój-bój-cie się, majst-strowa, tak siła znowu Żydowi za Gulmańcewiczową kum Szczepan nie winien: jużci za-wsze-wsze trzy czy cztery tysiące nie fraszki, ale Żydowi wara! — wtrącił Maciuś.

— Za swoje dobre pocziwy majster jeszcze musi cierpieć — dodał Józiak zamyślając się nagle.

— A jak pożyczysz znów od kogo, boć będzie musiał pożyczyć, najśładniej oczywiście od Żyda, ano, jak przyjdzie płacić procenta, tak się nie wygramoli z długów biedaczysko, a pono wieki będzie czekał, zanim ta dobrodziejka z facjatki zapłaci... No, bo jużci ona mu tam kapaniną coś zwróci, pan Sarmiewicz mi zaręczał, a co pan Sarmiewicz powie, to murowane... prawda, Józiak?

• — Kto wie, ojczye Jakubie, czy pan Sarmiewicz za Gulmańcewiczową sam nie myśli zapłacić i dlatego wam zaręczał.

— Ano, kto wie, może masz słuszną rację... skądżeby ten babsztyl, święty Boże, wziął pieniędzy, kiedy już na interes jej zabrakło i zapożyczyła się u drugich.

— A ma się wie, że to gołe jak święty turecki, głowę na trzy piętra nosi, a krzywdzi ludzi, kucharce za najmniejsze ździebko wytrąca, żywi jak bydło, i pcha, tylko pcha w tego synała lala, co Marcychnę bałamuci... albo nie, co? — zagadnęła Fidrykowa.

— Bałamu-ci-ci jak bałamuci, ale zawdy ją tam świdswidrygant oszwabia, bo dziewu-wucha patrz-trzy w niego jak w tę-czę-czę i be-czy-czy i wzdy-cha-cha. Aj, gdyby mi tak nie szło o kuma Szczę-szczepana, dopieroż bym mu karczy-czynę zamutrował, aźby popam-nię-niętał! •— zawołał Maciuś zasadzając olbrzymie, posmolone łapy za fartuch.

— Chodźmy do kuma Szczepana, ojczy Jakubie! — zawołał Józia.

— Ano, ja tam nie pójdę, nie wytrzymałbym, zdunderowałbym starego, myślałby jeszcze, że się naigravam... Jak tu przyjdzie, to zgoda! Ale ty idź, chłopaczku!

Józia w dwóch skokach przez sień całą wpadł do mieszkania kowala. Marcysia, zapłakana szyjąc przy oknie, smutno uśmiechnęła się do niego, za to kum Szczepan, który jeszcze na zmartwienie parę razy zajrzał do flaszeczki w pierwszej izbie, powitał go nader wesoło.

— A niechże cię, Józia, najjaśniejsze piorunczki nie zatrzasną, na jakiego to patrzysz panicza teraz! Ho, ho, ino ci wsiąść do kocza w cztery konie... Dobrze, chłopaczku, że dbasz o siebie. Patrz no, Marcys, jaki sobie kupił zegarek. To ty pewno dlatego już nie załazisz do nas! Musi upatrzyłeś jaką niebogę, a kosmato

prędko powitać \ co? Choroba, jak będziem hasać na weselu. Ja będę starszy družba, a Marcys druhá... Wytniemy na odsieb: Ejże, ino po skalmiersku, pas kowany, mój człęczysku — oj da dana, podkóweczki, chodźcie, dziewki, z całej wioski. Hu, ha! — zawołał stary ciskając rogatywkę w górę.

— Aj, przენajśódsze imię Jezu, macie też z czego się radować, kumie! Przenajświętsza Panno Sokalska! aż człeka gnaty bolą słuchać, jak się z własnej biedy i krzywdy śmiejecie — odezwał się ochrzypły głos Jakubowej, która z sieni wetknęła ciekawie głowę ni-by olbrzymi burak jaki.

— Schowajcie no, matko, do wszystkich czartów waszą fizgomonię i zakneblujcie ozór! — • wrzasnął gniewanie Szczepaniak. Nie wstając ze stołka, nogą drzwi zatrzasnął, aż Marcysia zadrgnęła przy oknie.

— Chciałem majstra kochanego prosić o jedną łaskę — rzekł kornie Józiak całując go w ramię.

— Gadaj, chłopaczkú, co każesz! — zapytał wychodząc z nim do pierwszej izby.

— Tylko powiedzcie naprzód... czy przystaniecie, czy nie?

— A choroba tam cię wie, mój bracie, co mi powiesz. Różnij, ino śmiało!

— Oto widzicie, biedne ciotczysko zostawiło mi parę tysięczyn. Mam, dzięki Bogu, sporo roboty i tyle mi płacą, co i drugi majster nie zarobi. Ogarnąłem się trocha i zostało mi jeszcze tysiąc kilkaset złotych, z którymi, dalibóg, nie wiem, co robić.

— A niechże cię najjaśniejsze piorunczki... to mi pan, nie wie, co robić z grosiwem!

**i wieszować komuś zawartego małżeństwa. Mówiono bowiem nieraz przy takiej okazji: „Witam kosmato, bogato!”**

— Jużci, kilkaset złotych zawdy mi się przyda, ale zrobilibyście mi największe dobrodziejstwo, majstrze, gdybym wam mógł pożyczyć ten tysiąc, dalibóg, nie wiem, co z nim począć. Słyszałem oto, że wam potrzeba pieniędzy, weźcie, majsterku pocziwy, a mnie odebrać za rok, za dwa, za trzy lata, wszystko jedno, wiem, że zawsze odbiorę.

— Józiak! Pocziwyś chłopak! Bóg cię pobłogosławi, moje dziecko! — zawołał Szczepaniak ściskając mu rękę i ocierając sobie oczy. — Z duszy serca bym wziął dawniej od ciebie tysiąc złotych, ale teraz, kiedy ździebko krucho, Bóg widzi, że nie mogę.

— Mój kumie Szczepanie!

— Ani w ząb!

— Majstrze najdroższy!

— A choroba, toćże wiesz, że ja hartowny, chłopaku, a kiej się uprę, to żeby najjaśniejsze piorunczki trzaskały, nie ustąpię... Marcys! — zawołał wracając z nim do drugiej izby — • widzisz, jak to uczciwych ludzi w nieszczęściu widać zawsze. Pan Józiak chciał mi oto pożyczyć tysiąc złotych. Bóg ci zapłać, mój synu! Lepiej uciuć sobie więcej grosiwa i załóż se warsztat jaki taki... Zawdy przecie lepiej być panem niż się wysługiwać u kogo... Każ no nam tam przynieść butelkę miodu, dziewczeczko, od Winawera z Mostowej, stukniem szklankami, panie majstrze... oho, bo ty będziesz majstrem niedługo i będzie ci się wiodło jak z płatka, i Bóg cię nigdy nie opuści, mój bracie!

Józiak się zarumienił, tak cudnie spoza mgły łez spojrziała nań Marcysia.

— Aj... choroba z tymi szlochami, przestańże już raz, dziewczyno! i prędzej miodu, bo mnie w gardle piecze! — zawołał kowal do córki. — Skądś to się dowiedział, Józiaku, że mnie potrzeba pieniędzy?

— Wstąpiliśmy z ojcem Jakubem do Fidrykowej i tam...

— To ojciec Jakub przyszedł także? A choroba... czemuż tu nie przylazł?

• — Widać, markotno mu, żeście w takie nieszczęście popadli!

— Choroba tam... Józiaku! Łacno zawsze złemu podejść ludzi, jak oto podeszli panią Kontrolerowę. Oj... żeby mi ino ten Jabłuszko popadł w ręce, dałżebym mu basarunek, ażby mu Kraków w ślipiach zabłyszczwał. Chodźmy do Fidrykowej! — • zawołał nagle i wszedłszy do sklepiku trumniarki, ze łzami w oczach opowiedział natychmiast wszystkim, że mu Józiak chciał pożyczyć tysiąc złotych.

— Ano, mówiłem wam zawsze, kumie, żeście oślepli i prawdziwych przyjaciół prześlepili. Może dopiero bieda oczy wam otworzy —• szepnął ojciec Jakub nadstawiając mu tabakierkę.

— Piśnijcie ino słówko, kumie, to i ja mam ci tam z łaski Boga trzysta złotych, nie pogardzicie, co? Bezpieczniej im będzie u was niż u mnie — zawołała Fidrykowa.

— Sto-sto dwa-dzie-dzieścia złotych uciu-ciu-łaałem ja także, maj-strze-strze, kiedy łas-łaska, weźcie — rzekł schylając się mu do nóg Maciuś.

— A choroba, choroba! Bóg wam zapłać, majstro-wa, Bóg ci zapłać, Maciusiu! Nie bójta się! Jeszcze człeczysko nie zginęło i poradzi sobie. Poczekajcie... Maciuś, każ Jakubowej przynieść jeszcze dwie butelki miodu! Chodźcie oto do mnie na bachandryję

— A ja kiszki usmażę! — zawołała majstrowa.

**1 na bachanalię, hulanke, libacje.**

— Ejże, ino po skalmiersku, pawie piórko, mój człeczysku! — słychać było głos kowala ze sieni.

Nagle zaturkotała dorożka. Otulony w płaszcz z pluszowym kołnierzem wysiadł Marcelek. W lakierowanych butach ostrożnie stąpał po zabłoconym bruku, a bojąc się jeszcze kilku kroków na ulicy, chciał przez sklepik przejść do sieni. Wszedłszy zapomniał schylić się, trącił o odrzwia i spadł mu kapelusz pod trumny. Na grzeczne powitanie wszyscy mu odpowiedzieli, ale po kapelusz nikt się nie ruszył. Skrzywiony, schylić się musiał sam i z boleścią serca zoczywszy, jak się kastorowe przykrywadło powalało i zakurzyło, otarł go rękawem od płaszcza.

— Ach! jak to dobrze, że pan przyjechałeś, *Monsieur Marcel*... mama pańska tak cierpiąca — zawołała rumieniąc się Marcysia, która wchodziła właśnie z ojcem do sklepiku. — Chodź pan zaraz na górę! — dodała żywo, biorąc go za rękę.

— Kochany nasz pan Marcin, a niechże panu Pan Bóg da zdrowie, żeś pan przyjechał — rzekł za córką Szczepaniak ściskając rękę elegantowi.

— Stary koń Pana Jezusa! — mruknął ojciec Jakub. „Nie ma co! W świat, w świat!” — pomyślał Józiak.

#### IV

W parę tygodni potem Paweł, nieco cierpiący, nie wychodził z rana od siebie i pochyliwszy mizerną, smutną twarz nad rajzbretem opracowywał projekt do wielkiego jednego gmachu, na który był ogłoszony konkurs. Nieśmiało zastukano do drzwi w pierwszym pokoju. Niechętnie poszedł otworzyć. Zoczywszy Józiaka powitał go szczerym okrzykiem:

— A, dawno nie widzianego!

— Przepraszam pana, że może przerywam robo-

ta, ale przyszedłem tylko na chwilę pożegnać się z panem budowniczym i prosić o błogosławieństwo na drogę — rzekł smutno chłopczyna całując go w ramię.

— Gdziez odjeżdżasz? — zapytał Paweł zdziwiony.

— Idę na wędrówkę, jak to zwykle w rzemiośle... czas mi na to, proszę pana budowniczego.

— Siadaj! Ależ teraz najgorsza pora, wilgoć, topiele, zimno jeszcze, poczekaj przynajmniej do końca kwietnia.

— Dla mnie to nic... proszę pana budowniczego. Już

mam zaświadczenie od gospody<sup>1</sup> i od cechu, dziś wychodzę.

— Skądże tak nagłe postanowienie?

— O, już dawniej, proszę pana budowniczego, zaraz po śmierci ciotki, kiedy mi strasznie było markotno, że się aż życie przykrzyło, chciałem iść na wędrowkę — odparł z westchnieniem. — Ale że to w zimie, więc myślałem: trza poczekać do wiosny! Teraz wiosna za pasem.

— Gdzie myślisz iść naprzód?

— Do Krakowa, proszę pana budowniczego, a potem za granicę.

— Ale siadajże! kiedyż wrócisz?

— Chciałbym za dwa, za trzy lata. Sporo warsztatów i robót trza obejrzeć.

— Wszystko to bardzo dobrze, mój bracie! Nie ganię bynajmniej twojej ciekawości, ale jestem prawie przekonany, że musiało ci, Józiaku, przytrafić się niedawno coś takiego, co przyspieszyło ten zamiar.

— Nic, proszę pana budowniczego — odparł smutno chłopczyzna.

— Wierzysz przecie, że jestem twoim przyjacielem?

— Ach! byłbym niegodziwym, gdybym nie wierzył! — zawołał Józiak i ze łzami w oczach chciał go pocałować w rękę, którą Paweł wydzierając natych-

**1 Gospoda była miejscem zgromadzeń czeladników. Lokal — koniecznie dwuizbowy — wynajmowano u uboższego majstra, który pełnił obowiązki ojca gospodniego i odpowiadał za spokój, bezpieczeństwo oraz przyzwoitość gospody, zwłaszcza w czasie zebrań, odbywających się w niedziele lub dni świąteczne. Gospoda stanowiła również rodzaj świetlicy, a nawet była punktem noclegowym dla czeladników chwilowo nie zatrudnionych albo przybyłych z wędrowki po obcych krajach. Działalność gospody była pod stałym nadzorem Urzędu Starszych, który wyznacza) majstrów na sesje w gospodzie.**



miast przez chwilę zamilkł, jakby czekał na wyznaczenie, ale chłopiec nie odezwał się.

— Czy ojcu Jakubowi nic o tym nie wspominałeś przedtem?

— Dopiero dzisiaj rano, proszę łaski pana. Wyszliśmy nawet razem, wstąpił na chwilę z puszką na pierwsze piętro i pewno tu zaraz przyjdzie.

— Idź więc w imię boże, moje dziecko, kiedy ci tu z nami przykro — dodał Paweł patrząc życzliwie w mówiące, wyraziste oczy chłopczyny. — • Byłbym najszczęśliwszy, gdybyś odniósł prawdziwą korzyść z wędrowki, wyszedł na pierwszego u nas rzemieślnika w swoim fachu. Pracuj więc po swojemu i z tą myślą, żeby się udoskonalić jak można najbardziej, a kochaj mnie i w każdym wypadku z największym zaufaniem odnoś się do mnie! Napiszesz przecie parę słów?

— Ach! panie budowniczy, kiedy pan pozwala... — zawołał Józia i rozpłakał się na dobre.

— Spodziewam się, że do nas zatęsknisz i że prędkiej wrócisz niż za trzy lata. Z twoimi zdolnościami, przy silnej woli prędko się nauczyć można wszystkiego — dodał Paweł, także wzruszony. • — Bądźże z pożegnaniem i u pani Beleńskiej, ale, ale, u kuma Szczepana?

— A jakżebym mógł nie pożegnać się z kumem i z Maciusiem? — odparł chłopczyna rumieniąc się nieco.

— A obrachowałeś się też, mój bracie? Starczy ci na drogę? Choć wiem, że roboty nie zabraknie nigdzie tak zdolnemu czeladnikowi, ale zawsze lepiej mieć pewność wszelką. Słuchaj, Józia! Gdyby, co Boże broń, jaki wypadek, choroba, piszże zaraz do mnie, pamiętaj! Zaradzimy tu, jak można będzie. A jakże teraz kasa podróżna?

— Panie budowniczy, nie zasłużyłem na tyle łaski; niech panu Bóg wszystko dobre daje! — zawołał Józiaak ciskając się mu do nóg.

— Józiaak! wstydź się, wstań, klęka się tylko przed Bogiem.

— Kiedy mam taką prośbę, że dopóty nie wstanę, dopóki mnie pan tego nie zrobi, o co będę prosił.

— Cóż takiego? wstańże, nie bądź dzieckiem! Mów! Paweł podniósł go prawie gwałtem z ziemi.

— Pan budowniczy zawsze dla drugich dobry, a dla siebie zły. Posłał pan dwieście złotych za panią Gulmańcewicz kumowi Szczepanowi i wiem, że co miesiąc będzie pan posyłał, a brak panu i garderoby, i bielizny... Niech się pan tylko nie obrazi! proszę łaski pana.

— Gadaj śmiało!

— Mam ze sobą na drogę kilkaset złotych, to i tak za wiele. Zostaje mi jeszcze tysiąc, który wiem, że by się przydał panu budowniczemu. Jak wrócę, to mi pan budowniczy odda... a nie wiem nawet, u kogo by zostawić. Nie pogardź pan! • — wyjąkał Józiaak zmieszany i zarumienił się jak dziewczyna.

— Więc chcesz niby mi pożyczyć, jak już ofiarowałeś Szczepaniakowi. Opowiadał mi to stary i ucieszyłem się nadzwyczaj, mój bracie, że masz tak poczciwe serce. Sam ci także z serca dziękuję, chociaż korzystać nie będę, bo za parę lat Bóg wie, co stać się może. Nie mam majątku, więc i zapewnienia żadnego; a nużbym umarł, skądbyś odebrał? Tysiąc złotych nie żarty... jeżeli jednak naprawdę chcesz w pewnych rękach zostawić pieniądze, poprosimy pana Beleńskie go i złożymy u niego na procent ośm od sta.

— Pan budowniczy pogardza mną! — rzekł smutn Józiaak.

— A to za co? za poczciwość twoje? — zawołał P

weł ściskając mu rękę serdecznie. — Daję ci słowo, nie wiem, co robić z własnymi pieniędzmi, kiedy mam czasem trocha... Toż bym sobie narobił kłopotu pilnując czyich! Poczekaj, zejdę na dół i poproszę zaraz Beleńskiego. Czy dziś chcesz odejść koniecznie?

\*— A już takem sobie postanowił, proszę pana, żeby ani chwili nie zwłóczyć!... Im prędzej, tym lepiej; chyba żeby pan kazał — odpowiedział chłopiec z głębokim westchnieniem.

— Kiedy więc tak koniecznie, to ci się przyda rajsc a j g M a m dwa, jeden musisz wziąć ode mnie na pamiątkę! I muszę przecie wychowańca mego odpro-wadzić choć na kolej! — zawołał Paweł obejmując go za szyję.

— Pan zawsze za dobry! A to na świecie takim ludziom niedobrze! — zawołał Józiak ze łzami.

— *Laudetur Jesus Chiistus!* — zabrzmiał niski głos zakonnika, który z twarzą szczególnie zadowoloną, ojcowskim jakby wzrokiem spojrzął na młodych przyjaciół.

— *In saecula!* ojcze Jakubie! Pogniewał się oto na nas Józiak i opuszcza na długo.

— Ano... tęskno ptaszynie wyfrunąć z gniazdeczka i pobujać, ale niech ino *dominatio vestía* nie obawia się, stęskni się ptaszę i powróci niedługo. Ano... młodemu takiemu, kiedy nieraz coś dogryzie w sercu, to i nie dziw, że się rwie w obce kraje, między innych ludzi. Uprze się, ani weź z nim! Co mu tam nawet wybijać z głowy, niech sobie lepiej sam wybije! Ano, aby się tylko nie popsuł, to i z korzyścią dla niego.

— Za Józiaka naszego ręczę, że czasu nie zmarnuje. Pracę lubi, do hulanki nie ma pociągu.

<sup>1</sup> komplet przyrządów do rysunków technicznych.

— Ano, niechże go Pan Bóg zachowa, panie budowniczy! I tak idzie między lutrów \*, gdyby jeszcze zaczął hulać, to byśmy go i nie poznali po powrocie, to jużby nie nasz był Józiak, prawda... *dominatio vestra?* A jakbyś mi, chłopaczku, zgubił szkaplerze poświęcane, co ci dałem, to mi się na oczy nie pokazuj!

— Nie bójcie się, ojcze Jakubie! Zawsze tu będą przy krzyżyku — rzekł chłopczyzna przykładając rękę do serca.

Wszedł nagle Beleński dowiedzieć się o zdrowie Pawła i na prośbę jego przyjął jak najchętniej kapitalik Józiaka, którego uderzające podobieństwo do nieboszczyka stryja żony on pierwszy dopatrzył — ale w dalszy bieg wypadków tyle tylko był wtajemniczony, że pani Aniela, jak się to jej często zdarzało, przez litość i dobroczynność, której nigdy nie stawiał tamy, dopomagała sierocie dając często rozmaite stolarskie roboty w pałacu i płacąc zawsze tyle, co żądał.

Umówiwszy się z Pawłem o godzinę, o której mieli razem odprowadzić wędrowca, ojciec Jakub dostawszy jeszcze parę złotych do puszeki od Beleńskiego, co w doskonałym był humorze, wyszedł z Józiakiem i schodząc na pierwsze piętro, powiedział żywo:

— Ano, Bóg widzi, nie przez złość, ale kiedy pani Beleńska coś tam napomknęła o Gulmańcewiczu, dosoliłem mu porządnie, tak jak na to zasłużył, ano i o matce jego nie zapomniałem, nie bój się! A kiedym jej powiedział, że pan Sarmiewicz, Bóg wie za jakie trzy grosze, spłaca po dwieście złotych miesięcznie, to jej łzy w oczach stanęły — pocziwa kobieta! Dała mi tu dla ciebie pamiątkę na drogę, chciała kilka dukatów do tego woreczka włożyć, ano powiedziałem,

<sup>1</sup> jednym z głównych celów wędrowek rzemieślniczych były Niemcy, w większości protestanckie.

że dosyć jednego. Idźże, podziękuj jaśnie pani, na dole poczekam na ciebie, uwiń się ino żwawo!

Józiak wkrótce wrócił wzruszony nadzwyczaj. Pani Aniela, co zawsze chętnie dopomogłaby protegowanemu Pawła nie przypuszczając nawet, że był jej naturalnym kuzynem, rozmawiała z nim teraz tak łaskawie, tak się ucieszyła, że u jej męża zostawił kapitałik, tak mu przyjaźnie i delikatnie życzyła wszelkiego powodzenia i rychłego powrotu, że to chłopca nie mogło nie rozrzewnić, nie rozczulić.

Grzybińska, odprowadzając go na wschody, kazała mu w imieniu pani, żeby do niej z zagranicy napisał, gdyby mu czego było potrzeba, i koniecznie wetknęła do ręki zawinięty papierek, który rozwiązawszy znalazł trzy dukaty.

Dnie jeszcze były bardzo krótkie, ostatni pociąg kolei odchodził o piątej, trzeba się było spieszyć. Kilka sprzętów pozostałych po Michałce darował Mateuszowej; rzeczy już popakowanych część miał odnieść do Maciucia, a część złożyć u ojca Jakuba. Co najpotrzebniejsze wzięwszy do felajzy<sup>1</sup>, przypasał ją po wędrowniczemu na plecy, wszedł do dorożki i kazał się zawieźć do Powązkowskich rogatek.

Na smętarni kląkłszy na wilgotnej ziemi, przed mogiłą uwieńczoną nieśmiertelnikami, obwiedzioną żelaznym prętem na słupkach kamiennych, z czarnym krzyżykiem jego własnej roboty, na którym imię, nazwisko i datę śmierci napisał, modlił się długo sierota. Wzywał ducha tej, co mu dawszy życie, na tak krótko tylko pocieszyła samotne serce uczuciem domowego ogniska, familijną serdecznością, której tak pragnął, tak był stworzony na dobrego syna, brata i krewnego, na pracownika w spokojnym kółku rodzinnym, goto-

**i do skórzanej torby podróżnej.**

wego na wszelkie poświęcenia dla szczęścia ukochanych.

Duch jej, przywołany potężnym zaklęciem łez, żalu i modlitwy, co z czystej, młodzieńczej duszy jasnym promieniem biegła, musiał unosić się opiekuńczo, czuwał nad synem, który nie wiedział, że się modli na matki grobie.

Zobowiązał datkiem pieniężnym grabarza i babę smętarną, żeby czysto utrzymywali mogiłę i nieśmiertelnikami wieńczyli — dał jeszcze na kilka mszy w kościółku powązkowskim i znowu od rogatek wsiadłszy do dorożki, stanął wkrótce przed domkiem na Głębokiej ulicy. Dreszcz go przebiegł, serce żywiej bić zaczęło, kiedy otwierał drzwi do mieszkania kowala. Słychać tam było jakąś sprzeczkę: brzmiały głos Szczepaniaka i szlochanie Marcysi — chciał cofnąć się, pożegnać tymczasem Maciusia i Fidrykową, ale drzwi skrzypnęły, wszedł.

— Choroba... któż tam znowu? A to ty, Józiak! Dobrze, żeś przyszedł, chłopaczku, pomożesz mi oto zrachować, co się za robotę należy i siła tam trza będzie dopłacić jeszcze na ten miesiąc Chałkowi. Cóż to, u stu najsiarczystszych piorunczków! Tłumoczek na plecach i buty długie? Patrzej no, Marcychna! Gdzież się to wybierasz?

• — Przyszedłem właśnie pożegnać się z wami i prosić o błogosławieństwo, bo idę na wędrówkę.

— Jak to, dzisiaj? A daleko? kiedy wrócisz? Skądże to znowu tak nagle, chłopczyku? Co się stało? choroba!

Tymi i tym podobnymi zapytaniami zarzucił go kowal, zdziwiony i wzruszony widocznie, kiedy się dowiedział, że Józiak nie tak prędko myśli powrócić. Jakoś mu się to w głowie nie mogło pomieścić, że go nie będzie już widywał przynajmniej raz na miesiąc,

posłał zaraz Jakubowa po Macieja i trumniarkę. Dziwili się wszyscy, nie wyjmując Marcysi, która mizerna była nadzwyczaj; odradzali mówiąc, żeby na potem odłożył, wierzyć nie chcieli — i przekonawszy się nareszcie o nieodwołalnym postanowieniu Sierockiego, z najwyższym współczuciem wypytywali się o najmniejsze szczegóły, jakby ich najbliższy krewny jaki, syn albo brat opuszczał.

Kto nie przyjrzał się dokładniej pracowitej klasie rzemieślniczej, zwłaszcza z naszego plemienia, pojąć nie zdoła, ile tam serca: nie w mowie, ale w czynie — chętnego i gorącego; ile przyjaźni, troskliwości i pieczołowitości doznaje człowiek spod ich chorągwi, dla którego są przychylni. Może w żadnym możliwym ani średnim nawet domu nie przyjmują ani żegnają krewnego lub przyjaciela tak bratnio, gościnnie, nie troszczą się o niego tak żywo i prawdziwie jak stosunkowo u nich o człowieka, co z nimi pracował i chleb ich pożywał.

— A choroba... Marcys, Jakubowa! Uwińcie no się duchem! Toć to chłopczyk biegało pewno przez cały dzień, głodny jak wilk. Maciuś, pchnij no Kubę po miodu flaszkę i po piwo. O! kiedyś taki zuch, że od nas odchodzisz, to niech cię najjaśniejsze piorunczki, nie puszczą cię na sucho.

— Na drogę nie zaszkodzi posilić się, panie Józwie, nie zawadzi, co? — wtrąciła Fidrykowa.

— Odprowadzimy pana Józefa — szepnęła Marcysia, której nigdy jakoś Józiak nie wydał się tak przystojnym jak w tych palonych butach, z thimoczkiem na plecach i kijem sękatym w ręku. Może w delikatnej jego twarzy, w wyrazistym wzroku postanowienie to naznaczyło się bardziej męskim, energiczniejszym rysem.

Lubiąc go jak brata, jak krewnego, pewno dziew-

czynka wiedziała, że go jej obojętność skłania najbardziej do opuszczenia Warszawy. Zresztą, puszczał się sam aż za granicę, Bóg wie, kiedy miał wrócić. Każda kobieta sympatyzuje mniej więcej z niezwykłością każdą; wrażenie na niej wywiera najmniejszy wypadek, różny od codziennych wydarzeń; tym bardziej, jeśli ta nadzwyczajność lub wypadek tyczy się człowieka, którego lubi lub zna od dawna.

— A ma się wie, że odprowadzim. Ho, ho, mospanie, nakładziemy mu w uszy, żeby tam, choroba, z Miemką jaką się nie ożenił, mieszanych pędraków nie przywoził tutaj, choć mogą z nich być niezłe ludzie, jak nie przymierzając synek Fidrykowej, i — żeby powrócił, nim jeszcze gicały wyciągnę, boć to nie wiadomo, jak i kiedy komu sądzono.

— Co też gadacie, majstrze!

— Pamiętaj, Józiak, żebyś mi tu wrócił, nim jeszcze człeczysko do świętej ziemi wróci, żebyśmy przy tym stole z Fidrykowa, z Maciusiem, z tobą palnęli jeszcze po kieliszku. Marcychna, to tam wiesz, jak zwykle dziewczucha, jużcić jej lepiej, im prędzej z domu — ale nie bój się, choćby była panią całą gębą, choroba — jakżebym ją naszwejsował, gdyby cię nie przywitała jak brata, mój chłopie! Ho, ho, mospanie, mniejsza tam o kogo! — zawołał, zasępiając się, stary — ale żeby mi dziecko moje miało wstydać się swoich, jak o to nie trudno, wiesz, Józiaku — to niechżeby ją najsiarczystsze piorunczki zatrzaskały!

— Niesłusznie wspominać nawet, kumie Szczepanie — panna Marcjanna za poczciwa, za dobre ma serce — rzekł Józiak i choć zarumieniony, ośmielił się jednak spojrzeć na majstrównę, która także raczka spiekłszy nie mogła wytrzymać jego wzroku.

— • Tak się ino mówi, chłopaczk! Choroba, żeby mi to naprawdę we łbie powstało — mówił stary zamyśla-



jąc się znów ponuro. — Ale komu w. drogę, to i czas. Kobiety! prędeż, dajcie no co przetrącić. Fidrykowa! ino jak w obraz patrzycie w Józiaka, jakbyście go nie znali, pomóżcie no im, majsterkowo! — wołał kowal zrzucając żwawo fartuch i przywdziewając kapotę.

Rad nierad, Józiak musiał wpakować w siebie sporo jadła, zalać to piwem i miodem. Ostatnie spojrzenie zwracając na Wisłę, kuźnię, podwórko, napis na domku nad facjatką, pożegnawszy rudego Fidryczka, niemowę i wszystkich kowalczyków, z całą czeredą wyruszył w miasto. Ojciec Jakub z Pawłem czekał na niego w klasztorze, gdzie Paweł poszedł odwiedzić prowincjała. Wzięli wszyscy dorożki i wkrótce zajęchali do debarkaderu<sup>1</sup>, gdzie jeszcze kilku czeladników, współkolegów wędrowca, zebrało się pożegnać go.

Opatrzność Boża, której tak wzywała dlań Michałka, do której modlił się tak często, widocznie błogosławiła sierocie. Tak liczne grono życzliwych, któremu Paweł dodawał świetności, pozyskane najgodniej tylko własną dobrocią i zacnością, to rodzina, za którą niejeden z tych, co to liczą na setki ciotek, stryjasków, kuzynów, dalszych i bliższych, oddałby chętnie połowę paranteli, może i całą, prócz matki i ojca, prócz rodzeństwa, którego nikt i nic nie zdoła zastąpić. Zresztą chłopiec tak był zaopatrzony na drogę co do kieszeni i nawet głowy, gdzie przy wrodzonych zdolnościach i nieśmiałości dużo było trafnego pojęcia i sądu o rzeczach, a nawet niejakich wiadomości, które pamięć młodzieńcza wiernie zachowała, że niejeden artysta wybiera się nieraz za granicę dla ukształcenia z mniejszym znacznie zasobem niż ten

<sup>1</sup> peronu kolei żelaznej.

rzemieślnik, którego marzenia i ambicja nie sięgały tak wysoko.

Dopieroż teraz życzenia i podarunków bez liku na drogę! Kum Szczepan dał mu inkluz \*: dwa złote polskie, które przez całą kampanię nosząc przy sobie, dotychczas zachował; Marcysia krzyżyczek srebrny; Fidrykowa tabakierkę po mężu i flaszeczkę śliwowicy; Maciuś nóż podróżny; a Jakubowa, zapewne w imieniu panny, spory kawał pieczeni i chleba zawinęła w papier. Nie wiedział chłopczyna, gdzie pochować to wszystko.

Gwiznęła para przeraźliwie.

— Pracuj, pamiętaj pisać do mnie i wracaj! — zawołał Paweł całując go serdecznie.

— A pamiętaj tam o szkaplerzach, pieszczochu! — mówił ojciec Jakub, któremu widocznie miękko się zrobiło na sercu.

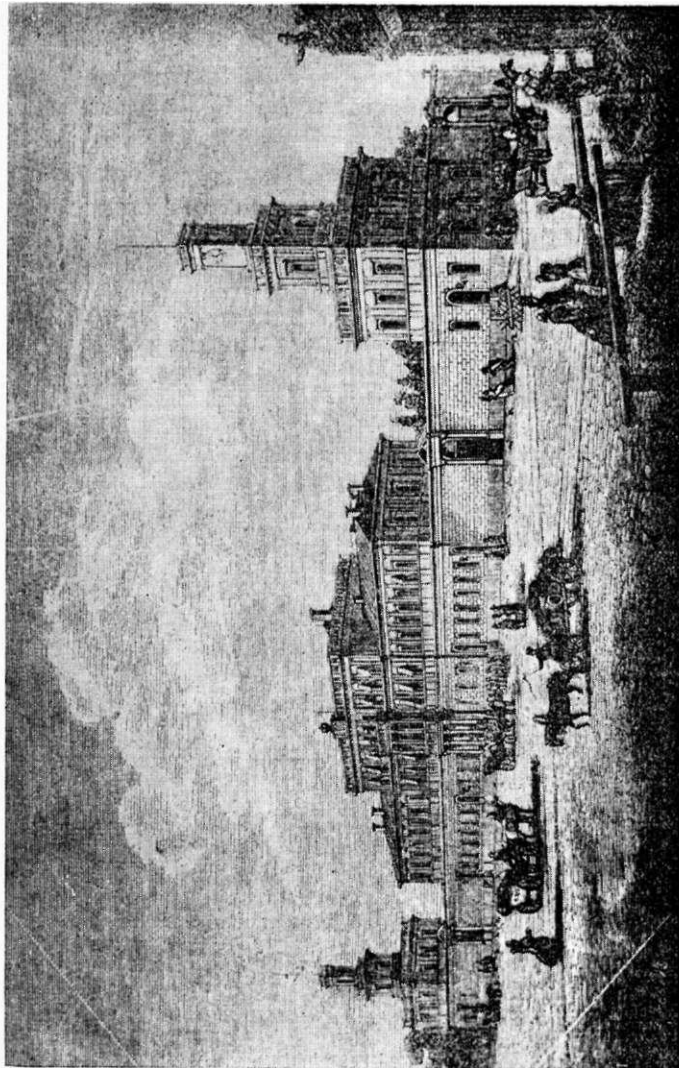
— Choroba, gdybyś mi nie wrócił, nim gicały wyciągnę, z tamtego świata bym ci dokuczał, pamiętaj, Józiak! — gadał kowal płacząc z nim razem.

— Proszę i o mnie nie zapomnieć, będę się modliła, żeby się powodziło jak najlepiej — dodała Marcysia, która ściskając go za rękę, byłaby mu najchętniej pozwoliła nie tylko na pulchnych paluszkach, ale na pulchniejszym buziaku złożyć braterski uścisk pożegnania.

— A daj Boże, żeby wam wszyscy, Józiaku, tak zawsze byli życzliwe jak ja, com was to od maleńkiego prawie wychowała, co? — zaintonowała płaczącym flecikiem Fidrykowa.

— A... nie bój się, Jó-ziak, prę-dze-dzej ten parparch ko-ko-ści wszystkie pogubi, niż się oż-ożeni, ino wra-caj i kup mi zegar-czynę tanio, to ci wró-

**i przedmiot rzekomo przynoszący szczęście posiadaczowi.**



cę-cę — szepnął Maciuś trzymając go długo w objęciach.

— Przenajświętsza Panno, widział to kto, już odjeżdża! — zawołała Jakubowa. — A jak będziecie za granicą, to bądźcie we Chrancji, ja tam byłam, choć to dawno temu. I w Ficzpanii byłam, kłaniajcie się tam w Paryżu od Jakubowej onze<sup>1</sup> regiment.

Gwizd przeraźliwy rozległ się jeszcze raz, cug<sup>2</sup> ruszył jak strzała, Józiak z daleka kiwał jeszcze czapką a każdy z obecnych życząc mu jak najlepiej, uczuł na prawdę brak jakiś, stratę chwilową a istotną, którą nć tym bożym świecie nie tak często uczuwamy po odjeździe i pożegnaniu bliższych znajomych, a nawe krewnych.

— Odwiozę was do domu, kumie Szczepanie. Man pilny interes do ciotki; może się od was niedługo wy prowadzi — rzekł Paweł.

— Jakto, pani Kontrolerowa? — zagadnęła Marcysia.

— Tak, pani! Trafia się wujence miejsce wcał dobre na guwernantkę i zarząd domu. W obecnym je położeniu nie ma się co wahać, 'sama mówiła, że przyjmie jak najchętniej.

— Jak to, pani Kontrolerowa, w tym wieku? Wszakże ma emeryturę?

— Choroba się tam pan budowniczy dogada z gąsiątkiem! Nie miarkujesz, widzisz, takich rzeczy, dziewczeczko! Praca nie wstyda nikogo.

— A zwłaszcza też kobietę rozumną, co tylko przez łatwowierność zaszkoziła państwu i sobie.

— E, nie ma o czym gadać, panie budowniczy!

**1 jedenasty.**

**2 pociąg.** Pierwsza kolej z Warszawy świeżo została wówczas doprowadzona do granicy zaboru austriackiego.

Z łaski pańskiej oto nie będzie mi krzywdy. Proszę też Boga, żeby panisku dał największą fortunę, bo panisko zasługuje na to.

— Nie pragnę — odrzekł Paweł, na którego Marcysia jakoś spod oka, zadąsana, spoglądać zaczęła.

## V

Panna Karolina po dwunasty raz przeczytała w „Magazynie Mód” anakrostyk, którego pierwsze litery, składające jej imię, cienisto wydrukowano. Było w tych wierszach coś o gwałtownym płomieniu tajnej miłości, o lilii-dziewicy, co zawsze piękna i czysta przejmując mimowolnym uwielbieniem czcieli, ale sama tkliwiej, litośniej nie spojrzy na żadnego, niestety — z trzema wykrzyknikami. Pierwszy raz w życiu zdarzyło się, że napisano dla niej wierszyk drukowany; toteż nad skargą zbolełego serca mile zadumała się, i gdyby w tej chwili autor skargi stanął przed nią, lilia ta, na łodydze nieco pękatej rosąca, spojrzaby nań z pewnością bardziej niż przychylnie z głębi srebrzystego kielicha.

Szczęście bywa nieraz diablo niedorzeczne i ulubieńców swoich na ślepo wybiera. Panna Karolina zwróciła istotnie uwagę na Gulmańcewicza, już to z nawyknięcia, bo każdego prawie znajomego magnetyzowała zwykle pięknymi oczyma, już z przeciwieństwa, bo młodzież, nie lubiąc go, przypinała mu ustawicznie łatki, które często u kobiet prędzej pomogą, niż zaszkodzą nieobecnemu; już wreszcie z konieczności, bo musiała zająć się kimkolwiek. Szwagier — to mąż jej siostry, Paweł — ideał nie w jej rodzaju, a cała młodzież wieczorowa tak była podobna do siebie: co do ruchów, obejścia, francuszczyzny (wyobrażeń nie badała), że Marcelek, mimo najszczęśliwszej chę-

ci, żeby im dorównać, wyróżniając się jednak od nich, oczywiście na gorsze, wydatniejszymi rysami nazna-  
czył się w jej wyobraźni, jako nowość odmienna od  
dawniejszych konkurentów. A zresztą, tak eleganckie-  
go hołubca wyciął kiedyś w mazurze, tak ją kiedyś  
zgrabnie wstrzymał, gdy o mało co nie padła z nie-  
zdarnym jakimś tancerzem — i szczęście, na które nie  
ma sposobu!

Odziedziczywszy po matce główkę nieco marzącą,  
jak zwykle Polki, a ustrój znacznie chłodniejszy, pan-  
na także roiła czasami po swojemu o czarach wielkie-  
go, prawdziwego uczucia, o którym z romansów czy-  
tywanych przez matkę i z rozmów ze starszymi  
i młodszymi kobietami nasłuchiwała się uniesień i wy-  
znań rozlicznych. Odrzucając z nich emancypacyjną,  
wówczas modną, wybujałość, której nie pojmowała,  
uparła się jednak, żeby jej serce zapłonęło tym nie-  
biańskim ogniem. Trafem, zawsze dziwniejszym w po-  
wieści niż w życiu, żaden z poprzednich konkurentów,  
mimo najszczerzej jej chęci, nie zdołał rozniecić te-  
go płomienia, którego w miarę przybywających latek  
nie czasami, ale często pragnęła.

Poznaje ją Gulmańcewicz, wyższe towarzystwo,  
gdzie się pierwszy raz znajdował, przejmując go dumą  
i radością; rozmowa z panną posażną, piękną i z dob-  
rej rodziny schlebia mu i wywiera wrażenie. Spryci-  
kiem praktycznym, przez mamę wszczepionym, bada,  
czyby się nie można spodobać tej pannie, czyby  
ostatni Gulmańcewicz nie mógł zostać przypadkiem  
wielkim człowiekiem — i zaprowadzić ją do ołtarza.  
Przy Marcysi i Domiceli z Papierowskich odbywszy  
już przygotowawczy kurs przypodobania, z pewną bie-  
głością zaczął ukradkiem przewracać oczy, wzdychać  
z głębi żołądka i rozczulać się na myśl o świetnych  
koligacjach i posagu. Podrzędne jego położenie, ku-

zynostwo z Pawłem, młodość, niczegowata powierzchowność, niby to skromność i lęklivość, a przy tym domniemane upodobanie w pracy umysłowej, łudzą pannę, że kto wie, czy to nie ów człowiek upragniony jak niewolnik schnać będzie dla niej z miłości, choćby nawet za kogo innego poszła za mąż; lub też po nadzwyczajnych wypadkach, jak rycerz średniowieczny, może otrzyma jej rękę.

Złudzenie to skłania ją najniewinniej, że parę razy oczy ich jakby się zrozumiały, westchnienie oddźwięknęło westchnieniu i ręce w tańcu spłotły się spójniej. Przytomni nie dostrzegali tych delikatnych zawiązków sympatii, których jeszcze subtelniejszych łągamentów<sup>1</sup> nieraz mamy, ciocie lub rówienniczki z anatomiczną biegłością dostrzegą, bo oboje mieli twarze nieruchliwe; zwykle nie mówili wiele, nie mieli też o czym, i jeszcze sobie drzemały ich serca, co gdy żywo biją, trudniej ukryć tajemnicę. Za lada poszeptem zazdrości lub niepokoju już po niej!

I jak tu walczyć ze szczęściem, kiedy z pewnością żaden z młodzieży wieczorowej nie ośmieliłby się tak prędko jak Gulmańcewicz, w sposób tak zwyczajny rozpocząć z panną Karoliną rolę zakochanego na serio ani też tak prędko w chusteczkę od nosa wetknąć po tańcu bilecik romansowy?

Pierwszy numer czułych odezw przyjęto, nie odpisano; popłynął drugi, trzeci, czwarty itd., ciągle bez odpowiedzi, nareszcie anakrostyk i prośba rozpaczliwa o parę słów jej dłonią skreślonych. Młodzika, nawykłego dotychczas do imponowania Marcysi, do pochlebstw Domiceli, zabiegi tak mało wynagradzane pobudzają niezwykle, gotów może naprawdę rozszałęć się w ogromie swego szczęścia i planów na przysz-

<sup>1</sup> więzi, wiązapeł.

łość. Drobne odcienia wzajemności z jej strony już wydają się mu pewnością i przewracają w głowie aż do pogardzenia Marcysią, aż nawet do lekceważenia Jabłuszkowej, z którą po wyprowadzeniu się z Mostowej i przegraniu procesu nie zerwał jednak przyjaznych stosunków.

„Panie, żądasz odpowiedzi” — zaczęła pisać po francusku Karolina w buduarze siostry i przekreśliła. „Panie, powinna bym gniewać się” — przekreśliła znowu. „Panie! Była to śmiałość z jego strony kłaść w mufkę podczas nabożeństwa bilecik, gdyby kto...”

Do salki tymczasem na palcach wszedł Staś, skwapliwie schwycił numer „Magazynu”, który zostawiła na kozetce. Wszyscy domowi czytali już anakrostyk do Karoliny, domyślając się nawet, że to do ich Karoliny, bo posłaniec jakiś, nie mówiąc od kogo, przyniósł to pismo, którego nie prenumerowali. Wyrostek wyjął z kieszeni podarte świstki jakiegoś zapisanego na brulion papieru, poszedł do sali bilardowej, poskładał — i porównawszy z anakrostykiem drukowanym, tryumfująco pobiegł do ojczyma.

— Przeczytajże teraz, papa, i przekonaj się! A co?

— Coś podobnego, coś... ten... zdaje się.

— Aha! wygrałem dwa ruble i jeszcze wygram dwa, bo jakem mówił tyle razy papie, słyszałem najwyraźniej, że to pan Sarmiewicz pisał, nie od siebie, tylko prosił go ten jego kuzyn Gulmańcewicz. Pan Sarmiewicz nawet odradzał mu — na własne uszy słyszałem.

— Wstydźże się, Stasiu, podsłuchiwać, ten, jakże? to niepięknie! Ale nie kłam no tylko, słyszałeś na... ten... naprawdę słyszałeś?

Nagle weszła pani Celestynowa: mąż i syn po studencku skęcili rozmowę na inny przedmiot, a brulion anakrostyku zniknął w kamizelce Celestyna, który po-



szedł natychmiast udzielić Beleńskiemu ważnego odkrycia.

Nie dość na tym! Uwzięło się widocznie przeznaczenie, żeby dramatyczniej wyszły na jaw zabiegi szczęśliwego Marcelka i tajemniczy powód melancholii panny. Aniela, będąc któregoś rana w kościele ze siostrą, ledwie zwróciła uwagę, że Gulmańcewicz uklonił się i zbliżył do ławki. Kiedy wychodziły, zbliżył się z odkrytą głową do ich powozu i przy wsiadaniu podał rękę. Oczywiście, odkłoniły się mu obie bardzo grzecznie.

Wracając z wizyt do domu, właśnie wtedy, kiedy Staś, jak Opatrzność czuwający nad siostrą, pokazywał anakrostyk Celestynowi, wysiadłszy z powozu, spotkała w bramie Domicelę z Papierowskich Jabłuszkową, która już od godziny czekając tam z Kociem, prosiła ją o chwilkę rozmowy sam na sam w ważnym interesie. Myśląc, że pewno prośba o wsparcie dla niej lub dla kogo, jak nieraz odwiedziny takie przyjmowała, poprosiła ją do buduaru swego. Panna Karolina przekreślała już tam dziesiąty brulion ważnej odpowiedzi.

Liczna służba, świetne apartamenta, odznaczająca się i spokojna powierzchowność Anieli zaimponowały żonie Baltazara; mimo bezczelności zmieszała się i nie wiedziała, od czego zacząć, ale wkrótce zdobywszy się na odwagę, mierząc spod oka panie domu i przez nawyknięcie oceniając na oko wartość jej kolczyków brylantowych, rzekła półgłosem po chwilowym zastanowieniu:

— Pani raczy się nie rozgniewać, że będę śmiało mówiła w interesie wprawdzie bardzo delikatnym, ale to nie w moim imieniu.

— Słucham.

— W domu państwa dobrodziejstwa bywa niejaki pan Marceli Gulmańcewicz... prawda?

— Brat wujeczny pana Sarmiewicza? Tak jest! bywa! — odparła Aniela ze zdumionym uśmiechem.

— Otóż pani łaskawa daruje, ale zamiast bezmiennego listu wolę wprost przestrzec panią, że po całym już mieście gadają, iż któraś z dam tutejszych jest dla niego przychylna, bardzo przychylna.

Aniela uśmiechnęła się patrząc na błyszczące, kocie oczy i ożywioną cerę Jabłuszkowej.

•— Wiedzą wszyscy, że pisuje listy, odbiera odpowiedzi i miewa nawet schadzki.

— Może z panną służącą albo młodszą, ode mnie lub od macochy. Dziękuję pani za przestrożę, każę Grzybińskiej pilnować tych dam — odrzekła Aniela jeszcze z uśmiechem i wstając dała do zrozumienia, że posłuchanie skończone.

— Pani łaskawa raczy mi nie brać za złe mojej śmiałości, bo tu idzie nie o mnie, ale może o życie narzeczonej pana Gulmańcewicza, dla której ma najświętsze obowiązki... Jest to panienka, prawda nie z wielkiego rodu, córka kowala Szczepaniaka z Głębokiej ulicy, ale bogobojne, pocziwe stworzenie. Będąc w tych dniach w kościele, wydało się jej zapewne, że którejś z pań pan Marcel najwyraźniej włożył w mufkę bilecik. Dowiedziawszy się prócz tego innych szczegółów śmiertelnie się rozchorowała, bo temu także nie można zaprzeczać, że pan Marcel od rana do wieczora chodzi pod oknami tego domu i cztery razy na dzień bywa u kogoś.

— Zapewne u kuzyna swojego, pana Sarmiewicza.

— Że pisuje listy... przepraszam panią, do jakiejś Karoliny! — zawołała Jabłuszkowa przesywając ją wzrokiem.

— To już widzi pani, że nie do mnie, bo mnie na

mię Aniela — odparła żartobliwie kobieta zastanawiając się nagle. — Prawda! pannie służącej od macochy na imię Karolina. Może więc to do niej! Porozumiej się pani z nią, to dobra dziewczyna i nie będzie chciała mieć na sumieniu choroby panny Szczepaniak. Żegnaj panią.

— Jaśnie wielmożna pani! — odezwała się pokornie Jabłuszkowa. — Dziwią się wszyscy, że człowiek tak niewdzięczny, fałszywy, zły syn, plotkarz, oszukaniec, którego matka wyłudziła u poczciwego kowala, ojca właśnie panny Szczepaniak, kilkanaście tysięcy — może bywać w takim domu jak u państwa. Pani mnie nie uwierzy może, ale przysięgam się na moje dzieci drobne, że widując go wieczorami w dorożce z jakąś damą zawołowaną, ludzkie języki nie lubiące oszczędzać, piękna rzecz, żeby szanownymi osobami pomiatać miały i nazwiska ich łączyły z takim niegodziwcem, który niezawodnie sam chwali się i rozgłasza nieprawdopodobne wieści.

— Któż pani jesteś?

— Krewna panny Szczepaniak, wdowa po urzędniku — odrzekła Jabłuszkowa zmyślając jakieś nazwisko.

— Racz więc pani zapewnić swoje kuzynkę, żeby była spokojna, bo gdybym dowiedziała się nawet, że przed którą ze służących moich pan Gulmańcewicz składa hołdy, zaręczam pani, że po tym wszystkim, coś mi pani powiedziała, oddałabym ją ze służby natychmiast. *Adieu!* — rzekła z tonem i gestem, po którym Domiceli z Papierowskich wypadało tylko jeszcze raz przeprosić, ukłonić się i odejść.

— A co, kuzynko? Może nieprawda, jakże się udało? — zapytał Kocio podając jej rękę na ulicy.

— Obtarłam mu nosek tak uczciwie, że, zdaje mi

się, przestanie go zadzierać na trzy piętra z przyjaciółmi.

— Do trzysta diabłów, nie gniewaj mnie, kuzynko, bo się pobijemy na ulicy! Ja nie chcę być jego przyjacielem.

\*

— Co to była za kobieta u ciebie, *Angélique*? — zapytał Beleński wchodząc do żony.

Aniela powiedziała, że ją proszono o protekcję i wsparcie. Nie chciała kompromitować Pawła, który kuzyna swego do ich domu wprowadził. Nie wiedząc zresztą, czy można wierzyć oskarżeniu nieznanemu, a przypuszczając możliwość listowania z jej siostrą, postanowiła rozmówić się z nią naprzód i — nasłuchawszy się prócz tego niemało szczegółów o Gulmańcewiczu od ojca Jakuba — delikatnie uśmierzyć niewczesną skłonność, o której z góry wiedziała, że nigdy dla panny niebezpieczną nie była.

— Prawda nareszcie wyszła na wierzch i jeżeli nie wiedziałaś, to nie domyśliłabyś się nigdy, kto jest owym tajemniczym Amadysem, panegirystą i zapewne korespondentem Karolci — rzekł Beleński, jakoś z kwaśną miną.

— Któż? Ciekawam?

— Ten... ten jakiś Gurmankiewicz, co go tylko dla pocziwego Pawła tolerowałem u nas na wieczorach. *Je vous avoue* <sup>1</sup>, gust Karolci nieszczególny — dodał krzywiąc się niesmacznie.

— Skądże dowody na to nowe podejrzenie?

— O! niezaprzeczone! I co najpociesniejsza, że Paweł, chociaż odradzał Gulmańkiewiczowi, przez powolność dla krewnego, której nie pochwalam, pisywa<sup>1</sup>

**1** wyznaję ci.

mu listy i anakrostyki. Łotr Staś wyszperał podarty brulion — dodał Beleński opowiadając jej szczegółowo całą okoliczność...

Aniela upewniła się teraz, że Gulmańcewicz mógł w kościele wsunąć do mufki bilecik.

— Wyznam szczerze... bądź co bądź, nie życzyłabym sobie mieć za szwagra tego pana. Czy mama wie już o tym? — zapytała żywo.

— Celestyn naradziwszy się ze mną poszedł z raportem, Staś z jego namowy skleił świstki wierszyków i dał je do przeczytania Karolci. Z początku będzie burza, ale potem niebo wypogodzi się i bez głębokiej żadnej dyplomacji, przepowiadam, że kto wie, czy melancholiczna lilia nie przeniesie powoli sentymentu na Sarmiewicza. Jakżebym się cieszył, gdyby tylko ów sentyment dłużej mógł potrwać — z Pawłem poradzilibyśmy powoli.

— Az jaką to kobiecą drobiazgowością lubicie się panowie tym wszystkim zajmować! Jakbyście najbardziej byli kontenci z tego, że można zużyć tyle czasu nad tworzeniem domysłów, wyśledzaniem szczegółów różnych, snuciem planików subtelnych. A zarzucacie kobietom, że się nimi zajmujemy zanadto! — rzekła Aniela, z uśmiechem podając mężowi rękę, który ją serdecznie do ust przycisnął.

Beleńskiemu nie można było zarzucać zbytecznego zniewieścienia, ale w niejednym towarzystwie w owych czasach, gdzie kobiety po męsku chciały rządzić, mężczyźni przystawali bez oporu na bierne role rozrywając się przy tym po babsku ploteczkami, intryżkami, drobiażdżkami powierzchownymi salonowości; męskość zaś najczęściej przypominali sobie tylko przy winie, kartach lub innych hulankach, którym tak gorączkowo wówczas hołdowano.

— *Voilà du nouveau!*<sup>1</sup> Otóż to następstwa, kiedy się przypuszcza do zbytnej poufałości takich ludzi jak na przykład Sarmiewicz, którego za wzór chcecie stawiać drugim. Wprowadził zaraz jakiegoś tam kuzyna, *un Dieu sait qui*<sup>2</sup> — i niby to skromniutki, lękliwy, jak powiadacie — musiał ukartować planik *avec ce Monsieur chose*<sup>3</sup>, kiedy pisywał za niego listy do Karolci, której zawsze piątej klepki brakowało — zawołała wbiegając Celestynowa, a czarne jej oczy miały błyskawice i pioruny, ilekroć wspomniała o Gulmańcewiczu. Zaledwie ją Beleńscy uprosili, znając jej gwałtowność, żeby nie nagadała Pawłowi niegrzeczności.

Widząc, że pobyt w Warszawie nie mógł żadnego konkurenta znęcić, a mógłby pannę skompromitować, postanowiła wyjechać niebawem ze stolicy i nawet zabrać syna. Zleciła Anieli wybadać córkę. Znając ją dobrze, nie chciała sama nadawać ważności w jej oczach temu wypadkowi i gniewem lub uporem podbudzać kaprys pięknej lilii, a do czasu odjazdu kazała służbie raz na zawsze nie przyjmować pana Gulmańcewicza.

## VI

Smutno było w mieszkaniu kowala na Głębokiej, kiedy Kontrolerowa przyjąwszy po ozdrowieniu kondycję, którą jej Paweł nastęrczył, musiała wyprowadzić się z facjatki pod Opatrznością Bożą. Kum Szczepan tak pokornie odebrał od niej na rzecz długu ośmset złotych i trzydzieści rubli Pawła, jakby to nie

1 to nowinal

2 Bóg wie, kogo.

\* z tym panem, o którym wiesz.

oyła powinność z jej strony, a łaska nadzwyczajna. Klaniając się do nóg wielmożnej pani, jeszcze błagał, ażeby nie troszczyła się zbyt o skrupulatną upłatę rat, na którą przystał od razu, i tylko siebie i córkę polecając jej łasce, dał do zrozumienia, że — aby tylko chciał jej synalek, a ona zezwoliła — gotów by zaraz oddać mu Marcysię. Odpowiedziano delikatnie, że jeszcze za młody, nie ma ustalonego położenia i że dla samego dobra Marcysi wypada konieczniej poczekać. Wydało się to kowalowi nader uczciwie i roztropnie i chociaż go niecierpliwiła zwłoka, tym więcej powziął szacunku dla łaskawej pani.

„Zubożawszy — myślał — wolała oto wziąć się po prostu do pracy niż zamieszkać natychmiast u dzieci i żyć spokojnie.”

Zgodziłby się na odbiór połowy długu, trzeciej części, może nawet poprzestałby tylko na tym tysiącu złotych, gdyby postanowienie Marcychny odbyć się mogło co najrychlej.

Fury wywiozły gratki i graciki, Kontrolerowa wsiadła do dorożki, Maciuś w sklepiku Fidrykowej, podskoczywszy z radości, palnął ciemieniem w pułap, aż wszystkie trumny zatrzeszczały i trumniarka wniebogłose wrzasnęła. Kum Szczepan przyłożył kułaka Jakubowej, gwałtem dopominającej się na piwo za znoszenie rzeczy, a Marcysia łzami rozczulenia oblewała jej ręce i w duchu złorzeczyła Pawłowi za to rozstanie, które się jej najgorszą wróżbą wydało.

Póki matka mieszkała, Marcelek dosyć regularnie przychodził na lekcje; jak się tylko wyprowadziła, odechciało się 'mu chodzić tak daleko, chociaż przeznorna Kontrolerowa prosiła go o to najwyraźniej. Ale od czasu przegrania procesu synalek, któremu parę razy odmówiono zasiłku, nie chciał być tak powolnym jak wprzód dla szanownej życiodawczyni i nawet

w obcowaniu z nią ciążyły mu coraz bardziej ustawiczne rady i przestrogi macierzyńskie.

Coraz więc smutniej było u kowala w izdebce po bielanej, z okienkiem wychodzącym na Wisłę. Ile razy kanarek, którego na pamiątkę Marcysi darowała Gulmańcewiczowa, zaszcebiotał w klatce, ile razy spojrzała na Przygody *Telemaka* i gramatykę Szapsala \ skąd ani jednej reguły dobrze nie pamiętała, łzy stawały w oczach dziewczęcia.

— A Przenajświętsza Panno Sokalska, toć panienka chyba fipstulę masz w oczach. Kap, kap i kap! Toćże by już Wisła od nich wezbrała. I czego tu tak beczyć ustawicznie? — mówiła Jakubowa.

— Tydzień cały już nie przychodzi.

— Adyć tydzień to nie miesiąc, przenajśłodsze imię Jezu! Warszawa to nie bór przecie. Chce Marcychna, pójdę do niego, choćby i dziś. Może zasłabł, może wyjechał na kilka dni.

— Mam jakieś przeczucie, że dziś może przyjdzie

— *Cesi bon!*<sup>1</sup> To otrzeję panienka slipki, Przenajświętsza Panno Sokalska!

Przechucie nie zawiodło ^Marcysi, nie przyszedł nuczyciel, ale wiadomość o nim.

Wieczorem, o zmroku, weszła do izdebki jakaś kobieta w ciemnej salopie, w wełnianej chustce na głowie zapytując, czy mieszka tu jeszcze pani Gulmańcewicz. Kiedy jej Marcysia odpowiedziała, kobieta widząc, że tylko we dwie są w izbie, szepnęła nagle:

— Tylkom się zamówiła do Gulmańcewiczowej, a przyszłam wprost do samej panny przestrzec po przyjacielsku, żebyś nie wierzyła panu Marcelowi,

<sup>1</sup> używaną wówczas gramatyką języka francuskiego.

<sup>2</sup> to dobrze.



który wiem, że tu u państwa bywa, a tak samo jak matka jego zwodzi was najniegodziwiej.

— Cóż też pani mówisz? — zawołała dziewczyna drżąc lekliwie przed nieznajomą, której wyraz każdy serce jej przeszywał, i z namiętnej jakiejś ciekawości, czego się więcej dowie.

— Pan Szczepaniak i panienska łudzicie się, że tu bywa w najuczciwszych zamiarach i że gotów się nawet ożenić... durzy was oszust nikczemny. U tych państwa, co go do nich wprowadził jego kuzyn Sarmiewicz, kocha się w jednej damie, której na imię Karolina. Widują go wieczorami po mieście z jakąś kobietą zawualowaną, pewno to z nią; może nawet swoim zwyczajem wyłudza pieniądze, a was tu nie ma za hetkę pętelkę. Prawda, że to prześliczna kobieta — ta dama, i nic dziwnego, że się może spodobać, ale co to za podłość kochać inną, a udawać przed inną, że kocha!...

— Nie wiem, co panią skłania do mówienia takich rzeczy przede mną... może złość jaka do państwa Gulmańcewiczów? Nie chcę wiedzieć o niczym i nie wierzę — rzekła Marcysia czując, jak jej mróz krąży koło serca.

— Znałam jeszcze nieboszczkę matkę panny, choć mnie panna nie pamiętasz, i przysłałam przestrzec po przyjacielsku... wolno wierzyć lub nie wierzyć. Damy te bywają zwykle na nabożeństwie w kościele u Karmelitów o jedenastej z rana, pan Marcel zawsze także o tej porze przychodzi i patrzy jak w obraz w tę swoją Karolinę. Możesz się panienska na własne oczy przekonać.

— Ale skąd pani znasz tak dobrze pana Marcela, wywiedziałaś się o tym i wtrącasz w nieswoje rzeczy? — zapytała Marcysia poczuwszy nagle w sobie gniew mimowolny. Wpatrując się w rysy kobiety,

których w mroku rozeznąć nie mogła dokładnie, zawołała na Jakubowa.

— Za dobre zwykle złem płacą, mniejsza o to, żeś mi tak panna odpowiedziała... dobranoc!

— Nie puszczę pani, musisz mi powiedzieć, coś za jedna.

— Nic pannie z tego nie przyjdzie — odrzekła kobieta.

Wyrwawszy rękę kowalczance wybiegła do sieni.

— Jakubowa! świecy, goń, chwytaj! — zawołała Marcysia wybiegając za nią.

Znikła jak kamfora.

— A toż co? gore? czy co? — zapytała Fidrykowa wychodząc ze świecą do sieni.

— Jakaś kobieta zamówiła się do nas i może co ukradła.

— Nie, nie widziałam żadnej kobiety, Marcysiu! — odparła i wracając do sklepu, drzwi za sobą na klucz przymknęła.

— A to dziewczyna jak skra, ledwom się jej wyrwała! — rzekła Domicela, ostrożnie z warsztatu zaglądając do sklepu.

— Mówiłam pani, że by lepiej było, gdybym ja to wszystko jej dokumentnie powiedziała... co? Narażać się niepotrzebnie, takiej pani!

— Co tam za pani! — wtrąciła niby dobrodusznie Domicela.

— Nic nie sz-szkodzi, toć-że byś-byśmy tu krzywdy nie dali zrobić, a zawsze-ć pani to lepiej wyjęzy-zyczyła — jąknął Maciuś podsuwając jej największą trumnę z całego zakładu zamiast stołka.

— Aby tylko dziewczyninie na dobre wyszło, aby sobie wybić mogła z głowy oszusta, który się po prostu z niej naigrawa, to każdego czasu, w jasny dzień, przy ludziach, to samo powtórzę. Znałam jej matkę,

choć ona tego nie pamięta, mam więc obowiązek poniekać.

— Ma się wie! Oj, ten ojciec Jakub. Jak on to wszystko wyszpera zaraz — co?

— A tak! powiadam państwu. W tym domu, gdzie jestem gospodynią, ojciec Jakub przychodzi po kweście i kiedyś zgadaliśmy się przypadkiem o małżeństwie Gulmańcewicza ze Szczepaniakówną... Aż mi się w głowie zawróciło na taką bezczelność!... Łotr kocha się w naszej pani, wieczorami jeździ dorożkami z jakąś kobietą i biedną dziewczynę śmie zwozić jeszcze. Tego już za wiele, paniczu!... Bóg wam zapłać. Nie znając mnie wcale, uwierzyliście mi i dopomogli.

— Kto tylko od ojca-ca Ja-ku-kuba przy-cho-cho-dzi, to już z dobrem, a nie ze z-ze złem.

— A zresztą my tu wszyscy wiemy, że Gulmańcewicz i jego matka starego Szczepaniaka ino na muchę brali — co?

— Dziewczyna teraz się pogniewa, a potem będzie mnie błogosławić... Bądźcie zdrowi, poczciwa majstro-wa, a jakby co zaszło jeszcze, to zgłoszę się tu do was: trzeba wyratować Marcysię!

— A i owszem... ile razy pani ino zechce.

— A to zu-zuch ja-kaś-kaś baba, niechże jej raj-raj-skie świece świe-świeca!

— • Bóg wie, co to za czort, Maciusiu? Jak wczoraj wpadła, jak zaczęła pytlować, to jej zara szczerze powiedziałam wszystko, co wiem i jak mi się widzi. Dziś znowu wpadła jak z procy, piorunem oto. Możemy źle zrobili... co? Nużby się kum Szczepan dowiedział, że ode mnie poszła do Marcysi... co?

— Aby ino ten cia-ciarach nie ba-ła-łamucił Marcychny, to wszystko dobrze, i kwita! — odparł zamorusany Maciuś uśmiechając się białymi jak u Murzyna

zębami do wdowy, która spoza trumien wydstawszy flaszeczkę, przepiła do niego sporą miarką.

„O... o paniczu, ze mną nie tak łatwa sprawa — mówiła sobie w myśli Domicela wzięwszy dorożkę na Nowym Mieście. — Nie tak, jak ty chcesz, ale tak, jak ja chcę, będziesz mi tańczył. Myślisz może, że ci pozwolę mizdrzyć się tam do jednej i do drugiej, ani będziesz wiedział, skąd bieda na cię spadnie, poczujesz ty moje pazurki, poczujesz dobrze!”

Na rogu Świętojerskiej i Freta kazała się zatrzymać dorożce, wyjrzała, klasnęła, ktoś stojący w sieni odklasnął ' i niebawem szczęśliwy synalek Barbary z Kalbfleischów, zbliżywszy się do dorożki, powitał czułym a dyskretnym wykrzyknikiem kuzynkę Kocia, swoje doradczynię i przyjaciółkę najlepszą.

\*

Namęczywszy się i napłakawszy przez noc całą, wierząc i nie wierząc, Marcysia pobiegła jednak nazajutrz z Jakubowa do kościoła Karmelitów i ukłuło ją coś w sercu, zoczywszy Marcelka kłaniającego się kobiecie tak pięknej, tak elegancko ubranej, że jeszcze nigdy w życiu nie widziała podobnej. Nagle chustka jednej upadła, Marcelek podniósł i włożył do mufki, leżącej na ławce. Duszo jej się zrobiło, chciałyby wyjść na świeże powietrze, coś ją więziło na miejscu; brzmiał organ, odprawiała się ofiara, chciała pomodlić się, a myśli zebrać nie mogła. Nareszcie kiedy ze łkaniem uchyliła czoła i smętna modlitwa jak pochylony kwiatek wykwitła z utrapionej duszy, nabożeństwo skończyło się właśnie, dwie piękne damy wstały i wychodziły, Marcel opodał za nimi. Obtarł się koło niej, koło Jakubowej, spojrzął i poznał niezawodnie, bo się aż cofnął, ale nagle odwróciwszy się wyszedł z kościoła. Widziała, jak im podawał rękę

do pojazdu. Kolana chwiały się pod nią, mrok biegł na oczy, zawrót do głowy. Wtem schwytał ją ktoś za rękę i głos przenikliwy szepnął do ucha:

— A co? Prawda, że piękna? Widziałas panna, jak jej włożył bielecik do mufki. Jeszcze w tych dniach dowiesz się więcej o tym nikczemniku.

Każdy z tych wyrazów jakby kropla ognista drażnił i ocucał dziewczynkę — odwróciła się, stała przy niej zawoalowana, młoda jeszcze i zdaje się przystojna, w przyzwoitym bardzo kapeluszu i salopie kobiecia. Oczy błyskały spod ciemnego tiulu żółtozielonym blaskiem, jak u kota.

— Nie martw się! On na to nie zasługuje, przekonasz się, podziękujesz mi potem! — dodała nagle i ścisnąwszy jej rękę zniknęła w tłumie.

Marcysia niby odurzona wróciła do domu i tak do wieczora chodziła jeszcze, męcząc się, łykając łyzy, walcząc ze sobą; na noc położywszy się do łóżka, z rana się obudziła tak osłabioną, że już wstać nie mogła. Rozwinęła się niedobra gorączka, doktor niepokoił się, dziewczynina, niktąc w oczach, ciągle coś majaczała o Marcelu, a Marcela ani na oko. Nareszcie któregoś ranka kum Szczepan wsiadł do dorożki i niespodzianie wszedłszy do mieszkania Gulmańcewicza zastał go jeszcze w łóżku.

— A choroba, panie Marcinie łaskawy, czyś pan czasem aby nie chory? — zapytał troskliwie, patrząc zachwycony po stancyjce upstrzonej mnóstwem drobniaków i na pozór wyglądającej prawie elegancko.

— A strzeżże mnie, Boże, czym zdrów! Toćże bym przyszedł na lekcje, kumie Szczepanie! — odparł Marcelek odgadując główny powód odwiedzin kowala — i zaczął udawać kaszel dosyć biegle.

— Mniejsza tam o lekcje, panie Marcinie, ale Mar-

cychna mi oto zaniemogła i okropniście zmizerowało się dziewczątko.

— A mój Boże! panna Marcjanna chora? Czemużecie mi nie donieśli zaraz, poczcwiwy kumie... Tak się nie godzi. Cóż jej takiego? Siadajcież z łaski swojej! Przecież niebezpieczeństwa nie ma?

— A niech no by też jeszcze! Człtek by już wytrzymać nie mógł. Ciągłe się tylko wali i wali na nas jedno za drugim, panie Marcynie! Pani Kontrolerowa przegrała sprawę, wyprowadziła się; teraz Marcychna chora... bodaj to najjaśniejsze piorunczki zatrzasły! — odparł smutno stary, którego pogłaskała jednak po sercu troskliwość i niespokojność Marcela o jedy-naczkę.

— Jak tylko będę zdrowszy, przyjadę natychmiast.

— A teraz nie mógłby oto pan Marcin wsiąść ze mną do dorożki i na dziebko czasu do nas, na Głębo-ką? Dziewuszcze zaraz by się polepszyło, najdroższy panie Marcynie — dodał stary całując go w ramię.

Uśmiechnął się mimo woli Marcel na ten oczywisty dowód miłosnej tęsknoty i rzekł najczulej:

— Strzeż że mnie, Boże, poczcwiwy kumie, czybym natychmiast nie pojechał z wami, gdybym się łąda chwila nie spodziewał doktora, który mi zabronił wstawać. Ale dziś wieczorkiem otulę się płaszczem i przylecę najniezawodniej. Kłaniajcie się tymczasem pannie Marcjannie! Jezus Maria! Widział to kto choro-wać tak młodej i pięknej pannie!

— Zdarzy się to każdemu, jak i panu oto... choroba z tą chorobą! A jak też tam panu się powodzi? — za-pytał kowal poufałej, uśmiechając się radośnie na obietnicę odwiedzin.

Wtem wszedł Kocio. Ze zwykłą grzecznością przy-witał Marcelka i od stóp do głów zmierzył zdziwionym okiem kowala, poufale siedzącego na sofie, który są-

dząc, że ten krostowaty jegomość, przyzwoicie ubrany, zapewne jakiś pan wioskowy, jeśli nie dygnitarz, a co najmniej doktor, wstał i potulnie przekładał rogatywkę z jednej do drugiej ręki, jakby czekając na rozkaz lub obstalunek.

— Do widzenia więc, panie Szczepaniak! — rzekł Marceli zmieniając nagle ton mowy. — Dzisiaj wieczorem, a co najpóźniej jutro, dotrzymam słowa... Proszę się kłaniać ode mnie! *adieu!*

Kum Szczepan nie śmiał mu nawet podać ręki, tylko pokornie ukłonił się obu i dopiero na wschodach zadumał się. Jakoś nie spodobało się mu to pożegnanie, tak różne od sposobu, w jaki go Marceli powitał.

— Pewno wierzyciel jaki! Udało się też zgrabnie odprawić? A może mieliście państwo interes i przeskodziłem? — zapytał jeszcze grzeczniej Kocio.

— To były gospodarz domu, gdzie, jak pan wiesz, mieszkałem kiedyś z mamą. Miał do mnie prośbę jedną.

— Znam ten dom, cóż to za klatka, to istotnie tylko chyba z mamą można było mieszkać... Prawdziwe wygnanie! A błoto, ani rusz!

•— Strzeżże mnie też, Panie, mieszkać jeszcze kiedykolwiek z mamą. Wyprzysiągłem się raz na zawsze.

— Może cygarkiem dobrym służyć można panu do brodziejowi? — dodał otwierając port-segarke napełnioną trabukosami<sup>1</sup>. — Idąc tu spotkałem Porucznika i napierał się koniecznie, żeby pana odwiedzić, wymówiłem się mu. Przyznam się, pragnąłbym sam zerwać raz na zawsze z tą figurą. Skądinąd wcale to człowiek niezły, ale towarzystwo jego, widzę, że nie dla mnie.

**i cygarami specjalnego gatunku.**

— *Ordinaire* cięty prawie zawsze, z plastrem na oku... Kiedy powita na ulicy, a idzie się z kim porządniejszym, to nie podobna mu odkłonić się — wtrącił Marcelek.

— Tak jest bez zaprzeczenia. Nieraz i ja, i szwagier, w którym pan masz zawsze nie tylko przyjaciela, ale wielbiciela, kładliśmy mu w uszy, ale gdzie tam! czym skorupa nasiąknie... Stary żołnierz, zawsze żołnierz. Jakże pańskie dwadzieścia rubelków od mamy, przypłynęło?

— Miałem być wczoraj, ale jakoś mi zeszło — odparł smętnie zapytany.

— O, z mamami to nie łatwa sprawa! Nie mam honoru znać pańskiej, ale miarkuję, że po przegraniu procesu, gdzie tyle pieniędzy po ojcu pana wydać musiała, tym trudniej. Szwagier ratował ją, jak mógł. Gdyby chciała posłuchać i iść do Senatu, to by jeszcze może się co tam okroiło, ale ktoś na niego nagadał, pogniewała się podobno. Zobaczysz pan, czy dobrze na tym wyjdzie!

— A strzeżże mnie, Boże Panie! Już to niech Pan Bóg broni, kiedy kobiety zajmą się interesami, zmarnieje wszystko! — wrzasnął Marcelek trzęsąc się z gniewu na myśl o straconych dwunastu tysiącach.

— Szkoda, że nie masz pan dwudziestu rubelków, moglibyśmy może dzisiaj przynajmniej zdublować.

— *Que taire, puisque je suis tant malheureux!*<sup>2</sup>

— Ale ja pana przypuszczę zawsze do czwartej części... I tak wielka grzeczność z pańskiej strony, że pozwalasz nam pan już trzeci raz zabawić się w swoim mieszkaniu. A że pewno chuda fara, jak się to każdemu zdarza, więc po koleżeńsku zostawię panu pięć

<sup>1</sup> **pospolity.**

<sup>2</sup> **cóż robić, przecież jestem tak nieszczęśliwy.**



rubli na świecę, wódkę, serdelki, chleb i tytoń. Potem się pokwitujemy. A kiedy będę zakładał, dam panu dwadzieścia rubli, żebyś dorzucił do banku. Zbierzemy się koło jedenastej, przyjdzie tu z nami może jeden młody, przystojny pan i bogaty chłopiec, z którym będziesz pan mógł mówić po francusku i nawet proszę pana o to — mówił żywo Kocio kładąc mu zgrabnie pięć rubli na umywalni przy łóżku.

— *Merci, mon cher Monsieur* Kocio! Chociaż to niepotrzebne, bo znalazłbym przecie *un peu de l'argent* K

— Nie chciałem obrażać pana, tylko po koleżeńsku, panie Gulmańcewicz!

— Strzeżże mnie, Panie! Przyjmę was u siebie jak najlepiej! — zawołał Marcelek ściskając mu rękę i zeskakując z łóżka.

— Bywasz pan w porządnych towarzystwach, masz stosunki z młodzieżą bogatszą. Żeby tu czasem który przyszedł rfa gierkę, to by nam obu lepiej się działo — rzekł Kocio grzecznie, przytrzymując mu rękę.

— *Je réfléchirai de cela*<sup>2</sup> — odparł Marcel.

\*

Z jakąż niecierpliwością wyglądał wieczora kum Szczepan! Chcąc zrobić Marcysi niespodziankę nie wspomniał jej o przyobiecanych odwiedzinach. Tymczasem przeminał wieczór i dzień następny; znowu wieczór jeden i drugi... Marcysia niby to zwolna przychodziła do zdrowia, ale oczy opuchłe czerwieniały od płaczu coraz bardziej, sine obwódki nie schodziły pod nimi. Milcząca, zadumana, machinalnie zajmując się gospodarstwem domowym, z kąta w kąt jàk cień się przesuwiała. Staremu krajało się serce... Myśląc..

**1 trochę pieniędzy.**

<sup>2</sup> **pomyślę nad tym.**

że może jeszcze Marcel nie wyzdrowiał, któregoś ranka wyprawił się znowu do niego. Nie zastał w domu, ale od przychodniego służącego, co zamiatał pokój, gdzie mnóstwo nie dopalonych cygar, skórek od serdelków, papierosów, rozsypanego tytoniu i kilka poniterek tułało się po podłodze — dowiedział się niechęcący, za pomocą złotówki, że pan Marcel zdrow jak ryba i nigdy nie śniło się mu chorować, że nadto wczorajszej nocy kilku panów bawiło się i grało u niego w karty w najlepsze.

— A choroba, w karty! niechże cię najjaśniejsze piorunczki nie zatrzasną! — wrzasnął kowal i palnawszy pięścią w stoliczek, wprawdzie lekki, natychmiast rozbił go na dwoje.

Służący, drżąc ze strachu, za późno dostrzegł, że może niepotrzebnie wygadał się przed tym jegomością, na pozór tak pokornym. Odetchnął dopiero, kiedy Szczepaniak, mimo kulawego gicała po parę schodów na raz przeskakując, wsiadł do dorożki i kazał pędzić na Senatorską ulicę ku bankowi. Wsiadł przed domem, gdzie na pierwszym piętrze, u zamożnych jedynych państwa, Barbara z Kalbfleischów zajmowała się pedagogiką i gospodarstwem. Po wielu utarczkach ze służbą dopuścili go nareszcie do szanownej pani Kontrolerowej, przed którą strapiiony ojciec, jako przed matką zięcia przyszłego, wypowiadał bez ogródki całe zmartwienie, domagając się tymczasem, aby wpłynęła na pana Marcela, który najlepszy pewno w gruncie chłopiec, tylko widocznie bałamuci się ze złymi ludźmi, kiedy u niego grywają w karty.

Kontrolerowa nie tylko miny nie straciła, ale owszem, od czasu przyjęcia obowiązków, znów rządząc uczniami i służącymi, podnosiła nosa jak to kiedyś, nim pierwszy raz pożyczyła od niego pieniędzy. Przyrzekła mu, że jej syn najniezawodniej go odwie-

dzi i będzie nadal udzielał lekcje pannie Szczepańskiej.

Nie poprzestawszy na tym kowal wpadł jeszcze do Pawła. Ten, korzystając nareszcie ze sposobności, tak samo prawie jak kiedyś ojciec Jakub u nieboszczki Michałki przy Józiaku — nieco tylko delikatniej — dał do zrozumienia staremu, żeby sobie wybił z głowy wszystkie zamiary co do córki i Marcelka, który ani myśli o niej, nie ma nic i o którym wręcz oświadcza, choć to bliski jego kuzyn, że by jej szczęścia nie potrafił zapewnić. Szczepaniak, szczerze szanując Pawła i wierząc mu tym bardziej, odkąd spłacał, Bóg wie za co, część długu za kuzynkę, strapił się srodze.

— To kubek w kubek panisko tak powiada, jak ojciec Jakub zawsze mi klekoce. A nuż mi dzieciak zamrze, panie budowniczy! Przywiązała się tak do niego, że to aż choroba! — zawołał stary ze łzami.

— E, Bóg łaskaw, majstrze, tak źle nie będzie. A zresztą któż by mógł wskazywać ojcu, jak ma z córką postępować? Tylko wam doradzam szczerze i z serca, że by było lepiej i dla niego, i dla was dać pokój temu wszystkiemu.

— Jużci, ma się wie, kiedy pan budowniczy tak mówi, to musi wie dlaczego — rzekł markotnie, drapiąc się po czuprynie. — Bodaj to najjaśniejsze piorunczki nie zatrasały! Jak to mówią, kiedy Bóg chce, żeby człek na starość oszalał, to mu najprzód rozum odejmie. Coś i mnie tak pono. Bóg zapłać panu budowniczemu za prawdę, ale zawsze jakoś próba nie zawadzi — i widzi mi się, że pan Marcin wróci do domu.

— Jak chcecie, poczciwy majstrze! Niech wraca! Daj Boże, aby tylko powrót ów był dla was pomyślny! — dodał Paweł ścisnąwszy mu rękę po bratersku.

„O, mój mocny Boże, mój mocny Boże! Za moje dobre — taka zapłata” — bolał w myśli Szczepaniak

wracając do domu. Nie śmiał spojrzeć na córkę, zrzedził, wrzeszczał w kuźni, aż czeladź i chłopcy w głowę zachodzili z zadziwienia.

Kontrolerowa, choć z jednej strony cieszyła się, że synalek jej zaniedbuje Szczepaniaków, skądinąd jednak rozgniewało ją, że jej prośby nie usłuchał. Dowiedziała się nadto od Pawła, że często go nie ma w biurze ani myśli przygotować się do egzaminu. Jak Szczepaniak, zażyła języka od służącego, że u niego dużo bywa osób i w karty czasem po nocach grywają. Załamawszy więc ręce poprosiła go nagłym listem, żeby do niej przyszedł natychmiast w ważnym interesie.

Stawił się najpункtualniej myśląc, że odmówione przedtem dwadzieścia rubelków dostanie może dzisiaj. Zbliżała się wiosna; lżejszy, modny paltonik jakżeby na nim leżał wybornie! Przywitał matkę czule, wyglądał tak pięknie w jej oczach, tak był elegancko ubrany, że zrazu zmiękczył rozczulone serce Barbary. W ciągu jednak rozmowy, kiedy zapytała się, czemu nie chodzi na lekcje do Szczepaniaków, zamknął jej usta mówiąc:

— *Ma cheie maman*, strzeżże mnie, Boże, żebym to mamie wyrzucił, ale sama mama napominała mnie kiedyś, żebym nie poufalił się z nimi zanadto. Teraz mnie znów mama do nich wyprawia. Bywając tu i ówdzie w przyzwoitych towarzystwach, jakże mama chce, żebym się włóczył po takich kątach, gdzie noga moja nie powinna była nigdy postać!

— Nie bywa w biurze Marcelek, nie przykłada się do nauki — to źle! Nie lubi pracy, a ja, widzisz, na starość jak wół zaprzęgam się i pracuję.

— Strzeżże mnie, Panie, powtarzam, żebym mamie wymawiał, ale gdyby mama nie zaryzykowała niepotrzebnie w tym procesie dwunastu tysięcy, to by nie

potrzebowała wysługiwać się u kogo. Myśli mama, że to przyjemnie?

— Ależ, moje dziecko, nie godzi się tak mówić z matką. Wszakże to nie dla siebie, ale dla ciebie... — odparła kobieta, której mimo całej grandezzy<sup>1</sup> Kalbfleischów łyzy biegły do gardła.

— Toteż, *ma chère maman*, ja nie wymawiam, a że do biura nie chodzę i nie przykładałam się do egzaminu, to przyznam się mamie, przekonałam się, że nie mam ani zdolności, ani powołania na architekta i nawet myślę wziąć się do czego innego — odparła beczelnie.

— Do czegoż byś myślał, Marcelku? — zapytała matka, której ciemno zrobiło się w oczach.

— Jeszcze nie wiem, *chère maman*, ale zdecyduję się wkrótce.

— Bywasz też u radcostwa i u państwa Beleńskich?

— Bywam, mamo, lecz pani radczyni chora i nie przyjmuje teraz nikogo.

— Słyszałam, że schodzi się u ciebie dosyć znajomych i grywacie sobie nawet podobno.

— Czasem partyjkę preferansa, tak jest! Wszystko to młódzież, com poznał u radcostwa i w wyższych towarzystwach.

— Marcelek prawdę mówi?

— A strzeżże mnie, Boże! Miałbym też jeszcze mówić nieprawdę przed mamą? Jak Boga kocham!

— A dłużków nie ma? rządzisz się dobrze tymi sto-  
ma złotymi, które ci co miesiąc posyłam?

— Jak najpiękniej, *chère maman*, tylko mi dziś koniecznie potrzeba dwudziestu rubli na dokompletowanie garderoby. Niech się mama ulituje nade mną i nie

**i postawy pełnej godności.**

odmówi! Ani się mama domyśla, jak mi koniecznie potrzebny porządny, a nawet wykwintny ubiór — dodał pieszczotliwie, całując ją w rękę.

— Oj ty, pieszczochu i filucie! Dam ci jeszcze piętnaście rubli, od ust sobie odejmuję, ale też Marcelek będzie za to greczny i pójdzie odwiedzić Szczepańskich na chwilę? — spytała podchwytliwie.

— Co się powiedziało — to na wiatr. Bez tego wszystkiego poszedłbym przecie, mamó, Marcysia chora! Ale kiedy mama tak łaskawa, to dziś jeszcze do nich pojedę.

— Niedobry syn z Marcelka! Do matki tylko po interes przychodzi. Więc na prośbę moją nie poszedłbyś, a za pieniądze to obiecujesz? Nie dam ani grosza!

— Czy mama naprawdę tak mówi?

• — Naprawdę, mój panie — odparła z macierzyńskim i pedagogicznym surowym spojrzeniem.

— To strzeżże mnie, Panie, żebym chciał obrażać, ale niech mama schowa morały dla uczennic swoich, wyrosłem już z tego, i gdyby mama dwunastu tysięcy nie utopiła w błocie, to bym pewno nie przychodził żebrać stu złotych.

— Aj, niedobre dziecko, niech ci Bóg wybaczy, jak mi dokuczyłeś! — zawołała Gulmańcewiczowa chwytając się nagle za serce.

— Strzeżże mnie, Boże, mamó! Ja tylko na żarty — rzekł czulej Marcel, w którym zagrała jednak iskra synowskiego uczucia.

— Niech sobie Marcelek idzie precz i da mi pokój, a jak się poprawi, to niech przyjdzie przeprosić matkę — rzekła z godnością, usuwając rękę, którą chciał pocałować.

## VII

Marcel zasmucił się, że rozgniewał matkę, a zwłaszcza, spodziewając się na pewno wzmocnienia kasy, konwulsyjnie teraz miał w kieszeni szczupłą, ubogą portmonetkę. Po drodze jednak, lubując się w szybach kilku sklepów postacią swoją, acz niewyraźnie, ale kształtnie odbitą, pocieszał się myślą, którą mu niejednokrotnie podsuwał Kocio, że tak ładny chłopiec nie powinien obawiać się o przyszłość. Szczęście musi samo przyjść do niego. „Może już i nieraz przyszło!” — pomyślał wspomniawszy z próżnym uśmiechem buziak Marcysi, błyszczące oczy Jabłuszkowej i nade wszystko liliową płeć nadstotysięcznej panny Karoliny, której już od kilku dni ani w oknie, ani w kościele nie postrzegł, tylko jej matkę w powozie spotkał na ulicy. Wyszedł z domu w zamiarze odwiedzenia tych dam, a po niefortunnym zejściu z Kontrolerową spieszno mu było zapukać do gościnnego woreczka Pawła.

W przedpokoju Celestynów służący mu odpowiedział jak zwykle, że pani chora i nie przyjmuje. Zdziwiony nieco tym cierpieniem, kiedy ją parę dni temu spotkał na ulicy, i to, zdaje się, nie chorą, zaginał właśnie kartę wizytową... wtem panna Karolina, wracając ze siostrą z przejażdżki, weszła niespodzianie. Zrazu lekko się zarumieniła, Marcel ukłonił się nader grzecznie i wypytując troskliwie o stan zdrowia radczyni, czułe spojrzenie zwrócił na pokązną niebiankę. Niebianka, mierząc go po chwili dziwnym jakimś wzrokiem od stóp do głów, odparła głosem wyraźnym i wolnym, aż mrowie go przeszło:

— Mama już zdrowa, ale nie przyjęła pana, bo u nas w domu ciągle zajęcie, jak to zwykle przy odjeździe.

— *Comment, vous déjà partez de Varsovie?* <sup>1</sup> — zapytał żywo.

• — Tak, panie, w tych dniach — odparła po polsku, krzywiąc się nieco na francuszczyznę zapytania. — *Adieu, Monsieur Gulmańcewicz!* — dodała grzeczniej, idąc ku drzwiom od sali. Po chwili jednak zoczywszy wielbiciela, któremu tak nagłą dała dymisję, jak z osłupiałym wzrokiem konwulsyjnie kręcił kapelusz, rumienił się i blednął na przemian, zatrzymała się i rzekła ciszej po francusku:

— Nie godzi się, panie, porzucać narzeczonej, dla której, słyszałam, masz pan obowiązki ważne. Życzę powodzenia. Bilety pięknie przepisane oddałabym panu, gdybym ich nie podarła co do jednego, wierzaj mi pan!... *Adieu, Monsieur Gulmańcewicz!*

Uśmiech wesoły, wzdardliwy zaigrał na ustach niebianki, znikła we drzwiach od salki. Marcelowi zdało się, że to sen, ciężar lodu ugniatał mu piersi, kręciło się w oczach, przez chwilę nie ruszał się z miejsca, nareszcie zoczywszy służącego, który czekał przy drzwiach od sieni, prawie nieprzytomny pobiegł na górę do Pawła. Zastał w pierwszym pokoju Beleńskiego i Stasia, co na grzeczny ukłon jego zaledwie mu głową kiwnęli, Paweł zajęty jakimś rysunkiem dla nich w drugim pokoju także go kwaśno przywitał i kiedy po chwili sami zostali, rzekł ostro:

— Cóż ty dokazujesz, Marceli! Zaledwem uprosił Witruwiusza, że zezwolił, abyś do niego przychodził jeszcze. Słyszałem, że Bóg wie jakie figury bywają u ciebie i grywacie w karty. Cóż myślisz robić, u licha? Wiesz, że matka nie ma nic, i powinien byś się wstydić przyjmując od niej pomoc pieniężną.

**i jak to, pani już odjeżdża z Warszawy?**



- Daj mi pokój, Pawełku! *Déjà excepté cela je suis tant malheureux!*<sup>1</sup>

— Pewno nie masz pieniędzy?

— Strzeżże mnie, Boże, nie dlatego! — zawołał i łyż gorzkie podeptanej próżności gradem z oczu się puściły.

— Cóż ci jest, dzieciaku? Powiedzże!

— Nie wymagaj, Pawełku, bracie kochany! *Aujourd'hui le seul malheur me recontre.*<sup>2</sup>

— Byłeś na dole pożegnać się z radcostwem, bo w tych dniach odjeżdżają?

— Byłem, ale i dziś nie, przyjęli mnie. Spotkałem tylko pannę Karolinę, która mi powiedziała tak dziwnie o tym odjeździe, że sobie wyobrazić nie podobna, to okropność! po-po... *après... tu sais*<sup>3</sup>, Polunieczku!

— A przestrzegałem i będę sobie na wieki miał do wyrzucenia, że powolny na prośby waszmości, powodowany słabostką kuzynowską, wystylizowałem kilka biletów i napisałem anakrostyk wiedząc naprzód, że to się na nic nie zda i tylko może zaszkodzić w stosunkach z tym domem. Bądź co bądź, zamiast zamykania drzwi przed nosem, mogli cię jednak chociaż raz przyjąć, wprawdzie najobojętniej, ale zawsze...

— To mniejsza, *c'est plus petit*<sup>4</sup>, Poluniu! Pan Beleński i twój uczeń, kiedym się im kłaniał najgrzeczniej w pierwszym pokoju, zaledwie mi głową odkiwnęli, jakby nie wiem komu! — zawołał jeszcze z płaczem.

— Co? Beleński i Staś ledwie ci głową kiwnęli... u mnie? — zapytał żywo Paweł podnosząc głos. — •

1 i bez tego jestem tak nieszczęśliwy!

2 dziś spotykają mnie tylko nieszczęścia.

3 potem — ty wiesz.

4 to mniejsza.

Nic dziwnego! Sam sobie winę przypisz, może przejęto jaki twój bilet, może się po anakrostyku domyślono, słowem, wydały się zabiegi — dodał ochłonnawszy.

— Cóż to rysujesz, Poluniu?

— Radczyni i panna Karolina prosiły mnie, żeby im zrobić dzieciństwo, planik na kilka altanek w ogrodzie.

— Poluniu! *ne lâchez vous pas!*<sup>1</sup> Czyś ty przypadkiem nie wydał się jako przed panną Karoliną, żeś mi pisywał te listy albo anakrostyk? Bo coś mi wspomniała o jakiejś narzeczonej... nie rozumiem, chyba o Szczepaniakównie, z którą się przecie nie zaręczałem, a skądżeby wiedzieć o niej mogła?

— Śni ci się coś, dzieciaku! Jak śmiesz nawet posądzać i zapytywać o to!

— Strzeżże mnie, Panie! Ja tylko tak, najniewinniej! — odparł nie dowierzając bratu, który zadumany, szerokimi krokami przechadzał się żwawo. Nagle zatrzymał się i spojrzał przychylnie na Marcelka.

— Otrzymałeś dobrą nauczkę — rzekł zwolna — może nawet i z korzyścią dla siebie... Czas bo wybić sobie z głowy dzieciństwa i zabrać się na serio do pracy, mój bracie!

— *Oh, moi je sais*<sup>2</sup>, Poluniu! Ale z mamą przemówiłem się dzisiaj... *et il était si besoin pour moi de quelques roubles*<sup>3</sup>. Nie wiem nawet, co począć, nje mam ani grosza... a tu i praczce, i gospodarzowi, *je suis tant malheureux!*

— Nie poradzę ci dzisiaj, bo tak jak u ciebie, próżny u mnie woreczek zupełnie, patrz!

— Strzeżże mnie, Panie, żebyś ci nie wierzył, ko-

<sup>1</sup> nie gniewaj się!

<sup>2</sup> och, ja wiem.

<sup>3</sup> tak koniecznie potrzebowałem kilku rubli.

chany Poluniu! To choć może w tych dniach raczysz mi pomóc... Daruj, żem ci dotychczas jeszcze...

Dalszy ciąg wynurzeń przerwał mu Beleński, który przyszedł sam zaprosić ich obu na herbatę do siebie. Paweł, przypuszczając, że strapiiony Marcellek mógł się przedtem pomylić, ten zaś myśląc, że pewnie zobaczy pannę Karolinę i może nastąpi porozumienie — przystali skwapliwie na zaprosiny. Ale przepędzili parę godzin czasu tylko z Beleńskim i Stasiem, Celestyn pojechał z kobietami na teatr.

W srogim utrapieniu wyszedłszy na ulicę, przypominała się mimo woli Marcelkowi skądna twarzyczka, bujne włosy i jasne oczy Marcysi, co tak radośnie, z uwielbieniem zawsze go witały i żegnały. Wyobraził sobie, jak twarzyczka ta wybladła z choroby tęskni do niego, a nie widział jej tak dawno — w kościele poznał i odwrócił się... „Chociaż to już koło dziesiątej, pójdę, zaraz pójdę” — pomyślał. Wtem zaturkotał powóz, mignęło światło od latarni, dojrzał pełnych rysów panny Karoliny i pobiegł za powozem. Nie pomylił się, wrócili z teatru. Pierwszy raz w życiu uczuwszy dotkliwie tak lekceważenie, spadłszy nagle z dobrego mniemania o sobie we własnych oczach, poniżony jak dziecko ukarane różgą, zżymając się bezsilnie i poprzysięgając zemstę za karę, zaczął dumać boleśnie tylko o pannie Karolinie, o tych zamkach na lodzie, jednym jej słowem zdmuchniętych. Przechadzał się nawet parę godzin pod oknami okrutnej, dręcząc się dziecinnymi żalami, którym i zazdrość nie mogła [nie] dodawać cierpkiej, namiętnej goryczy. Zziębnięty wróciwszy do domu zastał u siebie list bez podpisu, gdzie niewprawnym, kurzym pismem, ale za to energicznym wyrażeniem wyrzucano mu, że się nie stawił na schadzkę. Drżąc znowu, żeby i ten promień szczęścia, którego wartość szanował teraz, nie zagasł także przy-

padkiem, przez całą noc oka nie mógł zmrzyć. Zbudził się z bólem głowy, z poczerwieniałymi oczyma; aż się przeląkł przejrząwszy się w lustrze.

\*

Kum Szczepan czekał i polegał na obietnicy Kontrolerowej — Marcysia ani razu nie zapytała się wprawdzie o Marcelka, unikała widocznie najlżejszej wzmianki w tym przedmiocie; ale każde jej spojrzenie wydawało się staremu, że to zapytanie. Przebrała się nareszcie miarka cierpliwości i któregoś dnia raniuteńko wybrał się znów do niewdzięcznego nauczyciela. Pukając do drzwi posłyszał gwar jakiś, dym cygarowy snuł się przez szpary i przez dziurkę od klucza, ale mu nikt nie otworzył. Zaczął stukać mocniej, gwar ucichł na chwilę, ale do drzwi nikt się nie zbliżył — nareszcie, kiedy silnie załomotał, odemknął ktoś niecierpliwie i głos nieznany, biorąc go widocznie za kogo innego, wrzasnął gniewnie:

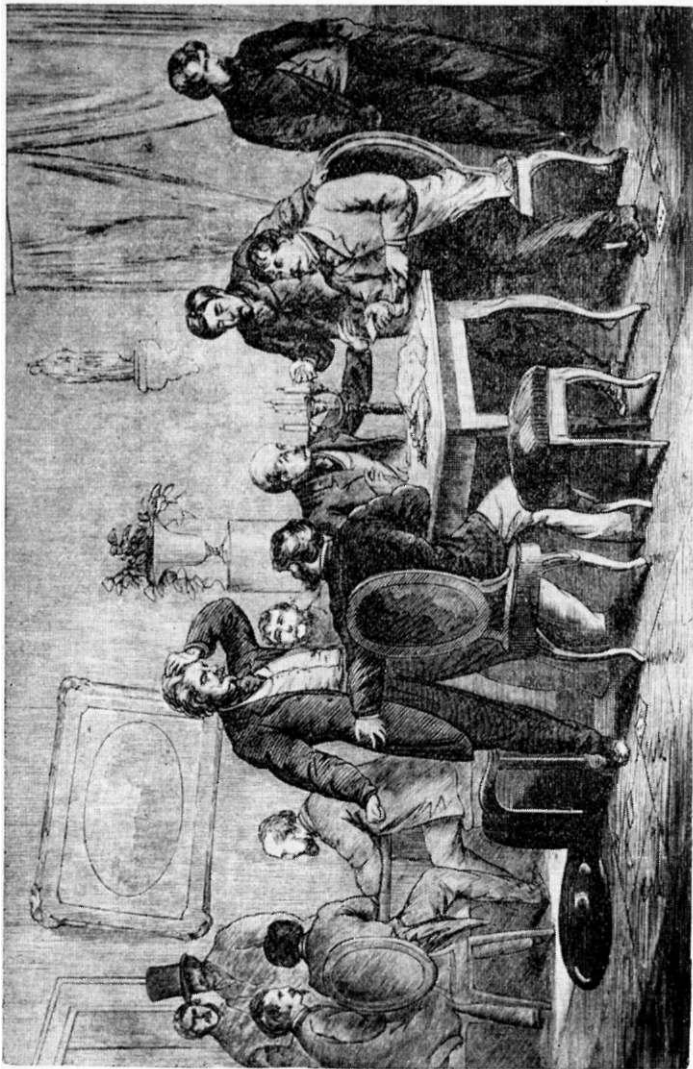
— Czemu tak stukasz, gapiu, jakbyś chciał dom rozwalić! Chodź prędzej, nastawisz samowar!

— Wszak tu mieszka pan Marcin?

— A to kto? Tu nie ma żadnego pana Marcina. Jeżeli masz wasan interes jaki, to przyjdź sobie później! — odparł jegomość trzaskając poniterkami w rękę.

— A choroba... później, bodaj to najsiarczystsze piorneczki zatrzasły! — zagrzmiał Szczepaniak i odechnawszy go nagle, wszedł do pokoju.

Przy stoliku, zielonym suknem obitym, dopalały się resztki świec, niepewne światełko z blaskiem dnia mieszając. Kilku ludzi, po największej części młodych, z błyszczącym okiem, z ustami zaciśniętymi, z kartami w rękę, stało dokoła, przed każdym nieco papierków lub też brzęczących pieniędzy. Kocio ciągnął bank, sto-



jacy przy nim Marcelek uśmiechał się głupowato — a najmizerniej jakoś wyglądał spomiędzy wszystkich. Dym, zaduch, gwar i nieład.

Zatrząsał się z gniewu kowal na ten widok. Służył w wojsku, domyślił się, że musieli całą noc strawić przy kartach.

— Panie Marcynie! — zawołał — to tak pan pięknie był chory? To panu niesładno było zajść do nas na Głęboką, a śładno nie spać całej nocy i paskudzić się w karciska?

— Cóż to za figura jakaś z morałami? — zapytał bankier Marcela, który zoczywszy kowala zmienił się nadzwyczaj.

— A choroba! cóż to za figura? Może uczciwsza od wasana, panie siulerze! Widzisz go, co za figura! Fafel jakiś, ubliżać siwym włosom, do stu najsiarczystszych piorunczków! • — zawołał kowal gwałtownie.

-- Nie gniewajcie się, kumie Szczepanie pocziwy — zebraliśmy się tak w kółku kolegów i bawimy się najniewinniej.

— A tak, najniewinniej. Bodaj też pana, marnować grosz i zdrowie dla nędznych parę złotych — a choroba dopiero!

— Dziwi mnie, panie Marceli, pańska cierpliwość z tym gburem — bąknął Kocio.

— Wara ty z cierpliwością, dryblasie! Nie burmistrzuj no, bo... pókim dobry — groźnie zagrzemiał Szczepaniak, stuknąwszy jakby młotem łaską o ziemię.

— Uspokójcie się, kumie Szczepanie! Strzeżże mnie, Boże, czy kto wam chciał ubliżyć! — prosił Marcel. • — Będę u was dzisiaj najniezawodniej — dodał błagalnym głosem.

— Obejdzie się, panie Marcynie! Dziękujący Bogu, żebrać nie będziemy pańskiej łaski. Ino na własne oczy teraz dokumentnie się przekonałem, że pan mnie manił

i oszukał. A ze sercem, co człtek miał dla państwa i co tam zrobił... niech go najsiarczystsze piorunczki zatrzasną! toćże nie zginiem jeszcze. Graj se pan, graj! U nas, na Głębokiej, to za nisko dla takich panów, obejdzie się bez nich! Bywaj pan zdrów! — zawołał nie podając mu ręki i zasadzając rogatywkę. Marcel nie mógł ochłonać z pomieszania i podziwu.

\*

Zgryzł się stary nadzwyczaj, lecz po drodze wydawszy na frasunek kilka lampek, kiedy wrócił do domu, wygadał się ze zmartwienia przed Fidrykową, Maciusiem i nawet przed córką, która nadspodziewanie bardzo spokojnie wysłuchiwała wszystkiego.

— Co tam, proszę tatunia, ileż to kobiet po francusku nie umie, a żyje. Po co mnie to i na co? Zresztą, za pieniądze łatwo dostać nauczyciela.

— Choroba... jak zdrowo powiedziałaś, Marcysi! Niechże cię najjaśniejsze piorunczki nie zatrzasną, dziewucho! — zawołał zachodząc w głowę, skąd u niej taka zmiana. Dowiedziawszy się, że podczas jego nieobecności przyszedł ojciec Jakub, gadał z nią długo, czytał nawet list od Józiaka, gdzie sierota kłaniał się pięknie im obojgu, wpływowi dobrych rad zakonnika przypisał poddanie się woli Opatrzności i odpowiedź Marcysi, co go samego zbudowała — próżność ojcowską mimo woli wytykając.

Ale co się działo w sercu córki, nie wiedział stary. Tam przestawała dźwięczyć, zamierała ta struna anielska, co w latach dziewiczych odzywa się najczystszy brzmieniem — raz tylko.

## USTĘP SZÓSTY

O czasie, rzeczy martwych ty  
[upiększycielu,  
Ozdobo siwych zwalisk; dla boleści  
[silnych  
Ty lekarzu jedyny i pocieszycielu!  
O czasie, poprawiaczu sądów naszych  
[mylnych!  
Próbo prawdy, miłości! ty jeden  
[niebiedny  
Filozofie wśród mędrków!  
BYRON<sup>1</sup>

### I

— Co się dzieje, co się dzieje! — woła czcigodny kapelan w *Damach i huzarach* Fredry widząc, jakie zmiany powyprawiał z posiwiąłymi jego kolegami niespodziany przyjazd białogłów. Jakże z głębi serca powtarzać można co chwila malowniczy ten okrzyk, patrząc na zmiany, co w oczach naszych nieznacznie tworzy czas, który w nieustającym tyglu wszystko przerabia, łączy i oddziela. Człowiek złamany nieszczęściem, chorobą, dziwactwem — odosobniwszy się tylko na parę miesięcy od działalnieszego kółka współbliźnich — po powrocie do nich nie może już

i **George Noel Gordon Byron (1788—1824)** — wielki poeta romantyczny angielski. Wywarł duży wpływ na twórców w całej Europie. W Polsce tłumaczył jego utwory Mickiewicz, bajroniczne poematy pisał Słowacki, a i Wolski rozpoczął swą karierę poetycką *Ojcem Hilarym*, pisany pod wpływem dzieł buntowniczego lorda angielskiego.



poznać się od razu; nie był świadkiem tylko chwil kilku, starcia się kilku myśli, a już opóźnił się o wiele w bieżącym prądzie życia. Zdwojoną usilnością musi dościgać towarzyszków, jak w nauce mozolna-li praca lub zdolność niepoślednia zapełnia zaniedbanie chwilowe. W ciągu dwóch miesięcy tyle śmierci i narodzin rozlicznych: cielesnych i myślowych; tyle zmian na wiekiustym cmentarzu i kolebce życia — a cóż dopiero w przeciągu lat dwóch! Dziś, gdzie tak szybko żyjemy, że różnica umysłowa między dziesiątkami lat pod pewnym względem tak jest wydatna jak przedtem między setkami — przeciąg dwóch lat to cała epoka, w której każdy musi iść naprzód lub też cofać się, choćby się zdawało, że na miejscu stoi. Ilu ludzi, tyle zagadek trudniejszych do rozwiązania, a każda z nich, szybciej lub powolniej, albo pcha taczkę, aby dalej, albo popędza wózek istnienia, który ciągną wytrwałę myśli, narowne namiętności lub bezmyślne słabostki, brykające jak kucyki, co na przechadzce spadną z nich nieraz do wody, w błoto lub karki skręca dzieciaki!...

I najlepszemu woźnicy zdarzy się wywrócić, idzie tylko o to, żeby najmniej szkody ponieść w upadku i potłuczony wózek uzdolnić znów do dalszej podróży. Czasem on po naprawie wytrwalszym bywa od nieuszkodzonego i pojedzie po wybojach i po ubitym gościńcu.

Są jednak ludzie, co na pozór Bóg wie po co i na co żyją na tym świecie, których, tak jak zera, wtedy pojąć można, kiedy się przy nich postawi cyfrę jakąś, a jednak role ich bywają nieraz bardzo szczęśliwe i muszą być tak potrzebne jak koszule z zakładkami wzdłuż lub w poprzek, rękawy szerokie lub wąskie, bawarskie piwa, cygarniczki gutaperkowe i udoskonalony millefleurs itp. Przebywają i oni rozliczne melodramaciki i tragikomedyjki w pociesznej, a czasem

i ważniejszej powieści ich życia; ludzie, wśród których się kręca, tak się zaokrąglają przy ich zwyczajności, że i patrząc na nich, co w najszcuplejszym zakresie nie mogą oddziaływać i nie są nawet w stanie przyjąć biernie czyjeś działanie, bo spaczą je mimowoli, zawołać nieraz można prawie z przestrachem: „Gwałtu! co się dzieje! — co się dzieje!”

Mimo próśb i napomnień matki, ostróg Pawła, Marcelek pod wpływem Kocia i Domci przestał uczyć się budownictwa, a poświęcił się wyłącznie przyjmowaniu u siebie ostatnich kawalerów zielonego stolika, tym chętniej, że miał na tym zarobek, co dołączony do szczupłego zasiłku, jaki mu udzielała Kontrolerowa — dozwolił opędzać potrzeby codzienne, o tyle jednak, że zawsze miał całe obuwie, kapelusik i ubranie prawie modne. Matka wyniosła się na wieś ze swoim państwem, Paweł oziąbnął dla kuzyna. Ale wszystko na świecie ma „swoją kres i miarę”. Schadzki te zaczęły zwracać uwagę, kawalerowie wynaleźli sobie u kogo innego mieszkanie dogodniejsze i nie tak znaczne, gdzie rybki łatwiej było sprowadzać i oporządzać. Nie wyłączony ze stowarzyszenia, którego gry tajemnic głębszych nie rozumiał, musząc poprzestać na małych tylko obrywkach, nieraz nawet wśród uroczego sam na sam z Domicelą przemyśliwał, jakim by sposobem wpaść w oko pięćdziesięciokilkoletniej piękności jakiej, której woreczek pod względem tysięcy w czwórnasób przynajmniej ilość lat by przenośli. Przemyśliwał jednak na próżno. Trzeba było zmienić mieszkanie na Długiej na skromniejszy pokój na trzecim piętrze na Freta; z Freta, zrzuciwszy pychę z serca, trzeba było przenieść się do Jabłuszków, a że ci wkrótce się przeprowadzili i brak było pokoiku do najęcia, Kocio przez parę miesięcy ugaszczał go u siebie bezinteresownie... I od tego młodzieńca przychył-

niejsza chwilowo fortuna odwróciła się najzupełniej. Schwytyany przez którąś rybę na pasterskiej kulbaczce w diabełka, skompromitowawszy współtowarzyszów, za niezgrabność dotkliwą musiał ponosić karę — wyłączenia od zyskowniejszych partyjek, która tak oddziaływała na jego humor, że i w domino, i w bilard spryt go zaczął opuszczać. Zwróciwszy się całą duszą do pocieszycielki strapionych, którą Porucznik nazywał jamają, przeniósł się do dawnej siedziby na Koźlą, do skromnego hoteliku, gdzie po raz pierwszy oporządził Marcelka. Serdecznie go przedtem nienawidząc, podzielił się z nim jednak ciasną izdebką. Czy chciał w niej do reszty w Marcelem zatrzeć ślady staranniejszego wychowania i zrównać z sobą, a nawet poniżyć; czy nacieszyć się biedą człowieka, co za kilka złotych gotów był nieledwie na każdą posługę; czy mniemał, że będzie jeszcze mógł co na nim zarobić; czy też, jak zwykle u nas, lepszych i gorszych, co choćbyśmy chcieli, wyprzeć się nie możemy tradycyjnej gościnności, za nic sobie uwarzał odstąpienie komuś kąta w swoim gnieździe, zwłaszcza takiemu, którym jak wiatr chorągiewką obracać mógł na wszystkie strony; czy też bieda wspólna wywoławszy iskierkę współczucia zatarła nienawiść? Zbytecznym by było odznaczać wszystkie te drobiazgowo odcienia — dosyć, że mieszkali sobie w jakiej takiej zgodzie, aż Marcelek od niewyuczasa, jamai, przeziębienia itp. — rozchorował się obłożnie.

Z początku Kocio nic nie mówił, póki mu jeszcze starczyła resztką miesięcznej płacy od matki i Paweł przyniósł kilka rubli, ale gdy choroba przedłużyła się, pożyczka od Jabłuszków i nieco jego pieniędzy wyczerpnięto się, dawni koledzy Marcela od budowniczego po kilka złotych parę razy przysłali, Kontrolerowa zaś i Paweł, co także wyjechał na wieś, na list nie

odpisywali prędko, a Marcelek dzień w dzień potrzebował na lekarstwo, jadło i rozliczne wydatki w chorobie, Kocio rzekł do niego któregoś ranka po czwartym kieliszku jamai:

• — Wiesz co, Gulmańcewicz, tak dłużej nie podobna. Ja ci pieniędzy stworzyć nie mogę. Kosztujesz mnie i tak kilkanaście rubli, które czort wie kiedy odbiorę, dusić się tu muszę z tobą w ciasnej jamie, pocę się dla twojej przyjaźni od rana do wieczora. Matka i brat przyślą ci przecie kiedy, przenies się tymczasem do szpitala!

— Ach! Kociu! zlituj się. Strzeżże mnie, Panie, ja bym umarł w szpitalu.

— Gagacik, daj mi Boże tyle dukatów, iłem razy leżał w szpitalu — i żyję!

— • Boś ty mocniejszy, Kociuniu, tyś prawdziwy mężczyzna, a mnie tak matka niedobrze wychowała.

— Na babę, to prawda! Zresztą i do szpitala nie tak łatwo, bo trzeba także pieniędzy. Do Jabłuszków za nic pod słońcem już nie pójdę, dali mi nawet do zrozumienia, że nie są w stanie ci pomóc, Domcia zła o coś na ciebie straszliwie, rzeczy wszystkie zastawione. Nie podobna przecież, żebyś umarł z głodu, a ja sam nie mam dziś na obiad, pewno i na jutro — dodał z wzgardliwym śmiechem i nie kłamał — ostatnimi kilkunastu groszami podzielił się szuler z chorym.

— Parę dni jeszcze, Kociulku! Za parę dni może przyjdą pieniądze. O, *mon Dieu, mon Dieu! Comment je suis malheureux!* — zawołał płaczkliwie.

— Już od dwóch tygodni gadasz mi ciągle o paru dniach. Cóż, u diabła, czy nie masz jeszcze kogo, co by ci pożyczył? Napisz parę słów, pójdę. Gdybym miał takie stosunki, jak ty miałeś, to bym sobie kazał sto

**i jakże ja jestem nieszczęśliwy!**

batów wypalić, żeby mi na czym zbywało. Słuchaj no! Porucznik mi mówił, że ten Szczepaniaczysko to bardzo poczciwy i miłosierny człowiek. Chociaż matka twoja jeszcze mu sporo winna, zawsze jednak upłaca, więc kredyt jest. Poróżnił się z tobą, ale w chorobie czyjej to się zapomina o urazie — dodał dobitniej. — Napisz do niego!

— Strzeżże mnie, Panie! Je *non puis pas*.<sup>1</sup>

— E, gadaj mi po polsku, na diabła ta francuszczyzna! Wszakże córka jego kochała się w tobie? Sam mi mówiłeś.

— Chcieli mnie nawet z nią żenić — dodał Marcel z uśmiechem, co fałszywie jakoś zaigrał na wywiędłej twarzy.

— To napisz do córki, ja list zaniosę, i ręcę ci, że się coś uskubnie.

— Nie wypada, Kociulku!

— Głupiś! Wypada bardziej niż umrzeć z głodu i — broń Boże, w razie ognia — nie mieć nawet w czym uciec. Jak ci przyszła, to odeszlesz; rozumiesz?

— Ależ, Kociu!

— Rób, co chcesz, jeżeli dziś nie będzie pieniędzy, wyprowadzam się i zostawiam cię tu samego.

— Kociuniu! zmiłuj się!

— Daję słowo, tak zrobię! — wrzasnął wychylając znowu kielich jamai i boleśnie patrząc na próżną już butelkę.

— Jak tu napisać?

— Po prostu: Nie ośmieliłbym się nigdy udawać się do pani z taką prośbą, gdyby nie ostateczność i choroba itd. Co ci szkodzi; da, to da; nie, to nie. Listu u niej nie zostawię, nie bój się! — mówił Kocio, któremu wszystkie krosty jak rubiny i szmarag-

<sup>1</sup> nie mogę.

dy błyskały na twarzy, rozparzonej od gorąca i trunku.

— *Ah! mon Dieu, mon Dieu!* Matka własna nie odpisuje mi tak długo, zmarnowała dwanaście tysięcy. Brat, któremu tyle dobrego świadczyłem, zapomniał o mnie, ty jeden, Kociu, pocziwy, *roi un seul!*

— Nie becz, masz papier i pisz — rzekł towarzysz ciskając mu ćwiartkę papieru na łóżko.

Po chwili prawie co do słowa podyktowany list przez towarzysza był już gotów i zapieczętowany ostatnim trzygroszniakiem. Według zwyczaju, od Żydów przyjętego, chuchnął nań Kocio na szczęście i poszedł.

Tymczasem Marcel wydostał z siennika ukrytych w słomie kilka rubli i złotych, uśmiechnął się cichaczem, zwał się z łóżka i zawoławszy przez okno starą stróżkę, co zamiatała na podwórku, mówiąc, że znalazł dwadzieścia groszy w szparze, kazał sobie przynieść herbaty i kukieł z kawiarni żydowskiej, naprzeciw tego hotelu istniejącej. Potem napisał parę słów, które za dziesięć groszy pod sekretem miała baba odnieść do Jabłuszkowej.

Kocio rezolutnie, jak to każdy w cudzym interesie, wszedł do domku na Głębokiej ulicy, którego ściany w przeciągu tych dwu niespełna lat jakoś zbrudziły się, żółtawy kolor pozacierany; parę szyb wytłuczonych zaklejono papierem; napis tylko czerwoną farbą świecił, a z okna facjatki słychać było szwargotanie i pisk swarliwych bachorków. Zapytawszy się trumniarki, której nos miał zupełnie barwę indyjskich koralu, czy Szczepaniak albo jego córka są w domu, poseł z przyjemnością dowiedział się, że stary w kuźni, a córka w izbie. Wszedł więc śmiało i bez długich wstępów opowiedziawszy, że mieszka razem  
**i ty jeden.**

z Marcelem, który jest śmiertelnie chory, oddał jej list.

Marcysia zbladła, zarumieniła się, po pełnej jej twarzy (bo nabrała jeszcze tuszy) przebiegł dreszcz jakiś, iskry błysnęły w oczach... Po przeczytaniu listu nagle zagasły i tylko grzeczny, mieszczański uśmiech został na ustach.

— To pan Gulmańcewicz tak bardzo chory? — zapytała ciekawie i litośnie.

— Boję się o niego, kochana pani! Może skończyć lada chwila jak nic, brak mu na potrzeby najzwyczajsze, w pomoc przyjść mu sam nie mogę, matka zwłóczy odpowiedź. Wczoraj mu sto pijawek przystawiono.

— Proszę, niech pan siada!

— Wybacz najdroższa pani — • rzekł z dworskością Kocio — ale pilno mi wracać do chorego, żeby go krew nie uszła zupełnie, a i tak niewiele już zostało.

— Kiedy to, widzi pan, dalibóg, nie wiem, co zrobić. Ojcu nie śmiem powiedzieć, bo by zagniewał się na mnie, sama tak mało mogę posłać, że nie śmiem, a z duszy serca chciałabym dopomóc.

— W dobrym uczynku zawsze można być śmiałym, jak ja oto, co nie wahałem się przyjść do nieznajomej w delikatnym interesie kolegi. Ostateczność zaś tłumaczy wszystko, najukochańsza pani! — dodał całując ją w rękę z uszanowaniem.

— I cóż za powód choroby?

— Sam sobie, na nieszczęście, winien, nie szanował się, zaziębił — mruknął Kocio, któremu spodobała się kowalczanka, a przypomniało się powodzenie Marcela u Jabłuszkowej. Po chwili jednak, bacząc na główny powód poselstwa, dodał filozoficznie: — Choć my wszyscy tak, piękna pani! Mądrzy po szkodzie. Ale kto chory, to już chory. Ręczyć pani mogę, że jak tylko matka jego odpisze, natychmiast sam odniosę

dłużej, co z łaski pani zaniosę dzisiaj koledze... Uda-  
liśmy się do pani wiedząc, że w takich razach zawsze  
więcej można zaufać damie, chociażby nawet po chwili-  
lowym z nią nieporozumieniu.

— Proszę pana, nie tylko panu Gulmańcewiczowi,  
ale każdemu, co w nieszczęściu, chciałabym dopomóc  
najchętniej, abym tylko mogła — odparła Marcysia,  
nieco dumnie podnosząc głowę, jasnymi zwojami wło-  
sów cudnie zawsze strojną. •— I masz pan słuszność,  
że nie patrzy się, jak kto tam zasłużył, ino się widzi  
nieszczęście... Ale, Bóg świadkiem, wstyd mi pożyczyć  
mu tylko parę rubli — więcej nie mogę.

— Pani dobrodziejko! Te dwa ruble pani warte dwa  
tysiące rubli... i będę najszcześliwszy odnosząc je pani  
pojutrze.

— Nic spieszego, proszę pana. Choćby i nigdy, to  
nie nie znaczy. Żeby tylko pan Gulmańcewicz nie wie-  
dział, że to ode mnie... proszę pana na wszystko.

— Czy mam pani dać na to słowo honoru?

— Jak tatunia kocham, w takim jesteśmy teraz po-  
łożeniu — rzekła zamyślając się smutno — że i taki  
drobiazg znaczy u nas wiele... Niechby pan Gulmańce-  
wicz znowu napisał, przykro by było odmówić, ale  
kiedy nie można, to trudno!

— Święte słowa pani... to w takim razie i list nie-  
potrzebny — rzekł Kocio, zręcznie go chowając wraz  
z rublami do kieszeni.

— O, na miłość boską, tatunio idzie!

— Nie obawiaj się, pani, zamówię się o co innego.

— Ejże! ino po skalmiersku, hejże w tany na kle-  
pisku! Dana, dana, dana, od wieczora aż do rana —  
odezwał się grzmiący głos w sieni i wtoczył się ko-  
wał, któremu w osmolonej twarzy nieco błędnie błý-  
skały małe oczęta. — A co to za interes? — zapytał  
uchylając z lekka rogatywki.





— Czy to prawda, panie gospodarzu, że tu u was mieszkanie do najęcia?

— Choroba... co za mieszkanie?

— Na facjatce... Chyba mnie źle zawiadomili.

— Tam Żyd krawiec, to widać nie tu... ale bodaj to najsiarczystsze piorunczki, mnie się widzi, że skądś znamy się z panem.

— Wątpię, szanowny gospodarzu, bo niedawno, jak przyjechałem do Warszawy.

— Tak? Mnie się zdało, żem pana widział... Nie znasz pan czasem pana Gulmańcewicza?

— A cóż za nazwisko, u licha — odparł z uśmiechem Kocio. — Nie znam, kochany panie!

— Choroba tam z nazwiskiem! Jeszcze pół biedy, ale jego... niech tam!... e — niech mu Bóg wybaczy!

— Cóż to za pan Gulmańcewicz?

— Tak sobie — odparł Szczepaniak, na którego córka mrugnęła.

Kocio ukłoniwszy się z układną, obłudną grzecznością odszedł. Po drodze wstąpił na parę kolejek jamai, resztę ze zmienionego rubla schował do kieszeni, a drugiego rubla poniósł do Gulmańcewicza, postanowiwszy dotrzymać słowa Marcysi, która mu wpadła w oko i cudackie plany pobudziła w odurzonej mózgowicy. Drapiąc się po wąskich wschodach do numeru posłyszał głos kobiecy i wpadł szybko: wysoka sucha kobieta w wieku, cery żółtej, siwiejących włosów, w czarnej sukni, siedziała na łóżku i trzymając w ręku dłoń chorego, ze łzami wpatrywała się w zmienione jego oblicze, którego już nie okalały pudełkowate loczki... Czupryna ostatniego z Gulmańcewiczów zrzędnęła straszliwie, kartofelkowaty nos ek wyciągnął się jak wyschła pietruszka, okrągłe oczki wygasły... Kociowi łatwo było domyślić się, że to matka. Kontrolerowa, co mimo urazy do syna, wzruszona jego listem zjechała do Warszawy, zmierzyła od stóp do głów przenikliwym wzrokiem przybysza i zapytawszy po francusku Marcelka, co to za jegomość, z lekka odkiwnęła głową na grzeczny jego ukłon, ale patrząc na krostowatą twarz jego zadrżała na myśl o strasznym towarzystwie, w jakie popadł jedynaczek kochany.

\*

Marcysia tymczasem, podumawszy przez chwilę, rozśmiała się w samotności tęsknie i pogardliwie. Po tym wszystkim, co zaszło, prośba o pomoc, zebranie o wsparcie dumnego w jej mniemaniu panicza, który jej nie poznał, ojcu tyle razy uchybił — syna pani

Kontrolerowej, co zarwawszy od nich pieniędzy, dotychczas zaledwie mniejszą połowę długu zapłaciła — we właściwym nareszcie świetle uwydatniło przed nią dawnego ulubieńca... Straszna bywała obrażona pycha magnacka, straszniejszą bywa miłość własna dumnego a zimnego człowieka, ale najdrażliwszą, najwytrwalszą w urazie jest tak zwana niższa, pracowita warstwa... O ile gotowa na wszystko dla tego, co się do niej zbliży i żyć z nią pragnie, o ile sama pyszni się, że z nią raczy przestawać, o tyle ubliżenia, lekceważenia, wyróżnienia się z jego strony nigdy nie wybaczy. Pogardzać uczuciem swoim Marcysia nie mogła, bo ten pierwszy głos serca, tak jak poranny głos dzwonka na modlitwę, świętym, nietykalnym pozostał w jej pamięci — lecz trudniej by jej było pogardzić pysznym i złym niż tym niedorzecznym i upokorzonym smykiem, który zaledwie teraz litość w niej obudził. Wiedząc od ojca Jakuba, że się wydalili od architekta i żył z ludźmi niedobrego prowadzenia, przypuszczała, że to tylko udana choroba dla wyłudzenia pieniędzy. Domowe kłopoty i zmartwienia myśl jej oddalały od marzeń i wspomnień miłosnych.

Szczepaniak od niejakiego czasu zaczął cokolwiek zalewać sprawę, robota szła w kuźni nie tak porządnie jak przedtem, a Macusia już nie było. Wyzwolił się on na majstra, założył sobie kuzienkę na Dzikiej ulicy i miał wkrótce poprowadzić do ołtarza Fidrykową z indykiem nosem, do której tak się przyzwyczaiał, że mu już nie podobna było obejść się bez niej.

Nie tylko w domowym gospodarstwie, ale i w wszystkim Marcysia musiała nieraz myśleć, pilnować i zastąpić ojca, tak jakby stała na czele domu. Nabrała tuszy i śmiałości w obejściu, wyprzystojniała, ale młodziutka, niepełnoletnia jeszcze dziewczyna wyglądała na dwadzieścia kilka lat. Przyzwyczajając się do

takiego czynnego trybu życia nie myślała nawet o męściu, choć jej nie zbywało na zalotnikach i oświadczynach przed starym. Stelmach z Zakroczymskiej, stolarz z Nowego Miasta, nawet dwóch niższych urzędników, co w piwiarni pod ósemką bywając razem ze Szczepaniakiem potrafili ocenić uczciwość kowala, nadaremnie ubiegali się o jej rękę.

— Oj, choroba! jaka gospocha z mojej Marcychny, kubek w kubek moja nieboszczka... jakby się to biedactwo cieszyło, gdyby było doczekało pociechy z córki — mówił nieraz kowal do ojca Jakuba, który go zawsze strofował, żeby nie zaglądał do kieliszka i zdrowie ochraniał, zwłaszcza po dwóch uderzeniach krwi, co go o mały na miejscu nie położyły.

— Nie bójcie się, ojczaszku, nie bójcie, jeszcze ja tak zaraz nie wyciągnę gicałów, musi naprzód gospocha moja dostać pocziwego męża.

— Ano, możecie sobie znowu zaprzątnęli kim głowę niepotrzebnie! — zrzędził niby zakonnik domyślając się, kogo by teraz stary ziomek jego i kamrat chętnie powitał za zięcia. I zawsze sprytnie umiał pochwalić Józiaka, kawałek listu przeczytał albo wspominał, że z nim koresponduje pan Sarmiewicz, którego kum czcił nad wszystkich, a do którego Marcysia, chociaż gardziła Marcelem, zawsze miała jakąś urazę, której nie mogła przewyciężyć. Wdzięczną zawsze, ale przyjaciółkę rzadko zyska w kobiecie ten, co ją z błędnej ułudy, niebezpiecznej dla jej własnego dobra nawet — wyratuje. Między wdzięcznością a przyjaźnią jeszcze odcień niemały.

## II

Paweł od miesiąca bawił w Gierzejach. Fabryka już rok ~~szła~~ nie na żarty: stanęły już chaty z zabudowa-

niami według jego planu, zazieleniły przyogródki, wykopano sadzawki, rozszerzono stawy, wieś, inną zupełnie powierzchowność przybrawszy, zasłynęła w całej okolicy. Jednym się to nie podobało, drudzy postanowili naśladować innowacje Beleńskiego, który wkrótce pozyskał sobie w tamtych stronach imię i wziętość znamienitego obywatela, a chłopstwo nie mogąc się z początku wydziwić i przyzwycząić do mieszkania w obszernych izbach zamiast izb ciasnych i brudnych, powoli zaczęło błogosławić pocziwego dziedzica. Na usilne prośby kobiet zebrali się nareszcie do utęsknionej budowy kaplicy. Przy założeniu i poświęceniu fundamentów zjechali się dygnitarze kościelni i najpierwsi obywatele z okolicy. Odbyła się uroczystość w całym znaczeniu tego wyrazu naprzód nabożnie pod gołym niebem, potem światowo we dworze i na podwórku, gdzie lud hasał i pił w późną noc za zdrowie i pomyślność uczciwych państwa. Beleńscy, a przy nich Celestynowie, choć zawsze wyższy i nader przyzwoity dom stanowili, teraz jednak od razu posunęli się na najpierwsze miejsce: w kole znacznie obszerniejszym niż jeden powiat dawali ton i wkrótce poczytywano sobie za prawdziwy zaszczyt być przyjętym w ich domu.

Mimo to panna Karolina, zawsze gotowa do kamufletów<sup>1</sup> i strategicznych odstrzeliwań na natarcie choćby najliczniejszych konkurentów, była ciągle jeszcze twierdzą niezdobytą, ale teraz już nie tyle ze swojego uporu, co z uporu szwagra, który postanowił koniecznie ożenić z nią Sarmiewicza i potrafił tak dyplomatycznie poprowadzić zabiegi, że nawet Celestynowa oswajała się z tą myślą raz na tydzień, widząc, jak rady Pawła i energiczne jego współdziałanie doda-

<sup>1</sup> do przekasów.

wały świetności ich siedzibie i nazwie. Trafnie przewidział Beleński, że panna dowiedziawszy się o prawdziwym autorze listów i anakrostyku, kto wie, czy nie zapragnie, aby więcej takich utworów wysławiało jej wdzięki i galwanizowało serce nieprzystępne. Istotnie — przyszła kolej i na Pawła, w kamerze obskurze jej wyobraźni znana jego postać i osobistość jakby nowych nabrała rysów. Znajdowała w nim przymioty, których nikt nie widział; prześlepiała te, co uznawali wszyscy. Cokolwieczek zaś większa dbałość o ubiór podczas tej ostatniej jego wycieczki na wieś wywarła na niej głębsze jeszcze wrażenie, podsycane przez Beleńskiego ustawicznie.

Ten sentyment panny (dwunasty cięższego kalibru, nie wspominając o lżejszych), ulegając zapewne wpływowi łątek, rozwijał się powolniej od poprzednich i rokował widocznie dłuższą trwałość. Nie zamyślała się tak często, nie mizerniała, o szarej godzinie samotności nie szukała ani w ogrodzie po cienistych szpalerach nie marzyła z księżycem za często — ale widując kilka razy dziennie przedmiot swojego zajęcia, lubiła coraz bardziej rozmawiać i zastanawiać się nad tym, co jej mówił; prosiła go nawet, żeby jej wybierał książki do czytania i przywykła do jego towarzystwa, które stało się dla niej prawie niezbędnym. Paweł nie wiedząc, że strzeliste frazesy biletów Gulmańcewicza, których tajemnica była dla niej jawna, tak go wysoko w wyobrażeniu jej postawiły; sądząc, że dawna li znajomość, wrodzona dobroć panny i próżniacze życie na wsi wywołują tę łaskawość — ani się domyślał, co się kłuło wkoło niego — za mało miał śmiałości i giętkości światowej, żeby mógł przeniknąć siatkę uczciwych intryzek i planów, którymi go dyplomacja Beleńskiego osnuła. Zresztą tak był smętnie szczęśliwy z pobytu na wsi, z możliwości widywania

archanielskich oczu, tak potrzebne mu było opiatyczne upajanie się dźwiękiem jej głosu... Tyle mu nadto chwil zajmowała robota i towarzystwo Beleńskiego, że nie miał nawet czasu zastanawiać się i tłumaczyć sobie we właściwy sposób zacepek twierdzy, niezdolnej wyrzucić na nim głębszego wrażenia. Znał jej romansowość, przestrzegał o niej kuzyna nie na darmo i nie pragnął nigdy zapisać się na liście ofiar lilii nieubłaganej.

Beleński często i pani Aniela rzadziej zaczęli go z początku prześladować żartobliwie panną Karoliną, nareszcie kiedyś dali mu do zrozumienia oboje, że szkoda marnować lat bezżennie, jak w ogóle młodzież dzisiejsza, że dla samego dobrego przykładu wypadłoby poprowadzić do ołtarza hożą jaką dziewczynę z porządnego szlacheckiego domu — tym bardziej że wynaleźć jej nie tak trudno, bo aby tylko chciał, blisko niego się znajduje, w trzecim pokoju, a familia byłaby najszczęśliwszą, żeby stwierdzić przyjaźń pokrewieństwem. Paweł myślał z początku, że to żarty. Kiedy najwyraźniej mu to potwierdzono, przypuścić nie mógł, żeby panna, a zwłaszcza też pani Celestynowa, przyjąć go mogły w charakterze konkurenta. Odgadł zabiegi i poparcie przyjaciół dających mu tak oczywisty dowód serdecznej życzliwości — rozrzewnił się, ale go zabolowało, że pani Aniela tak skwapliwie jak mąż pragnie go wyswatać. Zamiast tego dowodu przyjaźni wolałby może lekceważenie lub niechęć... Są bo chwile, gdzie i najpocziwszy, najbardziej sercowy człowiek bywa egoistą, a przy tym artystyczna dusza Pawła czując głęboko marzyła wzniosie, postaciowała sobie idealnie ukochaną istotę, co teraz broniła mu już tych marzeń na wieki...

Rozmowa ta miała miejsce w ogrodzie, na ganku przed dworem. Służący zameldował, że przyjechał

spodziewany urzędnik ekonomiczny, do którego Be-leński miał interes, pobiegł też przyjąć go natychmiast, Aniela zaproponowała przejść się nieco po ogrodzie, Paweł machinalnie poszedł za nią...

Przed wieczorem na schyłku już lata było spokojnie, jasno; za resztkami zwalisk zameczka, gdzie to ongi Celestyn wyprawiał hece, na wzgórzu widać było zasadzonych już kilka świerków, modrzewi i rusztowanie kaplicy, w dali niebieszczała rzeka, las wydatnie zieleniał, słońce odznaczało rozliczne odcienia liści, tak malownicze w tej porze stworzonej do zdejmowania krajobrazów. Patrząc na wysmukłe stworzenie, co z takim mimowolnym wdziękiem przesuwało się pod drzewami w milczeniu, odwracając się czasem do towarzystwa, zdawało się go badać marzącym spojrzeniem, życzliwym uśmiechem; przeczuwając może instynktem, że im obojgu przyjemnie iść ze sobą i patrzeć na siebie, Paweł porównał mimo woli obie siostry, z których jedną tak niespodziewanie mu ofiarowano, i przypomniał sobie tę samą Anielę, z którą szedł milczący — uroczą, marzącą dziewczęcą, łaskawą i dobrą dla nieśmiałego, niezgrabnego nauczyciela, którą obraził tak dotkliwie i cześć dziewczycy-aniola śmiał niecnym podejrzeniem pokalać. A tu szła przed nim ta sama, co mu nie powinna była nigdy przebaczyć, łaskawsza i życzliwsza niż dawniej, jego bez majątku, imienia i powierzchowności pragnąca zrównać i na zawsze połączyć ze swoimi. Więc korzystać ze skinienia trafu, zostać zwyczajnym, możliwym człowiekiem, wyprzeć się serca dla niej lub też oszukiwać tamtą?

Idealiści są to, jak wiadomo, niepraktyczni ludzie i gotowi nieraz zaryzykować całą karierę, jak to mówią ludzie praktyczni, poświęcić więcej dla jakiegoś swojego widzimisię, niż dla kaprysów poświęcają ko-



Oiety, z którymi pod względem wrażliwości mają wiele wspólnego.

Paweł walcząc ze sobą przez chwilę i wahając się nareszcie rzekł nieśmiało:

— Zawstydziliście mnie państwo dobrocią i łaskawością, nie wiem istotnie, jak wam wywdzięczyc się choć w części za przyjaźni tyle, tym bardziej że tego zaszczytu uznaję się niegodnym.

— Czemu? — zapytała żywo, nie patrząc mu w oczy.

— Nie sądzę, żeby mnie panna Karolina kochała.

— Pokocha.

— Nie mam nic, ona bogata — partią nierówna.

— Potrafisz pan sobie aż nadto zapewnić niezależność, a to więcej znaczy niż posag mojej siostry.

— Matka jej...

— Powtarzam, że przystanie chętnie. A to przyjemnie by było Karolci, gdyby dowiedziała się, że nie o jej rękę, ale o pańską trzeba się dobijać — dodała żartobliwie.

— Panna Karolina jest osobą nader miłą, nie podobna nie wielbić jej dobroci i wdzięków, ale żenić się jakby dla widoków tylko, kiedy własne serce milczy...

Kobieta milczała także, tylko lekki rumieniec przebiegł jej po twarzy.

— Serce pańskie bije żywiej dla swojego zawodu, dla wyższych celów, do których droga nieraz tak przykra, że — zdaje mi się — dobra żona nie utrudni jej — • dodała żywo po chwili.

— Każdy cel, każdy zawód stokroć piękniej wygląda, jeśli nań patrzy razem z nami i błogosławi mu ukochana istota! — zawołał z ogniem.

— Są ludzie, co im tak łatwo o wybór — dodał po chwili — co dzisiaj potrafią, zdaje się, wyprzeć tego, co czuli wczoraj, i żyją szczęśliwi... Dla drugich to trudniej... tłumiąc w sobie głos serca, wyrwać go jed-

nak z piersi nie mogą. Nie śmieją wyjawić go nigdy, nie zaprzędadzą wspomnień.

Kobieta milczała.

— Raz tylko w życiu ukazuje się jasny anioł... i ja go widziałem na wstępie do życia.

Kobieta drgnęła.

— Nie śmiejąc marzyć nawet, żeby tak zwrócił ku mnie spojrzenie jak ja ku niemu, śmiałem jednak niecnym podejrzeniem ubliżyć mu na wieki... Ani szał młodzieńczy, ani ślepa namiętność, wiem, że nic nie zdoła mnie usprawiedliwić we własnych oczach, nawet przebaczenie... Com się wycierpiał, Bóg wie tylko jeden. Dlatego też czczę moje cierpienia. Dotychczas mi wystarczyły w samotnym życiu, którego nie chcę porzucać. Dostatek, szczęście domowe to nie dla mnie; lubię pracę i jej tylko chcę przyszłość moją zawdzięczać.

Kobieta zarumieniła się i pochyliła głowę, jakby woń od jakiego wiosennego kwiatu zapachniała jej nagle; podniosła ją, jakby przysłuchując się ulubionej pieśni, której dźwięk z daleka pieścił jej ucho; oczu nie śmiała odwrócić, na ustach zadrgał jakiś wyraz nieujęty, jakby coś chciała powiedzieć, a chwilowy urok więził jej słowa. Pomieszana wahała się, czy wrócić ku dworowi, czy też przedłużyć przechadzkę, a szli właśnie koło zwałisk, gdzie po zielskach i trawach ślizgały się słońca zachodzące ostatnie promyki.

Nagle rozległ się wystrzał i krzyk przeciągły, a od strony podwórza tuż ku nim pędził jak strzała rozjuszony brytan z pianą u pyska, z krwią zaszytym ślipiem, a za nim ludzie z kijami i strzelbami.

Aniela, choć zwykle przytomna, taki przestрах wstrząsnął teraz wszystkimi jej nerwami, że krzyknęła i pochyliła się, jakby mdleć miała. Bardziej przeraził się Paweł, ale w mgnieniu oka schwyciwszy ją na rękę

ce jak dziecko, pobiegł w bok parę kroków, posadził na darniowej ławce i o mało co nie padł na ziemię. Tchu mu brakło, tak biegł szybko. Siadłszy przy niej, pod wpływem jeszcze przestachu kobieta, blada jakby kwiat kalii, konwulsyjnie trzymała go za rękę. Kiedy wystrzał znów usłyszała, głowę mimo woli oparła mu na ramieniu, dreszcz ją przebiegał gwałtowny i tak przez chwilę z przymkniętymi oczyma, z otwartymi ustami tuliła się, jakby niebezpieczeństwo nie przeminęło, jakby chcąc wyrwać się ze snu ciężkiego, co ją strasznym widziadłem przerażał. Pawłowi wydawało się także, czując przy twarzy swojej wonne sploty jasnych włosów, że to sen, ale uroczy, ale najpiękniejszy, jaki miał w życiu, którym by chciał prześnić je całe.

Nagle przyszła do siebie, odsunęła się z lekka, rumieniec gwałtowny oblał twarz wybladłą, niebieskie oczy spojrzały nań zrazu tym czarownym, życzliwym blaskiem, co natychmiast lata młodzieńcze stawił na pamięci i za wszystkie cierpienia stokroć wynagrodził. Po chwili kilka łez opadło z długich rzęsów. Wstała, ale chwiejąc się jeszcze, jakby w odurzeniu, wsparła się na jego rękę, i tak szli, milcząc, po liściach szeleszczących im pod stopami, w cieniu topól, których gałęzie szary mrok otaczał zwolna... Ale po każdym śnie następuje przebudzenie. Kiedy się zbliżali do dworu, Aniela rzekła wzruszonym głosem, ściskając mu rękę:

— Nie chcesz pan być moim krewnym, odrzucasz prośbę przyjaźni naszej, mimo to zawsze pozostanę pańską siostrą i byłoby dla mnie męczarnią, gdybyś kiedy zwątpił o tym.

— A gdzieżeście państwo schronili się? Szukamy po całym ogrodzie i znaleźć nie możemy — mówił Beleński z poprzecznej ulicy wybiegając z panną Karo-

liną, co usłyszawszy krzyk siostry dotychczas miała oczy zapłakane z obawy, czy jej wściekły pies nie pokąsał przypadkiem.

W kilku słowach wyjaśniło się wszystko.

— Ach! dziękuję z serca, panie Pawle! — mówił Beleński ściskając mu rękę tak energicznie, że aż go zaboląła.

— Mnie to byś pan nie potrafił udźwignąć tak szybko — rzekła z uśmiechem panna Karolina.

Przyjechał Celestyn z żoną, parę osób z sąsiedztwa, Aniela bardzo była ożywiona, rozmowna i wesoła, ale przez cały wieczór wzrok jej nie spotkał się ani razu ze spojrzeniem Pawła, który mówiąc to z Beleńskim, to z panną Karoliną, zaledwie po kilka słów chwycił i pojmował z ich rozmowy — aż nawet roztargniony coraz więcej Celestyn zwrócił na to uwagę i poszepnął Beleńskiemu, że Sarmiewicz widocznie, ten, zakochany w Karolci. Beleński zgrzytnął zębami i pokręcił wąsa.

Dnia następnego był obchód imienin w sąsiedztwie. Paweł nie chciał jechać z Beleńskimi i na konnej przejażdżce strawiwszy kilka godzin, kiedy już przed wieczorem wracał, koło kaplicy nagle jednym prawie skokiem ze wzgórza sunął jakiś mężczyzna i biegł ku niemu tak szybko, że mu konia wystraszył.

— Panie budowniczy, panie Pawle kochany! — zawołał dźwięczny głos ze wzruszeniem i silna, męska dłoń uchwyciwszy mu rękę o mało co go nie zsadziła na ziemię.

Paweł z początku nie mógł poznać tego mężczyzny krzepkiej budowy, wyrazistych oczu, z ciemnym, gęstym zarostem, ze szramą podłuż czoła, ruchów pewnych siebie, jakby wojskowych. Ale jak tylko głos jeszcze raz posłyszał, zeskoczył z konia i cisnął mu się na szyję.

— Józiaku, poczciwy bracie! Jak się masz?

— Zdrowo, dzięki Bogu — rzekł z westchnieniem. — Już się tak stęskniłem, że bym chyba umarł, gdybym nie wrócił. Dowiedziawszy się z listu ojca Jakuba, że pan tu bawisz, po drodze do Warszawy spieszyłem powitać pana, a przy tym od szanownego pana Beleńskiego muszę podnieść mój kapitalik, bo kasa wędrowna wyczerpała mi się zupełnie.

— Zmężniałeś, bracie, zdaje się, że i wyrosłeś, a musiałeś skorzystać za granicą niemało w swoim fachu, kiedy, jakeś mi pisał, rozmówić się nawet możesz nieźle i po francusku, i po niemiecku.

— Od biedy, panie budowniczy! Pracowałem w przeróżnych warsztatach, poduczyłem się trochę i ebenstwa<sup>1</sup>, i nawet nieco snycerstwa.

— Musisz nam zaraz pokazać swoje sztukę, jak się kaplica podniesie. Będą tu do roboty drzwi, ławki i różne ozdoby z drewna, w których będziesz mógł nawet popisać się z artystyczną biegłością.

— Z duszy serca, panie budowniczy, ale nie teraz! Kum Szczepan oto chory podobno i ojciec Jakub nagli mnie koniecznie, żebym powracał.

— Pojedziemy razem, a jeżeli dla panny Marcjanny wytrwałeś w uczuciach, oświadczam, że nie pozwolę, aby ci kto inny był swatem, tylko ja — rzekł Paweł z uśmiechem.<sup>1</sup>

— Dziękuję serdecznie, ale, po Bogu a prawdzie, tęsknij mi do starego poczciwego niż do córki... Trzeba naprzód pomyśleć o chlebie, a potem chyba o żonie. Jeśli pannie Marcjannie udam się, to może — odrzekł wędrowiec, któremu oddalenie dwuletnie nie ostudziło serca dla kowalczanki. Tylko nie rumienił się już na jej wspomnienie, panować umiał nad sobą;

**i artystycznego stolarstwa meblowego.**

uznanie wyższości własnej nad nią nadawało mu pewność i zaufanie.

Przyszła kolej na Józiaka wypytywać się o rozmaitych znajomych, a naprzód o panie Beleńską, co to ją przedtem jaśnie panią nazywał. Na niewinną wzmiankę o niej zapłonęła mimo woli twarz Pawła tak żywo jakby za lat młodzieńczych. Szczere wyznanie, na które ośmielił się wczoraj, i traf, co mu tak na nie odpowiedział, innego, zdaje się, człowieka w nim zbudziły — szalę namiętny zagrał w duszy pieśń burzliwą: upał, chmury huczą, parno, duszno! Myśl ustawiczna o niej każdą chwilę wypełnia rozkosznym niepokojem; gotów znowu jak dzieciak poddać się i zawrzeć cały w tej jednej myśli, już nie na samych marzeniach ograniczał wszystkie jej przejścia. Płomień innych pragnień pożerał człowieka: ta żądza gwałtowna, co tylko siebie mając na względzie zapomina o wszystkich innych względach i powinnościach, a z którą walka tak trudna. O! dobry anioł natchnął Józiaka, że przybył do Gierzejów: łagodne tchnienie przyjaźni, serce, któremu się ufa zupełnie, wspólnych wspomnień urok wstrzymać może szaleńca nad brzegiem przepaści, przeszkodzić dramatowi, na jaki zanosilo się w spokojnym życiu Pawła.

Beleńscy wrócili dosyć późno i dnia tego protegowany pani Anieli nie mógł się jej przedstawić. Beleński przyszedł do nich, bo w swoim pokoju Paweł go umieścił, i wydziwić się nie mogli, ile Józiak skorzystał podczas dwuletniej wędrówki. Rozmawiali z nim prawie do ranka. Wprawdzie świadkiem był rozlicznych wydarzeń,<sup>1</sup> które same przez się mogły zajmować, ale opowiadał je tak treściwie, wydatnie i kon-

**1 aluzja do udziału Józiaka w rewolucyjnych walkach Wiosny Ludów.**

sekwentnie, że nie tylko wierna wrażliwość i uwaga, ale zastanowienie, sąd nieraz bardzo trafny młodego rzemieślnika i udatność wystąpienia uderzały ludzi, 0 tyle od niego ukształceńszych.

Nazajutrz z rana w ogrodzie, gdzie panna Karolina przyszła marzyć o dziewiętnastej swojej ofierze i z rozmaitych natarć młodzieży na wczorajszym wieczorze rokować o dwudziestej, Paweł dowiedział się, że siostra jej tańczyła dużo, przeziębicię musiała wracając lekko ubrana otwartym pojazdem w noc dosyć chłodną i tak jest cierpiącą, że nie wstała z łóżka. Zbladł jak chusta usłyszawszy o tym i nawet oczy panny Karoliny, widzące zwykle tylko siebie, spojrzwały nań po raz pierwszy badawczo i domyślnie. Ale że to była pocziwości panna, pobiegła natychmiast do siostry i jak najsumiennie opowiedziała niewinne postrzeżenie, z którego jednak za nic pod słońcem nie zwierzyłaby się przed jej mężem.

Przez cały dzień prawie Paweł usiłował pokryć niepokojność, rozerwać myśli szalone pokazując Józiakowi budowle dokonane, dozorując robotników, wtajemniczając w plan kaplicy, przy czym i on, i Beleński przekonali się znowu, jak dalece były czeladnik od trumniarki zastanawiał się nad wszystkim, co miał sposobność widzieć za granicą: w Niemczech i we Francji. Mówiąc z nimi o następnych ulepszeniach względem budowli i gospodarstwa, o urządzeniu ogrodu i projektowanym pałacyku nowym, cisnął kilka myśli tak nacechowanych dobrym smakiem lub rozsądkiem, że nie omieszkali z nich skorzystać. Postępowy mąż pani Anieli zaprosił oczywiście na obiad swego wierzyciela, który o ile możności wymawiał się od tego zaszczytu. Panna Karolina, chociaż zaintrygowana niesłychanie od dziś rana dziewiętnastą ofiarą, próbując swoim zwyczajem lekkiej kanonady pięknych

oczu na każdym przybywającym wiedziała, a wierzyć nie mogła, żeby tak przystojny mężczyzna, przywoity w ubiorze i w obejściu, mógł być tylko rzemieślnikiem, zwłaszcza że mówił nienajgorzej po francusku. Przepuszczając jakąś mistyfikację ze strony szwagra, wzmocniła naboje i rozpoczęła nareszcie ogień tak morderczy, tyle rac, kartaczy, dwunastofuntówek padało na Józiaka, że twarz jego, ciągle za cel służąca, musiała mu zapłonąć i Beleńskiemu naprawił się humor, dotychczas kwaśny i zgryźliwy.

Odebrawszy pieniądze Józiak pragnął jak najspieszniej wyjechać do Warszawy — i widząc, że się Paweł ociąga, chciał już sam puścić się w drogę, ale trzeciego dnia z rana poprosiła go do siebie pani Aniela i wypytując ze szczerym zajęciem o wypadki wędrowki, ciesząc się, że tak pięknie potrafił użyć czasu, zapytała nagle ciszej, drżącym nieco głosem:

— Słyszałam, żeście panowie zamierzali razem z panem Sarmiewiczem jechać do Warszawy, kiedy jedziecie?

— Chciałbym jak najspieszniej, choćby dziś, choćby jutro, łaskawa pani!

— • Ach! jakby to dobrze było, dałabym panu notatkę sprawunków, którą byś pan do własnych rąk pana Sarmiewicza doręczył. Więc jutro, proszę pana...

Tak była zmieniona, mizerna, że Józiakowi krajało się serce. Przeczuwając, że ten odjazd potrzebnym być musi, naglił go, ale Paweł zwłóczył i zwłóczył. Będąc z nim sam na sam tak Paweł czasem nagle zamyślał się i posępniał, w odpowiedziach tak był roztargniony i nielogiczny, że chłopiec domyślać się zaczął tajemnicy jakiejś, groźnej dla nich obojga; tym bardziej, że pani Aniela nie pokazywała się zupełnie. Drżąc więc, aby się kto inny prócz niego nie domyślił, nale-



gał coraz bardziej, aż mu niecierpliwie raz odpowiedział:

— Jedź sam, nie wstrzymuję cię. Nie, nie, bracie kochany, poczekaj tylko do jutra, pojedziemy! — dodał po chwili łagodniej.

Przeszło jutro i pojutrze, Józiak wiedział, że Paweł nie spał przez dwie noce, tylko chodził po pokoju, wpadły mu oczy, ręce drżały gorączkowo, pracował, to prawda, od rana do wieczora, ale ani pomyślał o wyjeździe. Nareszcie trzeciego dnia z rana, kiedy czytając książkę postanowił rozmówić się z Pawłem szczerzej, ten porwał się nagle od rajzbretu, otworzył okno od ogrodu i wyskoczywszy szybko, pobiegł jak strzała ku zwaliskom, gdzie ponad sadzawką przechadzała się pani Aniela z synkiem, który szpicrutą ścinał głowy chwastom nadbrzeżnym. Uchwycił namiętnie jej rękę i tuląc do ust, dopiero po upływie minuty zdołał powiedzieć ze łzami w oczach:

— Przecie, odżyłem. Widzę panią zdrową... A, mój Boże!

Kobieta obejrzała się lękliwie, nikogo nie było, tylko synek uśmiechał się z filuterną naiwnością, patrząc na rozczochrane włosy Sarmiewicza, który drżał z zachwytu, nie widząc zrazu, jak niebieskie oczy poczerwieniały i wpadły, gorączka opiekła pełne usta — i chorobliwe, żółte tony przebijały w cerze delikatnej.

— Panie Pawle! — rzekła szybko po francusku, nie patrząc na niego, a rumieniąc się nagle — zaklinam na wszystko, co najświętsze dla pana, na wspomnienie matki, na przyjaźń naszą, wyjeżdżaj pan stąd natychmiast! Oszczędzisz cierpienia nie tylko mnie, Bóg cię za to wynagrodzi, będę Go co dzień błagała za ciebie. Tyle ci zawdzięczam, wyratowałeś mnie od

wściekłego zwierza, wyratuj mię tym ostatnim poświęceniem!

— Nie obawiaj się, pani, szaleństwo ludzkie nie tak niebezpieczne, a jam jeszcze nie oszalał — dodał smutno Paweł z gorzkim uśmiechem.

— Niedobry jesteś... szczerłość moja to wielkie poświęcenie ze strony kobiety — rzekła wskazując na synka. — Chciałam ci tylko dać dowód, jak ci ufam, jak... Zlituj się nade mną! Zmiłuj się nade mną! Nie wiem, co mówię... Jedź! Wymagam tego — dodała wycierając oczy. — Ach! siostra zoczyła nas, idzie tu — zawołała po chwili — przejdź pan tędy do kaplicy, potem może się uspokoję, teraz nie wiem, co się dzieje ze mną... Bądź zdrow!

I ścisnęła mu rękę, i kiedy wielkie niebieskie oczy utkwily na chwilę w jego wzroku, zdawało się mu, jakby ich spojrzenie od ust do serca przeleciało mu jednym ognistym uściskiem.

Pobiegł do kaplicy, Beleńskiemu nie wspomniał, że spotkał żonę w ogrodzie, wieczorem rozmawiał z kobietami wesoło i wcale nie był roztargniony. Naza-jutrz ważny interes zmyśliwszy przed Beleńskim, który się mu badawczo, ale i przychylnie przyglądał, odjechał obiecując, że jeszcze na początku jesieni przyjedzie pokierować dalszą budową kaplicy. Przez całą drogę prawie słowa do Józiaka nie wyrzekł i dopiero w Warszawie, wszedłszy znów do ciasnej swojej stancyjki (od wyjazdu Beleńskich na wieś wyprowadził się natychmiast z ich domu), rzucił okiem na łóżko, stół, parę krzeseł, szafę, mnóstwo książek i papierów — całe jej umeblowanie składających i zawołał z gorączkowym uniesieniem:

— Bieda i praca, Józiaku, to najlepsza kochanka najwierniejsza przyjaciółka, i tym, co do niej nawykli, niedobrze, kiedy się od niej oderwą!... Pójdziemy ju-

tro odwiedzić Szczepaniaka, tymczasem mieszkaj ze mną, bracie!

Ale minęło niemało juter, zanim mógł mu dotrzymać obietnicy; rozchorował się na zapalenie mózgu. Imię, które wymawiał w malignie, tylko słyszał Józiak jeden i nie wspomniał mu o nim, kiedy wyzdrowiał.

### III

— A choroba, chłopaczku, na jakiegoś ty mi pana wyrósł. A toćże to furda teraz przy tobie pan Marcin, niech mu tam Pan Bóg nie pamięta! Bóg ci zapłać, żeś mi dotrzymał słowa... i powrócił jeszcze, nim człek wyciągnął gicały. Krucho bo ze mną, panie Józefie, diablo krucho! — wołał Szczepaniak podniósłszy się na łóżku, kiedy Józiak natychmiast po przyjeździe do Warszawy pobiegł go odwiedzić raz pierwszy z ojcem Jakubem.

— Ano nie gadalibyście trzy po trzy, darmo nie bluźnili, mój kumie, i pana Józiaka nie zasmucali na powitanie. Zaniemogliście, ano to prawda! Aleć Bóg łaskaw, brachu, i z najcięższej niemocy ludzie wyłazą — rzekł pocieszająco ojciec Jakub, choć mu jak Józiakowi wilgotniały oczy na widok wybladłej, opuchłej, nalanej twarzy kowala, niegdyś tak czerstwej i energicznej, którą nie ogolony, siwawy zarost okalał niepotrzebną smugą, jak pajęczyna rękajeść zarzewiałej szabli wiszącej na ścianie.

— Przenajświętsza Panno Sokalska! majster będziesz zdrów jeszcze jak ryba. Taćże to śmierci się nieraz w oczy zaglądało, ale Kostusia boi się starych wojaków... Ho, ho! albo to raz kołatała do mnie, przenajsłodsze imię Jezu!... Ino ja jej: „A wasani tu po co, widziałaś ją! ja się tam kosy nie złękne! Precz mi, bo jak cię zamaluję!...” Toteż stara Jakubowa zuch jesz-

cze, sakrę nądi!<sup>1</sup> A co, prawda, panie Józiaku, jak to pięknie we Chrancji? Wódkę ino tam przezywają konik, konik co prawda to droga, ale wino, Przenajświętsza Panienko, za bezcen... Ho, ho, Jakubowa pamięta wszystko... diwę, delodwi, marsz, an awan, prezaiite arm!

— A bodaj to najsiarczystsze piorunczki nie zatrzaśły! Że też nigdy, matko, nie pofolgujecie językowi i musi znowuście dziś bąbnęli parę miarek u Mośkowej... Toćże widzicie, że pan Józef już nie chłopaczek i ma co innego w myśli, niż tam słuchoć podufałego pytlowania.

— E,"panu Józiakowi, kumie Szczepanie, widzi mi się, zawdy po dawnemu z oczu patrzy pocziwość... nie pogardzi starą Jakubowa, nie! A Przenajświętsza Panno, kiej człek kawał świata zwiedzi, zara co innego, zara znać, że był we Chrancji, szkoda ino, żeście nie byli jeszcze w Ficzpiani. Sliczności chłopak, ani umywać się Gulmańcewiczowi... ho, ho, napiecze Marcychna raczków, kiej go zobaczy! Przenajśodsze imię Jezu! A co wam też, panie Józiaku, tak zajechało po czole: szabla czy kulka? To nic, to zdrowo... kiej żołnierz, co nie plezerowany<sup>2</sup>, mówił u nas kapitan Nieszokoć, świeć, Panie, nad jego duszą, a był nie przymierzając krzyna wyższy...

— A choroba, Jakubowa, zamurujecie gębę, czy nie? Adyć to jak w młynie, wstydziecie się, matko! Idźcie oto, przynieście butelkę miodu i wstąpcie po Marcychnę do Panny Marii, pewno się tam modli jeszcze biedactwo.

— Przenajświętsza Panno! Idę, już idę — niechętnie

**1 pierwotne znaczenie: „na Boga”, zatarło się i wyrażenie to używane jest jako przekleństwo.**

<sup>2</sup> nie ranny.

odmruknęła stara, która chciała koniecznie wejść w gawędkę z Józakiem, ale zakonnik dał jej znak, żeby się nie sprzeciwiała kowalowi.

— Ano, widzicie, kumie, wrócił przecie nasz syn marnotrawny, stęskniło się mu do nas na dobre, i tak jak to my kiedyś nabiedował się, ano nawłóczył, ale, po Bogu a prawdzie, więcej mu Bóg dał oleju w pięcie niż nam w głowie, kamracie!

— Bodaj to choroba... czyś też, panie Józefie, tak pamiętał o starym Szczepaniaku i pisywał o mnie do ojca Jakuba, jak mi oto powiadał? Bo to ja tam na drukowanym to jeszcze od biedy, ale pisanego ani w ząb, a ojciec Jakub poczciwy, żeby mnie pocieszyć, to mi gadał zawsze o was.

— Ach, majstrze kochany, jak możecie też wątpić, żeby sierota zapomniał kiedy o was, coście z takim sercem jak i ojciec Jakub byli dla mnie w najprzykrzejszych latach. Inklusz wasz nosiłem zawsze na piersiach przy krzyżyku od Dzieciątka Jezus, szkaple-rzach od ojca Jakuba i pamiętce od panny Marcysi, patrzcie! — zawołał Józiatek ze łzami, pokazując mu dwa złote polskie zawieszane na sznureczku. — I to mi tylko przykro, majstrze — dodał nagle, widząc, jak się kowal rozrzewnił — że mnie panujecie, Bóg wie po co, a wy, ojczy Jakubie, że sobie wyobrażacie i przypuszczacie o mnie zanadto. Bóg mi świadkiem, że sam nie tak wiele w to dufam i wezmę się do hebla po dawnemu, bo to naprzód zabezpieczyć sobie kawałek chleba, a potem się i reszta znajdzie. Aby tylko pan Paweł przyszedł prędko do zdrowia!

— Bodaj to najsiarczystsze piorunczki, że i temu poczciwości panisku przypadła niemoc.

— Przyszlibyśmy odwiedzić was razem, kochany majstrze! Pan Paweł wybierał się już.

— Ano, nie bójta się, dzieci! Zbierzemy się jeszcze swoi, zbierzemy, bo pan Paweł, choć to paniątko prawdziwe, nie tak jak ten tam Gulmańcewicz, koń Pana Jezusa, ale widzicie, jemu rażno z nami, bo to serce bije mu jak u nas: prosto i bez obłudy — rzekł pokazując na swoje piersi zakonnik, który przy każdej sposobności musiał uczcić Gulmańcewicza jakim dodatkiem wyrazistym.

Nadeszła niebawem Marcysia. Wprawdzie nie napiekła wiele raków, według mylnych przewidywań Jakubowej, ale zadziwiła się bardzo przyjemnie, ucieszyła się nadzwyczaj, jakby z powrotu brata; doznała jednak wrażeń żywszych na widok przystojnego bardzo mężczyzny, w którego oczach, śmiało na nią patrzących, znać było otwartość, wolę i rozum. Nie był to ów mimowolny, magnetyczny pociąg, owa tęsknota uroczą, co przy pierwszym zaraz widzeniu i czytaniu przygód Telemaka z Marcelem — rwała się z jej duszy, ale po chwilowej rozmowie z Józiakiem straciła do niego śmiałość dawną i często spojrzenie w inną zwracała stronę. Kiedy już odszedł, czarne, ogniste oczy jego długo widziała przed sobą i słyszała mocne, wyraziste brzmienie głosu. Bywał potem u nich prawie codziennie, nie mogła ośmielić się jednak i prawie z bojaźnią namyślała się nad każdą swoją odpowiedzią, nad każdym słówkiem nieledwie.

— No i cóż tam, Marcyś — choroba, jak urodziwy nasz Józiak, jakże ci się udał? — pytał często stary w ten sposób lub inaczej.

— Ano — dodawał ojciec Jakub, który także codziennie Szczepaniaków odwiedzał — któreż by się nie udał, chłopiec jak anioł — albo nie?

— Tak, tatuniu, przystojny bardzo; ojczy Jakubie, pocziwy jak dawniej — odpowiadała niewyraźnie.

Nareszcie kiedyś odrzekła rumieniając się nieco:

— Maciusiowa mówiła, że Józiak jak dwie krople wody podobny do portretu księcia Józefa, tylko jeszcze ładniejszy, a panna Petronela Szmeterling, siostra pana Juliana, urzędnika tego, co to u nasz był kilka razy, kiedy go widziała ze mną u Panny Marii, powiada, że piękniejszych oczu, jak żyje, nie widziała. Wie tatunio, że sama nie wiem, dalibóg, czy on taki piękny?

— Ano przy tym uczciwy, a to gront. Co to będzie ano za mąż, co za ojciec — prawil zakonnik.

— A niechże cię też najjaśniejsze piorunczki nie zatrasną, Marcychno! Juźci jeśli on nie piękny, to chyba Maciuś nasz nie jąkała i nie ożenił się z Fidrykową — mówił kowal radośnie, patrząc z porozumieniem na ojca Jakuba.

\*

Choroba i ozdrowienie Pawła ciągnęło się długo, Józiak odebrał przez ten czas parę listów od Beleńskiego z Gierzejów z doniesieniem o wyjeździe ich do Włoch na całą zimę. Przyszedł także list kobiecym pismem adresowany, którego nie śmiał odpieczętować, a który wypadł z ręki Pawłowi, kiedy go przeczytał. Porwał się z łóżka i odpisał natychmiast.

Nareszcie rekonwalescent przyszedł zupełnie do siebie i sam się dopominał, żeby odwiedzić Szczepaniaka, a kiedy mu Józiak dał do zrozumienia, że gotów by dobijać się o rękę Marcysi, Paweł wystroił się we frak i w charakterze dziewosłęba wraz z ojcem Jakubem oświadczyli pana majstra Sierockiego.

Stary, przystawszy jak najchętniej w swoim i córki imieniu, rozplakał się jak dziecko i kłaniając się z łóżka do nóg Pawłowi, gdyby był stał, może upadłby do nich.

Radosna ta pokora, cześć serdeczna, tak właściwa nie tylko naszemu ludowi, ale mniej więcej wszystkim słowiańskim, choćby Paweł nigdy jej nie przyjął, nie miałyby nic poniżającego, bo natchnęłaby ją wdzięczność, nie obawa i poniżyć by mogła chyba tego, co by sądził, że się mu należy.

Marcychnie rączki przepowiedziane przez Jakubowę teraz się dopiero aż nadto sprawdziły. Józiak, starodawnym zwyczajem do nóg upadłszy Szczepaniakowi, zwrócił się potem do swojej przyszłej, pocałował w rączkę... Jakubowa wycięła jakiś dwójznacznik o buziaku, oblała się szyja i ramiona kowalczanki żywym rumieńcem, ale dopiero o szarej godzinie, co wkrótce nastąpiła, na różowych ustach dziewczęcia sprawdził się dwójznacznik.

— Adyc to pojutrze już Wilia, Marcychno... patrzaj no! Wielmożny pan budowniczy przypomina sobie... Józiak, pamiętasz, jakeśmy cztery lata temu siedzieli przy tym stole razem? Choroba... Jak się pozmieniało ludzisków siła, ino dobrzy zawždy ci sami. Panisko kochane, z przeproszeniem łaski pańskiej, może nie pogardzi nami, połamiamy się opłatkami i do siego roku, panie budowniczy.

— Z duszy serca, majstrze pocziwy, obchodzić będziemy przy tym zaręczyny, za trzy tygodnie od Nowego Roku wyjdą zapowiedzie, a potem weselisko — odrzekł Paweł ochoczo.

— Ano... może tam *dominatio vestia* wstawi się za mną łaskawie u ojca prowincjała, żeby mi w Wilię wyjść pozwolił wieczorem, to i ja z państwem chwilę bym razem pobawił. A co? nie mówiłem, kumie Szczepanie, że się zbierzemy jakoś swoi znowu?

— To wszystko kochany nasz pan budowniczy sprawił, Bóg zapłać panu! I Macusia z żoną trza będzie zaprosić, Marcychno! Choroba tylko... wielmożny



panie budowniczy, bo to baba jego, jak nie przymierzając Jakubowa, lubi czasami łyknać.

— Sam pójde zaprosić Maciusia, jeśli pozwolicie, ojcze, a choćby Fidrykowa podochociła sobie w nasze zaręczyny...

— Przenajświętsza Panno Sokalska, czyż to grzech raz do roku, panie Józefie? — wtrąciła Jakubowa słuchając pod piecem.

— Da Bóg, może i ja się zwlokę z pościeli!

— Ach, tatuniu, tatuniu, żeby wam jeszcze Bóg najwyższy dał zdrowie, to by mi do szczęścia nic już nie brakło! ;— zawołała z płaczem po odejściu ich Marcysia tuląc zapłonioną twarz do ramienia ojca.

— Choroba tam staremu zdrowie wróci. Sładniej stracić niż odzyskać, moje dziecko! Dziękować i tak Panu Bogu Wszchemogącemu, żem się aby uspokoił o ciebie, sierotko; że będziesz se miała człowieka całą gębą, a nie jakiegoś tam świszczypałkę, niech go najjaśniejsze piorunczki! Widzisz, gada oto po francusku, może lepiej niż tam ktoś, a nic sobie z tego nie robi.

Marcysia zadumała się nagle, wspomnienie pierwszego uczucia odbiło się w pamięci i sercu, jak wschód słońca we Wiśle, który tak często widywała z okienka. Ale postać Gulmańcewicza, obłudnego, spodłonego i stokroć brzydszego od Józika wyłączyła z myśli uroczych, które wkrótce innym, niby spokojniejszym, ale wrażliwszym zapłonęły ogniem: płomień jego czuła jeszcze na ustach i rumianych jagodach.

#### IV

Zasrebrały jasne gwiazdki w narodziny Dzieciątka Bożego — i gromadka kilku kornych, wiernych wyznawców Jego słowa zebrała się w domku na Głębo-

Mej. Szczepaniak zwlókł się, jak mógł, z łóżka, ogolił się, przywdział granatową kapotę i z rogatywką w ręku, ze łzami w oczach witał gości i łamał się opłatkami. Siedząc pośród samych życzliwych a nieobłudnych, dumny, że obok Pawła, co po bratersku połączył się z ich kółkiem, zdaje się, pół zdrowia odzyskał; mimo próśb Marcysi uparł się i wychylił miodem zdrowie pary młodej, sąsiada i gości.

Nie było już dwóch stołów: Jakubowa, czeladź i chłopcy, co to murzyńskiej cery nigdy nie mogą odmyć zupełnie, śpiewali razem kolędy przy jednym stole, a porozumienie ducha rzewnym braterstwem zjednoczyło wszystkich.

— A jak to się uwija gospocha swobodnie i zgrabnie, jak tym bujnym, jasnym włosom pięknie będzie, kiedy je ozdobi czepeczek — poszepnął Paweł staremu, który patrząc na dzieci rzewnie zapłakał i posmutniał nagle.

— Oj, Józiaku — rzekł po chwili — podziękuj oto Panu Bogu, a potem panu budowniczemu i ojcu Jakubowi, że se idziesz, jak iść trzeba, chłopaku! Siarczyś-cieś ty rozumny, że choć taki z ciebie uczony, trzymasz się oto rzemiosła. Prosty ja tam człek, ale dokumentnie pamiętam, jak nas było więcej rzemieślników z polskiej krwi czystej, a teraz, choroba, jak coraz mniej, ino tam jeszcze kowalstwo się krzyne trzyma, bo to do młota trza łap nie na żarty, krzepkich jak u Maciusia, do stu najsiarczyszych piorunczków!

— Ano święte wasze słowa, kumie Szczepanie!

— A już-jużci ino patrz-patrzeć po szyldach, diabli wie-wiedzą, co za nazwiska, aż się człeku ser-serce kraje — wtrącił Maciuś.

— Nazwa nic nie znaczy, majstrze — odparł mu Paweł — aby tylko życzliwość mieli w sercu dla ple-

mienia, na którym zarabiają i żyją z niego... Nie podobna znowu, aby wszyscy mieli być nieżyczliwi... Skoro który z tych rajzenderów<sup>1</sup> nakarmi się naszą pszeniczką i żytem, a przypadkiem jeszcze weźmie za żonę Polkę, to sam w trzech czwartych przyswoi się, polubi nas, a dzieci już duszą i sercem nasze, tylko nazwa obca.

— Pan budowniczy gada, z przeproszeniem, jak z książki, i zawsze spieram się oto z moim Maciusiem, albo to Fidryczek Szwab, niedowiarek, co? — zagadnęła pani eks-Fidrykowa.

— Ano wasz Fidryczek poszedł za wami, ministranturę umie *expedite*<sup>2</sup>... i prawda to, panie budowniczy, co pan powiedział, aleć i dzieci onych rajzenderów zawsze pół diabłem trąca, bo to nie chodzi do kościoła z nami, nie spowiada się, kazania nie słucha u nas! — zawołał zakonnik.

— • Zawsze jednak czczą naukę Zbawiciela, tę samą co i my — wtrącił Józia.

— Niech ich tam zresztą najjaśniejsze piorunczki nie zatrzasną, ojcaszku! Ale, z przeproszeniem łaski pana, czy to oni jedni nam przeszkadzają?...

— Ma się wie, ku-kumie Szczep-szczepanie, małoż to Moś-ków, Faj-bu-busiów i ta-ła-ła-łajstwa przeróżnego, pejsa-satego!

— Spomiędzy nich nie ci przeszkadzają, co pracują, tak samo oni biedni ludzie jak wszyscy pracownicy i niezbyt ich wielu, a rzemiosłom nigdy nie zaszkodzi współbieganie się innych... Gdy kto zabiegłe potrafi chodzić koło swojego, sumienniej się mu poświęci, prawie zawsze będzie górą... ale ci, co nie pracując żyją z przebiegu, z szacherki, ze krwi i potu bied-

**1 wędrowców.**

**2 doskonale.**

nego, szkodliwi są bez zaprzeczenia dla nas i dla siebie. Potępiając ich jak najśluszniej, nie zapomnijmy jednak sami uderzyć się w piersi... Panowie i biedacy, szlachta, lud i mieszczenie — wszyscy pragniemy żyć nad stan, każdy z nas ma żyłkę próżniactwa, lekko-myślności, którą grzeszy, za którą prędzej czy później musi odpowiedzieć, a kiedy raz popadnie w ręce żydowskie, nie wyśliznie się tak prędko — • rzekł Paweł.

— Ano, co znowu prawda, to prawda! Widzim źdźbło w oku bliźniego, a w swoim belki nie dostrzeżeni, chociaż ano zawdy uczciwsi my bliźni od nich.

— • Niechże Bóg broni, żeby miało być inaczej; nie byłoby wtedy po co żyć na tej ziemi! — zawołał Paweł.

— A gdybyśmy się ostro trzymali za ręce i postanowili nie dać się oszukiwać, to by nas nie oszukiwano, Maciusiu! — wtrącił Józiatek.

— Choroba tam, Józiatek! • — rzekł Szczepaniak, jakoś coraz smutniejszy. — Wielmożny budowniczy galancie powiedział, żeśmy grubo winni i że w piersi trza się uderzyć... Ale, z przeproszeniem, zabaczył jeszcze, że u nas zawdy najtrudniej o zgodę, każdy chce ino po swojemu, a razem ani weź... Toteż niech wam Bóg błogosławi, dzieciaki, abyście z ludźmi bez swarów żyli i aby chociaż co Wilia zebrało się u nas kilku prawdziwie poczciwych człeczysków, jak, nie chwalący, oto wielmożny budowniczy, ojciec Jakub i my oto rzemieślnicy.

— Z czy-czystej krwi swojej, nie mieszań-szańcy żadni... to już teraz w Warszawie nie tak śladno — dodał Maciś.

— Przenajświętsza Panno Sokalska, a Jakubowa, stara żołnierka, to niepoczciwa?

— Ano, toćże o Marcysi i o majstrowej nie wspominał kum Szczepan. Ano i choć ludzie mówią: „Gdzie

diabeł nie może, babę wysyła", daj, Boże, aby wszystkie stare miały ino wasze wady, matulu!

— *Mer ci!* — odrzekła przykładając rękę do czoła.

— I nie piąć się, dzieci, żyć ze swoimi, nie zadierać nosa, bo niech je piorunczki, jak to boli, kiedy się człowiek złapie, kiej mucha na lep... Szedł ze szczerym sercem, a tu mu w serce naplwiają; podzieliłby się koszulą ostatnią, a tu go za drzwi chcą wytaszczyć, jakby dziada o proszonym chlebie — ciągnął dalej Szczepaniak zamyślając się posępnie, a nie chcąc przy Pawle wymienić nazwiska jego kuzynów.

— Co tam, tatuniu, o smutnych wspominać rzeczach, Bóg łaskaw na nasz, że nam dał tylu życzliwych przyjaciół... Są drudzy, co i tego nie mają — dodała żywo Marcysia przyciskając do serca rękę Józika.

— Aj, choroba, dziewczeczko, masz słuszną rację! Człęk się tam starał w życiu, jak mógł, po ludzku wychodzić — toteż za to może i nie powiedzą o Szczepaniaku, kiej pojedzie do nieboszczki na Powązki, żeby skrzywdził kogo. Boć to człęk nie wieczny i dziś, i jutro nie jego, a poczciwi oto przyjaciele dadzą mu przecie dobre słowo. Górą Krakowiacy! Ejże, ino po skalmiersku, daj nam, Panie Boże, zdrowie! — zawołał ze wzruszeniem, siląc się widocznie na wesołość.

Drżącą ręką nalał drugim miodu, a sam próżną trącił szklanką, bo już od jednej tylko poprzedniej zaczęły mu coraz bardziej na twarz występować sinawe plamy. Nagle wstrząsnął się jakoś.

— Wstańmy już! — szepnął Paweł do ojca Jakuba wskazując na twarz starego.

— Bóg zapłać, panie budowniczy, i wam, ojcaszku, Maciusiu. Aj, choroba! Marcysia! Józika! — zawołał nagle zmienionym głosem, kiedy się podnosił — dajcie no mi ręce, dzieci, coś mi słabo znów, ćmi się w oczach, jak młotem wali do głowy. W imię Ojca

i Syna, i Ducha Świętego, niech was Bóg błogosławi, dzieciaczki moje!

Wsparty na dzieciach, poszedł kilka kroków, ale jęknął nagle i padł martwy na łóżko.

Paweł, zakonnik, Maciuś, czeladź rozbiegli się zaraz po doktora, puszczono mu krew z rąk obu i nóg, ale poszło tylko kilka kropel, chrapał przez chwilę i ucichł.

— Nie ma co, po tylu uderzeniach krwi teraz już na dobre apopleksja. Nie ożyje poczciwiec — rzekł doktor puszczając zimną rękę.

Marcysia zemdląła na rękę Józiaaka, który z płaczącym jękiem całował spracowane dłonie zmarłego.

— Przenajśodsze imię Jezu! Nie doczekał oto człeczysko ani ślubu córki, ani nawet imienin na świętego Szczepana. A wróżył se, precz wróżył od dawna.

— Ano, już tam Krakowiak rozmawia z Dzieciątkiem Bożym — rzekł zakonnik, któremu łzy gradem opadły na habit.

— Prawdę powiedział, że nas coraz mniej — szepnął doń Paweł, który ile razy spojrzął na poczciwą, dziobatą twarz, na grube rysy już mgłą śmierci owiane tego zacnego stworzenia, co samym tylko sercem żyło na świecie, płakał rzewnymi łzami, którymi człowiek gorącego serca, ale zimniejszej duszy nie szafuje tak często.

Maciuś jak słup stał przy drzwiach nieruchomy.

Ledwie od ojca odszedł doktor, musieli go przyzwać do córki. Biedactwo rozchorowało się straszliwie.

I tak po biesiadzie serdecznej, w pogodną noc grudniową, wśród dobrych ludzi, smutek i żałoba w domku na Głębokiej, gdzie cztery lat temu przy dwóch obłudnych współbiesiadnikach takie było życie i wesołość. Trudno! I źli, i dobrzy zasypiają co chwila snem wiekuistym. Po dobrym jednak zostaje tchnienie niebiań-

skie, co podnosi i uzacnia dusze pozostałych; łzy dlań wylewane wdzięcznie zbiera duch jego, czuwa wspomnieniem i przykładem nad gromadką przyjazną, w samej śmierci jeszcze czerpiącą popęd do lepszego życia, bratając się żalem, współczuciem i tą pewnością świętszego, piękniejszego świata, gdzie swoi się ujrzą, i połączą znowu.

Nad samym rankiem dopiero wrócił Paweł do siebie. Po tylu wzruszeniach nie mógł zamknąć oczu i kiedy słońce zajrzało do stancyjki, jakoś mu teraz smutno przez zamarżnięte szyby oświeciło jej samotność, którą jednak tak lubił, tak nawykł do niej. Nieledwie machinalnie sięgnął do stolika przy łóżku i wydostawszy pomięty liścik Anieli, podczas choroby otrzymany, po setny raz przeczytał te słowa:

„Mieliśmy wyjeżdżać pojutrze za granicę. Dowiedziawszy się, żeś pan zachorował, wstrzymałam jeszcze wyjazd, badają mnie tu, dlaczego. Na miłość boską, donieś mi, jak się masz, bo jeżeli natychmiast nie odbiorę odpowiedzi przez Grzybińską, nie bacząc na nic pojedę sama do Warszawy i muszę cię widzieć koniecznie. Znając mnie wiesz pan, że dotrzymam słowa, zlituj się więc nade mną i nie zwlekaj odpowiedzi.”

Odpisawszy jej, że prawie już zdrow zupełnie, o mało recydywą nie opłacił szlachetnego kłamstwa... Aniela odjechała do Włoch z mężem i siostrą. Chociaż podczas jej nieobecności miał jechać do Gierzejów, ukończyć budowę kaplicy, archanielskich oczu może już nie zobaczy nigdy... wczoraj znów był świadkiem śmierci poczciwego człowieka... smutniej mu było coraz w samotnej stancyjce. Odezwały się dzwony, głoszące Narodziny Pańskie. Ubrał się i poszedł do kościoła.

w dwa dni potem znak żałobny<sup>1</sup> i okólnik z cechu wezwał majstrów i czeladź na pogrzeb Szczepana Szczepaniaka, majstra kowalskiego. Bractwo cechowe i bractwo Najświętszej Panny Różańcowej, gdzie był wówczas dwa lata podskar bim, wystąpiło ze świecami. Z Rybaków, z Nowego Miasta, z Bugaju, z Zakroczymskiej, z Freta, z Samborskiej, Konwiktorskiej itp. pełno rzemieślników, z których wielu nieboszczyk trzymał dzieci do chrztu, zaległo plac przed Dominikanami, gdzie spoczywało ciało. Trzy konwenta poszły aż na cmentarz przed trumną poczciwego i bogobojnego rzemieślnika.

Marcysię prowadził Józia i Paweł, ale zaledwo kilka kroków uszła, zemdłała, i Maciusiowa, wioząc ją w dorożce, musiała trzeźwić co chwila sierotę, która ojca kochała nad życie, i tak jak on, każde uczucie głęboko biorąc do serca, całą istotą bolała nad największą stratą, jaką w życiu poniosła. Ojciec Jakub, śpiewając z księżmi pieśń żałobną, oglądał się co chwila na nią i na Józia, jakby poczuwając się do zastąpienia im zmarłego, co go jak brata serdecznie umiłował za życia. Kiedy już trumnę spuszczone do dołu, a Józia, Paweł i kobiety zaledwie zdołały wstrzymać Marcysię, która się rwała do grobu, ojciec Jakub znów i Maciuś perswadowali Jakobowej.

— Ano, po co to — • lepiej zostawić córce na pamiątkę.

— Nieboszczyk kum kazał mi wyraźnie, kiedy jeszcze przed powrotem Józia dobrze był chory: „Pamiętaj, Jakobowa, żeby ze mną krzyż razem pocho-

**1 Chrystus lany z mosiądzu lub żelaza, przy obiegniku od cechu zawsze go majstrom przynoszą. (Przyp. autora.)**



wać!" A przynajmniej imię Jezu, i nie mam dotrzymać słowa pocziwemu człowiekowi, świeć, Panie, nad jego duszą! — zawołała podnosząc w rękę srebrny znak żołnierski na niebieskiej wstążce<sup>1</sup>, który, nachyliwszy się nad dołem, z głośnym łkaniem spuściła na trumnę.

Padła ziemia garściami i łopaty grabarskie stuknęły o wieko... Marcysię gwałtem uprowadzili. Dopiero za rogatkami zobaczyła, że ją prócz kobiet i Józiaka prowadzi Paweł, któremu przypomniała ostatnie słowa Szczepaniaka, szepcząc ochrypłym od płaczu głosem:

— Bóg zapłać, pocziwy panie budowniczy!

Tuliła się do Józiaka, co jej teraz miał zastąpić wszystkich na świecie, a sieroctwo zobopólne jednoczyło ich jeszcze bardziej. Lecz dopiero za rok i sześć niedziel mogli stanąć przed ołtarzem.

Na Dzikiej ulicy spotkał ich dorożkę dopiero teraz jadący na pogrzeb z matką Gulmańcewicz, który dowiedział się o śmierci starego od Pawła. Poznała ich Marcysia i zimno odskłoniła się obojgu. Marcel niechętnym okiem patrząc na Józiaka, towarzyszącego dziedzicze domku na Głębokiej i przy tym zapewne gotóweczki niemało, kiwał i wołał na Pawła, że wujenka chce z nim pomówić, ale Paweł nie chciał opuszczać ludzi, dla których był życzliwszy niż dla kuzynów i którzy go po bratersku kochali.

\*

Po pogrzebie, na piwie u Kaźmirusa przed rogatkami Powązkowskimi, majstrowie Polacy i nawet Niemcy, czeladź, członkowie bractwa, jednogłośnie żałując i słuszność oddając zmarłemu, radzili o córce, jakby

**i Krzyż virtuti militari, najwyższe odznaczenie wojskowe, wymowny dowód dzielności Szczepaniaka w powstaniu listopadowym.**

to nad nią rozciągnąć opiekę i kuźnię dalej prowadzić, domek wypożądzić. Maciuś, który, zajmując się pogrzebem, później przybył z cmentarza, podziękowawszy im jako daleki krewny Marcysi, upewnił przy tym, że jej narzeczony, wybrany jeszcze przez ojca, pan majster Sierocki urządzi zapewne to wszystko sam jak najlepiej.

## VI

Żyjąc znowu przez długi czas tylko z łaski matki, która z powodu jego choroby porzucić musiała wyborne owo miejsce wyrobione, przez Pawła, Marcelek sprzykrzył sobie wkrótce ferułę<sup>1</sup> życiodawczyni i najął na Freta obszerniejsze, kawalerskie mieszkanie z Kociem, któremu paręset złotych, wygranych w hoteliku na Koźlej za pomocą lipiny i trzynastki od niewinnego farmaceuty z prowincji zdającego egzamen na subiekta, tyle dodało otuchy, że powoli zaczął ściągać do siebie niektórych rycerzy sztosy i diabełka, i nawet z bawarii, z kawiarni drugorzędnych i tym podobnych zakładów — rozmaite ryby.

Połów bywał bardzo liberalny, bo zdarzyło się czasem, że która z nich zdjęła w przedpokoju i płaszcz liberyjny — zasiadła do stolika w kożuszku poszytym grubym sukniem szaraczkowym lub też w malowniczym chałesie, który w ogóle zawsze się tam wkręca, gdzie jakiegokolwiek czuje pieniądze.

— Ja tam nie pytam, kto oni tacy, aby tylko uczciwi i mieli trochę gronia — mawiał Kocio do szlafkamrata, który się krzywił czasem z powodu tych kundmanów, lecz którego nieznająca a gładka fizjonomijka, francuskie wyrazy mieszane ustawicznie i lepsze niby

**i władzę.**

obejście potrzebne było dla zakładu — dodając mu znaczenia i poloru.

— Masz ty, sakr-panie, fersztand<sup>1</sup> do stu set rac i moździerzy — dodawał eks-tamburmażor poprawiając sobie plaster na oku.

Od niejakiego czasu porozumiawszy się znów z Kociem na drodze jamai, którą im się więcej poznaje, tym się bardziej do niej nawyka, on to mu głównie doradził ten kierunek połowu i pełnił często obowiązki wprowadzacza na zebrania, do których należał czasem i pan Baltazar Jabłuszko, ale to tylko do wyborowych.

Przez parę miesięcy szło dosyć pomyślnie. Marcelek znów jak lalusia ubrany bywał co dzień u pani Domci, raz na dwa tygodnie u matki, nie zajrzał do Pawła, któremu na ulicy kłaniał się lekko, z całą wyższością lakierków i modnego kapelusza, a marzył jak i przedtem o ulubionym przedmiocie: o bogatej jakiej niebiance, której pobłażał w myśli nawet siedmdziesiąt wiosen.

Wtem... jakiejś rybie w kożuszku, kiedy obcięta i podcięta wracała do domu, a gospodarz odprowadzał, zginął trzosik; któremuś przedpokójowemu powiernikowi od sędziwej hrabiny Protojodureckiej ulotnił się podczas gry zegarek i mimo najściślejszej rewizji przez gospodarza zarządzonej nie dał się odszukać. Kiedyś znów Chałkowi Barbones, przyjacielowi Porucznika, Jabłuszki i Kocia, wiernemu jego partnerowi w domino, zakrwawiło się serce, że go nie przypuścił do motii<sup>2</sup>, a ograł co do grosza na siódemkę aplikanta na woźnego przy kasie, który Bóg wie skąd przyniósł kilkadziesiąt rubli; kiedyś mu nawet Porucznik powiedział:

**1 rozumu.**

**2 do spółki, do połowy.**

— Ej, sakr, Kociu, nie tak od razu na bagnety! Z jamają ostro można, bo milczy, ale z przyjaciółmi prezentuj broń, do miliona karabinów... mają, widzisz, ozór, sakr, ozór... a z gośćmi po czwartacku: jeden chaps, drugi myk, trzeci ślad zamiata... Czujesz?

— E, pleciesz! Kto mi tam czego dowiedzie? Powiedziałem sobie, że będą pieniądze, i będą... No, jeszcze po piątym, do ciebie, stary! Ulep alembik! Trzeci numer! — odrzekł Kocio, na którym już i przy obcych ani śladu nie znać było dawnej grzeczności, tylko milczał jeszcze bardziej przy grze i po grze.

— Pij zdrow, sakr, spuście! Ale rejterada, póki czas... bo oto widzisz i Baltazar zwąchał, że się tu nie pokazuje, i Gulmańcewicz chce się wynieść, i Chałek coś tam szczeka.

— Czy ci ten baran Gulmańcewicz wspominał, że się chce wynieść, a o Chałku z pewnością słyszałeś?

• — O Gulmańcewiczu bąknął coś Baltazar... pewno smyka Domcia namawia, bo on tam czasem bywa u niej, a Chałek to mściwa kanalia.

— No, no, po jednym jeszcze. Zdrowie Domci! — zawołał Kocio robiąc szczękami gwałtownie. Podrapawszy się po krostowatej twarzy, aż mu krew popłynęła, rzucił się na kanapę.

Porucznik odszedł.

Wkrótce potem wrócił z miasta Marcelek i zdejmując świeże rękawiczki poczęstował go ciastkami, których nie chciała jeść Domcia, bo ją zęby bolały.

— Ja cię tu lepiej poczęstuję! — wrzasnął rozwścieczony gniewem i jamają szlafkamrat, który potrzebował na kimkolwiek wyrzucić złość zebraną.

I wymówiwszy mu, że nie płacąc za mieszkanie, utrzymując się i strojąc z jego pracy, z motytek przy grze, jeszcze obłudnie chce mu szkodzić za oczy, wynosić się jakby od zbrodniarza jakiego, przylepił mu

cybuchem kilka uczciwych smarowań. Darmo Marcelek kłął się ze łzami, że ani myślał się wyprowadzić, na próżno robił skoki ortopedyczne, błagał go, żeby szanował nowy paltonik — puszczono go dopiero, aż się cybuch połamiał w kawałki.

— Idź teraz na złamanie karku, z ciastkami twymi razem, słodkiewczu! — zawołał śmiejąc się pogardliwie z łez na składnej twarzyczce, w którą jeszcze cisnął papataczem i babką śmietankową.

— O pójdę, *moi j'irai!*, Monsieur Kocio — odrzekł Gulmańcewicz podnosząc pomięty kapelusz. — *Moi j'irai, Monsieur!* — powtórzył na wschodach, poprawiając nieład ubioru i płacząc ze złości. „*Moi j'irai dans l'instant même*”<sup>2</sup> — pomyślał wyszedłszy na ulicę i pędem pobiegł do Jabłuszkowej.

Frycówka ta jeszcze pijaka nie zadowolniła. Poszedł na domino, gdzie wiedział, że zastanie Chałka, zaprosił go do siebie na jamaję i puścił w taniec jeszcze energiczniejszy niż Gulmańcewicza. Dopiero położył się spać.

Obudziwszy się wieczorem, wytrzeźwiony zupełnie — jak przez mgłę pamiętał o tym, co zaszło — humor mu wydobrzał, palce nabrały gibkości. Ćwicząc się nową talią w różnych zagadnieniach gry wyższej, czekał na gości. Przyszło kilku — bank już gotów, poniterzy stawiają, wtem zabrękło na wschodach, niepostrzeżenie weszła policja, zabrała bankiera i ponotowała nazwiska obecnych.

Wyszły skądś na jaw historyjki rozliczne: Barbones przyprowadził Żydków, którym kilka razy podejrzane rzeczy sprzedawał; wezwany na świadka Marcel nadmienił coś o elementarnych sposobach łowienia

**1 pójdę.**

**2 pójdę natychmiast.**

ryb, o trzosiku, który Kocio wróciwszy w nocy wyspał myśląc, że śpi szlafkamrat, co chrapał dla niepoznaki... i Kocio pojechał na Pawiaka, według przepowiedni Jabłuszkowej. Wierny atoli przyrzeczeniu, chcąc się zemścić za wyznanie o trzosie, przyznał, że go sam wyciągnął, ale podzielił się zarobkiem i dał go do schowania Marcelkowi, który, chcąc się uniewinnić, na niego wszystko zwałił. Nie ograniczając się na tym, jeszcze go oskarżył o wykradzenie pugilaresu Porucznikowi i powoływał się na tegoż świadectwo, co schwytawszy go na gorącym uczynku, przez wzgląd jedynie na młodość, wybaczył mu. Szczęściem, Porucznik prysnął gdzieś z Warszawy, ale utworzyła się sprawa, w której co chwila powoływano Marcela. Kocio co dzień nowe zarzuty wymyślał. Jedynie przez wpływy matki, która ostatek pieniędzy, suknie i meble pozostawiała, aby wyratować jedynaka, i przez stosunki Pawła udało się mu wypłynąć jako tako.

— Ach! Boże, to kara wielka! ale też może i ostatnia nauka dla Marcela; widzisz, *mon enfant*, jak to źle nie słuchoać matki i wdawać się z ludźmi tak nisko położonymi — mówiła mu raz matka.

•— *Ma chère maman!* Strzeżże mnie, Boże, czybym się z nimi wdawał, gdybym miał, przypuściwszy, choć te dwanaście tysięcy, co mama na proces straciła.

— *Mon cher Monsieur Paul!* Wpłyńże tam pan na niego, pomieść go gdzie, zmiłuj się!

— Proszę mamy, co tam Polunia trudzić? Budowniczym ani urzędnikiem, ani uczonym nie myślę być. Zresztą już sobie teraz poradzę; prosiłbym tylko mamy teraz o kilka rubli, a może ty, Poluniu, mógłbyś mi pożyczyć?

— Ostatnie! — rzekł Paweł rzucając mu trzy ruble. — Radźże sobie i bywaj zdrów raz na zawsze — dodał spojrzawszy litośnie na wujenkę.

## VII

Marcelek tak zaczął jakoś radzić sobie, że się znów wprowadził do Jabłuszków, z Chałkiem Barbonesem oraz innymi *ejusdem iarinae*<sup>1</sup> przestawać zaczął często; pomagał Baltazarowi w sprawach; kręcił się także modnie ubrany pomiędzy hulaszczą młodzieżą; od Domiceli z Papierowskich wypełniał zlecenia rozmaite: chodził do lombardu, gdzie zastawiwszy rzeczy interesanta dawali mu pieniądze, co ich nic nie kosztowały, za które by płacił cztery od sta na rok, a brali cztery od sta na tydzień; konferował z Moramszą i ze znajomymi jej innymi kobietami. Sprytnie zaś wypełniał to wszystko, wyprzystojniał znów, zmęźniał na dobrym stole Baltazarów. Domicela od dawna już dzień w dzień swarzyła się z mężem słowami i rękami. Któregoś ranka, przywiedziona do ostatniej pasji zazdrośnym wymysłem na nią o Marcela i stłuczoną wazą kryształową, na którą Jabłuszko w uniesieniu dysputy pchnięty, szanownym czołem rozbił na połowę, rzekła doń łagodnie:

— Zabieraj swoje manatki, co moje, zostaw i wynoś mi się stąd, niedołego, bo nie ręczę za siebie!

— Jestem nie wiedzieć kirn, Domciu... czy wiesz, co mówisz, aniołku! Daję najświętsze słowo honorowe, oszalałaś chyba.

— To za ten wymysł jeszcze dziś mi się wyniesiesz, rozumiesz?

— Ależ co? Domciu? Zastanów się, koteczko! Czy się tak mówi do męża, do najprawdziwszego, najślubniejszego męża?

— Piękny mi mąż! Kto więcej zarabiał? Czy ty swoim wielkim rozumem i sprawami głupimi, czy ja?

**i z tej samej mąki, tj. tego samego pokroju.**

Kto więcej wydawał na dom? Kto cię uczył rozumu? A, ty niewdzięczny, i śmieć mnie posadzać... Otóż na złość, kiedy tak, to niechże już będzie, jak powiadasz, najprawdziwsza prawda... Wolę przystojnego, młodego chłopca, co mnie będzie kochał, niż starego niewdzięcznika... Idź sobie, grzybie, na grzyby, a ja za rok będę panią Gulmańciewiczową, może to nieco piękniej niż Jabłuszkową.

— Ależ, kobieto, pomnij, z jakiego cię stanu pojąłem... przed ołtarzem najoczywiściej przysięgaliśmy sobie, Domicelko!

— Co ty mi tam stan będziesz wymawiał, twój był może gorszy niż teraz Kocia, i gdybym nie uprosiła sędziów, nie poświęciła się, rozumiesz, za ciebie, to byś może brzękał podwiązkami w szarej kurcie. A myślisz, że nie dostanę unieważnienia małżeństwa? żem biorąc ślub nie myślała zaraz o tym, żeby go zerwać, jak mi się sprzykrzysz. Ho... ho, naprzód, braliśmy ślub w niewłaściwej parafii, potem, dowiodę, że...

— Jestem nie wiedzieć kim, Domicelko, nie przyprawdzaj mnie do wściekłości — wołał Baltazar podskakując i tupiąc koszlawymi nogami.

— Zamiast wściekłości, bierz, co twoje, dziesięć tysięcy oddałam ci i nie masz żadnej pretensji, a reszta mój zarobek, święcie mój.

— Czterdzieści... czterdzieści tysięcy! — wołał piniąc się Jabłuszek. — Czterdzieści tysięcy, ty zbrodniarko! Ja cię nauczę, ja ci pokażę!

— Ty mi grozisz? A, tego już zanadto... Panie Marcel, panie Marcel! chodź no pan tutaj... Ten stary nikczemnik śmiał mnie skrzywdzić, uderzyć, stłukł wazon, grozi, że mnie zabije, jesteś pan świadkiem, gwałtu! — wrzasnęła przeraźliwie, aż się rozległo po całym domu. Tymczasem z Marcelem, w pyszny fioletowy



szlafrok przybranym, wypchnęła go za drzwi, które na klucz zamknęła.

Tonący brzytwy się chwyta. Zrozpaczonemu Jabłusce przyszedł pomysł udać się do matki Marcela i błagać ją, żeby syn mógł się wyprowadzić od nich.

Staruszka, pochylona, siwa już zupełnie, przygłtu chłta, mieszkała na ulicy Starej, obok kościoła Sakramentek. Z trudnością mogąc się utrzymać ze szczupłej emeryturki, z której nieraz synowi musiała coś udzielić, wystarała się za pomocą Pawła o pozwolenie na niższą pensję płci żeńskiej i miała kilkanaście przychodnich panienek, którym najwięcej sama początkowych nauk udzielała.

Poznawszy Jabłuszkę, którego nie chciała znać, chociaż syn mieszkał u nich, okulary rogowe i książka do nabożeństwa upadły jej na ziemię, drgnęła spazmatycznie i lekko patrząc, czy służąca czasem nie wyszła, zapytała, czego sobie życzy.

— Ach! najłaskawsza pani Kontrolerowo, jestem nie wiedzieć kim, czy pani zbawić mnie nie możesz, a ja pani nie zrobić przy służki! — zawołał Baltazar padając jej do nóg.

Opowiedziawszy całą litanie cierpień, dodał ze łzami:

— Pani Kontrolerowo, spraw to pani, żeby się wyprowadził, a daję najświętsze słowo honorowej uczciwości, że dam oto te dziesięć tysięcy, które w listach zastawnych mam przy sobie, złożę u trzeciej osoby dla pani. Zobowiązanko spiszę najświętsze, a dziesięć tysięcy, najczcigodniejsza z najczcigodniejszych pani, to więcej znaczy dla pana Marcela niż kobieta starsza od niego, nieodpowiednia pod względem edukacji i rodu, pani baronowo dobrodziejko, boć po ojcu masz' pani prawo do tego tytułu.

Kontrolerowa wahała się długo i znęcona nareszcie

dziesięciu tysiącami, którymi uniknęłyby wymówek o dwanaście utopionych w procesie, co przypominał jej syn zawsze, odwiedzając raz na miesiąc, napisała do niego, że jest chorą i chciałyby go zobaczyć.

Marcel nie przyszedł na wezwanie matki, a kiedy w rok potem ostatni z Gulmańcewiczów brał ślub z Domicelą z Papierowskich, *primo voto*<sup>1</sup> Jabłuszkową, Barbara z Kalbfleischów, ulegając prośbie jedynaka, zaprowadziła ją do ołtarza. Ale to tylko na tę jedną uroczystość zawezwano matkę. Kiedy przyszła czasem ich odwiedzić, służąca na rozkaz pani prawie zawsze odpowiadała, że nie ma państwa w domu, a Marcel, nieraz rozwalając się w dorożce z energiczną swoją połowicą, nie poznawał i nie kłaniał się pochylonej, drżącej kobiecie w czarnej lichej sukni, z książką pod pachą idącej chwiejącym krokiem do kościoła lub z kościoła do domu.

## VIII

— Józiaczkule! trzeba zdjąć pięknie czapeczkę, bo to domek Boży, synku! — mówiła przystojna bardzo kobieta do trzechletniego chłopaczka, po krakowsku ubranego, stając koło kościoła Panny Marii.

— A Przenajświętsza Panno Sokalska, toż on to już rozumie, nie bój się, pani Marcysiu, strach, jaki mądry chłopulek • — odparła staruszka w schludnym przyodziewku, jak gołąb siwa, a jak struna wyprostowana, która go prowadziła za rękę.

O parę kroków za kobietami szło dwóch mężczyzn: rozmawiali żywo.

— Mówię panu budowniczemu, że jakby cień dawnej pozostał, tylko te same oczy zawsze piękne, smut-

**i z pierwszego małżeństwa.**

ne i poczciwe. Pan Beleński prawie nic się nie zmienił, a siostra'jej, ta dawna panna Karolina, ma już synka prawie tak sporego jak mój, mąż jej ślepy na jedno oko, ale grzeczny jakiś bardzo człowiek. Ach! jakże mnie wypytywali, jak ciekawi pana obaczyć! Pójdzie pan tam jutro, panie Pawle? — pytał mężczyzna silnej budowy, z mocnym, ciemnym zarostem.

— Wątpię, mój bracie! Mam tyle zajęcia, że nie wiem, czy mi czas pozwoli — odparł Paweł, na którego spokojnej twarzy czas i praca naznaczyły poważniejsze ślady, chociaż oczy i usta młodzieńczy, swobodny wyraz ożywiały.

— To może w tych dniach! bo zabawią dłużej. Obstalowali u mnie cały nowy garnitur mebli do dwóch pokoi.

— Nie wiem, czy będę mógł i w tych dniach.

— Zlituj się pan, panie Pawle! Choćby się kto nawet gniewał, to przez kilka lat i o gniewie się zapomni, a przecie kochają tam pana jak brata.

— Musiałbym, widzisz, sprawić sobie frak, a mój już bardzo stary, ostatni raz miałem go na sobie, kiedy wam dziecko trzymał do chrztu. Swatano mnie kiedyś z panną Karoliną. Jak mnie zobaczy jeszcze kawalerem, nieco szpakowatym, to gotowa i naśmiać się ze starego — rzekł z uśmiechem, poprawiając sobie gęstą czuprynę, srebrzącą gdzieś przy końcach.

— Nic nie pomoże! Pan Beleński i brat pani Karoliny wiedzą, gdzie pan budowniczy mieszka, i zmuszą pana.

— To najmniejsza, panie majstrze Sierocki! Zresztą zobaczą — odparł Paweł, któremu słowa towarzysza przypominały cały dramat uniesień, opasany uroczym wiankiem lat młodzieńczych. Ale u męża poświęconego całą duszą zawodowi i pracy dramat ów, nawet wśród marzeń samotnych, przybierał coraz bardziej

właściwe cechy wspomnienia, za które wdzięczne było serce, a czynny umysł i wyrobiona w cierpieniu dusza spoglądała tęsknie i coraz spokojniej na tę chwilę niepowrotną.

Mówiąc tak, zaszli powoli aż nad Wisłę, gdzie to kiedyś stał domek Szczepaniaka. Dziś ani już śladu ulicy ni domku.<sup>1</sup>

Szary pas rzeki, iskrzący od majowego słońca, oblewał jak dawniej puste teraz wybrzeże, a za nią tuż bielił się kościółek praski i krzyż wysoki na piaskach wzniesiony.

— Przenajświętsza Panno, żeby też choć zdziebko zostało z naszego gniazdka! — zawołała płacząc Jakubowa.

Mały Józiatek zaczął biegać po zieleniącej murawie, matka jego obtarła oczy patrząc miłośnie na męża, co zadumany stanął przy Pawle.

— Ano, niech będzie pochwalony! — odezwał się głos ojca Jakuba, który dostrzegłszy ich z daleka, szybko ku nim podążył. — Bóg zapłać, że poczekałicie państwo na mnie! Wracam ano z Powązek. Akacja ślicznie rozkwitnęła na mogile twojego dziadka, chłopaczku!

**1 Teren dawnej ulicy Głębokiej i sąsiednich zabrano pod fort Cytadeli. (Por. przyp. na s. 36)**

## SPIS ILUSTRACJI

	Str.
1. Włodzimierz Wolski — wg litografii Dzwonkowskiego zamieszczonej w wydaniu dramatu <i>We dworku</i> , Warszawa — po s. . . . .	4
2. Stare Miasto — rys. Kozarski („Tygodnik Ilustrowany” nr 242 z 14 V 1864 r.). . . . .	73
3. Zwaliska — rys. Jan Matejko („Tygodnik Ilustrowany” nr 344 z 28. IV 1866 r.). . . . .	87
4. W kuźni („Tygodnik Ilustrowany” nr 431 z 28. XII 1867 r.). . . . .	113
5. Lekcja wstępna — rys. Franciszek Kostrzewski („Tygodnik Ilustrowany” nr 292 z 29. IV 1865 r.). . . . .	135
6. Zadumana — rys. Franciszek Kostrzewski („Tygodnik Ilustrowany” nr 6 z 5 XI 1859 r.). . . . .	151
7. W bawarii — rys. Franciszek Kostrzewski („Tygodnik Ilustrowany” nr 286 z 18. III 1865 r.). . . . .	215
8. W salonie — rys. Franciszek Kostrzewski („Tygodnik Ilustrowany” nr 40 z 13. VII 1867 r.). . . . .	239
9. Na targu za Żelazną Bramą — rys. Franciszek Kostrzewski („Tygodnik Ilustrowany” nr 267 z 5. XI 1864 r.). . . . .	255
10. Marzenia kancelisty — rys. Ludwik Kunicki („Tygodnik Ilustrowany” nr 334 z 17. II 1866 r.). . . . .	275
11. „Prezante arme — marsz!” — rys. Franciszek Kostrzewski („Tygodnik Ilustrowany” nr 337 z 10. III 1866 r.). . . . .	277
12. Dama przed lustrem — rys. Franciszek Kostrzewski („Tygodnik Ilustrowany” nr 290 z 15. IV 1865 r.). . . . .	319
13. Modnisie w Saskim Ogrodzie — rys. Franciszek Kostrzewski („Tygodnik Ilustrowany” nr 269 z 19. XI 1864 r.). . . . .	347
14. Na wędrowkę — rys. Henryk Pilatti („Tygodnik Ilustrowany” nr 387 z 23. II 1867 r.). . . . .	375

15. Dworzec Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej („Tygodnik Ilustrowany” nr 14 z 31. XII 1859) . . . . . 387
16. Gracze — rys. Henryk Pilatti („Tygodnik Ilustrowany” nr 255 z 13. VIII 1864). . . . . 421
17. Elegancik warszawski — rys. Franciszek Kostrzewski („Tygodnik Ilustrowany” nr 5 z 29. X 1859 r.) . . . . . 433

## SPIS TRESCI

<b>Wstęp</b>	<b>5</b>
<b>Kilka słów wstępnych</b>	<b>33</b>
<b>Ustęp pierwszy</b>	<b>3 6</b>
„ <b>drugi</b>	<b>111</b>
„ <b>trzeci</b>	<b>135</b>
„ <b>czwarty</b>	<b>251</b>
„ <b>piąty</b>	<b>341</b>
„ <b>szósty</b>	<b>424</b>
<b>Spis ilustracji</b>	<b>477</b>





